

# W niebie na agrafce

## Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Motto](#)

[Dedykacja](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

**Iwona Grodzka-Górnik**



# W niebie na agrafce



*Nie zawsze się traci,  
kiedy zostaje się czegoś pozbawionym.*

Johann Wolfgang Goethe

*Moim rodzicom, siostrze i bratu*

*za cudownie spędzone razem lata.*

*Mojemu mężowi – za miłość.*

*Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym*

## ROZDZIAŁ I

Zuzanna siedziała przed telewizorem wpatrzona w kolejny odcinek ulubionego serialu. Korzystała z nieobecności swojego czteroletniego synka Łukasza, którego zabrała na spacer z psem jej przyjaciółka Olga. Chłopiec i Scooby, trochę ponaddwuletni brązowy labrador, tworzyli parę o energii wściekłego tornada i głośności przekraczającej poziom, jaki może znieść ucho zdrowego człowieka. Czyli kobiety i matki w zamkniętym pomieszczeniu. Dlatego propozycja Olgi była wybawieniem i Zuzanna była jej za nią szczerze wdzięczna.

No i całe szczęście! Spacer to sport, sport to zdrowie, a ona w końcu nie musiała walczyć z hałasem i bić się o pilota z własnym dzieckiem. Gdyby zostali w domu, Zuzanna mogłaby się nie dowiedzieć, w jaki sposób Aurelia odnajdzie ojca, którego nigdy nie знаła.

Wenezuelskie seriale! Nie ma w nich za grosz poczucia rzeczywistości, a jednak wciągają jak narkotyk. Zuza z reguły wystrzegła się takich tasiemców, co to w pierwszym odcinku bohater wchodzi, a dopiero w trzydziestym zamyka za sobą drzwi, ale ten serial jej się spodobał. Był po prostu nieco inny. Natknęła się na niego przypadkowo i po dwóch minutach stał się jej ulubionym. A dzisiaj był już ostatni odcinek, więc nareszcie wszystko miało się wyjaśnić.

Nagle słowa Aurelii zagłuszył sygnał telefonu.

– Cicho! Nie teraz! – krzyknęła Zuzanna w kierunku słuchawki. Telefon, niestety, nie chciał milczeć.

– Nikogo nie ma w domu! Później zadzwoń! Jak będą reklamy! – zawołała znów, nie podnosząc się z kanapy. – Słyszysz!?

Najwyraźniej usłyszał, bo zamilkł. Ale na krótko.

– Że też nie dadzą spokojnie obejrzeć! – powiedziała do siebie i podeszła do aparatu, kątem oka zerkając na telewizor. Kto tak brutalnie się do niej dobijał? „MAMA” – przeczytała na wyświetlaczu i odrzuciła połączenie.

*Potem oddzwonię* – pomyślała i wróciła do oglądania.

Telefon jednak był nieustępliwy. Odezwał się znowu, a Zuzanna zapragnęła wyrzucić go przez okno.

– Mamo, zlituj się! – powiedziała głośno do siebie i odebrała. – Halo!

– Cześć, córeczko! Czemu nie odbierasz? W ogóle nie można się do ciebie dodzwonić.

– Mamuś, oddzwonię za dziesięć minut, dobrze? – Chciała odłożyć słuchawkę, ale nie usłyszała potwierdzenia. Ta cisza ją zaniepokoiła.

– Mamo? Jesteś tam? – zapytała zdziwiona. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że matka mówiła dziwnym tonem. – Słyszysz mnie? Coś się stało?

– Córeczko... – matka odezwała się w końcu zdławionym głosem. – Basia... – dało się słyszeć pochlipywanie – umarła... Pogrzeb pojutrze.

Kiedy Zuzanna odłożyła słuchawkę, miała szkliste oczy. Wyłączyła telewizor i podeszła do

dużego okna balkonowego. Jak zahipnotyzowana patrzyła na soczystą zieleń swojego ogrodu i modliła się, aby jego widok zatrzymał to przerażające uczucie. Uczucie, które tak dobrze знаła, i o którym wiedziała, że za chwilę nadejdzie. Nic jednak nie mogło jej przed tym uchronić. Obraz za oknem stawał się niewyraźny i chociaż ze wszystkich sił wyteżała wzrok, ogród widziała jak przez mgłę.

I stało się! Ból ścisnął jej krtań, a krzyk, którego nie zdołała z siebie wyrzucić, rozsadzał płuca. Nie mogła złapać oddechu. Miała wrażenie, że zaraz straci równowagę. Bezwiednie opadła na kanapę, a po policzkach popłynęły jej strużki łez.

Tak samo czuła się prawie pięć lat temu, gdy w wypadku samochodowym zginął Patryk. Cierpienie. Rozpacz. Ogromna bezsilność. Stało się to tego samego dnia, kiedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka.

Był taki szczęśliwy! Taki dumny! Wziął ją wtedy na ręce, całował i przytulał, i znowu całował... A potem spieszył się, żeby podzielić się tą radością z rodzicami, tylko że... Już do nich nie dojechał. Podczas wyprzedzania jego granatowy ford zderzył się czołowo z nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką. Patryk zginął na miejscu, a wraz z nim umarły ich wspólne marzenia i plany. I ich ślub!

A teraz ten ból powrócił. Ze zdwojoną siłą.

*Basiu! Dlaczego ty? Mój Boże, Basiu!* – myśli dudniły w jej głowie jak rozpedzone stado dzikich koni.

*Nie! To nie może być prawda!* – mówiła do siebie w duchu. – *To tylko zły sen! Zuza, błagam, obudź się! Wstań!*

Zamknęła oczy. Chciała wierzyć, że kiedy je otworzy, będzie mogła odetchnąć z ulgą. Na próżno.

– O, Boże! – jęknęła i rozplakała się jak małe dziecko, wyrzucając z siebie gniew, wściekłość i rozgoryczenie. Wtuliła się w po duszkę i długo szlochała.

A potem nastąpiła cisza. Oddech Zuzanny powoli się uspokajał, bicie serca zaczęło wracać do pierwotnego rytmu, ale ból i bezsilność mocno zakotwiczyły w jej duszy.

Wstała, jeszcze raz spojrzała przez okno na ogród i wyszła na taras. Majowy wiatr rozczesywał jej kasztanowe loki i osuszał resztki łez, które jeszcze przed chwilą płynęły z jej dużych, piwnych oczu. Usiadła na schodach, spuściła głowę i ukrywając twarz w dłoniach, przywołała w pamięci uśmiechniętą postać Basi. Trzydziestojednoletniej, niewysokiej dziewczyny o jasnych jak promienie słońca, lekko falujących włosach, łagodnym spojrzeniu i wielkim sercu. Dziewczyny zaledwie trzy lata starszej od niej. Basia nie tylko była najmłodszą siostrą mamy, czyli właściwie ciotką, ale przede wszystkim przyjaciółką. Taką od serca. Najlepszą, jaką można mieć.

To właśnie Basia dała jej największe wsparcie po stracie Patryka. Często dzwoniła, przyjeżdżała. I to za jej namową Zuzanna sprzedała trzypokojowe mieszkanie w Krakowie, wykupiony kiedyś z kwaterunku prezent od rodziców i kupiła ten stary drewniany dom w Arabelinie pod Warszawą, do którego wprowadziła się z półtorarocznym Łukaszkim. Rodzice na początku nie byli zadowoleni.

– Co ta Baśka nakładła ci do głowy? – pytała rozżalona mama, Pola Kostecka, nauczycielka w szkole podstawowej. – Gdzie ci będzie lepiej niż tu, przy nas? Kto pomoże ci przy dziecku? Grzesiek! – krzyknęła do męża. – Czy mógłbyś przetłumaczyć naszej córce, że to nie jest najlepszy pomysł?

– Kochanie. – Pan Kostecki czule objął żonę. – Ona jest już dorosła i sama powinna podejmować decyzje. A poza tym – dodał – zgadzam się z twoją siostrą, że Zuzia prędzej wróci tam do równowagi. Przecież tutaj każdy skrawek miasta przypomina jej o tym... – nie dokończył, patrząc na nie obie łagodnym, mądrym spojrzeniem.

Potem ojciec Zuzanny, inżynier budowlany, pomógł córce doprowadzić dom w Arabelinie do stanu używalności. Skrzypiącą pod nogami parkietową mozaikę zastąpiono nowymi dębowymi deskami w kolorze ciemnej czekolady. W takim samym stylu wykończono drewniane belki pod sufitem, kuchnia dostała ciemnobrązowe, stylizowane fronty szafek i szuflad, a łazienka nowe kafelki. Naprawiono dach i elewację, pomalowano płot, a Basia, projektantka zieleni, pieczołowicie zaplanowała oraz urządziła ogród wokół domu.

Ogród, który dawał Zuzannie ukojenie. Ogród, który był piękną oazą, jej małym, prywatnym światem, przyjazną przestrzenią dla jej wrażliwości, i wreszcie źródłem estetycznych wzruszeń oraz inspiracją dla jej ogromnej pasji – malarstwa.

Ojciec zawsze odradzał Zuzannie Akademię Sztuk Pięknych, na którą chciała startować zaraz po maturze. Tłumaczył, że nie ma sensu uczyć się tego, co już się poznało. Szkoda na to pięciu lat studiów. Przekonywał, że można być artystą i jednocześnie kształcić się w dziedzinie prawa, medycyny czy zarządzania, i jedno nie musi wykluczać drugiego. Posłuchała go. Ponieważ oprócz malowania lubiła też matematykę i bez problemów rozwiązywała najtrudniejsze zadania, pomyślała, że nauczy się bankowości. Może naiwnie, ale tak właśnie uznała.

– Zuzik, skarbeńku, nie bądź głupia! – mówiła jej wtedy Basia. – Rób tak, jak dyktuje ci serce. Nie sugeruj się tym, co mówią inni. To jasne, że ojciec cię kocha i chce dla ciebie jak najlepiej – tłumaczyła – ale jeśli chodzi o wybór studiów, powinna to być tylko twoja decyzja.

Zuzanna już na pierwszym roku bankowości pożałowała nieprzemyślanego wyboru, ale przeszło jej, kiedy poznała Patryka, który studiował na tym samym wydziale.

*A teraz Patryka już nie ma... Basia też mnie zostawiła...* – myślała, siedząc skulona na kamiennych schodach tarasu.

– Chcę jechać z tobą, mamusiu! – Synek Zuzanny zeskoczył z kolan Olgi i podbiegł do matki, kiedy ubrana na czarno, w ciemnych okularach, szykowała się do wyjścia.

– Łukaszku, już o tym rozmawialiśmy. – Wzięła go na ręce i mocno przytuliła. – Zostaniesz z ciocią Olgą, a mamusia obiecuje, że postara się szybko wrócić. Dobrze?

– Ale ja chcę! – nie dawał za wygraną.

– Kochanie, a kto będzie się opiekował Scoobym, jak ciebie nie będzie?

Malec przewrócił figlarnie oczami, chwilę się zastanowił i wskazał na siebie pulchnym paluszkiem.

- No, widzisz? – Zuza pogłaskała go po kędzierzawej główce. – Jesteś prawdziwym zuchem.
- Ciocia Basia posła do Nieba jak tatuś? – zapytał niespodziewanie, a Zuzanna znów poczuła ten okropny ucisk w gardle.
- Tak, skarbie – odparła z trudem i przyłożyła policzek do jego małej twarzyczki. – Tak, skarbie – powtórzyła.
- A kiedy Bozia ich wypuści? – pytał chłopczyk, a Zuzannie brakowało słów, którymi mogłaby wytłumaczyć swojemu ciekawemu świata dziecku, dlaczego ten świat jest taki skomplikowany.
- Chodź, Łukaszku, mamusia musi już jechać. – Olga zabrała malca z rąk matki i postawiła go na podłodze. – Daj mamie buzi i zobacz, co robi Scooby.
- Pa, pa, mamó. – Łukasz cmoknął Zuzę w policzek i zniknął w głębi domu.
- Uważaj na siebie, kochaniutka. – Olga uściskała przyjaciółkę – i nie martw się – dodała. – Nie ma tego złego... – Jak zwykle przemawiał przez nią spokój i niesamowity optymizm.

Olga Kordej i jej mąż Filip byli sąsiadami Zuzanny. Na działce za płotem wybudowali duży dom, do którego wprowadzili się mniej więcej pół roku po tym, jak Zuza zamieszkała w swoim.

Filip, trzydziestoletni facet z brzuszkiem, o kręconych ciemnych włosach do ramion, które często nosił spięte w kucyk, był dziennikarzem i komentatorem sportowym w lokalnym radiu. Jego pasją była piłka nożna, w którą często grywał z kolegami, ale brzuszka nie udało mu się pozbyć. Na dużym placu za domem urządził sobie nawet boisko piłkarskie z dwiema bramkami i trawą, którą każdej soboty z fryzjerską namiętnością strzygł kosiarką spalinową. Sam najwyraźniej obawiał się kontaktu z fryzjerem.

Olga, rówieśniczka Zuzanny, bardzo wysoka i szczupła szatynka z zawsze nienaganną, krótką fryzurką, również była dziennikarką. Ona jednak, dla odmiany, pracowała dla gazety „Prawo dla Każdego”, tłumacząc z polskiego na nasze ustawy i rozporządzenia, które w oryginale były zupełnie niepojęte dla zwykłego zjadacza chleba. Trzeba powiedzieć, że miała do tego smykałkę. Aż dziw brał, że nie została prawnikiem: prokuratorem jak jej matka albo sędzią jak ojciec. Najwidoczniej, dzieci nie zawsze idą w ślady rodziców. Zuza wiedziała coś na ten temat. Choć akurat Olga niewątpliwie była genetycznie obciążona miłością do interpretacji kodeksów. A przy tym sama była nad wyraz praworzadna. Wkurzający był zwłaszcza jej niekontrolowany odruch, gdy prowadząc samochód, gwałtownie naciskała na hamulec, zobaczywszy znak z ograniczeniem prędkości. Nigdy jednak się nie spóźniała, nie zapominała, była niezwykle sumienna i dokładna. W odróżnieniu od Zuzanny, nie odkładała nic na ostatnią chwilę, nawet walizki miała zawsze spakowane na kilka dni przed wyjazdem. Pedantka w każdym calu. Kurz i brud nie miały najmniejszych szans na zagranie miejsca w jej domu, więc w ogóle tam nie zaglądały. Lśniąca jak lustro podłoga od samych drzwi zdawała się wrzeszczeć, aby nikt nie ważył się wejść w butach, bo jej pani znowu będzie ją polerować aż do zdarcia lakieru.

Olga twierdziła, że przyjaciółka mocno przesadza, mówiąc tak o jej podłodze, ale Zuza wiedziała swoje. Musiała też przyznać, że mimo pedanterii i przywiązania do zasad Olga była fajną dziewczyną, lubiącą się zabawić i pożartować. Nigdy też nie odmawiała pomocy, a czasem wręcz się z nią narzucała.



Kordejowie nie mieli jeszcze dzieci, ale Zuzanna czuła, że kiedyś będą wspaniałymi rodzicami.

Poznała ich dzięki swojemu synkowi. Na drugie urodziny Łukasz dostał od dziadka Grześka trzykołowy rowerek. Któregoś dnia poszli go wypróbować. Gdy przechodzili obok domu sąsiadów, chłopiec zaczął wołać:

– Mamo, hau! Tam, mama popa, hau! – krzyczał, tracąc jednocześnie zainteresowanie nową zabawką.

– Gdzie, synku? – zapytała zdziwiona Zuzanna, rozglądając się wokół siebie.

– Tam! Hau! Mamo, tam! – Łukaszek podekscytowany wystawił rączkę w kierunku płotu.

Zdjęła dziecko z rowerka, a ono, podskakując radośnie, natychmiast zaciągnęło ją pod furtkę sąsiadów. Chwytając się rączkami grubych prętów bramy i nie przestając krzyżeć, synek Zuzanny wlepił wzrok w małego, brązowego szczeniaczka. Piesek na widok dziecka ochoczo podbiegł do ogrodzenia i zaczął lizać chłopca po rączce. Zaraz za nim pojawił się jego właściciel.

– A kuku! – powiedział łagodnie do malca. – Któż to mi tu zagłada?

Chłopczyk przestraszony wycofał się na bezpieczną odległość, chwycił się matki i schował za nią, po chwili wystawiając tylko zaciekawioną, kędzierzawą główkę.

– Dzień dobry! – odezwała się Zuzanna. – Przepraszam, trudno go powstrzymać, kiedy coś go zacieka. Mieszkamy za tym płotem – dodała po chwili, wskazując swój dom.

– Dzień dobry! Jak miło w końcu poznać sąsiadów – ucieszył się mężczyzna. – Filip Kordej. – Stał na murku ogrodzenia i wyciągnął do niej rękę.

– Zuza Kostecka. – Uścisnęła jego dłoń. – A to Łukasz, mój mały miłośnik zwierząt. – Uśmiechnęła się, wskazując na synka. Filip przykucnął.

– Cześć, Łukasz. Podoba ci się piesek?

Malec niepewnie pokiwał głową.

– Chciałbyś się z nim pobawić?

Chłopczyk uśmiechnął się i popatrzył na matkę błagalnym wzrokiem.

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać.

– Żaden problem. – Mężczyzna podniósł się i otworzył furtkę. – Proszę, wejdźcie.

Łukasz natychmiast podbiegł w stronę szczeniaka i rzucił się obok niego na trawę. Pies obwąchał go i obszczekał, a potem, merdając radośnie ogonem, wskoczył na ręce malca. Był gotowy poddać się wszelkim torturom, aby tylko nowy kumpel chciał się z nim pobawić. I tak zaczęła się ich wielka przyjaźń.

– Jak się wabi? – zapytała Zuzanna.

– Właściwie to jeszcze nie ma imienia – odparł Filip, nie spuszczać wzroku z turlającej się po trawie dwójki. – Mamy go zaledwie kilka dni.

– Mąż dostał go w prezencie od kolegów z pracy – odezwała się młoda kobieta tuż za ich plecami. – Dzień dobry! – Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Zuzanny. – Nazywam się Olga Kordej.

I takim oto sposobem Zuzanna zyskała nowych znajomych, którzy w niedługim czasie stali się jej serdecznymi przyjaciółmi. Łukaszowi natomiast przypadł w darze dwumiesięczny labrador. Kordejowie, ku wielkiej radości chłopca, zgodnie orzekli, że tacy przyjaciele powinni się trzymać razem.

– Oczywiście, jeśli mamusia się zgodzi.

A cóż biedna mamusia miała do gadania? Troje na jednego, tak? A właściwie to nawet czworo. Widząc radość na twarzy swojego dziecka – a niech tam – zgodziła się. No i pies w końcu przestał być bezimienny. Łukasz nawet nie chciał słuchać żadnych sugestii na ten temat – miał być Scooby i już.

W powietrzu unosiła się woń żałoby: zapach kadzidła, przemieszany z zapachem kwiatów.

Lubieniec, na ogół spokojna miejscinka niedaleko Poznania, położona była w malowniczej oprawie parku krajobrazowego. Od północy otulała ją gęstwina sosnowych lasów, obfitujących w grzyby i jagody, od południa zaś opływała łagodnie wijąca się rzeka Lubica. Tego dnia miasteczko przeżywało prawdziwe oblężenie. Ściągnęło tu mnóstwo ludzi, samochodów i autokarów z różnych zakątków kraju. Nic dziwnego. Basia miała mnóstwo znajomych i przyjaciół. Przyjechali też jej klienci, którym projektowała ogrody. Wydawać się mogło, że pojawili się wszyscy, którzy ją kiedykolwiek znali. A każdy zadawał sobie to samo pytanie: dlaczego odeszła tak wcześnie?

Basia długo nie miała szczęścia do mężczyzn. Kiedy tylko w którymś się zadurzyła, okazywał się złodziejem albo ją zdradzał. Aż w końcu poznała tego jedyne, wymarzonego i wyczekanego. Szybko wzięli ślub i na prośbę matki Basi, Eleonory Blichacz, która czuła się samotnie w dużym pustym domu (kilka lat wcześniej zmarł jej mąż Antoni), zamieszkali razem z nią, zajmując całe, kilkupokojowe piętro.

Paweł Hernik był dobrym, troskliwym mężem i do pełni szczęścia brakowało im tylko dziecka. Basia koniecznie chciała córeczkę.

– Chciałabym, aby była taka jak ty – powiedziała kiedyś do Zuzanny. – Taka kochana i silna.

– Wystarczy, aby była taka jak jej mama: kochana, silna i dobra, cioteczko – odpowiedziała Zuzanna z uśmiechem.

Jakiś czas temu Paweł zadzwonił do Zuzy, ponieważ Basia skarżyła się na częste bóle głowy, miała zawroty i traciła równowagę, ale za żadne skarby nie chciała pójść do lekarza, tłumacząc, że to tylko migrena. Zuza już następnego dnia przyjechała do Lubieńca i zaciągnęła ją do szpitala. Skierowano ją na badania. Tomograf wskazał przyczynę: guz mózgu. Zakwalifikowano ją do operacji.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – pocieszała ją Zuza, siedząc przy szpitalnym łóżku. –

Tylko musisz zwolnić, bo żyjesz zbyt szybko. Te twoje częste wyjazdy. Więcej cię nie ma w domu, niż jesteś.

– Taką mam pracę, Zuzik, ale już niedługo. Skończę tylko ten ogród pod Koszalinem i robię przerwę. Muszę w końcu postarać się o córeczkę, prawda? – Uśmiechnęła się.

Lekarze twierdzili, że operacja się udała. Basię wypisano do domu, a Zuza wróciła do Arabelina. Niestety, po trzech tygodniach Basia zmarła.

Przed cmentarzem Zuza wypatrywała rodziców. Ojciec obiecał, że zawiezie ją na dworzec. Rozejrzała się. Kościół, ulice, las za cmentarzem, sklep, plac, na którym stał pomnik Małego Powstańca, to wszystko wydawało jej się kiedyś ogromne, a teraz?

*Po prostu urosłam – pomyślała.*

Chociaż większość swojego życia spędziła w Krakowie, Lubieniec uważała za swoją rodzinną miejscowość. W końcu tutaj przyszła na świat. Ale gdy miała rok, rodzice razem z nią przeprowadzili się do Krakowa. Ojciec dostał tam lepszą pracę i mieszkanie. Do Lubieńca przyjeżdżała rzadko, czasem na wakacje. Basia zabierała ją wtedy na długie wędrowki po kilkuhektarowym gospodarstwie dziadków. Zbierały maliny, chowały się w zbożu, a nawet wyjadały gorące kartofle z parnika przygotowywane przez dziadka dla świń. To były piękne czasy. Dziecięce, beztroskie i pełne głupich pomysłów.

Kiedyś, gdy wszyscy dorośli byli zajęci rwaniem wiśni, przywiązani do drzew jak ekolodzy w Dolinie Rospudy, dziewczynki (Zuza miała wtedy siedem lat), wybrały się do sklepu oddalonego o trzy kilometry. Wzięły ze sobą rower. Nie bardzo mieściły się na nim obie, więc jechały na zmianę. Potem jednak doszły do wniosku, że to bez sensu, zostawiły rower pod drzewem i dalej poszły pieszo. Droga prowadziła przez las. Sprzedawczyni była bardzo zdziwiona, kiedy pochwały się, że przyszły same, a one były z siebie bardzo dumne. Z paczką mordoklejek, to znaczy najlepszych w świecie krówek, ochno wracały do domu, bawiąc się przy okazji znakomicie, kiedy cukierki sklejały im zęby. W pewnym momencie w lesie pociemniało, korony drzew zaczęły upiornie szumieć, a na niebie pokazały się błyski piorunów. Ależ się wtedy bały!

Na szczęście ojciec i dziadek Zuzy w porę zorientowali się, że dziewczynki przepadły. Wzięli bryczkę zaprzęzoną w dwa konie, psa i wyruszyli na poszukiwanie. Przestraszyli się, bo najpierw znaleźli rowerek pod drzewem, a potem sprzedawczyni powiedziała, że dzieci były w sklepie. Ojciec zostawił dziadka z końmi i pobiegł z psem do lasu, przypuszczając, że dzieci zboczyły z głównej drogi. Nie mylił się. Szybko znalazł ścieżkę utworzoną z papierków po mordoklejkach i tak do nich trafił.

Zuza mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego wydarzenia.

\*

– Przepraszam, pani Zuzanna? – usłyszała nagle.

– Tak? – Odwróciła się zaskoczona. Przed nią stał nieznajomy mężczyzna. Był od niej dużo wyższy, mógł mieć około pięćdziesięciu lat, ubrany był w ciemny garnitur. Miał siwiejącą już brodę, a na głowie czarny kapelusz.

– Pani Zuzanna Blichacz, zgadłem? – zapytał, przenikliwie wpatrując się w jej oczy. – Przepraszam, że się ośmielam... Widziałem panią z Polą. To pani matka, prawda?

– Moja mama od dawna nie nosi już tego nazwiska – wyjaśniła, choć sama nie wiedziała dlaczego. – Ja też nie.

– Ale jest pani jej córką?

– Owszem... – odpowiedziała niepewnie. – A pan jest...?

– Nazywam się Zygmunt Salke. – Zdjął kapelusz i lekko skłonił głowę. – Bardzo mi przykro z powodu śmierci Basi. To wielka strata. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Dziękuję – westchnęła zasmucona. – Znał ją pan?

– Pamiętam Basię jako malutką, szczebioczącą dziewczynkę. Dawno to już było... – Zamyślił się. – Nie mogła mieć więcej niż trzy lata, kiedy widziałem ją ostatni raz z pani mamą na spacerze. A pani była wtedy jeszcze w brzuszku. – Uśmiechnął się lekko.

– Wnioskuje zatem, że jest pan znajomym mojej mamy.

– Raczej pani ojca. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Wiele lat temu.

– Pokłóciliście się? – zaciekała się Zuzanna.

– Nic z tych rzeczy – sprostował. – Po prostu... Jak to w życiu bywa, nasze drogi się rozeszły. Nie widziałem go całe wieki.

– W takim razie, jeśli poczeka pan ze mną, będzie miał pan okazję się z nim spotkać. Właśnie na niego czekam.

– Obawiam się, droga pani... – zamilkł na chwilę, patrząc na nią uważnie – że go tu jednak nie ma.

– Ależ zapewniam pana, że jest – zaprotestowała. – Za chwilę tu będzie.

– Ech... – westchnął Salke. – No, cóż, pora na mnie. Cieszę się, że panią poznałem. – Dotknął ręką kapelusza. – Jest pani nawet trochę do niego podobna. Ma pani jego oczy. Do widzenia. – Odwrócił się i odszedł.

– Przepraszam! – krzyknęła za nim Zuza. – Halo! Proszę pana!

Ale Salke zniknął w tłumie.

– Co za dziwny gość – powiedziała do siebie.

Po chwili stanął przy niej Grzegorz Kostecki.

– Hej, skowronku. – Przytulił ją i jak zwykle pogładził po policzku. – To co? Mam cię odwieźć na dworzec czy może jednak zostaniesz do jutra? Twoim siostronom nie udało się przyjechać z Londynu, więc chociaż ty byś trochę posiedziała z mamą.

– Bardzo bym chciała, tatusiu. – Zuza miała zmartwioną minę. – Ale powiedziałam

Łukaszowi, że dzisiaj wrócę do domu. Nie chciałam, aby czuł się zawiedziony. Rozmawiałam przed chwilą z mamą i obiecałam, że niedługo was odwiedzę. Przepraszam, ale dzisiaj nie mogę zostać.

– Oczywiście, córeczko. – Wziął ją za rękę i poprowadził do samochodu. – A co słyszeć u mojego wnuka?

Przez całą drogę rozmawiali. Trochę o Łukaszu, dużo o Basi. Wspominali wakacje w Lubieńcu i przygodę z mordoklejkami w lesie.

– Zapomniałam, masz pozdrowienia od Zygmunta Salkego. – Przypomniał jej się mężczyzna, który zaczepił ją przed cmentarzem.

– Dziękuję. A kto to?

– Nie znasz go? – Zuza spojrzała na ojca zdziwiona. – Salke.

– Nazwisko dość charakterystyczne – odparł. – Raczej bym je pamiętał. Na pewno nic nie przekreśliłaś?

Zuza poczuła się dziwnie.

*Na pewno – pomyślała. – Bardzo na pewno.*

Z jednej strony chciała opowiedzieć ojcu o tajemniczym mężczyźnie, który podawał się za jego dawnego przyjaciela, z drugiej jednak... Dzisiaj, gdy na zawsze pożegnała Basię, nie chciała myśleć o niczym innym. Poza tym za chwilę miała pociąg do Warszawy.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Może i coś przekreśliłam. Tam było tyle ludzi...

Na dworcu Zuza mocno wtuliła się w ojca.

– Wiesz... Dzisiaj ktoś w końcu powiedział, że jestem do ciebie podobna.

– Bo jesteś, skowronku. – Uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

## ROZDZIAŁ II

Pusty przedział.

*Świetnie!* – pomyślała Zuzanna.

Powiesiła żakiet na haczyku i usiadła przy oknie. Miała nadzieję, że do samej Warszawy nikt się nie dosiadzie. Chciała wykorzystać te trzy godziny, żeby poukładać myśli i na pewno nie miała ochoty na rozmowę. Wyciągnęła z torby gruby zeszyt formatu A4 i przekartkowała go. Mocno sfatygowany szkicownik był w połowie zapełniony rysunkami. Akty, pejzaże, kwiaty, Łukasz ze Scoobym i mnóstwo portretów... Gdy nie miała pod ręką pędzla i sztalugi, ołówki i kartka stawały się lekiem dla jej nadszarpniętych nerwów. Uważała, że to lepszy sposób niż czytanie książki.

Znalazła czystą stronę. Po kilku minutach spod grafitowego rysika zaczął wyłaniać się portret Basi. Podświadomie? Zuza była pełna uznania dla swojej dłoni, która z taką precyzją umiała

oddać każdy, najdrobniejszy szczegół: mały zadarty nosek, oczy z lekko podniesioną dolną powieką, dołki w policzkach i uśmiech odsłaniający równe zęby. Nawet ten wicherek nad czołem. Położyła zeszyt na kolanach i długo wpatrywała się w rysunek.

*Dlaczego odeszłaś?* – zapytała w myślach i poczuła, że znowu łzy napływają jej do oczu. Nie zdążyła podnieść głowy i kilka słonych kropel spadło na kartkę, lekko rozmazując obraz. Zuza pociągnęła nosem. – *Przepraszam, narysuję ci nowy.*

Spojrzała przez okno. Krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie. Oparła zmęczoną głowę o szybę i wpatrywała się w pędzące drzewa, pola, domy... Stukot kół pędzącego pociągu zaczął ją usypiać.

– *Basia?* – zapytała, widząc dobrze znaną sobie twarz.

– *Zuzik, skarbeńku, nie płacz* – w uszach Zuzanny te słowa zabrzmiały jak piękna melodia. – *Jestem przy tobie. Zawsze będę.*

– *Basieńko, narysowałam dla ciebie portret, ale...*

– *Wiem, jest śliczny. Dziękuję. I taką mnie właśnie pamiętaj.*

– *Ale..., kiedy ja...* – dlaczego nie mogła płakać? – *Chciałabym...*

– *Ćśśś... Wiem, skarbeńku, nie płacz* – ten głos był jak eliksir. – *Tutaj jest mi dobrze. Jestem szczęśliwa. Ty też bądź. Nie płacz.*

– *Jak mogę być szczęśliwa, kiedy ciebie już nie ma? Chcę płakać* – miała wrażenie, że krzyczy. – *Wróć!*

– *Zuzik, ale ja jestem. Spójrz! Widzisz mnie, prawda?* – Twarz Basi promieniowała radością. – *Będę przy tobie dopóty, dopóki pozwolisz gościć mi w swej pamięci. I proszę, nie płacz! Obiecujesz?*

– *Kocham cię!* – uśmiechnęła się do niej Zuza. – *I... nie obiecuję, ale się postaram.*

– *Proszę przygotować bilety do kontroli* – męski głos i dźwięk rozsuwających się drzwi do przedziału zbudziły Zuzannę z półsnu. Podskoczyła przestraszona.

Przez chwilę usiłowała wyciągnąć torebkę spod podłokietnika. Dopiero teraz poczuła, że metalowe ucho boleśnie wbiło się w jej biodro. Syknęła, ukradkiem rozmasowując obolałe miejsce.

*Ale obciach* – pomyślała.

– *Jakiś problem?* – odezwał się ten sam głos.

– *Nie... już, już... chwileczkę.* – Nie patrząc w stronę drzwi, próbowała namierzyć bilet.

*Przecież musi gdzieś tu być! Czy ja się kiedyś nauczę utrzymywać porządek w torebce? I po cholere tyle tych przegródek?*

– *Już, już, sekundkę.*

Najchętniej w tym momencie zapadłaby się pod ziemię albo chociaż wlała pod siedzenie.

*Ale wstyd! Pamiętam, że go tu chowałam. Chyba! Tylko do której kieszeni? Zuza, skup się!*

W torebce była cała masa rupieci, podręcznych drobiazgów, niezbędnych szpargałów, bez których nie można się obejść, i bez których w ogóle nie wychodzi się z domu.

Portfel, dokumenty, klucze – to rozumiała – szminka, lusterko, perfumy, dezodorant, puder, maskara – oczywiste – dwie komórki: służbowa i prywatna – wiadomo – paczka napoczętych chusteczek higienicznych, podpaska i tampon w dyskretnej saszetce – na wszelki wypadek – czązki, lakier i pilniczki do paznokci – to jasne – dwa nieodebrane awiza, kopia rocznego PIT-u, kilka długopisów, cztery ołówki różnej grubości, masa paragonów sklepowych, kilka faktur ze stacji benzynowych – no, co? – książeczka zdrowia dziecka, kalendarz kieszonkowy, lub, jak kto woli: torebkowy, pełno drobniaków na dzień – przydają się – luzem rzucone karty lojalnościowe, grzebień, spinki do włosów, paczka niebieskich vogue'ów, kolorowa zapalniczka z kotkiem, kilka ulotek, kupa wizytówek – zaraz coś mnie trafi – zerwany łańcuszek, jeden złoty kolczyk – o, myślałam, że go zgubiłam – tabletki od bólu głowy, musująca aspiryna, krople żołądkowe, jakieś zdjęcia, mała linijka, nożyczki – nie mam siły!

Najchętniej wyrzuciłaby całą zawartość na podłogę, wtedy byłoby łatwiej. Ale przecież nie tu.

*Diabeł przykrył ogonem, czy jak?*

Podobno to odwieczny problem kobiet. Tylko dlaczego akurat teraz?

– Już, już... jeszcze moment... – próbowała się tłumaczyć, nie odrywając wzroku od stu przegródek i dwustu miniaturowych kieszonek.

*Damska torebka nie jest po to, aby w niej coś znaleźć, ale po to, aby w niej wszystko było – pomyślała.*

– Spokojnie, proszę się nie denerwować – męski głos był irytująco wyrozumiały. – Jeśli ma pani bilet, zapewne zaraz go pani znajdzie. Poczekam.

– No wie pan!? – oburzyła się Zuza. – Oczywiście, że mam. Gdzieś. Tutaj. Za moment będzie mógł pan sam sprawdzić. Już, już...

*O jasny gwint! Jak można być taką idiotką!?*

Poczuła na twarzy falę gorąca. Odwróciła głowę w stronę okna, aby mężczyzna nie zobaczył, jak się czerwieni. Powoli sięgnęła ręką do kieszeni zakietu i jeszcze wolniej wyjęła z niej żółtawy kartonik.

– O, matko! – westchnęła.

Odwróciła się i ze spuszczonego wzrokiem wyciągnęła rękę z biletami. Usłyszała cichy śmiech.

*Wiedziałam, że tak będzie – pomyślała i podniosła oczy.*

– Konduktor już poszedł? – zapytała zdziwiona, widząc stojącego w drzwiach młodego mężczyznę. Wysoki szatyn, w wieku około trzydziestu lat, z delikatnym zarostem na twarzy. Miał na sobie błękitną koszulę rozpiętą pod szyją i dżinsy. Stał opierając jedną rękę o framugę,

drugą podtrzymawał przewieszoną przez ramię kurtkę. Nie wyglądał na kogoś, kto sprawdza bilety.

– Hmm! – mruknęła głośno i zajęła swoje miejsce, czując na twarzy gorącą purpurę.

*A ty, człowieku, po co tu jeszcze sterczysz?*

– Chciałbym panią przeprosić – powiedział, jakby usłyszał jej pytanie.

– Słucham? – Odwróciła się w jego stronę.

– Tu nie było... – uśmiechnął się, zasłaniając ręką usta. – Tu nie było żadnego konduktora. Ale nie mogłem się powstrzymać, kiedy zobaczyłem, jak pani słodko śpi.

Co? – nie mogła uwierzyć. Wstała. – To taki żart? – Podniosła głos.

– Nie chciałem pani przestraszyć. – Ledwo powstrzymał się od śmiechu. Drażniło ją to. – Proszę mi wybaczyć. Żałuję. Naprawdę.

– Wybaczyć? – Jej oburzenie sięgnęłoby wyżej, gdyby nie sufit wagonu. – To było...

– Złośliwe? – podpowiedział. – Wiem. Przepraszam. Ja... – Odwrócił się do drzwi, ale i tak dostrzegła jego głupi uśmieszek. – Nie mogłem oprzeć się pokusie.

– Niech pan sobie już idzie, dobrze? – Usiadła z powrotem na swoim miejscu i, opierając nogi na przeciwległym siedzeniu, udawała, że interesuje ją widok za oknem.

– Niestety, nie mogę – odezwał się cicho.

– Czego pan nie może? Złośliwy człowieku, czego pan jeszcze chce? – Musiała się wysilać, żeby zachować spokój. Była zmęczona. – Zamknięcie drzwi z tamtej strony chyba nie jest żadną filozofią. Ciągnie pan, tylko w odwrotnym kierunku, niż pan otwierał. Tyle to chyba może pan zrobić?

– Nie mogę. – Miał minę jak Miś Fozzie z *Muppet Show*.

*Jak wezmę sztachtę, to zabiję!*

– A to niby dlaczego? – zapytała, starając się trzymać nerwy na wodzy.

– Bo w tym przedziale mam wykupioną miejscówkę. – Wykrzywił usta w dziecięcym grymasie. – Mogę?

No tak! Nie dość, że się wygłupiła, to jeszcze resztę podróży będzie musiała spędzić w towarzystwie tego złośliwego typka, który, widać, nieźle się bawił.

– Żałuję, że nie mogę panu zabronić. – Ostentacyjnie odwróciła się do szyby.

Wszedł i zasunął drzwi, ale nie usiadł. Zbliżył się do okna tak, że jego kolana dotknęły jej nóg.

– Ma pan jeszcze jakiś problem, proszę pana? – Podniosła głowę.

– Hm... – Wskazał palcem siedzenie, na którym oparła nogi. – Z biletu wynika, że to jest



właśnie moja miejscówka.

– Wie pan co? – Spojrzała na niego poirytowana. – W tym przedziale są jeszcze cztery inne, mniemam, równie wygodne fotele, na których może pan usadowić swoje szacowne cztery litery. – Chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do głosu. – Mogę też pana zapewnić, że te miejsca nie zostaną zajęte przez najbliższą godzinę, ponieważ pociąg zatrzymuje się dopiero w Warszawie.

Przez chwilę milczał.

– Okej! Skoro pani tak mówi... – odpowiedział z ironiczną grzecnością. – W takim razie – rozejrzał się – usiądę tu.

I usiadł. Po przeciwnej stronie przy drzwiach i wyciągnął nogi tak samo jak ona.

– Wysiada pani na Centralnej? – zapytał po chwili.

– Nie pański interes!

– Tak tylko pytam. Mam nadzieję, że nie zająłem miejsca kogoś, kto wsiądzie na Zachodniej.

Aby zakończyć dyskusję, wzięła na kolana szkielet. Po co w ogóle rozmawiała z tym człowiekiem? Na szczęście nie był namolny. Kiedy zobaczył, że się czymś zajęła, wyciągnął gazetę. Widziała tylko, że czasami na nią zerka.

Godzina minęła nawet szybko. Sprawdziły się też jej przypuszczenia i nikt się nie dosiadł. Współpasażer kilka razy próbował ją zagadnąć, ale udawało jej się to ignorować.

Kiedy pociąg zbliżał się do dworca Warszawa Centralna, Zuzanna pierwsza wyszła z przedziału, rzucając tylko grzecznościowe: „Do widzenia”. Bardziej pasowało: „Żegnam”, ale to sobie odpuściła.

Na parkingu czekał na nią samochód: wysłużona, ale kochana dziesięcioletnia Ibiza. Jej grafitowy lakier metalik aż raził, a koła na lśniących alufelgach zostawiały za sobą imponująco szerokie ślady rozmiaru dwieście pięć. Stupięćdziesięciokonny silnik z lekkością rozpędzał ją do setki w niecałe siedem sekund. Zdarzało się, że na czerwonym świetle stawało obok niej inne auto z łysym dresiarzem w środku, który, na widok baby za kierownicą, demonstrował walory swojego tuningowanego motoru: wrrr..., wrrr... – jak na wyścigach. Jakież musiało być jego zdziwienie, kiedy zostawiała go daleko w tyle, pozwalając mu jedynie powąchać spaliny.

Autko Zuzanny było prawie niezawodne, nie licząc kilku drobnych incydentów. Zimą czasami musiała wchodzić do niego przez bagażnik, bo, gdy ścisnął mróz, zamki w drzwiach nie chciały być gorsze i też ścisnęły.

Zuzanna kupiła ten samochód zaraz po tym, jak przeprowadziła się do Warszawy. W Krakowie nie był jej potrzebny. Mieszkała w centrum miasta, wszędzie więc miała blisko, a jeśli chciała się wypuścić gdzieś dalej, zawsze mogła poprosić ojca o podwiezienie albo po prostu wziąć jego samochód. Kiedy żył Patryk, taki problem nie istniał.

Było już ciemno, ale parking przed dworcem był dobrze oświetlony. Do domu Zuzanna miała spory kawałek drogi. Czowała się mocno zmęczona i najchętniej wskoczyłaby już do łóżka. Jeszcze tylko dwadzieścia kilometrów... Rozejrzała się.

*Gdzie ją postawiłam?* – pomyślała o samochodzie. – *O, tu!*

Nawet się zdziwiła, że tak blisko.

– Przepraszam, to chyba należy do pani – usłyszała za sobą znajomy męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła tego samego nieznośnego faceta z przedziału. W ręku trzymał jej szkicownik.

*Jak mogłam o nim zapomnieć?*

Widać mogła, choć przecież gdy wysiadała z pociągu, głos w megafonie wyraźnie ogłosił: „Prosimy o sprawdzenie, czy w przedziale nie pozostał bagaż”.

– Dziękuję – chrząknęła i wyciągnęła rękę po swoją własność.

– Czy w ramach podziękowań pozwoli się pani zaprosić na kawę, pani Zuzanno? – zapytał, oddając jej zgubę.

– „Pani Zuzanno”? – powtórzyła z irytacją.

Pomyślała, że za szperanie w cudzych rzeczach Olga pewnie znalazłaby na niego porządną paragraf. Jakby w obawie, że będzie się z nią droczył, wyrwała mu zeszyt z ręki. Zganiła się w myślach za ten infantylny odruch, ale zaraz uznała, że przecież miała prawo obawiać się kolejnego głupiego dowcipu.

– Dziękuję, ale nie – odezwała się po chwili. – Za to też dziękuję. – Podniosła szkicownik i ruszyła w stronę swojego samochodu. – Do widzenia.

Przeszukując po omacku torebkę, błagała kluczyki, aby wpadły jej szybko w ręce. Posłuchały. Silnik odpalił od pierwszego kopnięcia.

*Jesteś kochana* – pochwaliła ibizę.

Już miała ruszać, kiedy dojrzała za wycieraczkami przedniej szyby masę ulotek. Przecież nie będzie jechać z taką firanką. Wsiadła i pośpiesznie zebrała kolorowe karteluski.

– Swoisty urok centrum miasta, prawda? Istna plaga! – Znów ten głos. Nieznajomy, tak jak i ona, zbierał ulotki z samochodu obok, czarnego terenowego mercedesa.

*Szpaner.*

Nie zwracając uwagi na natręta, wsiadła do samochodu, z hukiem zamykając za sobą drzwi. Metaliczny grzechot nie był zamierzony. Przytrzasnęła sprzączkę od pasa bezpieczeństwa.

*I znowu obciach.*

– Łukasz już śpi? – zapytała Olgę, która siedziała na kanapie z książką. Przyjaciółka odłożyła lekturę i skinęła głową.

– To dobrze. – Zuza zdjęła buty. – Jestem wykończona.

Żakiet nie doleciał do wieszaka, a torebka i to, co Zuza miała w ręku, wylądowało na stole.

Olga wstała.

– Ani się waż! Porządek artystyczny. Zostaw!

– Chciałam tylko nastawić wodę. – Olga uśmiechnęła się, widząc, że Zuza odgadła jej zamiar.  
– Herbata z miodem i cytryną?

– Tak, dzięki.

– Żyjesz jakoś, kochaniutka?

– Nie pytaj. – Zuzanna wyciągnęła nogi na kanapie i pokrótce opowiedziała przyjaciółce o pogrzebie i dziwnym spotkaniu z tajemniczym panem Salkem. Nie omieszkła też wspomnieć o incydencie w pociągu, a potem na parkingu i o tym, jak bardzo się wygłupiła.

– Chociaż przystojny był? – zapytała Olga.

– Daj mi spokój, co? – Zuza pociągnęła łyk herbaty. – No, może trochę – dodała po chwili. – Ale to nie ma żadnego znaczenia.

Olga wzięła ze stołu szkicownik Zuzanny i otworzyła go.

– Nie trzeba było podpisywać każdego rysunku. Teraz facet zna cię z imienia i nazwiska. – Spojrzała na rysunki. – Tyle razy oglądałam ten zeszyt i za każdym razem nie mogę się nadziwić, jak ty to robisz. O, nowy? – Zobaczyła portret Basi. – Śliczny! A ty przynajmniej wiesz, jak on się nazywał? – Ukradkiem zerknęła na żakiet, który tak niedopuszczalnie leżał na podłodze.

– Nie i mało mnie to obchodzi. – Zuzanna ziewnęła.

Olga spostrzegła wciśniętą między kartki notesu srebrną wizytówkę i mało nie krzyknęła.

– Maksymilian Symertowicz? Nie mogę! Zobacz! – Podniosła kartonik. – Ale numer! – Uśmiechnęła się do siebie. – Cały Maks!

Zuzanna już tego nie usłyszała. Zasnęła na kanapie ze szklanką w ręku. Olga przykryła przyjaciółkę kocem, zabrała niedopitą herbatę i umyła kubki. Nie znosiła zostawiania na drugi dzień brudnych naczyń w zlewie. Przed wyjściem zajrzała do Łukasza i oczywiście podniosła z podłogi żakiet, który zaraz powiesiła w szafie.

– Artystyczny porządek – mruknęła do siebie. – Cała Zuza. Artystka! – Uśmiechnęła się, spoglądając na obraz w przedpokoju.

Nazajutrz rano Zuzanna obudziła się dziwnie wypoczęta. Pomyślała o Basi. Wczorajsze spotkanie z nią w pociągu, chociaż tak nierzeczywiste, miało na Zuzę dobroczynny wpływ.

*Tak, Basiu. Taką cię zapamiętam* – pomyślała i odruchowo spojrzała w niebo. Wierzyła, że Basia tam właśnie jest i ta myśl napawała ją spokojem.

*Będę przy tobie tak długo, jak długo pozwolisz gościć mi w swej pamięci* – gdzieś w głębi duszy cały czas słyszała te słowa.

\*

– Synku, chodź na śniadanie! – zawołała.

– Jajecznica? – Łukasz nie był zadowolony. – Wolę kanapkę z Nutellą.

– Nutella będzie na deser.

– Hulla! – krzyknął. – Scooby, słysysz?

W tym samym momencie do kuchni wbiegł labrador, wsadził łeb pod rękę Zuzanny i, merdając ogonem, domagał się pieszczot.

– Ty zaraz też coś dostaniesz. – Poklepała go po lśniącej sierści. – Cierpliwości.

Pies jednak nie miał zamiaru grzecznie czekać. Skakał, plątał się pod nogami, próbując chociaż powąchać to, co jego pani niosła Łukaszowi. Nagle tak mocno trącił rękę Zuzanny, że cała jajecznica wylądowała na podłodze.

– No, nie! Zwariowałaś? – zganiała psa. – I co my teraz będziemy jedli? Nie ma już więcej jajek.

Scooby, nie zważając, co się do niego mówi, z apetytem zabrał się do jedzenia.

Rozległo się pukanie i po chwili w drzwiach stanęła Olga.

– Cześć. Mogę? – Weszła do środka. – Przyszłam zobaczyć, co u was i przyniosłam szarlotkę.

– Wchodź! – Zuza wykonała głową zapraszający gest. – Właśnie Scooby pozbawił nas śniadania. Niedobry pies! – jeszcze raz skarciła zwierzaka, który w najlepsze wylizywał z podłogi resztki jajek.

– Przynajmniej po sobie posprzątał. – Sąsiadka się uśmiechnęła.

Za to Łukasz, na samą myśl, że dzięki wybrykowi psa dostanie upragnioną kanapkę z Nutellą, krzyczał wniebowzięty:

– Hulla! Scooby! Hulla!

\*

Ciepły majowy poranek zaprosił dziewczyny na taras. Wystawiając do słońca blade twarze, raczyły się rzekomo niskokaloryczną szarlotką i popijały zaparzoną w ekspresie, aromatyczną włoską kawę. Jedno i drugie smakowało bosko. Kawa zresztą była prezentem od Kordejów przywiezionym z ostatniej wyprawy do Rzymu. Tylko że Zuza do tego podarunku musiała dokupić 15-barowy ekspres ciśnieniowy, bo przecież Olgę serce bolało, kiedy widziała, jak jej sąsiadka urządza profanację, traktując wrzątkiem z czajnika tak przewybornie zmielone ziarna.

Ale nawet te przyjemności nie pozwoliły Zuzannie zapomnieć o smutku.

– Powiedz mi, Olga – odezwała się – czemu ten pieprzony świat jest taki podły? Co ja takiego zrobiłam, żeby los musiał mnie tak karać?

– Nic nie zrobiłaś, kochaniutka – odparła przyjaciółka. – Los po prostu już taki jest. Pozostaje

nam się tylko z nim pogodzić.

– Żeby to było takie proste. – Zuza ciężko westchnęła i zamknęła oczy, aby przez chwilę pomyśleć o czymś innym. Na sekundę. Na pół sekundy, aby tak nie bolało.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy wczorajsze spotkanie z tajemniczym Zygmuntem Salkem powinno mieć dla niej jakieś znaczenie. Jeśli tak, to jakie? Próbowała sobie przypomnieć tę krótką dziwną rozmowę.

Mężczyzna powiedział, że był przyjacielem jej ojca, ale nie chciał na niego poczekać. Wyglądało nawet, jakby uciekł. Grzegorz Kostecki go nie kojarzył. Zuza oczywiście była zadowolona, gdy usłyszała, że jest podobna do ojca. To było miłe, ponieważ do tej pory słyszała tylko, że przypomina matkę. Ale oczy? Jej – piwne, w ciemnej oprawie długich rzęs, w niczym nie przypominały jasnobłękitnych, małych, trochę zabawnych oczu ojca. I jeszcze nazwisko. Dlaczego powiedział Blichacz, a nie Kostecka? Pomylił się? O co tu chodzi?

– To mówisz, że w pociągu podrywał cię Maks? – zapytała nagle Olga.

– Kto? – Wytracona z rozmyślań Zuzanna spojrzała na koleżankę.

– Maksymilian Symertowicz. Nie pamiętasz? – Widząc zdziwioną minę przyjaciółki, Olga powiedziała jej o wizytówce. – Kurczę, jaki ten świat jest mały.

– Żartujesz, prawda?

– To kto włożył jego wizytówkę do twojego notesu? Krasnoludki? – Olga uśmiechnęła się serdecznie. – No, co tak patrzysz?! Naprawdę wiem, kto to jest.

Okazało się, że złośliwy typek z pociągu to znajomy Filipa, męża Olgi. Znali się jeszcze ze studiów i mieszkali w jednym akademiku, choć w różnych pokojach. Przez dwa lata pracowali wspólnie dla miesięcznika „Zagadki Kryminalne”, ale Filip wolał sport i radio. Olga widziała Maksa wiele razy przy okazji redakcyjnych imprez i twierdziła, że facet naprawdę robi wrażenie.

– Mówię ci, gdyby nie Filip, mogłabym się w nim zakochać – rozmarzyła się.

– Całe szczęście, że tego nie zrobiłaś. – W głosie Zuzanny słychać było ironię. – Na pewno bym go nie polubiła i miałybyś problem.

– Przestań. Mówisz tak, bo zrobił ci głupi kawał. Gdybyś go lepiej poznała...

– Nie mam takiego zamiaru i w ogóle... skończmy już ten temat – przerwała jej Zuza. – Teraz coś innego chodzi mi po głowie. A poza tym... Co to za imię, Maks? Chciałam tak nazwać naszego Scooby'ego, ale Łukasz stwierdził, że to imię jest wyjątkowo brzydkie – dodała celowo złośliwie.

\*

Spotkanie z tajemniczym Zygmuntem Salkem przez kilka dni nie dawało Zuzannie spokoju.

*Te oczy!* – Wspomnienie jego przenikliwego spojrzenia przyprawiało ją o dreszcze.

Kilka dni później, siedząc przy swoim biurku w pracy i nie mogąc skupić się na lekturze wniosków kredytowych, przypomniała sobie, że gdy miała czternaście lat, wpadł w jej ręce akt ślubu, z którego wynikało, że jej rodzice pobrali się w rok po narodzinach Zuzanny. Wtedy najpierw dostała ochrzany, że szpera w nie swoich rzeczach, a potem usłyszała długi monolog o tym, jakie to kiedyś były inne czasy i że rodzice musieli czekać ze ślubem, dopóki ojciec nie ukończy dwudziestu jeden lat. Uwierzyła. Zresztą nie miała podstaw, aby coś podejrzewać. Była już w takim wieku, że doskonale wiedziała, że dzieci nie wyskakują z kapusty.

*A jeśli Grzegorz KostECKI nie jest moim ojcem?* – niespodziewanie zakiełkowała w jej głowie niepokojąca myśl, lecz po chwili Zuza uznała ją za kompletnie niemożliwą.

Przecież ona była prawdziwą córeczką tatusia. Była jego oczkiem w głowie bardziej niż Kinga i Klaudia, o trzy lat młodsze siostry bliźniaczki, które zawsze trzymały sztamę z mamą. Czasami wyglądało to tak, jakby rodzice podzielili się dziećmi, chociaż sami stanowili naprawdę dobraną, kochającą się parę. Jednak kiedy ojciec jechał do Łodzi odwiedzić swoich rodziców, najczęściej brał ze sobą Zuzannę, a mama do Lubieńca zabierała przeważnie bliźniaczki. Tak to jakoś wychodziło.

Zuza miała wrażenie, że z tatą łączy ją coś wyjątkowego, cudownego i niepowtarzalnego. Potrafiła mu się zwierzać, a on nigdy nie bagatelizował jej problemów i rozterek. Koleżanki jej zazdrościły, że mogła z nim rozmawiać o miłości i prezerwatywach. I nie było w tym żadnego zażenowania czy skrepowania. Była w stanie gadać z nim o wszystkim jak z dobrym przyjacielem. W trudnych chwilach wypłakiwała się mu na ramieniu, a on nazywał ją swoim skowronkiem. Nie opuszczał jej występów w szkolnym teatrze, nawet jeśli jej rola ograniczała się tylko do jednego zdania i pięciu minut na scenie. A jaki był dumny, kiedy odbierała nagrody w konkursach plastycznych! Gdy paskudnie złamała nogę i musiała leżeć w szpitalu, to właśnie on całymi nocami przesiadywał przy jej łóżku, a rano szedł do pracy.

Dlatego teraz ta myśl, że mógłby nie być jej ojcem, wydawała się zupełnie absurdalna. Mimo to panoszyła się w głowie i w żaden sposób nie można było się jej pozbyć.

– Długo jeszcze będziesz nad tym ślęczeć? Zaraz przyjedzie kurier. – Usłyszała nad głową głos swojej kierowniczkii. – Ruchy! – Arleta była wyraźnie zniecierpliwiona.

– Trzy minuty i będzie gotowe – spokojnie odpowiedziała Zuzanna.

– Chciałabym zobaczyć te twoje trzy minuty. – Arleta jak zwykle była wredna i uszczypliwa. – Na razie to tylko widzę, że się opieprzasz.

W innej sytuacji Zuza odpowiedziałaby jej jakimś równie kąśliwym docinkiem, ale teraz ograniczyła się tylko do gniewnego spojrzenia. Nie miała nastroju do kolejnej kłótni ze zgryźliwą kobietą, której nigdy nie darzyła nadmierną sympatią. Jak i całej tej pracy, która przede wszystkim polegała na wciskaniu kart kredytowych mało zorientowanym klientom.

Posada w Warsaw Banku na stanowisku przedstawiciela bankowego miała jednak swoje plusy. Ruchome godziny pracy pozwalały jej bez większych przeszkód wychowywać małe dziecko, zajmować się domem i być finansowo niezależną. Dzięki temu mogła też wygospodarować wiele cennych chwil na malowanie obrazów. Tej pasji Zuza mogłaby oddawać się bez opamiętania. Jednak posiadanie własnej galerii nadal pozo stawało tylko w sferze marzeń.

Podpisała wnioski kredytowe, przystawiła brakujące pieczętki i zapakowaną kopertę oddała kurierowi. Zajrzała do kalendarza. Nie miała zaplanowanych więcej spotkań, więc z czystym sumieniem mogła jechać do domu.

– Idę do McDonalda, chcecie coś? – zapytała nagle Gośka, dziewczyna z drugiego końca sali. Ta mała blondyneczka do złudzenia przypominała Basię. Zuza dała jej gestem znak, że nie, bo już wychodzi.

– A ja poproszę coś z rybą. Nawet trzy kanapki – odezwał się młody chłopak, pocieszny grubasek. – Mam tyle roboty, że chyba przyjdzie mi tu siedzieć całą noc.

– Coś ty, Marek! – Na twarzy Gośki pokazało się pełne powagi zdziwienie. – Przecież w McDonalddie nie ma nic z rybą.

– Jak to, nie ma? Niemożliwe! Jeszcze wczoraj kupowałem. Codziennie kupuję.

– A może masz rację? – Gośka zastanowiła się chwilę. – No tak! – puknęła się w głowę. – Ale ja jestem głupia. Przecież z rybą może być jeszcze... no jak mu tam... McChicken.

Zuzanna wyszła z budynku i wsiadła do samochodu. Natrętne myśli związane z Zygmuntem Salkem nie dawały jej spokoju. Kilkakrotnie próbowała porozmawiać o tym z mamą, ale za każdym razem brakowało jej odwagi. Poza tym takich rozmów nie przeprowadza się przez telefon. Wpadła więc na pomysł, aby odwiedzić kuzynkę mamy, która mieszkała w Wyszku. Rzadko do niej zaglądała i było jej wstyd z tego powodu, lecz jeśli rzeczywiście była jakaś rodzinna tajemnica, kto jak kto, ale ciotka Klementyna musiała o niej wiedzieć.

– Zuzanko, kochanie, jaka miła niespodzianka! – Starsza pani aż krzyknęła z radości na jej widok.

– Dzień dobry, ciociu. – Zuza pocałowała ją w policzek. – Przepraszam, że tak bez uprzedzenia.

– Nic nie szkodzi, słoneczko, wchodź! – Starsza pani cofnęła się, aby wpuścić Zuzę do środka.  
– Jaka miła niespodzianka! – powtórzyła.

Klementyna była starsza od mamy Zuzanny o ponad piętnaście lat. Jej ojciec i dziadek Blichacz byli rodzonymi braćmi.

– Opowiadaj, co u was słyhać? – zaczęła ciotka, stawiając przed Zuzanną wielki kubek różanej herbaty i ogromny kawał drożdżowego ciasta domowej roboty. – Jak tam Łukaszek? Czemu go nie przywiozłaś? Tak się za wami stęskniłam! Nie dzwonisz! Nie przyjeżdżasz! – żaliła się, nie dając gościowi dojść do słowa. – Wiem, wiem. Wy, młodzi, jesteście tak zabiegani i zapracowani, że na nic nie macie czasu. A do tego ten pogrzeb... Żałuję, że nie mogłam pojechać. To straszne. Straszne. Taka strata... Jak się czuje moja Poleczka? Muszę do niej zadzwonić. Muszę, ale ciągle zapominam. Bo wiesz, kochanie, cały czas dokuczają mi żylaki. Mówię ci, paskudna choroba. Nie życzę nikomu, chyba że tej Wiśniewskiej z naprzeciwka.

Klementyna mogła opowiadać godzinami o swoich chorobach, konfliktach z sąsiadami, o tym,

że drzewa pomarzęły i w tym roku nie będzie pysznych morelek, o nornicy, której niczym nie można wykurzyć z ogródka i o wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy.

Zuza na swoje nieszczęście była dobrym słuchaczem, więc grzecznie czekała, aż ciotce skończy się repertuar.

– No to opowiadaj, co cię do mnie sprowadza?

*Nareszcie!*

– Czy ciocia wie, kto to jest Zygmunt Salke? – Zuzanna zapytała pospiesznie, aby Klementynie nie przyszła do głowy następna historyjka, którą koniecznie musiałaby się podzielić.

– A dlaczego pytasz? – Starsza pani wydała się zaskoczona.

Zuza opowiedziała jej o dziwnym spotkaniu w Lubieńcu i swoich wątpliwościach związanych z ojcem. Na twarzy Klementyny malowało się zmieszanie. Nie patrząc na bratanicę, próbowała zmienić temat rozmowy, ale Zuza od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Ciociu, jeżeli coś wiesz, powiedz mi, proszę.

– Zuzanko, kochanie... – Klementyna zawiesiła głos – Chyba jednak powinnaś o tym porozmawiać ze swoją mamą.

Nastało milczenie. Przez otwarte okno słychać było tylko cichy szczebiot ptaków. Serce Zuzanny zaczęło mocniej bić.

*A jednak była jakaś tajemnica. Jakiś sekret.*

– Ciociu – odezwała się po chwili Zuza. – Moja mama jest bardzo przygnębiona i rozbita po pogrzebie Basi. – Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu. – Trudno mi jest teraz o cokolwiek ją pytać. Zwłaszcza kiedy tak naprawdę nie wiem o co. Czy może mi ciocia w końcu powiedzieć, kim jest ten Salke?

– Mówiłam mu, żeby tego nie robił – mruknęła pod nosem Klementyna, ale Zuza i tak to usłyszała.

– Ciociu! – podniosła głos.

– Wiedziałam, że wcześniej czy później...

– Ciociu! – krzyknęła.

Starsza pani przez kilka sekund wpatrywała się w okno, po czym zaczęła czegoś szukać w dolnej szafce kredensu. Nic nie mówiąc, wyjęła drewnianą rzeźbioną szkatułkę, postawiła ją przed sobą na stole i skupiła się na przeszukiwaniu jej zawartości.

– Tu jesteś. – Uśmiechnęła się do siebie. Przez chwilę przyglądała się pożółkłej fotografii, po czym podała ją Zuzannie.

– Rozpoznajesz tu kogoś? – zapytała po dłuższym milczeniu.

Zuza nie miała wątpliwości. Młoda kobieta, która trzymała na kolanach kilkumiesięcznego



bobasa, to była jej matka. Na pewno. Wszędzie poznałaby tę twarz i uśmiech. Była śliczna. Obok niej siedział nieznajomy mężczyzna. Zdjęcie było mocno sfatygowane. Wyglądało, jakby ktoś celowo zagiął je akurat w tym miejscu, gdzie dwoje młodych ludzi stykało się głowami.

– To chyba chrzciny. Czyje?

– A jak myślisz? – Klementyna spoglądała na zdziwioną buzię Zuzy. – Twoje.

– Ale podobno wtedy była taka śnieżycą, że nie udało im się dojechać do fotografa. Nie rozumiem... – Zuza nie przestawała przyglądać się zdjęciu. – Kim jest ten mężczyzna? – zapytała, choć nie wiedziała, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Ryszard Wołoszyc – spokojnie odparła ciotka.

– Kto? – Serce Zuzanny zabiło mocniej. – Powinnam go znać?

Ciotka Klementyna westchnęła głęboko, jakby zrzuciła z serca wielki ciężar.

– Powinnaś... ponieważ to jest twój... ojciec. Biologiczny ojciec.

### ROZDZIAŁ III

Pola i Ryszard poznali się, gdy mieli po dwadzieścia lat. Oboje byli wtedy studentami: ona zgłębiała prawo na uniwersytecie w Poznaniu, on – chłopak z małej wsi Uliszek pod Zambrowem – uczył się malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Poznali się w jednej z poznańskich galerii na wystawie czołowego malarza tamtego czasu, Jana Masza. Polę zaciągnęła tam jej przyjaciółka Maria, Ryszard natomiast był stałym bywalcem galerii. Mistrz Jan chętnie brał pod swoje skrzydła młodych, zdolnych ludzi, którym pomagał rozwijać talent i wrażliwość postrzegania świata i dopracowywać technikę malarską. Ryszard był zachwycony, że może szkolić się pod okiem tak znakomitego artysty, dlatego większość weekendów spędzał właśnie u niego w galerii.

– Czy nie zechciałaby pani mi pozować? – Pola usłyszała męski głos i spojrzała za siebie.

– Ja? – zapytała zdziwiona, wpatrując się w duże piwne oczy nieznajomego. – Dlaczego ja?

– Ponieważ przypomina mi pani Damę z łasiczką. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Tylko że jest pani od niej o niebo ładniejsza.

– O jakieś kilka wieków, panie Leonardo – Marysia zaraz dorzuciła swoje trzy grosze.

– Zaraz tam Leonardo. Tylko Rysiek – przedstawił się nieznajomy. – To jak będzie? Zgodzi się pani zostać moją modelką?

– Nie mam łasiczki – żartobliwie odpowiedziała Pola.

– Nic nie szkodzi. Coś wymyślimy. Koleżanka założy futerko – powiedział rozbawiony.

Dokładnie rok od spotkania w galerii miłość Poli i Ryszarda zaowocowała przyjściem na świat małej Zuzanki. Jednak młodzi zwlekali ze ślubem. Ich rodzice też zbyt nie naciskali, co w tamtych czasach było naprawdę rzadkością. Ojcu Poli nie przypadł do gustu wybranek córki. Uważał, że chłopak jeszcze nie dorósł do roli ojca.

– Młodość musi się wyszumieć, tak jak starość wypierdzieć – mawiał. – W dodatku co to za zawód, malarz? Czy z tego da się wyżywić rodzinę? Mówię ci, córko, ty się zastanów.

Nie podobało mu się również to, że Ryszard miał inne poglądy polityczne, przez co często dochodziło między nimi do kłótni. Stary Blichacz po prostu obawiał się, że taki zięć może zepsuć mu opinię.

Chociaż oburzało go to, co dzieje się w kraju, wołał biernie się temu przyglądać. W żaden sposób się jednak nie przeciwstawiał ani też nigdy nie krytykował władzy. Mając na utrzymaniu żonę i pięć córek, musiał myśleć przede wszystkim o rodzinie. Chciał jej zapewnić wygodne, dostatnie życie, spędzać wakacje w luksusowych hotelach w Bułgarii, jeździć na zagraniczne sympozja, przy okazji zwiedzając piękniejsze zakątki Europy. To wszystko było jeszcze łatwiejsze, gdy posiadało się czerwoną legitymację partyjną. Dziadek Zuzanny na wszelki wypadek taką posiadał.

Kiedy Zuzia miała trzy miesiące, obawy Antoniego Blichacza rozwiały się same. Kilka dni po chrzcinach dziecka Ryszard Wołoszyc niespodziewanie zniknął. Nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie jest. Na uczelni w Gdańsku nie udzielano żadnych informacji. Przyjaciel Ryszarda Zygmunt Salke, z pochodzenia Żyd, wyemigrował do Izraela, a mistrz Jan wyjechał do USA. Pola była zrozpaczona. Szukała w szpitalach, czytała nawet nekrologi. Nic. Nie mogła zapytać rodziny Ryszarda, ponieważ nie zdążyła poznać jego matki ani siostry. Wiedziała tylko, że mieszkają gdzieś pod Zambrowem, ale gdzie ich szukać?

– Mówiłem, że tak będzie – powtarzał ojciec Poli. – Ci młodzi już tacy są. Nic tylko przestraszył się odpowiedzialności i uciekł do Stanów razem z tym swoim Maszem.

– Daj jej spokój, stary! – broniła córki Eleonora. – Jeśli nie wiesz, jak jest naprawdę, lepiej się nie odzywaj.

Pola nie mogła powstrzymać łez.

– Nie płacz, córeńko – pocieszała ją matka. – To się musi jakoś wyjaśnić. Wróc na studia. Dobrze ci to zrobi. A my razem z Basią zajmujemy się Zuzanką, prawda? – zwróciła się do swojej najmłodszej pociechy.

Trzyletnia Basia z uśmiechem skinęła głową, podeszła do Poli trzymającej na rękach maleńką Zuzię, przytuliła się do niemowlęcia i pocałowała je w główkę.

– Moja kochana Zuzia – szepnęła dziewczynka.

Za namową matki Pola wróciła na uniwersytet. Pogodzenie nauki na studiach dziennych z wychowaniem dziecka nie było łatwe. Pomoc matki i małej Basi okazała się nie oceniona.

Kilka miesięcy później, w lipcowe sobotnie przedpołudnie, do Blichaczów przyjechała w odwiedziny daleka kuzynka Eleonory. Jej dziesięcioletni syn zabrał małą Zuzankę na spacer do ogrodu. Kiedy wrócił, w wózku dziecka leżało pełno pogniecionych wiśni. Chłopczyk pochwalił się, że wchodził na czubki drzew, aby zerwać najbardziej dojrzałe owoce.

– Wie ciocia, jak ona się cieszyła? – opowiadał uradowany. – Zjadła tyle, że pewnie teraz nie będzie chciała jeść obiadu.

Niestety żołądek siedmiomiesięcznego dziecka nie był w stanie podołać takiej ilości wiśni, pestek i ogonków. Lekarz z Lubieńca zdiagnozował ciężkie zatrucie i skierował małą do szpitala w Poznaniu. Stamtąd Zuzię przewieziono do Bydgoszczy, gdzie spędziła kilka miesięcy. Aby być bliżej dziecka, Pola na ten czas przeprowadziła się do ciotki, która mieszkała kilka przecznic od szpitala.

Zuzia była dla Poli całym światem. Codziennie dziękowała Bogu, że ją ma i modliła się, aby pozwolił małej cieszyć się życiem i zdrowiem. Bóg ją wysłuchał.

– Pani dziecko miało niesamowite szczęście – powiedział Poli pediatra. – Śmiało można mówić o cudzie. Myślę, że niedługo będzie pani mogła zabrać ją do domu.

Szczęśliwa dziewczyna rzuciła się lekarzowi na szyję i uściskała go z całej siły. Potem wybiegła ze szpitala, potrącając w drzwiach pielęgniarkę. Swoją radością chciała się jak najszybciej podzielić z całym światem, więc pobiegła na pocztę, aby zadzwonić do mamy. Nawet długa kolejka do telefonu nie była w stanie popsuć jej humoru.

Po rozmowie z matką Pola pełna nadziei wracała do domu ciotki. Październikowy dzień był słoneczny i ciepły. Postanowiła więc przespacerować się po parku. Drzewa układały bajeczny dywan z kolorowych liści, uliczny gwar zastąpił szczebiot dzieciaków zbierających kasztany, ludzie uśmiechali się do siebie. Tego dnia wszystko wydawało się piękniejsze. Bo Zuzia wracała do zdrowia.

Pola przystanęła na małym mostku i oparta o drewnianą balustradę przez chwilę wpatrywała się w płynący pod nim strumień. Zajęta chorobą córeczki, Pola przestała roztrząsać zniknięcie Ryszarda. Teraz przywołała go w pamięci. Co się stało, że ją zostawił? Czy rzeczywiście, tak jak twierdził ojciec, przestraszył się odpowiedzialności i uciekł do Stanów razem z Maszem? Ale dlaczego? Przecież kochał Polę i swoją córkę. Tak mówił.

Przez ostatnie miesiące dziewczyna nauczyła się już tak za nim nie tęsknić. Jej serce było teraz wypełnione inną miłością.

Spoglądając w dół na swoje odbicie, bezwiednie zaczęła wymachiwać w powietrzu nogą. Nagle but zsunął się z jej stopy i spadł do wody. Obejrzała się, chcąc sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Niedaleko na ławce siedział młody blondyn pogrążony w lekturze. Pola zeszła z mostka i znalezionym kijem próbowała dosięgnąć pantofla. Brakowało kilka centymetrów, więc musiała mocniej wyciągnąć rękę. Jej ciało wygięło się nienaturalnie, co poskutkowało tym, że z pluskiem wpadła do wody, zbijając sobie pośladki o twardy kamień. W tym miejscu woda sięgała kostek. Pola szybko się podniosła, odruchowo rozmasowała obolałe miejsce i odgarnęła grzywkę z czoła. Dopiero teraz spostrzegła, że jej spodnie i bluzka są nie tylko mokre, ale też całkiem zabłocone. Pewnie czoło również. Roześmiała się cicho.

Kiedy próbowała wydostać się ze strumyka po śliskich kamieniach, zauważyła, że nie tylko ją rozbawił ten wypadek. Blondyn z książką trzymał się za brzuch i rechotał.

– Mógłbyś przynajmniej pomóc! – krzyknęła do niego Pola.

Chłopak podszedł i chwycił ją za rękę. Nie spodziewał się jednak, że dziewczyna wciągnie go do wody.

– To za to, że było ci tak wesoło! – parsknęła.

– Ty niewdzięcznico! – zawołał rozbawiony. – Już ja ci pokażę.

Zaczęli nawzajem ochlapywać się i rzucać w siebie błotem. Mieli przy tym niezły ubaw. Zabawa zapewne trwałaby dłużej, gdyby nie październikowy chłód.

– Zgoda? – Pierwszy wyciągnął rękę. – Grzesiek.

– Niech ci będzie, ale to ja wygrałam – odpowiedziały jej sine usta. – Pola.

Na szczęście siostra ojca mieszkała niedaleko. Dziewczyna zaprowadziła do niej swojego nowego znajomego. Ciotka dała Grześkowi suche ubranie swojego męża i poczęstowała gorącą czekoladą. Po kilku dniach chłopak zwrócił czystą koszulę i spodnie z podziękowaniem i kwiatami dla obu pań. Ciocia od razu go polubiła i zaraz zaprosiła na herbatę. Bardzo dobrze im się rozmawiało.

– Chętnie pogadałabym dłużej, ale spieszę się do Zuzi. – Pola podniosła się z kanapy, wlewając w siebie ostatni łyk z filiżanki. – Za pół godziny zaczynają się odwiedziny w szpitalu.

Chłopak zaproponował, że ją odprowadzi. Po drodze Pola opowiedziała mu o chorobie córki.

– Mogę wejść z tobą na górę? – zapytał, gdy stali przed drzwiami do izby przyjęć. – Nigdy nie byłem w szpitalu.

– To powinieneś się cieszyć. – Uśmiechnęła się. – Ale jak bardzo chcesz, to chodź.

Odwiedziny odbywały się w poczekalni, więc Pola musiała poczekać, aż ktoś przyniesie jej dziecko.

– Przed chwilą się obudziła i trochę marudzi – powiedziała pielęgniarka trzymająca na rękach Zuzankę.

Mała cicho pochlipywała.

– Nie płacz. – Pielęgniarka pogładziła ją po główce. – Zobacz, przyszła mamusia.

– Moje kochane maleństwo – rozczuliła się Pola, wyciągając ręce do córki.

Zaspana Zuzia nawet nie spojrzała na matkę. Mocniej wtuliła się w fartuch trzymającej ją kobiety i rozplakała się na dobre. Pola była zdziwiona.

– Nie chcesz do mamy? – Pielęgniarka była bezradna. – No to może do tatusia? – Niewiele myśląc, odwróciła dziecko w kierunku Grzegorza.

Zuzia o dziwo przestała płakać, zaciekawiona spojrzała na nieznanego mężczyznę i, jakby wszystkim na przekór, wyciągnęła do niego rękę. Polę zamurowało. Grzesiek pochwycił dziewczynkę i z uśmiechem na twarzy zaczął z nią paradować po korytarzu.

– Daj mi ją, bo jeszcze zrobisz jej krzywdę! – zawołała Pola z nutą zazdrości w głosie. – Masz chociaż pojęcie, jak się trzyma takie małe dziecko?

– Przecież sama widziałas, że chciała do tatusia.

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Grzegorz Kostecki zakochał się najpierw w Zuzi,

a później w jej mamie.

Niedługo potem wzięli ślub i przeprowadzili się do Krakowa, a Zuzia oficjalnie została jego córką, co nie było trudne, ponieważ do tej pory nosiła nazwisko matki.

– Poznałam Zygmunta Salkego niecałe dwa tygodnie temu na poczcie – wyjaśniła Klementyna. – To bardzo uczynny człowiek. Nie wzięłam okularów, a on zaproponował, że pomoże mi wypełnić druczek wpłaty. Kiedy dzięki temu dowiedział się, że mam na nazwisko Blichacz, zapytał, czy mam rodzinę w Lubieńcu. Miło się rozmawiało, więc zaprosiłam go do siebie na herbatę różaną.

## ROZDZIAŁ IV

– Halo? – Zuzanna usłyszała w słuchawce spokojny męski głos.

Przez chwilę się zawahała. Bo czy to dobry pomysł dzwonić do kogoś niemalże przed północą?

*Dobry czy nie, nie będę czekać do rana – pomyślała. – Nie wytrzymam tyle.*

– Dobry wieczór, mówi Zuzanna Kostecka, córka Poli Blichacz – odezwała się po chwili. – Czy rozmawiam z panem...

– Witam, pani Zuzanno. Zygmunt Salke. W czym mogę pomóc?

– Poznaliśmy się w Lubieńcu na pogrzebie...

– Pamiętam panią.

– Dostałam numer pańskiego telefonu od cioci Klementyny z Wyszkowa – starała się wytłumaczyć. – Mam nadzieję, że nie jest pan na nią zły...

– Ależ skąd – odpowiedział spokojnie.

– Przepraszam, że niepokoję o tej porze, ale... – zawahała się. – Muszę się z panem spotkać. Koniecznie. O siódmej rano mam pociąg. Może być o jedenastej w kawiarni Galeria? To dla mnie ważne.

Milczał.

– Halo? – odezwała się niepewnie. – Jest pan tam jeszcze?

– Jestem – westchnął. – Skoro to takie ważne, zapraszam panią jutro na obiad. O trzynastej w Syrence?

– Syrenka? – zadziwiła się. – Dość niespotykana jak na Poznań nazwa lokalu. Oczywiście będę. Proszę mi tylko podać adres.

– Miałem na myśli Syrenkę w Warszawie. – Usłyszała rozbawienie w jego głosie. – Na Starym Mieście. Odpowiada pani?

– Oczywiście – odpowiedziała pospiesznie. – Ale...

– Od kilku dni jestem w Warszawie.

Musiała do niego zadzwonić. Teraz! Natychmiast! Po prostu musiała. To, co opowiedziała ciotka Klementyna, nie pozwalało jej zasnąć. Jak to możliwe, że przez tyle lat Zuzanna nic nie wiedziała? Jak to możliwe, że przez tyle lat coś takiego dało się utrzymać w tajemnicy? Nikt się nie wygadał. Żadnych oznak.

*Chociaż...?* – pomyślała. – *Nie. Byliśmy wtedy dziećmi.*

Pewnego dnia, gdy były na wakacjach w Lubieńcu, matka kazała jej opiekować się sześciolatkiem Stasiem. Zuza miała wtedy dziesięć lat. Rozbrykanemu chłopcu nie w smak była zabawa lalkami, w dom czy rysowanie i gdy tylko spuszczała go z oczu, wymykał się na ulicę przez dziurę w płocie. Postanowiła więc, że nauczy go jeździć na rowerze. Wyciągnęła z szopy stary rowerek Pinio, kazała Stasiowi na niego wsiąść i sama trzymając za kierownicę, prowadziła go po podwórku i tłumaczyła, do czego służą pedały, hamulec i dzwonek. Początkowo chłopakowi to się podobało, zwłaszcza dzwonek, ale kompletnie nie mógł zrozumieć, jak może jeździć coś, co ma tylko dwa kółka. Zuzanna była mocno zdziwiona, już od bardzo dawna dawała sobie radę sama. Dlatego wsiadła na rower, chcąc udowodnić, że jednak można.

– Widzisz? To wcale nie jest trudne – mówiła, jeżdżąc wokół Stasia. – Naciskasz na pedały, trzymasz kierownicę i już.

– Daj, teraz ja – zapalił się chłopiec.

– Poczekaj. Jeszcze trochę. Tylko do tamtego drzewa i z powrotem, dobra?

Nie czekała na odpowiedź. Popędziła przed siebie i tuż przed wysoką sosną ostro nacisnęła na hamulec tak, że na ziemi pojawił się efektowny ślad. Potem kręciła ósemki, jeździła bez trzymanki i zdejmowała nogi z pedałów, gdy wjeżdżała w głębokie kałuże. A Stasię się dał.

– Daj! Teraz ja! Teraz ja!

Zuzia zatrzymała się, dopiero gdy na podwórko wkroczyła sąsiadka z domu obok, zaniepokojona donośnym wrzaskiem.

– Ziużka! – Staś mówił przez łyżę. – Ja się ciebie zapytuję... – Jego głos najpierw był spokojny, ale potem ryknął na całe gardło: – Zostaw ten rower!

– Kto cię nauczył tak gadać? Masz, bekso! – Zuza rzuciła mu rower pod nogi. – Już mi się odechciało. Sam się ucz.

– A ty jesteś z domu dziecka! – krzyknął na nią niespodziewanie i z płaczem pobiegł do domu.

Zuza również się rozplakała, pognęła za nim i już od progu pytała, czy to, co powiedział, jest prawdą. Obie matki przytuliły swoje dzieci, chociaż wcześniej Stasię oberwał ścierą przez łeb, a potem tłumaczyły, że trzeba się grzecznie bawić i nie wygadywać bredni. Później Zuzanna nie poruszała więcej tego tematu.

Czy sześciolatek sam to sobie wymyślił, czy może źle podsłuchał rozmowę dorosłych? Kto to teraz wie? Zapewne wszyscy wiedzieli, tylko nie Zuza. A Basia? Czy gdyby miała o tym pojęcie, powiedziałaaby jej? Czy zabrała tajemnicę do grobu? I jak to możliwe, że ona, Zuzanna

Kostecka, oczko w głowie swojego tatusia, jego skowronek, ptaszynka, słoneczko, największy skarb, jak miał zwyczaj mawiać, nie była jego córką? Nie miała w sobie genów Grzegorza Kosteckiego, tylko jakiegoś tam Ryśka – malarza. Właśnie. Malarza. Nagle wszystko stało się jasne.

Zuza poczuła głęboki żal do rodziców.

*Tchórze! – pomyślała – nie odważyli się mi powiedzieć. Bo co? Ucieknę z domu? Bo przestanę ich kochać? Bo będę szukać tamtej rodziny? A jeśli nawet, to co? Czy byłoby w tym coś złego?*

Miała ochotę najpierw zadzwonić do nich do Krakowa i wylać wszystkie swoje pretensje, ale zrezygnowała. Postanowiła, że najpierw dowie się czegoś więcej na własną rękę.

Za oknem już świtało. Jaskrawe cyfry zegara na nocnej lampce pokazywały godzinę czwartą trzydzieści. Przez uchylony lufcik napływał do sypialni poranny zapach świeżości i ciche odgłosy budzących się ptaków. Zuzanna leżała na łóżku z dwiema poduszkami pod głową i wpatrywała się w wiszący na ścianie obraz. Jeden z wielu, które namalowała. Zieleń podkreślała głębię innych barw. Widniał na nim chłopiec bawiący się z psem w ogrodzie pełnym hiacyntów, żonkili i kolorowych tulipanów. Równo przyszyty fragmenty żywo płotu odcinały się na błękitnie nieba, gdzie rozpościerał się szeroki łuk tęczy. Wyżej w tle widoczna była biała altanka i siedząca na ławce para. Nie widać ich twarzy, tylko zarys postaci. Łukasz mówił, że to mama i tata.

Patrząc na ten obraz, Zuza uświadomiła sobie, że miłość do malowania nie była miłością przypadkową. Znikąd. To była miłość, która została jej przekazana w genach. Niezniszczalna.

– Bierzesz rower czy idziemy na piechotę? – zapytała synka, gdy szykując się do wyjścia, zapinała mu kurtkę pod szyją.

– Na piechotę – odpowiedział malec po krótkim namyśle.

– Na pewno? Zawsze bierzesz rower do przedszkola. – Zuzanna była zdziwiona.

– Na piechotę! Na piechotę! – krzyczał uradowany chłopiec. – Scooby, słysys? Idziemy na piechotę!

– Scooby zostaje w domu. – Próbowała uciszyć synka i włożyć mu czapkę, która co chwila lądowała na podłodze.

– Łukasz – powiedziała zdecydowanym głosem. – Rano jest zimno. Dzieci muszą nosić czapki. Chcesz zachorować i pojechać do szpitala? Chodź szybciej, bo mama spóźni się do pracy.

– Na piechotę! Na piechotę! – Nie chciał się uspokoić.

Przejście czterystu metrów trwało całą wieczność. Byłoby lepiej, gdyby jednak wzięli rower. Łukasz nie dał się trzymać za rękę, zaglądał do każdego ogródka i z każdym napotkanym sąsiadem musiał zamienić chociaż słowo.

– Dzień dobry! – witał się grzecznie i od razu się chwalił: – Idę na piechotę, wiesz?

Gdy byli w połowie drogi, chłopiec nagle przystanął, rozejrzał się i rozłożył szeroko ręce w wielkim dziecięcym zdziwieniu.

– Mamo! No, ale gdzie jest ta piechota?

Zuzanna jak zwykle nie miała gdzie zaparkować. Cały budynek Warsaw Banku był dookoła zastawiony samochodami. Kiedy miała już zrezygnować i poszukać szczęścia gdzieś dalej, zauważyła, że zwalnia się miejsce. Jakiś staruszek odjeżdżał maluchem.

*No to mi się fartnęło.*

Co prawda jej samochód był trochę dłuższy, ale na szerokość miejsca było w sam raz. Zresztą, miała wpaść do pracy tylko na chwilę po jakieś papiery, które trzeba było zawieźć do centrali.

*Parę minut i zaraz wracam* – pomyślała.

– Wczoraj analityk cofnął wszystkie twoje wnioski – oświadczyła jej na dzień dobry rozłoszczona Arleta. – Co się z tobą dzieje? Zobacz, jak to jest wypełnione! – krzyżąc, rzuciła Zuzannie na biurko dużą szarą kopertę. – Mały powiedział, że jak tak dalej pójdzie, to wylecisz.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Arleta. – Zuza podniosła na kierowniczkę chmurny wzrok, gdy tylko rzuciła okiem na dokumenty. – Czego ci tu brakuje?

– Kwoty, kochana! – niemal krzyknęła. – Gdzie są kwoty?

– Droga pani kierowniczo – w głosie Zuzanny słychać było ironię. – Skoro jest zaznaczone „max”, to znaczy, że klient wnioskuję o maksymalną kwotę limitu, jaką bank może mu przyznać, czyż nie?

– Jemu chodzi o to. – Arleta pokazała palcem pustą kratkę na wniosku. – Analityk powiedział, że to nie przejdzie.

Zuza ponownie spojrzała na dokumenty i ciężko westchnęła.

– I o to tyle hałasu? Podniosłaś takie larum, jakbym co najmniej dopuściła się malwersacji. Zawsze tak robię, a Piekarski sam sobie tu wpisuje liczby, jakie mu wychodzą z wyliczeń.

– Więc tak nie rób – Arleta nieco obniżyła ton. – Wniosek jest podpisany przez klienta i tylko klient może tu coś dopisywać.

Zuzanna popatrzyła na nią z politowaniem, ale się nie odezwała.

– A Piekarski przeszedł na Bracką – ciągnęła kierowniczką – i skończyły się układziki. – Zaśmiała się szyderczo. – Więc teraz ma być tak, jak mówię.

*Co ty tak ciągle z tym „więc”?*

– Więc pamiętaj, żeby mi to było ostatni raz! – dodała tryumfalnie, odwróciła się na pięcie i odeszła.

*Żeby mi to było ostatni raz, sra ta ta ta* – Zuza przedrzeźniała ją w myślach. – *Przecież to*



*kompletnie bez sensu.*

– Jak tam sobie chcesz! – krzyknęła do Arlety, która była już na korytarzu.

*Zdzira!*

– Zuza, mogę cię na chwilę prosić do siebie? – W drzwiach stanął Mały, z metra cięty dyrektor, który na stojąco mógł wejść Zuzannie pod pachę. Nie lubiła go, choć nigdy nic jej nie zrobił.

– Oho! – powiedziała do siebie po cichu. – Zaczęło się.

Gabinet Małego nie był duży. Wyglądał trochę ascetycznie, ale wyczuwało się w nim zimną elegancję. Po lewej stronie pod oknem stało proste drewniane biurko w mahoniowym kolorze, na nim druczona kuweta na dokumenty, trochę przyborników, otwarty laptop i stylowa lampka. Za nim stał skórzany dyrektorski fotel z chromowanymi oparciami. Na ścianie w równym rzędzie powieszono kilka dyplomów oprawionych w drewniane ramki, a w oknie imitujące mahoń, szerokie żaluzje. Podłoga również miała lekko czerwony odcień. Po lewej stronie stały dwie proste skórzane kanapy w kolorze bananowym i mały stolik w tym samym stylu co biurko. Żadnych kwiatów, nawet marnej paprotki.

– Usiądź! Chciałbym z tobą porozmawiać. – Dyrektor wskazał jej miejsce przy małym stoliku, sam usiadł na drugiej kanapie. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. – Zuza czuła się trochę nieswojo. – Andrzej, ja...

*Właściwie z czego mam się tłumaczyć? Nie zrobiłam nic złego, nawet jeśli Arleta jest innego zdania.*

Chrząknęła.

– O czym chciałeś rozmawiać?

– Jak ci się tu pracuje? – zapytał, skupiając na niej swój przenikliwy wzrok. Trudno było wywnioskować, o czym teraz myśli i jakiej spodziewa się odpowiedzi.

– Panie dyrektorze! – Nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła długonoga sekretarka w jaskrawo fioletowej bluzce, minispódnicy i dwunastocentymetrowych szpilkach. – Telefon z centrali.

– Pani Żanetko! – Mały zmierzył dziewczynę wzrokiem i dyskretnie przełknął ślinę. – Proszę powiedzieć, że oddzwonię.

*Pani Żanetko? Hm... – pomyślała Zuzanna. – O mało się nie zaślinił na jej widok.*

– Ale, panie dyrektorze – Żaneta ściszyła głos – to prezes. Chyba jest zdenerwowany. Powiedział, że mam pana wyciągnąć nawet z... – urwała i spojrzała na Zuzę.

– Nawet skąd? – zapytał. – Proszę się nie krępować.

– Nawet z kibla – odpowiedziała pośpiesznie. – Ale to prezes tak powiedział – dodała zawstydzona. – Połączyć?

– Skoro nawet z kibla? – Na twarzy dyrektora pojawił się uśmiech. – Przepraszam cię na chwilę, Zuza.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Andrzej Małecki. Witam, panie prezesie.

Zuzanna wstała z kanapy, gestem dała Małemu do zrozumienia, że poczeka za drzwiami i wyszła z gabinetu.

W sekretariacie panowało dziwne poruszenie. Z reguły Żanetka gapiała się bezmyślnie w monitor komputera i piłowała szponiaste tipsy, a siedząca naprzeciwko pani Gienia, kobieta po sześćdziesiątce, popijała swoją ulubioną herbatę z hibiskusa i ziewała. Miała przysposobić do pracy młodą sekretarkę, ponieważ niebawem przechodziła na emeryturę.

Teraz obie były mocno zajęte. Żaneta głośno pukała tipsami o klawiaturę, a starsza pani gorączkowo przeglądała bankowe segregatory.

– Coś się stało? – zapytała Zuzanna.

– Daj spokój! – odpowiedziała Żaneta. – Prezes jest na coś porządnie wściekły. Myślałam, że mnie zabije przez telefon, jak mu powiedziałam, że pan dyrektor teraz nie może rozmawiać. A nam kazał...

– Żaneta! – przerwała jej Gienia. – Przecież Zuzanna nie jest tym zainteresowana.

*Jasne, że jestem i chętnie się dowiem.*

W tym momencie Andrzej Małecki wyszedł ze swojego gabinetu. Pod uśmiechem próbował ukryć zdenerwowanie.

– O, Zuza! – Jakby zapomniał, że na niego czekała. – Przepraszam cię. Mam coś pilnego. Porozmawiamy innym razem, dobrze? Jeszcze raz przepraszam.

*Gdzie on się tak nauczył przepraszać? – zapytała się w myślach. – Wcale się nie gniewam. Przynajmniej na jakiś czas mi się upiekło.*

– Coś krótka ta reprimenda. – Nie wiadomo skąd wyłonił się przy niej Marek. – Jak było?

– Nic nie było, bo Małego wezwał prezes. Chyba szykuje się afera.

– E! – Marek wzruszył ramionami. – Oni tam na górze ciągle mają jakieś afery. Nie przejmuj się. Schodzę do McDonalda, chcesz McChickena z rybą?

Oboje się uśmiechnęli.

– Nie, dzięki! Jestem już umówiona na obiad. Ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś sprawdził, czy nie zwolniło się gdzieś miejsce na parkingu. Muszę jeszcze coś zrobić z tymi wnioskami – wskazała na plik dokumentów – a nie chciałabym, żeby mnie odholowali.

– Może jak znajdę wolne miejsce, to ci od razu przestawię samochód?

– Okej! – Wyciągnęła z torebki kluczyki. – Tylko wiesz – spojrzała na niego znacząco. – Bez

szaleństw.

– Spoko. – Uśmiechnął się. – Zrobię tylko trzy rundki wokół budynku i zaraz wracam.

*Cały Mareczek!* – Zuzanna pokiwała głową.

Pocieszny, kochany grubasek, który nie mógł żyć bez swojej pracy i kanapek z McDonalda.

– I co ja mam z wami zrobić, kochane wnioseczki?

Usiadła na krześle i przysunęła się bliżej biurka. Zegar na ścianie wskazywał jedenastą trzydzieści. Do spotkania z Zygmuntem Salkem było jeszcze trochę czasu, ale na dojazd musiała sobie zarezerwować całą godzinę. Nie mogła się już doczekać i jednocześnie była pełna obaw. Chciała tej rozmowy, ale do czego ją to doprowadzi? Do korzeni? Do prawdy? Nagle poczuła wyrzuty sumienia.

*Może trzeba było porozmawiać najpierw z mamą?* – zastanowiła się. – *A czy matka ze mną o tym rozmawiała? Przez dwadzieścia osiem lat. Nie!*

Wyciągnęła z szuflady bloczek kartek samoprzylepnych i do wszystkich jedenastu wniosków dołączyła informację:

„Klient wnioskuje o kwotę maksymalną. Zuza Kostecka”.

Nic innego nie przyszło jej do głowy. Zaklejoną kopertę zaniósła na recepcję, gdzie kurier właśnie odbierał przesyłki.

Nagle do jej uszu dobiegł warkot silnika samochodowego. Wyjrzała przez okno, a za nią kilku zaciekawionych gapiów. Czwarte piętro, ale widok jak na dłoni. Nie mogła uwierzyć. Z prędkością, jakiej nie powstydziliby się chyba nawet kierowca Formuły 1, jej własny samochód okręzał właśnie budynek banku. Jedno kółko. Drugie. Przechodnie stawali na ulicy zaciekawieni niecodziennym widowiskiem. W powietrzu zawisła gęsta chmura spalin.

– Ja go zabiję! – warknęła pod nosem Zuza. – Niech go tylko dorwę!

– Zużka! – wykrzyknął za nią kolega. – Czemu nie chwaliłaś się, że masz taki bolid? Pojeździłoby się, nie chłopaki?

– No chyba! – odezwał się inny. – Mareczek to ma szczęście.

– Wy chyba zwariowaliście! – Zuza była oburzona. – A pomyślał który, że mogło się coś stać? Przecież tam chodzą ludzie, dzieci – popukała się w czoło. – Dorośli faceci, a zachowują się jak mali chłopcy. Wsadzić was do piaskownicy i dać resoraka do zabawy.

Po kilku minutach rozległ się sygnał windy, z której wysiadł uśmiechnięty i dumny z siebie Marek.

– Kompletnie ci odbiło? – wydarła się na niego Zuzanna.

– Mówiłem, że zrobię tylko trzy okrążenia – odpowiedział wesoło.

– Dzieciak! Myślałam, że nie mówisz serio. – Podeszła do Marka i wyrwała mu z ręki kluczyki.

– To ja przyjmuję na klatę wszystkie obelgi, które nie powinny być skierowane pod moim adresem, a tu taka wdzięczność? – zapytał.

– Jakie obelgi? – zdziwiła się Zuzanna. – O czym ty mówisz?

– A o tym, droga koleżanko – głos Marka już nie był taki wesóły jak przed chwilą – że uratowałem twój samochód przed holowaniem. Jeszcze pół minuty i mógłbym mu tylko pomachać: pa, pa.

Zuza otworzyła szeroko oczy, aż jej brwi schowały się pod grzywkę.

– Tak zatarasowałaś przejazd – mówił dalej – że gość już dzwonił na policję, ale go powstrzymałem.

– Dzięki – odezwała się cicho Zuza, czując, że się rumieni.

– Tylko że wcześniej powiesił na mnie wszystkie psy z okolicy i obrzucił takim mięchem, że lepiej nie powtarzać. „Jakżeś stanął, ty bucu z Krakowa?!”. To było najłagodniejsze. No i wiesz – uśmiechnął się. – Musiałem jakoś odreagować, co nie?

## ROZDZIAŁ V

Nietrudno było znaleźć restaurację Syrenka. Gorzej tylko z zaparkowaniem. Nauczona doświadczeniem sprzed godziny, wołała nie ryzykować, bo tym razem Marek by jej nie wyratował.

*I jak tu nie kochać tego chłopaka?* – Uśmiechnęła się do siebie.

Weszła do środka i rozejrzała się. Nigdy wcześniej tu nie była. Przytulne wnętrze urządzone w staroświeckim stylu, z rzeźbionymi ciemnymi meblami, butelkowozieloną tapicerką na krzesłach i ciężkimi drapowanymi zasłonami, z których zwisały złote frędzle i sznury. Na ścianach wisiały portrety dawnych władców polskich w złotych ramach, a między nimi bogate poroża jeleni. Nisko nad każdym stolikiem zwisała lampka z abażurem uszytym z tego samego materiału co zasłony.

Zygmunt Salke siedział przy stoliku koło okna. Kiedy ujrzał Zuzannę, wstał i lekko się uklonił. Podeszła do niego.

– Dzień dobry – powiedziała, podając mu rękę. – Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

W okamgnieniu pojawił się przy nich kelner w długiej do ziemi ciemnozielonej zapasce i podał karty.

– Jaka jest dzisiaj specjalność szefa kuchni? – zapytał Salke.

– Mistrzostwo świata, proszę pana – uśmiechnął się młody kelner. – Roladki cielęce faszerowane serem, cebulką i korniszonem, zawijane i opiekane w cienkich plastrach boczku, polane wyśmienitym sosem z białego wina. Do tego proponuję ziemniaki z pieca, borowiki z patelni i kruchą sałatę skropioną cytryną.

Zuza poczuła, jak ślina napływa jej do ust, a żołądek domaga się jedzenia.

– To ja poproszę tę specjalność – powiedziała do kelnera. – I dużą herbatę.

– Dla mnie to samo – zawtórował pan Zygmunt. – Dziękuję.

– Przepraszam, że wczoraj zadzwoniłam do pana tak późno – zaczęła Zuzanna, gdy kelner odszedł. – Po tym, co opowiedziała mi ciotka Klementyna, nie mogłam zasnąć. Czyba pan rozumie?

– To oczywiste. – Salke skinął głową.

– Pomyślałam, że mieszka pan w Poznaniu. Pewnie dlatego, że moja mama pochodzi z tamtych stron i tam pierwszy raz się spotkaliśmy.

Salke odwzajemnił uśmiech.

– Wie pani, jaką dostałem reprimendę od Klementyny za to, że wtedy w Lubieńcu do pani podszedłem? – Uśmiechnął się. – A ja chciałem tylko panią zobaczyć. Zobaczyć córkę mojego dawnego przyjaciela. Nie miałem zamiaru pani niepokoić, ale emocje wzięły górę. Przepraszam. Nie przypuszczałem, że nic pani nie wie o Ryśku.

– Panie Zygmunco, wie pan, gdzie on teraz jest? – zapytała. – Chciałabym się z nim spotkać. Poznać go. Czy myśli pan, że on się zgodzi?

– Hm... – Salke zamyślił się. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Ostatni raz widziałem się z nim jakieś dziesięć lat temu.

– Ale żyje? – zaniepokoiła się Zuza.

– Mam taką nadzieję.

W tym momencie kelner przyniósł zamówienie. Smakowity zapach smażonych borowików wypełnił nozdrza Zuzanny.

– Ciekawe, czy tak samo dobrze smakuje, jak ładnie wygląda. – Salke zmienił temat. – Smacznego!

Zuza położyła serwetkę na kolanach i wzięła do ręki sztucę.

– Czyli nie wie pan, gdzie on jest?

– Pani Zuzanno... – Mężczyzna zawiesił głos. – Rysiek to naprawdę porządny facet. Takiego go znałem. Trochę zwariowany, ale porządny. I bardzo was kochał. Panią i pani matkę.

– To dlaczego nas zostawił?

Salke przez chwilę milczał, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Mam nadzieję, że to pozwoli w pewnym stopniu odpowiedzieć na pani pytania. – Wyjął dwie stare poźółtkie koperty i zaczął je obracać w palcach. Przez chwilę milczał. – Wie pani... przyjaźniłem się z Ryśkiem prawie od urodzenia. Byliśmy z jednej wsi, razem dorastaliśmy, chodziliśmy do tej samej szkoły, nawet wybraliśmy tę samą uczelnię w Gdańsku. On malował,

ja zostałem rzeźbiarzem. Czasami przyjeżdżałem z nim do Poznania, więc siłą rzeczy musiałem poznać Polę. Rysiek świata poza nią nie widział. Poza panią również.

Zuzanna słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

– Niech pani je, bo wystygnie. – Wskazał na jej prawie nietknięty talerz.

– Jasne. – Uśmiechnęła się i zabrała się znów do jedzenia. – Proszę mówić dalej.

– Zapewne pani wie, że w tamtych czasach my, Żydzi nie mieliśmy łatwego życia w Polsce. Nawet na uczelni czuło się uprzedzenia. W końcu moja matka powiedziała: dość! Odnalazła adres swojej kuzynki, która mieszkała w Izraelu, napisała do niej, a potem spakowaliśmy się i wyjechaliśmy z kraju. Tutaj nie było dla nas miejsca. W Izraelu mieszkałem przez wiele lat. Dopiero miesiąc temu wróciłem do Polski na stałe. Z Ryśkiem miałem tylko kontakt listowy, jeśli w ogóle można to tak nazwać, bo dostałem od niego raptem dwa listy: jeden zaraz na początku, a drugi dopiero po dwunastu latach. Oto one – podał Zuzannie obie koperty. – Znalazłem je w starych dokumentach, gdy pakowałem walizki.

Kiedy Zuza wzięła od Zygmunta listy, serce zabiło jej mocniej. Najpierw wyjęła starą fotografię podobną do tej, jaką oglądała u ciotki Klementyny, tylko trochę większą. Uśmiechnięta Pola trzymała na rękach małego bobasa, a obok stał on, Ryszard Wołoszyc. Tym razem przyjrzała się mu uważniej. Wysoki, postawny mężczyzna o ciemnych włosach zaczesanych na bok, z charakterystycznymi długimi bokobrodami. Jego oczy rzeczywiście wydały się znajome.

Otworzyła list i spojrzała na Zygmunta.

– Jest pan pewien, że powinnam przeczytać? – zapytała z grzeczności, bo w głębi serca miała na to wielką ochotę.

– Jeśli chce się pani dowiedzieć więcej? Tak.

*Mój Przyjacielu!*

*Mam nadzieję, że jesteś równie szczęśliwy, jak ja. Pola i Zuzia są całym moim światem. Nie wyobrażam sobie życia bez nich. W końcu odważyłem się poprosić Polę o rękę, a ona się zgodziła. Mam nadzieję, że ojciec nie będzie jej buntował przeciwko mnie. Ona mi tego nie mówi, ale ja wiem, że tak jest. Nic nie poradzę, że stary Blichacz chciałby innego męża dla swojej córki. Ale przecież serce nie sługa, prawda? W końcu mamy dziecko. Zuzia co prawda nie nosi mojego nazwiska, bo mój przyszły teść sam zapisał ją w urzędzie, ale po ślubie nie będzie miał nic do gadania. Tylko jeszcze nie ustaliliśmy daty.*

*Zuzia jest słodka. Kiedy ją biorę na ręce, tak słicznie się uśmiecha, że serce rośnie. Czasami wydaje mi się, że mówi do mnie „tata”, a przecież to tylko niemowlęce gaworzenie. Pola twierdzi, że mała urodziła się w czepku. Podobno to rzadkość. Ale bez tego wiem, że moja córka będzie szczęśliwa, a ja dołożę wszelkich starań, aby tak było. Już teraz jest wyjątkowa. Przecież jest moją córką, prawda?*

Zuzanna poczuła, jak wzruszenie ściska ją za gardło, a do oczu napływają łzy. Nie mogła dalej czytać. Nie teraz. Podniosła wzrok na Zygmunta.

– Co się z nim dalej działo? – zapytała. – Ożenił się? Ma dzieci? Czy jest szczęśliwy?

– Nie chciałbym teraz o tym opowiadać. Więcej dowie się pani z tych listów. – Salke przetarł usta serwetką i położył ją na stoliku. – Proszę to sobie spokojnie przeczytać.

Przywołał kelnera, aby uregulować rachunek.

– Na mnie już czas. – Spojrzał na zegarek. – Cieszę się z tego spotkania. Jeśli będę mógł jeszcze w czymś pani pomóc, proszę się nie krępować i dzwonić. Przez jakiś czas jeszcze będę w Warszawie. Chętnie znów zjem obiad w pani towarzystwie. Życzę wszystkiego dobrego. Do widzenia.

Wróciła do pracy, położyła listy na biurku i długo im się przyglądała. Przeczytać je teraz? Miała na to wielką ochotę. Zawahała się jednak, zdając sobie sprawę, ile mogą wywołać emocji. Co prawda siedziała w swoim przytulnym boksie, ale w każdej chwili mógł do niej ktoś podejść. Nie chciała nikomu pokazywać swojego wzruszenia. Postanowiła więc skupić się na pracy, szybko się z nią uporać i jeszcze szybciej wrócić do domu.

Zadzwoił telefon.

– Zuzanna Kostecka, dzień dobry.

– Witam panią. Mówi Aleksander Nadarzewski. Jesteśmy umówieni za godzinę. Chciałbym przeprosić, ale nie uda mi się do pani dzisiaj dojechać. Możemy to spotkanie przełożyć na jutro?

– Nie ma sprawy – odpowiedziała i choć mimowolnie poczuła ulgę, nie była do końca zadowolona. Po pierwsze dlatego, że dla niego specjalnie tu przyjechała, a po drugie, no cóż, Nadarzewski to fajny facet.

Otworzyła kalendarz.

– Może być dziesiąta? – zapytała.

– Pasuje. Zatem do zobaczenia jutro.

*No to do domu* – pomyślała, odkładając słuchawkę. – *Łukasz ucieszy się, że odbiorę go trochę wcześniej.*

Chciała schować listy do torebki, ale ciekawość okazała się silniejsza. Wyjęła całą zawartość pierwszej koperty i jeszcze raz przyjrzała się starej fotografii, którą widziała w restauracji. Twarz dziecka, czyli jej własna sprzed niemal dwudziestu ośmiu lat, trochę przypominała buzię jej synka, kiedy był w tym samym wieku. Dziecięcą, malutką, bezbronną. Tyle że Łukasz był podobny przede wszystkim do swojego ojca.

Zuza pogrzebała w portfelu i wyjęła zdjęcie Patryka. Delikatnie pogładziła je palcami.

*Cóż za ironia losu, prawda?* – pomyślała, patrząc na fotografię. – *Moją matkę zostawił ukochany mężczyzna, tak jak ty zostawiłeś mnie. Wiem, to co innego. Tylko że moja mama potrafiła znaleźć dla mnie ojca, ale ja nie potrafię znaleźć go dla Łukasza. Nie potrafię, bo nie chcę. Nikogo nie jestem w stanie pokochać tak bardzo, jak kochałam ciebie.*

To było silniejsze od niej. Otworzyła list i przebiegła wzrokiem po tych fragmentach, które czytała w restauracji. Dalej Ryszard pisał, że sytuacja ekonomiczna w kraju pozostawia wiele

do życzenia i że zazdrości Zygmuntovi pomysłowej mamy. O Poli i Zuzi już nie wspomniał, tylko pozdrowienia i: „Trzymaj się. Rysiek”.

Nie wiedziała, czy czuje żal, złość czy może gniew? Ciekawość? Na pewno. Sięgnęła po drugi list.

– Zuza, ktoś do ciebie – usłyszała nagle zdyszany głos Gośki i podniosła głowę. – Czeka na dole.

– Znowu biegłaś po schodach?

– Wiesz, że nie znoszę jeździć windą. Mam klaustrofobię. Poza tym trzeba dbać o kondycję, prawda?

– A ten na dole to kto? Klient?

– Nie wiem. Jakiś przystojniaczek. Czemu mnie się tacy nie trafiają, co?

– Bo ty masz męża. – Zuza uśmiechnęła się i poprawiła fryzurę. – Daj szansę innym.

Pomyślała, że zapewne Nadarzewskiemu udało się jednak dojechać, więc schowała listy, wzięła teczkę z dokumentami i zjechała na dół.

Wbrew temu, co powiedziała Gośce, Zuzanna nie szukała męża. Nie szukała też nikogo na stałe, kto mógłby z nią zamieszkać, dzielić z nią życie, być ojcem dla Łukasza. Nie szukała, bo nie potrzebowała. Świadomy wybór, świadoma decyzja. Już dawno nauczyła się żyć sama. Co innego wyjście z kimś na obiad, do teatru, czy mały niezobowiązujący flirt. Tak profilaktycznie, dla zachowania higieny psychicznej. Czy Nadarzewski był dobrym kandydatem? Właściwie, czemu nie? Odkąd kilka tygodni temu pomogła mu błyskawicznie uzyskać kredyt, stał się jej wiernym klientem i... adoratorem. Lubiła jego towarzystwo, poczucie humoru i jego komplementy.

– No, nie, pani Zuzanno! – powiedział pewnego dnia na dzień dobry. – Jestem naprawdę zawiedziony.

– Co się stało? – zapytała, nie ukrywając zdziwienia.

– Jak pani może być tak bezlitosna? – Z uśmiechem wskazał na jej strój. – Najpiękniejsze nogi w tym banku i w spodniach?

Aleksander Nadarzewski był sympatycznym trzydziestosześcioletnim facetem, inteligentnym i uporządkowanym. Miał ładne oczy, ciepłe spojrzenie i w ogóle był miły. Dobrze się z nim rozmawiało. Imponowało jej, że ma szeroką wiedzę na temat sztuki, ładnie się wystawiał, więc dobrze się go słuchało. Było w nim coś, co przyciągało.

*Taki niczego sobie seksowny przystojniaczek* – myślała o nim. – *Właściwie moglibyśmy przejść na ty.* Uśmiechnęła się do siebie.

– Co pan tu robi? – zapytała zdziwiona, widząc w hallu Maksymiliana Symertowicza.

– Olga powiedziała mi, że panią tutaj znajdę – odpowiedział spokojnie. – Widzi pani, jaki ten świat mały? Okazuje się, że mamy wspólnych znajomych.



*To się pani Olga będzie grubo tłumaczyć, a potem ją zabiję.*

– Nie mam czasu, więc proszę się streszczać – powiedziała ze złością, choć wiedziała, że trochę przesadza. – Przyszedł pan tylko po to, aby oznajmić, że mamy wspólnych znajomych, czy po coś jeszcze?

– Zawsze będzie mnie pani tak traktować? Przecież panią przeprosiłem.

*Jakie zawsze? Czy on sobie za dużo nie pozwala?*

– Miałem nadzieję, że już się pani nie gniewa – dodał.

*A ja miałam nadzieję więcej pana nie oglądać.*

– Okej! Przeprosiny przyjęte. Jeszcze coś? – Zastukała palcami o teczkę, pokazując zniecierpliwienie.

– Miałem jeszcze zamiar zaprosić panią na kawę. – Uśmiechnął się.

– To niech pan zmieni ten zamiar. Moja odpowiedź brzmi: nie! – Musiała się powstrzymać, aby nie krzyknąć. Czują, jak wzbiera w niej złość, więc szybko głęboko odetchnęła.

– Proszę pana. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ja tu pracuję, a pan marnuje czas. Mój i swój. Zatem, jeśli to wszystko...

– Chciałbym jeszcze kartę kredytową – przerwał jej. – Niedługo wyjeżdżam za granicę, więc pomyślałem, że się przyda. Mogłaby pani coś mi zaproponować? Olga twierdzi, że jest pani specjalistką.

*Nie! Jednak najpierw ją zabiję.*

– Rozumiem, że nie mam szans, aby się od pana uwolnić? – Westchnęła głośno i wskazała ręką oszklony pokój naprzeciwko kas. – No to zapraszam.

*Panie natręcie* – dodała w myślach.

Dla Zuzanny karty były na wagę złota. Przecież w końcu za to jej płacili.

*Każdy klient jest dobry, nawet ten* – tłumaczyła sobie w duchu. – *Obym tylko nie musiała tego żałować.*

– Pewnie zna pan działanie karty kredytowej? – Wygodnie usadowiła się w fotelu i zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Maks był niewątpliwie przystojny. I to bardzo. Ale kompletnie nie w jej typie. Nie ufała facetom o twarzach jak z okładek czasopism, ponieważ jej zdaniem mieli w głowie tylko jedno: zdobyć i porzucić.

– Słyszałem tylko o darmowym kredycie. – Usiadł naprzeciwko niej i założył nogę na nogę.

*Kolejny naiwniak?* – pomyślała.

– Darmowy pod warunkiem, że mądrze się z niego korzysta – odparła oziębło. – To znaczy, gdy używa się karty tylko do transakcji bezgotówkowych, czyli do płacenia za zakup towarów i usług oraz gdy spłaca się całe zadłużenie w określonym przez bank terminie. Jeżeli natomiast

wypłaci pan gotówkę z bankomatu, nawet jeśli sama wypłata będzie bez prowizji, spóźni się pan ze spłatą choćby jeden dzień lub będzie pan spłacał tylko kwotę minimalną, ten kredyt może stać się dla pana koszmarem – wyrecytowała jednym tchem.

*I to ma być sprzedażowe podejście do klienta, tak?* – pomyślała. Gdyby teraz usłyszał ją Mały, miałyby w tym banku przechlapane.

Zuzanna na ogół bezbłędnie przeprowadzała takie rozmowy. Tę umiejętność opanowała do perfekcji. Nie dawała ponieść się emocjom, była zrównoważona i spokojna. Miała naturalny dar dostosowywania argumentów do oczekiwań klienta, dzięki czemu jej rozmówca miał poczucie, że nikt go nie namówił, nikt mu nic nie wcisnął, tylko on sam podjął decyzję. Zuzanna cieszyła się dobrą opinią wśród klientów. Cenili ją za kompetencje i zaangażowanie. Swoim szczerym uśmiechem w naturalny sposób zyskiwała sobie ich sympatię, co tylko ułatwiało szybkie dojście do porozumienia i sfinalizowanie umowy.

Na ogół! Dziś jednak nie potrafiła oddzielić pracy od prywatnych uprzedzeń, chociaż wydawało jej się, że zapraszając Maksa na rozmowę, poradzi z tym sobie bez trudu. W tej chwili żałowała, że dała się w to wciągnąć.

*Trzeba było go zbyć pod byle pretekstem i poprosić kogoś innego* – pomyślała. – *Gośka chętnie by się nim zajęła.*

Teraz jednak musiała znaleźć sposób, aby wybrnąć z tej mało komfortowej sytuacji.

– Karta kredytowa jest bardzo wygodnym i przydatnym środkiem płatniczym. – Próbowała zmienić ton na bardziej przyjazny. – Nie trzeba nosić ze sobą gotówki, a do płacenia używa się pieniędzy bankowych.

– To znaczy, że można sobie poszaleć? – Maks spojrzał na nią z lekkim uśmiechem. – Mnie się podoba.

Zignorowała to.

– Widzę, że muszę to jednak panu wytłumaczyć – powiedziała niechętnie.

– Jasne. – Maks poważnie pokiwał głową, ale w oczach miał rozbawienie.

Sięgnęła po segregator do prezentacji, wprawnym ruchem otworzyła go na požądanej stronie i rozłożyła go w kształcie namiotu przed oczami Maksa. Kolorowa laminowana plansza przedstawiała kalendarz, na którym zaznaczono kilka dat.

– Przyjmijmy, że w tych dniach używa pan swojej karty. – Wskazała długopisem. – W ramach przyznanego limitu płaci pan nią w sklepach, na stacjach benzynowych i gdzie pan tylko chce. Na początku następnego miesiąca wszystkie te transakcje znajdą się na pana wyciągu. Potem będzie miał pan prawie trzy tygodnie, aby to uregulować. Czyli za zakupy w maju płaci pan do dwudziestego piątego czerwca. Jeśli ureguluje pan całość w wyznaczonym terminie, nie naliczymy dodatkowych kosztów. Na tym polega darmowy kredyt. Czy chodziło panu o coś takiego? – Spojrzała na niego pytająco.

– Zdaje się, że tak. – Maks zatrzymał wzrok na kasztanowych lokach Zuzanny, ale ona udała, że tego nie widzi.

– W ofercie banku jest kilka kart do wyboru. Do jakiego kraju pan wyjeżdża? – Myślała, że zaskoczy go tym pytaniem. Była przekonana, że ten wyjazd za granicę to tylko ściema.

– Do Stanów – jego głos zabrzmiał pewnie. – Za trzy miesiące. Przyjaciel poprosił, abym był chrzestnym jego córki.

Zuzanna miała wrażenie, że ten człowiek czyta w jej myślach. Nieprzyjemne uczucie.

– W takim razie gratuluję i proponuję VISE – odpowiedziała pospiesznie. – Chciałby pan złożyć wniosek teraz czy potrzebuje pan jeszcze czasu na zastanowienie?

– Myślę, że nie ma się nad czym zastanawiać – odparł po chwili. – Czego pani ode mnie potrzebuje?

– Teraz tylko dowodu osobistego. Zaświadczenie o zarobkach może pan donieść później.

Maks sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– A! Zapomniałbym. – Znowu się uśmiechnął. – Założę też u pani konto?

– Miałam wrażenie, że to trwa całą wieczność – powiedziała Zuzanna, zdejmując buty w korytarzu. – Myślałam, że nigdy się nie odczepi. Dzięki za odebranie Łukasza.

– Sorry, nie przypuszczałam, że cię odwiedzi. – Olga podała jej kubek z herbatą. – Spotkaliśmy go wczoraj z Filipem i wiesz, jak to jest, od słowa do słowa... Pochwalił się, że poznał w pociągu fajną laskę, a ja powiedziałam, że ta laska to nasza sąsiadka. I tak jakoś wyszło...

– Nie ukrywam, że miałam ochotę cię zastrzelić – Zuza uśmiechnęła się i wygodnie usadowiła na kanapie. – Ale, jak to mówią, widać, nie ma tego złego... Mam nadzieję, że przynajmniej podreperowałam sobie wyniki.

Właściwie powinna być zadowolona. Maks złożył wnioski na trzy karty kredytowe, konto osobiste, limit kredytowy i rachunek do oszczędzania. Stwierdził, że wszystko mu się przyda. Skoro tak mówił? No cóż! Zuzanna nie miała zamiaru w to wnikać.

– A swoją drogą to dziwne, żeby taki facet jak on, redaktor naczelny w poczytnym piśmie, nie wiedział, jak działa karta kredytowa – zastanawiała się głośno.

– Tak ci powiedział? – Olga uniosła brwi i zachichotała.

– Co?

– Nic – roześmiała się na dobre. – Najwyraźniej Maks cię podrywa.

*Mój Przyjacielu!*

*Wybacz, że nie odzywałem się przez te wszystkie lata. Dobre wiadomości przekazuje się z przyjemnością, a ja takich nie miałem. Kiedy pisałem do Ciebie dwanaście lat temu, nie przypuszczałem, że z dnia na dzień moje życie legnie w gruzach.*

*Zaczęło się od incydentu na dworcu w Gdańsku, gdy wracałem z Lubieńca po chrzcinach Zuzi. Na peronie zaczepiła mnie grupa pijanych nastolatków. Doszło do przepychanki i ktoś wezwał*

*milicję. Jak się okazało, najgorsze było to, że znaleźli przy mnie plik ulotek. Nie byłem zgorzałym działaczem opozycji, jak wielu moich kolegów z uczelni, ale wystarczyło, że ich popierałem. Trafiłem za kratki. Za to, że nie chciałem wyjawić żadnych nazwisk, dostałem dwa lata. To był koszmar. Nikogo nie zabiłem, nie okradłem, a siedziałem w jednej celi razem z kryminalistami jak jakiś zbir. Wysyłałem do Poli dziesiątki listów, ale na żaden nie dostałem odpowiedzi. Podejrzewam, że stary Blichacz maczał w tym palce, bo przecież niemożliwe, żeby Pola przestała mnie kochać. Nie ona! Przy życiu trzymała mnie tylko nadzieja, że kiedy wyjdę, będę mógł znowu ją przytulić, wziąć moją córkę na ręce i zacząć wszystko od nowa. Nadzieja! To słowo nie powinno istnieć.*

*Gdy wyszedłem na wolność, od razu pojechałem do Lubieńca. Blichacz nawet nie wpuścił mnie do domu. Oznajmił tylko, że Pola jest szczęśliwa, wyszła za męża i wyjechała. Razem z moją Zuzią. Kazał mi się od nich odczepić i zostawić w spokoju. Powiedział, że Pola przeze mnie cierpiała, a Zuzia o mało nie umarła. Miałem ochotę dać mu w mordę, ale powstrzymał mnie strach przed powrotem do więzienia. Potem żałowałem, że tego nie zrobiłem.*

*Prawda była brutalna. Świat zawalił mi się na głowę, a ja straciłem wszystko, co miałem najcenniejszego. Na uczelni też nie miałem czego szukać – skreślili mnie. Nie umiałem sobie z tym wszystkim poradzić, więc zacząłem pić. Zabijała mnie tęsknota i wódka. Moje życie przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Swojej rodzinie powiedziałem, że moja śliczna córeczka umarła. Bo dla mnie to była prawda.*

Zuzanna poczuła bolesne ukłucie w piersiach, a serce waliło jej tak mocno, że niemal słyszała te uderzenia w głębi mózgu. Podniosła głowę z poduszki, usiadła na łóżku i wzięła kilka głębokich oddechów. Robiła tak zawsze, gdy budziła się z koszmaru. Tym razem jednak to nie był sen. Po tym nie można było się otrząsnąć i odetchnąć z ulgą. Dobry Boże, jak bardzo było jej żal.

*Gdy moja matka ciężko zachorowała, opamiętałem się i przestałem pić. Najpierw pomagałem jej w gospodarstwie, a potem dostałem pracę na kolei za całkiem przyzwoite pieniądze. Nie mogłem narzekać. Ale wiele razy jeździłem do Lubieńca w nadziei, że spotkam tam Polę, że będę mógł z nią porozmawiać i wszystko wyjaśnić. Przez ponad rok godzinami obserwowałem z ukrycia dom Blichaczów, czasem na deszczu i mrozie, aż wreszcie się udało. W czasie wakacji. Na podwórku zobaczyłem dwie bawiące się dziewczynki. W młodszej od razu rozpoznałem Zuzię. Moja córka miała wtedy trzy lata. Nigdy nie widziałem piękniejszego dziecka. Kiedy krzyknęła: „Tato, chodź!”, miałem ochotę poderwać się i do niej pobiec. Wtedy z domu wyszedł jakiś mężczyzna i wziął ją na ręce. Widać było, że łączy ich coś wyjątkowego. Po chwili obok nich pojawiła się Pola. Była w ciąży. Wówczas zdałem sobie sprawę, że nie mam tam czego szukać. Oni stanowili rodzinę, w której dla mnie nie było miejsca. Pomyślałem wtedy: najważniejsze, że są szczęśliwe. Obie.*

– I czego znowu ryczysz? Wyluzuj, kobieto, bo nigdy tego nie przeczytasz. – Zuzanna usłyszała swój własny głos.

Wytarła chusteczką oczy i wysmarkała nos.

– No, co? Nic nie poradzę, że tak szybko się wzruszam – odpowiedziała sama sobie. – A jak tak czasem popłaczę, to mi lżej. – Pociągnęła nosem, poprawiła nocną lampkę przy łóżku, aby lepiej oświetlała poźółtki list.

*Niedługo potem poznałem Grażynę i ożeniłem się. Dostaliśmy dom po jej dziadkach w Korpniewie. Stara chałupa, ale ją wyremontowałem i dobrze się mieszka. Mamy trzech synów: Kacper ma dziewięć lat i zaraz idzie do pierwszej komunii. Spokojny dzieciak. Lubi czytać i klei modele samolotów. Za to Przemek to zupełne jego przeciwieństwo. Ma siedem lat i już wdaje się w bójkę z chłopakami sąsiadów. Niedługo idzie do szkoły i aż strach pomyśleć, jak to będzie. A Wojtuś ma dopiero trzy lata. Grażyna bardzo chciała córkę i do końca miała nadzieję, że trzecia będzie dziewczynka. No cóż! Nie udało się.*

*Nie powiedziałem jej o Zuzi. Po co? Moja żona ma wystarczająco dużo swoich problemów. Grażyna to dobra kobieta, ale ja nie potrafię jej kochać tak, jak na to zasługuje. Robię jej wymówki z byle powodu, a potem zamykam się na strychu i maluję. Ona wtedy płacze, a ja nic sobie z tego nie robię. Nie wiem, za co ta kobieta mnie kocha. Nie potrafię być dla niej dobrym mężem.*

*Cały czas czegoś mi brakuje. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że moja rodzina jest niepełna. Widzę, jak rosną moi synowie i chciałbym być przy tym, jak dorasta moja córka. Chciałbym wiedzieć, jaka jest, czym się interesuje, ale już chyba nigdy się nie dowiem.*

*Ułynęło tyle lat, a ja ciągle myślę o Poli i o tym, że pozwoliła innemu mężczyźnie odebrać mi dziecko. To jest niesprawiedliwe! Czasem mam ochotę skończyć z tym życiem.*

*Dosyć już o mnie. Napisz, co u Ciebie. Jak Ci się żyje w tym obcym kraju? Spotkamy się jeszcze kiedyś?*

*Trzymaj się.*

*Twój przyjaciel Rysiek*

Zuza kilkakrotnie przeczytała oba listy i za każdym razem płakała ze wzruszenia w poduszkę. Długo nie mogła zasnąć.

– Cześć, mamó. – Nie było jeszcze ósmej, kiedy Zuzanna wystukała numer do matki. Ta rozmowa nie mogła czekać. Im dłużej zwlekała, tym bardziej wzbierała w niej złość.

– Witaj córeczko, co się stało, że tak wcześnie dzwonisz? Stęskniłaś się za mamusią? – Jej głos brzmiał łagodnie i ciepło. – Co u was?

– Muszę z tobą porozmawiać, mamó – powiedziała niemal oficjalnym tonem.

Pola od razu wyczuła, że coś jest nie tak.

– O co chodzi, Zuziu? Wszystko w porządku?

– Nie! Nic nie jest w porządku. Ty jesteś nie w porządku! – nakręcała się. – Mamó, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

– Uspokój się, córeczko. – Głos matki był nadal łagodny, ale stanowczy. – Po kolei. Co się stało?

– Chodzi o to, że... – Zuza zawahała się, szukając odpowiednich słów. Odetchnęła głęboko. – Zapewne wiesz, kim jest Ryszard Wołoszyc, prawda?

Nastąpiło długie milczenie, które gdzieś w tle zostało przerwane szkolnym dzwonkiem. Pola ciężko westchnęła.

– Rozumiem, że wiesz.

– Jasne, że wiem. Teraz! Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego nie wiedziałam wcześniej? – Zuzanna mimowolnie podnosiła głos, chociaż z całej siły starała się zachować zimną krew. – Czy w ogóle kiedykolwiek chciałaś mi o tym powiedzieć? Mamo, czy ty wiesz, jak ja się teraz czuję? Czy ty wiesz, czego mnie pozbawiłaś?

– Kochanie – przerwała jej Pola ze stoickim spokojem. – Już po dzwonku, więc muszę iść na lekcję. Możemy porozmawiać wieczorem?

– A czemuż to moja pani Zuzanna taka smutna? – Nadarzewski przywitał dziewczynę z nieudawaną troską. – Coś się stało?

– Nic się nie stało, panie Aleksandrze. Jak pana widzę, od razu wraca mi dobry humor. – Na twarzy Zuzanny pojawił się sztuczny uśmiech. – Sięgnęła do szuflady po tekturową teczkę. – Proszę, to jest zaświadczenie, o które pan prosił.

– Na panią zawsze można liczyć. Żeby wszyscy w tym banku byli tacy mili. Dziękuję – pocałował ją w rękę. – Pani Arleta powiedziała, że będę czekał dwa tygodnie, a tu, proszę, trzy dni i gotowe.

– Drobnostka – odpowiedziała skromnie. – Czego się nie robi dla sympatycznych klientów.

Może i Zuzanna zrobiła to dla Nadarzewskiego, ale przede wszystkim po to, by dopieć Arlecie. Dla kierowniczkini – służbistki regulaminy i instrukcje były świętością, jak sama twierdziła. Skoro bank ma dwa tygodnie na wystawienie klientowi jakiegoś dokumentu, to miało być dwa tygodnie i ani dnia krócej. Mawiała, że gdyby nie ona, już dawno byłby w tym banku niezły burdel.

*Na czele z tobą, jako burdelmama – aż chciało się rzec.*

– To znaczy, że wszyscy klienci muszą panią kochać. – Nadarzewski wyjął z kieszeni białą kopertę. – Normalnie robię się zazdrosny.

– Łapówka? – zażartowała, spoglądając na to, co trzymał ręką.

– Raczej dowód wdzięczności. – Uśmiechnął się. – Dostałem dwa zaproszenia na premierę do Teatru Wielkiego i od razu pomyślałem o pani. Będę zaszczycony, jeśli zechce mi pani towarzyszyć.

– Miło, że pan o mnie pomyślał, ale...

– To dopiero za tydzień – przerwał jej. – Jest jeszcze sporo czasu, aby zmienić plany.

*Na szczęście żadnych planów nie mam.*

– Dziękuję. Zastanowię się i dam panu znać, dobrze? A tymczasem proszę to schować, bo jeszcze naprawdę ktoś pomyśli, że biorę od pana łapówkę.

*Premiera w Teatrze Wielkim? – pomyślała. – Z wielką chęcią.*

Nagle z ulicy zaczął dobiegać odgłos syreny policyjnej. Była coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie zatrzymała się i gdzieś bardzo blisko wyła na cały regulator.

– Znowu kogoś ścigają? – Zuzanna zaciekawiona podeszła do okna. – O kurczę, to chyba u nas! Mam nadzieję, że nie było napadu na bank – zaniepokoiła się. – Zjadę z panem i zobaczę, co tam się stało.

– Pewnie konwój z pieniędzmi – spokojnie odparł Nadarzewski – ale oczywiście będzie mi bardzo miło, jeśli mnie pani odprowadzi.

*Konwój na sygnale?*

– O! Zuza! – krzyknęła na korytarzu Gośka, gdy zobaczyła, że jej koleżanka skończyła spotkanie z klientem. – Przepraszam, mogę cię na chwilę prosić?

– Jasne! – odpowiedziała Zuzanna i pożegnała się z Aleksandrem. – Co tam, Gosiu?

– Nie widziałaś dziś Arlety? Wszyscy jej szukają.

– Nie widziałam i nie chcę widzieć. Chodź, zobaczymy, co się dzieje na dole.

Dziewczyny zdążyły jeszcze złapać windę, do której wsiadał Nadarzewski.

W hallu na dole było cicho, ale wyraźnie wyczuwało się ogólny niepokój. Przez duże oszklone drzwi do wewnątrz wdierało się połyskujące światło policyjnego koguta, przed wejściem prezes i Mały rozmawiali z mężczyzną do złudzenia przypominającym porucznika Colombo. Klienci cicho jak trusie siedzieli na kanapach, a z twarzy kasjerek można było wyczytać strach.

Aleksander trochę się zawahał, po czym niepewnym krokiem ruszył do wyjścia.

*Dziwnie się zachowuje – pomyślała Zuza. – Przecież chyba nikt nie miał zamiaru go zatrzymać.*

W drzwiach minął się z Maksymilianem Symertowiczem. Mężczyźni wymienili spojrzenia i każdy poszedł w swoją stronę.

– Jeszcze on mi tu potrzebny – odezwała się do koleżanki Zuza. Zdenerwowana Gośka nie zareagowała.

Zuzanna pospiesznie podeszła do Maksa.

– Chyba was nikt nie napadł, co? – odezwał się pierwszy, próbując żartować.

– To tylko ćwiczenia – powiedziała spokojnie Zuzanna, chociaż sama nie wiedziała, co tu się właściwie stało. – Przyszedł pan, bo...?

– Przyniosłem zaświadczenie z pracy, o które pani wczoraj prosiła. – Nie czekał, aż dokończy pytanie. – Proszę. Dobrze wypełnili?

– Tak, w porządku. – Zuza zerknęła na dokumenty. – Jak już wcześniej wspomniałam, proszę czekać na decyzję z banku. Ktoś do pana zadzwoni.

– Pani?

– Raczej nie. – Spojrzała na niego i skrzywiła usta do uśmiechu. – Takimi sprawami zajmuje się osobny dział. Jeśli zatem to wszystko... – Uniosła brwi i zawiesiła głos.

Maks wskazał ręką wejście do banku i nabrał powietrza, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale gdy jego wzrok spotkał się z zimnym spojrzeniem Zuzanny, zrezygnował.

– Nie zabieram więcej czasu – powiedział tylko. – Do widzenia.

Gośka pytająco zlustrowała twarz koleżanki, jakby chciała się dowiedzieć, dlaczego Zuza tak chłodno potraktowała klienta i właśnie wtedy usłyszały za sobą znajomy głos.

– Dziewczyny, co powiecie na McDonalda?

Któż inny mógłby teraz stać za ich plecami, jak nie Marek.

Obie potrząsnęły głowami.

– Hej! – Chłopak pomachał im ręką przed oczami. – Wyluzujcie. Przecież to chyba nie was szukają. Ja w każdym razie idę się odstresować po swojemu. Już do was pędzę, moje kochane kanapeczki.

– Szukają kogoś? – Zuza ze zdziwienia otworzyła usta. – U nas w banku? Kogo?

– Nie mam pojęcia. – Marek wzruszył ramionami.

– Zalewasz. – Gośka szturchnęła go. – Znowu naczytałeś się kryminałów. Ostatnio też gadałeś o bombie i antyterrorystach, a ja przez tydzień bałam się wejść do banku. Pamiętasz, Zuza?

– Nasz kolega niewątpliwie ma talent do konfabulacji. – Zuza spojrzała na Marka. – Jak coś wiesz naprawdę, to gadaj, a nie zmyślaj.

– A, dajcie mi spokój. Jeśli wiecie, że zmyślam, to po co mnie w ogóle pytacie? – zirytował się ich kolega i odszedł.

– Marek, przepraszam! – zawołała za nim Zuzanna, ale nie odwrócił się. – Marek!

Chciała za nim pobiec, lecz niemal w tym samym momencie rozległ się głos prezesa, który stał już na środku hallu.

– Szanowni państwo! Nazywam się Krzysztof Drogowiejski i jestem prezesem tego banku. – Wszystkie twarze natychmiast zwróciły się w jego stronę. – Na wstępie chciałbym państwa przeprosić za to zamieszanie, ale w trosce o bezpieczeństwo państwa, waszych pieniędzy i naszych pracowników postanowiliśmy razem z policją przeprowadzić test sprawdzający działanie bankowego systemu zabezpieczeń. Jak państwo widzą, wszystko funkcjonuje bez zarzutu. Zatem życzę państwu przyjemnego korzystania z usług Warsaw Banku.

*Czyli dobrze powiedziałam Symertowiczowi, że to tylko ćwiczenia* – pomyślała Zuza. – *Swoją drogą oryginalne.*

– Wyjaśnisz mi, do czego Marek ma talent? – zapytała Gośka, gdy wracały na górę. – Co to jest



ta konfa... coś tam?

Zuzanna spojrzała na śpiącą buzię Łukasza i z czułością pocałowała go w policzek.

– Jesteś moim największym skarbem, wiesz? – wyszeptła mu nad głową, odłożyła książkę z bajkami i zgasiła światło.

Ucieszyła się, że synek zasnął dzisiaj wcześniej niż zwykle, bo będzie mogła spokojnie porozmawiać z mamą. Jeśli oczywiście tę rozmowę będzie można uznać za spokojną, zważywszy że ta poranna raczej do pokojowych nie należała.

– Cześć, skowronku – usłyszała w telefonie głos Grzegorza Kosteckiego. – Nie chorujecie? W Krakowie panuje grypa. U mnie w pracy pół załogi jest na zwolnieniu i tylko patrzeć, jak i nas dopadnie. Szczepiłaś siebie i Łukaszka?

*A co mnie obchodzi jakaś tam grypa?*

Zuzanna miała wrażenie, że się przesłyszała. Ojciec i wykład o chorobie? To było do niego niepodobne.

– Dasz mi mamę do telefonu?

– Zuziu, mama już śpi. Położyła się dziś wcześniej, bo bolała ją głowa. Lepiej jej teraz nie budzić. Chyba że to coś ważnego...

Zuza przypuszczała, ba, nawet była pewna, że ojciec doskonale wie, że to jest ważne. Matka musiała mu powiedzieć. Inaczej nie nawijałby o chorobach i szczepieniach, i nie próbował mydlić oczu. To nie było w jego stylu. Pewnie miał już przygotowaną śpiewkę na wypadek, gdyby chciała z nim o tym porozmawiać. Zuza jednak nie miała na to ochoty. Pierwszy raz, odkąd pamiętała, nie paliła się do rozmowy z ojcem.

– Daj spokój, tato – powiedziała rozczarowana. – Nie budź jej. Zadzwonię innym razem. Pa! – szybko odłożyła słuchawkę.

Przez kilka minut siedziała nieruchomo w fotelu, bezskutecznie próbując zapanować nad myślami, które, zamiast siedzieć grzecznie na dupie, śmiało sobie poczynają z jej umysłem. Przekrzykiwały się jedna przez drugą: która pierwsza, która ważniejsza, której trzeba poświęcić więcej uwagi. Spokój! Leżeć! Zuza miała wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie.

*Basiu, pomóż!*

W tym momencie Zuzanna utkwiała wzrok w leżącym na stole telefonie. Podniosła go i zadzwoniła do sąsiadki. Nie ma to jak pogawędzić z przyjaciółką.

– Olga, wróciłaś już?

– Coś ty, kochaniutka – usłyszała – mam jeszcze czterdzieści kilometrów do domu. Wykończą mnie te konferencje. Przed chwilą zadzwonili, że mam jutro jechać za Justynę do Białegostoku, dasz wiarę? – Olga była niezłe wkurzona. – Czy oni myślą, że mam motor w tyłku? Przecież ja się muszę przygotować, poczytać ustawy, nie mogę tak z marszu. A kiedy się wyśpię? W końcu zdrowy sen to podstawa prawidłowego funkcjonowania organizmu, prawda? I co, może pojadę z podkrążonymi oczami, tak?

– Po prostu jesteś niezastąpiona. – Zuza uśmiechnęła się do słuchawki. – Poradzisz sobie jak zwykle.

– Kiedyś naprawdę się wkurzę, pieprznę im wypowiedzenie na stół i się skończy. Od dłuższego czasu mam na to ochotę. Jutro ma być ładna pogoda, a ja kolejną sobotę mam spędzić za kółkiem? W dodatku sama, bo Filip umówił się na mecz. Prosiłam go, żeby ze mną pojechał, ale oczywiście się wypiął. Rozumiesz? Koledzy ważniejsi od żony. Skaranie boskie z tym moim mężem.

– Mówisz, że jedziesz jutro do Białegostoku? – Zuza zastanowiła się przez chwilę. W jej głowie zaświtała pewna myśl. – A zabierzesz mnie ze sobą?

Gdy skończyła rozmawiać z Olgą, poczuła dziwne podniecenie.

Może to i niegłupi pomysł?

Dotrzyma towarzystwa Oldze i przy okazji... *wash and go*. – Uśmiechnęła się do siebie.

Wykonała jeszcze dwa telefony i poszła spać.

## ROZDZIAŁ VI

– Nie było problemu, żeby zostali z Łukaszem? – Olga zamknęła za sobą drzwi swojego nowego dżipa wranglera w kolorze czerwonego wina. Lakier na jej paznokciach miał dokładnie ten sam odcień co karoseria.

– Przecież to jego dziadkowie – odpowiedziała Zuza, szukając zapięcia pasów bezpieczeństwa. – Co prawda nie byli zadowoleni, że ich zostawiam samych w domu, ale zgodzili się bez problemu. Dla mnie to nawet lepiej, bo nie będę musiała wysłuchiwać pytań w stylu: czy kogoś mam lub czy się z kimś spotykam. To cholernie niezręczne.

– A Łukaszek?

– Dostał tyle prezentów, że o matce od razu zapomniał. – Zuza uśmiechnęła się. – Dobrze, że nie przyjeżdżają za często, boby mi go rozpuścili.

– Okej! No to co? W drogę? – Olga przekręciła kluczyk w stacyjce. – Słyszysz ten silnik, kochaniutka? Tyle koni pod maską, że nie dasz rady policzyć. – Spojrzała na przyjaciółkę z dumnym uśmiechem. – Fajnie, że się ze mną wybrałaś.

Pomimo że Patryka już nie było, Zuza starała się utrzymywać możliwie dobry kontakt z jego rodzicami. Rzecz jasna, dla Łukasza, ale też dla nich. Lubiła państwa Herców i darzyła ich szacunkiem. Zwłaszcza panią Danutę.

Matka Patryka była kobietą życzliwą i mądrą życiowo, chociaż skończyła zaledwie trzy klasy podstawówki. Nie miała łatwego dzieciństwa, więc swojemu synowi chciała dać wszystko to, czego jej kiedyś zabrakło. Przede wszystkim wykształcenie. Wiele razy mówiła Zuzannie, jak bardzo była z niego dumna, kiedy zdał maturę z najlepszym wynikiem w szkole i bez problemu dostał się na wybraną uczelnię. Zresztą lubiła dużo mówić.

Ojciec Patryka, pan Feliks w odróżnieniu od żony był bardzo spokojnym, cichym człowiekiem, który, zamiast mówić, wolał czytać gazety albo oglądać filmy przyrodnicze w telewizji.

Szcęście Herców brutalnie przerwała tragiczna śmierć ich jedynego syna. Patryk miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, kończył studia i przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej. Niebawem miał się ożenić i zostać ojcem. Miał przed sobą jeszcze całe życie, a wystarczył ułamek sekundy, aby to życie bezpowrotnie przysło jak bańka mydlana. Wystarczyła chwila nieuwagi, aby szczęście najbliższych zamienić w koszmar, cierpienie, ból i wielką pustkę.

Zuzanna odczuła tę stratę bardzo dotkliwie. Tylko to, że spodziewała się dziecka, trzymało ją przy zdrowych zmysłach. Przez kilka miesięcy Hercowie unikali z nią kontaktu. Chociaż czasami do nich dzwoniła, nie chcieli z nią rozmawiać, a kiedy pukała do ich drzwi, nikt nie otwierał. Dopiero gdy mama Zuzy zadzwoniła do Danuty z wiadomością, że urodził się Łukasz, rodzice Patryka przyjechali do szpitala zobaczyć wnuka. Od tamtej pory stosunki Zuzanny i jej niedoszłych teściów z dnia na dzień zaczęły nabierać niemalże rodzinnego charakteru.

Kiedy Zuza przeprowadziła się do Warszawy, Hercowie starali się odwiedzać Łukaszka co najmniej raz w miesiącu. Zuza cieszyła się, że jej dziecko, choć nigdy nie poznało swojego ojca, miało dobry kontakt z dziadkami. Łukasz zresztą nosił nazwisko Patryka, o co Hercowie bardzo zabiegali i byli naprawdę wdzięczni Zuzannie, że przystała na ich prośbę.

Zuza wiedziała, że oboje od kilku dni mają zabiegi w tężniach w Konstancinie, więc wykorzystła ten fakt i zadzwoniła do nich wczoraj, prosząc, pod pretekstem wyjazdu służbowego, aby zaopiekowali się Łukaszem. Była z nimi co prawda umówiona na niedzielę, ale nic nie stało na przeszkodzie zapytać. Poza tym była pewna, że się zgodzą.

W połowie drogi dziewczyny zatrzymały się, aby rozprostować nogi, napić się kawy i zamienić miejscami za kierownicą, ponieważ Olga chciała jeszcze raz przestudiować jakieś dokumenty i przepisy. Zuza była przekonana, że przyjaciółka ma te wszystkie informacje dokładnie poukładane, posegregowane i odpowiednio poszufladkowane w głowie, ale wiedziała też, że z nią na ten temat się nie dyskutuje.

– Nie był zdziwiony, że chcesz tam jechać? – zapytała niespodziewanie Olga, odrywając na chwilę wzrok od paragrafów kodeksu cywilnego. – I jeszcze mi nie powiedziałaś, jak to rozegrasz?

– Cały czas nad tym myślę, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Z jednej strony zastanawiam się, czy nie podjęłam zbyt pochopnej decyzji. Tylko że z drugiej strony...

– I trzymaj się tej drugiej strony – przerwała jej Olga. – Za dużo wiesz, żeby to teraz tak zostawić.

Drugi telefon, jaki Zuza wykonała poprzedniego wieczoru, był do Zygmunta Salkego. Po tym wszystkim, czego tak nagle dowiedziała się w ostatnich dniach, zapragnęła poznać człowieka, który dał jej życie, po którym odziedziczyła miłość do malarstwa, i który był coraz bliższy jej sercu, choć tak bardzo odległy.

– Dziesięć lat temu przyjechałem na ślub mojego stryjecznego bratanka – powiedział Salke przez telefon – obiecałem to kiedyś jego ojcu. Wtedy po raz ostatni widziałem się z Ryśkiem. Spotkaliśmy się u jego siostry na podwórku. To już nie był ten sam człowiek, którego kiedyś znałem: uśmiechnięty, zabawny. Chyba nawet nie ucieszył się na mój widok. Myślałem, że po tylu latach nie będziemy mogli się nagadać, a tu – westchnął Salke – miałem wrażenie, że on

w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Zamieniliśmy kilka słów i to wszystko.

– Da mi pan jego adres? Wybieram się jutro w tamtym kierunku, więc pomyślałam, że... – Zuza zawahała się – nie wiem, czy to jest dobry pomysł, ale postanowiłam się z nim zobaczyć.

– Nie znam jego dokładnego adresu. Korpniewo, jeśli dobrze pamiętam. Ale wiem, gdzie mieszka jego siostra Balbina. Cieszę się, że chce się pani z nim zobaczyć i mam nadzieję, że on też się ucieszy. Proszę go ode mnie pozdrowić. Powodzenia.

– Rewelacyjnie prowadzi się ten samochód, wiesz? – Zuza z zachwytem mówiła o aucie Olgi.  
– Wszystko działa jak w najlepszym szwajcarskim zegarku. Siedzisz sobie wysoko, masz świetną widoczność, żadnych niespodzianek, super!

– Tylko nie zapeszej – rzuciła ostrzegawczo Olga. – Musimy nim jeszcze dojechać do Białegostoku i wrócić do domu.

– Tu nic nie ma prawa się stać – uspokajała Zuza. – Nie to, co w moim, co chwilę coś: jak nie urok to sraczka. Ale mam do niego taki sentyment, że szkoda mi go jeszcze sprzedawać. Zresztą za te pieniądze nie kupię lepszego, a na nowy nie bardzo mnie stać. Na razie – uśmiechnęła się. – Chyba już niedaleko, co?

– Jeszcze dziesięć kilometrów i będziemy na miejscu. – Olga zerknęła na mapę – musimy tylko przejechać przez las.

Zuzanna poczuła nagle przyspieszone bicie serca i zimne strużki potu na plecach. Zjechała na leśny parking i zatrzymała samochód.

– Co jest? – Olga ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę. – Chcesz się zamienić?

– Raczej zawrócić!

– Ty chyba żartujesz. Kiedy jesteśmy tak blisko?

– Sorry, nie mam odwagi. – Zuza wysiadła z samochodu. – Olga, sama powiedz, na co mi to?

– Jak cię zaraz kopnę w dupę, to przestaniesz tak gadać – zirytowała się przyjaciółka. – Tyle razy ci powtarzałam, że jeśli coś zaczynasz, doprowadzaj to do końca.

– Muszę zapalić.

– Okej – jęknęła Olga – nie pochwalam tego, ale jeśli to pozwoli nam jechać dalej...

– To tutaj. – Zuza spojrzała na dużą tablicę z numerem domu. – Chyba jednak nie dam rady tam wejść. Jedźmy lepiej na tę twoją konferencję, co?

– Nie denerwuj mnie, kochaniutka, bo zaczynam tracić cierpliwość. Z twoim Aniołem Stróżem nie powinnaś się tak bać.

– Pod warunkiem, że mój Anioł Stróż nie poszedł sobie właśnie na obiad.

– Nie filozofuj! – Olga wysiadła z samochodu, przeszła dookoła i otworzyła Zuzannie drzwi. – Wypad! – Uśmiechnęła się i pociągnęła koleżankę za rękę. – Powodzenia. Ja tu na ciebie

poczekam.

Zuzanna rozejrzała się. Przed nią, na dużym nieogrodzonym podwórku stał jeszcze nieotynkowany dwupiętrowy dom z wysokimi schodami, przy których nie było poręczy. Firanki w oknach i dym unoszący się z komina wskazywały, że ktoś tu mieszka. W odległości kilkunastu metrów stał budynek gospodarczy i stodoła. Na środku wóz drabiniasty przytulał się do niebieskiego traktora, małe kaczki taplały się w kałuży, kilka kur wyskubywało resztki trawy, a na daszku studni szarobury kocur wylegiwał się w słońcu. Na widok nieznanym leniwie podniósł głowę i zaczął się jej przyglądać.

Zuzanna spojrzała jeszcze na Olgę siedzącą w samochodzie i wolnym krokiem podeszła do schodów. W tym samym momencie z budynku gospodarczego wyszła kobieta. Była raczej niska, około sześćdziesiątka, ubrana w stary granatowy dres, w rękę trzymała widły. Jej twarz od razu skojarzyła się Zuzannie z buzią dobrej babci z kreskówki dla dzieci: wydatne kości policzkowe, uśmiechnięte oczy spoglądające spod małych okularów w drucianych oprawkach, siwe włosy starannie zaczesane w kok.

– Pani do kogo? – zapytała kobieta, spoglądając to na Zuzę, to na zaparkowany nieopodal błyszczący samochód.

– Dzień dobry. – Głos dziewczyny brzmiał niepewnie. – Nazywam się Zuzanna Kostecka. Szukam pani... – wzięła głębszy oddech – Balbiny Nakoniecznej.

Starsza pani zmierzyła ją badawczym spojrzeniem, zastanawiając się zapewne, czego może od niej chcieć taka panienska w przyciemnionych okularach, ubrana w elegancki prążkowany kostium, której wysokie obcasy grzęzną w podwórkowym błocie.

– Słucham panią, w czym mogę pomóc? – zapytała, wspierając się na widłach.

– Jest pani siostrą Ryszarda Wołoszyca, prawda? – Zuza bardzo chciała, aby serce nie waliło jej tak mocno. – Bo ja właśnie... szukam pani brata. Wie pani, gdzie go znajdzie?

– A o co chodzi? – Balbina zmarszczyła czoło i z jeszcze większym zaciekawieniem przyjrzała się dziewczynie.

Zuza pogrzebała chwilę w torebce i wyciągnęła karteczkę, na której wcześniej zapisała swoje nazwisko i wszystkie dane kontaktowe. Tak doradziła jej Olga, twierdząc, że zapewne siostra Ryszarda nie będzie chciała zdradzić obcej osobie, gdzie znajduje się jej brat.

– Proszę to przekazać panu Wołoszycowi z prośbą, aby się ze mną skontaktował, dobrze?

Nakonieczna wzięła do ręki kartkę, przeczytała ją i oddała z powrotem.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo... – potrząsnęła głową. – Nie, nie, to niemożliwe.

– Proszę mi wierzyć – Zuza złożyła dłonie – nie mam nic wspólnego z urzędem skarbowym, komornikiem ani tym bardziej z policją. Jestem tu zupełnie prywatnie. Muszę się spotkać z panem Wołoszycem w naprawdę ważnej sprawie. Nie zajmowałabym pani cennego czasu,

gdybym wiedziała, gdzie go szukać. I nie chcę pani prosić o podanie mi jego adresu. Proszę mu tylko przekazać tę karteczkę, a zapewniam panią, że on sam się ze mną skontaktuje.

*Jeżeli będzie miał ochotę* – dodała w myślach.

– Nie wiem, gdzie on jest – odpowiedziała Nakonieczna. – Bo jego... – zastanowiła się chwilę – bo jego tak jakby nie było.

Zuzanna otworzyła szeroko oczy.

*Salke widział go dziesięć lat temu. Od tamtego czasu wiele mogło się wydarzyć. Wołoszyc mógł nawet...* – nie chciała kończyć tej myśli.

– Nie rozumiem. Co to znaczy: tak jakby nie było? – powtórzyła słowa Balbiny.

*Nie można przecież tak jakby być albo tak jakby umrzeć* – pomyślała.

– Moje dziecko – westchnęła Nakonieczna. – Dobrze pani z oczu patrzy, więc pani powiem. Chciałabym jednak najpierw wiedzieć, dlaczego pani go szuka.

Zuza od samego początku miała przecucie, że to nie będzie łatwa rozmowa. Nie wiedziała tylko, że aż tak. I co miała teraz powiedzieć? „Cześć, ciociu, to ja, twoja bratanica, której nigdy nie znałaś”? Albo: „Ciotka, nie ściemniaj, dawaj szybciej ten adres, bo muszę się zobaczyć ze swoim starym”?

– Kiedy pani brat studiował w Gdańsku – zaczęła niepewnie Zuzanna – często jeździł do Poznania, prawda? Wie pani, dlaczego? – Chciała skłonić starszą panią, żeby to ona pociągnęła ten wątek. Chociaż kawałek.

Balbina tylko zmrużyła oczy, wpatrując się w przyciemnione okulary dziewczyny, jakby chciała pod nimi się czegoś dopatrzeć.

– Był dobrze zapowiadającym się malarzem – mówiła dalej Zuza, widząc, że kobieta chce to usłyszeć od niej – a w Poznaniu uczył się pod okiem niejakiego Jana Masza. Poznań jeszcze pod innym względem był mu bliski. Tam się zakochał i tam urodziło mu się dziecko. Wiedziała pani o tym, prawda?

Zuzanna w oczekiwaniu na odpowiedź zdjęła okulary, zamknęła oczy, aby rozmasować nos, po czym spojrzała na panią Balbinę.

– Wiedziała pani o tym, prawda? – powtórzyła.

– O, Boże! – jęknęła Nakonieczna, uniosła widły i przełożyła je przez ramię. Wyglądało, jakby chciała się nimi zamachnąć na Bogu ducha winną dziewczynę. W tej samej sekundzie drzwi dżipa otworzyły się i Olga już prawie wystartowała na ratunek Zuzannie. Widły jednak miękko wylądowały na wozie drabiniastym, a drzwi samochodu lekko się zatrzasnęły.

– Nigdy nie wierzyłam, że to dziecko umarło – powiedziała Balbina ze łzami w oczach.

\*

– Nieźle mnie przestraszyła ta twoja nowa ciotka. – Olga spakowała dokumenty do teczki

i wsiadła do samochodu. – Myślałam, że naprawdę chce ci przyłożyć.

– Moje uznanie dla twojej czujności. Dzięki.

– Wyobraź sobie – Olga wygodnie usadowiła się na miejscu kierowcy – że odwołali moją konferencję w Białymstoku, dasz wiarę? Na pięć godzin przed.

– I tak spokojnie o tym mówisz? – Zuzanna ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę, która nie wyglądała na zbyt przejętą tą wiadomością.

– Bo szkoda zużywać wszystkie nerwy naraz – na twarzy Olgi pojawił się uśmiech. – Powkurzałam się trochę, jak cię nie było, a resztę zostawiłam sobie na poniedziałek. Dokąd teraz? Na spotkanie z tatusiem?

– Zaraz tam z tatusiem. Nie przesadzaj! – zachnęła się Zuza. – Mój tata jest w Krakowie. Tak było, jest i będzie, i nic tego nie zmieni. On zawsze będzie moim tatą, choćby nie wiem co. Tata to ktoś, kto cię wychował, nosił na rękach...

– Kochaniutka! – Olga przerwała jej w pół zdania. – Uważasz, że przesadzam? Okej! Ale pamiętaj, że przesada to prawda, która straciła cierpliwość, więc jeśli chcesz jechać dalej, gadaj do rzeczy.

– Dobra, nie denerwuj się. – Zuza z figlarnym uśmieszkiem spojrzała na przyjaciółkę. – Do głównej drogi i w prawo. Opowiem ci wszystko w piętnaście kilometrów.

Zuzanna rzeczywiście przez ułamek sekundy myślała, że oberwie tymi widłami. Balbina chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. O mało nie zemdląta, kiedy Zuza zdjęła okulary, chociaż dziewczynie w ogóle nie przyszło do głowy, że tym gestem może wzbudzić u starszej pani taką reakcję.

– Wiedziałam, że żyjesz, córeńko – powiedziała Balbina drżącym głosem, nie mogąc opanować wzruszenia.

Zaciągnęła Zuzę do domu i od razu zwołała do salonu całą rodzinę. Krzyczała, jakby się paliło.

Pierwszy pojawił się jej mąż Wacław, a zaraz za nim trzy córki ze swoimi dziećmi. Kiedy Balbina przedstawiła im Zuzę, uściskom i pytaniom nie było końca. Całe szczęście, że akurat szykowali się na wesele do sąsiadów, bo w przeciwnym razie Zuza musiałaby opowiedzieć im cały swój życiorys, a wtedy mogłoby nie wystarczyć czasu, aby dowiedzieć się tego, po co przyjechała.

Słowa Balbiny: „tak jakby go nie było”, oznaczały dokładnie to, że ona po prostu nie ma pojęcia, co się dzieje z Wołoszycem ani gdzie jest.

– Dziewięć lat temu wyrzucili Rysia z pracy i znowu się zaczęło – powiedziała, trzymając na kolanach rękę Zuzy. – A już było tak dobrze. Wydawało się, że on i Grażynka wszystko, co złe mają już za sobą. Dotarli się. Rysio pracował na kolei, a w wolnych chwilach malował.

– Co takiego zrobił, że wyrzucili go z pracy? – zapytała Zuza.

Balbina ciężko westchnęła i posmutniała.

– Coś strasznego, córeńko – odparła, wycierając ukradkiem łzę. – Do dziś zachodzę w głowę, jak to się mogło stać? Dlaczego właśnie jemu musiało to się przytrafić? – Ukryła w dłoniach twarz i zamilkła.

Widząc, że matce trudno jest mówić, do rozmowy wtrąciła się najmłodsza z córek, Matylda.

– Wujek był dróżnikiem na kolei – wyjaśniła. – Pewnej nocy zasnął w budce i nie opuścił szlabanu, kiedy jechał pociąg. Zginęło wtedy dwóch czternastolatków.

Jak się okazało, obydwaj chłopcy byli starszymi kolegami Przemka – średniego syna Ryszarda. Ukradli samochód i chcieli poszpanować. Nocą na pustych drogach można rozwinąć niezłą prędkość. Nastoletnie głowy pełne głupich pomysłów nie zawsze zdają sobie sprawę, do czego mogą doprowadzić takie wybryki. Nic, tylko brawura i efekciarstwo.

– Sami się o to prosili – mówiła Matylda. – Ale wujek robotę stracił. To i tak cud, że go nie wsadzili. Tylko że Przemek go nazwał mordercą i znienawidził. Wujek się wtedy całkiem załamał i znowu zaczął pić.

– A potem dostał jakiś list i zniknął – dodała Balbina. – Nie powiedział od kogo i co w nim było. Mówię ci, Zuziu, jak kamfora. Grażyna powiedziała, że narzucił tylko kurtkę i wyszedł. Od tamtej pory nikt go nie widział.

– Ale chyba go szukaliście, prawda? – dopytywała się Zuza. – Człowiek nie może tak po prostu zniknąć.

– Policja była bezradna, więc po kilku miesiącach złożyliśmy się razem z Grażynką na prywatnego detektywa. Zresztą niewiele nam pomógł. W zasadzie nic.

– Nie mów tak, mamo – odezwała się Matylda. – A ten ślad?

– Daj spokój, jaki ślad? Tyle to i ja bym wymyśliła. – Balbina spojrzała na córkę. – Że niby co? Do Ameryki wyjechał, tak? Facet chciał po prostu wyłudzić od nas więcej pieniędzy. Grażyna i tak wzięła na to pożyczkę.

– A jeśli jednak wyjechał? – wtrąciła Zuzanna. – Słyszałam, że jego nauczyciel, ten Jan Masz z Poznania wyemigrował do Stanów. Podobno się przyjaźnili, więc być może ten detektyw jednak mówił prawdę. Macie z nim jeszcze jakiś kontakt?

– Gdzieś nawet miałam jego wizytówkę. – Nakonieczna podniosła się z wersalki i przejrzała witryny regału. – E, po tylu latach pewnie już wyrzuciłam. Ale policja tego nie potwierdziła – obstawała przy swoim Balbina. – Przecież Rysiek nie miał nawet paszportu. I ciekawe, skąd by wzięł na taki wyjazd? Wszystko co odłożył, wydawał na farby.

*To prawie tak jak ja* – pomyślała Zuza i uśmiechnęła się w duchu. Dowiedziała się jeszcze, że kilka lat temu Grażyna razem z najmłodszym synem wyjechała do Monachium. Mają wrócić w przyszłym roku, ponieważ Wojtek uparł się, że po niemieckiej maturze będzie studiował w Polsce. Średni z braci, Przemek, chadza własnymi ścieżkami i tak jak ojciec studiuje malarstwo.

– To zdolny chłopak – powiedziała Nakonieczna. – Liceum plastyczne skończył z wyróżnieniem, ale trochę z niego lekkoduch, taka gorąca głowa, co to nie usiedzi na jednym



miejscu. Już któryś raz zmienił studia, najpierw Gdańsk, ostatnio Poznań. Kacper jest trochę bardziej poukładany. Widujemy ich bardzo rzadko, raz na kilka miesięcy, czasem tylko raz na rok – żaliła się Balbina. – A odkąd Grażyna wyjechała, kontakt już prawie całkiem się urwał. Nie zaglądamy do nas, a i my jakoś tak nie mamy czasu tam jeździć, choć to przecież raptem piętnaście kilometrów.

– A wiesz, że Matylda ma synka dokładnie w tym samym wieku, co Łukasz? – pochwaliła się przyjaciółce Zuza. – W dodatku z tego samego dnia i miesiąca. Jutro obydwaj kończą po cztery lata.

Burgundowy dżip wrangler minął znak z napisem Korpniewo i gwałtownie zwolnił. Można się było domyślić, że za kierownicą siedzi Olga.

– Przepisy są po to, by ich przestrzegać, kochaniutka – powiedziała, gdy spostrzegła, że Zuza znów marszczy czoło. – Właśnie wjechałyśmy na teren zabudowany, jakbyś nie zauważyła.

– Przecież nic nie mówię. – Zuzanna uśmiechnęła się i potarła dłonią twarz.

*Kiedys jej za to przyłożę* – pomyślała.

Jadąc wolno, z otwartymi szybami, dziewczyny rozkoszowały się widokami małego miasteczka. Korpniewo zachwycało spokojem, urokliwymi brukowanymi uliczkami i zapachem bzu, który rósł prawie w każdym ogródku. Niska zabudowa, wysokie spadziste dachy i staroświeckie latarnie przy wąskich chodnikach sprawiały, że panowała tu atmosfera kameralnej, przytulnej miścinki. Zdawać się też mogło, że czas zatrzymał się tu już dawno temu. Brakowało tylko bryczek zaprzężonych w konie, takich, jakie Zuza często podziwiała na rynku Starego Miasta w Krakowie.

– To chyba tu. – Zuza wskazała na niewielki budynek z napisem: „Gdzie uzdrowisz swoje cztery kółka, jak nie u Kacpra?” – Zatrzymaj się po drugiej stronie, dobrze?

– Oryginalny szyld – stwierdziła Olga. – Ciekawe, czy ma dużo klientów? Tutaj prawie nie ma samochodów. Miałam wrażenie, że tylko my się toczyłyśmy tą ulicą.

*Trafna uwaga. Toczyłyśmy się* – pomyślała Zuza.

– Nakonieczna powiedziała, że na dole jest warsztat, a Kacper mieszka na górze. – Przez kilka długich chwil Zuza patrzyła na dom, co chwilę zmieniając w głowie scenariusz ewentualnego spotkania z bratem.

– Pójdiesz tam z własnej nieprzymuszonej woli, czy wolisz, żeby cię wykopać? – Olga szturchnęła ją i zgasła silnik. – Jeszcze trochę i z wykopywania będę mogła napisać doktorat. Mam w tym duże doświadczenie.

– A ja mam wrażenie, że w każdej dziedzinie jesteś najlepsza. – Zuzanna pokiwała głową z uśmiechem. – Poczekaj, zaraz wracam.

– Spokojnie, mamy dużo czasu. Nie spiesz się.

Zuza jeszcze przez moment wpatrywała się w okazały napis na budynku, po czym wzięła głęboki oddech i wysiadła z auta. Żwawo przeszła przez otwartą furtkę i rozejrzała się. Warsztat był czynny. Przez uchylone drzwi dostrzegła mężczyznę ubranego w szary roboczy

strój, mocującego się z kołem od zielonej furgonetki.

– Jacek! – krzyknął. – Bo mnie zaraz cholera weźmie! Przynieś mi porządny klucz!

Po chwili podbiegł do niego tak samo ubrany drugi mechanik – chyba uczeń, zważywszy, że nie miał więcej niż szesnaście lat – z dużym narzędziem w ręku.

– Ten, szefie? – zapytał, sapiąc.

– Pokaż! – Młody mężczyzna odwrócił głowę w kierunku ucznia i wtedy Zuza lepiej mogła się przyjrzeć jego twarzy, na której widok uśmiechnęła się do siebie.

*Ładnego mam brata* – pomyślała dumnie. – *To musi być Kacper.*

– Daj, sprawdzimy. – Mężczyzna wziął do ręki drugi klucz. – Pomóż mi. Tak to jest, kiedy ludzie zmieniają opony od wielkie go dzwonu. Temu dopiero na koniec maja przypomniało się o letnich, a na tych musiał chyba jeździć kilka lat. – Przykucnął i nasadził klucz na dużą śrubę koła. – Nie, no... Szlag mnie trafi! Ani drgnie!

– Przepraszam! – Zuza wsadziła głowę w drzwi. – Dzień dobry! Czy mógłby mi pan pomóc? – zwróciła się do starszego chłopaka.

Kacper podniósł głowę i na widok nieznajomej zerwał się na równe nogi. Wytarł ręce brudne od smaru w roboczy uniform i wyszedł na zewnątrz. Oczy mu zabłyśły na widok samochodu Olgi, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

– Popsuło się pani takie cacko? – zapytał. – To przecież nówka sztuka.

– Nie – uśmiechnęła się Zuzanna. – Chciałam tylko zapytać, jak wyjechać na główną drogę. Tyle tu pokrętnych uliczek i żadnego oznakowania – skłamała.

– A, to zaraz... – Usłyszała nutkę zawodu w jego głosie. – Przy kościele w prawo, a dalej droga już sama zaprowadzi.

Zuzanna podziękowała i wróciła do samochodu.

– Co, już? – zdziwiła się Olga.

– Tak. Jedź. Będę się tłumaczyć po drodze.

Olga przekręciła kluczyk w stacyjce i... Nic! Silnik milczał, za to nagle zapaliły się wszystkie możliwe kontrolki na desce rozdzielczej, które nie chciały zgasnąć nawet po wyjęciu kluczyka.

– Co ty zrobiłaś? – zapytała zaskoczona Zuza.

– Ja? Mówiłam ci, żebyś nie zapeszyła. A teraz, proszę – Olga z pretensją spojrzała na przyjaciółkę. – Nie wiem, co się stało, ale chyba musisz lecieć po tego mechanika.

Zuza nie musiała po nikogo lecieć, ponieważ Kacper stał wciąż przed warsztatem. Zorientował się, że dziewczyny mają problem i sam do nich podszedł.

– To tylko zakłócenia z nadajnika sieci komórkowej – zdiagnozował błyskawicznie. – Czasami tak się zdarza, a pani postawiła samochód bardzo blisko wieży. Na tym maszcie – wskazał do

góry ręką – znajdują się trzy anteny. – Poprosił o otwarcie klapy silnika i zajrzał pod maskę. – Ostatnio operator zwiększył moc i zaczął pracować na innej częstotliwości, przez co ciągle mamy problemy. Ludzie skarżą się na różne dolegliwości i dziwne zachowanie urządzeń domowych. Gmina już dawno obiecała, że się tym zajmie, ale jakoś do tej pory nic z tym nie zrobiono. – Odłączył akumulator i po chwili przypiął go z powrotem.

– Proszę. Gotowe. Wystarczyło zresetować komputer – powiedział, zatraskując klapę. – Na przyszłość lepiej unikać takich miejsc.

– To chyba musi mieć pan przez to dużo pracy – zauważyła Olga.

– Roboty rzeczywiście jest sporo. Po prostu mam szczęście, że to jedyny warsztat w miasteczku. Niektórzy przyjeżdżają nawet z Zambrowa – pochwalił się. – Ale takie samochody jak ten pani dżip są tutaj naprawdę rzadkością.

Olga uśmiechnęła się.

– Ile jestem panu winna? – zapytała, sięgając do torebki.

– Drobiazg – odparł. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Odwzajemnił uśmiech i odwrócił się do Zuzanny. Przez cały czas na nią zerkał i nad czymś się zastanawiał.

– Czy my się przypadkiem kiedyś nie spotkaliśmy? – zapytał. – Mam wrażenie, że już gdzieś panią widziałem.

– Ludzie często mnie z kimś mylą – odpowiedziała, zakładając okulary przeciwsłoneczne. – Ja w każdym razie widzę pana po raz pierwszy.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś? – zdziwiła się Olga, gdy ruszyły w drogę powrotną do domu. – Bardzo sympatyczny z niego chłopak.

– No, fajny – Zuza z zadowoleniem przytaknęła przyjaciółce. – Nie mogłam mu powiedzieć, bo to nie był dobry moment. Do takiej rozmowy trzeba się odpowiednio przygotować.

– To po coś mnie tam zaciągnęła? Żeby mi się samochód zepsuł?

– Chciałam go tylko poznać i zobaczyć, jak wygląda.

– Kochaniutka. – W głosie Olgi słychać było pretensję. – Następnym razem nie licz na mnie. Nigdzie z tobą nie pojedę.

– Przecież i tak wiem, że pojedziesz – uśmiechnęła się Zuza.

Łukasz już spał, kiedy wróciła do domu. Miała wyrzuty sumienia, że ostatnio poświęca mu mniej czasu niż zwykle i obiecała sobie, że to zmieni. W jego pokoju na stole zostawiła prezent urodzinowy – zapakowany w duży karton kilkupoziomowy garaż na całą masę resoraków, które ciągle walały się po domu. Łukasz często wspominał, że chciałby mieć taki garaż. Pomyślała więc, że zrobi mu miłą niespodziankę.

Zuza zamieniła jeszcze parę zdań z Hercami i poszła spać. Nie miała ochoty długo z nimi

siedzieć, ponieważ jeszcze przed snem chciała przetrwać w myślach dzisiejszy wyjazd, a przede wszystkim spotkanie z Balbiną Nakonieczną i młodym Wołoszycem.

– Mamo, mamo! Obudź się! – Zuzanna usłyszała swoje dziecko i otworzyła oczy.

– Mamo! Wstań! – Łukasz szarpał za kóldrę.

Spojrzała na zegarek. Była szósta rano.

– Co się stało, syneczku? – Usiadła zaspana na łóżku.

– Chodź, coś zobacysz! – Malec był mocno podekscytowany.

– Co takiego, Łukaszku? – zapytała, choć już zdążyła się zorientować, o co mu chodzi.

– Chodź, mamo, zobaczysz, co mi kupiłaś!

## ROZDZIAŁ VII

Kiedy w poniedziałek rano Zuzanna przyjechała do pracy, wszystko wydawało się w należyтым porządku. Strażnik otworzył jej drzwi z uśmiechem, na dole kasjerki zachowywały się zupełnie normalnie, jakby nikt już nie pamiętał, że jeszcze w piątek panowała tu co najmniej dziwna atmosfera. Zuzanna pomachała wszystkim i wsiadła do windy.

Na czwartym piętrze przyłożyła swój identyfikator do czytnika kodów. Za przeszklonymi drzwiami był nieduży hall, gdzie na wprost pod samym oknem znajdował się mały kontuar, przy którym recepcjonistka właśnie kwitowała kurierowi odbiór dokumentów. Po lewej stronie długi korytarz prowadził do licznych pokoi zajętych przez informatyków, dziewczyny z księgowości, analityków i dział marketingu. Tutaj też był sekretariat i gabinet dyrektora. Po prawej znajdowała się ta część banku, gdzie pracowali przedstawiciele bankowi, zwani też sprzedawcami lub doradcami.

– Jest coś dla mnie? – Zuzanna rzuciła pytające spojrzenie dziewczynie za kontuarem.

– Piętnaście minut temu był tu ten twój wielbiciel. Prosił, żeby ci to przekazać. – Recepcjonistka podała Zuzannie małą kopertę.

*Pani Zuzanno, żywię głęboką nadzieję, że nie pozbawi mnie Pani swojego uroczego towarzystwa.*

*A to na szczęście :)*

*Z wyrazami szacunku*

*Aleksander Nadarzewski*

Do liściku było dołączone zaproszenie na premierę *Anny Kareniny* do Teatru Wielkiego i zasuszona czterolistna koniczyna.

*On jest niemożliwy.* – Zuzanna uśmiechnęła się do siebie. – *Chyba trzeba będzie z nim pójść.*

Schowała kopertę do torebki i poszła do swojego biurka.

Sala doradców miała około stu metrów kwadratowych. Była to otwarta przestrzeń biurowa, tak zwany *open space*, podzielona na boksy kuriozalnymi ściankami działowymi, dającymi iluzję prywatności. Taki model aranżacji wnętrz obowiązywał w siedzibach wielu firm, które uważały się za postępowe. Podobno w ten sposób buduje się tożsamość firmy i tworzą się silniejsze więzi międzyludzkie. Niestety tego typu rozwiązania były męczące dla samych pracowników. Nieustanny hałas sprawiał, że ludzie nie mogli się skupić na własnych zadaniach. Poza tym deprymująco wpływał na nich fakt, że każdy mógł zobaczyć, co robią i posłuchać, o czym rozmawiają przez telefon. Niektórzy uważali to za wyraz braku zaufania.

Zuzanna była w najlepszej sytuacji ze wszystkich doradców. Jej boks mieścił się zaraz na początku sali i zajmował całą niewielką wnękę przy oknie, gdzie stało biurko i kontenerek na dokumenty. Nikt nie mógł ukradkiem za jej plecami przyglądać się ekranowi jej komputera, nie miała z boku sąsiadów, za to gdy stała, mogła zobaczyć całą salę.

Rozejrzała się. Na dwadzieścia stanowisk zajętych było tylko kilka. Krzesło Marka było puste. Chciała go przeprosić i porozmawiać o tej piątkowej aferze. Zuza omiotła wzrokiem salę w poszukiwaniu Goški. Jej też nie było. Za to w drzwiach ujrzała Żanetę.

– Jak masz chwilę, to chodź. Dyrektor chce z tobą rozmawiać.

– Żanetka, co się tu dzieje? – spytała Zuza, gdy szły długim korytarzem do gabinetu Małego. – Co to za afera?

Młoda sekretarka chrząknęła i o mało nie wywinęła orła, gdy jej dwunastocentymetrowy obcas zawadził o brzeg wykładziny. Całe szczęście, że Zuza zdążyła przytrzymać ją za ramię.

– Dzięki – sapnęła dziewczyna i chwiejąc się na wysokich szpilkach, otworzyła drzwi do sekretariatu. – Nic nie mogę ci powiedzieć, bo nic nie wiem – dodała.

– Oczywiście. – Suchy ton w głosie Zuzanny świadczył o tym, że jest dokładnie przeciwnego zdania.

Mały bujał się w skórzanym dyrektorskim fotelu, z głową na oparciu i wzrokiem wlepionym w sufit.

– Dobrze, że jesteś, wejdz – powiedział na widok Zuzanny. – Musimy pogadać.

Dziewczyna usiadła na kanapie i przez chwilę wpatrywała się w zamyśloną twarz dyrektora. Andrzej Małecki miał około czterdziestu lat, był szczupły, niski i brzydki. Po banku chodziły słuchy, że ma romans z młodą sekretarką.

*Co ta Żaneta w nim widzi?* – zastanawiała się Zuza. – *Kurdupel z kulfoniastym nosem i zezowatym spojrzeniem. Do tego jeszcze te dziury na twarzy po nigdy niewyleczonym trądziku. Ble!*

– Potrzebuję nowego kierownika – zaczął.

– Czy to ma coś wspólnego z Arletą Budryk?

– Z Arletą? Dlaczego tak sądzisz? – Mały na chwilę zmarszczył czoło, po czym się uśmiechnął.

– Wiem, że jej nie znosisz, ale wybaczone, to nie powód, aby ją zwalniać.

– Nie, no, jasne – wtrąciła. – Pomyślałam tak, bo... Szukałam jej w piątek, jej telefon był wyłączony i ktoś mi powiedział, że Arleta już tu nie pracuje – skłamała. – To prawda?

– Kto tak powiedział?

– Nie pamiętam. – Wzruszyła ramionami. – Miałam cię nawet o to zapytać, ale byłeś na spotkaniu z prezesem. – Spojrzała na niego. – A może przez to całe zamieszanie tylko się przesłyszałam. – Wykrzywiła usta w uśmiechu.

*Co ty chrzanisz, Zuza?* – zganiała się w myślach.

– Arleta od piątku jest na urlopie, więc przez jakiś czas nie będziesz musiała jej oglądać. Poza tym – wstał i usiadł na kanapie naprzeciwko niej – mam nadzieję, że się zgodzisz. Od jutra twoim bezpośrednim przełożonym będę ja.

– Słucham? – Zuza uniosła wysoko brwi.

– Musimy zwiększyć sprzedaż. Zarządzenie odgórne. Prezes chce też usprawnić działanie kredytów hipotecznych. Widzisz, jak kuleją.

– Bo nikt się nie pofatygował, aby zająć się profesjonalnym szkoleniem – odpowiedziała z wyrzutem. – Dla kogoś, kto nie ma o tym zielonego pojęcia, dwugodzinny instruktaż to zdecydowanie za mało.

– Dlatego chciałbym, abys się tym zajęła.

– Ja? – Spojrzała na niego zdumiona. – Dlaczego akurat ja?

– Mój komputer się nie myli. – Uśmiechnął się, wskazując palcem na swoją skroń. – Wybrał ciebie, bo się na tym znasz. Bo jesteś najlepsza.

Zuza milczała.

– Przeglądałem twoje akta – ciągnął dyrektor. – Bankowość i zarządzanie skończyłaś z wyróżnieniem, pracę magisterską pisałaś o kredytach hipotecznych, w dodatku jesteś szkoleniowcem. Ciekawe, czemu wcześniej o tym nie wiedziałem? – powiedział jakby do siebie. – Jesteś dobrym doradcą, klienci cię cenią, koledzy słuchają. Jeśli mają problem, zwracają się do ciebie. I robisz najwięcej hipotek. Sama widzisz.

– Sama nie wiem – odezwała się. – Kierowanie zespołem to nie na moją głowę.

– Zuza! Nie lekceważ siebie. Nie ma w tym oddziale lepszej osoby na to stanowisko. Chcę, żebyś stworzyła drużynę doradców, którzy profesjonalnie zajmą się sprzedażą kredytów hipotecznych. Naucz ich tego. Wiem, że świetnie sobie poradzisz.

Była zaskoczona. Awans? Brzmiało fajnie, ale wiązało się z dużym nakładem pracy, przez co na pewno skurczy się jej cenny czas, który oszczędzała dla Łukasza i na malowanie.

*Awans? Propozycja kusząca, ale czy warta tej ceny?* – zastanawiała się.

Do tej pory była odpowiedzialna tylko za siebie, pracowała tyle, ile uznawała za wystarczające, właściwie sama decydując, ile zarabia, i miała dużą swobodę. Najważniejsze, żeby plan

sprzedażowy został wykonany.

Inaczej było z kierownikami. Oni mieli tyle na głowie, że brakowało im czasu na podrapanie się w tyłek.

*Cotygodniowe raportowanie na dywaniku dyrektora, nudne debaty przy wdrażaniu nowych produktów, pilnowanie planów sprzedażowych?* – Zuza dłuższą chwilę analizowała wszystkie za i przeciw.

– Dzięki, ale to nie dla mnie – odezwała się w końcu. – Poszukaj kogoś innego.

Tego samego dnia po południu umówiła się z Olgą w Galerii Mokotów. Zjadły szybki obiad i postanowiły pobuszować po sklepach. Łukasz z zatrwającą prędkością wyrastał z ubrań, poza tym Zuza chciała poprawić sobie humor pójściem do fryzjera i kupić jakąś fajną bluzkę. Zakupy zawsze mają zbawienny wpływ na samopoczucie. Wie o tym każda kobieta.

– Odrzuciłaś awans? – Olga z niedowierzaniem spojrzała na przyjaciółkę. – Chyba ci rozum odjęło. Wracaj tam zaraz, powiedz, że przemyślałaś sprawę i że się zgadzasz.

– Olga. – Zuza spojrzała na nią z uśmiechem, przesuwając wieszaki z białymi bluzkami. – Przecież nie jest mi to potrzebne do szczęścia.

– Ty chyba zwariowałaś. Wiesz, co to jest awans? To jest prestiż, kochaniutka. Podają ci na tacy taki smakołyk, a ty z niego rezygnujesz?

– Widać, odjęło. – Zuza zaśmiała się. – Mnie jest dobrze tak, jak jest.

– Przepraszam. – Olga, trzymając wieszak ze spodniami, zwróciła się do dziewczyny z obsługi. – Czy mogłabym...

– Te nie będą na panią pasować – nie dała jej dokończyć sprzedawczyni. – Będą za małe.

Olga obrzuciła dziewczynę wściekłym spojrzeniem i ze złością odwiesiła spodnie na miejsce.

– Co za obsługa. – Pociągnęła Zuzannę za rękę. – Idziemy stąd.

Zanim Zuza się spostrzegła, były już na zewnątrz.

– Widziałaś? Widziałaś, jak mnie potraktowała? – Olga aż kipiała. – Co ona sobie myśli? Wielka znawczyni. Jakby miała miarkę w oczach. Przecież nawet nie usłyszała, o co chciałam zapytać.

– Wyluzuj. – Zuza łagodnie objęła ją ramieniem. – Wyluzuj. Dziewczyna pewnie chciała zabłysnąć, tylko trochę jej nie wyszło.

– Też mi coś! – Olga sięgnęła do torebki po chusteczkę.

Zuza zauważyła, że przyjaciółka ma załzawione oczy.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem. – Płaczesz? Chyba nie przez tę dziewczynę.

Olga wytarła twarz.

– Nic! – odburknęła. – Nic się nie stało.

Mimo zapewnień przyjaciółki Zuzanna była przekonana, że coś ją gryzie. Olga zazwyczaj tak się nie zachowywała. Mogła być wściekła, ale nie płakałaby przez byle sprzedawczynię. Zuzanna nie naciskała jednak. Wiedziała, że prędzej czy później Olga to z siebie wyrzuci.

– Zobaczymy, czy jest Gracjan? – Zuza wzięła ją pod rękę. – Poprawimy sobie humor.

Olga skinęła potakująco głową.

Gracjan był ich ulubionym fryzjerem. Świetnie strzygł i jeszcze lepiej czesał. Pracował w niedużym salonie w Galerii Mokotów i jak na dobrego fryzjera przystało, był gejem. Dziewczyny uwielbiały słuchać, z jaką czułością opowiada o swoim chłopaku, jak kupowali razem samochód czy urządzali mieszkanie. A przy tym był bardzo zabawny. Opowiadał tak fajnie, że zapominało się o swoich rozterkach. Ale przede wszystkim dawał sobie radę z włosami Zuzanny, co nie było łatwe.

– Dzień dobry. – Zuza pierwsza weszła do salonu. – Mamy szansę dostać się dziś do Gracjana? – zapytała pierwszą z brzegu fryzjerkę, która właśnie sprzątała swoje stanowisko pracy.

– Gracjan ma dzisiaj wolne – odpowiedziała. – A ja pani nie wystarczę? Co ten chłopak ma w sobie, że wszystkie chcą być jego klientkami?

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

– Właściwie to... – Zuza chwilę się zastanowiła. – Czy ja wiem?

– Co pani chciała? Obciąć? Uczesać? – Fryzjerka stanęła przed Zuzą z rękami na biodrach.

– Wystarczy uczesać.

Kobieta objęła dłońmi loki Zuzanny, jakby chciała je spiąć w kucyk i puściła je jak oparzona.

– A idź mi pani z takimi włosami. Nie, nie. Na takie włosy nie mam czasu.

– Pani sobie żartuje, prawda? – zapytała zdumiona Zuzanna. – Co jest nie tak z moimi włosami?

– Tyle czasu to ja nie mam. – Fryzjerka odwróciła się do nich plecami i odeszła.

Olga nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Zuza przez chwilę stała jak wryta, po czym odwróciła się do przyjaciółki.

– Słyszałaś, co ona powiedziała? Jaka bezczelna!

– Słyszałam – chichotała Olga. – Zakupy nam nie wyszły. Fryzjer też nie. Może uda się chociaż wypić kawę. Jakiś ekspres do kawy musi tu gdzieś działać. Chodź!

W małej kawiarence na piętrze zajętych było tylko kilka stolików. Dziewczyny zamówiły po dużej latte z lodami i po gigantycznym bezowym ciachu. A co? Jak szaleć, to na całego. Zresztą raz na jakiś czas można ulec takiej maleńkiej pokusie. Zuza wychodziła z założenia,



że lepiej grzeszyć, a potem żałować, niż żałować, że się w ogóle nie grzeszyło.

– Aleśmy sobie poprawiły humor, co? – odezwała się, nabierając z filiżanki kopiastą łyżeczkę bitej śmietany. – Mmm... pycha.

– Przez chwilę było nawet wesoło – odparła Olga. – Gdybyś jeszcze przyjęła ten awans...

Zuza spojrzała na nią z figlarnie przymrużonymi oczami.

– Miałabym przepuścić taką okazję?

– Kochaniutka! – Olga wykrzywiła usta w irytacji. – Znowu to robisz. Wiesz, jak tego nie cierpię.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– No to ci się udało, a teraz nawijaj.

Początkowo Zuzanna nie miała zamiaru przyjmować propozycji Małego, ale gdy zaczął nalegać, rozmowa przyjęła zupełnie inny obrót.

– Co mam zrobić, żebyś się zgodziła? – zapytał.

*Teraz mówisz do rzeczy – pomyślała. – Sprawdźmy zatem, jak dużo jestem w stanie wywalczyć.*

– Na wdrożenie hipoteki potrzebuję kilka miesięcy, powiedzmy do końca września. Do tego czasu moi doradcy będą mogli sprzedawać wszystkie produkty jak do tej pory – zaczęła negocjacje.

– Da się zrobić – odparł bez wahania.

– Ja również będę mogła sprzedawać. Za taką samą prowizję.

– Okej. – Nawet nie mrugnął.

– Do swojego zespołu będę mogła wciągnąć pięciu doradców z dotychczasowej ekipy, tych, którzy najlepiej znają się na hipotekach.

Małecki podrapał się po głowie. Takie praktyki nie były stosowane. Każdy nowy kierownik musiał sobie zbudować cały zespół od podstaw. Zuza doskonale o tym wiedziała.

– Mogę dać ci tylko dwóch – odpowiedział po chwili namysłu.

– Trzech – targowała się.

– Niech ci będzie. – Wziął do ręki zeszyt i zapisał trzy nazwiska, które mu podała. – Arleta nie będzie zadowolona.

– Nie będę jej pytać o zdanie. – Założyła nogę na nogę. – Jeszcze tylko kwestia biura.

– Oczywiście będziesz miała do dyspozycji pokój kierowników.

– Mam inną propozycję. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Chciałabym, aby mój zespół miał

osobną salę do pracy. Razem ze mną. W *open space* nie da się normalnie pracować.

– A skąd ja ci niby mam wytrzasnąć taką salę?

– Na dole przy wejściu jest spore pomieszczenie. Kiedyś było zajęte przez dziewczyny z infolinii, dopóki nie przeszły do centrali, pamiętasz? Teraz jest tam magazyn na stare meble. Szkoda takiej salki. Chętnie ją zagospodaruję. – Uśmiechnęła się.

Mały westchnął.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Zapisał coś w zeszycie. – Zupełnie o niej zapomniałem.

– I jeszcze jedno. – Spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Tak?

– Wywalisz Arletę.

– Nie przeginaj. – Pogroził palcem.

– Żartowałam.

Olga słuchała, wcinając ciacho.

– I to rozumiem – powiedziała. – Grzeczna dziewczynka.

Rozmowę przyjaciółek przerwała nagle głośna dyskusja pomiędzy młodą kobietą i jej synem. Na oko miał dziesięć lat. Stali niedaleko, więc nie sposób było ich nie usłyszeć. Chłopiec miał naburmuszoną minę, a matka coraz bardziej podnosiła głos.

– Przestań tak jęczeć! – mówiła. – Obeszliśmy już chyba wszystkie sklepy, nic ci się nie podoba. Buty – nie ta marka, spodnie do bani, dres obciachowy, koszula wieśniacka, skarpety badziewne, plecak tandetny, majtki, jak je nazwałeś, bublowate? Mam już dosyć, rozumiesz? Następnym razem niech się ojciec z tobą męczy. Ja już nie mam siły.

– Mamo, ale w tych sklepach naprawdę nic dla mnie nie ma.

W tym momencie przy stoliku za plecami Zuzanny odezwał się starszy mężczyzna.

– Słyszała pani? – mówił do kobiety siedzącej naprzeciw niego. – Dzieciom, proszę pani, to już się całkiem we łbach przewracało. Mają wszystko, co chcą, a i tak ciągle im mało. Jakbym takiego wytargał za uszy...

– W zupełności się z panem zgadzam – odpowiedziała ona donośnym głosem. – Za naszych czasów na półkach był tylko ocet. Wszystko inne trzeba było sobie wystać w gigantycznych kolejkach.

Chłopak przez chwilę wsłuchiwał się w rozmowę starszych państwa, po czym zwrócił się do matki.

– Słyszałaś, mamo, większą bujdę? Przecież to niemożliwe, żeby w całej Galerii Mokotów na półkach był tylko ocet.

## ROZDZIAŁ VIII

– *Tęskniłam za tobą, Basiu.* – Zuzanna wyciągnęła przed siebie ręce. – *Jak dobrze, że jesteś. Chcę cię objąć jak kiedyś. Chcę się do ciebie przytulić.*

– *Zuzik, skarbeńku, jestem* – głos Basi był łagodny i ciepły. – *Chodź do mnie, wypłacz się.*

Zuza, szlochając, wpadła w objęcia przyjaciółki i mocno przytuliła się do jej policzka. W jej włosach poczuła zapach słońca i wiatru.

– *Już dobrze, skarbeńku.* – Basia pogładziła ją po brązowych lokach. – *Wszystko będzie dobrze.*

– *Co ja mam robić, Basiu?* – Zuza odsunęła się od niej i spojrzała w jej bladobłękitne oczy. – *Ty zawsze wiedziałaś, co robić. Powiedz mi.*

– *Zuzik, po prostu żyj.* – Twarz Basi rozpromieniła się w uśmiechu.

– *Ale ja nie wiem jak.*

– *Zuziu, rób tak, jak podpowiada ci twoje mądre serce.*

– Gdyby moje serce było naprawdę mądre, nie pozwoliłoby mi przyjąć tego pieprzonego awansu – uderzyła pięścią w budzik, kiedy zerwał ją ze snu o szóstej rano. Była wściekła na siebie, że go w ogóle nastawiła. Przecież w sobotę nie musiała się tak wcześnie zrywać. Przytuliła głowę do poduszki w nadziei, że przerwany sen powróci. Zamknęła oczy i myślała o Basi. Ale nic z tego. Do sypialni wpadł Scooby, wskoczył na łóżko i zaczął lizać Zuzannę po twarzy. Z trudem zepchnęła go na podłogę.

– *Siad!* – nakazała. – *Jak obudzisz Łukasza, marny twój los.* – *Leż tutaj i daj jeszcze pospać.*

Pies grzecznie ułożył się na dywanie, ale o ciszy nie było mowy. Skamlał, dopóki Zuza nie wypuściła go na podwórko.

– *No to sobie pospałam.* – Weszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy.

Czekając, aż maszyna napełni filiżankę, Zuzanna spojrzała na sztalugę rozstawioną w kącie salonu. Podobrazie raziło białą plamą. Uśmiechnęła się do siebie. Kochała to uczucie, które rodziło w niej potrzebę malowania. Płótno domagało się barw tak, jak dusza domagała się oczyszczenia. Zamknęła na chwilę oczy i nagle poczuła strach. Przed czym? Nie rozumiała tego. Ten strach był silniejszy od niej. Nie mogła nad nim zapanować. Chwyliła gorącą kawę i wyszła na taras. Zachłannie nabrała w płuca świeżego porannego powietrza.

*Co się ze mną dzieje?* – pomyślała. – *Co się dzieje z moją malarską duszą?*

Spojrzała przed siebie.

– *Zamglony horyzont, pejzaż ogarnięty ciszą...* – mówiła głośno do swoich myśli. – *Słońce przenika między konarami drzew, drobne liście tańczą, odbijając światło jak w obrazach impresjonistów. Boże, pozwól mi móc zatrzymać tę chwilę.*

Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Chwilę siedziała na schodach, to znów chodziła boso po

ogrodzie. Ktoś kiedyś napisał: „ból duszy”. Ona czuła ból w każdej komórce swojego ciała, jakby palił ją żywy ogień.

*Dlaczego nie mogę malować? Dlaczego nie mogę wyrzucić z siebie tych cholernych emocji?*

Z nietkniętą zimną kawą wróciła do domu. Jeszcze raz spojrzała na sztalugę i rozpostarte płótno.

*Czy to ma być koniec mojego malowania? O, nie!*

Usiadła, wyciągnęła farby i rozłożyła je przed sobą. Wzięła do ręki pędzel. Grafit. Czerń. Ciemne barwy zaczęły rozplýwać się na białym płótnie. Niekontrolowana kreska sama prowadziła rękę Zuzanny. Jakby to było poza nią. Czerwień. Jej ból. Napływające do oczu łzy rozmywały obraz, ale ręka nie przestała malować, dopóki nie nadeszło upragnione oczyszczenie. I ulga.

Odkąd Zuzanna dowiedziała się, że jej biologiczny ojciec był malarzem, taka sytuacja powtarzała się często. Kiedy spoglądała na sztalugę, kielkowała w niej potrzeba malowania. A potem pojawiał się strach. I wtedy dawała za wygraną. Czyżby bała się, że nie dorówna ojcu? Ale dlaczego? Przecież nawet go nie znała. Do tej pory malowanie było dla niej takie spontaniczne. Zawsze potrafiła przelać na płótno swoje myśli, swoje emocje. Kiedy była szczęśliwa i kiedy była przerażona. Po prostu siadała i malowała.

Całą sobotę spędziła z Łukaszem. Grała z nim w piłkę, bawiła się w chowanego, czytała mu książeczki i oglądała jego ulubioną bajkę *Scooby, gdzie jesteś*.

Wieczorem przyszła Olga.

– No, no, ślicznie wyglądasz – pochwaliła przyjaciółkę. – Przyznaj się, jedziesz do teatru czy na randkę?

– A nie można połączyć jednego z drugim? – Zuza uśmiechnęła się, poprawiając fryzurę. – Mnie też przecież coś się od życia należy, prawda?

Miała na sobie czarną wąską sukienkę do kolan, z głębokim dekoltem, seksownie opinającą jej smukłą sylwetkę. Wąskie ramiączka odsłaniały ramiona. Na szyi złota przywieszka w kształcie serca harmonijnie komponowała się z delikatnymi kolczykami i bransoletką, a wysokie obcasy jeszcze wydłużyły jej zgrabne nogi.

– Dobrze go znasz? – Olga usiadła na sofie, krytycznie spoglądając na strój sąsiadki.

– Ma trzydzieści sześć lat i jest wdowcem, mówiłam ci. Jest miły, sympatyczny i lubię jego towarzystwo.

– Aha. – Olga pokiwała głową. – To wszystko?

– Znam jeszcze jego numer PESEL-u.

– Okej. – Olga wzięła na kolana Łukasza. – Ale pewnie nie jest fajniejszy od Maksa.

– Uwierz mi, że jest. – Zuza spojrzała w lustro, po czym odwróciła się do przyjaciółki. – No co? Może być czy mam się przebrać?

– Wyglądasz super. Powiedziałabym nawet, że aż za bardzo. Okryj tylko czymś te gołe ramiona, bo jeszcze nam się przeziębisz.

Przed Teatrem Wielkim było mnóstwo ludzi. Zanim jednak Zuza zdążyła pomyśleć, w jaki sposób odnajdą się w tym tłumie, Nadarzewski wyrósł przed nią jak spod ziemi.

– Cieszę się, że panią widzę, pani Zuzanno. – Rozpromienił się na jej widok. – Wygląda pani prześlicznie, jak królewna.

*Chyba na ziarnku grochu* – uśmiechnęła się w duchu. – *Albo raczej na niewygodnych obcasach.*

– Witam pana. – Podała mu rękę. – A właściwie, może przeszlibyśmy na ty?

– Aleksander. – Przycisnął usta do jej dłoni. – Albo jak pani woli, po prostu Aleks.

– Zuza. – Uśmiechnęła się.

\*

Pierwszy rząd, środkowe miejsca – najlepsze. Aleksander przytrzymał siedzisko fotela.

– Dziękuję. – Posłała mu delikatny uśmiech i usiadła.

– To ja dziękuję – szepnął jej nad głową. – Że przyszłaś.

– Czasem trzeba się odchamić – stwierdziła.

– Jesteś urocza, kiedy tak mówisz.

Zuza nieśmiało odwzajemniła jego uśmiech i nakręciła sobie na palec pukiel włosów. Która kobieta nie lubi komplementów?

Zgasło światło, kurtyna poszła w górę. Zuzanna w napięciu wyczekiwała pierwszych tancerzy.

*Annę Kareninę* czytała kilkakrotnie. Za każdym razem wzruszała się i płakała nad losem bohaterki, której delikatna, namiętna natura nie mogła się odnaleźć w rosyjskiej rzeczywistości dziewiętnastego wieku.

A teraz Zuza z zaciekawieniem wpatrywała się w scenę Teatru Wielkiego, na którą zostało przeniesione to literackie arcydzieło wybitnego rosyjskiego powieściopisarza.

Po spektaklu Aleksander zaprosił ją na kolację do pobliskiej restauracji. Nie odmówiła. Po drodze cały czas opowiadała o spektaklu.

– Cieszę się, że ci się podobało. – Aleks podsunął jej krzesło i gestem przywołał kelnera.

– Podobało się – to za mało powiedziane. Jestem oczarowana. Rewelacyjna choreografia, cudownie tańczący artyści. W niektórych momentach wydawało mi się nawet, że unoszą się w powietrzu. Cudowne! – mówiła z zachwytem. – Sceny były urzekające, takie nasycone emocjami. Niektóre co prawda trochę naiwne, choćby ta z kwitnącym sadem wiśniowym, ale olać to – machnęła ręką. – Jeśli o mnie chodzi, całościowo: pierwszy sort.

– Jesteś niesamowita. – Aleksander pokręcił głową.

Kelner przyniósł karty i zaproponował wino. Zamówili tylko sałatki, dziękując za alkohol. Oboje przyjechali samochodami.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz balet.

– Kiedyś trochę grałam w teatrze. W szkolnym teatrze – poprawiła się.

– Jestem pod wrażeniem.

– Uwielbiam tę atmosferę – kontynuowała – kostiumy, emocje, niepowtarzalny nastrój. To wszystko, co sprawia, że zagłębiasz się w inną rzeczywistość i przez chwilę możesz być kimś innym, niezależnie od tego, czy grasz, czy jesteś tylko widzem. Potem albo tęsknisz za takim życiem, albo cieszysz się, że twoje własne, choć pełne problemów i przykrych niespodzianek, jest dużo mniej skomplikowane niż to, w których przez chwilę uczestniczysz.

– Czemu w takim razie nie zostałam aktorką?

*Bo jestem malarką* – pomyślała. – *Tak czuję.*

– To nie dla mnie. – Przysunęła do siebie talerz z sałatką, który właśnie postawił przed nią kelner. – Chociaż czasami może być zabawne. – Uśmiechnęła się.

Jej przygoda z teatrem zaczęła się w pierwszej klasie liceum, kiedy to polonistka kazała im nauczyć się na pamięć sporego fragmentu *Pana Tadeusza*. W czasie gdy Zuza, stojąc pod tablicą, recytowała swój wykuty na blachę kawałek, dzwonek oznajmił koniec lekcji. Przerwała zatem, wiedząc, że jej koledzy tylko na to czekają i za chwilę nikogo już w sali nie będzie. Jakież było jej zdumienie, kiedy nie usłyszała szurania odsuwających się krzesel, a zamiast tego zobaczyła twarze swoich kolegów i koleżanek wpatrzonych w nią tak, jakby byli zahipnotyzowani. Posłała nauczycielce pytające spojrzenie, a ta tylko się uśmiechnęła i gestem dała jej znak, żeby mówiła dalej.

Owacje na stojąco. W życiu by się tego nie spodziewała. Zuza znała swoje umiejętności recytatorskie, w podstawówce często ją za to chwalono, ale jak dotąd nie wywarła na swojej klasie takiego wrażenia. Potem polonistka zaproponowała jej wstąpienie do kółka teatralnego, które sama prowadziła.

Przez cztery lata bawiła się więc w aktorkę, a teraz uśmiechała się na wspomnienie tamtych prób i przedstawień.

– Najbardziej utkwiły mi w pamięci *Igraszki z diabłem* – powiedziała do Aleksandra. – Przewabna komedia i moja pierwsza premiera. Boże, co to było za przeżycie – zamknęła na chwilę oczy, przypominając sobie tamte czasy. – Widownia wypełniona po brzegi, a za kulisami wielkie emocje.

– Widownia, kulisy, hmm... – wtrącił Nadarzewski – to brzmi jak prawdziwy teatr, a nie jak szkolne przedstawienie na sali gimnastycznej.

– Bo to był prawdziwy teatr – odparła Zuza. – Najprawdziwszy. Mąż naszej profesorki był reżyserem w teatrze lalek, dzięki czemu mogliśmy u niego wystawiać nasze spektakle. Przychodzili na nie uczniowie i nauczyciele z różnych średnich szkół i oczywiście z naszego

liceum.

– To już brzmi naprawdę poważnie. – Pokiwał głową z uznaniem.

– A coś ty myślał? – spojrzała na niego z powagą. – Wszystko było jak najbardziej serio. Emocje, stres... Pamiętam, że wtedy, kiedy graliśmy *Igraszki* – mówiła dalej – biegaliśmy za kulisami jak w amoku. Asystentką reżysera, to znaczy Świderskiej, była jej córka Magda i to ona zazwyczaj kierowała ruchem: „Teraz ty wychodzisz! Pamiętaj, co masz mówić? Uważaj na sznur po prawej stronie, żeby się nie przewrócić”. Przez cały czas była najbardziej opanowana z nas wszystkich, ale ją również w końcu dopadł stres. Ze zdenerwowania za daleko przerzuciła kartki scenariusza i wepchnęła Anioła do piekła o cały akt za wcześnie.

– Co pewnie poskutkowało tym, że piekło rozpętało się u was – wywnioskował rozbawiony Aleksander.

– Prawie. – Uśmiechnęła się zadowolona, że jej rozmówca uważnie ją słucha. – Profesorka krzyknęła tylko: „Hubert, a ty dokąd?”, ale było już za późno. Anioł wszedł na scenę, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać i grzmiącym głosem zawołał: „Stójcie, moce piekielne!” – Zuza podniosła rękę, aby to zademonstrować. – Wszyscy zaniemówiliśmy, a polonistka o mało nie zemdląca. Przez ułamek sekundy na scenie trwała konsternacja, po czym jeden z chłopaków grający diabła przytomnie podszedł do Anioła, objął go po przyjacielsku i powiedział: „Bardzo pana przepraszam, ale księżę Belzebub przyjmuje w późniejszych godzinach”. I odprowadził go za kulisy.

– Uratował sytuację?

– Poniekąd tak. Tylko że w następnej scenie Anioł po raz drugi wkroczył do piekła i wtedy wszyscy się go bali. Myśleliśmy, że to będzie kompletna kłapa, ale wyobraź sobie, że nikt z publiczności tego nie zauważył. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– A ty kogo wtedy grałaś?

– A, miałam takie dwie podrzędne rólki – machnęła ręką. – Byłam kusicielką i anielicą. Paradoksalnie kusicielka miała na sobie długą falbaniastą kieckę jak do kankana, a anielica kusą haleczkę, ledwie zakrywającą tyłek. Potem w szkole zaczęli mnie pytać, czy miałam na sobie majtki. – Zuza poczuła, że się rumieni.

*No to się trochę zagalopowałam* – pomyślała.

– A miałaś?

– Coś taki ciekawski? – odparowała. – Poza tym miałam wtedy piętnaście lat.

– Czyli to było całkiem niedawno. – Poczęstował ją łobuzerskim uśmiechem.

– Jasne – skontrowała, celując w niego palcem. – I siedziałabym teraz z takim staruszkiem w restauracji?

Zrobiło się jeszcze bardziej wesoło. Zuza już dawno nie czuła się tak dobrze. Kolacja, świece, nastrojowa muzyka w tle. Sympatyczny wieczór.

Aleksander był agentem w obrocie nieruchomościami. Od kilku lat był wdowcem. Jego żona

zmarła na raka, dzieci nie mieli. Od tamtej pory w nikim nie umiał się już tak zakochać.

*Mamy ze sobą wiele wspólnego.*

– Moje życie to praca, dom i częste wyjazdy służbowe do Włoch – powiedział, kończąc sałatkę.  
– *À propos*, jakie masz plany na lato?

*Wszystko fajnie, ale żeby na pierwszej randce proponować wspólne wakacje?* – uważała, że facet trochę przegiął.

– Tak tylko pytam – powiedział, zauważając jej zdziwioną minę. – Z ciekawości. Mój dobry znajomy, przyjaciel moich rodziców ma dom nad Adriatykiem. Staruszek jest kolekcjonerem sztuki. Całe lato spędza u córki w Stanach. Dziwne, prawda? Zamiast zaprosić ją do siebie, woli wdychać gorące spaliny Nowego Jorku.

– Hmm, rzeczywiście dziwne.

– Jest trochę ekscentrykiem. W czasie jego nieobecności domem zajmują się moi rodzice. I ja, po części. Pomieszkuję tam sobie czasami. Fajna sprawa. Gdybyś chciała, chętnie cię tam wezmę. Mogłabyś też zabrać znajomych, to duży dom.

– Kusząca propozycja, ale w tym roku raczej nie dam rady nigdzie wyjechać. – Uśmiechnęła się smutno. – Ostatnio wzięłam na siebie bardzo dużo pracy.

– Ale ze mnie dureń. – Poderwał się nagle z krzesła. Zapomniałem ci pogratulować. Przepraszam. – Ujął jej dłoń i delikatnie pocałował. – Wiedziałem, że ta koniczynka się przyda.

W tym momencie usłyszeli subtelną melodię. Młody pianista grał na fortepianie.

– Jak na zamówienie. – Aleksander się uśmiechnął. – Zatańczymy?

– Tutaj?

– A czemu nie?

– Raczej nie powinnam. – Zuza od razu pomyślała o Basi. – Ale chętnie jeszcze posiedzę. Miło się rozmawia.

Nazajutrz o dziewiątej rano Zuzę odwiedziła Olga.

– Trzeba było przynajmniej zadzwonić – powiedziała z pretensją. – Denerwowałam się. Poszłam spać dopiero o czwartej, kiedy zobaczyłam, że wstawiasz samochód do garażu.

– Cały czas siedziałaś przy oknie?

– A coś ty myślała? Wyszłaś do teatru z obcym facetem. Wyłączyłaś komórkę. Miałaś wrócić najdalej o północy – wyliczała.

– Nic nie poradzę, że północ była nad ranem – wesoło odpowiedziała Zuza. – Ale masz rację, zaraz po teatrze powinnam włączyć telefon. Zapomniałam. Przepraszam. – Pocałowała sąsiadkę w policzek. – Ale jak widzisz, wróciłam cała i zdrowa.

– Nie rób tak więcej, dobrze?



– Tak jest. – Zuza zasalutowała. – Obiecuję. Gdzie Łukasz?

– Filip zabrał go na dni otwarte do radia. Potem mieli pójść na lody. Mam nadzieję, że opowiesz mi wszystko ze szczegółami o swojej nocnej eskapadzie, ale teraz muszę skoczyć do sklepu. Wpadłam, tylko sprawdzić, czy żyjesz i zaprosić cię na obiad.

– Przyjechała twoja mama, co? – domyśliła się Zuza.

– I przywiozła pierogi – dodała Olga. – Ale ja zrobiłam szarlotkę.

– Nie musisz mówić nic więcej. Będę!

\*

Kordejowie mieli bardzo elegancki, a zarazem praktyczny dom przyciągający uwagę architekturą i detalami wykończenia. Zadaszony taras i duże okna sprawiały, że wewnątrz przenikało się z ogrodem, który przepięknie zaprojektowała Basia. Pokoje jak zwykle lśniły czystością.

*Kiedy ona zdąży to wszystko posprzątać?*

Mama Olgi przywitała Zuzę z uśmiechem. Przyjaciółka często mówiła, że jej matka, surowa pani prokurator, na rozprawie potrafi być bezwzględna. Ale w życiu prywatnym była przeurocza.

– Olga powiedziała mi o Basi. Strasznie mi przykro. To była taka sympatyczna dziewczyna. Że też los jest taki okrutny.

– Właśnie – westchnęła Zuza. – Okrutny.

– Ale ten twój Łukaszek to fajny chłopczyk. – Pani prokurator szybko zmieniła temat na weselszy. – Taki grzeczny i poukładany. Będziesz miała z niego pociechę.

– Już mam. – Zuza się zaśmiała.

Stół w jadalni był już nakryty. Wszystko równiutko poukładane. Śnieżnobiały obrus nie miał nawet najmniejszej zmarszczki po zagnieceniach. Przy każdym talerzu w kolorze kości słoniowej, z delikatną srebrną oblamówką, stała porcelanowa filiżanka. Sztućce ułożone tak, jakby same miały zapraszać do stołu.

Kiedy Zuzanna już po raz chyba setny zachwycała się szykowną zastawą i gustownie urządzonym wnętrzem, z podwórza dobiegł odgłos silnika. Olga wyjrzała przez okna w kuchni.

– Wrócili nasi chłopcy! – zawołała.

– Mamo, mamo, wiesz, jak było fajowo? – Łukasz wpadł do salonu cały w skowronkach. – Ja też chcę być komtatołem jak wujek.

– Kim chcesz być? – zapytała Zuza.

– Komtatołem – powtórzył. – Miałem na usach takie wielkie słuchawki, oglądałem mec i komtatolowałem. – Mówił niewyraźnie, ale wyraźnie był podekscytowany – Tak ksyciałem –

gestykulował, wymachując rękami. – Ksynówek podaje do Smolalka, Smolalek psyjmuje na plawą nogę, jest sam na sam z blamkazem i goooooo! – Łukasz rozpędził się na kamiennej posadzce, skoczył na kolana i unosząc ręce w geście zwycięstwa, wyszorował spodniami podłogę. Zatrzymała go dopiero ściana.

– Niesamowity dzieciak. – Filip pokręcił głową. – Był atrakcją całego radia. Wszędzie go było pełno, wszystko chciał zobaczyć i wszystkiego dotknąć. Ale miał radochę.

– Jak nic, rośnie nam drugi komentator – wtrąciła pani prokurator.

– Będę komtatołem, ale najpielw chcę wody. Albo coli. Albo może być sok. – Nie mógł się zdecydować. Nagle stanął przed Zuzanną z rękami wspartymi na biodrach i ni stąd, ni zowąd zawołał:

– Jest coś matka kulwa pić?

W salonie zapadła cisza i na wszystkich twarzach pojawiła się konsternacja. Zuza w pierwszej chwili nie wiedziała, co robić. Skąd u jej dziecka takie słowa? Z przedszkola? Jednak mimo zakłopotania zdrowy rozsądek nakazał jej milczenie i brak reakcji. Bez słowa więc podała Łukaszowi szklankę z sokiem, a on wypił całą zawartość duszkiem. Potem podeszła do Filipa i szepnęła:

– Wiesz co? Może już go więcej nie zabieraj do tego radia, dobrze?

Mąż Olgi zmieszał się. Chciał coś powiedzieć, ale do salonu wszedł właśnie Maks.

*Symertowicz? A co on tu do cholery...?*

– To ja już będę leciał – powiedział do Filipa. – Dzień dobry wszystkim i do widzenia. Miłego dnia. – Jego spojrzenie na chwilę spoczęło na zdziwionej twarzy Zuzanny.

– Maks, jak miło cię widzieć! – wykrzyknęła mama Olgi. – Zostań na obiedzie.

– Tak, tak, Maks. – Filip złożył ręce, jakby chciał podziękować koledze za uratowanie go z niezręcznej sytuacji. – Jak teściowa zaprasza, musisz zostać. Wiecie, że gdyby nie Maks, musielibyśmy wracać do domu taksówką?

– Wies, mammo! – Łukasz szybko podłapał temat. – Seloki zacholował i musieliśmy jechać do szpitala.

– Co? – zapytali niemal wszyscy.

– Szeroki – wyjaśnił Filip. – Mój grand cherokee. – Uśmiechnął się i pogłaskał chłopca po czuprynie. – Poszedł przedni wahacz i musieliśmy zaprowadzić go do warsztatu.

Kordejowie kochali się w samochodach marki dżip.

– Wies, mammo, jakim fajowym melcedesem potem jechałem? Wujek Maks dał mi nawet pokielować, ale tylko kawałek.

*Wujek Maks? No ładnie!*

Filip często sadzał Łukasza na kolanach i pozwalał mu trzymać kierownicę, kiedy wjeżdżał w ostatnią osiedlową alejkę koło domu. Zuza tego nie pochwałała, ale cóż było zrobić. Łukasz był wtedy taki szczęśliwy.

– Kochanie – Filip zwrócił się do Olgi. – Wezmę jutro twoje auto, dobrze? Muszę załatwić parę spraw. – Podeszedł do żony, objął ją i pocałował.

Olga jednak odsunęła się od niego, co nie umknęło uwadze Zuzanny. Spojrzenia przyjaciółek spotkały się na chwilę.

– Wiecie, kiedy mój mąż nie ma samochodu? – Olga rzuciła sarkastyczne pytanie wszystkim obecnym w salonie i zaraz sama na nie odpowiedziała: – Kiedy się obydwaj zepsują.

– Siadajcie do stołu – zarządziła pani prokurator. – Wszyscy. Ty też. – Spojrzała na Maksę. – Łukaszku, umyj ręczki.

Maksymilian zerknął na Zuzannę, jakby w jej oczach chciał się dopatrzeć przyzwolenia, jednak ona szybko odwróciła wzrok.

– Jest pani niezwykle miła, pani Jadwigo. – Podeszedł do teściowej Filipa i ucałował jej obie dłonie. – Ale ja naprawdę muszę już lecieć.

Zuzanna wróciła do domu w kiepskim nastroju. Obiad u Kordejów nie należał do zbyt udanych. Nie żeby coś nie smakowało, broń Boże! Wszystko było wyśmienite, począwszy od rewelacyjnych pierogów pani prokurator, a skończywszy na mistrzowskiej szarlotce Olgi. Na szczególne uznanie zasługiwała również wspaniała cielęcina z kurkami, której smak tak błogo łechtał podniebienie. Tylko atmosfera przy stole była trochę sztuczna. Między Filipem a Olgą niemal widać było trzaskające pioruny, chociaż prawie nie odzywali się do siebie. Czasem tylko padały między nimi głupie docinki. Za każdym razem, kiedy mąż Olgi próbował rozładować napięcie, opowiadając jakiś dowcip, żona obrzucała go takim spojrzeniem, że gdyby wzrok potrafił zabijać, Filip od razu padłby przed nią martwy. Pani prokurator zachowywała się w miarę naturalnie, tylko z jej oczu można było wyczytać, że martwi się o córkę i jej związek.

*A moja mama?* – pomyślała Zuzanna, zbierając w pokoju Łukasza walające się po podłodze resoraki. – *Czy ona też się o mnie martwi? A powinna?*

– Łukaszku! – zawołała. – Przynies mi telefon. Zadzwoimy do babci Poli.

– Ja wolę do dziadka Gześka. – Malec podał matce słuchawkę. – On jest fajniejszy, bo jest facetem tak jak ja.

– Okej, mój fajny facecie. – Zuza uśmiechnęła się ciepło do synka. – Pobaw się trochę ze Scoobym na podwórku, a potem porozmawiasz z dziadkiem, dobrze?

Kiedy Łukasz znalazł się na tarasie, gdzie nie mógł już jej słyszeć, Zuza spojrzała na telefon, odetchnęła głęboko i wybrała numer do Krakowa.

– Cześć tato, co u was?

– Wszystko w porządku, skowronku, a u ciebie? – Ciepły głos ojca sprawił, że poczuła tęsknotę za rodzinnym domem. Ile to już czasu minęło, odkąd ostatni raz tam była?

– Dostałam awans – pochwaliła się, wiedząc, że sprawi mu tym przyjemność. Nawet jeśli sama nie czuła się komfortowo ze swoim nowym stanowiskiem i miała wiele wątpliwości, czy dobrze zrobiła, chciała, żeby ojciec był z niej zadowolony. I chciała to usłyszeć.

– Moja mała dzielna dziewczynka – powiedział z nieukrywaną dumą. – Zawsze w ciebie wierzyłem, córeczko.

*Wiem* – pomyślała i mimo to poczuła, jak ogarnia ją przygnębienie. Próbując stłumić to niewygodne uczucie, zaczęła mówić o swojej pracy. Z aktorskim entuzjazmem opowiadała ojcu, jak to wspaniale zostać docenionym i wyróżnionym.

– Co prawda mam teraz więcej pracy, ale też i więcej satysfakcji. Wiesz, jak to jest. Awans, prestiż. – Zaśmiała się.

*Boże, kobieto, skończ już z tym! Pieprzysz takie farmazony, że aż przykro słuchać. Jeszcze trochę, a sama uwierzysz w te brednie.* – Przywołała się nagle do porządku i raptownie zmieniła temat.

– A jak mama? Jest w domu?

– Mama pojechała do Lubieńca.

– O! – zdziwiła się Zuza. – Nie mogła się doczekać wakacji? Przecież koniec roku szkolnego już za parę dni. Chciało jej się wyjeżdżać tylko na weekend?

– Pojechała tam już w zeszłą sobotę, bo... – Grzegorz KostECKI na chwilę zawiesił głos. – Twoja babcia miała wypadek.

– Co? – Zuzanna poczuła gwałtowne bicie serca i zaniemówiła.

– Zuziu... – Ojciec wydawał się opanowany. – Mama dzwoniła, że babcia czuje się już dużo lepiej i że wczoraj wypisali ją ze szpitala.

Zuza poczuła wzbierający gniew. Jakieś słowa drżały na jej wargach, ale głos nie był w stanie ich wypowiedzieć. Usłyszała swój ciężki oddech i nieświadomie opuściła rękę, w której trzymała telefon. Upłynęło kilka chwil, zanim z powrotem przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Aha! – wyrwało jej się głuche westchnienie. – Kiedy miałam się o tym dowiedzieć?

– Nie chcieliśmy cię martwić, skowronku – ojciec zaczął się tłumaczyć. – To stało się tak nagle i...

– Pytam: kiedy? – przerwała mu ostro. – Jak babka kopnie w kalendarz? Oszczędzilibyście sobie zmartwień – ironizowała. – O to ci chodziło?

– Zuza, przywołuję cię do porządku! – Ojciec podniósł głos.

– A może dopiero za dwadzieścia osiem lat, co? – Nie zważała na jego słowa. – Tak! Tydzień to zdecydowanie za mało czasu. Taka wiadomość musi nabrać mocy.

– Zabraniam ci tak mówić, słyszysz? – krzyknął.

– Wiesz co? Daruj sobie. – W złości chciała się rozłączyć, ale właśnie do salonu wbiegł Łukasz, więc zmieniła zdanie. – Twój wnuk chce z tobą rozmawiać. – Nie mówiąc nic więcej, podała synowi słuchawkę. Zadowolony chłopczyk chwycił telefon i pobiegł na górę, a Zuzanna wyszła na podwórko i rozplakała się.

Około dwudziestej pierwszej, gdy Łukasz już spał, przyszła Olga.

– Podwiesz mnie jutro do pracy? – zapytała.

– Jasne, ale przecież miałaś jechać z Filipem.

Olga z ponurą miną usiadła na kanapie, kątem oka zerkając na sztalugę stojącą w kącie salonu.

– Chyba musiałaś być nieźle wkurzona, kiedy to malowałaś.

– Czemu tak myślisz? – zdziwiła się Zuza.

– Nie wiem. – Olga wzruszyła ramionami. – Tak mi się wydaje. Masz jakiegoś papierosa? Chciałam kupić, ale sklep był już zamknięty.

*Oh! Zaczyna się wieczór zwierzeń.*

Zuzanna wyciągnęła rezerwową paczkę niebieskich vogue'ów, napełniła dwie lampki białym winem i zaprosiła przyjaciółkę na taras. Olga zaciągnęła się, zakaszła i całego papierosa zgasiła w popielniczce.

– Jak ty możesz palić to świństwo? – Splukowała winem drażniący smak w ustach.

– Mnie to czasami pomaga. – Zuza w najlepsze delectowała się dymem z papierosa. – Co jest?

– Przepędziłaś dzisiaj mojego gościa, wiesz? Chyba powinnam być na ciebie zła.

– No patrz, a ja myślałam, że to była jego decyzja.

– Widziałam, że miał ochotę zostać, ale ty oczywiście musiałaś zmrozić go takim spojrzeniem, że chłopak zrezygnował – powiedziała Olga z pretensją. – Może gdyby został, atmosfera przy stole nie byłaby taka drętwa.

– Drętwa – powtórzyła Zuza i strzepnęła do popielniczki popiół z papierosa. – Powiesz mi w końcu, co się dzieje, czy mam lecieć po kombinerki?

Przyjaciółka mimowolnie uśmiechnęła się, ale po chwili jej twarz spoważniała tak bardzo, że Zuzanna poczuła na plecach dreszcz.

– Wydaje mi się, że Filip kogoś ma – wykrztusiła Olga. – Nie mam pewności, ale wiele na to wskazuje. Gdy jesteśmy sami, prawie się do mnie nie odzywa. Od jakiegoś czasu śpi w osobnym pokoju, tłumacząc, że nie chce mnie budzić, kiedy kładzie się spać po północy. W dodatku często zamyka się w gabinecie i długo rozmawia przez telefon. Nie wiem, o czym i z kim, bo przecież przez te cholerne drzwi nic nie słychać. Mówi, że ma zlecenie na jakiś ważny artykuł. – Pociągnęła spory łyk wina. – Takie kity może wciskać komuś innemu, ale nie

mnie.

– A może rzeczywiście coś pisze – zasugerowała Zuza.

– Przecież go znam. – Oczy przyjaciółki napełniły się łzami. – Nigdy tak się nie zachowywał. Do tej pory nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Teraz jest jakiś obcy. Niedostępny. Ignoruje moje pytania. Dotychczas wszystkie poniedziałki miał wolne. Po co w takim razie potrzebuje mojego samochodu na cały dzień?

– Zapytaj.

– Myślisz, że tego nie zrobiłam? I wiesz co on mi na to? Że się czepiam.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. – Zuza pogładziła dłoń przyjaciółki. – Może to wszystko da się jakoś wyjaśnić.

– Wątpię, kochaniutka. – Olga opróżniła kieliszek. – Należysz mi jeszcze?

Zuza bez słowa poszła po butelkę, zastanawiając się po drodze nad tym, co przed chwilą usłyszała. Myślała, że dzisiejszego wieczoru to ona będzie opowiadała koleżance o swoich problemach. Miała ochotę wyzalić się i wypłakać, ale teraz doszła do wniosku, że Olga ma za dużo własnych kłopotów. Wzięła wino, narzuciła na siebie sweter, a drugi podała sąsiadce.

– Mówię ci, kochaniutka, miłość jest jak bajka o Świętym Mikołaju. Najpierw wierzymy, że jest, a potem tłumaczymy sobie, że zaklinował się w kominie. – Olga podniosła do ust napełniony kieliszek. – A właśnie! Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak było na wczorajszej kolacji. Wróciłaś zadowolona, więc pewnie wieczór był udany.

– Właściwie to chyba tak. – Zuza uśmiechnęła się, zadowolona ze zmiany tematu. – Było nawet miło.

– Tylko miło? – dopytywała się Olga. – A buzi, buzi, za rączkę, przytulanko i te inne sprawy?

– Olga, nie poznaję cię! – Zuza szeroko otworzyła oczy. – „Te inne sprawy”? Dla ciebie wina już nie ma. – Chwyciła ze stołu butelkę i schowała ją za siebie. Olga zdążyła tylko złapać ręką powietrze ponad stołem.

– To chociaż powiedz, jak było – zapytała i czknęła.

– Aleks to facet z klasą. Mądry, inteligentny...

– Dalej!

– I prawdziwy dżentelmen. Taki co to, wiesz... lata dwudzieste, lata trzydzieste... – zanuciła. – Jest tylko jedno małe „ale”: takie nienaganne maniery niezbyt mi schlebiają.

Obie parsknęły śmiechem. Tak głośnym, że po kilku chwilach na taras wybiegł Scooby, a zaraz za nim przydreptał Łukasz z misiem pod pachą. Zuzanna szybko chwyciła synka na ręce i przytuliła.

– Moje kochane maleństwo – rozczuliła się Olga. – Ciocia bardzo przeprasza, że cię obudziła. Przyjdiesz do mnie na kolanka?

Chłopczyk wyciągnął do niej rękę i Zuza chcąc nie chcąc oddała go przyjaciółce.

– Chcesz, żeby ciocia położyła cię do łóżeczka? – Olga pogłaskała malca po nosku. – Mogę ci też poczytać bajeczkę.

– Nie! Chcę posiedzieć tu z wami. – Łukasz przetarł zaspane oczy. – Rozmawiałem dzisiaj z dziadkiem Gześkiem, wiesz? – pochwalił się. – Bo on jest fajnym facetem, tak jak ja.

– Pewnie, że jesteś fajnym facetem. – Olga uśmiechnęła się i potargała mu czuprynę. – I o czym rozmawiałeś z dziadkiem?

– Łukaszku, jest prawie północ – wtrąciła nerwowo Zuza. – Idziemy spać.

– Ty nam mama teraz nie przeszkadzaj. – Olga podejrzliwie spojrzała na przyjaciółkę. – Zaparz nam lepiej malinowej herbatki, bo my tu musimy sobie trochę pogadać.

Zuza nie ruszyła się z miejsca, czekając w napięciu, co powie jej synek. Zastanawiała się, ile usłyszał, kiedy ona rozmawiała z ojcem, jak to zrozumiał i co jeszcze dziadek mu powiedział.

– Tak sobie tylko gadaliśmy – zaczął leniwie Łukasz. – O samochodach... o przedszkolu... – ziewnął. – Dziadek jeszcze zapytał, czy wszystko u nas w porządku. Chyba był smutny.

– I co mu powiedziałaś? – zapytała Zuza niby swobodnym tonem.

– Powiedziałem, że nie w porządku – odparł sennie Łukasz.

– Nie? Dlaczego? – zapytały obie niemal jednocześnie.

– No, bo pseciez u mnie w pokoju jest bałagan.

## ROZDZIAŁ IX

Sprawa z policją w banku przycichła i przestało się już o niej mówić. Może rzeczywiście to były tylko ćwiczenia, jak zapewniał prezes Drogowiejski? Zuza pogodziła się z Markiem i zapomniała o Arlecie, której z powodu zmiany piętra prawie nie widywała. Przede wszystkim zajęła się swoją pracą.

Do końca czerwca pozostało tylko dziesięć dni. Dziesięć dni do realizacji pierwszego planu sprzedażowego. Zuzanna obiecała swojej drużynie, że dadzą radę. Trzeba się tylko sprężyć i zmobilizować. Tylko. Proste jak struna w gitarze. Wystarczy chcieć. Chcieć to móc, więc na barykady ludu roboczy! Do pracy rodacy! Podaj cegłę! W wielu przypadkach, jeśli nie załatwi się kredytu, nie ma co liczyć na cegły. I dupa blada. Szlag trafił marzenia o nowym domu. A Zuzanna razem ze swoją grupą była od tego, aby pomóc klientom w realizacji tych marzeń. I przy okazji na tym zarobić.

Innymi słowy, należało osiągnąć cel, czyli doprowadzić do wypłacenia tylu kredytów hipotecznych, aby ich suma zamknęła się w kwocie, jaką z góry ustalił bank. W pierwszym miesiącu było to mało realne, zważywszy, że proces uruchamiania kredytu z różnych przyczyn mógł się przedłużać. Dlatego bardzo dobrym rozwiązaniem było wprowadzenie na pewien czas dodatkowego zamiennika w postaci kart kredytowych. To oznaczało, że na konkretną kwotę kredytu przypadała określona ilość kart. I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie pewien mały problem.

*Nie ma szans na powodzenie i chyba trzeba będzie się z tym pogodzić.* – Zuzanna oparła łokcie na biurku i wpatrywała się w stertę leżących przed nią papierów. Kupa zaświadczeń od deweloperów była do wymiany, ponieważ okazało się, że doradcy mieli stare druki. Do dziś Zuza była tego szczęśliwie nieświadoma. Na nowe pisma trzeba było czekać około tygodnia. Za mało czasu, aby to wszystko dopiąć. – *Mały! Niech cię cholera!*

– Niektórych procedur po prostu nie da się przeskoczyć – usłyszała rano od Małeckiego. – Informacja o nowych drukach była rozesłana mejlem i jest dostępna w intranecie. Sama zawałiłaś sprawę.

– Chciałabym ci przypomnieć, Andrzej, że do dzisiaj nie mamy podłączonego sprzętu, a podobno informatyk czeka tylko na twój podpis – skontrowała Zuzanna. Mały popatrzył na nią spode łba, ale się nie odezwał. – Internet co chwilę się zawiesza, przez co mam ograniczony dostęp do systemu – ciągnęła. – Muszę chodzić na górę i prosić o udostępnienie komputera choćby po to, żeby wklepać wnioski.

– Zuza, sama chciałaś to pomieszczenie na dole, więc nie miej do mnie teraz pretensji. Przecież robię, co mogę.

*Akurat!*

– I jeszcze jedno. Chciałabym odebrać w końcu swój aneks. Bez niego mam związane ręce, a do końca miesiąca zostało już niewiele czasu.

Podczas rozmowy o awansie dyrektor obiecał Zuzannie, że przez pierwsze cztery miesiące oprócz kredytów hipotecznych jej zespół będzie mógł sprzedawać również karty kredytowe oraz rachunki osobiste. Kiedy Zuza nie znalazła tej informacji w swoim angażu, zapowiedziała, że niczego nie podpisze. Wtedy Małecki zapewnił ją, że to tylko formalność, i następnego dnia miał zostać przygotowany dla niej załącznik do nowej umowy. Jednak od tamtego czasu minęły już trzy tygodnie, a ten „następny dzień” jakoś nie bardzo chciał się pojawić.

– No właśnie... – Mały wsparł ręce na podłokietnikach fotela i powoli się z niego podniósł. – Aneks, mówisz – podrapał się po głowie. – Prezes się nie zgodził. Przykro mi.

Zuzanna poczuła się tak, jakby dostała mokrą szmatą po gębie.

– Dałeś mi słowo, że to załatwisz – powiedziała spokojnie, ale dobitnie. – W przeciwnym razie nie podpisałabym tej umowy. Wiedziałeś, że nie chcę się pozbywać możliwości sprzedawania kart. Wiedziałeś, jak bardzo mi na tym zależy.

– Zuza. – Mały podszedł do niej i po przyjacielsku objął ją ramieniem. – Robiłem, co mogłem. Naprawdę.

*Czyżby?*

Odsunęła się od niego i zajęła miejsce na krześle przy biurku, po przeciwnej stronie dyrektorskiego fotela. Przez chwilę próbowała usadzić również swoje nerwy.

– Rozumiem zatem, że nie mam kart, tak? – Spojrzała mu prosto w oczy i skrzyżowała ręce na piersiach. – Czyli wszystkie moje dotychczasowe wysiłki poszły na marne? Rozmowy z kilkoma poważnymi firmami, które mogłyby zaopatrzyć swoich pracowników w nasze karty



kredytowe? Załatwiam dla banku setki potencjalnych klientów, a bank ma mnie w głęboko w...?  
– Zagryzła wargi.

Mały zaczął spacerować po gabinecie ze wzrokiem wlepionym w podłogę. Myślał. Albo tylko udawał.

– Andrzej. – Głos Zuzanny był nad wyraz spokojny. – Może jednak uda się to jakoś odkręcić. Może decyzja prezesa nie jest ostateczna. Myślę, że jako członek zarządu masz w tym banku coś do powiedzenia.

– Zuza. – Dyrektor z poważną miną usiadł naprzeciwko niej. – Nie wiesz, ile mam do powiedzenia w zarządzie i nie powinno cię to interesować. Sprawa kart jest zamknięta. Podpisałaś umowę, że będziesz zajmować się tylko hipoteką, więc nie wiem, po jaką cholere łazisz po firmach i załatwiasz promocje kart. Ale jeśli już udało ci się coś zorganizować, to oczywiście bank jest ci za to wdzięczny. – Uśmiechnął się sztucznie. – Przekaż wszystkie kontakty innemu kierownikowi, a na pewno podzieli się z tobą prowizją.

*Po moim trupie!*

Zuza poczuła, jak złość naciąga wszystkie struny jej nerwów do granic możliwości. Jeden gest, jedno słowo i któraś pęknie. A wtedy posypią się wszystkie znane Zuzannie epitety. Te z encyklopedii i te z podwórka. Wstała.

*Tylko spokojnie* – nakazała sobie w myślach i wzięła głęboki oddech. – *Nie rób głupot.*

– Zuza – głos Małeckiego stał się obrzydliwie łagodny. – Jesteś mądra i zaradna. Na pewno dasz sobie radę.

– A żebyś wiedział. – Odcięła się i spokojnie wyszła.

Jeszcze teraz chciało jej się wyć, chociaż od rozmowy z dyrektorem upłynęła cała godzina.

*Mały! Ty dupku! Ty pokraczny fiucie! Niech cię szlag!*

– Przestań już patrzeć na te papiery i napij się kawy – powiedział Marek. – Przyniosłem ci latte z McDonalda.

– Zawsze wiesz, jak pokrzepić strapioną duszę. – Uśmiechnęła się i przekręciła z fotelem w jego stronę, kiedy usiadł na blacie drugiego biurka. – Nie uda nam się wykonać planu na samej hipotece, wiesz?

– Gadałaś z Małym – zorientował się Marek. – Sukinsyn się wycofał. Mogłem się domyślić. – Chłopak uderzył pięścią w stół. – To dlatego kazał nam się wstrzymać ze sprzedażą kart.

– Z samego rana zadzwoniła do mnie kobieta z politechniki. Spodobała im się nasza oferta i chcą dogadać szczegóły. Dzisiaj. Umówiłam się z nią za dwie godziny.

– Cholera. – Marek zaklął. – Politechnika to dobry kąsek. Można by tam wyczesać niezłą kasę na kartach.

– Prawda? – przyznała. – I zgarnąć premię za realizację planu.

– Co z tym zrobisz, szefowo?

Zuza w zamyśleniu wsparła głowę na dłoniach i zamknęła oczy. Jej myśli jak zwykle nie chciały tak łatwo dać się poskromić. Podnosiły się, stawały wojowniczo i wygrażały pięściami.

– Co z tym zrobię? Nie mam bladego pojęcia. – Podniosła głowę. – Ale na pewno tak tego nie zostawię. Ten palant jeszcze mnie popamięta. Członek zarządu od siedmiu boleści. Tfu!

– Nie ubliżając oczywiście takim porządnym facetom jak ja – wtrącił Marek. – Zdecydowanie wystarczy samo „członek”.

– W zupełności się z tobą zgadzam – podchwyciła Zuza. – Członek z twarzą jak tarka do jarzyn. Nie daruję mu tego, co mi zrobił!

Chłopak zachichotał, lecz Zuza szybko go uciszyła.

– To wcale nie jest śmieszne, Marek. Trzeba coś zrobić i to szybko. Do końca miesiąca zostało tylko dziesięć dni.

– Ty tu rządzisz.

– Dzięki za wsparcie. – Skrzywiła twarz w ironicznym uśmiechu.

– Chciałem powiedzieć, że każde twoje życzenie, pani, będzie dla mnie rozkazem. – Zeskoczył z biurka i ceremonialnie pocałował ją w rękę. – Mogę ci również służyć jako nadworny doradca.

– Przynajmniej teraz przestałbyś pajacować. To poważna sprawa. Jeśli chcesz mi pomóc, to proszę. – Podała mu teczkę z dokumentami. – Na początek musimy spróbować uruchomić najwięcej hipotek. Poprawiłam już te zaświadczenia, które cofnął analityk, a teraz trzeba je zawieźć do deweloperów. Za godzinę powinien przyjechać Krzysiek. Poproś go, żeby tym się zajął. Nie wiem, niech podrywa sekretarki, ale ma to załatwić. Marzena przywiezie dzisiaj trzy nowe wnioski. Sprawdź je dokładnie i zawieź do centrali. Jak przyjedzie Sebastian, niech pomoże Krzyškowi. Ty, Gośka i Ksawery sprawdźcie, czy weszły wam jakieś karty z poprzedniego miesiąca. One na szczęście liczą się do planu. Jeśli się okaże, że są jeszcze jakieś nieaktywne, podzwońcie po klientach i pogońcie ich. Jak wrócę, sprawdzę swoje. I poinformuj wszystkich, że dzisiaj o siedemnastej mają się stawić na zebraniu.

– Jedziesz gdzieś?

– Na politechnikę. – Zuza wyciągnęła z torebki kluczyki do samochodu. – Muszę się przecież z tą kobietą jakoś dogadać. Na razie udajemy, że wszystko jest w porządku. Potem będę się martwić.

– A sprawa z Małym?

– Trzeba będzie coś wymyślić, ale teraz nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Na pewno byłoby dobrze pogadać z prezesem.

– Trzymam kciuki, szefowo.

– Nie dziękuję. – Uśmiechnęła się i wyszła.

Spotkanie na politechnice trwało ponad godzinę. Kobieta przemaglowała Zuzannę, dopytując o najdrobniejsze szczegóły, ale ostatecznie sprawa została dopięta. Reszta zależała teraz od samych doradców. Na razie Zuzanna musiała załatwić jeszcze jedną sprawę. Najważniejszą! Nie mogła przecież pozwolić, aby jej grupę odsunęto od tej promocji, od tej firmy i w ogóle od kart kredytowych. Nie teraz, gdy odwaliała tyle roboty.

W pierwszej kolejności postanowiła porozmawiać z prezesem. Na samą myśl o tym mocniej zabiło jej serce.

*No przecież cię nie zje.* – Próbowała dodać sobie odwagi, przeciskając się między studentami, którzy tłoczyli się w długim, wąskim korytarzu uczelni. – *Najwyżej wyśmieje. Trudno!*

Sięgnęła do torebki po komórkę i nie zatrzymując się, zaczęła szukać numeru telefonu sekretarki prezesa. Już miała zadzwonić, gdy nagle przeszył ją ostry ból w prawej skroni.

– Au! – zdążyła krzyknąć i zachwiała się na nogach. Broniąc się przed upadkiem, zatoczyła rękoma kilka kótek w powietrzu i zrobiła dwa kroki w tył. Nie pomogło. Wiedziała już, że za moment się przewróci. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że nie ląduje na twardej posadzce, tylko w czyichś silnych ramionach.

*Kimkolwiek jesteś, dzięki, że tam byłeś.*

– O Boże! Przepraszam! – krzyknęła dziewczyna w kraciastej bluzce. – Nic ci się nie stało? – zapytała z troską, gdy zobaczyła, że Zuzanna przykłada rękę do skroni. – Niezdara ze mnie. Bardzo boli?

Zuza uwolniła się z rąk wybawiciela i spojrzała na rękę, którą przed chwilą dotykała głowy.

*Nie ma krwi. Będę żyć.*

– Trochę boli – syknęła.

– Do wesela się zagoi – powiedział ktoś za jej plecami.

Znieruchomiła. Ten głos. Chyba już go gdzieś słyszała. Odwróciła się i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Dobrze się czujesz? – zapytał młody mężczyzna, widząc jej zdziwioną minę. – Trzeba przyłożyć coś zimnego, bo inaczej będziesz miała guza wielkości arbuza. – Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. – Chodź.

Na tym samym piętrze była kawiarnia. Zuza usiadła przy stoliku, a chłopak przyniósł jej kilka kostek lodu owiniętych w bawełnianą serwetkę.

– No proszę, co za spotkanie. – Zajął miejsce naprzeciwko niej. – Studiujesz tutaj?

– Pracuję – rzuciła, nie spuszczać z niego wzroku. – To znaczy tak jakby. Może nie do końca tu, ale tak jakby – czuła, że się zamotała i aby z tego jakoś wybrnąć, syknęła, przykładając lód do skroni. – Nieźle oberwałam, co?

– Miałaś szczęście. Parę milimetrów, a trafiłaby cię tą teczką w oko – odpowiedział. – To co z tym: „tak jakby”?

Zuza w jednym zdaniu wytłumaczyła, że pracuje w banku, a z politechniką będzie tylko współpracować.

*Jak Bóg da, oczywiście.*

– A ty? – zapytała. – Uczysz się tutaj?

– Jestem na ostatnim roku mechatroniki – wyjaśnił. – Studiuję zaocznie. Widziałaś: praca. To, że tutaj dziś jestem, to raczej przypadek. Miałem pewną sprawę do załatwienia w dziekanacie i przy okazji umówiłem się tu z bratem. Ale zaraz – spojrzał na Zuzę, która ukradkiem bacznie mu się przyglądała. – Zapomniałem wtedy zapytać. Jak to się stało, że zgubiłyście drogę, skoro w samochodzie widziałem nawigację? Jeśli dobrze pamiętam, żadna z was nie jest blondynką – uśmiechnął się zawadiacko.

– Spozregawczy jesteś. – Odwzajemniła uśmiech. – Moja przyjaciółka Olga nie przywiązuje uwagi do takich wynalazków. Mąż zainstalował jej to urządzenie, ale ona woli tradycyjną papierową mapę. Jej zdaniem szkoda czasu na uczenie się obsługi takich gadżetów. Wiesz, że dopiero niedawno nauczyła się wysyłać SMS-y? Co ja z nią miałam do tej pory, to tylko ja wiem. – Twarz Zuzy rozpromieniła się w szczerym uśmiechu. – Tak że sam widzisz.

– Mówią, że dwa przypadki z rzędu to nie przypadek – uśmiechnął się. – Nie sądzę jednak, żebyś specjalnie nadziała się na teczkę tamtej dziewczyny.

– No właśnie – przytaknęła. – Więc ten przypadek się nie liczy.

– Twoja przyjaciółka ma na imię Olga, a ty? – spytał nagle.

– Zuza. – Wyciągnęła do niego rękę. – Zuzanna Kostecka.

– Bardzo mi miło. – Uścisnął jej dłoń. – Kacper Wołoszyc.

*Wiem – jak bardzo chciała to powiedzieć.*

Zadzwoiła jego komórka. Wyciągnął z kieszeni telefon i spojrzał na wyświetlacz.

– To mój brat – przeprosił i odebrał połączenie. – Czekam na ciebie w kawiarni – odezwał się do słuchawki. – Za piętnaście minut? Dobra. To na razie.

– Twój brat też tu studiuje? – zapytała, gdy schował telefon.

– Przemek i politechnika? – westchnął Kacper i pokręcił głową. – On jest na ASP. Wiesz, zwariowany artysta malarz. Najpierw Gdańsk, potem Poznań, a teraz Warszawa. Szczerze mówiąc, nie nadążam za moim młodszym bratem.

– Chyba jednak trochę nadążasz, skoro macie się zaraz spotkać. – Zuza się uśmiechnęła i poczuła, jak mocniej bije jej serce.

– Tak, wie, gdzie mnie znaleźć, jak czegoś potrzebuje – odpowiedział. – Jak twoja głowa? Pokaż. – Przysunął się bliżej. – Tylko siniak. Jeśli zgarniesz do przodu włosy, nie będzie widać. – Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz. – Masz ładne oczy, wiesz?

*Tylko mnie nie podrywaj, braciszku.*

– Dzięki – odparła skromnie i podniosła się z krzesła. – Muszę wracać do pracy. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Miło było cię widzieć.

– Mnie również. – Wstał i podał jej rękę. – Co drugi weekend jestem w Warszawie. Może umówimy się kiedyś? Czy wolisz czekać na następny przypadek?

– Może wpadnę tu któreś soboty. Mój bank przygotował też coś dla studentów, więc kto wie, a nuż będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać. – Proszę. – Podała mu swoją wizytówkę. – Jeśli będziesz potrzebował pomocy przy kredycie, służę radą. Do zobaczenia.

– Super. Do tego czasu przypomnę sobie, dlaczego twoja twarz wydaje mi się taka znajoma.

Boże! Jak bardzo chciała mu powiedzieć. Tylko jak? Tak po prostu: jestem twoją siostrą? I już? Czemu to było takie trudne? Zaskoczył ją. Nie spodziewała się, że tam go spotka. I miejsce było nieodpowiednie. I czas. Nie, do takiej rozmowy trzeba się przygotować. Kilka minut dłużej, a poznałaby Przemka. Mogła przecież zostać. Choćby tylko po to, żeby go zobaczyć. Chciała. Ale stchórzyła.

*Jeden Wołoszyc na dzień w zupełności wystarczy* – usiłowała sobie tłumaczyć.

Mimo to czuła niedosyt.

Siedziała w samochodzie na parkingu po przeciwnej stronie wejścia na politechnikę. Myśli ujadały w jej głowie. Tylko wziąć karabin i powystrzelać. Inaczej się nie uciszą. A jednak niespodziewanie zamilkły, a ona poczuła, jak coraz mocniej bije jej serce.

Zuzanna zobaczyła, jak Kacper wychodzi z uczelni. Zsunęła się niżej na siedzeniu. Odruchowo. Jakby bała się, że zostanie zauważona. Lecz brat nie patrzył w jej stronę. Był zajęty rozmową z drugim młodym chłopakiem. Z Przemkiem? Pewnie tak. Chociaż sylwetką trochę się od siebie różnili, Kacper był nieco niższy i mocniej zbudowany, rysy twarzy mieli podobne. Bardzo podobne. Ponadto Zuza wiedziała, że Kacper ma się spotkać ze swoim bratem.

Mężczyźni początkowo rozmawiali spokojnie, a potem ten młodszy zaczął nagle wymachiwać rękami i potrząsać głową. Jego ruchy były gwałtowne i raczej niekontrolowane. Drugi najwyraźniej chciał go przywołać do porządku, ale bezskutecznie. Zuzanna doszła do wniosku, że bracia się kłócą. Co prawda nie mogła usłyszeć, czego dotyczył ten spór, dzieliła ich cała szerokość ulicy, ale była pewna, że doszło między nim do ostrej wymiany zdań.

Po kilku minutach Kacper machnął ręką, jakby uznał, że dalsza rozmowa nie ma sensu i odszedł. Podążyła za nim wzrokiem. Wyglądał na zdenerwowanego. Szybkim krokiem przemaszerował kilkanaście metrów i kiedy Zuza myślała, że zaraz zniknie jej z oczu, zatrzymał się i otworzył pilotem drzwi od zielonego volvo. Przez chwilę stał nieruchomo przy samochodzie, po czym wsiadł, odpalił silnik i odjechał.

Zuzanna spojrzała znów na wejście do budynku politechniki. Przemek stał tam jeszcze. Palił papierosa i rozmawiał z kimś przez telefon. Po paru chwilach schował komórkę do kieszeni, wyrzucił na chodnik niedopałek, gasząc go butem i skierował się dokładnie w przeciwną stronę niż jego brat. Energicznym krokiem przeszedł przez ulicę i prawie otarł się o samochód Zuzanny. Na chwilę wstrzymała oddech, ale starała się nie spuszczać chłopaka z oczu.

Kiedy Przemek oddalił się od niej o jakieś dwadzieścia metrów, włączyła silnik i wrzuciła prawy kierunkowskaz.

*W lewo, kobieto* – usłyszała swoje myśli. – *Do banku w lewo.*

Ale jak tu słuchać rozumu, kiedy ciekawość jest silniejsza? To był impuls. Nie miała zamiaru śledzić Przemka. Chciała pojechać tylko kawałek i zawrócić. Na następnym skrzyżowaniu. Albo dopiero na rondzie. Tymczasem umiarkowany ruch na ulicy pozwolił Zuzannie na przejechanie kilkuset metrów, tak że miała chłopaka praktycznie cały czas na oku.

Przemek zniknął dopiero w bramie jednej z mokatowskich kamienic. Zuza zauważyła, że przy wejściu wisi stary, mosiężny szyld, ale nie była w stanie z tej odległości odczytać napisu. Zaintrygowało ją to. Zaparkowała samochód kawałek dalej, podeszła do złotawej tablicy i przeczytała: *Galeria. Mieczysław Spychacz.*

– Ziemia do pani kierownik! Jak mnie słyszysz? Odbiór!

– Nie drzyj się tak, bo mi rozdziejysz ucho – warknęła.

Marek roześmiał się.

– Gadam do ciebie, a ty nic. Jakby cię tu w ogóle nie było.

– Sorry, zamyśliłam się. Co załatwiłeś?

– Wszystko, jak chciałaś, szefowo. – Marek był z siebie dumny. – Odpisy z ksiąg odebrane, wnioski zawiezione do centrali. Krzyśkowi chyba też nieźle poszło. Dzwonił, że niedługo będzie. Nawet udało mi się wszystkich skrzyknąć na siedemnastą, chociaż łatwo nie było. Dobrze się sprawiłem?

– Bardzo dobrze – pochwaliła. – Dzięki.

– Jak poszło na politechnice?

– W porządku. – Zamyśliła się znowu, ale po chwili gwałtownie oprzytomniała. – Cholera! Prezes! – Chwyciła telefon i wybrała numer. Nikt nie odbierał. Spróbowała jeszcze raz. To samo.

– Pewnie o tej porze już nikogo tam nie ma. – Spojrzała na zegarek. – Trudno, zadzwonię rano. Daj te dokumenty. Sprawdzimy, czego nam jeszcze potrzeba.

– Masz w razie czego jakiś plan B? – Marek podał jej teczkę. – Tak na wszelki wypadek pytam, jakby wiesz, nie udało się z prezesem.

– Mam tyle planów B, ile trzeba uruchomić hipotek.

Zuzanna skrupulatnie przyjrzała się wszystkim wnioskom kredytowym, które miała zeskanowane na swoim komputerze, przeczytała uwagi analityków i jeszcze raz zrobiła dokładne zestawienie.

– No i super. – Marek pokręcił głową z dezaprobatą. – Teraz już wszystko jasne. Ja tam w cuda nie wierzę. Nawet z kartami, które nam weszły z poprzedniego miesiąca, nie jesteśmy w stanie

zrobić tego planu. Jeśli prezes się nie zgodzi, leżymy. Głodny jestem.

Marek wyszedł do McDonalda, a Zuza zabrała się do przeglądania listy niedawno pozyskanych klientów, którzy posłusznie zaktywowali niedawno przyznane karty.

– No proszę, jacy grzeczni – mruknęła do siebie, przesuwając kursorem po ekranie komputera.  
– Czyżbym nie miała kogo pogonić? – Przewinęła jeszcze raz całą listę i...

– No nie! – Westchnęła ciężko, po czym wzięła do ręki telefon i wybrała numer. – Witam pana – odezwała się do słuchawki. – Mówi Zuzanna Kostecka. Może pan rozmawiać?

– Proszę, proszę, jaka miła niespodzianka – usłyszała. – W czym mogę pomóc, pani Zuzanno?

– Chciałam tylko zapytać, jak się sprawują pana karty? Jest pan z nich zadowolony?

– Tak, dziękuję – odpowiedział wesoło. – Wszystkie grzecznie siedzą w moim portfelu. Mam je od pani pozdrowić?

*Żartowniś* – skomentowała w duchu.

– Wie pan, że jeśli będą nieaktywne, nie będzie pan mógł ich używać?

*A ja nie dostanę kasy?* – dodała w myślach.

– Rzeczywiście. Wyleciało mi z głowy. Dziękuję za przypomnienie.

– Bardzo proszę – odpowiedziała uprzejmie. – Chciałabym jeszcze panu przypomnieć, że karty zaczną działać dopiero po dwudziestu czterech godzinach, dlatego proponuję uaktywnić je jak najszybciej.

– Nie ma sprawy, jeśli tak bardzo pani na tym zależy.

*Jak cholera!*

– Zależy mi na tym, aby moi klienci byli zadowoleni. Nie chce pan chyba nosić w portfelu trzech skrobaczek do szyb, prawda?

– O tym nie pomyślałem. – Zaśmiał się. – Muszę to rozważyć.

*Kretyn!*

– Oczywiście ze swoimi kartami może pan zrobić wszystko, co pan chce. – W jej łagodnym głosie mimowolnie pojawiła się nuta złośliwości. – Myślę jednak, że będą bardziej przydatne, gdy spełnią się w roli środka płatniczego. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie na tym panu zależało?

– I jeszcze na kawie w pani towarzystwie.

*No tak. Mogłam się domyślić. Szantażysta!*

– Nigdy pan nie rezygnuje, panie Maksymilianie?

– Staram się do skutku – odpowiedział z powagą. – To co? Może być jutro przed południem?

Dostosuję się do pani kalendarza. Przy okazji chętnie skorzystam z pani pomocy przy aktywacji kart.

*No tak! Wiedział, gdzie uderzyć.*

– W porządku – zgodziła się po krótkim namyśle. – Jutro o dziewiątej nie będzie dla pana za wcześnie?

Ten dzień miał się chyba nigdy nie skończyć. Było już po dwudziestej, a Zuzanna nadal siedziała w pracy. Zebranie przeciągnęło się dobre kilka kwadransów, choć niewiele to dało oprócz zwiększonej frustracji doradców. A potem informatyk. Co z tego, że przez ponad godzinę walczył z urządzeniem wielofunkcyjnym, skoro i tak na koniec oświadczył, że sprzęt nie będzie działał, ponieważ czegoś mu brakuje.

*Jak nie urok, to...*

Zuza chciała jeszcze dzisiaj zeskanować dwa nowe wnioski, które jutro z samego rana miały trafić do analityka w centrali. Nie namyślając się dłużej, wzięła papiery pod pachę i pojechała na czwarte piętro. W hallu było ciemno. Właśnie miała nacisnąć pstryczek, gdy nagle zauważyła smugę światła padającą na korytarz spod niedomkniętych drzwi do sekretariatu. Zdziwiła się, że Mały o tej porze siedzi w pracy. Pomyślała jednak, że dobrze się składa. Skorzysta ze skanera Żanety, a przy okazji z satysfakcją wypomni dyrektorowi, że dostała niekompletny sprzęt.

Weszła do środka i zobaczyła, że komputer sekretarki jest włączony. Odruchowo spojrzała na drzwi do gabinetu Małeckiego. Usłyszała czyjeś głosy. Męski i kobiecy. I śmiech. Bardzo niedwuznaczny śmiech. Zuza szybko zorientowała się, że głosy te należą do Żanety i Andrzeja. W pierwszej chwili chciała się wycofać, ale jak zwykle ciekawość wzięła górę. Podeszła bliżej. Głosy były bardzo wyraźne.

– Chodź do mnie, króliczku! – charczał dyrektor. – Wypieszczę twoje pączusie, wymiętoszę, a potem schrupię. Mniam, mniam, mniam... – mlaskał.

*Ohyda!* – wzdrygnęła się Zuza.

– Poczekaj – zaszczebotała Żaneta. – Tylko zamknę drzwi.

– Zostaw – jęknął. – Przecież nikogo tu nie ma.

*Czyżby?*

– Zobacz, co ze mną zrobiłaś – dyszał głośno. – Kocurek jest tak napalony, że... miaaaau!

– Zaraz Żanetka zajmie się swoim pieszczołkiem.

*Żenada!* Zuza nie mogła dłużej tego słuchać. Usiadła przy komputerze i włączyła skaner. Kiedy skończyła, schowała dokumenty do teczki, a na wygaszaczu komputera Żanety zostawiła napis:

*Następnym razem lepiej zamknij drzwi!*

## ROZDZIAŁ X



– Proszę cię, nie rób mi tego! – Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk. – Błagam!

Nie słuchał. Szarpał, charczał i nie słuchał.

– Przecież zawsze byłam dla ciebie dobra. – Miała łzy w oczach. – Dbałam o ciebie, pielęgnowałam cię, a ty tak mi się odpłacasz?

Po chwili się uspokoił i puścił. Jakby w końcu dotarły do niego jej słowa. Odetchnęła z ulgą.

– Już dobrze – powiedziała łagodnie. – Grzeczny chłopczyk. A teraz bądź tak miły i...

Niestety spokój nie trwał długo. Znowu zaczął szarpać. Tym razem tak gwałtownie, że niemal czuła w głowie chlupot przelewającej się krwi. Walczyła z nim przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie ustąpił. Zakaszłał, zarzęził resztkami sił i w końcu skapitulował.

– Nienawidzę cię, słyszysz? – wrzasnęła, unosząc zaciśniętą pięść, aby wyładować na nim swoją wściekłość.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, Zuziu. Nie przeszkadzam?

*Przeszkadzasz!* – o mało nie wyrwało się jej przez zaciśnięte zęby.

– Cześć, Aleks – odezwała się po kilku sekundach, sprawiając wrażenie zupełnie opanowanej. – Co słychać?

– Prawdę mówiąc, trochę się za tobą stęskniłem. Pomyślałem sobie, że skoro nasze ostatnie spotkanie było takie sympatyczne, może warto byłoby je powtórzyć. Co powiesz na dobry obiad o piętnastej?

– Brzmi kusząco, ale raczej do trzeciej się nie wyrobię. – Spokojny ton w jej głosie zadziwił ją samą. – Mam dzisiaj trochę spraw do załatwienia, a mój samochód jak na złość odmówił posłuszeństwa. Stoję sobie właśnie w jakiejś zapyziałej uliczce pod Mostem Gdańskim i zastanawiam się, czy dać mechanikowi zarobić, czy może od razu zepchnąć grata do Wisły.

– Zepsuł ci się samochód? Czemu od razu nie mówisz? – przejął się Nadarzewski. – Możesz tam na mnie poczekać? Będę za godzinę.

– To bardzo miłe z twojej strony. – Spojrzała na zegarek. – Ale za dwadzieścia pięć minut jestem umówiona w centrum z klientem. Wezmę taksówkę.

– Zadzwoń, proszę, jak skończysz spotkanie – powiedział z troską. – Mam dobrego mechanika. Postaram się go ściągnąć.

*Ja też miałam mechanika* – pomyślała. – *Fajnego. Ale wczoraj.*

Było lekko z górki, więc wrzuciła na luz i powoli wtoczyła auto na niewysoki chodnik. Zaparkowała na końcu długiego sznura samochodów, zadzwoniła po taksówkę i wysiadła, ze złością trzaskając drzwiami. Miała nawet ochotę kopnąć tę kupę złomu, ale powstrzymała się. Szkoda butów i za dużo ludzi. Już i tak czuła się wystarczająco idiotycznie, kiedy resztkami sił dławiącego się silnika jej auto odstawiło taniec indiański na Wisłostradzie. Nie dość, że

obciach, to teraz jeszcze wisiła jej nad głową groźba spóźnienia się na spotkanie. I ciemna deszczowa chmura. Nie wiadomo, co gorsze.

– Jak ktoś ma pecha, to i w bananie pestkę znajdzie – burknęła pod nosem i podeszła bliżej ulicy.

Taksówkarz przez pół drogi biadolił o jej zepsutym samochodzie, aż pożałowała, że w ogóle mu o tym powiedziała.

– Strasznie mi przykro, bo sam doskonale wiem, jak to jest – rozprawiał. – Ja, proszę pani, bez wozu czuję się jak inwalida bez wózka. Nie umiem poruszać się po Warszawie bez samochodu. A ta nasza komunikacja? – Spojrzał na Zuzannę we wstecznym lusterku. – Kompletnie zesłała na psy. Ja to na przykład, proszę pani, nie wiedziałbym nawet, jak skasować bilet w autobusie. Naprawdę bardzo pani współczuję.

– Na pana miejscu spojrzałabym na to z pozytywnej strony – wtrąciła. – Gdyby mój samochód był na chodzie, pan nie miałby klienta.

No i facet się zamknął.

Wjechali na Most Poniatowskiego i wtopili się w korek na Alejach Jerozolimskich. Zuzanna nerwowo spojrzała na zegarek. Była za pięć dziesiąta.

*Kurczę, nie zdążę!*

Miała ochotę wysiąść już koło Smyka, ale jak na złość zaczęło padać, a ona niestety nie miała parasolki. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Symertowicza i odwołać spotkanie, jednakże uświadomiła sobie, że wczoraj rozmawiała z nim przez telefon stacjonarny i nawet nie przyszło jej do głowy, aby wpisać jego numer do swojej komórki. Trudno. Spotka się z nim i będzie miała to z głowy.

Taksówkarz skręcił w ulicę Kruczą. Tutaj było trochę luźniej. Sporo aut, ale ruch był bardziej płynny.

– Nie może pan podjechać bliżej? – zapytała, gdy zatrzymał samochód przy skrzyżowaniu Chmielnej i Brackiej. – Strasznie leje.

– Przecież tu jest zakaz ruchu – mruknął pod nosem i wystawił rękę po należność. – Bliżej się nie da.

Nie miała ochoty się sprzeczać, chociaż była pewna, że taksówka spokojnie mogłaby podjechać pod sam lokal. Zapłaciła więc i wysiadła. Deszcz lał niemiłosiernie. Trzymając nad głową teczkę, co sił pobiegła do kawiarni.

Kafejka Pod Kaktusami znajdowała się naprzeciwko kina Atlantic, prawie przy samej Galerii Centrum. Zuzanna lubiła ten lokal. Może nie do końca pasował do eleganckiej Chmielnej, ale było w nim coś magicznego. I choć wystrój wnętrza pozostawiał wiele do życzenia, lokal urzekł prostotą i przesympatyczną obsługą.

Maksymilian czekał w hallu.

– Przepraszam za spóźnienie – wysapała i odruchowo spojrzała w lustro, które, jak magiczne

zwierciadło, pokazało całą straszną prawdę.

*O, cholera!*

Mokre brązowe kędziory ciężko opadały na wilgotny żakiet, drobniejsze kosmyki oblepiały jej twarz, a tusz, który tak precyzyjnie umieściła dziś rano na rzęsach, poddał się wilgoci i sile grawitacji, tworząc na policzkach bliżej niezidentyfikowane wzory.

*Obciach absolutny!*

Zakłopotana swoim wyglądem, bez słowa wyjaśnienia wpadła do łazienki. Najpierw wsadziła głowę pod suszarkę do rąk, potem pod nią przykucnęła, próbując osuszyć ubranie. Błyskawicznie poprawiła makijaż i spojrzała na swoje odbicie.

*Zawsze musisz robić z siebie idiotkę?*

Wzięła kilka głębszych oddechów i wyszła.

Maks czekał na nią w tym samym miejscu.

– Usiądziemy przy stoliku czy będziemy rozmawiać tutaj? – zapytała mniej uprzejmie, niżby chciała, zmieszana jego przenikliwym spojrzeniem.

– Przedtem też mi się podobało. – Uśmiechnął się i otworzył jej drzwi do głównej sali kawiarni.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale się nie odezwała. Przeszła na koniec sali i usiadła na miejscu pod oknem. Maks poszedł za nią.

– Jest pani głodna? – zapytał, studiując kartę. – Podobno dają tu niezłe tosty.

– Wystarczy kawa.

– Deser? – Nie spuszczał wzroku z menu. – Hmm, tiramisu. Chyba się skuszę, a pani?

*Nienawidzę, jak ktoś czyta w moich myślach.*

– Staram się nie jeść tego, co wali w podbródek – odpowiedziała pospiesznie, na wypadek gdyby zdradliwa siła w jej głowie chciała zadecydować inaczej.

– No to mnie pani zawstydziła. – Maks się roześmiał. – W takim razie ja też wezmę tylko kawę.

– Mam nadzieję, że wziął pan ze sobą karty? – zapytała, uznając, że trzeba od razu przejść do sedna sprawy. – Do aktywacji potrzebne będą ich numery.

Zadzwoiła na infolinię Warsaw Banku i podała Maksowi telefon, a potem przypilnowała, żeby na odwrocie każdej karty złożył swój podpis.

*Dobra – pomyślała. – Mam to z głowy. Naprzykrzał się, to się z nim umówiłam. A teraz spadam.*

Dopiła kawę i już miała wymyślić pretekst, żeby się pożegnać, gdy nagle zadzwonił jego telefon.

*Niech go pilnie wezwą do pracy – poprosiła w duchu. – Przynajmniej nie będzie na mnie, że*

się wymiguję.

– Mamo, nie płacz. Czemu od razu nie zadzwoniłaś? – Jego zdenerwowany głos spowodował, że z łoskotem postawiła kubek na talerzyku. – Powiedz mi spokojnie, co się stało?

Zuza z przejęciem patrzyła, jak Maksymilian rozmawia z matką. Chociaż był opanowany, delikatnie drgające zmarszczki w okolicach lekko przymrużonych oczu wyraźnie zdradzały jego zdenerwowanie. Zrobiło jej się głupio.

*Chciałam, tylko aby wezwali go do pracy – usprawiedliwiała się w duchu – a nie, żeby zaraz coś się stało.*

– Mój brat od pół godziny leży na stole operacyjnym. Miał atak wyrostka – odezwał się chwilę po odłożeniu słuchawki. – Muszę jechać do szpitala. Proszę mi wybaczyć, pani Zuzanno.

– Oczywiście. – Ze zrozumieniem pokiwała głową. – Mogę jakoś pomóc?

– Matka uważa, że pewnie są jakieś komplikacje, bo lekarze nic jej nie chcą powiedzieć. – Wstał od stolika i sięgnął po portfel, aby zapłacić rachunek. – Dziękuję za dobre chęci, ale nie chciałbym pani fatygować. Zresztą nie bardzo wiem, w czym mogłaby mi pani pomóc. – Uśmiechnął się krzywo. – Sterroryzuje pani personel?

Zuza poczuła się urażona. Szczerze zaproponowała mu pomoc, a on jawnie ją zlekceważył? Uznała więc, że nie może dać się tak po prostu zbyć.

– Który to szpital? – zapytała, skrzętnie ukrywając wzbierający gniew.

– Na Kopernika.

W jednej chwili przewertowała w głowie listę znajomych. Lekarze, pielęgniarki, salowe. Jest! W komórce odnalazła pożądany numer telefonu i zadzwoniła. Po kilku długich sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka.

– Nie odbiera. – W zamyśleniu zagryzła wargę. – Ale powinna mieć dzisiaj dyżur. – Wyciągnęła z torebki notes, szybko coś zapisała i wyrwała kartkę.

– Proszę. – Podała ją Maksowi. – Dorota jest lekarzem. Robi w tym szpitalu specjalizację na chirurgii. Jest też moją dobrą znajomą. To bardzo rezolutna i uczynna dziewczyna. Proszę powołać się na mnie, a na pewno panu pomoże.

– Dziękuję. – Maks złożył kartkę na pół, nie czytając. – Jeśli sam sobie nie poradzę, z pewnością zgłoszę się do pani koleżanki.

Raptem wszystkie komórki w głowie Zuzanny, te szare i te bardziej kolorowe zgodnie orzekły, że facet ewidentnie działa im na nerwy.

*Znalazła się Zosia samosia w męskim wydaniu – pomyślała złośliwie. – Uparty kłapouch.*

– Wie pan co? Lepiej sama z nią porozmawiam. – Ambicja nakazała jej spróbować jeszcze raz. – W końcu to niedaleko, a ja mam jeszcze trochę czasu. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko.

– No to chodźmy – odparł bez wahania. – Pojedziemy moim samochodem. Potem tutaj panią odwiozę.

*Jasne! Będzie szybciej* – przypomniała sobie o swoim zepsutym seacie i w duchu zaklęła siarczyście.

Terenowy mercedes Symertowicza zgrabnie pokonywał zatłoczone ulice. Bo choć było już przed dziesiątą, poranny ruch wcale nie zmalął.

Przez pierwsze kilka minut jechali w milczeniu. Zuza rutynowo rozmyślała o swojej narwanej naturze. Co ją podkusiło do tak absurdałnego zachowania? Pewnie gdyby zadzwoniła do Nadarzewskiego, niechybnie problem z jej samochodem zacząłby się już rozwiązywać. A tak? Porwała się na coś, na co najprawdopodobniej nie miała większego wpływu. No cóż! Zuzanna czasami zapominała o racjonalnym zachowaniu, gdy działała pod wpływem impulsu.

– W jakim wieku jest pana brat? – zagadnęła, gdy skręcali w ulicę Świętokrzyską.

– Maciek ma piętnaście lat. Tak samo jak Marcin i Majka – odpowiedział, patrząc na drogę, a kiedy kątem oka zauważył, że chyba nie rozumiała, wyjaśnił: – Trojaczki.

– To jest pan lepszy. – Uśmiechnęła się lekko. – Ja mam tylko dwie młodsze siostry. Bliźniaczki.

*Właściwie pod tym względem to ja jestem górą* – pomyślała. – *Przecież mam jeszcze trzech braci.*

– Niestety obie studiują w Londynie – kontynuowała. – Widuję je tylko raz do roku na Boże Narodzenie. Pan jest pewnie w lepszej sytuacji, prawda?

– Mam swoje rodzeństwo na co dzień. – Westchnął głośno i pokręcił głową. – Czasem to aż za bardzo na co dzień.

Maks objechał parking w poszukiwaniu wolnego miejsca. Między szpitalem, Teatrem Polskim i Harendą nie można było wcisnąć nawet malucha, a co dopiero taki duży samochód. Aby nie tracić czasu, Zuzanna wysiadła pierwsza i z komórką przy uchu szybkim krokiem ruszyła na oddział chirurgii. Telefon Doroty wciąż nie odpowiadał.

Wbiegła na schody, pokonując je długimi susami po kilka stopni naraz. Kiedy zadyszana wpadła na trzecie piętro, zaczepiła ją starsza kobieta w białym fartuchu. Okazało się, że w szpitalu obowiązkowe są ochraniacze na buty. Chcąc nie chcąc, Zuza musiała wrócić na parter. Kupiła w automacie fizelinowe papucie, założyła je na pantofle i z bólem w oczach spojrzała na schody.

*Szlag by to!*

Jeszcze raz spróbowała skontaktować się ze znajomą lekarką. Bezskutecznie. Telefon koleżanki był odporny na wszelkie błagania.

Zuza chwyciła za poręcz i już miała postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy nagle usłyszała dźwięk otwierającej się windy. Nie zastanawiając się dłużej, przebiegła pół długości korytarza i w ostatniej chwili zatrzymała nogą zasuwające się drzwi. Niefortunnie zaczepiła przy tym obcasem o próg, tak że porwała ochraniacz.

– Badziewie – bąknęła pod nosem i niezgrabnie poprawiła fizelinę na bucie.

– To winda tylko dla personelu – usłyszała.

Zuza podniosła głowę i rozpromieniła się w uśmiechu.

– Dorota? Całe szczęście, że cię widzę. Z nieba mi spadłaś. – Pocałowała koleżankę w policzek. – Mogłabyś odbierać, kiedy do ciebie dzwonię.

W drodze do gabinetu lekarskiego Zuza naprędce streściła cel wizyty i dowiedziała się, że operacja jeszcze trwa. Nie wdawała się w szczegóły. Powiedziała tylko, że jej znajomy martwi się o brata, a ich matka dostanie apopleksji, jeśli zaraz się czegoś nie dowie.

– Zuza, nie jestem w stanie określić, jak długo to może potrwać. Czasami wystarczy kilkanaście minut, a czasem i godzina to za krótko. To zależy od wielu czynników. Mogę ci tylko powiedzieć, że chłopak jest naprawdę w dobrych rękach.

– To dlaczego nikt nie mógł powiedzieć o tym jego matce?

– Pewnie dlatego, że wszyscy chirurdzy są na bloku operacyjnym. – Dorota pchnęła przeszkłone wahadłowe drzwi do poczekalni. – A ja byłam u pacjentów na dole.

Zuza spojrzała na długi rząd krzeseł pod ścianą. Na samym końcu ze spuszczoną głową siedziała kobieta. Trudno było określić jej wiek. Równie dobrze mogła mieć pięćdziesiąt, jak i sześćdziesiąt lat. Na widok dziewczyn podniosła zażawione oczy i wstała. Przez sekundę jakby się wahała, lecz po chwili ruszyła w ich kierunku. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przed nią Maksymilian.

– Synku, jak dobrze, że jesteś. – Kobieta wtuliła się w jego ramiona, a on mocno ją do siebie przycisnął i pocałował.

Zuza patrzyła na nich przez chwilę, zastanawiając się, kiedy ostatni raz tak tuliła się do swojej matki.

– Poczekam na zewnątrz – szepnęła do Doroty i wyszła na drugą stronę korytarza.

Podeszła do schodów i odwróciła się. Przez szybę w drzwiach widziała, jak lekarka tłumaczy coś Symertowiczom. Maks obejmował matkę i kiwał ze zrozumieniem głową. Po chwili z bloku operacyjnego wytoczyło się łóżko pchane przez dwie pielęgniarki. Leżał na nim młody chłopak z podłączoną kroplówką. Spał. Zuza odruchowo spojrzała na Maksa. Czułość, z jaką patrzył na brata, była niezwykła.

Deszcz już nie padał. Stała przed szpitalem i w zamyśleniu obracała w palcach telefon. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za rodzicami. Brakowało jej bliźniaczek. Myślała o swoich braciach. Gdzieś w głębi duszy zazdrościła Maksowi, że ma rodzinę tak blisko. A Zuza czuła się opuszczona.

Usłyszała za sobą kroki i odwróciła się.

– Jak Maciek? – zapytała.

– Za kilka dni będzie na chodzie. – Symertowicz uśmiechnął się. – Dziękuję za pomoc.

– Drobiazg. – Odwzajemniła uśmiech.

*Właściwie to przecież nic nie zrobiłam – pomyślała.*

– Odwiozę panią. Gdzie pani samochód? Na Chmielnej?

*Niestety pod mostem.*

– Dziękuję, dam sobie radę. Wezmę taksówkę. Proszę wracać na górę. Mama pewnie teraz pana potrzebuje.

– Wrócę tu po południu. Teraz wzywają mnie obowiązki w redakcji – odparł. – Poza tym obiecałem, że panią odwiozę i chciałbym dotrzymać słowa. Potrzebuje pani kierowcy, więc służę pomocą.

– Bardziej potrzebuję mechanika – przyznała się. – Moje auto strajkuje sobie pod Mostem Gdańskim. Ale dziękuję za dobre chęci.

– Mówi pani o tym sportowym seacie na szerokich oponach? Co się stało?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Uwziął się na mnie. Dławił się i szarpał, więc go tam zostawiłam. Ale znajomy obiecał sprowadzić fachowca, więc proszę się nie martwić.

– Nie jestem mechanikiem, ale chętnie zerknę – zaproponował Maks. – Swego czasu lubiłem grzebać w samochodach. No i zawsze sam naprawiałem swoje cinquecento.

– To nie znaczy, że pan sobie poradzi – skwitowała. – Chyba jednak wolę oddać sprawę w ręce eksperta.

– Proszę mi wierzyć. – Podniósł obie dłonie jak Kaszpirowski podczas seansu hipnotycznego.  
– Te ręce potrafią działać cuda.

*Cha, cha, cha... Ale się uśmiełam.*

– A nie wspominał pan przed chwilą o redakcyjnych obowiązkach?

– Mam ważniejszą misję. – Pociągnął ją za rękę. – Chodźmy.

Samochód stał tam, gdzie go Zuzanna zostawiła. Na końcu długiego sznura innych pojazdów. Był grafitowy, brudny i zepsuty.

*Szkoda, że go nie ukradli – pomyślała złośliwie. – Jest ubezpieczony na większą sumę, niż jest niż wart.*

Podniosła maskę. Maks podwinął rękawy koszuli, oparł ręce na udach i przez pewien czas wpatrywał się w to, co było pod klapą silnika. Zuza wiedziała tylko, gdzie jest wlew spryskiwacza do szyb. Reszta była dla niej czarną magią, nad czym zresztą nigdy nie ubolewała.

– Trochę to skomplikowane, prawda? – zagadnęła, widząc, jak Maksymilian zagląda w każdy zakamarek. – Zna się pan na tym wszystkim?

– Na wszystkim nie. – Uśmiechnął się. – Ale miałem kiedyś samochód na gaz. – Wsunął rękę

w szczelinę pomiędzy jakieś bliżej niezidentyfikowane urządzenia. – No proszę! Tak jak myślałem. Widzi pani ten dyndający gumowy kapturek? Wystarczy go tu nasadzić i gotowe.

– I już? – Zuzanna spojrzała na Maksa z lekkim sceptycyzmem. – Tylko tyle? Niemożliwe. Na pewno nie będzie działał.

– Proszę sprawdzić.

Nie dowierzając, wsiadła za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Auto odpaliło za pierwszym razem. Zuza kilkakrotnie nacisnęła pedał gazu, przypuszczając, że silnik nie podoła wysokim obrotom i zgaśnie. A on jak na złość działał. Samochód, który jeszcze rano Zuzanna w akcie desperacji chciała utopić w Wiśle, nagle ożył i wszystko wskazywało na to, że ma się całkiem dobrze.

– Mówiłem pani, że te ręce potrafią działać cuda. – Wykonał taki sam gest jak pod szpitalem. – A pani nie chciała mi wierzyć.

– Trochę brudne te ręce – zauważyła, a po jej twarzy przemknął lekki uśmiech. – Dziękuję. Następnym razem sama tam najpierw zajrzę, zanim zadzwonię po taksówkę.

– Drobiazg. – Maks zatrzaskał maskę i wytarł dłonie mokrą chusteczką, którą przyniósł ze swojego mercedesa. – Lepiej nie próbować naprawiać samemu. Kobiety nie są stworzone do naprawiania samochodów.

– A do czego? – zapytała ironicznie. – Do garów?

*Chyba jednak cię nie polubię, panie Symertowicz.*

Przed wejściem do banku czekał na nią Aleksander Nadarzewski. Był dziwnie podekscytowany.

– A co ty tu robisz? – zapytała zaskoczona. – Przecież się nie umawialiśmy. Chyba że coś mi umknęło?

– Powiedziałaś, że za chwilę tu będziesz, więc przyjechałem.

– Przepraszam cię, Aleks, ale powiedziałam też, że mam dużo pracy i nie mogę się dzisiaj z tobą spotkać.

– Wiem, ale zajmę ci tylko kilka minut. Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? To naprawdę ważne.

Spojrzała na niego z zaciekawiona. Cóż takiego miał jej do powiedzenia, czego nie można by powiedzieć przez telefon?

– Dobra. Ale tylko na długość kawy w McDonaldzie.

Zuza, choć miało być krótko, zamówiła latte z syropem amaretto i usiadła przy wolnym stoliku.

Po chwili przysiadł się Aleksander. Roześmiała się na widok jego małej papierowej filiżanki z espresso.



– Widzę, że naprawdę wzięłaś sobie do serca to, co powiedziałam.

– Proponuję zatem, abyśmy wzięli pod uwagę twoją kawę. – Wskazał na jej kubek. – Twoja kawa, twój czas. A jak samochód? Tak szybko go naprawiłaś?

– Powiedzmy, że to było cudowne uzdrowienie – odparła, nie wdając się w szczegóły. – Co to za ważna sprawa? Mam się bać?

– Na początku lipca wylatuję do Włoch. Dzisiaj do osiemnastej muszę potwierdzić rezerwację biletów. Wiesz, zaczęły się wakacje i coraz trudniej o miejsce w samolocie. – Uśmiechnęła się. – Mój przyjaciel nieoczekiwanie zmienił plany, zatem muszę lecieć sam. Pomyślałem sobie, że nie będę rezygnował z drugiego biletu, tylko zostawię go dla ciebie.

Zuza parsknęła tak mocno, że resztki kawy, które przed chwilą miała w ustach, wylądowały na koszuli Nadarzewskiego. I na krawacie. I chyba jeszcze na nosie.

– Ty chyba zwariowałaś! – krzyknęła i zaraz przeprosiła go za swoje zachowanie.

– Zastanów się, Zuziu. – Aleksander przetarł twarz serwetką. – Ciężko pracujesz, więc chyba należy ci się odpoczynek. Nadarza się do tego fajna okazja, więc czemu z niej nie skorzystać?

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – Oparła łokcie na stoliku i spojrzała Aleksandrowi w oczy. – Że zostawię wszystko tak po prostu i z tobą polecę? – Uniosła brwi, aż na czole pokazała się gruba pręga.

– Myślałem, że się ucieszysz – powiedział ze smutkiem. – Przecież na pewno ktoś może cię zastąpić. To tylko tydzień.

– Tydzień? Aleks! – Zuza głęboko odetchnęła. – Dziękuję, że o mnie pomyślałeś. Doceniam to. Naprawdę! Ale zrozum, że jestem kierownikiem od niespełna miesiąca. Nie mogę tak po prostu zostawić swojego zespołu i pojechać na wakacje.

*Po dwunastej, a ja nic nie zrobiłam.* – Zuza spojrzała w kalendarz. Za godzinę miał przyjść klient, a ona nie miała głowy, aby zabrać się za stos papierkowej babraniny, którą miała na biurku.

*Cierp ciało, jak żeś chciało* – powiedziała do siebie w duchu i odchyliła zmęczoną głowę na oparcie fotela. Zdecydowanie za dużo jak na jedno krótkie przedpołudnie, a dzień jeszcze przecież się nie skończył. Najpierw Symertowicz, potem Nadarzewski. A teraz jeszcze stos papierów.

– Dzwoniłaś do prezesa? – zapytał nagle Marek. – Bo nie wiem, co robić, a trzeba by jakoś zabrać się za politechnikę.

– Jeszcze nie, ale dzięki, że mi przypomniałeś. – Błysnęła szelmowskim uśmiechem. – Pomyślałam sobie, że dam Małemu jeszcze jedną szansę. Idę na górę.

– Przecież to nie ma sensu. – Marek spojrzał na nią zdziwiony. – Nie sądzę, aby od wczoraj nagle zmienił zdanie.

– Tak czy siak, spróbować nie zaszkodzi.

\*

Zapukała do sekretariatu i otworzyła drzwi.

– Coś taka strachliwa? – zapytała, gdy Żaneta niespokojnie drgnęła na krześle. Gieni nie było.  
– Dyrektor u siebie? Mogę do niego wejść?

– A co, mam cię zadenuncjować? – zachnęła się dziewczyna. – Jak masz sprawę, to wchodź.

Zuza zmrużyła oczy i uśmiechnęła się kwaśno, jakby właśnie zjadła cytrynę bez popijania.

– Rozumiem, że miałaś na myśli zaanonsowanie? – poprawiła ją. – Dzięki, Żanetka. Chyba sobie poradzę.

Zastukała do gabinetu Małeckiego i zajrzała przez uchylone drzwi.

– Cześć, masz chwilkę?

Andrzej podniósł na nią niechętny wzrok i jeszcze bardziej niechętnym ruchem głowy zaprosił Zuzę do środka.

– Jeśli przyszedłeś rozmawiać o aneksie, to tracisz czas. – Zatopił spojrzenie w laptopie. – Mówiłem ci, że decyzja jest nieodwołalna. Więc jeśli to wszystko, wybaczone, ale nie mam czasu.

– Jasne – odparła pogodnym tonem. – Już nie przeszkadzam. – W końcu powinniśmy nawzajem szanować swój czas i pracę. A nierzadko mamy tyle roboty, że niewyróbka i musimy zostawać po godzinach.

Dyrektor powoli podniósł głowę znad komputera, świdrując Zuzannę ostrym spojrzeniem. Udała, że tego nie zauważa.

– Mnie to się często zdarza – spokojnie mówiła dalej. – O, weź my na przykład wczoraj. Makabra! Wyobrażasz sobie, że wyszłam stąd dopiero po dwudziestej?

Małecki poczerwieniał.

– To jak będzie? – Uśmiechnęła się. – Znajdziesz dla mnie chwilkę?

\*

Zuzanna zdenerwowała się. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że Łukasz w przedszkolu pobił się z kolegą. I to jeszcze sam zaczął.

– Mamo, kupis mi lizaka? – zapytał, gdy ubierała go w szatni.

– Synku, lizaki są niezdrowe – odpowiedziała i posadziła go sobie na kolanach. – Powiedz mi, dlaczego uderzyłeś Szymona?

– Symon powiedział, że jego tata jest bardzo ważny, bo placuje na ostatnim piętse w wieżowcu.

– I to był powód, aby go zaraz bić? – zdziwiła się.

– Ja mu powiedziałem, że mój tata jest ważniejszy, bo placuje jeszcze wyżej. W samym Niebie – odparł chłopczyk poważnie. – A on się zaczął śmiać. To mu psywałem.

– Syneczku. – Zuza przytuliła malca mocno do siebie, czując ucisk w gardle i napływające do oczu łzy. Nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Mamo, Bozia już go nie wypuści, prawda? – raczej stwierdził niż zapytał chłopczyk.

– Prawda – szepnęła stłumionym głosem i przycisnęła twarz do jego policzka. – Nie wróci. – Te słowa odbijały się w jej głowie bolesnym echem.

– A będę miał kiedyś nowego tatusia? – zapytał nagle. – Chciałbym takiego jak wujek Filip. Albo wujek Maks. I wcale nie musi placować w wiewowcu.

Zuzanna uśmiechnęła się mimowolnie.

– Nie wiem, syneczku. – Wyciągnęła do niego rękę. – Idziemy do domu?

– A myślisz, że lizaki już wyzdłowiły?

## ROZDZIAŁ XI

– Dzięki, że mnie zabrałaś – powiedziała Olga. – Potrzebowałam chwilowej odskoczni. Ale chyba już sobie pojedę. Będziesz miała więcej czasu dla znajomych.

– Siedź! Ty też jesteś moją znajomą. – Zuza stuknęła drinkiem o szklanekę przyjaciółki. – Nasze zdrowie.

– Prawdę mówiąc, nie mam nastroju do zabawy. Lepiej zamówię taksówkę i wrócę do domu. Przy okazji będę miała na oku Filipa i Łukasza. Jak mnie nie ma, hulaj dusza! – Uśmiechnęła się. – Albo trochę popracuję. Zobaczę.

– Masz dzisiaj wychodne, więc korzystaj! – zawołała wesoło Zuza. – Słyszałaś, co mówił twój mąż: jakby co, będą dzwonić. Poza tym Łukasz już pewnie śpi. Lepiej zostań tutaj i trochę się rozerwij. To lepsze niż zamknąć się w pokoju i uprawiać amory z tymi twoimi paragrafami z kodeksu.

Ich rozmowę przerwała Gośka.

– Chodźcie tu wszyscy! – zawołała do pozostałych. – Trzeba wznieść toast za naszą szefową.

Kilkanaście osób pospiesznie otoczyło Zuzannę i siedzącą przy niej Olgę.

– Twoje zdrowie! – zawołali chórem.

– To także wasza zasługa. – Zuza wstała i podniosła szklanekę. – Gdybyście się tak nie sprężyli na politechnice, tej imprezy pewnie by nie było.

– A co z innymi firmami? – zapytał Michał. – Też mamy do nich wejście? Tak jak wcześniej obiecywał Małecki?

Zuza westchnęła, spojrzała na chłopaka, a potem na pozostałych.

– Kochani – powiedziała poważnie. – Przede wszystkim musimy skupić się na sprzedaży kredytów hipotecznych, ponieważ do tego został stworzony nasz zespół. Możemy dokończyć politechnikę i zaczęte firmy, ale nasze uprawnienia dotyczące kart będą działały tylko do końca września.

– Szkoda – jęknęła rozczarowana Gośka. – Promocje są takie fajne.

– Będą inne okazje. Przygotujemy specjalne warunki dla deweloperów i spółdzielni mieszkaniowych – odparła Zuza. – To fajniejsze promocje i nie takie nudne. – Uśmiechnęła się. – Na waszym miejscu zajęłabym się teraz szukaniem dobrych agencji nieruchomości, ponieważ od przyszłego tygodnia będziemy mogli podpisywać z nimi umowy o współpracy.

– Ale karty to żyła złota – oponował Michał. – Sprzedają się jak świeże bileciki w kiosku. Mamy z nich rezygnować? Oplacało ci się gwałcić Małego tylko dla jednej marnej politechniki?

Zuzanna miała wrażenie, że ostry czubek jej pantofla zaraz sam się zamachnie, wymierzając cios w czuły punkt chłopaka.

– Zapomniałeś już, że nadstawiałam karku, aby ratować również twoją dupę, Michale? A może potrzebujesz specjalnego przypomnienia?

– Młody, kolejka ci przepadnie! – zawołał do niego Marek, widząc, że atmosfera zaczyna trącać zgrzytem. Usiadł ze szklanką obok Zuzy i wznosił toast: – Jesteś wielka, liderku – powiedział z uznaniem. – Najlepszego!

– Najlepszego! – Olga upiła łyczek. – Gratuluję sukcesu.

– To wszystko jej robota. – Marek dumnie wskazał na Zuzę. – Powiesz mi wreszcie, jak to zrobiłaś? – Przynął się bliżej i zniżył głos. – Nie bądź taka. W końcu jesteśmy kumplami, no nie?

– Bardzo dobrymi kumplami, Marku – odparła. – Ale tamto niech pozostanie moją lukrowaną tajemnicą – szepnęła przewrotnie i uśmiechnęła się.

Zuzanna już dawno nie czuła się tak wyluzowana. Przez ostatnie tygodnie nagromadziło jej się tyle trudnych doświadczeń, że głowa pęczniała jak nadmuchana żaba. Dziś wie czorem było inaczej, była wesoła i beztraska. W towarzystwie ludzi ze swojego zespołu i u boku najlepszej przyjaciółki świętowała pierwszy, najważniejszy sukces.

Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy wszystko pójdzie po jej myśli. Jeszcze na kilka minut przed zamknięciem systemu bankowego brakowało trzech zaktywowanych kart. Na szczęście w ostatniej chwili bank je zaakceptował. Pomyślała o Symertowiczu i podziękowała sobie w duchu, że umówiła się z nim na kawę.

Kiedy komputer pokazał końcowy wynik, biuro zawrzało od oklasków i wiwatów. W euforii Zuzanna zaprosiła całą swoją drużynę na kręgle. A było co świętować. I za co: wszyscy dostali dodatkową premię.

Jak Zuzanna to zrobiła? Choć jej zagranie było bliskie szantażu, satysfakcja i tak była słodka. Nie musiała mówić Małemu, że to ona zostawiła napis na komputerze. Dyrektor sam się tego domyślił, inaczej nie powróciłby tak łatwo do rozmowy o aneksie i pierwotnych ustaleniach.

Zuza nie była zachłanna. Wystarczyło jej, żeby Małcki dotrzymał wcześniej danego słowa.

\*

Atmosfera na kręgielni zrobiła się isticie imprezowa. Ludzie śmiali się, opowiadali kawały, jedli chipsy i pili drinki. A Zuza jednogłośnie została okrzyknięta odlotowym liderkiem. Nawet Olga na pewien czas zapomniała o ponurym nastroju, kiedy przystojny dwudziestoletni Krzysiek zaproponował, że nauczy ją profesjonalnie rzucać kulą. Nie odstępował jej prawie przez trzy godziny, dopiero koło północy ulotnił się z częścią towarzystwa. I wtedy Olga stała się nie do wytrzymania.

– Ale jesteś upierdliwa, kobieto. – Zuza była już lekko wstawiona. – Głędzisz i smęcisz w kółko to samo. Daj żyć!

– Wiesz, która jest godzina?

– I co z tego? Jutro sobota. Chodź. – Poklepała ją delikatnie po udzie. – Zagramy jeszcze jedną rundkę? Ostatnią.

– Tamte dwie też miały być ostatnie. – Olga nie ruszyła się z miejsca i spojrzała z pretensją na przyjaciółkę. – Zamiast do taksówki poszłaś po kolejnego drinka, pamiętasz? Wiesz, jak ja wyglądałam przed tym taryfiarzem?

– Olguś, nie wątpię, że wyglądałaś prześlicznie. – Zuza uśmiechnęła się słodko i mocno cmoknęła ją w policzek. – Nie bądź zła! I daj się jeszcze pobawić.

– Mam już dosyć kręgli, kochaniutka, i chcę do domu.

– Nie musisz grać. – Zuza sięgnęła po drinka. – Ale możesz się ze mną napić tej nowej monopolowej mieszanki. Jest bezlitośnie wyskokowa. Normalnie czuję, że opuściły mnie wszystkie bolączki dnia powszedniego. – Pociągnęła łyk. – I dobrze mi z tym.

– Nie chcę nic mówić, ale opuściła cię też twoja trzeźwość.

– Jak chcesz, to jedź sama! Przecież cię nie trzymam. – Obraziła się Zuza. – Ja mam jeszcze ochotę zostać i zagrać.

– Dzwonię po taksówkę – powiedziała stanowczo Olga. – Jeśli za piętnaście minut nie będziesz gotowa do wyjścia, zrobię ci scenę przy wszystkich. Zobaczysz! – pogroziła.

– Dobra, dobra. – Zuzanna machnęła od niechcienia ręką i wstała. – Tylko kilka rzutów. – Odwróciła się w stronę toru i zachichotała pod nosem. – Olga na scenie? To mógłby być niezły widok.

Zuzanna w najlepsze szlifowała różne warianty podkręcania kuli, mając upływający czas w głębokim poważaniu. Kiedy kolejny raz sięgała po swoją szczęśliwą kulę rozmiaru dziesięć, poczuła szarpnięcie za sukienkę.

– Zbieraj się, kochaniutka – powiedziała Olga. – Kierowca już czeka. Tym razem pójdziesz ze mną, bo nie mam zamiaru znowu się za ciebie tłumaczyć.

Zuza odwróciła się, żeby obsztorcować przyjaciółkę i w tej samej chwili jej uwagę przykuła

postać mężczyzny stojącego w głębi kręgielni.

– Widziałaś, kto tu zawitał? – szepnęła, zmieniając ton głosu. Odruchowo poprawiła włosy i wygładziła sukienkę. – Chodź! – pociągnęła przyjaciółkę za rękę. – Wypada się przywitać. Niektórzy dopiero przyszedli, a ty mnie ciągniesz do domu.

Olga milczała.

– Wprawdzie ostatnio mnie wkurzył – ciągnęła Zuza. – Co ja gadam, ciągle mnie wkurza – poprawiła się z przekąsem. – Ale może przy nim nie będziesz taka uparta i pozwolisz jeszcze trochę zostać.

Stał pod ciemnym filarem z rękami założonymi na piersiach. Ubrany był w białą koszulę rozpiętą pod szyją i wytarte dżinsy. Na twarzy miał delikatny zarost.

*Nieźle się prezentuje na tle tej burgundowej ściany* – pomyślała Zuzanna, podchodząc bliżej. – *Nieźle?* – zganiała się nagle w duchu. – *Chyba od procentów wzrok mi się psuje.*

– A kogóż to moje oczy widzą? Dobry wieczór. – Wyciągnęła rękę na powitanie. – Co za niespodzianka. Pan Symertowicz, zaklinacz beznadziejnych samochodowych przypadków. Muszę przyznać, że od tamtej pory moje autko sprawuje się bez zarzutu – język trochę jej się plątał. Odchrząknęła.

– Cieszę się, pani Zuzanno, że mogłem pani pomóc. – Maks z uśmiechem uściśnął jej dłoń.

– Czy w ramach podziękowań mogę pana zaprosić na partyjkę, panie Maksymilianie?

– Kiedy was słucham, czuję się jak w starym kinie – wtrąciła Olga. – Zróbcie mi tę przyjemność i mówcie do siebie po imieniu, dobrze?

– Jeśli o mnie chodzi, z największą przyjemnością. – Mężczyzna ponownie wyciągnął dłoń do Zuzanny. – Maks.

– Wiem! – Odpowiedziała na uścisk. – Czy teraz już możemy zagrać?

Maksymilian spojrzał pytająco na Olgę, lecz ona stanowczo pokręciła głową, a jej oczy mówiły jasno: nie ma mowy!

– Chyba jednak będziemy musieli odłożyć to na kiedy indziej. – Westchnął. – Następnym razem bardzo chętnie, ale teraz powinienem już odwiedzić was do domu.

– Jak to, powinieneś? – zdziwiła się Zuzanna i obrzuciła przyjaciółkę wściekłym spojrzeniem.

– To twoja sprawka, prawda?

Rewelacyjny wieczór skończył się tak sobie. Siedziała na tylnej kanapie czarnej terenówki z policzkiem przyklejonym do bocznej szyby. Było jej głupio, kiedy okazało się, że Symertowicz przyjechał specjalnie dla niej. Poprawka – przez nią! Olga nie mogła sama sobie poradzić, więc zadzwoniła do Filipa. Filip wykonał telefon do przyjaciela, a przyjaciel wskoczył do mercedesa, przyjechał i sobie poradził.

Zuza bezmyślnie wpatrywała się w migające za oknem smugi światła i coraz bardziej czuła się jak na otwartym morzu w czasie sztormu.

– Czy ten samochód mógłby przestać tak trząść? – wymamrotała. – Nie chcielibyście chyba zobaczyć wszystkiego, co wypiałam. – Wzdrygnęła się. – Ja zresztą też nie.

Maks lekko uchylił szyberdach.

– Wytrzymaj – powiedział. – Zaraz będziemy na miejscu.

– Niedobrze mi – wybełkotała Zuza.

– Nic dziwnego – skwitowała Olga. – Opróżniłaś cały bar. Wlałaś w siebie ze dwa galony procentów. To położyłoby niejednego twardziela. Wsadzić ci do ust knot, a będziesz się palić przez tydzień.

Wjechali w wąską osiedlową uliczkę Arabelina. Samochód zatrzymał się pod domem Kordejów.

– Podjedź kawałek dalej, Maks – poprosiła Olga. – Odstawię najpierw naszą mistrzynię.

– Nie trzeba, poradzę sobie – odezwała się Zuza, a kiedy przyjaciółka chciała zaprotestować, dodała stanowczo: – Mistrzynie sama trafi do swojego domu. Idź! Mówiłaś, że jesteś zmęczona.

Olga się zawahała.

– Nie martw się – uspokoił ją Maks. – Zaopiekuję się nią.

Dom Zuzanny był pięćdziesiąt metrów dalej.

– Ładna chatka – pochwalił i zaciągnął hamulec ręczny. – Wygląda, jakby była z piernika.

– Dzięki – westchnęła, próbując namacać klamkę. – Brakuje jej tylko kurzego buta.

– Chyba stopki – zaśmiał się Maks.

– Wszystko jedno – bąknęła. – Da się stąd jakoś wyjść?

– Poczekaj. Pomogę ci. – Wskoczył z mercedesa, otworzył tylne drzwi i podał Zuzannie rękę.

– Madame?

*Jak ja nie cierpię dżentelmenów.* – Skrzywiła usta i pozwoliła sobie pomóc.

Maksymilian napomknął o niedokończonym kilka dni temu spotkaniu w kawiarni, ale to zignorowała.

– Dziękuję za podwiezienie i dobranoc. – Przerzuciła sobie małą torebkę przez ramię i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do furki. Zrobiła dwa kroki i zachwiała się. Zmiana ciepłego powietrza na chłodny nocny wiaterek dała się Zuzannie we znaki. Poczowała, jak kręci jej się w głowie, a nogi dziwnie drżą na wysokich obcasach.

– Cholerne szpilki – mruknęła, uważając, że znalazła winowajcę.

Myśl o zdjęciu butów przyszła błyskawicznie. Zuza oparła jedną rękę na płocie, a drugą zsunęła pantofle. Schyliła się, żeby je podnieść i spojrzęła do tyłu.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytała zdziwiona.

– Czekam, aż wejdiesz do domu i zamkniesz za sobą drzwi – odparł z uśmiechem. – Wolę wiedzieć, że jesteś bezpieczna.

– Obejdzie się! – rzuciła obcesowo i widząc, że Maks nie ma zamiaru jej słuchać, machnęła torebką, jakby chciała się opędzić przed natrętnym owadem. – Sio!

– Jak sobie życzysz – powiedział zrezygnowanym głosem, postać jeszcze chwilę, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

Dopiero gdy zniknął jej z oczu, podeszła do furtki i wyciągnęła klucze.

– Znalazł się opiekun – burknęła do siebie i zabrała się do otwierania bramki.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Wsunęła do zamka jeden klucz, potem drugi, ale żaden nie pasował. Spróbowała jeszcze raz. To samo.

*Co jest?* – pomyślała i po chwili puknęła się ręką w czoło.

Kilka tygodni temu zepsuł się zamek w furtce, więc go wymieniła. Tylko dlaczego nie wpięła nowego klucza do futerału? Najwyraźniej wyleciało jej to z głowy. Jak w takim razie radziła sobie do tej pory? Ano tak, że zawsze wracała do domu samochodem. Wjeżdżała na podwórko przez bramę, otwieraną na pilota. Tymczasem pilot był w seacie, a seat w garażu.

Nacisnęła na domofon. Odczekała kilka sekund i roześmiała się.

– Jeśli ja jestem tutaj, to jak mam sobie sama otworzyć? – parsknęła. – Wstawiłaś się, koleżanko. Jak nic!

W pierwszym odruchu chciała pójść do Olgi, ale szybko zrezygnowała.

*Wystarczy, że zblądziłam się sama przed sobą. Świadkowie zbyteczni.*

Musiała jednak dostać się do domu. Perspektywa nocowania pod własną bramą sprawiła, że Zuzannie włączył się agregat myślowy. Wybić kilka sztachet w ogrodzeniu czy przejść górą? Skrzywiła się i przetarła dłonią zmęczoną twarz. Górą! Drugi pomysł wydał się jej zdecydowanie mniej hałaśliwy.

– Mało to razy przechodziłam przez płot? – Dodawała sobie odwagi. – W dzieciństwie bez przerwy.

Rozejrzała się. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Schowała klucze do torebki i przerzuciła ją za ogrodzenie. To samo zrobiła z butami. Po nich przyszła kolej na płaszczyk. Tylko krępowałby ruchy. Jeszcze raz omiotła wzrokiem okolicę, wzięła głębszy oddech, podsunęła wyżej sukienkę i chwyciła oburącz za drewniane sztachety, mocno nimi potrząsając. Konstrukcja wydawała się stabilna. Nie zastanawiając się dłużej, postawiła jedną nogę na skrzynce gazomierza, a drugą wsparła na wierzchołku ogrodzenia.

– Trzeba było jednak zostać w butach! – syknęła, czując pod stopą ostrą krawędź. – No dobra! I co teraz?



Maksymilian odjechał kilkadziesiąt metrów dalej, zatrzymał samochód na chodniku i wrócił pieszo pod dom Zuzanny. Chciał sprawdzić, czy bezpiecznie weszła do środka. Tylko tyle. Chociaż przez upartą kobiecą dumę ta dziewczyna nie pozwalała sobie pomóc, on czuł się w obowiązku przynajmniej sprawdzić, czy wszystko w porządku. Obiecał przecież Oldze, że zaopiekuje się jej przyjaciółką. Nawet jeśli ta przyjaciółka to najbardziej uparte stworzenie, jakie znał.

Bezglównie podszedł bliżej, schował się za drzewem i obserwował. Nadal stała przy furtce. Najwyraźniej miała problem z kluczem, inaczej dawno już weszłaby do środka. Mógłby teraz do niej podejść i zaoferować pomoc, ale był ciekaw, jak sobie poradzi. Ta dziewczyna była nieobliczalna i to go w niej intrygowało.

Nagle zobaczył, jak jej torebka, buty i płaszcz przelatują na drugą stronę ogrodzenia, a ona sama podwija sukienkę i zaczyna wdrapywać się na płot.

*Pomysłowa dziewczyna* – pomyślał z uznaniem, nie spuszczając z niej wzroku. Patrzył na nią i czerpał z tego prawdziwą przyjemność. Smukła sylwetka, długie nogi, ponętne uda... Wodził wzrokiem od kostek po koronkowe zakończenie pończoch i wyżej, gdzie kusząca, jasna skóra ud dotykała zielonego materiału sukienki. Mimowolnie przełknął ślinę, przyłapując się na frywolnych fantazjach i wtedy uświadomił sobie, że Zuza ma problem z pokonaniem przeszkody. Wisiała na czubku ogrodzenia w pozycji horyzontalnej i ewidentnie zastanawiała się, co dalej.

*Zaraz spadnie!* – przemknęło mu przez głowę i postanowił ruszyć damie na ratunek. Mogła przecież zrobić sobie krzywdę, zwłaszcza że była na gazie.

Kilkoma długimi susami doskoczył do dziewczyny, chwycił ją w pasie i jednym szybkim ruchem postawił na ziemi. O mało przy tym nie zarobił pięścią w nos. Uratował go tylko dobry refleks. Zrobił unik i chwycił Zuzannę za nadgarstek.

– Nie krzycz, to ja! – powiedział pospiesznie, na wypadek gdyby podniosła alarm. Spojrzał na jej twarz i zrozumiał, jak bardzo ją przestraszył. – Przepraszam! – Nie puszczał jej ręki. – Bałem się, że spadniesz.

Przez chwilę patrzyła na niego na wpół wściekła, na wpół przestraszona. Nie odezwała się. Oddychała szybko i płytko, a Maksymilianowi nagle wydało się, że w jej oczach widzi łzy. Niewiele myśląc, przytulił ją do siebie. Jej serce waliło tak mocno, że każde uderzenie wyczuwał na swojej piersi.

– Óóó. – Pogładził ją po włosach. – Już dobrze.

Odepchnęła go, ale zdążył ją przytrzymać. Nie zwalniając uścisku, powoli odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramion i pochylił głowę, aby spojrzeć jej w oczy. Zobaczył w nich gniew.

– W porządku? – zapytał po chwili.

– Tak! – Jednym pewnym ruchem wyswobodziła się z jego silnego uścisku i zanim się zorientował, niespodziewanie poczęstowała go pięścią w brzuch. Tym razem nie zdążył zrobić uniku. Zgiął się wpół i cicho jęknął, obrzucając ją zdziwionym spojrzeniem.

– Teraz wiem, że nie wolno zdejmować kobiet z płotów bez wcześniejszego ostrzeżenia –

stęknął i powoli się wyprostował. – To może się źle skończyć. Auu!

– Bardzo boli? – zapytała ze skrzywioną miną.

– Tylko trochę. – Pomasażował obolałe miejsce i uśmiechnął się. – Za daleko stałaś, żeby zrobić mi większą krzywdę.

– Szkoda.

– I pomyśleć, że chciałem tylko pomóc.

– To pomóż. – Spojrzała na niego figlarnie. – Chcę do domu. I do swojego łóżka.

– Do łóżka też mam pomóc? – Chrząknął. – Nie ma sprawy.

– Wystarczy do domu. – Zmieszała się. – Chcę spać. Otwórz tę cholerną furtkę, bo mi zimno.

– No dobra – westchnął. – Gdzie masz klucze?

– Klucze? – Zastanowiła się. – Chyba w torebce. – Klepnęła się w biodro i spojrzała na Maksa wzrokiem małego kociątka. – Za płotem. – Wymówiła to tak zabawnie, że musiał się roześmiać. Była słodka i rozbijająca jak mała dziewczynka.

Maks w okamgnieniu przeskoczył ogrodzenie, rozejrzał się i dostrzegł małą błyszczącą torebkę. Wisiała na gęstym krzaku róży, opleciona kolczastymi gałązkami.

– Do diabła! – zaklął pod nosem i pociągnął za łańcuszkowy pasek. – Co za rzut. Lepiej nie mogła trafić.

– Ostrożnie! – krzyknęła Zuzanna. – To bardzo delikatna róża.

– A już podejrzewałem, że martwisz się o moje ręce.

Wzięła od niego torebkę, ale jej nie otworzyła.

– Zapomniałam, że klucz nie pasuje. – Zawstydzona potarła ręką nos. – Chyba jednak muszę górą.

Ponownie wspięła się na skrzynkę gazomierza, ale tym razem chwyciła się zaokrąglonego zwieńczenia murowanego słupka i usiadła na nim. Wyciągnęła do Maksa obie ręce. Koronkowy skraj jej pończoch znalazł się na wysokości jego oczu. Najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ponieważ beztrąsko majtała nogami, czekając, aż pomoże jej zejść. Maks utkwiał wzrok w jej gładkich udach, przełknął ślinę, po czym złapał Zuzannę w talii i sprawnym ruchem postawił na ziemi. Ochota, aby ją przytulić, była bardzo silna. Powstrzymał się jednak w obawie przed kolejnym niespodziewanym ciosem. Jedno wiedział na pewno: Zuzanna była nieprzewidywalna. I zarazem kusząco pociągająca.

Gdy tylko jej stopy dotknęły zimnego chodnika, odnalazła porzucone pantofle i szybko wsunęła je na nogi. Maksymilian podniósł płaszcz, strzepnął go i zarzucił jej na ramiona.

– Dzięki za pomoc! – Przytrzymała pod szyją klapy kołnierzyka. – Ale dalej idę sama. Możesz już sobie wracać.

Odwróciła się z gracją, choć chwiejnie, niezgrabnie przerzuciła torebkę przez ramię i ruszyła w stronę domu. Miała do pokonania około dziesięciu metrów. Podążył za nią wzrokiem, zastanawiając się czy jej chwiejny krok to wina wysokich szpilek, czy raczej zasługa alkoholu. Chociaż w momencie, gdy mu wymierzała cios w brzuch, wydawała się nadzwyczaj trzeźwa. Trzymając za poręcz, wspięła się na schody werandy, podeszła do drzwi wejściowych i energicznie szarpnęła za klamkę.

*To chyba jednak nie obcasy* – pomyślał i podszedł bliżej domu. Przez chwilę zastanawiał się, jak kobiety mogą chodzić w takich butach i nagle przypomniało mu się, co na to pytanie odpowiedziała niedawno jego piętnastoletnia siostra: Chcę być piękna, więc cierpię.

*Masochistki!* – Pokręcił głową. Musiał jednak przyznać, że kobiece nogi w szpilkach wyglądały nad wyraz pociągająco.

– Znowu nie ten klucz? – zapytał, widząc, jak Zuzanna miota się przy drzwiach. Podszedł bliżej. – Pomóc ci otworzyć, czy może najpierw spróbujesz wejść do domu kominem?

Roześmiała się. Naturalnie i beztrzesko. W tym momencie wydała mu się taka słodka i bezbronna.

– Pomóż. – Wyciągnęła do niego rękę z kluczami. – Jestem za bardzo zmęczona, aby wdrapywać się teraz na dach. Może innym razem.

Podszedł do niej bliżej. Na tyle blisko, że zapach jej perfum zadziornie polechtał jego nozdrza.

– Jesteś pewna? – Zrobił jeszcze jeden krok w jej kierunku. – Bo jeśli chcesz, chętnie wejdem z tobą na ten dach.

– Nie chcę – szepnęła, nie spuszczać z niego wzroku. Cofnęła się jakby płochliwie i przylgnęła plecami do muru.

– A może jednak? – Oparł ręce o ścianę, aby zamknąć Zuzannę pomiędzy swoimi ramionami.

Spojrzał na nią pożądliwie i poczuł, jak narasta w nim napięcie. Musiała się zawstydzic, bo nagle spuściła głowę. Ujął jej brodę i lekko unióś do góry. Miała piękne oczy. Zmęczone, piwne i piękne. W tym jednym krótkim momencie patrzyły na niego wyczekująco. Zbliżył się jeszcze bardziej, aby poczuć jej oddech.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu i wtedy delikatnie musnął wargami jej usta. Nie protestowała. Odgarnął grzywkę z jej czoła, pogładził ją po policzku i ponownie pocałował. Tym razem dłużej i mocniej przywarł do jej ust. Zamknęła oczy, a on odczytał to jako zaproszenie. Jej rozchylone wargi obudziły w nim szaleńcze pożądanie. Wplątał palce w jej kasztanowe loki, a potem, nie spiesząc się, przesunął dłoń na jej kark, głaszcząc go delikatnie.

– Przestań! – Zadrżała, ale nie broniła się.

– Ćśśś. – Jego druga ręka, która jeszcze przed chwilą była wsparta o ścianę, powędrowała na jej plecy.

Płaszcz ześliznął się z jej ramion, a przez miękki materiał sukienki Maksymilian poczuł jej ciepłą skórę. Wypełniła go fala pożądania.

– Przestań! – jęknęła.

– Nie mogę. – Obsypał pocałunkami jej twarz, dekolci i szyję. – Równie dobrze możesz kazać rzece zawrócić.

Jego usta poczynaly sobie coraz śmieiej. Coraz odważniej. Rozchylały się zapalczywie, oddając każdą namiętą pieścztotę, pobudzającą zmysły. Widział jej przymknięte powieki i słyszał przyspieszony oddech. Nie potrzebował innego przyzwolenia. Wystarczyło, że pochyliła się ku niemu i cicho westchnęła. Jej ręce zaczęły spacerować po jego plecach. W górę. W dół. Jak bardzo teraz chciał, aby wsunęła mu dłonie pod koszulę. Aby tańczyły po jego nagim torsie.

Powiódł opuszkami palców po jej nosie, policzku i szyi, aż dotarł do szmaragdowego kryształka zawieszzonego na długim złotym łańcuszku. Zatrzymał się na moment, po czym zatoczył elipsę wokół jej krągłej piersi. W tej chwili miał ochotę zdjąć z niej sukienkę, rozpiąć stanik i dać upust swojemu podnieceniu. Tu i teraz. Naprawdę jej pragnął.

Przeniósł rękę na jej biodro i powoli przesunął ją niżej, ostrożnie pieścztąc zewnętrzną stronę jej uda. Drgnęła. Zatoczył delikatny łuk i podążył z powrotem do góry. Bez trudu pokonał wąską koronkę pończoch i całą powierzchnią dłoni zaczął gładzić jej nagą skórę.

Zuzanna znieruchomiała. Podniosła na Maksa piwne oczy. Zdawało mu się, że te oczy chcą coś powiedzieć. Jakby dawały mu do zrozumienia, że zaszli za daleko. Wiedział, że nie powinien wykorzystywać sytuacji, kiedy dziewczyna jest pod wpływem alkoholu. Wiedział też, że nie może przestać. Nie teraz, gdy każde zakończenie nerwowe drażniło pożądaniem.

*Przecież ona też tego chce* – tłumaczył sobie.

Ponownie przycisnął Zuzannę do siebie, wsunął rękę w jej włosy i przytulił jej głowę do swojej piersi.

– Ćśśś – szepnął. – Nie bój się.

Słyszał drżenie swojego głosu, ale nie potrafił nad nim zapanować. Jak i nad swoim podnieceniem. Wiedział, że Zuzanna balansuje na granicy pożądania i zdrowego rozsądku. Jeszcze przez chwilę poddawała się jego subtelnym pieścztotom, żeby za moment gwałtownie się od niego odsunąć.

– Niedobrze mi! – Zasłoniła ręką usta i wskazała na drzwi.

Maks pospiesznie przekręcił klucz w zamku i wpuścił Zuzannę do środka. Sam został na ganku, próbując ochłonać. Musiał uspokoić w sobie to wściekłe tsunami pożądania. Mocno wciągnął w płuca studzące powietrze. Po dłuższej chwili wszedł do domu.

W korytarzu zauważył przyciemnione światło, przedzierające się przez szybę w drzwiach od łazienki. Podeszedł bliżej i zapukał.

– Dobrze się czujesz? – zapytał troskliwie.

– Przeżyję. – Usłyszał. – Idź sobie!

– Mam nadzieję, że to nie przeze mnie – zawołał, uśmiechając się do siebie.

– Chciałbyś! – krzyknęła z nutą złości w głosie. – Nie pochlebiaj sobie.

– Rzeczywiście będziesz żyć – skwitował z satysfakcją. – W takim razie już mnie nie ma. Dobranoc.

– Cześć! – odpowiedziała od niechcienia. – Zatrzaśnij drzwi.

Czy teraz powinien ją zostawić? A jeśli będzie potrzebowała pomocy? Ktoś chyba jednak powinien z nią zostać. Przynajmniej dopóki nie pójdzie spać. Jak postanowił, tak zrobił. Dla jej dobra, oczywiście.

Usłyszał głośne pluskanie wody. Zapewne Zuza pomyślała, że sobie poszedł i bierze kąpiel. Tym bardziej zdecydował się zostać. Musiał się jednak uzbroić w silną wolę, aby nie wkroczyć do łazienki, żeby podjąć tak rozkosznie zaczęte igraszki.

Przespacerował się wzdłuż korytarza, oglądając wiszące na ścianie obrazy w drewnianych ramach. Wszystkie były podpisane tak samo jak rysunki, które oglądał w szkicowniku Zuzanny w pociągu. A więc była również malarką? Imponujące! Lecz choć był pod wrażeniem, poczuł dziwny niepokój. Odgonił jednak zaraz drażniącą myśl. Przecież jego obecność tutaj to czysty przypadek.

Po drugiej stronie zauważył otwarte drzwi. Podeszedł bliżej i zajrzał do środka. Chyba niepotrzebnie. To była sypialnia. Widok dużego łóżka na nowo rozbudził w nim pożądanie.

*Cholera! Co ta dziewczyna ze mną robi?*

Szybko zamknął pokój, by odgonić pokusę i wrócił pod łazienkę. Upewniwszy się, że Zuza nadal się kąpie, na co wskazywał dobrze słyszalny chłupot wody, Maks przeszedł z przedpokoju do salonu, a stamtąd do otwartej kuchni. Na blacie stała butelka wody mineralnej. Niewiele myśląc znalazł szklanekę, napełnił ją i wypił duszkiem, po czym nalał jeszcze raz i usiadł na kanapie w salonie. Tutaj na ścianach również wisiały obrazy. Maks poczuł się niemal jak w galerii i znów musiał odganiać drażniącą myśl. Przypomniał sobie mężczyznę, którego mijał w drzwiach tamtego dnia, gdy w Warsaw Banku była policja. Czy ten facet ma coś wspólnego z Zuzanną? Nie, to musiał być przypadek. Jak również to, że była malarką.

Spojrzał na zegarek i zaniepokoił się. Coś długo jej nie było. Wrócił pod drzwi łazienki. Z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy.

– Zuza?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

– Wszystko w porządku?

Znowu cisza.

– Lepiej się odezwij, bo wejdem – pogroził.

To samo. Zastukał głośniejszym nacisnął na klamkę. Drzwi były zamknięte. Spojrzał na zamek. Taki można było otworzyć z zewnątrz nawet łyzeczką. Niewiele myśląc, wyciągnął z kieszeni scyzoryk i użył go jako śrubokręta. Wszedł do łazienki i uśmiechnął się.

Zuzanna ubrana w błękitną kusą piżamkę siedziała na krawędzi wanny z głową wspartą o brzeg umywalki. Spała?

– Chodź. – Podeszedł do niej i wziął ją na ręce. – W łóżku będzie ci wygodniej.

Zaniósł ją do sypialni i delikatnie ułożył w pościeli. Na chwilę otworzyła oczy, spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Czy tylko mu się wydawało? A potem, cicho wzdychając, odpłynęła w głęboki sen.

Maksymilian przykucnął obok łóżka i przez chwilę wpatrywał się w śpiącą twarz Zuzanny. Łagodnie pogładził ją od czoła, przez policzek do brody. Nie odważył się na więcej.

– Ale ty jesteś śliczna – szepnął i delikatnie pocałował ją w czoło.

\*

Było słonecznie. Z zamkniętymi oczami leżała na miękkiej trawie, wsłuchując się w melodyjny śpiew ptaków. Skowronek? Słowik? Łagodne kwilenie rozkosznie rozbrzmiewało w jej uszach. Mmm, jak dobrze. Jak przyjemnie. Zuzanna aż wzdychała z błogości. Śpiew nie ustawał. Zbliżał się i był coraz głośniejszy. Gdzieś bardzo blisko. Tuż przy uchu. Jedna i ta sama, powtarzająca się krótka melodia. Wręcz natarczywa. Subtelne świergotanie zaczęło ustępować natrętnemu rzępoleniu. Czyżby ptaszkowi zacięło się gardziółko?

Zuza otworzyła oczy. Zamiast nieba zobaczyła swój żyrandol. Trawy też już nie było. Tylko pościel w stokrotki. Czyli to tylko sen? Dlaczego w takim razie nadal słyszała ten dźwięk?

*Jeśli to telefon, nikogo nie ma w domu.*

Usiadła na łóżku i poczuła ból. Rozchodził się od nasady nosa, przez skronie, zaciskając się wokół głowy jak żelazna obręcz.

– Boże! – jęknęła. – Nigdy więcej. – Objęła dłońmi twarz i powoli przeczesła palcami loki. – Miewałam już kaca, ale jeszcze nigdy nie bolały mnie włosy.

Zmusiła się, aby wstać. Pokój wirował jej przed oczami jak rozpędzone ciasto w malakserze. W przedpokoju odnalazła swoją komórkę. Wyświetlacz pokazywał nieodebrane połączenie od Olgi.

*Potem oddzwonię.*

Z trudem doszła do kuchni i włączyła ekspres. Zanim się nagrzał, sięgnęła do apteczki po aspirynę. Rozpuściła w szklance dwie musujące tabletki i wypita naraz. Kawy! Filiżanka napełniła się po brzegi. A mleko? Może być bez mleka. Teraz należało wygodnie ułożyć się na kanapie i pozwolić, aby ból ulotnił się cicho i bez trzaskania drzwiami.

Siorbiąc po drodze gorącą kawę, Zuzanna weszła do salonu i nagle stanęła jak ofiara w betonowych butach.

*Co on tu do cholery robi?* – pomyślała ze złością, widząc śpiącego na sofie Maksa. W tej chwili miała ochotę porządnie go szturchnąć. Jakim prawem ten człowiek zakłóca jej prywatność?

Wtem oprzytomniała. Usiadła na krześle, a przez jej głowę, klatka po klatce, jak slajdy

z rzutnika, przelatywały obrazy z poprzedniego wieczoru. Kręgle. Sympatyczna impreza. A potem powrót do domu z Olgą. Taksówką? Zuzanna zmarszczyła brwi. Niestety, z Symertowiczem. Skrzywiła usta i zwymyślała siebie w duchu. Jak mogła doprowadzić się do takiego stanu? Boże, jaki wstyd! To, że nie słuchała Olgi, gdy tamta chciała ją wsadzić do taksówki, było niczym w porównaniu z tym, co działo się potem. Uderzyła Maksa za to, że chciał jej pomóc, gdy zawisła na płocie. Nawet jeśli sam się o to prosił, nie powinna tego robić. Ani nie powinna była całować się z nim na werandzie. Całować? Na samą myśl o tym serce zabiło jej mocniej. Mimowolnie zamknęła oczy i na kilka dłuższych chwil powróciła myślami do poprzedniego wieczoru. Pieszczoty, pocałunki, czuły dotyk. Uczucia już prawie zapomniane. Nie otwierając oczu, pogładziła się po twarzy, a potem skrzyżowała ramiona i delikatnie przycisnęła je do piersi. Podświadomie zapragnęła, aby tamte doznania wróciły, aby znowu ktoś ją przytulił. Wzrokiem wyobraźni zobaczyła Patryka. Uśmiechał się jak kiedyś. Od jego wypadku minęło już pięć lat, a ona nadal za nim tęskniła. Za mężczyzną, którego tak bardzo kochała. Dlatego teraz poczuła wstyd. Czy to była zdrada? Jej cielesność pragnęła namiętności, ale dusza mówiła – nie wolno!

*Wybaczysz mi tę chwilę słabości?*

Otworzyła oczy i spojrzała na Maksa. Jego pierś unosiła się w równym, głębokim oddechu. Zuzanna podeszła bliżej i nagle przez jej twarz przemknął łobuzerski uśmiech.

– Bilety do kontroli! – krzyknęła tuż nad uchem śpiącego.

Maks zerwał się z kanapy i nerwowo zaczął przeszukiwać kieszenie. Dopiero po chwili zorientował się, co jest grane. W jego oczach błysnęła ulga, a na ustach pojawił się skrzywiony uśmiech. Westchnął, pocierając dłońmi zaspianą twarz.

Zuza przyglądała mu się w rozbawieniu.

– Nie mogłam się powstrzymać, kiedy tak słodko spałeś – parsknęła.

– Muszę lecieć. – Nie patrząc na Zuzę, podszedł do stołu i pociągnął tyk z filiżanki. – Bez cukru niedobra. – Skrzywił się. – To cześć.

Zanim Zuzanna zdążyła odpowiedzieć, już go nie było.

## ROZDZIAŁ XII

To miał być ten dzień. Wiele sobie po nim obiecywała. Będzie spokojna i rozważna. Postara się zrozumieć i nie pozwoli się sprowokować. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Kolejne podejście. Tym razem twarzą w twarz. Takie są najtrudniejsze.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że powinna się solidnie przygotować, poukładać sobie wszystko w głowie, to jednak nie mogła myśleć o tym spotkaniu i o tym dniu. Ale odwrotu już nie było. Wysiadła z taksówki, wzięła Łukasza za jedną rękę, w drugiej trzymając smycz z uwiązany Scoobym, i stanęła przed domem rodziców.

Chłopiec podskakiwał z zachwytu. Uwielbiał wakacje u dziadków, którzy rozpieszczali go do granic bezkarności. Ale tym razem Zuza nie podzielała radości syna. Była spięta i zdenerwowana. Na powitanie rodziców wysiliła się na plastikowy uśmiech.

Po obiedzie obfitującym w sztuczne uprzejmości Zuza z matką zostały same. Grzegorz Kosteczki celowo zabrał Łukasza i Scooby'ego na spacer, aby one mogły ze sobą porozmawiać. Najwyraźniej sam był zadowolony, że nie musiał w tym uczestniczyć i choć Zuza właściwie wolałaby, żeby został, była mu wdzięczna.

*Dlaczego to takie trudne?* – Usiadła przy kuchennym stole i przełknęła ślinę. – *Od czego zacząć?* – Kolejny raz dopadły ją wątpliwości. – *Może od listów?*

A może zostawić to wszystko i dać sobie spokój? Komu potrzebne jest rozdrapywanie dawno już zagojonych ran? Miała teraz wielką ochotę podejść do matki, przytulić się i powiedzieć: „Kocham cię”. Tak po prostu. Tak jak kiedyś. Być może ten gest zatrzymałby na jakiś czas huśtawkę niezaspokojonej ciekawości i lęku, ale co potem? I czy była to tylko ciekawość?

Ciszę przerwała Pola.

– Jak się dowiedziałaś? – zagadnęła niby od niechcenia, ładując naczynia do zmywarki. Nie patrzyła na córkę.

Zuzanna głęboko odetchnęła.

– Pociągnęłam za język ciotkę Klementynę – odpowiedziała spokojnie, ze wzrokiem wlepionym w kubek z herbatą, którym suwała po kuchennym stole. – I w końcu się wygadała.

– Ale z niej papla – skwitowała pod nosem Pola. – Mogłam się domyślić, że kiedyś nie wytrzyma.

*No właśnie, mamus, szkoda, że się nie domyśliłaś.* – Zuza uśmiechnęła się mimowolnie i ciężko westchnęła.

Podeszła do okna i zaczęła błędzić wzrokiem gdzieś ponad wysokimi sosnami rosnącymi przed domem.

– Klementyna tylko rozwiązała moje wątpliwości. Nie powinnaś jej winić. – I ubiegając kolejne pytanie matki, opowiedziała o spotkaniu z Zygmuntem Salkem. – Na początku myślałam, że facet mnie z kimś pomylił, ponieważ do tego, co powiedział, nic nie pasowało. Ani to, że mam podobne oczy, ani to, że był przyjacielem taty. Tylko czy na pogrzebie Basi mogła być jeszcze jakaś inna Zuzanna, córka Poli Blichacz? – Odwróciła się do matki. – Jasne, że mogła, ale ja miałam dziwne uczucie, że to nie był przypadek. Jakby ktoś chciał, abym dowiedziała się prawdy. Może Basia? – Zamyśliła się.

Pola zamknęła zmywarkę i oparła się o kuchenny blat.

– Ale dlaczego ciotka Klementyna? Nie mogłaś przyjść z tym do mnie? – zapytała z wyrzutem. – Przecież bym ci powiedziała.

*Akurat!*

– Tak jak wtedy, gdy znalazłam wasz akt ślubu? – Na twarzy Zuzanny ponownie pojawił się ironiczny uśmiech. – Oszukaliście mnie. Miałam wszelkie powody, żeby myśleć, że tym razem będzie tak samo.

– Jesteś niesprawiedliwa, córeczko. – Pola nagle posmutniała. – Byłaś dzieckiem. Nie



wiedzieliśmy, jak zareagujesz. Nie chcieliśmy, abyś czuła się bękartem. Uważam, że wtedy postąpiliśmy słusznie.

Przed przyjazdem tutaj Zuza obiecała sobie, że zachowa spokój. Choćby nie wiadomo co się działo, zostawi nerwy za drzwiami, nie da się ponieść emocjom. I mimo wszystko postara się zrozumieć. Pobożne życzenia. Jak tego dokonać, gdy słowa najbliższej osoby igrają sobie boleśnie z jej uczuciami?

– Miałam czternaście lat, mamu. – Choć czuła rozczarowanie, zebrała się w sobie. – Nie byłam już małym dzieckiem, które niczego nie rozumie. Jeśli wtedy nie potrafiliście mi zaufać, jak ja teraz mam zaufać wam?

– Zuziu... – Matka w zamyśleniu przebiegła oczami po pistacjowych frontach kuchennych szafek, jakby chciała się w nich doszukać odpowiednich słów. – Przecież to wszystko robiliśmy dla ciebie. Abyś czuła się jak w normalnej rodzinie, żebyś wiedziała, że masz dwoje kochających cię rodziców.

– A potem? – Dziewczyna nie dawała za wygraną. – Kiedy byłam starsza? Kiedy zastanawiałam się, dlaczego uwielbiam malować? Pamiętasz? Wiele razy z tobą o tym rozmawiałam. Mówiłam ci, jak głęboko to we mnie siedzi, jak... – Odwróciła się z powrotem do okna, nie chcąc pokazać napływających do oczu łez. – Jak pączkuje, rozkwita... jakby ktoś to we mnie zaszczerpił. Powiedziałaś mi, że ludzie po prostu się z tym rodzą.

– I nie kłamałam.

– Kłamałaś! – Z ust Zuzanny wydobył się zdławiony krzyk. Spojrzała matce głęboko w oczy. – Nie powiedziałaś mi prawdy! To dokładnie to samo!

– Uwierz mi, córeczko, że razem z ojcem chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej. – Pola podeszła do córki, ale Zuza gwałtownie się od niej odsunęła. – Żadne z nas nie chciało cię skrzywdzić.

– Ale żadne z was nie pomyślało o mnie! – Zuzanna nie panowała już nad głosem. – Myśleliście tylko o sobie! Bo tak było wygodniej, prawda?

– Córciu! – mitygowała ją matka. – Miałaś szczęśliwe dzieciństwo, kochającą rodzinę! Czy dla ciebie to nic nie znaczy?

– Zapomniałaś dodać: nieświadomie szczęśliwe. Pozornie szczęśliwe. Teraz wszystko rozumiem! Boże, jaka ja byłam głupia! To dlatego odradzaliście mi ASP. Prawo, ekonomia, medycyna... A jakże! Ale nie Akademia Sztuk Pięknych. Wszystko, tylko nie to, co najbardziej kochałam! Bo to przypominało wam tamtego człowieka! Boże, jaka ja byłam naiwna! – Zrezygnowana opadła na krzesło. – Dlaczego wtedy nie posłuchałam Basi?! – Pod ciężarem wspomnień wezbrały w niej łzy.

Nastąpiła cisza. Zuzanna bezskutecznie próbowała uporządkować rozbiegane myśli.

– Mam okaleczone życie, mamu – podsumowała nagle, zmuszając Polę, aby spojrzała jej prosto w oczy. – Przez was. Przez moich kochających rodziców.

Matka w końcu nie wytrzymała.

– Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale to nie daje ci prawa tak mówić – powiedziała

niemal ze złością. – Razem z tatą robiliśmy wszystko, abyś była szczęśliwa. Myślisz, że dlatego przeprowadziliśmy się do Krakowa? Aby uchronić cię przed wścibskimi sąsiadkami i głupimi docinkami koleżanek w szkole. Chcieliśmy, żebyś miała normalne dzieciństwo. Czy kiedykolwiek czułaś się gorzej traktowana niż twoje siostry?

– Wiesz, że nie o to chodzi.

– A o co? Grzegorz okaleczył cię tym, że cię kochał? Zdajesz sobie sprawę, jaką krzywdę mu wyrządzasz takimi zarzutami?

– Krzywdę to wy mi zrobiliście, zachowując sobie wszystko w tajemnicy! – odparowała Zuza. – Miałam prawo wiedzieć!

– I co by ci z tego przyszło? Szukałabyś człowieka, który cię zostawił? Którego nie obchodziło, czy masz co jeść? Rysiek był tchórzem! Nie miał nawet odwagi powiedzieć mi prosto w oczy, że nie chce nas znać! O takim ojcu miałam ci opowiadać?

– A dlaczego nie?! – wykrzyknęła Zuzanna. – Miałam prawo o nim wiedzieć! Wszystko! Całą prawdę! Sama powinnam zdecydować o tym, czy chcę go znać. I nikomu nie wolno było pozbawiać mnie tej możliwości, rozumiesz? Nawet wam! – Łzy płynęły jej po policzkach grubymi strużkami, ale ona jakby tego nie zauważyła. – Kochający rodzice tak nie postępują.

– Zarzucasz mi brak miłości, dlatego że chciałam oszczędzić ci cierpienia? – wybuchła Pola. – Dlatego, że dałam ci ojca, który świata poza tobą nie widzi? Ojca, dzięki któremu mogłaś czuć się kochana i bezpieczna? Miałas dzieciństwo, o jakim inne dzieci mogły tylko pomarzyć. A gdzie był wtedy tamten tatuś, co? Ulotnił się i tyle go widzieli. Nieodpowiedzialny gówniarz, dla którego ważniejsze były farby i pędzle niż własna córka!

*Nieprawda!* – Zuza pokręciła głową. – *Nieprawda!*

Nie miała jednak siły wypowiedzieć tego na głos. Słowa uwięzły jej w gardle. Wyszła na korytarz. Odszukała torebkę i wyciągnęła z niej listy, które dostała od Zygmunta Salkego. Patrzyła na nie przez chwilę, chcąc utwierdzić się w przekonaniu, że robi dobrze. Zaraz udowodni, że matka się myli. Że ojciec nie był gówniarzem. Że kochał i chciał być odpowiedzialny. Że szukał i znalazł. Ale za późno. Że tak samo, jak mama, był nieszczęśliwy. I że to nie była ich wina, bo to los tak chciał... podły los...

Zuzanna wytarła twarz i wróciła do kuchni.

– Mamo...

Wyrwana z zamyślenia Pola upuściła szklanekę, która stłukła się z hałasem na kamiennej posadzce. Zuza zerwała się, żeby pozbierać odłamki, ale matka gestem dała jej do zrozumienia, że sama posprząta. Wyciągnęła spod zlewu szufelkę ze szczotką i zaczęła zamiatać podłogę. Milczały obie.

– Myślisz, że było mi łatwo? – odezwała się nagle Pola. – Ryszard był miłością mojego życia. Wierzyłam, że jedyną. Oddałam mu wszystko, co miałam najcenniejszego. – Wrzuciła odłamki szkła do kosza, podeszła do okna i wsparła się rękami o parapet. – Chciałam z tym człowiekiem spędzić całe życie. Stworzyć z nim dom, dać mu gromadkę dzieci... Ale on tego nie chciał. – Sięgnęła po chusteczkę i ukradkiem przetarła oczy. – Ciebie też nie chciał.

– Mamo... – Zuzanna mocniej ścisnęła w dłoniach listy. Bardzo pragnęła, aby matka je przeczytała.

– Nie mogłam go nienawidzić, bo przecież dał mi ciebie – mówiła dalej Pola, wciąż patrząc przez okno. – I choć to było trudne, przez te wszystkie lata starałam się o nim zapomnieć. Z losem jeszcze nikt nie wygrał. Widać, tak miało być. Bo jeśli coś się stłucze, trzeba sprzątnąć odłamki i wyrzucić do kosza. Jak tę szklankę przed chwilą.

*Wyrzucić i zapomnieć? Tak po prostu?*

Zuza skrzywiła się w milczeniu, ale w środku słyszała już tłum napierających myśli w ciężkich drewnianych chodakach. Znów poczuła złość. Wyrzucić i zapomnieć? Jak stłuczoną szklankę? Chciała to wykrzyzczeć, ale nie mogła. Oddychała coraz szybciej, czując, jak wzbiera w niej bunt.

*Wyrzucić i zapomnieć?*

Nie mogła przestać o tym myśleć. I żal... Bo... Z jej serca też kiedyś bez znieczulenia wyrwano miłość...

Schowała listy do torebki. Nie była gotowa na kolejne starcie swoich i matki uczuć. Ktoś kiedyś powiedział: ból duszy... Nie! To nie był ból. Tylko... cholerna bezsilność.

– Muszę się przewietrzyć – jęknęła jakby zabrakło jej tlenu.

Popołudniowe słońce świeciło jej prosto w oczy. Zsunęła z włosów ciemne okulary i umieściła je na nosie. Szła przed siebie. Stukot niewysokich obcasów starał się dotrzymać kroku uderzeniom jej serca. Nie wiedziała, dokąd idzie. Gdzieś przed siebie jak najdalej stąd. Jeszcze niedawno rozkoszowałyby się widokiem tego wspaniałego miasta, chłonęłyby jego dźwięki i zapach. Zapach swojego dzieciństwa. Dziś jednak Kraków kojarzył jej się z bólem. Podobnie jak pięć lat temu, choć w innym wymiarze. Wtedy zraniła ją śmierć Patryka. Dogłębnie, do żywego, do kości... Ze śmiercią się jednak nie walczy. A z ludźmi? Po Patryku została pustka. Dziura łątana wspomnieniami. Pięknymi wspomnieniami. A teraz? Teraz nawet jej dzieciństwo trąciło fałszem.

Szła przed siebie, nie zwalniając kroku. Jakby chciała oczyścić swą głowę od wszystkiego, co ją przerastało. Nie chciała myśleć. Nie chciała czuć. Nic! Nie miała pojęcia, jak znalazła się na Wawelu. Może dlatego, że lubiła tu kiedyś przychodzić. Zwłaszcza o tej porze, w taki dzień jak dziś, gdy lipiec malował trawy soczystą zielenią. Ale tym razem nie mogła się tu zatrzymać. Coś pchało ją naprzód. Jeszcze dalej.

*Moje kochane Planty.*

Nie zatrzymując się, weszła do parku. Planty, ozdoba Krakowa. Skądinąd, żadne inne polskie miasto nie mogło pochwalić się ogrodem, który okalałby zielonym pierścieniem całe śródmieście. I ten zapach. Zawsze pachniało tu szczęśliwym dzieciństwem. Tutaj Zuzanna zbierała kasztany, tutaj ojciec uczył ją jeździć na rowerze. Ojciec... Przyspieszyła kroku. Nie chciała o nim myśleć. Nie teraz.

Nogi niosły ją ulicami Św. Gertrudy i Westerplatte. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek pokonała ten odcinek w tak krótkim czasie. Zresztą, to nie było ważne. Była jak najdalej. Zatrzymała się

dopiero na wysokości ulicy Basztowej. Poczwała, jak opada z sił i miała nadzieję, że to tylko zmęczenie. Zdrowe, fizyczne zmęczenie.

Do dworca było już bardzo blisko. Dlaczego akurat tam, nie miała pojęcia. Byle jak najdalej? Podeszła bliżej i usłyszała komunikat:

*Expres Intercity do Warszawy Wschodniej, przez Warszawę Zachodnią, Warszawę Centralną stoi na torze pierwszym przy peronie pierwszym. Planowany odjazd pociągu godzina 17:14.*

Warszawa! Zuzannie zahuczało w głowie. Dom! Spojrzała na zegarek. Zostało tylko piętnaście minut. Jak najdalej stąd.

Zuzanna weszła do środka i mocno wciągnęła powietrze. Otulił ją zapach domu. Pachniało starymi deskami i farbą z obrazów. Jej obrazów. Pachniało terpentyną. Pachniało spokojem. I choć drewniana chatka, w której Zuza mieszkała od trzech lat, nie była jeszcze jej wymarzonym domem, czuła się tu dobrze. Kiedyś ją zmieni, sprzeda, odda... Dziś posłucha jej starych, spokojnych szeptów.

Zamknęła drzwi na klucz, wcisnęła torebkę na półkę pod schodami, zrzuciła pantofle i usiadła na sofie, próbując rozmasować zbolące stopy. Nie chciała myśleć o Krakowie, ale... dochodziła dwudziesta pierwsza. Będą się martwić. I tak dziw, że jeszcze nie dzwoniли. Wstała niechętnie. Wygrzebała z torebki telefon i napisała do matki SMS-a: „Nie czekaj na mnie z kolacją. Wróciłam do Arabelina. Ucałuj Łukasza. Odezwę się. Pa”.

Gdy tylko otrzymała informację, że wiadomość została dostarczona, szybko wyłączyła telefon. Nie chciała z nikim rozmawiać. Tym bardziej z rodzicami. Dziś będzie gadać tylko do swoich obrazów. Dziś tylko one ją rozumiały. Ale najpierw kąpiel. Nie. Najpierw papierosa.

Z wanny wyszła zmarznięta. Siedziała tak długo, aż woda całkiem wystygła. Bez sensu! Szybko ubrała się w ciepłą piżamę i wskoczyła do łóżka. Spać! Nie myśleć! Kilkakrotnie próbowała ułożyć się wygodnie na poduszce; na boku, na wznak. Usilnie starała się zasnąć, ale sen miał ją głęboko w... nosie. Echa ostatnich wspomnień łasiły się jak wredne wiewiórki. Dlaczego ją poniosło? Czy matka miała rację? Przecież obiecała sobie spokój. Zimną kalkulację. Na trzeźwo i bez emocji.

*Cholera jasna! Dlaczego ona mi to zrobiła!? A ja? Co ja jej zrobiłam?*

Poczwała dreszcze i zadygotała. Z zimna? Przecież pod kołdrą było ciepło. To jednak było coś innego. Nieustannie tłumiony niepokój w końcu doszedł do głosu. Wskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie ulubiony szlafrok w piegowate motyle i wciągnęła grube skarpety. W kuchni przeszukała apteczkę w nadziei, że znajdzie coś na uspokojenie. Herbatę ziołową, tabletki... wszystko jedno. Nic! Jak na złość! I wtedy dostrzegła wystający zza komody w salonie swój ostatni niedokończony obraz. Czerwono-złote plamy zaiskrzyły wabiąco. Nie zastanawiając się długo, postawiła go na sztaludze. Przez chwilę patrzyła w skupieniu, jak złoto wtapia się w purpurę, jak grafitowe smugi układają się w melodię. Jak na ironię: w znaną melodię. Wyciągnęła farby i wycisnęła na paletę odrobinę karminu. Zanurzyła pędzel...

*Gdy emocje już opadną, jak po wielkiej bitwie kurz,*

*Gdy nie można mocą żadną wykrzyczanych cofnąć słów...*

Tłumione uczucia powoli spływały na płótno. Dłonie same sięgały po farby. Sepia. Brąz. Czerwień. Pędzel rozcierał je w barwne plamy, które przenikając się, odślaniały uczucia dziewczyny. Potrzeba tworzenia była taka naturalna. Zuza wiedziała, że musi malować tak, jak musiała oddychać, żeby żyć.

Odłożyła paletę i nie spuszczać wzroku z obrazu, usiadła na kanapie. Czuła spokój. Nareszcie. Mocniej owinęła wokół siebie szlafrok, przytuliła głowę do oparcia i zaczęła odpływać w sen.

Gdy otworzyła oczy, przez wydęte firanki sączyły się blade promienie słońca. Świt zakradał się przez okno jak złodziej.

*Co to za złodziej, który puka? – pomyślała. – Puka? –* Skrzywiła się i przeciągnęła. – *Moja lewa półkula najwyraźniej jeszcze śpi.*

A jednak ktoś pukał. To pewnie Olga. Filip zamontował furtkę przy wspólnym ogrodzeniu, żeby dziewczyny nie musiały chodzić do siebie naokoło. Każdy inny gość musiałby zadzwonić domofonem przy bramce. Co prawda Olga wiedziała, że Zuza ma wrócić do domu dopiero tego dnia wieczorem, ale skoro się dobijała, pewnie zauważyła wczoraj światła w oknach.

– Idę! – Zuzanna krzyknęła z salonu. – Już otwieram!

Przekręciła klucz w zamku i z rozmachem otworzyła drzwi. Otworzyła też usta ze zdziwienia.

– O, kur... teczka! – Przełknęła ślinę i ciaśniej owinęła się szlafrokiem. – A ty tu skąd?

Na werandzie stał Maks.

– Cześć. – Uśmiechnął się i machnął jej przed oczami kolorowym kartonikiem. – Jeśli dobrze pamiętam, prosiła pani ostatnio o bilety. W kinie nie grają nic fajnego, więc pomyślałem o meczu. Może być? Chyba że wolisz kręgle?

Zuza skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła na niego spode łba.

– Jak tu wszedłeś? – zapytała. – Furtka była zamknięta.

– Mam wprawę, zapomniałaś? – Łypnął okiem na ogrodzenie i uśmiechnął się szelmowsko. – Już to kiedyś ćwiczyłem.

– Jeśli przeskoczyłeś przez płot, to cię zastrzelę – powiedziała nad wyraz spokojnie.

– Boisz się, co sobie sąsiedzi pomyślą? Nie wierzę. – Pokręcił głową. – To co? Bierzesz te bilety czy mam sobie pójść? – Sprawiał wrażenie zadowolonego.

*Idź sobie.* – Miała ochotę zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Sorry, ale nie chodzę na mecze.

– Piłka nożna w najlepszym wydaniu. Sama zobacz. – Podsunął jej bilety pod nos. – Wiesz, kto będzie grał? Najlepsza...

– Dzięki, ale prawdę mówiąc, średnio mnie to interesuje – przerwała mu. – Mój stosunek do

piłki nożnej jest daleki od zachwytu.

– Lubię słowo „stosunek” – szepnął, przysuwając do niej twarz. – Zawiera w sobie wszystkie najsmaczniejsze grzechy.

– Wybacz – westchnęła poirytowana. – Moje poczucie humoru jest dzisiaj nieaktywne, więc daruj sobie.

– No to zostają nam jeszcze kręgle. Pamiętasz? Obiecałem ci partyjkę. I obiecuję, że będziesz grała, jak długo zechcesz.

– Ostatnio nagrałam się tak, że wystarczy mi na cały rok. – Przygryzła dolną wargę.

– To może chociaż zaprosisz mnie na kawę? – Nie dawał za wygraną.

– Skończyła mi się.

Czy naprawdę myślała, że tym go zniechęci?

– Nic nie szkodzi. – Ku zaskoczeniu Zuzanny wyciągnął z kieszeni małą puszkę. – Zabezpieczyłem się na taką ewentualność. Prawdziwa włoska kawa. Przed chwilą dostałem ją od twojej sąsiadki.

*Olga będzie kiedyś za to wisieć.*

Zuzannie zabrakło argumentów. Otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się, dając Maksowi do zrozumienia, żeby wszedł. Nie trzeba było specjalnie go do tego namawiać.

– Mnie też nieszczególnie interesuje piłka nożna – powiedział, idąc za Zuzanną do salonu. A gdy dostrzegł jej uniesione brwi, dodał z uśmiechem: – Tylko Filip nalegał, żebym je wziął.

– Wprosiłeś się na kawę, to ją sobie zrób. – Postarała się, aby ton jej głosu był naturalny, zupełnie jakby jej nie obchodziło, co przed chwilą usłyszała.

*A Filipa powieszę zaraz po Oldze.*

– Dla mnie pół na pół z mlekiem. Bez cukru. Idę się ubrać.

– Moim zdaniem nie musisz. – Otaksował ją wzrokiem. – Tak wyglądasz całkiem dobrze.

– Na szczęście nie interesuje mnie twoje zdanie – rzuciła na odchodne. – Ekspres jest w kuchni. Chyba pamiętasz, gdzie to jest?

Po dziesięciu minutach odświeżona, w koszulce i džinsach czuła się znacznie lepiej. W salonie unosił się przyjemny aromat kawy, a na małym stoliku stały już dwa parujące kubki. I ciasteczka. Ciekawe, skąd je wytrzasnął? Pewnie również od Olgi.

Maks wpatrywał się w obraz na sztaludze.

– Malujesz?

– Jak widzisz. – Wzięła kawę i stanęła obok niego, patrząc na swoje dzieło. Dziś obraz wyglądał jakby inaczej. – Podoba ci się?

– Zastanawiam się, co przedstawia.

– Przecież to jasne. – Wzruszyła ramionami. – Przyjrzyj się dobrze.

– Stoję tu już jakiś czas i mam mieszane uczucia. – Zamyślił się. – Jak długo powinienem patrzeć, żeby nie wyjść na błazna.

– Otwórz umysł i postaraj się dostrzec, co malarz miał na myśli. – Upiła trochę kawy. – Podpowiem ci: to widać gołym okiem.

Maks przekręcił głowę raz w jedną, potem w drugą stronę, jakby chciał złapać odpowiednią perspektywę.

– Chyba mam – powiedział z powagą. – Widzę barszcz ukraiński. Trafiłem?

Zuza parsknęła głośno i o mały włos oblałaby się kawą. Odstawiła kubek i śmiała się dłuższą chwilę.

– Fakt, jeszcze go nie skończyłam. – Na próżno próbowała się uspokoić. – Ale do tej pory byłam przekonana, że maluję kobiety. I to nagą.

– Hm. – W zadziwiający dla Zuzanny sposób Maks zachował powagę. – No tak – mówił sam do siebie. – Piękne piersi. Takie... parzyste. Po jednej z każdej strony.

– Twoja bezczelność nie ma granic! – Szturchnęła go rozbawiona, a on chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Stali tak nieruchomo przez kilka sekund, dopóki ręka Makska nie zaczęła delikatnie pieścić talii Zuzanny. Dziewczyna poczuła, jak serce wali jej o żebra. Napięła mięśnie i wstrzymała oddech. Co jest? Spokój! Nie wolno! Zmusiła się do uśmiechu i z gracją wyswobodziła się z jego objęć.

– Wszystkie są twoje? – Maks wskazał obrazy wiszące na ścianach. Gdy kiwnęła potakująco, dodał: – Imponujący dorobek. Pracujesz w banku i jednocześnie jesteś malarką?

– To tylko hobby. Taka mała odskocznia od codzienności. – Niedbale machnęła ręką i usiadła na kanapie. – Tym raczej nie zarobię na życie.

– Słyszałem, że artysta nie powinien być skromny. – Usadowił się obok niej. Za blisko. – Poza tym barszczem ukraińskim... przepraszam, nagą kobietą, reszta jest niczego sobie. – Wyciągnął rękę na oparciu i niby niechcący, dotknął palcami jej szyi. To było miłe, ale... Znowu poczuła się nieswojo.

– Tylko: niczego sobie? – Udała, że nie reaguje na jego dotyk. – Myślałam, że stać cię na lepszy komplement.

– No, dobra. – Odwrócił do niej głowę, a jego palce coraz śmieiej gładziły jej szyję. – Mają coś w sobie. Tak jak ty.

Odsunęła się na drugi koniec kanapy.

– Maks. – Nabrała w płuca powietrza. – To, co się wtedy wydarzyło... po prostu o tym zapomnijmy. Postaraj się, dobrze?

– Boisz się przyznać, że było nam... miło?

– Chwilowa słabość, o której nie chcę pamiętać. Tobie też radzę. – Spojrzała na niego. – To się nie uda, Maks. Lubię cię i niech tak pozostanie. – Przesunęła wzrok na sztalugę i uśmiechnęła się. – Barszcz ukraiński? Musisz być głodny, skoro masz takie skojarzenia. Z przykrością oznajmiam, że nie mam nic w domu do jedzenia, ale mogę zamówić pizzę.

– Mam lepszy pomysł. – Podniósł się z kanapy, podał Zuzannie rękę i pomógł jej wstać. – Zapraszam cię na obiad. Znam fajną knajpkę.

Pojechali nad Wisłę. Niebo było przejrzyste, więc zdecydowali się usiąść na zewnątrz. To znaczy Zuza zdecydowała, a on nie protestował. Przy jedzeniu niewiele rozmawiali. Oł, zwykła wymiana uprzejmości i trochę o samochodach. Zwłaszcza że o autach Zuza mogła rozmawiać godzinami. Uważała, że to niezobowiązujący temat i dobry na każdą okazję. Tym bardziej z facetem, któremu raczej niechętnie opowiadałaby o sobie. Bo i po co? Zagadywał co prawda o jej obrazy, chwalił je nawet i pytał, czy myślała o ich sprzedawaniu, ale gdy powiedziała, że maluje tylko dla siebie, nie drażył tego tematu.

Po jedzeniu Maks zaproponował spacer. Stwierdził, że szkoda byłoby nie wykorzystać takiej pogody. Dochodziła już dziewiętnasta, ale słońce nie przejmowało się tym i grzało w najlepsze.

– Filip powiedział mi, co stało się z ojcem Łukasza. – Niespodziewanie Maksymilian trafił w jej czuły punkt. – Domyślam się, jak ci było ciężko.

*Czy Filipa ktoś do tego upoważnił? – pomyślała ze złością. – Już ja sobie z nim pogadam.*

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Spoważniała nagle. – Ani teraz, ani nigdy.

*I na pewno nie z tobą.*

– Rozumiem. Przepraszam.

*Nie rozumiesz.*

– Nie musisz przeproszać. – Odetchnęła głęboko. – Po prostu są sytuacje, z którymi trudno się pogodzić. Nawet gdy minęło już tyle lat. Dlatego porozmawiajmy o czymś innym. Jak tam twój brat? – zmieniła temat. – Lepiej się czuje?

Czyżby rozważanie cudzych problemów było przyjemniejsze? Pewnie tak, jeśli to można nazwać przyjemnością. Jednak zadała już to pytanie i teraz trudno było się z niego wycofać. Zwłaszcza że Maks chętnie na nie odpowiedział.

– Twarda sztuka. Już zapomniał, że był w szpitalu.

– Cieszę się.

– Cała trójka to twardziele – dodał. – Odkąd skończyli dwa lata.

Zuza spojrzała na niego pytająco.

– Nasz ojciec był żołnierzem – wyjaśnił. – Trzydzieści lat temu pojechał do Iraku i już nie wrócił.



*To jakaś plaga? Boże!*

– Strasznie mi przykro – powiedziała ze szczerym współczuciem. – Musiało być wam bardzo ciężko – dodała.

– I było – westchnął. – Miałem wtedy siedemnaście lat i musiałem szybko dorosnąć.

Zuza milczała. To najlepsze wyjście, kiedy nie wiadomo co powiedzieć. Jeśli Maks będzie chciał mówić dalej, posłucha go ze zrozumieniem, tylko niech jej o nic nie pyta.

Nie pytał.

Było już ciemno. Zuza usiadła z laptopem na tarasie i zapaliła papierosa. Na kaca najlepsza praca. Nawet jeśli ten kac jest tylko moralny. Znowu złapała się na tym, że nie chce wspominać spotkania z Maksem. Nieważne, że w niektórych momentach było nawet zabawnie. Ten człowiek wzbudzał w niej emocje, które ją drażniły. Czy dlatego, że nie chciała ich do siebie dopuścić? Przecież to nie były negatywne uczucia, wręcz przeciwnie. A jednak czuła się nie w porządku. Miała wrażenie, że jeśli pozwoli sobie choćby na odrobinę swobody, nie będzie umiała sobie wybaczyć. Ale jakaś siła przyciągała ją do niego, a Zuza nie umiała sobie z nią poradzić.

Zgasiła papierosa i włączyła komputer. Chciała popracować nad nową formułą oferty dla klientów, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

*Zuza, skup się!* – nakazała sobie i w myślach, ale zamiast się skupić, rozejrzała się po ogrodzie.

*„Ten zakątek najładniej będzie wyglądał w świetle latarni. Już ja się o to postaram”* – przypomniała sobie słowa Basi i odruchowo spojrzała w niebo. Było gwiazdziste.

– Moja kochana Basieńko. – Na policzku Zuzanny pojawiła się lśniąca łza. – Czemu cię nie ma, kiedy tak bardzo jesteś mi potrzebna? Boże, dlaczego mi ją zabrałeś? To takie niesprawiedliwe.

Słona kropla rozprysła się na klawiaturze.

I nagle Zuza usłyszała sąsiadkę.

– Zobacz, co mam! – Głos dobiegł od strony domu Kordejów. – Masz ochotę?

Zuza odwróciła się automatycznie. Za płotem stała Olga, unosząc wysoko nad głową butelkę wina.

– Dawaj! – krzyknęła Zuza i szybko wytarła mokre oczy. – Czytasz mi w myślach.

– Dobrze się czujesz? – Olga pocałowała przyjaciółkę w policzek i przyjrzała się jej. – Jakaś taka blada jesteś. Płakałaś? – zapytała z niepokojem.

– Tylko trochę rozum mi szwankuje.

– Chwała Bogu. – Olga uśmiechnęła się, że jej ulżyło. – Bo już się martwiłam.

Zuzanna przyniosła kieliszki i korkociąg, po czym zamknęła laptop i położyła go obok siebie na krześle.

– Jeśli ci przeszkadzam, to powiedz.

– Dobrze, że przysłaś. – Odłączyła komputer z sieci. – Niedziela to nie czas na pracę.

– Mnie tam niedziela w tym nigdy nie przeszkadzała. – Sąsiadka się uśmiechnęła. – Tylko nie wiem, czy to wino to był dobry pomysł. Po twoich ostatnich wybrykach powinnaś mieć zakaz picia alkoholu co najmniej przez pół roku.

– Nie przypominaj mi o tym. – Zuza wzdrygnęła się z niesmakiem i szybko zmieniła temat. – A właśnie! Ładnie to tak wpuszczać obcych przez naszą prywatną furtkę?

– Przecież Maks nie jest obcy – obruszyła się Olga. – Nie powiesz mi chyba, że twoja ulubiona kawa i ciasteczka były czymś nieprzyjemnym.

Zuza tylko westchnęła. Mimo wszystko nie umiała się gniewać na przyjaciółkę dłużej niż pół sekundy.

– Maks przyjechał wczoraj do Filipa. Długo nad czymś pracowali, a potem został na noc. I wiesz... – dodała podekscytowana. – Powinien częściej do nas wpadać, bo to spotkanie rewelacyjnie podziałało na mojego męża.

– Zamieniam się w słuch – zaciekawiała się Zuzanna. – Opowiadaj.

– Wyobraź sobie, że zakradł się do sypialni.

– Kto? Maks?

– Zwariowałaś?! – Olga kopnęła przyjaciółkę pod stołem. – Przecież mówię, że Filip! Maks spał w gościnnym. – Ale widzę, że cię ruszyło.

– Teraz to ty zwariowałaś – nastroszyła się Zuza i oddała sąsiadce kopniaka. – No, ale mów, co z Filipem. Zakradł się, i...?

Olga uśmiechnęła się tajemniczo, spłonęła rumieńcem i zaczęła powoli sączyć wino z kieliszka. Zuza rzuciła jej zaintrygowane spojrzenie i zapaliła papierosa.

– I co? – ponagliła ją.

– Jak to co? – Olga spuściła oczy. – Kochaliśmy się.

– A więcej szczegółów?

– Mam ci wyliczyć wszystkie pozycje i kraje, które przerabialiśmy?

– Co prawda nie o tym myślałam, ale jeśli już zaczęłaś, chętnie posłucham.

– Na przykład Francja... – rozmarzyła się na chwilę Olga, po czym jakby oprzytomniała i spojrzała na przyjaciółkę. – A ty o czym myślałaś?

– O tym, czy Filip wytłumaczył ci, dlaczego wcześniej tak się zachowywał.

– A, drobnostka. – Olga machnęła ręką i uśmiechnęła się. – Po prostu był zmęczony. Razem z Maksem pisze o jakichś fałszerzach. Mówiłam ci, kiedyś razem pracowali. Nie wdawałam się w szczegóły. Przeprosił mnie, że ta sprawa tak go pochłonęła i obiecał, że będzie poświęcał mi więcej czasu. – Westchnęła i upiła jeszcze łyk. – Mówię ci, kochaniutka, już zapomniałam, jak to jest. Nie spaliśmy ze sobą całe wieki.

Zuza nigdy wcześniej nie widziała Olgi w takim stanie i podświadomie zazdrościła jej tych błyszczących oczu.

– Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze. A jeśli Maks miał z tym coś wspólnego, to rzeczywiście powinien częściej do was wpadać. – Zachichotała, dolewając Oldze wina.

– Śmiejesz się, a to naprawdę fajny facet. Pasujecie do siebie.

– Może i fajny, tylko nie dla mnie. – Zuza pociągnęła spory łyk. – Choćby dlatego, że ilekroć z sobą rozmawiamy, zawsze wychodzę na idiotkę.

– Nie gadaj bzdur – powiedziała Olga z przekonaniem. – Słyszałam, jak rozmawiał o tobie z Filipem. Podobasz mu się.

Zuza chciała napomknąć, że Filip nie powinien opowiadać koledze o jej przeszłości, ale ugryzła się w język. To już nie miało znaczenia.

– Powiedziałam mu dzisiaj, że ja i on to nie jest dobry pomysł. – Sięgnęła po butelkę i dołała wina do obu kieliszków. – Że to się nie uda.

– Nie rozumiem cię, kochaniutka. – Olga spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Sama przyznałaś, że to fajny facet. Czemu nie chcesz dać mu szansy?

– Bo nie.

– No dobra, jeśli nie on, to kto? Ten twój klient od opery? Mnie chyba możesz powiedzieć?

– Ani jeden ani drugi, ani żaden.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Nie wierzę. Chcesz być sama przez całe życie? – Olga zmarszczyła brwi. – Pomyślałaś o sobie? O Łukaszu? Czy twoje dziecko nie będzie potrzebowało ojca?

*Już potrzebuje.* – Zuza przypomniała sobie rozmowę z synkiem w przedszkolu i posmutniała.

– Nie umiem zapomnieć o ojcu Łukasza. – Spuściła oczy. – Zwłaszcza gdy kogoś poznam. Kiedy zaczynam coś czuć, ogarniają mnie dręczące wspomnienia. I wtedy przypomina się Patryk. Jego twarz, uśmiech, czuły dotyk i... blade, martwe ciało. – Poczwała ucisk w gardle. – Niekończące się pytania i żal. Kochałam kiedyś i ta miłość mnie zraniła. A teraz po prostu boję się jej – zapłakała.

– Zuziu... – Olga podeszła do przyjaciółki, przełożyła laptop na stół i usiadła obok niej. – Patryk na pewno chciałby, abyś była szczęśliwa. A szczęście jest tam, gdzie je widzimy. To naturalne, że naszym uczuciom towarzyszy strach. Czujemy go, gdy kochamy, nienawidzimy, gdy cierpimy i gdy się cieszymy. Nie da się od niego uciec, dlatego trzeba go zaakceptować.

– Łatwo ci mówić. – Zuza chlipnęła. – Do ciebie los się uśmiechnął, a ze mnie się śmieje.

– Nie możesz tak na to patrzeć, bo już na zawsze utkniesz w kolejce do szczęścia, tylko że ta kolejka nie będzie posuwała się dalej. Przecież tego nie chcesz. – Olga objęła przyjaciółkę i mocno ją przytuliła. – Mówię ci, kochaniutka, nic tak nie leczy, jak uczucia.

– I nic tak nie rani, jak właśnie uczucia.

### ROZDZIAŁ XIII

– Klienci to idioci. – Młoda dziewczyna żaliła się szefowej. – Gość spompował kartę kredytową, a teraz ma do mnie pretensje, że nie działa. Tłumaczę człowiekowi, że najpierw musi ją zasilić, żeby odnowił się limit kredytowy, a on gapi się na mnie jak na kretynkę.

– Może po prostu cię nie zrozumiał – powiedziała Zuza, nie podnosząc oczu znad klawiatury. – Spróbuj mu to jeszcze raz wyjaśnić.

– A co ja mówię, nie po polsku? – zachnęła się dziewczyna. – Idiota i tyle.

– Malwinko. – Zuza oderwała wzrok od komputera i spojrzała na młodą doradczynię, którą niedawno zatrudniła. – Wiem, że masz wiedzę, ale do klientów trzeba czasem mówić najprościej, jak się da. Wytłumacz mu to jak pięcioletniemu dziecku. To zawsze działa.

Malwina nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie trzasnęły drzwi i do biura z impetem wpadła Gośka.

– Nie widzieliście gdzie mojego telefonu? – wydyszała. – Musiałam go tu wczoraj zostawić. – Rzuciła niedbale torebkę na krzesło i ruszyła do stojących pod ścianą szaf.

– Zadzwoń do siebie, to się znajdzie – burknął Marek pochylony nad stertą papierów.

Gośka najwyraźniej nie słyszała kolegi, bo uparcie kłapała drzwiczkami szaf w poszukiwaniu zguby, tworząc wokół doskonały galimatias.

– A sprawdzałaś w torebce? – Zdenerwowany hałasem Marek spojrzał na koleżankę. – Nosicie tam tyle rzeczy, że same nie wiecie, co tam macie.

– To wcale nie jest śmieszne. Jechałam na spotkanie z klientem, a przez ten cholerny telefon musiałam wrócić do banku. Teraz się spóźnię.

– Mówię ci, zadzwoń – nalegał.

– Pewnie schowałam go do szuflady. – Dziewczyna ignorowała kolegę. – Głupia blondynka ze mnie. Gdzie ten pieprzony klucz?

Marek nie wytrzymał. Chwycił słuchawkę na swoim biurku i wystukał numer telefonu Gośki. Zabrzęczało.

– Słyszysz? Mówiłem ci! – ogłosił z satysfakcją. – Masz go w swoim damskim tobołku.

– Chrzanisz! – Uparcie przerzucała szpargały przy swoim komputerze. – Przecież wiem, że tam go nie ma. Szukałam.

Zuza i Malwina obserwowały ich z rozbawieniem.

– Ale ty jesteś uparta, kobieto. – Marek ciężko westchnął, odłożył słuchawkę na biurko, i podniósł się z wdziękiem, na jaki tylko pozwolił mu jego wielki brzuch. Wziął torebkę i przyłożył koleżance do ucha. – Z daleka ją słysząc.

Gośka gwałtownie wyrwała mu z ręki swoją własność, po czym w pośpiechu przeszukała jej zawartość. Z ulgą wydobyła brzęczący telefon i spojrzała na wyświetlacz.

– O kurczę! Ktoś do mnie dzwoni. – Wcisnęła zielony guzik. – Małgorzata Maroń, dzień dobry.

Marek parsknął najgłośniej.

– Cholera, aż się zaplułem. – Spojrzał na spodnie i wyjął chusteczkę. – Normalnie zaraz się poleję. – I wyszedł.

Zdziwiona Gośka próbowała dowiedzieć się, skąd ta reakcja. Bezskutecznie. Żadna z chichoczących dziewczyn nie potrafiła jej pomóc, bo żadna nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Marek o dziwo wrócił szybko. Jeśli był w toalecie, chyba mu się udało skorzystać w locie. Minę nadal miał rozbawioną, zwłaszcza gdy spojrzał z ukosa na Gośkę. Podeszedł do Zuzy i pochylił się nad nią.

– Przyszedł ten twój goguś – szepnął jej do ucha. – Zawołać go tu, czy wolisz z nim pogadać na zewnątrz?

– Nie mógłbyś go spławić?

– A co ja, rybak jestem? – Marka nie wzruszyła prośba szefowej. – Poza tym on chyba wie, że jesteś.

– Policzę ci to jako minus na twoim koncie. – Zuza wstała, uśmiechnęła się i szturchnęła go łokciem. – Za to, że nie wykonujesz poleceń służbowych.

*Aleś sobie wybrał porę, Maks* – pomyślała, wychodząc na korytarz.

Tym razem to nie był Maks. Sama się zdziwiła, że właśnie on przyszedł jej do głowy, skoro przecież nikt w banku nie kojarzył go z jej gogusem. A ona sama?

– Już wróciłeś? – Wyciągnęła rękę na powitanie. – Byłam pewna, że jesteś we Włoszech. Ale ten czas zasuwa.

– Witaj, Zuzanno. – Aleksander ucałował jej dłoń. – Nie musiałem wracać, bo nigdzie nie byłem. Coś mi wypadło w ostatniej chwili.

– Mam nadzieję, że nie dysk. – Rozbawiona wskazała mu pokój za kasami. – Chodź!

– Widzę, że poczucie humoru ci dopisuje. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Cieszę się. – Przepuścił Zuzannę w drzwiach, poczekał, aż zajmie miejsce, po czym sam usiadł. – Doszedłem do wniosku, że podróż bez ciebie to żadna przyjemność.

- No i co ty teraz zrobisz, nieszczęśniku? – Zuza wsparła łokcie na biurku. – Masz problem.
- Dlatego tu jestem. Może jednak pojedziesz ze mną? Za tydzień muszę już tam być. – Przynął się bliżej. – Stęskniłem się za tobą. – Zrobił maślane oczy. – I bez ciebie mi smutno.
- Biedaczek. – Pokiwała głową z udawanym współczuciem. – Znowu masz pecha, bo ja w ogóle nie wybieram się w tamtym kierunku.
- Nie lubisz latać. Rozumiem. Dlatego tym razem pojedziemy samochodem. Nie pozwolisz chyba, abym sam udał się w tak daleką podróż? Wiesz, ile to kilometrów?
- A czemu nie? Masz moje błogosławieństwo.
- Nie martwiłabyś się?

*Nie przeginaj!*

- Aleks, proszę cię, nic z tego nie będzie. – *Dlaczego tak często to powtarzam?* – Jedź i wypoczywaj. Ja mam robotę.
- Nie masz ochoty oderwać się od tego i trochę odpocząć? – obstawał przy swoim – Są wakacje.
- Jasne, że mam ochotę, ale nie mogę.
- Wiedza i doświadczenie, Zuziu, są bezcenne i trzeba o nie dbać. – Nie dawał za wygraną. – Mam rację?
- Masz – przyznała. – Ale co to ma do rzeczy?
- To, że im również należy się odpoczynek. Zrelaksujesz się, nabierzesz nowych sił i wrócisz jak nowo narodzona. Zrób mi, proszę tę przyjemność. To tylko tydzień.

Zuzanna ciężko westchnęła. Najchętniej skończyłaby już tę bezsensowną pogawędkę. Czy ten facet musi ją tak dręczyć? Czy naprawdę nie rozumie, że ona nigdzie z nim nie pojedzie? A jeszcze niedawno uważała go za inteligentnego człowieka. Na dobre straciła humor.

- Aleks – odezwała się po chwili. – Czy to, co mówię, nie dociera do ciebie? – Starła się zachować spokój. – Jeśli mówię, że nie mogę, to nie mogę. Proste i logiczne.
- Okej, przepraszam, nie miałem zamiaru cię zdenerwować. – Ponownie pocałował ją w rękę, tym razem dłużej przytrzymując jej dłoń przy ustach. – Nalegałem, bo zależy mi na tobie. Rozumiem, że praca jest teraz dla ciebie najważniejsza, ale ty jesteś równie ważna dla mnie. Sama przyznałaś, że przydałyby ci się wakacje.

Zuzę zaskoczyły te wyznania.

- Masz rację Aleks, że odpoczynek jest ważny. Chętnie oderwałabym się od pracy, zrobiła sobie przerwę, zrelaksowała się. Tak, masz rację. Masz i jeszcze raz masz. Ale co z tego, że masz, skoro ja po prostu nie mogę. – Podniosła się, uznając rozmowę za zakończoną.

Aleksander jeszcze przez chwilę siedział zamyślony, po czym wstał i uśmiechnął się.

– I to jest właśnie znak, że powinnaś ze mną pojechać.

– Mówię ci, Olguś, kompletnie mnie замуrowało. – Zuza skończyła relacjonować przyjaciółce swoją ostatnią rozmowę z Aleksandrem. – Mam tylko nadzieję, że tego nie zauważył.

– Myślisz, że on wie, że... ty wiesz?

– Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że nie. W przeciwnym razie od tego by zaczął. – Zamyśliła się. – Zresztą sama nie wiem.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem dziewczyny zafundowały sobie zabiegi w spa. Olga znalazła nowy gabinet odnowy biologicznej na obrzeżach Warszawy, gdzie z ochotą zaciągnęła przyjaciółkę. Do poczekalni weszła młoda kobieta, która zaprosiła dziewczyny do gabinetu. W morelowym pokoju stały dwa łóżka do masażu. Na specjalne życzenie Olgi. Stwierdziła, że dzięki temu poczują się jak w amerykańskim filmie. Zuza napomknęła przy okazji coś o amerykańskich masażystach, żeby było do kompletu, ale Olga odparła, że to nie jest „aż taki” gabinet.

– I co mu powiedziałaś? – zapytała Olga, kładąc się na łóżku twarzą do podglówka. Jedynym odzieniem, jakie miała na sobie, był biały ręcznik przepasany na biodrach.

– Powiedziałam mu, że skoro tak nalega, to się jeszcze zastanowię. – Tak samo roznegliżowana Zuza położyła się na drugim łóżku. – Mówiłam ci przecież, że prawie mnie замуrowało, gdy o tym usłyszałam.

Dwie młode masażystki zabrały się do pracy, ale to nie przeszkadzało przyjaciółkom w rozmowie.

– Podjęłaś już decyzję? – zapytała Olga.

– Przecież to jasne. Umrę, jeśli tam nie pojedę. – Zastanowiła się chwilę. – Jedź ze mną. Zawsze to raźniej.

– Na głowę upadłaś, kochaniutka? – Olga, której masażystka mocniej nacisnęła plecy, cicho jęknęła.

– Powiedział, że mogę zabrać ze sobą znajomych – przekonywała Zuza. – Pogadaj z Filipem.

– A może ty pogadasz z Makssem?

– Jeszcze by tego brakowało – zaprotestowała. – Jego lepiej w to nie mieszać.

– Jak chcesz – zamruczała Olga, rozkoszując się masażem. – Ja nie mogę.

– Dziś rano też nie mogłam – stwierdziła Zuza i przez chwilę poczuła się jak Nadarzewski. – A jednak zmieniłam zdanie.

– Ty to co innego. Temat dotyczy cię osobiście. Przynajmniej częściowo. – Tak. Olga miała rację.

Zuzanna nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się zachować spokój podczas kolejnej rozmowy z Aleksandrem.

– Kilka razy powtórzyłaś słowo „masz” – wyjaśnił spokojnie Nadarzewski. – Dlatego pomyślałem, że to musi być dobry znak.

– Nie rozumiem.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, kto jest właścicielem domu we Włoszech? Ekscentryczny malarz – staruszek, który całe lato przesiaduje u córki w Stanach. Facet nazywa się Jan Masz. – Spojrzał na stojącą Zuzannę, która na szczęście była odwrócona do drzwi, więc nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

Jan Masz? Czy to ten sam człowiek, który uczył jej ojca malować? Przypomniała sobie historię swojej matki, którą opowiedziała jej ciotka Klementyna. Że też Zuza o nim zapomniała. Malarz wyjechał do Ameryki. To by się zgadzało. Przecież przed chwilą usłyszała, że gość ma tam córkę. Ilu może być starszych malarzy o takim samym imieniu i nazwisku? Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Nadarzewskiemu, ale szybko uznała, że nie jest to dobry pomysł, ponieważ wtedy ten natręt zasypałby ją milionem pytań i dwoma milionami „znaków”.

– Znak? – Zmusiła się do uśmiechu, udając, że w dalszym ciągu nie rozumie. Zebrała się w sobie i z powrotem usiadła. Słowa Aleksa spadły na nią jak grom z jasnego nieba, a ona za wszelką cenę starała się nie okazać emocji, choć jej serce jak psychol w kaftanie bezpieczeństwa tłukło się o miękkie ściany swojej celi. – Jaki znak?

– To oczywiste. – Pokazał białe zęby. – Podświadomie ciągnie cię do Włoch.

*Aleś znalazł sobie wytłumaczenie* – pomyślała ironicznie.

W każdym innym przypadku nie podziałałby na nią taki argument. Jednak teraz sprawa nabrała innego wymiaru. Osobistego.

– Ale jesteś uparty. – Położyła ręce na podłokietnikach i lekko pokręciła się w fotelu. – Jeśli znowu ci odmówię, wymyślisz coś innego, prawda?

\*

– Może rzeczywiście przydałby się nam odpoczynek – zastanowiła się Olga i znowu zamruczała błogo. – Po śniadaniu masaż, potem plaża, a wieczorem laptop.

– Laptop? – zdziwiła się Zuza.

– No dobra – poprawiła się przyjaciółka. – Sympatyczna włoska kawiarenka i zabójcze tiramisu.

– To rozumiem. – Zuzanna też się rozmarzyła. – Czyli ustalone, że jedziemy?

– Nie. Filip się nie zgodzi. Ostatnio powiedział nawet, że nasz sierpniowy wyjazd do Aten stoi pod znakiem zapytania.

– Rozumiem, że włoskie wieczory spędzone tylko z przyjaciółką już cię nie interesują? – Zuza udała zmartwioną. – Szkoda.

Rozmowę przerwał dzwonek w jej torebce.



– Musisz akurat teraz odbierać? – zaprotestowała z niezadowoleniem Olga. – Teraz jest czas na relaks.

– Może to coś ważnego. A jak nie, to zaraz go spławię. – Zerknęła na wyświetlacz. Numer był nieznanym. – Zuzanna Kostecka, dzień dobry.

– Cześć, mówi Kacper Wołoszyc – usłyszała. – Pamiętasz mnie?

– Kacper? – Z wrażenia usiadła na łóżku, szturchając niechcący masażystkę. – Cześć!

– Za kilka dni będę w Warszawie, więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy się spotkać. Masz ochotę?

*O cholera! Pewnie!*

– Jeśli tylko znajdę czas, czemu nie? – Przełknęła ślinę.

– Długo myślałem o tobie i chyba już wiem, kogo mi przypominasz.

– Naprawdę? – Serce zabiło jej mocniej, otworzyła szeroko oczy i spojrzała na leżącą przyjaciółkę. – Kogo?

Olga przysłuchiwała się z zainteresowaniem.

– Może to głupie... – Kacper się zawahał.

– Powiedz, jak już zacząłeś.

– Wiesz co? Jak ci powiem teraz, nie będziesz chciała się ze mną spotkać. – Usłyszała jego śmiech. – W czwartek o jedenastej w kawiarni na politechnice, zgoda?

– Jesteśmy umówieni. Do zobaczenia. – Odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko. – Ale numer!

– Tym razem chyba mu powiesz, co? – zapytała Olga i na nowo oddała się relaksującej przyjemności. – Obiecuj mi, że mu powiesz.

– O Boże, Olga, ale jak?

– Powiem ci jak. Normalnie!

Zuza w myślach przyznała jej rację. Dłużej nie można zwlekać. Do trzech razy sztuka i wystarczy. Chłopak powinien znać prawdę. Przypomniała sobie rozmowę z matką i tylko utwierdziła się w tym przekonaniu.

Patrzyła na rozluźnioną i zadowoloną z masażu Olgę. Zazdrościła jej, bo sama nie potrafiła się wyluzować. Nawet tutaj.

– Pozwoli pani, że skończymy na dziś? – zwróciła się do swojej masażystki. – Już się zrelaksowałam. – Przesłała jej uśmiech w stylu: mam dosyć.

– Jak sobie pani życzy – odpowiedziała kobieta. Zostało jeszcze dwadzieścia pięć minut. Jeśli zmieni pani zdanie, proszę mnie wezwać. Będę w recepcji.

– Dziękuję. – Zuzanna ubrała się i usiadła przy stoliku.

Jeszcze raz spojrzała na Olgę. Przyjaciółka nie przejawiała ochoty na rozmowę. Może i dobrze. Zuza postanowiła w spokoju ułożyć scenariusz spotkania z bratem. Z bratem... Jak to ładnie brzmiało. Nigdy nie miała brata, a teraz nagle ma ich trzech.

Powie mu prosto z mostu i już: jestem twoją siostrą. Albo nie! Najpierw dowie się, że jest podobna do ojca. Kacper na pewno to właśnie miał na myśli. Innej opcji nie było. Chłopakowi będzie wydawać się to niedorzeczne, a tu bach... niespodzianka! A jeśli jej nie uwierzy? Na wszelki wypadek będzie miała ze sobą listy.

Dobra, jakoś to będzie. A teraz Masz i Nadarzewski. Jechać czy nie jechać? Serce jest za, rozum przeciw. Masz jest u córki, więc i tak z nim nie porozmawia, ale będąc w jego domu, mogłaby natrafić na jakiś ślad.

*Węszyć w obcym domu? Zuza, zlituj się!*

Na stoliku leżały ulotki. Wzięła jedną w nadziei, że znajdzie w niej coś, co choć na chwilę oderwie ją od jej dylematów. Przystudiowała cały wachlarz usług. Nic ciekawego. Nie zainteresował jej ani masaż limfatyczny, ani tym bardziej tipsy. Ale coś przykuło jej uwagę. Na samym końcu zamieszczono tekst: „Serdecznie zapraszam do moich gabinetów. Donata Nadarzewska”.

– Donata Nadarzewska? – przeczytała na głos.

– To nasza szefowa – zareagowała milcząca do tej pory masażystka Olgi. – Właścicielka. Zna ją pani?

– Jej nie, ale kojarzę nazwisko. Znam jednego Nadarzewskiego. Może są rodziną? – Przy najbliższej okazji zapyta o to Aleksa. Z ciekawości.

– Tak – odezwała się Olga znudzonym głosem. – To na pewno syn przyrodniego brata siostry jej macochy. – Zaśmiała się krótko z własnego dowcipu. – Dziewczyny, nie jednemu psu Burek.

– Niekoniecznie – odparła masażystka. – Jak ma na imię pani znajomy?

– Aleksander.

– O, widzi pani. Tak samo, jak były mąż pani Donaty. Może to ten sam?

– Nie sądzę. – Zuza pokręciła głową. – Ten mój jest wdowcem.

– Tamten też był. Przed ślubem oczywiście. Słyszałam, że niezły był z niego gagatek. – Dziewczyna rozgadała się nagle jak CB-radio. – Dlatego szefowa rozwiodła się z nim. Niby taki kulturalny, dżentelmen, w stylu: całuję rączki, madame, a zdradzał ją na prawo i lewo. Często wyjeżdżał do Włoch, rzekomo służbowo, bo pracował w nieruchomościach, i pewnie tam gruchał w najlepsze. Słyszałam, że chciał wykolegować panią Donatę z całego majątku i wynajął detektywa, żeby znalazł dowody, że żona go zdradza. Ale ona też niegłupia, wyczuła pismo nosem, przekupiła detektywa i znalazła dowody na męża. Po rozwodzie zgarnęła niezłą sumkę i otworzyła ten gabinet.

– No proszę – wtrąciła Olga. – Sprytna babka. Niektórzy faceci to gnoje. Na szczęście mój do nich nie należy. – Zamruczała i odwróciła głowę do okna.

– Czy pani szefowa dawno się rozwiodła? – zapytała niby obojętnie Zuza, udając, że studiuje ulotkę.

– Jakies dwa miesiące temu. – Dziewczyna, nie odrywając rąk od pleców Olgi, spojrzała na Zuzannę. – A co? Myśli pani, że to ten sam Nadarzewski?

*Wszystko wskazuje na to, że ten sam.*

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Znam go tylko służbowo.

W drodze do domu Zuza miała kolejną zagwozdkę. Siedziała na miejscu pasażera i zastanawiała się, dlaczego Aleksander ją oszukał. Nie mógł po prostu powiedzieć, że jest rozwodnikiem?

– Dziewczyna całkiem dobrze masuje, ale też niezły z niej plociuch, prawda? – zagadnęła Olga i wrzuciła trzeci bieg. W mieście rzadko używała czwartego, lecz tym razem Zuzannie to nie przeszkadzało. – Myślisz, że były mąż tej Donaty i twój Nadarzewski to ta sama osoba?

– Na to wygląda.

– W takim razie powinnaś być plociuchowi wdzięczna. Kobieta nawet nie zdaje sobie sprawy, jaką oddała ci przysługę – powiedziała z przekonaniem. – Teraz wiesz, co to za facet i czego możesz się po nim spodziewać. Pewnie uważał, że wdowiec brzmi lepiej niż rozwodnik i dzięki temu prędzej cię do siebie przekona.

– Jemu chodziło raczej o coś innego – zaczęła dedukować Zuza. – W kwietniu Nadarzewski złożył wniosek o kredyt. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, musiał być wtedy jeszcze żonaty. Która kobieta w trakcie rozwodu podpisze mężowi zgodę na pożyczkę? Gdyby miał rozdzielność majątkową, nie pokazywałby mi aktu zgonu swojej poprzedniej żony. Pamiętam: sprzed sześciu lat.

– Skoro tak, to powinnaś zgłosić w banku wyłudzenie. – W Oldze odezwał się prawnik. – Poświadczenie nieprawdy, zgodnie z artykułem dwieście dziewięćdziesiąt siedem paragraf pierwszy kodeksu karnego, podlega karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat.

– Twoja wiedza jest przerażająca. – Zuza zmarszczyła czoło i spojrzała na przyjaciółkę, która właśnie zwolniła przed skrzyżowaniem. – *Twoja jazda również.* Zielone jest. Jedź!

– Żółte już. – Doturlała się do pasów i nacisnęła hamulec. – Kodeks drogowy to świętość, kochaniutka. Jak wszystkie kodeksy. Dlatego chciałabym cię uświadomić, że zgodnie z artykułem...

– Wiem – przerwała jej Zuza. – Powinnam to zgłosić. Masz rację. – Zamyśliła się. – Ale teraz nie mogę.

– Zatajenie prawdy też jest karalne.

– Mogłabyś na chwilę uśpić swoje paragrafy, aby nie przeszkadzały nam w rozmowie? – Zuza

była lekko poirytowana. – Jeszcze przyjdzie czas, żeby nakablować na Aleksa. Zresztą trzeba mieć dowody, ale na razie mamy tylko domysły.

– Obyś nie została posądzona, że działasz na szkodę banku. – Przyjaciółka Zuzanny skrzyła w ostatnią uliczkę prowadzącą do domu. – Pamiętaj, że to również przestępstwo.

– Zlituj się, Olga! Dopóki facet terminowo spłaca swoje zobowiązania, żaden bank nie będzie go ciągał po sądach.

– A twoje sumienie? – Olga sięgnęła po pilota do bramy. – Co z uczciwością wobec pracodawcy?

– Wiesz co? – Zuza spojrzała na przyjaciółkę z rezygnacją. – Niepotrzebnie dałam ci się namówić na to cholerne spa. Teraz będziesz mnie umoralniać przez miesiąc.

– A ja uważam, że dobrze się stało. Przynajmniej odwiedzie cię to od bzdurnego pomysłu, jakim jest wyjazd do obcego domu z jeszcze bardziej obcym facetem.

– Jeśli wyjazd do Włoch pozwoli mi dowiedzieć się czegoś więcej o moim ojcu, to chcę tam pojechać. Nie interesuje mnie Nadarzewski.

– Nie zapominaj jednak, że on interesuje się tobą. – Olga zatrzymała samochód na podjeździe przed garażem. – Słyszałaś, co mówiła o nim ta masażystka? Jak myślisz, po co facet na siłę ciągnie cię do Włoch? A może to jakiś zboczeniec?

– Dziewczyna nasłuchiwała się od zdesperowanej szefowej i tyle. – Zuza odpięła pasy i otworzyła drzwi. – Rozwódki często przypisują byłym mężom winę za rozpad małżeństwa. Równie dobrze to Nadarzewski mógł być ofiarą tego związku.

Wysiadły obie.

– Ja tylko nie chcę, żebyś to ty stała się ofiarą. Dlatego uważam, że nie powinnaś z nim jechać.

– W takim razie jedź ze mną. – Zuza spojrzała na Olę wzrokiem jednoznacznie świadczącym o tym, że nic nie jest w stanie odwieść jej od już podjętej decyzji. – W domu Masza pracują rodzice Aleksandra. Matka jest gospożą, a ojciec ogrodnikiem. Przy nich nie będzie robił żadnych numerów.

– Pod warunkiem, że nie jest to kolejne kłamstwo.

– W razie czego będę uzbrojona. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Kompletnie ci odbiło? – zdziwiła się Olga. – Masz broń?

– No! – Zuza wsparła brodę na masce dżipa, robiąc przy tym zabawną minę. – Jakby co, jestem uzbrojona po zęby w naładowaną kartę kredytową, więc spanie pod mostem nam nie grozi. Zgódź się. – Zaskomlała prosząco jak Scooby.

– Przestań, bo zaślinisz mi lakier. – Olga odciągnęła koleżankę od samochodu i wyjęła chusteczkę. – Nie pakuj się w to, kochaniutka. – Przetarła maskę czystutkiego wranglera w kolorze *red rock crystal pearl*. – Rozumiem, że chcesz się dowiedzieć jak najwięcej o swoim ojcu. Pomyśl tylko, czy nie ma na to łatwiejszego sposobu. Może wystarczy zapytać Kacpra?

Aleksander krążył po domu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. W jego planie pozostała jeszcze tylko jedna niezłatwiona sprawa. Kaszlnął, próbując zagłuszyć negatywne myśli. Przecież powiedziała, że się zastanowi, a to nie oznaczało definitywnej odmowy. Nie mógł jej zmusić. I nie chciał. Ale zależało mu, żeby z nim pojechała. Cholera, i to bardzo. Nie sądził, że może się jeszcze zakochać. Po tym, jak Donata wyssała z niego niemal cały majątek, obiecał sobie, że nie zaangażuje się uczuciowo w żaden związek. Ale pojawiła się ona. Zuzanna Kostecka.

Podszedł do barku, nalał do kryształowej szklanki trochę whisky i rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu.

*Zuzanna* – pomyślał z uśmiechem. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak leży obok niej, jak studiuje dłońmi jej nagi profil. Dotyka piersi, zbliża do nich usta i pieści językiem nabrzmiałe sutki. Schodzi niżej...

Z przyjemnej fantazji wyrwał go dźwięk telefonu. Może to Zuzanna? Na samą myśl mocniej zabiło mu serce. Numer był zastrzeżony.

– Synku, czy ty aby na pewno będziesz tu w niedzielę? – usłyszał ciepły głos matki. – Bo chciałabym ci zrobić niespodziankę i przygotować twoje ulubione danie.

– Postaram się być, mamó – powiedział łagodnie i uśmiechnął się do słuchawki. – Może ja też będę miał dla was niespodziankę?

Nie zdradził nic więcej, choć matka bardzo chciała się dowiedzieć, o co chodzi. Niespodzianka to niespodzianka. Poprosił tylko o przygotowanie dodatkowego pokoju i zapewnił, że również tęskni.

Ta rozmowa przypomniała mu o ważnej sprawie, nad którą pracował od kilku miesięcy. Tym razem interes wiązał się z naprawdę dużą kasą.

Aleksander od dziecka marzył o bogactwie. Często wyobrażał sobie, jak będzie wyglądało jego dorosłe życie. Widział siebie w samochodach najlepszych marek. Marzył o domu pełnym antyków, drogich bibelotów, obrazów i rzeźb, gdzie będzie mieszkał u boku niewiarygodnie pięknej kobiety, którą będzie kochał i czcił jak boginię. Ubolewał, że rodzice nie mogli zapewnić mu dobrobytu. Ale czego można wymagać, żyjąc w kwaterunkowym mieszkaniu na Starych Bielanych w zwyczajnej robotniczo-katolickiej rodzinie? Jego ojciec był hydraulikiem, a matka pracowała jako woźna w szkole. W dodatku w tej samej podstawówce, w której Aleks uczył się przez osiem lat. Na początku wstydził się ich, z czasem przywykł, ale obiecał sobie, że na pewno nie będzie żył tak jak oni.

W realizacji marzeń miały mu pomóc studia. Nie dostał się na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, więc pojechał do Gdańska. Chciał się znać na tych wszystkich antykach, które zamierzał posiadać, więc skończył historię sztuki, elitarny kierunek, powszechnie uważany za prestiżowy, który w mniemaniu Aleksandra miał mu otworzyć drzwi do kariery, sławy i pieniędzy. Zapewne mogłoby tak być, gdyby potrafił wykazać się cierpliwością. Ale on nie umiał czekać. Marna pensja na etacie w muzeum nijak nie chciała go przybliżyć do upragnionej fortuny, dlatego postanowił bogato się ożenić. I udało się. Aldona nie była zbyt urodziwa, ale za to miała odziedziczony po babce pokaźny majątek, którym Aleks mógł bez przeszkód zarządzać.

Kupił dom, jeden, drugi, potem je sprzedał i nabył następne. I tak zrodził się pomysł posiadania własnej agencji nieruchomości. Wystarczyło ukończyć studia podyplomowe i zdobyć licencję. Aleksander zrobił to z przyjemnością. Interes kwitł, a on czuł się coraz bardziej spełniony zawodowo.

Tylko ze swojego małżeństwa nie był zadowolony. Aldona często chorowała. Nie mogła dać mu dziecka, co budziło w niej przygnębienie i frustrację, które w końcu doprowadziły do głębokiej depresji. Aleksander nie miał sumienia wystąpić o rozwód, choć myślał o tym wielokrotnie, ale Aldona zrobiła mu tę uprzejmość i którejś nocy we śnie przeniosła się na tamten świat.

Potem była kolejna porażka. Donata. Suka i zdzira. Sam nie pojmował, co go skłoniło do ożenku z tą kobietą. To małżeństwo zabrało mu dwa lata życia i ogromną sumę pieniędzy. Na adwokatów, detektywów i dla niej. Wywłoka oskubała go z domu, najnowszego bmw i niemal wszystkich oszczędności. Ucierpiały też na tym dwie jego najlepsze agencje, które niełatwo teraz będzie doprowadzić do poprzedniej świetności. Pozostały mu tylko pieniądze zarobione na nielegalnych interesach, o których istnieniu Donata nie miała pojęcia.

Aleksander wiecznie miał za złe rodzicom, że nie potrafili dorobić do pensji, załatwić sobie roboty na boku czy zwyczajnie pokombinować. Ojciec, owszem chętnie pomagał sąsiadom, naprawiał ciekące krany, wymieniał rury, ale nigdy nie wziął za to nawet złotówki, twierdząc, że nie wypada. Bo ludziom należy pomagać bezinteresownie. Aleks nie rozumiał, jak można się narobić za frajer i za nic niekosztujące dziękuję. Był wściekły na ojca, ale też obwiniał matkę, że pozwalała na takie postępowanie. Żadne jednak argumenty do nich nie docierały.

Jakież zatem było jego zdziwienie, kiedy kilka lat temu rodzice oświadczyli, że przeprowadzają się na półwysep Gargano.

– Pamiętasz, Oluś, tego malarza, który kiedyś mieszkał naprzeciwko? – zapytała matka na widok zdumionej miny syna. – Ten, co to mu tata krany często naprawiał?

– On tego nie może pamiętać, Lusi – wtrącił ojciec. – Miał wtedy osiem lat. Poza tym Masz mieszkał tu tylko rok. Niby krótko, a narobiłem się u niego jak cholera. – Mimo wszystko był z siebie zadowolony.

– No i ten pan Janek – ciągnęła matka – przyjechał tu niedawno stare śmieci zobaczyć. Normalnie to on już dawno w Ameryce mieszka, ale jakieś sympozjum miał w Warszawie, czy co tam jeszcze innego, nie pamiętam. Grunt, że jak go spotkałam przed blokiem, to go od razu na herbatę zaprosiłam. I wiesz, Oluś, że mnie poznał? Mój Boże, po tylu latach. – Matka złożyła ręce jak do pacierza. – „Pani Nadarzewska”, mówi, „nic się pani nie zmieniła”. Taki to, widzisz synku, światowy człowiek z niego. A i ciebie pamiętał. „Jak tam wasz Oluś”, pyta, a ja mu na to...

– Dajże spokój, Lusia. – Ojciec się zniecierpliwił. – Wystarczy, że Maszowi opowiadałaś przez dwie godziny, jakie to twój syn studia skończył i co teraz robi. – Spojrzał na Aleksa. – Matka tak cię wychwalała, że aż pan Jan się tobą zainteresował. Pytał, czy marszandem nie chciałbyś zostać. Bóg jeden wie, co to znaczy, a jakoś tak głupio było zapytać. Ale to chyba coś dobrego, prawda?

– Marszand to człowiek, który opiekuje się artystami, tato – wytłumaczył Aleks. – Organizuje

wystawy w galeriach i można powiedzieć, że tworzy modę artystyczną. Doradza też kolekcjonerom, co mają kupować i sam handluje dziełami sztuki.

– O, widzisz! – Lusia z uznaniem pokiwała głową. – To ty byś się nadawał do tego. Na coś w końcu by ci się te studia przydały.

– Co mi po studiach, jak nie mam praktyki? – Aleksander siorbnął trochę herbaty. – Poza tym moja praca też jest dobra. Ale co się stało, że nagle zdecydowaliście o przeprowadzce?

– Pan Janek kupił dom na Gargano. Podobno okazja była, a on na starość ciszy potrzebuje – zaczęła matka. – Ale póki co, u córki w Ameryce będzie mieszkał. Nie chce się dziewczyna przeprowadzić, bo ponoć dobrze jej tam. A chałupa piękna – westchnęła. – Pokazał nam zdjęcia. Mówię ci synu, jak z pocztówki. Aż mi się coś na sercu zrobiło, kiedy usłyszałam, że pan Jan nie da rady sam zająć się domem, bo i człowiek w słusznym wieku jest. I zaufanego kogoś chciał mieć. No i dlatego zaproponował nam pracę. – Uśmiechnęła się. – Na emeryturach jesteśmy już, synku. Siedzimy tylko w tym mieszkaniu i gnijemy. Nawet działkę pracowniczą nam zabrali, co to ją uprawialiśmy przez trzydzieści lat. Szkoda jej, bo drzewa pięknie rodziły. Ale cóż zrobić? Podobno budowa jakaś tam teraz będzie. No to pomyśleliśmy sobie, że czemu by nie pojechać na to Gargano i kawałek świata liznąć?

– Dużo wam chociaż zapłaci?

– Ty tylko o pieniądzach – wtrącił ojciec. – Coś tam zapłaci, nie bój się. Stratni nie będziemy.

\*

Opróżnił szklanę, dolał jeszcze whisky i otworzył notes. Spotkanie z klientem było zaplanowane na poniedziałek. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w co nie wątpił, zgarnie niezłą sumkę, a potem odda się przyjemności rozkochiwania w sobie Zuzanny. Włoski klimat na pewno mu w tym pomoże. Jednak do tego czasu musiało być wszystko przygotowane. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Mam nadzieję, że wyrobisz się do czwartku – powiedział bez zbędnych uprzejmości. – Tak jak się umawialiśmy.

– Jeśli dostanę więcej forsy, to na pewno – usłyszał.

– Zaliczka ci nie wystarczyła?

– Tu nie chodzi o zaliczkę, Aleks – odparł rozmówca. – Chcę więcej kasy za obraz.

– Dostaniesz tyle, ile się umawialiśmy! – Aleksander podniósł głos. – Nie kombinuj, tylko kończ robotę! Jestem u ciebie w czwartek wieczorem.

– Zmieniłem zdanie. Mam swoje dojścia i sprawdziłem, ile to płótno może być warte. Jeśli mi więcej nie zapłacisz, zrywam umowę.

– Nie zapominaj, że to ja ryzykuję. – Aleksander niemal się wściekł, ale starał się zachować spokój. – Pogadamy w czwartek.

– Nie zbywaj mnie. Chcę mieć potwierdzenie teraz.

– Powiedziałem ci, że kiedy go sprzedam, dostaniesz swoją dolę. A teraz się sprężaj, bo nie ma czasu.

– Pięćdziesiąt procent więcej. – Głos był bardzo stanowczy. – Inaczej nici z umowy.

– Nie wkurwiał mnie, Wołoszyc!

## ROZDZIAŁ XIV

Zuzanna zaparkowała samochód na chodniku i odetchnęła głęboko. Wysiadając, jeszcze raz upewniła się, czy ma w torebce listy. Odruchowo. Jakby nie była przekonana, że naprawdę je ze sobą wzięła. W końcu to miały być żelazne argumenty. Serce zabiło jej mocniej, gdy pod budynkiem politechniki zobaczyła Kacpra. Rozglądał się po parkingu, trzymając ręce w kieszeniach odprasowanych w kant spodni. Gdy zobaczył Zuzannę, uśmiechnął się i wyszedł jej naprzeciw.

– Cześć! – Mocno uścisnął jej dłoń. – Fajnie, że jesteś. Egzaminy działają na człowieka stresująco.

– Egzaminy? – Zdziwiła się Zuzanna, spoglądając na jego białą koszulę i misternie zawiązany krawat. – Mam nadzieję, że dobrze ci poszło.

– Zdaję dopiero o trzynastej. – Spojrzał na zegarek. – Mam jeszcze dwie godziny. Wejdziemy do środka, czy wolisz się przejść?

Zuza zaczerpnęła łyk powietrza i... poczuła, że ją zatkało. Egzamin? Skąd mogła wiedzieć? Szybko doszła do wniosku, że w tej sytuacji nie zdobędzie się na odwagę, aby powiedzieć mu, że jest jego siostrą. Na pewno nie teraz. Ułożony w jej głowie plan pomachał na pożegnanie.

– Coś się stało? – Zauważył jej konsternację. – Wyglądasz, jakbyś zapomniała wyłączyć żelazko.

– Wybrałeś sobie niezły moment na spotkanie – pokręciła głową. – Nie wolałbyś zasiąść gdzieś w samotności i jeszcze się pouczyć? Możemy zobaczyć się później.

*A ja ułożyłabym sobie w tym czasie nową strategię rozmowy.*

– Daj spokój – machnął ręką – denerwująca jest tylko ta atmosfera. – Wskazał na budynek uczelni. – Z samą matematyką jakoś sobie poradzę. Tylko nie miałem pojęcia, że tak zareagujesz. Poprosiłem cię o spotkanie, żeby się trochę wyluzować.

*O matko!* – westchnęła w duchu.

– A później niestety nie mogę – udał zmartwionego. – Zaraz po egzaminie wracam do domu, pakuję się i *fahren nach Monachium* na cały miesiąc. Nie ma to jak wakacje u mamy.

– Jasne. – Uśmiechnęła się i zatęskniła nagle za Krakowem. – Wakacje u mamy fajna sprawa – powiedziała z nutą zazdrości w głosie i szybko zmieniła temat. – Wydawało mi się, że studiujesz zaocznie.

– Zgadza się – przytaknął. – To już ostatnie zaliczenie, a że mogłem umówić się na nie w środku tygodnia, skorzystałem z tego. Ale nie uśmiecha mi się siedzenie w tym rozgardiaszu.



Tam jest fajna kawiarnia. – Wskazał park po drugiej stronie ulicy. – Daj się zaprosić na lody, to dowiesz się, dlaczego cię tu ściągnąłem. – Na jego twarzy błysnął tajemniczy uśmiech. – Mam nadzieję, że zarezerwowałaś sobie godzinę?

– Oczywiście.

Przeszli przez jezdnię i skierowali się do ogródka w samym środku parku. Na widok gości kelner szybko przetarł blaty i krzesła, po czym wskazał im, gdzie mogą usiąść.

Kacper zajął miejsce naprzeciwko Zuzanny i przez chwilę bacznie ją obserwował, gdy przeglądała menu.

– Rzeczywiście jesteś do niej podobna. – Zmrużył oczy.

– Do niej? – Zuza gwałtownie podniosła wzrok znad karty.

*A nie do niego?*

– Rzadko udaje mi się dostrzec podobieństwo dwóch osób – odpowiedział, widząc jej zdziwienie. – Chyba że chodzi o bliźniaki. Jednak odkąd zobaczyłem cię pierwszy raz w Korpniewie, nie dawała mi spokoju myśl, że już gdzieś widziałem twoją twarz. To samo czułem, kiedy spotkaliśmy się na uczelni.

– Wiele osób ma podobne rysy twarzy. – Starła się naturalnie wzruszyć ramionami. – Masz na myśli jakąś konkretną osobę? Przez telefon powiedziałaś, że już wiesz, kogo ci przypominam.

Zamówili po szklance coli.

– Tak mi się wydaje. – Kacper pociągnął spory łyk i sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy. – Zaraz sama zobaczysz. – Zaczął energicznie przeszukiwać galerię zdjęć. – Kurczę... mam nadzieję, że tego nie skasowałem.

Zuzanna przyglądała mu się w skupieniu, czując narastającą ciekawość. Zastanawiała się, o jakiej konkretnej osobie mówił jej brat. A przy okazji była coraz dalej od wyjawienia mu prawdy o ich bliskim pokrewieństwie, przede wszystkim mając na uwadze fakt, że mógłby na tym ucierpieć jego egzamin.

– To jakaś twoja znajoma? – Niecierpliwiła się. – Przyjaciółka z dawnych lat? Była dziewczyna?

– Chyba jednak nie zgadniesz. – Nie odrywał wzroku od ko mórki.

– Dobra, poddam się – skapitulowała. – Pokaż wreszcie. Jeszcze nigdy nie widziałam swojego sobowtóra.

Kacper uśmiechnął się i jeszcze przez kilka chwil, które Zuzannie wydawały się godziną, przeszukiwał zawartość swojego telefonu.

– O, jest. Zobacz – powiedział wreszcie i podał jej aparat. – Prawda, że podobna?

To, co Zuza zobaczyła na wyświetlaczu, wprawiło ją w osłupienie.

Zdjęcie przedstawiało namalowany w kolorze ciepłej sepii obraz przedstawiający siedzącą z podciągniętym do piersi kolanami nagą kobietę. Właściwie był to zraniony anioł, którego pozbawiono możliwości latania, ponieważ jedno skrzydło wyrastało z ramienia, drugie leżało na ziemi. Zaczesane do góry jasne kręcone włosy odsłaniały jej kształny profil. Twarz była smutna. Wprawdzie nie było widać łez, zdawać się mogło, że oczy kobiety przepętnione są smutkiem, który spływa po jej nagim ciele, powodując, że cała drży. Zuza mimowolnie pogładziła ekran telefonu, jakby chciała pocieszyć nieszczęśliwą postać.

*Mamo, już dobrze – pomyślała. – Wszystko będzie dobrze.* – Przełknęła ślinę, aby rozluźnić zaciśnięte gardło i z trudem powstrzymała się od łez.

– Przypuszczałem, że zrobi na tobie wrażenie. – Kacper wyjął z jej dłoni telefon i sam jeszcze raz przyjrzał się namalowanej postaci. – Co w niej zobaczyłaś, że tak nagle posmutniałaś?

– Cierpiącego anioła. – Zuza postarała się o lekki uśmiech i upiła trochę coli. – Zawsze wydawało mi się, że one są wesołe.

– Teraz wyglądasz zupełnie jak ona. – Kacper jeszcze raz spojrzął na zdjęcie, po czym wyłączył telefon i odłożył go na stolik. – Rozchmurz się. Przecież to tylko obraz.

– Piękny obraz – dodała, opróżniając szklanekę. – Jest twój?

– Skoro wisi u mnie na strychu, to pewnie należy do mnie.

– A ta kobieta... – zawahała się chwilę. – Kto to?

– Nie wiem – wzruszył ramionami – ale myślę, że mój ojciec dobrze ją znał. Namalował ten obraz. Może ta dziewczyna była jego niespełnioną miłością? Kto go tam wie?

– Nie powiedział ci? – zdziwiła się Zuzanna, a gdy Kacper pokręcił głową, dodała: – Trzeba było zapytać.

– Mój ojciec był dziwnym człowiekiem.

– Był? – Poczowała ukłucie w piersiach.

– Nie wiem. Być może nadal jest. Nieważne.

– Jak to nieważne? – Otworzyła szeroko oczy. – Co ty mówisz?

Kacper zmarszczył czoło.

– Chyba nie chcesz rozmawiać o moim ojcu. To nieciekawy temat.

*I tu się mylisz, braciszku. Tylko jak do cholery mam ci to powiedzieć?*

Ciekawość nie dawała Zuzannie spokoju. Czy powinna pytać o ojca? Jeśli tego nie zrobi, nie dowie się. Pewnie gdyby wyznała Kacprowi, kim dla niego jest, byłoby łatwiej.

– Kiedy temat dotyczy twórcy pięknego obrazu, zawsze będzie dla mnie ciekawy – powiedziała, zadowolona z fortelu. – Bo musisz wiedzieć, że malarstwo to moja pasja. Bankowcem jestem tylko z zawodu.

Chłopak uniósł brew i spojrzał z zaciekawieniem na Zuzannę.

– Można tak żyć – kontynuowała – jeśli mimo wszystko rozwijasz swoją pasję.

Ona rozwijała: przez kilka lat chodziła na warsztaty malarskie prowadzone przez krakowskich artystów. Potrafiła nie tylko dobierać farby i budować przestrzeń na płótnach. Obraz to zwierciadło duszy malarza. Obrazy przedstawiały emocje, a ona potrafiła je odczuwać.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak zareagowałaś na to zdjęcie.

– Interesują mnie nie tylko obrazy, ale też artyści, którzy potrafią malować emocjami. Zawsze mnie ciekawiło, co czują, gdy tworzą. I jeśli tylko mam sposobność, rozmawiam z nimi o tym. Kiedy widzą, jak bardzo fascynuję się malarstwem, chętnie dzielą się ze mną swoimi doświadczeniami. Wiesz, w każdym mistrzu drzemie nauczyciel. Jak myślisz, czy twój ojciec mógłby się ze mną spotkać?

– Trudne pytanie.

– Uważasz, że kobieta ze skrzydłem to jego niespełniona miłość, choć sam ci o tym nie powiedział. Przypuszczam, że trudno mu było rozmawiać o takich sprawach z synem. Być może gdybym ja go o to zapytała, jako osoba...wiesz... postronna, to kto wie...

Zawiesiła głos i w napięciu czekała na jego odpowiedź. Kacper zamyślił się. Spojrzał na Zuzę, a potem na zegarek.

– Za pół godziny będzie tu mój brat – odparł. – Ale jeśli masz jeszcze trochę czasu, zapraszam na obiecane lody. Coś ci opowiem.

Kąciki jej ust mimowolnie uniosły się, tworząc zabawną podkówkę. Widząc to, Kacper wsparł łokcie o blat stolika i uśmiechnął się. Ale inaczej.

– Masz minkę jak dziecko, które wie, że za chwilę dostanie ulubiony smakołyk. – Pochylił się i opuszkami palców delikatnie pogładził wierzch jej dłoni.

Zuza spojrzała chłopakowi w oczy i przez chwilę próbowała odgadnąć, co ów uśmiech oznacza. I ten dotyk, budzący w jej duszy dziwne, niepokojące wibracje.

Ostrożnie wysunęła rękę i sięgnęła do torebki po telefon. Sprawdziła tylko godzinę. Za dwa kwadransy i ona miała spotkanie. Dwie przecznice dalej musiała zawieźć klientowi dokumenty. Żałowała tylko, że znowu nie uda jej się poznać Przemka.

– Dla mnie waniliowe – powiedziała, odkładając komórkę.

Kiedy Kacper zamawiał lody przy bufecie, Zuzanna usiłowała sobie przypomnieć przeczytany kilka lat temu artykuł o genetycznej atrakcyjności seksualnej. Zjawisko to nazwano chorobą miłości. Może ona dotknąć osoby blisko ze sobą spokrewnione, które z różnych powodów poznały się dopiero w życiu dorosłym. Krótko mówiąc, na przykład brat i siostra, wychowywani w różnych rodzinach, po latach mogą zapalać do siebie gorącą fizyczną miłością.

Czy to właśnie poczuł Kacper? A ona? Myśl wydawała się niedorzeczna, a jednak tkwiła w jej głowie jak guma przyklejona do podeszwy.

– Ta kobieta z obrazu... – Kacper postawił przed Zuzanną pucharek lodów udekorowanych polewą czekoladową. – Mam nadzieję, że nie jest twoją krewną – uśmiechnął się lekko i usiadł. – A jeśli już, to daleką.

Zuza poczuła ukłucie w sercu. Zastanawiała się, kiedy chłopak ją o to zapyta. W głębi duszy czekała na takie pytanie, bo wówczas może zebrałaby się na odwagę, żeby mu w końcu powiedzieć, kim jest. Ale Kacper mówił dalej:

– Bo przychodzi na myśl niemiłe wspomnienia.

– Niemiłe?

– Będąc dzieckiem, nienawidziłem jej.

– Nienawidziłeś? – Bezmyślnie powtarzała jego ostatnie słowa.

– Ojciec miał pracownię na strychu – wyjaśnił. – Często zamykał się tam i malował. Nie wolno mu było wtedy przeszkadzać, bo dostawał wścieklizny i wydzierał się na matkę, że nie potrafi nas upilnować. Mówił, że robi coś ważnego i że kiedyś to zrozumiemy. Wtedy bardzo chciałem go zrozumieć, dlatego wdrapywałem się na dach i przez okno obserwowałem, co robi. A on po prostu siadał w fotelu, zapalał papierosa i patrzył na tę kobietę. Wydawało mi się czasem, że do niej mówi. Nawet gdy malował, cały czas na nią spoglądał. I tylko ten jeden obraz wisiał na ścianie. Inne były ustawione na podłodze pod oknem. Tamte zarastały pajęczyną, ten był na noc przykrywany płótnem. I co miałem myśleć?

– Że ojciec czerpał z tego obrazu inspirację? – odpowiedziała niepewnie.

– Na moją matkę nigdy nie patrzył z taką miłością, jak na tamtą kobietę. Miałem dziesięć lat, a już potrafiłem to zauważyć. Wiele razy widziałem, jak mama przez niego płacze. A ja nic nie mogłem na to poradzić. Dlatego któregoś dnia postanowiłem, że przeleżę na dachu cały dzień, obserwując ojca. Pomyślałem sobie, że wtedy prędzej go zrozumiem.

– Udało ci się?

– Doszedłem do wniosku, że skoro ojciec spędza więcej czasu z tamtą kobietą niż z nami, to musi być dla niego ważniejsza. Nawet jeżeli jest tylko obrazem. Może to głupie, ale zazdrościłem jej, że to ona przebywa z moim ojcem, a nie ja i szczerze ją za to nienawidziłem. Kiedyś zapytałem go, w czym ona jest lepsza ode mnie. Dlaczego zamyka się z nią, zamiast pojechać z nami do kina albo zagrać w piłkę. Zdenerwował się wtedy i powiedział, że dowiem się tego, gdy będę dorosły. Ale nie doczekałem się. I raczej już się nie doczekam. Ojciec zniknął i tyle go widzieli. Zapadł się pod ziemię, uciekł... nie wiem. Poszukiwania nic nie dały, więc nawet gdybym chciał, nie umówię cię z nim.

– Szkoda – westchnęła Zuzanna i zabrała się do jedzenia prawie już roztopionych lodów. Smakowały smutną przeszłością. Czyli nie smakowały w ogóle. Odsunęła je więc od siebie, nadal trzymając w dłoniach łyżeczkę, którą bezmyślnie obracała w palcach. Na chwilę otworzyła usta, ale zrozumiałwszy, że nie wie co powiedzieć, szybko je zamknęła. I choć pytania w jej głowie huśtały się niczym dziesiątki wahadeł, milczała. Przełknęła ślinę, usiłując uspokoić galopujące serce. Z marnym skutkiem. Miotano się w piersiach jak pomyłone. A przecież doskonale znała tę historię. Właśnie do momentu zniknięcia ojca. Tylko gdzieś w głębi serca miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej. Ale też nie miała odwagi o nic

więcej zapytać.

– Hej! – Kacper zabrał Zuzannie łyżeczkę i ponownie pogładził jej dłoń. – Rozchmurz się. A co ja mam powiedzieć? Mnie też jest żal.

– Szkoda tylko, że moja twarz będzie ci się kojarzyć z tym żalem. – Zdołała wykrzesać z siebie odrobinę uśmiechu i poklepała Kacpra po ręce. – Może kiedyś przestaniesz ją nienawidzić.

– Kiedy na ciebie patrzę – Kacper odwzajemnił uśmiech – nie dziwię się, że ojciec zakochał się w tamtej kobiecie.

Na przejściu dla pieszych migało zielone światło. Maksymilian podbiegł do skrzyżowania, ale grupa młodzieży, która przed chwilą tłumnie wysypała się z autobusu, zagroziła niemal całą szerokość pasów. Nie chcąc przeciskać się między nimi, przystanął. Ponad przejeżdżającymi samochodami spojrzął na drugą stronę jezdni. Mężczyzna w zielonym T-shircie oddalał się w kierunku parku. Nie spieszył się, zatem nie zorientował się, że jest obserwowany. Maks był z siebie zadowolony. Szedł za tym człowiekiem dobre dwa kilometry, odkąd tamten wyszedł z galerii na Mokotowie, którą Maks obserwował od kilku dni. Przypuszczał, że ów mężczyzna może być zamieszany w fałszerstwo i wprowadzanie na rynek obrazów znanego malarza ze Stanów Zjednoczonych.

Sprawę podsunął Maksowi jego dawny przyjaciel, Rafał Wilkowski, od wielu już lat mieszkający w Allentown w stanie Pensylwania. W zasadzie chodziło o przysługę, która, jak stwierdził sam zainteresowany, pomogłaby mu odzyskać dobre imię. A że Maks zawsze stawał murem za przyjaciółmi, chętnie zaoferował swoją pomoc.

– Nie uważam, żeby „Rafał” było złym imieniem – zaśmiał się do słuchawki – ale oczywiście zobaczę, co da się zrobić.

– Nie żartuj sobie, chłopie. Tu chodzi o mój honor. No i pamiętaj, że widzimy się w listopadzie. Izabela nie może się doczekać, kiedy w końcu pozna ojca chrzestnego.

– Przecież ona ma dopiero miesiąc.

– Ale już jej powiedziałem, kto będzie trzymał ją do chrztu.

Maks znał Wilkowskiego jeszcze ze szkoły podstawowej. Przez osiem lat siedzieli w jednej ławce, mieli podobne poglądy i zainteresowania. Byli nierozłączni, dopóki rodzice Rafała nie wpadli na genialny pomysł, aby przeprowadzić się na stałe do Ameryki. Ale nawet oddalenie na szerokość oceanu nie przeszkodziło im w utrzymywaniu przyjacielskich kontaktów. Wspólne zamięlowanie do zagadek detektywistycznych sprawiło, że jeden został dziennikarzem śledczym, a drugi policjantem.

Rok temu do Wilkowskiego przyszła pewna pani w podeszłym wieku, oświadczając, że przed dwoma laty padła ofiarą handlarza – oszusta, który zamiast oryginalnego obrazu za trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów sprzedał jej oryginalnie wyprodukowaną kopię wraz z certyfikatem potwierdzającym rzekomą autentyczność dzieła. Szczęśliwa i jednocześnie nieświadoma właścicielka fałszyfikatu powiesiła swój nowy nabytek w salonie i delektowała się nie tylko jego walorami estetycznymi, ale również nader trafną inwestycją.

Twórcą obrazu miał być znany i ceniony w kręgach artystycznych malarz o pseudonimie

Shavo. Niełatwo było zdobyć jego płótna, ponieważ, co było dla wielu niezrozumiałe, autor po prostu nie chciał sprzedawać ich byle komu. Tylko nieliczni kolekcjonerzy dostępowali tego zaszczytu. Artysta sam decydował, kto z zainteresowanych może nabyć jego dzieła. Uważał bowiem, że obraz, który został przez twórcę obdarzony duszą, nie może być traktowany jak zwykły przedmiot transakcji. Dlatego zanim cokolwiek sprzedał, najpierw długo rozmawiał z potencjalnym kupującym i badał jego wrażliwość na sztukę. Niestety, wielu odpadało w przedbiegach. Przez to Shavo postrzegany był jako ekscentryk, co akurat nie przeszkadzało mu w karierze: jego obrazy uzyskiwały coraz wyższe ceny, a chętnych do kupna było coraz więcej. O samym Shavo niewiele było wiadomo, poza tym, że pochodził z Europy Środkowej i mieszkał na peryferiach Allentown razem z córką i dwoma psami. Tak przynajmniej twierdziła kobieta, która zgłosiła Wilkowskiemu, że została oszukana.

– Miałam trochę pieniędzy, które chciałam zainwestować – mówiła rozgoryczona. – Słyszałam o mistrzu Shavo, ale nie sądziłam, że będę mogła kupić któryś z jego obrazów. Wielu odprawiał z kwitkiem, więc nawet nie próbowałam. Odwiedzałam galerie sztuki, w nadziei, że znajdę coś dla siebie. Wie pan, dla oka i jako dobrą lokatę. W jednej z nich poznałam młodego człowieka, który za niewielką opłatą zaoferował mi pomoc. Pomimo młodego wieku wyglądał na profesjonalistę. Proszę, to jego wizytówka. – Podała Rafałowi błękitny kartonik.

– Norman Bator. – Wilkowski spisał do kajetu wszystkie dane nieuczciwego pośrednika, razem z adresem galerii. – Oczywiście, sprawdzimy to.

– Sama to już sprawdziłam. Ten mężczyzna nigdy tam nie pracował. W tej galerii widziałam go tylko za pierwszym razem, potem spotykaliśmy się w mieście. Trzykrotnie. Najpierw, żeby mógł przeprowadzić ankietę o moich upodobaniach artystycznych. Powiedziałam mu, że najbardziej interesuje mnie Shavo. Pamiętam, że wtedy tak ładnie się uśmiechnął i oznajmił, że lepiej nie mogłam trafić, bo on mistrza zna osobiście i chętnie mi pomoże kupić jego obraz. Nie posiadałam się z radości. Tak dobrze mu z oczu patrzyło, że nawet przez chwilę nie podejrzewałam go o nieczne zamiary.

– Kiedy było drugie spotkanie?

– Mniej więcej po tygodniu. Wtedy dowiedziałam się, że Shavo zgodził się sprzedać mi obraz. Po znajomości, rzecz jasna. Chłopak pokazał mi kilka zdjęć. Szkoda, że pan nie widział, jak się cieszyłam. Nie wiedziałam, który wybrać. Wszystkie mi się podobały. Tylko miałam nikomu nie mówić, w jaki sposób weszłam w jego posiadanie. Zdziwiło mnie to, ale Norman wyjaśnił, że gdyby nie daj Boże, taka informacja się rozeszła, mistrz byłby wściekły i już nigdy by mu nie zaufał. Mnie to wystarczyło. Obraz dostałam od niego po sześciu dniach razem z tym certyfikatem. – Kobieta położyła przed policjantem zalaminowaną kartkę formatu A4 i takiej samej wielkości zdjęcie obrazu. Powiedział, że jestem szczęściarą, bo za parę lat to płótno będzie warte o wiele więcej.

– Zapłaciła mu pani gotówką?

– No co pan? Dwa dni wcześniej zrobiłam przelew na konto bankowe założone na Galerię Cristina. Tę samą, w której poznałam Batora. Właścicielka galerii nie potwierdziła numeru tego konta. Mogę zatem podejrzewać, że otwarto je na podstawie fałszywych dokumentów i już dawno nie istnieje.

Rafał wszystko skrzętnie zanotował, po czym spojrzał na certyfikat i zdjęcie.

– I za ten obraz zapłaciła pani trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów? – zapytał z nieudawanym zdziwieniem i pokręcił głową.

– Piękny, prawda? – Kobieta zerknęła mu przez ramię. – Niestety kopia. – Wyciągnęła chusteczkę, aby przetrzeć załzawione oczy.

– W jaki sposób dowiedziała się pani, że to nie oryginał?

– W zeszłym tygodniu znajoma wyciągnęła mnie na wystawę do pałacu. Nie chciało mi się, ale coś mnie tknęło i poszłam. Prezentowano tam obrazy kilku artystów, w tym samego mistrza Shavo. I wtedy o mało nie dostałam zawału. Niech pan sobie wyobrazi, że na ścianie wisiał mój obraz.

Wilkowski podniósł wzrok znad kajetu.

– Mój obraz – powtórzyła. – Rozumie pan? Taki sam. Identyczny. Zgłosiłam to organizatorom wystawy. Poinformowano mnie, że mistrz nie ma zwyczaju malowania dwóch takich samych obrazów. Każdy jest niepowtarzalny i ma swoją duchową historię. Wtedy oddano oba malowidła do ekspertyzy. Na samą myśl robi mi się słabo – powachlowała się dłonią – bo ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że mój obraz nie jest oryginałem.

Policja wszczęła postępowanie. Poszukiwano Normana Batora w całych Stanach. Bezskutecznie. Nie namierzono ani jego, ani też nikogo, kto mógłby z nim współpracować, w tym autora kopii obrazu. Podejrzewano nawet, że pośrednikiem – oszustem i fałszerzem mogła być ta sama osoba, używająca w dodatku fałszywego nazwiska, której prawdopodobnie dawno już nie było w Ameryce.

Po pół roku śledztwo utknęło w martwym punkcie, na domiar złego przypieczone śmiertelnym zawałem serca oszukanej kobiety. A że biedaczka była samotna, nikt więcej nie zabiegał o wyjaśnienie jej sprawy. Mistrza Shavo także to nie interesowało. Zaprzeczył, jakoby znał kogoś o nazwisku Bator, jak również temu, że kiedykolwiek sprzedał swój obraz po znajomości. Nie przejął się również zbytnio samym faktem, że jego dzieło zostało skopiowane i wypuszczone na rynek.

– Świat jest zasypany podróbkami – powiedział, gdy Rafał pokazał mu płótno kupione przez oszukaną kobietę. – Dlatego ja trzymam się swoich zasad i nie sprzedaję obrazów byle komu. Owszem, wypożyczam je czasem galeriom na wystawy i może raz do roku pozwalam jeden sprzedać, ale zawsze wiem, do kogo ma trafić. – Spojrzał z niesmakiem na kopię. – Dziwię się, że ktoś chciał kupić ten kicz. No cóż – westchnął – jego strata. Prawdziwy koneser wiedziałby, że to falsyfikat.

– Nie jest pan ciekawy, kto usiłuje pana naśladować? – zapytał Wilkowski.

– Nie mam czasu się tym zajmować – odpowiedział zdawkowo mistrz. – Ale jeśli pan go znajdzie, proszę go do mnie przyprowadzić. – Zaśmiał się, spoglądając na obraz. – Udzielę mu kilku lekcji malarstwa. A teraz proszę mi wybaczyć. – Wyciągnął rękę na pożegnanie. – Za trzy godziny mam samolot do Włoch.

Z braku wystarczających dowodów śledztwo umorzono. Nie w smak to było Wilkowskiemu, któremu intuicja i prywatne źródła informacji podpowiadały, że sprawców należy szukać tam, gdzie swoje korzenie miał mistrz Shavo. A mianowicie w Polsce. Tylko że same przeczucia

detektywa nie przekonały prokuratora z Allentown, a nie mógł w żaden sposób ich potwierdzić. Sprawa pozostała więc zamknięta. Rafał nie chciał dać za wygraną i na własną rękę postanowił dociec prawdy. W takich sprawach jego szósty zmysł rzadko go zawodził, zwłaszcza gdy jakiś problem nie dawał mu spokoju. Przekonany zatem, że klucz do rozwiązania zagadki czeka na niego w jego ojczystym kraju, podjął decyzję, że ów klucz zdobędzie. I postawił to sobie za punkt honoru. Zanim jednak zdecydował się na przyjazd do Polski, poprosił o pomoc Maksa.

Mężczyzna w zielonym T-shircie przeszedł obok rozbawionej grupki młodych ludzi, nie zwracając na nich uwagi. Maks przeciwnie. Zwolnił, gdy ich mijał, z ciekawością wsłuchując się we fragmenty ożywionej dyskusji o świeżo zdanych egzaminach i ocenach.

*No tak, sesja – pomyślał. – Kiedy to było?*

Gdy zorientował się, że rozmawiają o politechnice, poczuł nagle w ustach gorzki posmak. Nie sądził, że po tak długim czasie nazwa tej uczelni może tak na niego podziałać. Widać jednak półtora roku to za krótko, aby zapomnieć o dziewczynie, która tu studiowała. Ich związek nie przetrwał jednak próby czasu. Wystarczyło, że Maks wyjechał na trzy miesiące do Stanów, a nie miał już do kogo wracać. Karolina, choć zapewniała, że będzie umierać z tęsknoty, szybko znalazła pocieszenie w ramionach innego mężczyzny, zaszła w ciążę i wyszła za mąż...

Nie chciał teraz o tym myśleć.

Dogonił wzrokiem chłopaka w zielonej koszulce i przyspieszył kroku. Ale wspomnienie tamtych wydarzeń nie dawało mu spokoju. Każdy skrawek tego parku kojarzył mu się z Karoliną. Kochał ją wtedy. Przez dwa lata przychodzili tu codziennie, całowali się niemal na każdej ławce, jedli lody w tej kawiarni. Odruchowo spojrzął na ciąg stolików ustawionych wzdłuż parkowej alejki. Niewiele tu się zmieniło. Może tylko dostawiono więcej krzeseł i kolorowych parasoli. Karolina zawsze wybierała stolik najbliżej budki. Mówiła o nim: najbardziej intymny punkt. Wtedy śmiał się i przekonywał ją, że co jak co, ale na punktach intymnych to on zna się lepiej. Teraz to miejsce było również zajęte. Maks wytężył wzrok, aby przyjrzeć się siedzącej tam parze. I zdębiał. Czy to naprawdę była Zuzanna Kostecka? Ta sama, którą poznał w pociągu i którą jeszcze niedawno pijaną odwoził do domu? Intrygująca pani bankowiec i seksowna malarka? Tak. Nie miał wątpliwości. To była ona. Dziewczyna, o której Filip mówił, że prędzej zostanie zakonnica, niż zwiąże się na stałe z jakimś facetem. A tymczasem Zuzanna jadła lody w towarzystwie młodego elegancika, który nie dość, że patrzył na nią jak w obrazek, to jeszcze trzymał ją czule za rękę. Czyli miała kogoś. Na szyi Maksa zaczęła gwałtownie pulsować żyła, a w jego stalowoszarych oczach błysnął gniew. I wszystko za sprawą dziewczyny, która nie była mu obojętna.

Zaskoczony i zazdrosny, o mało nie zgubił z pola widzenia chłopaka w zielonym. Oderwał wzrok od kawiarni i rozejrzał się. Chłopak zatrzymał się pod budynkiem politechniki i zapalił papierosa. Najwyraźniej czekał na kogoś. To pozwoliło Maksowi szybko oszacować sytuację. Miejsce, gdzie stał, nie było dobrym punktem obserwacyjnym. Obszedł więc kawiarnię z drugiej strony, kupił w kiosku gazetę i usiadł na ławce między drzewami, skąd mógł widzieć chłopaka pod politechniką i Zuzannę. Patrzył raz w jedną, raz w drugą stronę, dłużej przytrzymując wzrok na dziewczynie. Choć nie chciał w tej chwili zgłębiać swoich uczuć, jej widok go drażnił i nie pozwalał skoncentrować się na zadaniu, które go tu przyprowadziło. Żyła na szyi pulsowała coraz mocniej.



Zuza fascynowała go od chwili, gdy ją poznał. Była dumna i uparta, impulsywna i seksowna. Piękna kobieta, której los nie oszczędził cierpienia, a mimo to dawała sobie radę w życiu, godząc obowiązki zawodowe i domowe. W chwilach zaskoczenia była nieprzewidywalna i biedny ten, kto stał jej wówczas na drodze. Ale tamtej nocy na werandzie była jak mruczająca kocica pełna zmysłowej kobiecości, spragniona dotyku i pieśczoł, choć na trzeźwo wydawała się niedostępna. I właśnie ta niedostępność działała na Maksa jak magnes, pobudzając w nim pragnienie, by być z nią jak najbliżej. Chciał się nią opiekować, chciał się z nią kochać, chciał z nią być. Burzliwy związek z Karoliną, którego finał bynajmniej nie napawał go dumą, już dawno odesłał w niepamięć. Teraz była Zuzanna. Piękna, nieodgadniona i... zajęta. Cholera jasna!

Żeby o niej nie myśleć, sięgnął do kieszeni po i-phona i jeszcze raz przeczytał mejla od Rafała.

*Obserwuj galerię na Mokotowie. Jej właścicielem jest Mieczysław Spychacz. Policja podejrzewa go o paserstwo, ale do tej pory niczego mu nie udowodniono. Sprawdź, kto do niego przychodzi i z kim współpracuje. Jeśli kogoś podejrzewasz, wiesz, co robić. Muszę wiedzieć o wszystkich, którzy są zamieszani w tę sprawę.*

*Powodzenia!*

*Raf.*

Maks wyjął mały aparat fotograficzny i dyskretnie skierował obiektyw na obserwowanego chłopaka. Podkręcił zoom i zrobił kilka zdjęć, po czym załączył je do poczty i przesłał Rafałowi. Nie mógł się oprzeć, aby pstryknąć też kilka fotek Zuzannie. Wtedy zauważył, że dziewczyna wstała, jakby sygnalizując zakończenie spotkania. Pożegnała się tylko uściskiem dłoni. Bez czułości, bez pocałunku. Była smutna. Może właśnie się rozstali? Oby! Maksymilian uśmiechnął się pod nosem i wzrokiem odprowadził ją do samochodu, podziwiając jej zgrabne nogi na wysokich szpilkach, w których dziś radziła sobie perfekcyjnie.

Zuza włączyła silnik i odjechała, lecz Maks jeszcze przez kilka długich chwil patrzył w tamtym kierunku. Z zamyślenia wyrwało go dopiero piknięcie i-phona. To była wiadomość z komputera Rafała, że poczta została dostarczona. Okej! Teraz należało zająć się obserwowanym obiektem.

*A kogóż my tu mamy? – Maksymilian nagle zmarszczył brwi na widok człowieka podającego rękę chłopakowi w zielonym T-shircie. – No proszę! Kto by się spodziewał?*

Tym osobnikiem był nie kto inny, tylko sam elegancik, który jeszcze przed paroma minutami ślinił się do Zuzanny. Maks poczuł, że puls mu przyspiesza, odruchowo włączył aparat i ponownie zaczął pstrykać zdjęcia. Zdenerwowany nie umiał zebrać myśli. Zaczął się zastanawiać, co Zuza może mieć wspólnego z tymi ludźmi. Pomaga im? Wilkowski szukał fałszerzy obrazów. A może to ona robi kopie? Przecież był u niej w domu i widział, że maluje. A może ją szantażują? Albo ona ich? Nie znał jej przecież. I jeszcze ten facet z banku, ten, którego mijał w drzwiach. W tej chwili tyle domysłów szalało w jego głowie, na próżno szukając sensownego wytłumaczenia. Im więcej ich było, tym bardziej Maks niepokoił się o Zuzannę.

*Dziewczyno! W co ty się wpakowałaś?*

Zuzanna nie mogła wytrzymać wewnętrznego napięcia. Myślała, że zwariuje. Cały czas dręczyło ją przeświadczenie, że źle zrobiła, nie wykładając kart na stół. Dlatego po spotkaniu

z klientem postanowiła wrócić na uczelnię. Miała tylko nadzieję, że zostanie tam jeszcze Kacpra. W końcu nie było jej raptem czterdzieści minut. Nie miała pojęcia, ile czasu może trwać egzamin z matematyki, ale łudziła się, że zdąży. Musiała porozmawiać z bratem. Musiała mu powiedzieć.

Pod politechniką nie miała gdzie zostawić samochodu. Jej poprzednie miejsce okupował już czerwony ford z rysą ciągnącą się przez całą szerokość drzwi. Wzdrygnęła się na ten widok, bo sama nie chciałaby ujrzyć takiego szlaczka na swojej karoserii.

Miejscówkę znalazła sto metrów dalej. Parkując, zahaczyła o słup i złożyła prawe lusterko. Szlag by to! Ale nie miała ochoty sprawdzać, czy zostało uszkodzone. Trzasnęła drzwiami, podbiegła na uczelnię i wmieszała się w tłum studentów. Rozglądała się nerwowo. Ludzie przeciskali się przez drzwi, wchodzili do budynku i wychodzili z niego, tłoczyli się na schodach. A ona pośród nich.

*Zuza, opanuj się – próbowała przywołać spokój. – W ten sposób nigdy go nie znajdziesz. Po prostu do niego zadzwonić.*

Wyciągnęła telefon. Hałas potęgował jej irytację. Nie pozwalał słyszeć własnych myśli, a co dopiero sygnału z przyciśniętej do ucha słuchawki. Wtedy ktoś chwycił ją za ramię. Wyszarpnęła je gwałtownie i odwróciła się.

– Cześć! Kogo szukasz?

– Ciebie – odparła lekko zmieszana. – Jak ci poszło? Do przodu?

– No chyba! – odpowiedział dumnie Kacper. – Ten przedmiot to moja specjalność. Mówiłem, że nie ma się czym przejmować. Choć oczywiście miło mi, że poczekałaś.

– Wiem, że nie masz czasu – zająknęła się – ale zajmę ci tylko chwilkę. Straszny tu hałas. Odprowadzisz mnie na parking?

Kacper spojrzał z zaciekawieniem i kiwnął głową. Przeszli kawałek w milczeniu. Pierwsza odezwała się Zuzanna:

– Chciałam ci coś powiedzieć – zaczęła niepewnie, gdy mogli już swobodnie rozmawiać. – Już dawno powinnam to zrobić, ale nie miałam odwagi – dodała skruszona.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, dlaczego zwlekałam tyle czasu. – Zatrzymała się, spuszczać głowę. – I nadal jest mi trudno.

Jej serce tłukło się tak mocno, że niemal sprawiało ból. Gdy spojrzała na Kacpra, czuła na twarzy wypieki. Nie wiedziała, czy to wstyd czy nerwy. A może jedno i drugie?

– Chodzi o to, że... – urwała, szukając w myślach odpowiednich słów. – To znaczy... ty i ja...

– Zuza, bo zaraz zacznę się bać. – Kacper zatrzymał się. – O co chodzi? Dobrze się czujesz?

Nie czuła się dobrze. Gorzej: czuła się podle, wściekła na siebie, że nie potrafi wykrztusić trzech prostych słów: „Jestem twoją siostrą”. Gestem dała Kacprowi znak, żeby poszli dalej.

– Dobra. To od początku. – Próbowała zebrać się w sobie. – Jestem ci wdzięczna za nasze dzisiejsze spotkanie i za wszystko, co mi opowiedziałeś. – Patrzyła na swoje buty. – Cieszę się, że cię poznałam i nie chciałabym, żebyś źle o mnie pomyślał tylko dlatego, że ci nie powiedziałam, że... – znów zawiesiła głos, czując, jak słowa płaczą jej język w marynarski supeł. – Że ty i ja, że ja...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś z tych, co to chodzą na parady równości? – przerwał jej zniecierpliwiony.

– Co? – parsknęła głośno. – O Boże, nie! – Przyłożyła dłoń do skroni i mimowolnie się uśmiechnęła.

– Uf! Kamień z serca. – Odwzajemnił uśmiech. – No to, czego mi nie powiedziałaś? Że jesteś mężatką?

*Siostrą!* – Usłyszała własne myśli.

Czując jednak, że to słowo nie przejdzie jej teraz przez gardło, wyjęła z torebki niebieską kopertę.

– Proszę – podała ją Kacprowi. – To ci wszystko wyjaśni. Przepraszam, że ja nie umiem.

Kacper chciał otworzyć kopertę, ale Zuza go powstrzymała.

– Tam są listy – powiedziała. – Bardzo osobiste. Napisał je ktoś, kogo dobrze znasz. Proponuję, żebyś przeczytał je w jakimś spokojniejszym miejscu.

– Rozumiem, że teraz nie powiesz mi, czego dotyczą?

– Po prostu je przeczytaj. – Zuza zasunęła torebkę. – I zadzwoń, jeśli będziesz miał jeszcze ochotę ze mną rozmawiać.

Pożegnała się i odeszła. Czowała, że Kacper odprowadza ją wzrokiem. Nie odwróciła się. Szła jak automat w kierunku swojego samochodu, coraz bardziej pogrążając się w emocjach, do których jej rozum nie miał dostępu. Nie mogła pojąć, dlaczego zachowała się wobec Kacpra w tak irracjonalny sposób. Wydało jej się, że on cały czas na nią patrzy. Czowała na sobie spojrzenie, jakby ktoś próbował rozebrać ją z jej własnych myśli. To było irytujące. Czy ten chłopak musi to robić? Czy naprawdę nie interesuje go, co jest w tych listach? Nie wytrzymała i obejrzała się do tyłu. Ale Kacpra już tam nie było. Czyżby jej własna wyobraźnia żartowała sobie z niej? Westchnęła ciężko. Ten dzień powinien już się skończyć. Pulsujący ból głowy był tego wystarczającym dowodem.

Lecz cóż z tego, kiedy dzień wcale nie miał zamiaru się skończyć, ani tym bardziej dać Zuzannie chwili spokoju. Miał ją głęboko w nosie, a to za sprawą faceta, który właśnie stał przy jej samochodzie. Teraz zrozumiała, że to nie wzrok Kacpra czowała na plecach.

– Co tu robisz? – zapytała bez zbędnej kurtuazji, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu kluczyków. Nie łudziła się, że szybko je znajdzie. Przy tym człowieku nawet prosta czynność była skomplikowana.

– Przechodziłem, poznałem twoje auto, zobaczyłem złamane lustro, pomyślałem, że pomogę.

– Złamane? Miałam wrażenie, że tylko je złożyłam. – Zuza podrapała się po głowie z bezradną miną, po czym dodała obojętnie. – Trudno. Oddam do naprawy. Mechanik też człowiek, musi z czegoś żyć.

– Nie możesz tak jeździć po mieście.

– Mogę. – Wyjęła kluczyki i pilotem odblokowała zamki. – Mam jeszcze dwa inne. Do domu jakoś dojadę.

Chciała chwycić za klamkę, ale Maks ją ubiegł. Otwierając drzwi, niechcący wytrącił jej kluczyki z ręki.

– Ups, przepraszam. – Przykucnął, by je podnieść.

Ponieważ ona też po nie sięgnęła, ich twarze znalazły się tuż obok siebie. Piżmowa, kojąca woń delikatnie polechtała jej nozdrza. Na jedną krótką chwilę przymknęła oczy i bezwiednie rozchyliła usta, aby wchłonąć tę nieznaną moc jak powietrze, bez którego nie mogła oddychać. I zanim zrozumiała swój nieopatrzny gest, poczuła smak ust Maks'a i jego ciepłą dłoń na swoim karku. Namiętny pocałunek pobudził jej uśpione zmysły. Zapragnęła, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. Świadomość jednak była silniejsza. Podziałała jak sole trzeźwiące, otwierając jej oczy i odrywając usta od pocałunku.

– To ja przepraszam. – Zakłopotana podniosła się na zdrętwiałych nogach i nie patrząc na Maks'a, wsiadła do samochodu. Wsparła łokcie na kierownicy i objęła dłońmi twarz. Jak bardzo teraz chciała znaleźć się w domu, by w jego zaciszu móc wyrzucić z siebie ciężkie emocje, które nie pozwalały jej jasno myśleć. Odruchowo sięgnęła ręką do stacyjki.

– Tego szukasz? – Maks zajął miejsce pasażera i zadzwonił kluczykami.

– Dzięki. – Uruchomiła silnik, który szarpnął i po chwili zgasł. Spróbowała znowu. To samo. Wtedy poczuła bezsilność i napływające do oczu łzy, z którymi nie umiała już walczyć. Odchyliła głowę do tyłu na siedzenie i pozwoliła słonym stróżkom swobodnie płynąć po policzkach.

– Zuza? – Maks troskliwie pogładził ją po włosach. – Źle się czujesz? Mogę ci jakoś pomóc?

– Tak. – Przymknęła oczy. – Wsiądź i zostaw mnie w spokoju.

– Nie powinnaś prowadzić w tym stanie.

– Nie jestem pijana, tylko... – Przetarła dłonią mokrą twarz. – Tylko boli mnie głowa. Zaraz przejdzie. Idź sobie.

Maks poprawił zagłówek i oparł się wygodnie.

– To ja poczekam, aż ci przejdzie i odwiozę cię do domu.

– Zbytek łaski. Jak mi przejdzie, dam sobie radę sama. – Przyłożyła dłonie do pulsujących skroni i zamknęła oczy.

– Często tak masz? – zapytał, odwracając się w jej kierunku.

– Tylko wtedy, gdy ktoś mnie wkurzy. – Ironiczna odpowiedź, która była odrobinę zmodyfikowaną prawdą, zdziwiła ją samą. – Czyli rzadko – dodała po chwili.

– Czyżbym to ja był tym szczęśliwcem?

Nie odpowiedziała.

– A może ten facet, z którym przed chwilą rozmawiałaś? – Badawczo spojrzał jej w oczy. – To twój chłopak?

– Śledzisz mnie? – Odgryzła się, nieświadoma trafności swojego pytania.

– Mam oczy. Przechodziłem, więc widziałem.

– Kacper nie jest moim chłopakiem.

– Ale to przez niego jesteś zła, zgadłem?

Istniała tylko jedna osoba, do której Zuzanna mogła mieć pretensje o swoją niedyspozycję. Tą osobą była ona sama.

– Myślał, że jestem lesbijką – wyrwało się jej i te słowa ją rozbawiły. Najwyraźniej Maksa również.

– Ty? – Roześmiał się. – A co mu zrobiłaś? Obściskiwałaś się na jego oczach z drugą dziewczyną?

Zuza milczała, nie odrywając wzroku od sufitu.

– Jeśli tak, to jestem pod wrażeniem. Dobry pomysł, żeby amanta pozbawić złudzeń. Z daleka było widać, że do ciebie nie pasuje.

– Bo nie może pasować – odpowiedziała mimowolnie, na powrót zagłębiając się w myślach.

– Rozumiem, że twój sposób nie poskutkował i dlatego jesteś zła. – Maks nie przestawał snuć domysłów. – Nie przejmuj się. Jeśli chcesz, bardzo szybko wybiję mu ciebie z głowy. Tylko powiedz, a przestanie być namolny.

– Nie ma potrzeby. – Zrezygnowana Zuza położyła ręce na kierownicy. – Przed chwilą skutecznie go do siebie zniechęciłam.

– Źle ci z tym?

– Nieważne. – Spojrzała na niego obojętnie i włączyła silnik. – Lepiej wysiądź. Nie jadę w twoją stronę.

Rozmowa zmierzała w niewłaściwym kierunku, więc należało ją jak najszybciej zakończyć. Inaczej musiałyby opowiedzieć Maksowi całą historię, a na to nie miała siły ani ochoty. Może kiedyś mu się zwierzy, ale na pewno nie dziś. Poza tym jego obecność nie pomagała w racjonalnym myśleniu, które teraz było jej bardzo potrzebne.

*Tylko czy ty jeszcze potrafisz myśleć racjonalnie?* – zapytała się w duchu.

– Na pewno nie chcesz pogadać? – usłyszała.

Jego natręctwo spotęgowało w niej złość.

– Zajmij się swoimi sprawami i daj mi spokój, Maks – rzuciła gniewnie. – Nie masz nic lepszego do roboty? Musisz pastwić się nade mną?

– Okej, przepraszam – ustąpił po chwili. – Już mnie nie ma.

– Cieszę się, że rozumiesz. – Uśmiechnęła się lekko. – Zawsze to jeden minus mniej na twoim koncie.

– Mam tylko małą prośbę. – Zrewanżował się uśmiechem i troskliwie pogładził rękę Zuzanny. – Zrobisz coś dla mnie?

– Pod warunkiem, że nie będzie to coś, czego zrobić bym nie chciała.

– Nie wracaj już dzisiaj do pracy. Zadzwoń do banku i weź sobie wolne. – Pociągnął za klamkę. – Jedź do domu i odpocznij. Jutro zobaczysz wszystko w lepszym świetle. – Pożegnał się i wysiadł.

Kacper otworzył niebieską kopertę i wyjął kilka kartek złożonych na pół. Pierwsza była listem, napisanym trochę niedbale, jakby w pośpiechu, pozostałe, sczeplone ze sobą zszywaczem wyglądały jak kserokopie starych dokumentów. Również listów. Lekko pochylone litery ze śmiesznymi zawijasami nagle wydały się Kacprowi znajome. Ale czy to możliwe? Przyjrzał się uważniej i wsparł łokcie na kierownicy. Skąd Zuzanna miała listy pisane przez jego ojca? Odłożył kserokopie na siedzenie obok i zaczął czytać odręcznie zapisaną kartkę.

*Drogi Kacprze!*

*Wiem, że trudno Ci będzie uwierzyć w to, co teraz przeczytasz, dlatego na potwierdzenie dołączam kopie listów, które Twój ojciec pisał do swojego przyjaciela Zygmunta Salkego. Odkąd jestem w ich posiadaniu (maj br.) moje życie wygląda jak samochód po dachowaniu. Nie dziw się zatem proszę, że do tej pory nie potrafiłam wyjawić Ci prawdy. Wierz mi, próbowałam.*

*Domyślasz się pewnie teraz, że nasze spotkanie w Korpniewie nie było przypadkowe. Kiedy od Balbiny Nakoniecznej dowiedziałam się, gdzie mieszkasz, bardzo chciałam Cię poznać. Zabrakło mi jednak odwagi, aby powiedzieć Ci wtedy, kim jestem. Stchórzyłam i teraz źle się z tym czuję. Tylko nasze drugie spotkanie nie było zaplanowane. Wtedy jednak byłam tak zaskoczona, że nawet nie próbowałam Ci nic wyjaśniać. Zresztą sytuacja nie była sprzyjająca.*

*Pozostaje jeszcze dzisiejszy dzień. Myślałam, że jestem dobrze przygotowana do rozmowy. Lecz kiedy pokazałeś mi zdjęcie w swojej komórce, zaniemówiłam. Bardzo dobrze znam kobietę z obrazu. Wszędzie rozpoznałabym jej twarz, nawet na ekranie małego telefonu. To twarz Poli Blichacz, obecnie Kosteckiej.*

*Z listów dowiesz się, co łączyło ją z Twoim ojcem. Ich związek trwał zaledwie półtora roku, ale uczucia były wystarczająco silne, żeby pozostać w ich sercach na długie lata.*

*Zapytasz teraz, dlaczego nie powiedziałam Ci o tym w kawiarni? Otóż najpierw powodem był Twój egzamin. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś go przeze mnie nie zdał. A potem zabolaty*

*mnie Twoje słowa, gdy mówisz, jakie uczucia kojarzą Ci się z tą kobietą.*

*Ty jej nienawidziłeś, a ja ją kocham!*

*Bo musisz wiedzieć, że Pola Kostecka to moja matka*

– Oj, Zuza! – westchnął Kacper, wkładając wszystkie kartki z powrotem do koperty. – Całe zamieszanie o takie pierdoły?

Odpalił silnik i ruszył w stronę domu, starając się zgłębić zawilóść kobiecej psychiki. Boże! Czy nawet Zuzanna musiała należeć do tych dziewczyn, które nie potrafią powiedzieć wprost, o co chodzi, tylko będą kluczyć i gmatwać sobie życie informacją o marnej wartości sensacyjnej? Bo cóż z tego, że jej matka i jego ojciec byli kiedyś kochankami? Zdarza się! Owszem, wiadomość może zaskakująca, ale to trzeba było powiedzieć bez owijania w bawełnę. A nie, żeby potem człowiek się głowił i snuł domysły. Tylko wkurzyć się można.

Tylko że Zuzanna, mimo wszystko, wkurzająca nie była. Wręcz przeciwnie. Kacper czuł, że między nimi zaczyna iskrzyć i ta myśl sprawiła mu przyjemność. Niechybnie historia zatoczyła krąg. Jeśli ojciec kochał jej matkę, to czemu Kacper nie mógłby kochać Zuzanny? Tylko dlaczego Zuza dawała mu do zrozumienia, że nie mogą być razem? A może to jej kolejna sztuczka, żeby zwrócić na siebie uwagę? Cokolwiek to było, Kacper był wdzięczny losowi, że postawił tę dziewczynę na jego drodze.

## ROZDZIAŁ XV

Maksymilian stał przy samochodzie Zuzanny i zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zostawiając ją samą. Auto bez lusterka i jej dziwne zachowanie nie wróżyły nic dobrego. Przypuszczał, że wkurzyło ją coś więcej niż nazwanie jej lesbijką przez młodego elegancika. Bo i cóż to za obelga? No, chyba że Zuza miała obsesję na punkcie swojej seksualności. Czuł, że to za sprawą Kacpra Zuza tak się rozkleiła. Była za bardzo dumna, aby rozplakać się z byle powodu, zwłaszcza przy Maksie. Ten cholerny gówniarz zrobił lub powiedział coś, co ją zabolowało. Maks poczuł do niego niechęć już trzy sekundy po tym, jak zobaczył go z Zuzanną w kawiarni i teraz z ochotą zrobiłby mu z tyłka kuper bażanta po przejściach. Cokolwiek by to miało znaczyć.

Na chwilę wrócił myślami do pocałunku. Był krótki, ale nasycony takim erotyzmem, że na samo wspomnienie poczuł ucisk w spodniach. Co ta kobieta z nim robi? W co gra? Dlaczego najpierw go odpycha, a potem prowokuje? Chociaż nie znał odpowiedzi na te pytania, miał ogromną ochotę na więcej takich prowokacji.

Tymczasem Zuzanna, nie zwracając uwagi na Maksa, wrzuciła wsteczny bieg i spojrzała za siebie. Silnik ibizy zawył donośnie, zachęcony silnym naciśnięciem pedału gazu, zaskowyczał i zgasł. Maks spojrzał na Zuzę z troską. Dziewczyna ewidentnie nie powinna dziś prowadzić. Westchnął głośno i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Wsiadaj – nakazał. – Nigdzie nie pojedziesz.

– Przecież nic wielkiego się nie stało – broniła się. – Zapomniałam tylko o hamulcu ręcznym.

– Następnym razem zapomnisz o nożnym. – Podał jej rękę. – Przesiądź się. Zawiozę cię do domu.

Próbowała protestować, ale na nic się to zdało. Był uparty. Zajęła więc miejsce pasażera i obrażona odchyliła głowę na oparcie.

Zanim znaleźli się na Wisłostradzie, upłynął dobry kwadrans, a między nimi nie padło nawet pół słowa. Co jakiś czas Maks ukradkiem spoglądał na Zuzannę. Myślał, że zasnęła, ale ona jakby nieobecna duchem, gapiała się bezmyślnie na drogę. Maks wiedział, że coś ją trapi i usilnie doszukiwał się przyczyny. Intrygowała go niebieska koperta, którą Zuza dała Kacprowi. Co w niej było? List pożegnalny? Wskazówki? Jedna natrętna myśl nie dawała Maksowi spokoju: czy ta dziewczyna rzeczywiście może być związana z szajką fałszerzy i przemytników obrazów?

– Niezły korek – zagadnął. – W takim tempie i za godzinę nie dotrzemy do Arabelina.

– Nikt ci nie kazał mnie odwozić – naburmuszyła się Zuza. – Zawsze jeszcze możesz oddać mi samochód i wrócić taksówką.

– Miałbym zrezygnować z prowadzenia twojego auta? Nie ma mowy!

– A cóż w nim takiego nadzwyczajnego? – zapytała z kpiną w głosie. – Ot, zwyczajny stary samochód. Ty masz lepszy.

– Nie taki znowu zwyczajny – upierał się Maks. – Sto pięćdziesiąt koni pod maską robi wrażenie.

– Niestety potrafi odmówić posłuszeństwa w najmniej odpowiednim momencie.

– Pamiętam gumowy kapturek – zaśmiał się Maks.

– Dla mnie to nie było zabawne. – Rozchmurzyła się nieco. – Wtedy miałam ochotę zepchnąć samochód do Wisły.

– Bo zrobił ci maleńkiego psikusa? – Maks stanął w obronie ibizy. – No widzisz malutka, co ta twoja pani wyprawia? – Pieszczotliwie pogładził deskę rozdzielczą. – Dobry samochodzik, dobry.

– Wcale nie taki dobry – odparła. Maks wyczuł, że jest już mniej zdenerwowana. – Kiedyś zimą odwalił mi niezły numer.

– Samochodziku, co zrobiłeś swojej pańci? Przyznaj się.

Wreszcie zobaczył uśmiech Zuzanny, choć jeszcze starała się go ukrywać. Rozluźniła się trochę. I o to mu chodziło. Nie trzeba było też długo jej namawiać, aby opowiedziała mu o tym numerze.

Ibiza była wyposażona w instalację gazową, z powodów oczywiście czysto ekonomicznych, bo silnik ciągnął jak smok, nawet czternaście litrów zwykłego etylowego napoju. W baku jednak, na wszelki wypadek, trzeba było wozić trochę benzyny, ponieważ o tym, że gaz się skończył, wiadomo było dopiero wtedy, gdy się właśnie skończył. Zuzanna najczęściej miała tyle benzyny, aby tylko zgasić drażniące oczy i portfel czerwone światełko rezerwy.

Pewnego zimowego wieczoru, na jednym z warszawskich mostów, Zuza jechała sobie dziewięćdziesiątką środkowym pasem. W pewnym momencie musiała się przełączyć na



paliwo z oryginalnego baku, dlatego że to w bagażniku pod kołem zapasowym właśnie się skończyło. Samochód lekko szarpnął, co akurat było jego fizjologicznym odruchem, ujechał kilkaset metrów i ni stąd, ni zowąd, zaraz po zapaleniu się czerwonego żebraka na desce rozdzielczej, odmówił posłuszeństwa. Zuza roztropnie włączyła światła awaryjne i wyczekiwała zbawienia. Bała się wysiąść, aby przypadkiem nie stracić drzwi, które niechybnie mogłyby zostać porwane przez rwący potok opływających ją ze wszystkich stron samochodów. Niestety, nikomu z tych umiejących jedynie trąbić baranów, nie chciało się zatrzymać i chociaż pomóc zepchnąć ibizkę ze środkowego pasa, aby nie była przeszkodą i pośmiewiskiem dla innych. No cóż! Ciepłej i weselej było drzeć klakson i rzeć na widok kretynki, która pewnie prawo jazdy dostała za długie nogi i dekolt do pasa.

Na szczęście w dobie telefonów komórkowych łatwiej jest sobie radzić ze złośliwością rzeczy martwych. Rodzice akurat gościli w Arabelinie, więc zadzwoniła do ojca, który obiecał przyjechać najszybciej, jak się da, czyli co koń wyskoczy, innymi słowy – za godzinę.

Zbawienie jednak było od niego szybsze. Podjechało sobie cichutko pod postacią zielonego seicento, stanęło obok na prawym pasie, żeby jeszcze bardziej wnerwić trąbiących baranów i zamigotało awaryjnymi. Wystawiona przez otwartą szybę od strony kierowcy litościwa ręka energicznie umieściła na dachu połyskującego koguta. Po chwili wyłonił się sam kierowca. Wyciągnął z bagażnika odblaskową zieloną kamizelkę z miłosiernie brzmiącym napisem „RATOWNIK”, podszedł do Zuzanny i zapytał, w czym może pomóc.

*Dzięki, Ci, panie Boże, bo nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła* – podniosła oczy ku niebu.

Pan ratownik błyskawicznie zdiagnozował, że przyczyną jest brak paliwa, chociaż Zuzanna była dokładnie przeciwnego zdania, i zaproponował holowanie do najbliższej stacji benzynowej, to znaczy około pięciuset metrów dalej. Pan ratownik nie znalazł w swoim samochodzie linki holowniczej.

– Widać musiałem ją komuś pożyczyć – powiedział zawiedziony. – A może pani ma?

– Wydaje mi się, że powinna być – odpowiedziała po chwilowym zastanowieniu. – W bagażniku.

Mężczyźnie nie udało się jednak dostać standardową drogą do kufra ibizy, bo tamten się zawział i zamarzł. Był to jednak ratownik pomysłowy, więc wlaź tam przez tylne siedzenie. Zuzanna aż parsknęła, kiedy zobaczyła niebieskie skarpetki upstrzone tuzinem pływających kaczorów. Poza tym miała wrażenie, że jej kochane autko pożera gościa niczym wyposzczony wieloryb, z zadowoleniem trząchając fiszbinami rolet na podmarzniętej tylnej szybie. Nic jednak nie dała ta gimnastyka. Facet nie znalazł linki.

– Pani wsiada za kierownicę – nakazał. – Jest lekko z górki, do stacji niedaleko, więc się pani tam poturla.

Zuzanna zrobiła, jak polecił, a gdy ibiza nie chciała się sama toczyć, co chwilę z niej wyskakiwała, chwytając za kierownicę i próbowała sama pchać. Musiało to wyglądać komicznie: dziesięciocentymetrowe szpilki, długi płaszcz z czerwonym lisem na kołnierzu i mróz minus piętnaście. Dobrze, że sama się nie widziała. Pan ratownik przez pewien czas asystował, jadąc za nią żółwim tempem, potem, nie mogąc chyba zdzierżyć tej prędkości, postanowił w końcu, zderzak w zderzak, zapchać ibizę na stację. Cała akcja trwała ponad

godzinę.

Zapchnięta pod najbliższy dystrybutor, zatankowała za jedyne dwadzieścia złotych, jakie miała wtedy przy sobie. Samochód jednak nie zareagował na kopniak zapłonu. Okazało się, że z wycieńczenia – zapalone światła, mrugające awaryjne i włączona dmuchawa – padł akumulator. No, to co? Na popych! Z pomocą przyszedł jeszcze chłopak z obsługi stacji. Kiedy odsunęli ibizę od dystrybutora, w miejscu, na którym przed chwilą stała, pokazała się sporej wielkości plama benzyny. Za całe dwie dychy.

Taki tam maleńki drobiażdżek – poszedł przewód paliwowy. Dobrze, że zaraz ojciec przyjechał z linką holowniczą.

– I tyś to, ibizko droga, uczyniła? – Maks pokręcił głową z dezaprobatą. – No to rzeczywiście powinnaś się wstydzić. Najważniejsze jednak, że twojej pani poprawił się humor. – Ponownie pogładził deskę rozdzielczą. – Tylko zaklinam cię na trząchające fiszbiny! Nie rób tak więcej.

Wreszcie znaleźli się pod domem Zuzanny. Otworzyła pilotem bramę i Maks wstawił samochód do garażu.

– Ciekawe tylko, jaki humor będzie miał pan kierowca, kiedy przyjdzie mu autobusem wracać do Warszawy? – Zuza wykrzywiła usta w nienaturalnym uśmiechu. Zaprosiłabym cię na kawę, ale nadal boli mnie głowa. – Pomasowała dłońmi skronie.

– Połóż się i odpocznij. – Maks oddał jej kluczyki od samochodu. – I tak miałem sprawę do Filipa.

– Dzięki za podwiezienie. – Zuza wyciągnęła do niego rękę.

Maks podszedł bliżej i spojrzał jej w oczy. Zastanawiał się, czy znów go sprowokują. Podświadomie czekał na to. Ale zobaczył tylko zmęczenie. Ucałował jej wyciągniętą dłoń i na chwilę przycisnął do swojej piersi. Nie zareagowała. Spróbował pocałować ją w usta, ale Zuza odwróciła głowę. Zdażył tylko musnąć jej policzek.

– Odpoczywaj – powiedział na pożegnanie.

Zuza zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Nie miała zamiaru nikogo już wpuszczać do domu i z nikim też nie chciała rozmawiać. Nie dziś. Zrzuciła pantofle i niedbale kopnęła je w kąt korytarza. Nogi same zaprowadziły ją do barku. Uznała, że w tym stanie nie warto marnować tabletek przeciwbólowych, bo i tak by nie pomogły. Nałała do szklanki trochę wódki, rozcieńczyła ją lekko tonikiem i chlapięła sobie zdrowo. Emocje! Za dużo emocji!

Jej umysł był mocno przeciążony i wymagał natychmiastowej regeneracji. Wyciągnęła się więc na kanapie i zamknęła oczy. Sen! Niech przyjdzie sen! Niech zresetuje wszystkie problemy, zdefragmentuje dysk i oczyści głowę z niepotrzebnych myśli. Tylko czy będzie wiedział, które pliki to śmieci? Nadarzewski? Młody Wołoszyc? Czy Symertowicz?

Aleksandra traktowała jak dobrego kolegę, który nawet jeśli był nią zainteresowany, sprawiał wrażenie niegroźnego. I raczej nie podejrzewała go o nieczne zamiary, jak sugerowała Olga. Nie chciało jej się wierzyć w to, co mówiła o nim masażyстка. A jeśli oszukał bank, no cóż, będzie musiała z nim o tym porozmawiać. Sprawę na pewno da się jakoś wyjaśnić. Aleks wydawał się sympatyczny, choć czasem w jego towarzystwie Zuzanna odczuwała niepokój.

Niewielki. Tylko chwilami. A może to kolejne złudzenie? Potrzebny był jej jednak do rozwiązania zagadki zniknięcia jej biologicznego ojca. Zuza wierzyła, że jeśli Nadarzewski doprowadzi ją do Masza, stamtąd będzie już tylko z górki. Wiedziała, że Ryszard Wołoszyc nigdy nie będzie takim ojcem jak Grzegorz Kosteki, lecz podświadomie czuła, że jeśli go odnajdzie, przywróci to jej równowagę, pozwoli zrozumieć samą siebie, swoje malarstwo, wyciszyć duszę.

Kacper natomiast był jej bratem, w którym chciała znaleźć przyjaciela. Tymczasem coraz bliższa była wrażeniu, że ten chłopak ją znienawidzi, tak jak przez lata nienawidził twarz jej matki.

A Maks? No właśnie! Kim dla niej był Maksymilian Symertowicz? Zuza dotychczas myślała o sobie, że potrafi twardo stąpać po ziemi, a tymczasem coraz częściej zdawała sobie sprawę, że jest bezsilna i słaba. Przy Maksie czuła się jak mały ptaszek, który potrzebuje domu i nieświadomie doszukiwała się schronienia pod dachem jego czułości. Poetycko i wzniośle. Rozum natomiast nakazywał wstrzeźliwość, zabraniał miłości, jakby można było delektować się nią tylko raz w życiu. A gdy się ją straci, nie wolno szukać następnej.

– Bo nie wolno!

Z łomoczącym sercem podniosła się nagle z kanapy, sama zdziwiona siłą, z jaką wypowiedziała te słowa. Oddychała ciężko, a ból w skroniach pulsował coraz mocniej. Przez chwilę Zuza pomyślała o kolejnym drinku, lecz gdy spojrzała na otwartą butelkę wódki, skrzywiła się z niesmakiem. Nie tędy droga! Machinalnie przesunęła wzrok na sztalugę, gdzie cały czas stał obraz, w którym Maks, zamiast kobiety z burzą czerwonych loków, dostrzegł barszcz ukraiński. Że też takie głupie skojarzenie przyszło mu do głowy. Patryk nigdy nie naśmiewał się z jej malowideł. Wiedział, jak ważna w życiu Zuzanny była sztuka i choć sam nie zawsze ją rozumiał, przynajmniej starał się ją docenić.

Myśl o Patryku przywołała wspomnienia. Jak bardzo Zuza za nim tęskniła. Jak bardzo pragnęła go teraz zobaczyć. Bez namysłu pobiegła do sypialni, przystawiła krzesło do szafy i z najwyższej półki wyciągnęła pudełko ze starymi zdjęciami. Dawno ich nie oglądała. Położyła się na łóżku i zdjęła kartonowe wieczko.

Na samym wierzchu leżała drewniana ramka przepasana kirem. Zuza z czułością przytuliła ją do policzka i zaczęła się kołysać.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – szepnęła przez łzy. – Było nam dobrze razem, pamiętasz? Mieliśmy się pobrać. Cieszyłeś się, że zostaniesz ojcem. Mówiłeś, że nigdy nie przestaniesz mnie kochać, pamiętasz? Ja nie przestałam. – Spojrzała na mokre od łez zdjęcie i przetarła je rękawem. – Co ci zrobiliśmy, że nas zostawiłeś? Mnie i Łukasza! – zapytała z wyrzutem.

Długo wpatrywała się w uśmiechniętą twarz, na próżno wyczekując odpowiedzi.

– Łukaszek jest bardzo do ciebie podobny. – Delikatnie pogładziła palcami zdjęcie. – Ma twoje oczy i nos. Nawet uśmiecha się tak samo jak ty. Patrzyć czasem na niego? To już taki duży chłopczyk. I tak bardzo potrzebuje ojca. – Zamyśliła się na chwilę. – Szkoda, że nigdy cię nie pozna.

Zuza gwałtownie zatęskniła za synkiem. Nie widziała go od tamtego dnia, gdy bez słowa wyjaśnienia opuściła dom rodziców. Rozmawiała z nim co prawda wczoraj przez telefon, kiedy

był u Herców, ale to przecież nie to samo, co usłyszeć na żywo jego słodkie szczebiotanie i poczuć jego bliskość w swoich ramionach. Brakowało jej tego teraz.

Co roku na jeden miesiąc wakacji odwoziła go do rodziców, ponieważ w tym czasie przedszkole było nieczynne. Ale spędzała z nim wtedy każdy weekend i co najmniej dwa tygodnie urlopu. Jutro piątek, a ona nie pojedzie do Krakowa. Choć tamte emocje nieco opadły, nie była jeszcze gotowa ponownie stawić im czoła. Jednak czy nie powinna powiadomić rodziców o swoim zamiarze wyjazdu do Włoch?

Twierdząca odpowiedź na to pytanie wydawała się nad wyraz zasadna, ale to oznaczało, że Zuza musiałaby zadzwonić, do rodziców, czego unikała ostatnio jak zarazy. Od niewygodnych myśli wybawił ją sygnał przychodzącego SMS-a, który brzmiał: *Cześć! Wysłałem do Ciebie mejla. Kacper.*

Czyżby jednak brat chciał jeszcze z nią rozmawiać?

*Gdyby chciał – pomyślała, wydawszy ironicznie usta – zadzwoniłby, a nie pisał mejla.*

Służbowy laptop uruchamiał się wyjątkowo długo. Zuza miała wrażenie, że w tym czasie zdążyłaby nastawić wodę w czajniku, zrobić herbatę i ją wypić. Od myślenia zaschło jej w gardle, ale nie ruszyła się z miejsca, niecierpliwie czekając na otwarcie poczty.

Ponownie usłyszała telefon.

– Litości! – Nie sprawdzając, kto dzwonił, wyłączyła komórkę. – Dajcie wy mi teraz wszyscy spokój.

*Witaj, Zuzanno!*

*Jeśli chciałaś mi dokopać, to właśnie Ci się udało. Kosztowało mnie naprawdę dużo wysiłku, żeby nie wyzłościwić się na Ciebie przez telefon.*

*Nie będę ukrywał, że jestem wściekły! Rozmawiałem już z ciotką Nakonieczną. Powiedziałem jej krótko, co o niej myślę. Czy ja rzeczywiście wyglądam na człowieka, przed którym trzeba ukrywać prawdę? Sądzisz, że jestem na tyle słaby psychicznie, żeby nie zdać przez to głupiego egzaminu? A może myślałaś, że się załamię, albo jeszcze lepiej: zabiję? Dla Twojej wiadomości, droga Zuzanno: nie jestem samobójcą. Żałuję tylko, że się urodziłem, a to nie to samo.*

*Lubisz, kiedy ktoś, twierdząc, że to dla Twojego dobra, podejmuje za Ciebie decyzje? Nie wydaje mi się! Sama chcesz decydować, kogo znać i z kim się zadawać. A widzisz! Ja również!*

*Niemal całe dzieciństwo spędziłem na poszukiwaniu odpowiedzi, co ojciec miał na myśli, mówiąc, że kiedyś to zrozumie. A wystarczyło powiedzieć prawdę. Tak po prostu! Wielka mi filozofia! Na szczęście Rysiek Wołoszyc już dawno przestał być moim ojcem, więc mam problem z głowy. Równie dobrze może dla mnie nie istnieć. Radziłem sobie bez niego przez wiele lat, więc nie martw się, poradzę sobie i teraz. Z egzaminami również.*

*Przemek dobrze mówił, żeby w cholerę sprzedać obrazy ze strychu i zrobić tam porządek. Byłem głupi, że mu zabraniałem. Wolałem pokłócić się z nim, niż pozwolić mu któregokolwiek*

*dotknąć, naiwnie myśląc, że ojciec kiedyś wróci. A trzeba było pozbyć się ich już dawno. Raz na zawsze! Wszystkich! Z portretem Twojej matki na czele. Albo nie! Jak chcesz, możesz go sobie zabrać. Wisi mi to!*

*Mam rozumieć, że jesteś moją siostrą, Zuzanno?*

*No cóż! Chyba potrzebuję trochę czasu, aby oswoić się z tym faktem.*

*Kacper.*

Zuza odchyliła się na krzesło, długo wpatrując się w ekran komputera. Czyli jednak miała rację: Kacper jej nienawidził. Uważał, że został oszukany. Głównie przez swojego ojca i Balbinę Nakonieczną, ale Zuza poląła jeszcze to ognisko benzyną. Czy powinna dziwić się reakcji brata? A co ona czuła, gdy dowiedziała się prawdy? Skakała z radości? Zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby wtedy w Korpniewie od razu przyznała się, kim jest. Ale czy to gdybanie teraz miało jakikolwiek sens?

Nagle wydało jej się, że ktoś puka w okno. Zignorowała to początkowo, zwalając winę na wiatr i własną wyobraźnię, dopóki nie usłyszała wołania Olgi.

– Zuza, jesteś tam? Jak mi nie otworzysz, wzywam pogotowie!

– Odbiło ci? – zdziwiła się Zuzanna, wpuszczając przyjaciółkę do domu. – Po co ci pogotowie?

– Kochaniutka! Nie odbierasz telefonów, nie odpisujesz na SMS-y, nie reagujesz, gdy dzwonię domofonem – wyliczała z pretensją Olga, i uznawszy, że jej przyjaciółka nie wygląda, jakby potrzebowała ambulansu na sygnale, skupiła uwagę na butach bezładnie porzuconych w korytarzu. Ustawiła je prosto i wróciła do salonu. – Pomyślałam, że coś ci się stało.

– W zasadzie po dniu takim jak ten powinnam jak nic mieć zawał serca – powiedziała Zuzanna zrezygnowanym głosem i włączyła czajnik. – Herbatki?

– Poproszę! – Olga wzrokiem odprowadziła sąsiadkę do kuchni, dostrzegając przy okazji otwartą butelkę wódki. – Mam ją schować czy jeszcze będzie ci potrzebna?

– Jak chcesz. – Zuzanna wzruszyła ramionami. – Chyba że masz ochotę na drinka.

Olga zakręciła butelkę i wstawiła ją do barku. Nie omieszkała też sprzątnąć pustej szklanki po drinku.

– No to nawijaj, kochaniutka! – Usiadła na krzesło przed otwartym komputerem, obserwując, jak przyjaciółka krząta się w kuchni. – Czyżby spotkanie z braciszkiem wypadło niepomyślnie?

– Sama przeczytaj. – Zuza gestem głowy wskazała jej otwartą wiadomość na monitorze.

Olga zagłębiła się w lekturze. Gdy skończyła, czekała już na nią gorąca herbata i niecierpliwe spojrzenie koleżanki.

– Dziwisz się mu? – Olga zamknęła komputer i wzięła do ręki kubek. – Kacper mógł zdzierzyć wszystko: że masz piątkę dzieci, jesteś mężatką czy nawet, no wiesz, jesteś homo.

– Znaczy się lesbijką? – dopowiedziała Zuza.

– Właśnie – potwierdziła Olga. – Bo każdy z tych przypadków dawał mi choć cień nadziei, że moglibyście być razem. Ale to, że jesteś jego siostrą, całkowicie zamknęło mi do ciebie dostęp. Dlatego jest wściekły. Trzeba było mnie posłuchać i powiedzieć mi o wszystkim dużo wcześniej.

– Wydedukowałaś to sobie tylko z tego listu? – Zdziwiła się Zuza. – Nie bardzo chce mi się wierzyć.

– Okej! – Olga się uśmiechnęła. – O lesbijce podsłuchałam od Maksa, kiedy opowiadał Filipowi o waszym dzisiejszym spotkaniu.

– To pewnie jeszcze usłyszałaś, że jestem skończoną idiotką, która nie potrafi poradzić sobie ze swoimi emocjami? Wal! Dzisiaj nic mnie już nie zdziwi.

– Tylko to, co powiedziałam ci przed chwilą – wytłumaczyła spokojnie Olga. – Potem obaj zamknęli się w gabinecie. Maks odjechał dopiero niedawno. Filip pożyczył mi swój samochód. A reszty domyślałam się, gdy przeczytałam mejla od Kacpra. Ot i cała dedukcja. – Przesiadła się z herbatą na kanapę. – Myślałaś już, co mu odpiszesz?

– Do końca dnia dałam wolne swoim procesorom myślowym. – Zuza usadowiła się w fotelu naprzeciwko przyjaciółki. – Inaczej groziło im przepalenie. Jutro się nad tym zastanowię.

Przez chwilę obie milczały.

– A z tą karetką to mówiłaś serio? – zapytała Zuza, uśmiechając się pod nosem.

– Gdybyś mi nie otworzyła? Jasne! – odparła przyjaciółka z przekonaniem. – Nawet jeśli miałabym zapłacić za nieuzasadnione wezwanie.

– Szlachetne zdrowie! – wyrecytowała nagle Zuzanna. – Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto zamawia pogotowie.

– Wiesz co? Już ci się nawet epoki mylą – zaśmiała się Olga. – Maks dobrze zrobił, że przywiózł cię do domu. Niechybnie już w Warszawie miałybyś przepalone kable. Widzisz, jak on się o ciebie troszczy? A ty go ciągle ignorujesz.

– Dałabyś mi w końcu spokój z tym Maksem. – Zuza podkurczyła nogi i włączyła telewizor. – Powiedz lepiej, jak ci się układa w łóżku z Filipem. Tym razem była to miłość malezyjska czy może wietnamska?

– Opowiem ci, jak też w końcu zaczniesz uprawiać ten sport i przestaniesz być zazdrosna – odgryzła się Olga, zabierając przyjaciółce pilota. – A Maksowi to akurat dzisiaj powinnaś być wdzięczna.

– Bo odwiózł mnie do domu i przy okazji nie omieszkał wkurzyć? – Zuza rzuciła przyjaciółce ironiczne spojrzenie. – Wielkie dzięki za taką przysługę. Lepiej bym się czuła, gdybym przenocowała w hotelu albo zamówiła taksówkę. Nie rozumiesz, że ten człowiek ciągle mnie drażni?

– Ale kiedy od nas wyszedł – Olga zniżyła głos i uśmiechnęła się tajemniczo – Filip wreszcie wypowiedział się w pewnej sprawie. Dodam, że pozytywnie.

– Już tak się nie chwal, bo naprawdę zrobię się zazdrosna. – Zuza sparodiowała koleżankę, naśladując jej przyciszony głos. – Jeśli znudziło mu się po francusku, to może tym razem po niemiecku na przykład?

– I tu się mylisz, kochaniutka. – Zagadkowy uśmiech nie zniknął z twarzy Olgi. – Po włosku. I to w oryginale.

## ROZDZIAŁ XVI

Mimo że zegar nie wskazywał jeszcze szóstej rano, czyste słoneczne niebo zapowiadało upalną lipcową sobotę. Srebrny džip grand cherokee był już prawie gotowy do drogi, gdy Zuza przytargała swoją walizkę na podwórkę Kordejów. Filip siedział na ławce z mapą na kolanach, próbując wytyczyć najlepszą trasę, a Olga sprawdzała, czy jej mąż dobrze poukładał torby w bagażniku.

Na widok stroju przyjaciółki Zuzanna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Obie ubrane były identycznie: elastyczne rybaczkę w piaskowym kolorze i koszulki polo w brązowo-beżowe paski. Tylko buty były inne. Olga włożyła jasne sandały na niewysokich plecionych koturnach, Zuza miała na nogach brązowe skórzane klapki z ażurowym wzorem w postaci kwiatków.

– Wyglądacie jak z jednej trupy cyrkowej – skomentował Filip, podnosząc głowę znad mapy. – To która idzie się przebrać?

– Ja nie! – odezwała się Zuza. – Zamknęłam już dom i włączyłam alarm.

– A mnie nie przeszkadza, że tak samo wyglądamy – skwitowała Olga i dosunawszy kuferek z kosmetykami do boku bagażnika, dodała: – Dwa dni to zdecydowanie za mało, aby dobrze się spa kować.

– Skarbie – westchnął Filip i podniósł się z ławki. – Jeśli czegoś zapomniałaś, dokupisz sobie na miejscu. – Pocałował żonę w policzek i wsadził mapę do schowka w samochodzie. – A gdzie twój znajomy, Zuza? Mam nadzieję, że nie zasnął. To był podobno jego pomysł, aby wyruszyć tak wcześnie.

– Dzwonił pół godziny temu, że będzie na czas.

W tym momencie jak na zawołanie usłyszeli odgłos silnika i wszyscy równocześnie spojrzeli na drogę za ogrodzeniem. Filip pilotem otworzył bramę i po chwili na podwórkę wjechało śnieżnobiałe bmw, z którego wysiadł uśmiechnięty Aleksander Nadarzewski. Na Zuzannie zrobił wrażenie nie tylko jego nowy samochód, ale też swobodny sportowy strój, bo jak do tej pory zawsze oglądała go w garniturze. Tym razem miał na sobie grafitowe spodnie do kolan, biały T-shirt z szarymi lamówkami i adidas.

– Witam wszystkich! – Szarmancko ucałował dłonie obu dziewczyn i uściśnął rękę Filipa. – Przyjaciele Zuzanny są moimi przyjaciółmi. Super, że z nami jedziecie.

– Imponujący wózek – zagadnął Filip, z błyskiem w oku spoglądając na bmw. – V8?

– Zgadza się – odparł dumnie Nadarzewski. – Osiem cylindrów, dwie turbosprężarki i czterysta siedem koni pod maską. – Delikatnie poklepał karoserię. – Odebrałem go dopiero wczoraj. Zobaczmy na trasie, ile to jest warte.

– Moim zdaniem bmw powinno być tylko złote albo czarne – szepnęła Olga do Zuzy, gdy Aleks pokazywał Filipowi swój nowy nabytek. – Zresztą nie przepadam za białymi samochodami.

– Ja też nie – Zuza pociągnęła przyjaciółkę za rękę, aby podeszła z nią do mężczyzn – ale akurat ten bardzo mi się podoba.

– Piękny ogród – pochwalił Aleksander, pakując walizkę Zuzanny do swojego bagażnika. – Musicie mieć dobrego ogrodnika.

– To wszystko zasługa mojej żony – odpowiedział dumnie Filip. – Sam często zachodzę w głowę, jak ona to robi.

– Wystarczy być dobrze zorganizowanym. – Olga się uśmiechnęła, wyraźnie połączona miłym komplementem. – I trzeba to lubić.

– Naprawdę robi wrażenie. – Aleks rozejrzał się i z uznaniem pokręcił głową. – Mój ojciec jest ogrodnikiem. Godzinami mógłby opowiadać o sadzonkach i różnych odmianach kwiatów, więc uważaj, żeby cię starszerek nie zamęczył. – Uśmiechnął się. – Jego kolekcja „Działkowicza” jest może imponująca, ale nie pozwól, żeby wciągnął cię w jej oglądanie, bo stracisz na to kilka wieczorów. – Zatrzasnął bagażnik i otworzył Zuzannie drzwi. – To co? Gotowi? Możemy ruszać?

Zuza wsiadła i zaniemówiła. Wow! Takim autem to dopiero przyjemnie podróżować. Zniwalająco komfortowe skórzane siedzenia w kolorze kości słoniowej zapraszały, żeby się na nich rozsiąść. Zapach nowości, subtelna muzyka. Czysta rozkosz!

Wreszcie ruszyli. Białe bmw przodem, za nim srebrny grand cherokee.

– Cieszę się, że ze mną jedziesz – zagadnął Aleksander, gdy wyjechali na główną trasę. – Nudno samemu, gdy nie ma z kim pogadać.

– Strasznie marudziłeś – Zuzanna się uśmiechnęła. – Więc zrobiło mi się ciebie szkoda.

– W pracy nie robili problemów?

– O dziwo, nie. Sezon urlopowy.

– No widzisz? – Aleks zdjął rękę Zuzanny z podłokietnika, pocałował i odłożył z powrotem. – Zobaczysz, będziesz zadowolona.

– Nie przeszkadza ci, że namówiłam znajomych?

– Żartujesz? Przecież sam ci to sugerowałem. Bardzo dobrze zrobiłaś. Będzie weselej. Moja matka była wniebowzięta, gdy powiedziałem jej, że przywiozę gości. Pewnie przygotowała już wymyślny jadłospis na cały tydzień. Będzie w swoim żywiole. Teraz, gdy nie ma Masza, nie ma dla kogo gotować.

– A sam Masz? – zapytała Zuza. – Czy on wie, że pod jego nieobecność w domu będą mieszkali obcy ludzie?

– Przede wszystkim nie obcy – poprawił Aleks, zerkając na nią z ukosa. – Przecież jadę tam z przyjaciółmi. Co więcej, Masz sam kiedyś wyszedł z taką propozycją. Powiedział, że dom jest



do mojej dyspozycji i jeśli mam ochotę, mogę zapraszać też znajomych. Wiadomo, że nie zwołuję zaraz całej drużyny piłkarskiej i nie urządzam Bóg wie jakich libacji, ale przyjmuję tych, których lubię, jak najbardziej. Moi rodzice też się cieszą, gdy mają towarzystwo. Zwłaszcza z Polski.

– Od dawna u niego pracują?

Aleksander opowiedział Zuzannie, jak poznał Masza i co skłoniło jego rodziców do przeprowadzki na półwysep Gargano.

– Na początku trochę się dziwiłem, że na stare lata zachciało im się odmiany – dodał na zakończenie. – Ale kiedy tam pojechałem po raz pierwszy, sam zakochałem się w tym miejscu. – Podkreślił CB-radio. – Posłuchamy, co słychać na drodze?

– *Mobile, uważajcie, na czterysta dwudziestym, po lewej przy stacji macie serwis fryzjerski.*

– *Powtórz kolego, bo nie doleciało. Jaki serwis?*

– *Fryzjerski. Stoją z suszarką i czeszą z kasy.*

– Dobrze! – zaśmiała się Zuzanna.

– *A tam jest nastawione na pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt?* – zapytała piskliwie kobieta.

– *Jedź siedemdziesiątką, koleżanko* – odparł chrapliwy męski głos. – *Jak cię złapią, to krzycz. Zwolnimy.*

– Kolego, więcej szacunku dla damy. – Uprzejmie zwrócił mu uwagę Aleksander.

– *Znalazł się, kurwa, obrońca!* – odgryzł się tamten. – *Damy są do obciągania królom.*

Zaczęła się kłótnia. Właściciel ochryplego głosu, nie szczędząc soczystej łaciny, uświadamiał Aleksa, gdzie jest miejsce baby i do czego powinna służyć mężczyźnie. Nie uspokoił się, nawet gdy ktoś inny krzyknął:

– *Gościu, przestań rzucać tym hip-hopem! Z dzieckiem jadę.*

Aleks natomiast, zachowując zimną krew, starał się tamtemu wytłumaczyć, jak bardzo facet się myli.

– Kolego szanowny – powiedział spokojnie na koniec. – Jeden z nas jest świnią. Siebie znam, więc wykluczam.

Zapadła cisza. Chrapliwy głos już się nie odezwał. Albo odpuścił, albo był już poza zasięgiem. Zuza z uznaniem spojrzała na Aleksa. Chciała go pochwalić, że stanął w obronie piskliwej damy, lecz wtedy usłyszała inny kobiecy głos:

– *Jacuś! Jacuś! Jesteś na radyjku?*

Przez kilka chwil z CB-radia dolatywał tylko szum.

– *Jacuś! Jacuś! Słyszysz mnie?* – powtórzyła kobieta.

– *A może być Czarus?* – zapytał dźwięczny baryton. – *Powiem tylko, że seksi jestem.*

Przez pewien czas Zuza z ciekawością słuchała mniej lub bardziej wyszukanych tekstów. Uśmiechała się, gdy ją bawiły albo krzywiła, gdy były po prostu niesmaczne. Jak choćby reakcja jednego z mobilków, który widząc jadącą na sygnale karetkę pogotowia, krzyknął:

– *Koledzy, zróbcie miejsce, bo pawulony na bombach jadą!*

Potem przestała zwracać na to uwagę i zaczęła rozmyślać nad tym, po co właściwie zdecydowała się na ten wyjazd do Włoch. Kolejny już raz! Z jednej strony miała wątpliwości, z drugiej jednak ciągnęła ją tam jakaś nieznaną siłą.

Zastanawiała się, czy pojechałaby sama z Nadarzewskim, gdy by przyjaciele nie chcieli jej towarzyszyć? Powróciła myślami do rozmowy z Olgą, kiedy to przyjaciółka ogłosiła, że jej mąż również chętnie odpocząłby na ostrodze włoskiego buta.

– Mówiłaś Filipowi, dlaczego chcę tam jechać? – zapytała. – I w ogóle o tej sprawie z moim ojcem?

– A powinnam?

– To przecież żaden sekret. – Zuza wzruszyła ramionami. – Poza tym przed mężem raczej nie powinno się mieć tajemnic, prawda?

– Kochaniutka. – Olga spojrzała z powagą na koleżankę. – Przede wszystkim to jest twoja osobista sprawa. Uznałam, że skoro mi się z niej zwierzyłaś, to również zaufałaś, że nie będę tego obwieszczać wszem wobec. Nie powiedziałam o tym ani mamie, ani Filipowi, bo dla nich byłaby to tylko zwykła ciekawostka. Uważam, że nie jest to ukrywanie tajemnicy, a raczej jej dochowanie. Różnica, prawda?

Zuza nie wiedziała, co odpowiedzieć przyjaciółce, pomyślała tylko, że nie docenia, jaki skarb ma za płotem.

– Ale chyba pytał, kim dla mnie jest Nadarzewski?

– Pewnie, że pytał. – Olga odstawiła kubek z herbatą i rozpostarła ręce na oparciu kanapy. – Powiedziałam mu prawdę. Że to twój znajomy, bardziej przyjaciel niż kochanek – choć tak między nami w jego przyjaźń niespecjalnie wierzę – który ma do dyspozycji dom nad Adriatykiem. I skoro oficjalnie zaprasza tam Zuzę razem z jej przyjaciółmi, wypada tylko grzecznie podziękować i skorzystać z okazji, która nieprędko mogłaby się powtórzyć.

Zuza wsparła łokcie na kolanach, splótła ręce pod brodą i zamyśliła się.

– Wydaje mi się, że wypadałoby bardziej uświadomić twojego męża – odezwała się po chwili.

– Zrobisz, jak zechcesz. – Olga zmarszczyła czoło. – Sama zdecyduj. Chciałabym ci tylko zwrócić uwagę na kilka szczegółów. Przede wszystkim nie możesz mieć gwarancji, że tam, dokąd jedziesz, znajdziesz odpowiedź na nurtujące cię pytania. Okoliczności zniknięcia twojego biologicznego ojca są bez wątpienia niejasne, ale też nie masz żadnej pewności, że Ryszard Wołoszyc, nawet jeśli uciekł z kraju, utrzymywał jakiegokolwiek kontakty z Janem Maszem. Dlatego musisz być przygotowana na to, że twój trop może okazać się co najmniej nietrafiony.

– Zdaję sobie z tego sprawę – potwierdziła Zuza. – Nie rozumiem tylko, co ma z tym wspólnego twój mąż.

– Otóż, jadę z tobą z dwóch powodów – wyjaśniła Olga. – Po pierwsze dlatego, żeby mieć na oku tego twojego Aleksa. Bo chociaż go nie znam, czuję, że ten facet nie ma względem ciebie uczciwych zamiarów. Po drugie, chciałabym rzeczywiście skorzystać z okazji i wypocząć. Delektować się słońcem, pięknymi widokami i swoim mężem, ma się rozumieć. Ale wiesz, że Filip, oprócz niezrozumiałej dla mnie miłości do piłki nożnej, ma również słabość do wszelkiego rodzaju łamigłówek. Nie na darmo w końcu przez dwa lata pracował w „Zagadkach Kryminalnych”. Dlatego byłabym, delikatnie mówiąc, szczerze niepokieszona, gdyby mój ślubny, zamiast zając się mną, spędzał czas na poszukiwaniu zagubionych elementów twojej układanki.

– Czyżby ktoś tu był zazdrosny? – zaśmiała się Zuza.

– Nie zrozum mnie źle, kochaniutka. – Oldze nie było do śmiechu. – Nie będę miała nic przeciwko temu, aby Filip ci pomógł, jeśli rzeczywiście znajdziesz tam jakiś ślad. Tylko go znajdź! A jak ci się nie uda, po powrocie usiądziemy sobie któregoś wieczoru we czwórkę razem z Maksem, napijemy się dobrego winka i będziemy gadać o tym do rana, jeśli zechcesz. Faceci na pewno będą w swoim żywiole.

*W swoim żywiole...* – pomyślała Zuzanna, mrużąc oczy, choć na nosie miała ciemne okulary. – „Zagadki Kryminalne”? Z tym tytułem kojarzyło się jej tylko jedno nazwisko. Zastanawiała się teraz, jaki był prawdziwy powód tego, że Filip zdecydował się na wyjazd. Olga mówiła, że zgodził się po rozmowie z Symertowiczem. Czyżby Maks wysłał kolegę na przeszpiegi?

Zuza poczuła gwałtowny skurcz żołądka i zrobiło jej się nie dobrze.

– Co tam? – zapytał Aleksander, który zauważył jej niewyraźną minę. – Mam się zatrzymać?

– Nie, w porządku – skłamała. – Chyba tylko jestem trochę głodna.

– Po drodze będzie Zajazd Górski, kawałek przed Piotrkowem Trybunalskim. Nawet myślałem, żeby tam zrobić postój na kawę i coś przekąsić. Ja też o piątej rano nie miałem ochoty na śniadanie.

– Zajazd Górski? – Zuza się uśmiechnęła. – Znam. Sympatyczne miejsce. Zapytam tylko Kordejów. – Sięgnęła do torebki po telefon, ale Aleksander ją ubiegł, wzięwszy do ręki mikrofon CB-radia.

– *Srebrny szerszeniu, jak mnie słyszysz?*

– *Jakbyś siedział koło mnie, albinosie* – odrzekł z uśmiechem Filip.

– *Robimy przerwę na kawę?* – zapytał Aleks.

– *Moja pani proponuje śniadanie w Zajeździe Górkim* – odpowiedział mąż Olgi. – *Co wy na to?*

– *Mojej królowie też podoba się ten pomysł* – odparł zadowolony Nadarzewski. – *Widać, nie tylko są ubrane podobnie, ale nawet myślą tak samo.*

*Znalazł się królewicz na białym mustangu* – pomyślała obruszona Zuzanna. – *Nie pozwalaj sobie!*

\*

Zatrzymali się przy zajeździe. Imponujących rozmiarów, stylizowana na góralską chatą zapraszała nie tylko swoim wyglądem, ale też smacznym jedzeniem. Zuza знаła to miejsce od dawna i niemal za każdym razem, gdy znalazła się na trasie Warszawa–Katowice, zatrzymywała się tam choćby tylko na kawę. Klimat drewnianego domu pokrytego strzechą zawsze pozytywnie ją nastrajał. A jeśli miała ochotę na jedzenie, zamawiała najlepszy w świecie żurek albo dla odmiany przepyszne pierogi wypchane farszem po samą falbankę, które do złudzenia przypominały puchowe poduszki babci Eleonory. Kiedyś nawet z pomocą Olgi nie mogła zmordować jednej porcji, taka była gigantyczna. Zuza często polecała to miejsce swoim znajomym, więc nie zdziwiła się, że Aleksander zaproponował tam postój.

Złożyli zamówienie i zasiedli w wielkich drewnianych ławach. Oprócz Aleksandra, który tuż po odejściu od baru odebrał telefon i wyszedł na zewnątrz porozmawiać.

– Coś długo go nie ma – zauważyła Olga, parząc sobie zieloną herbatę w dzbanuszkach. – Żurek mu wystygnie.

– A może wystawił nas do wiatru i uciekł? – zastanowił się głośno Filip. – Ale nie porzuciłby chyba swojej królowej? – Spojrzał ukradkiem na Zuzannę.

Zuza rzuciła mu wściekłe spojrzenie i wyjrzała przez okno. Zobaczyła jak Nadarzewski, z rękami w kieszeniach i ze spuszczoną głową spaceruje w tę i z powrotem wzdłuż chodnika, wpatrzony w swoje śnieżnobiałe adidasy. Gdy Zuza ściągnęła go wzrokiem, spojrzał na nią smutno i wolnym, jakby niechętnym krokiem, wrócił do środka.

– Kiepska sprawa, moi drodzy – zaczął z ponurą miną. – Najpóźniej jutro rano muszę być w Paryżu.

Przez kilka sekund trzy pary oczu patrzyły na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

– Co się stało? – pierwsza odezwała się zaniepokojona Zuzanna.

– Mały pożar w interesach – odpowiedział Aleksander. – Niegroźny. Sęk w tym, że sam go muszę ugasić. – Podszedł do Zuzy i ujął jej dłoń w obie ręce. – Przykro mi, królowo, że nie mogę ci dalej towarzyszyć. Obiecuję to wynagrodzić. – Pocałował jej nadgarstek.

– Czyli podróż zakończona? – Olga głośno westchnęła. – Trudno! Cóż zrobić! Dobrze, że przejechaliśmy tylko sto pięćdziesiąt kilometrów, a nie tysiąc pięćset.

– Wy nie musicie przez to rezygnować z wakacji – zaprotestował Aleks. – I nie możecie. Moja matka by mnie chyba powiesiła. Wiecie, ile zadała sobie trudu, aby wszystko przygotować? Pokoje, zakupy, jedzenie... Ona co prawda to uwielbia, ale nie róbcie jej przykrości – poprosił. – To już starsza kobieta.

– Chcesz powiedzieć, że mamy tam jechać bez ciebie? – Filip uniósł jedną brew. – Trochę to dziwne, nie uważasz?

– Posłuchajcie. – Aleks wsparł ręce na stole i pochylił się lekko. – Z jednym noclegiem

będziecie na miejscu najpóźniej w niedzielę wieczorem. Ja dojadę do was w poniedziałek rano.

– Jak zamierzasz tego dokonać? – zdziwił się Filip. – Nawet tym wózkiem nie dasz rady, choćbyś się skichał. Ze mną pojedzie jeszcze dwóch kierowców, ty będziesz sam.

– Samochód zostawię w Polsce. Przetestuję go innym razem. – Zerknął przez okno na bmw, wyraźnie niepokieszony. – Przed chwilą dzwoniłem na Okęcie. Za pięć godzin mam samolot do Paryża. Im wcześniej tam polecę, tym szybciej do was dołączę. Tylko że... cholera! – Zamilkł nagle, przygryzając dolną wargę.

– Co? – zapytały dziewczyny jednocześnie.

– Bagaż! – Nerwowo postukał palcami o blat stołu. – Nie bardzo nadaje się do samolotu. Mógłby się zniszczyć. Shit!

– Wozisz skarpetki w porcelanowych szkatułkach? – Na twarzy Filipa pojawił się lekki uśmiešek. – O fuck! To rzeczywiście.

Nadarzewski przestał bębnić o stół i spojrzał na Kordeja, wykrzywiając usta w zabawnym grymasie.

– Dobrze! – Wystrzelił palcem wskazującym w jego kierunku. – No cóż! Przypuszczałem, że sprawiam lepsze wrażenie. – Zaśmiał się krótko, po czym znów spowaźniał. – Mam przesyłkę dla Masza. Jakiś czas temu był w Polsce i zapomniał zabrać teczki z pracami swoich studentów. Nic wartościowego: kilka szkiców malarskich i jakiś obraz. Poprosił mnie, abym mu to przywiózł, jak będę miał sposobność. A tu właśnie sposobność mi zwiąła. No trudno! – Machnął ręką, wzdychając. – Mistrz jakoś to będzie musiał przeżyć i poczekać do następnej okazji.

– Teczka? – zaciekawiała się Zuza. – To może my ją weźmiemy, jeśli mamy miejsce? – Zerknęła pytająco na Filipa.

– A podjęliśmy już decyzję, że jedziemy? – zdziwił się mąż Olgi i spojrzał na dziewczyny.

– Hm – zamyśliła się jego żona.

– Hm – zawtórowała Zuzanna.

Po kilku chwilach wszystko było jasne.

– Dwa razy „hm” – podsumował Filip i zwrócił się do Aleksandra: – Pokaż ten bagaż. Sprawdzimy, czy nam się zmieści.

Wszedł do pracowni ojca po raz drugi w tym tygodniu. Wcześniej nie zaglądał tam od wielu lat. Wolał zapomnieć o miejscu, które kojarzyło się wyłącznie z przykrym wspomnieniem. Na samą myśl o leżeniu na zimnych dachówkach, wbijających się w żebra, przechodziły go dreszcze. Teraz wiedział, że to było bez sensu, ale wtedy dziecięca naiwność kazała mu mieć nadzieję, że pewnego dnia przyjdzie do ojca i powie: rozumiem cię, tato. Czy teraz już mnie kochasz?

Kacper usiadł w starym fotelu i rozejrzał się. Jeszcze kilka dni temu, gdy po wielu latach wszedł tu po raz pierwszy, od drewnianych belek w suficie aż po skrzypiącą podłogę słały się

gęste pajęczyny, ciasno oplątując sztalugi, obrazy, palety z zaschniętą farbą, wykrzywione pędzle w słoikach na stole. Tylko *Dama ze skrzydłem* wydawała się nietknięta przez szary woal czasu i jedynie lekko pokryta kurzem, pyszniła się na ścianie jak królowa.

Dziś było tu już schludnie. Na dzień przed spotkaniem z Zuzanną pod nieobecność Kacpra do pracowni wpadł Przemek z odkurzaczem. Tłumaczył się potem, że nie mógł już znieść tego syfu i dlatego postanowił posprzątać. Zapewnił jednak brata, że zostawił wszystko tak, jak było.

Kacper znów spojrzał na wiszący obraz.

Od ciebie wszystko się zaczęło – stwierdził pogardliwie i sięgnął po telefon – więc na tobie powinno się skończyć.

– Cześć, młody – powiedział do słuchawki. – Jeśli nadal jesteś zainteresowany sprzedażą obrazów ojca, to nie krępuj się. Masz moje błogosławieństwo.

– Słyszę, brat, że w końcu zmądrzałeś – odezwał się zadowolony Przemek. – Nie ma sprawy. Zajmę się tym, jak wrócę.

– A gdzie ty jesteś?

– U matki w Monachium, a gdzie miałbym być?

– Szkoda. – Zmartwił się Kacper. – Myślałem, że wpadniesz na piwo i pogadamy. Rodzina nam się powiększyła.

– Ty! Cicha woda! Dlaczego się nie pochwaliłeś, że wujkiem zostanę? Zaraz bym parę flaszek zmontował!

– Nie gorączkuj się tak – uspokoił go Kacper. – Nic nie mówiłem o dziecku. Mamy dorosłą siostrę.

– Co ty pieprzysz, brat? – zdziwił się Przemek. – Piłeś coś?

– No właśnie jeszcze nie, ale zaraz zamierzam.

– To lepiej nie pij. Wsiadaj w auto i przyjeżdżaj, bo szkoda kasy marnować na telefon. Zwłaszcza na jakieś brednie.

– Okej! Masz rację – zgodził się Kacper. – Powiedz mamie, że będę w poniedziałek po południu.

Odłożył komórkę obok na stół i lekko pobujał się fotelu.

– Tym razem ci się upiekło – powiedział, patrząc na *Damę ze skrzydłem*. – Ale zobaczysz! Niedługo i na ciebie przyjdzie kolej.

*Cholera! Gadam do obrazu!* – Rozzłościł się. – *Coś ty najlepszego narobił, ojciec? Nie przyszło ci do głowy, że kiedyś mogę ją spotkać? Chciałeś doprowadzić do katastrofy?*

Zamknął strych i zszedł na dół. Wyjął z lodówki puszkę piwa, włączył telewizor i niedbale uwaliał się na sofie. Przerzucił pilotem po kanałach, ale nic nie było w stanie zagłuszyć myśli

o ojcu. I o Zuzannie. Wczoraj dostał od niej wiadomość, ale jej nie przeczytał. Miał nawet ochotę skasować tego mejla, tak jak chciał wykasować z pamięci ją samą. Nie miał pojęcia, co go powstrzymywało.

Po dwóch piwach miał apetyt na następne. Wyjął kolejną puszkę i usiadł przy komputerze. Otworzył pocztę i długo przyglądał się nagłówkowi wiadomości od siostry. Wreszcie kliknął.

*Drogi Kacprze!*

*Wiem, że czujesz do mnie żal. Chcę jednak, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro. Być może obojgu nam byłoby łatwiej, gdybyśmy nigdy nie dowiedzieli się o sobie. Tylko że pewne rzeczy dzieją się poza nami, a my najzwyczajniej nie mamy na nie wpływu. Możemy z nimi walczyć, możemy się od nich odciąć, ale czy nie prościej byłoby je po prostu zaakceptować i postarać się zrozumieć?*

*Ja również zostałam oszukana. Przez swoich rodziców i wszystkich tych, którzy wiedzieli o moim życiu więcej niż ja sama. Niedawno temu pokłóciłam się z matką. Tłumaczyła się, że chciała mnie chronić, że robiła wszystko dla mojego dobra. Wyszłam z jej domu bez pożegnania. Teraz wiem, że to nie było dobre, ponieważ powinnam postarać się ją zrozumieć. Choć to nie jest łatwe.*

*Bardzo chciałabym spotkać się z Tobą i porozmawiać. Tym razem szczerze, obiecuję. Pozwól mi na to, proszę. Tyle mam Ci do powiedzenia. Chciałabym, abyś mnie lepiej poznał, i sama chciałabym poznać Ciebie. Przemka i Wojtka również. Być może nigdy nie będziemy prawdziwą rodziną, ale chociaż spróbujmy. Powiedziałeś im o mnie?*

*Niedawno dowiedziałam się, że mój kolega Aleksander Nadarzewski zna człowieka, który uczył naszego ojca malować. Podobno Ryszard Wołoszyc był jego ulubionym studentem. Ten malarz, Jan Masz, w latach osiemdziesiątych wyemigrował do USA, a Balbina Nakonieczna powiedziała mi, że detektyw, którego wynajęliście, stwierdził, że ojca należy szukać właśnie w Stanach. Zastanawiam się, czy to tylko zbieg okoliczności, czy może rzeczywiście ten malarz pomógł ojcu w przedostaniu się za ocean. Jan Masz na stałe mieszka w Allentown w Pensylwanii, ale jakiś czas temu kupił dom we Włoszech. Jadę tam jutro z przyjaciółmi.*

*Nie chcę, abyś myślał, że robię coś za Twoimi plecami, dlatego Cię o tym informuję.*

*Kacprze! Chciałabym odnaleźć Ryszarda Wołoszyca nie dlatego, że potrzebuję taty, ale dlatego, że czuję się malarką. Odkąd dowiedziałam się, że miałam innego ojca niż ten, który mnie wychował i dał swoje nazwisko, ojca, który na dodatek jest artystą malarzem, czegoś mi w życiu brakuje. Jakby kawałek siebie. Nie umiem tego nazwać, ale czuję, że to ma związek z pasją, którą po nim odziedziczyłam. Chciałabym go odszukać i chciałabym, abyś mi w tym pomógł.*

*Ściskam,*

*Zuza*

*PS. Jeśli chcesz się pozbyć obrazu przedstawiającego kobietę ze skrzydłem, bardzo chętnie go od Ciebie odkupię.*

Kacper przeczytał list, zakołysał się kilka razy na krześle, po czym wziął stojącą obok

komputera puszkę z piwem i przechylił ją do ust. Pusta!

– Piszesz, że „chciałabyś”, Zuzanno – powiedział, zgniatając puszkę w rękę. – A wiesz, co ja bym chciał? – Zamknął laptop i wstał. – Chciałbym napić się jeszcze piwa.

Elektroniczny zegar w samochodzie Filipa pokazywał, że wybiła dwudziesta trzecia. Zuzanna siedziała za kierownicą od pięciu godzin. Zmieniła męża Olgi kawalek za Klagenfurtem, kiedy zmęczenie dało mu się już we znaki. Zrobili sobie kilka postojów na kawę, rozprostowanie nóg i obiad pod Wiedniem, ale i tak była pełna podziwu, że wytrzymał za kółkiem tyle czasu.

Zuza miała przejechać dwieście kilometrów i zatrzymać się na nocleg w okolicach Latisany, ponieważ przyjaciółka zaproponowała, aby następnego dnia przed południem zwiedzili Wenecję. Pomysł wszystkim się spodobał, zwłaszcza że pogoda miała dopisać, a Olga, choć była w Wenecji kilkakrotnie, za każdym razem trafiała na deszcz.

Tymczasem, gdy Zuza dorwała się do kierownicy, mogłaby jechać i jechać, co też czyniła z wielką ochotą. Szczególnie że jej przyjaciele, czule w siebie wtuleni na tylnej kanapie, spali sobie w najlepsze. Zuza co jakiś czas zerknęła we wsteczne lustro, aby choć przez chwilę im pozazdrościć. Dlatego, gdy dojechała do Latisany, nie miała sumienia ich budzić i postanowiła pojechać jeszcze kawalek. Tym bardziej że gdy musiała skupić się na drodze, nie miała czasu na inne myśli, męczące ją już od wielu dni.

– Gdzie jesteśmy? – usłyszała nagle rozespany głos Filipa.

– W Rimini – odparła spokojnie Zuza.

– Gdzie? – wykrzyknęła Olga. – Zwariowałaś? Mieliśmy przecież zwiedzić Wenecję!

– Mam zawrócić?

– Zgłupiałaś? Tyle kilometrów?

– To co mam zrobić? – Zuza zrobiła głupią minę, bo też rzeczywiście było jej głupio, że trochę się zapomniała.

– Zwiedzimy Wenecję w drodze powrotnej – postanowił Filip i zwrócił się do żony: – Skarbie, masz przy sobie numer telefonu tej Polki, która prowadzi tu pensjonat? Brałaś chyba od niej kiedyś wizytówkę, pamiętasz?

– Zawsze jestem przygotowana na taką ewentualność – odparła naburmuszona Olga.

Pani Katarzyna, pomimo późnej pory, otworzyła im drzwi z uśmiechem. Miała tylko jeden wolny pokój, ale Kordejom i Zuzannie to nie przeszkadzało, zwłaszcza że była to przestronna czwórka z łazienką i balkonem, jak zapewniła gości pani Kasia. Właścicielka zaprowadziła ich na drugie piętro i pokazała, gdzie przenocują. W pokoju na środku stało wielkie małżeńskie łóżko, kilka szafek, stół z krzesłami pod oknem i piętrowe łóżka przy ścianie. Cieszyli się, że w ogóle cokolwiek dostali, bo w sezonie o miejsce było raczej trudno. Filip poszedł do samochodu po bagaże, a Olga zeszła na dół zapytać, czy o tej porze dostaną jeszcze coś do jedzenia.

Zuza postanowiła wykorzystać okazję, że została sama i jako pierwsza zająć łazienkę. Gdy prowadziła samochód, wydawało się jej, że jest w stanie dojechać na miejsce bez



zatrzymywania się po drodze. Teraz jednak poczuła, że jest bardzo zmęczona. Weszła do łazienki i rozejrzała się. Pomieszczenie przypominało wagon: wąskie, nie więcej niż półtora metra, długie może na trzy. Na wprost stała umywalka, patrząc dalej na lewo: bidet, kibel, ściana... A gdzie prysznic? Zuza kilka razy obróciła się wokół własnej osi i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma gdzie się wykąpać. Zostawiła swoje rzeczy na umywalce i wyszła na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, innymi słowy: zapalić.

– Niestety kolacji nie będzie, kochaniutka – zakomunikowała Olga, wchodząc do pokoju, wyraźnie zła, że pójdzie spać głodna. – Mogliśmy zjeść coś po drodze.

– Kąpania też nie będzie, chyba że w umywalce – dodała Zuza, zaciągając się dymem. – Nie ma prysznic.

– Żartujesz! – Olga spojrzała na nią z głębokim zdziwieniem, a gdy Zuza kiwnęła głową na potwierdzenie, że to bynajmniej nie dowcip, zbiegła na dół.

Zanim Zuza zdążyła wypalić papierosa, jej przyjaciółka była już z powrotem, prowadząc ze sobą młodego Włocha. Zuza już dawno nie widziała tak wścieklej miny na twarzy Olgi, gdy wprowadzała chłopaka do łazienki. I tak zawstydzonej, gdy po dziesięciu sekundach stamtąd wyszli. Olga uraczyła chłopaka przeproszającym *grazie* i *buonanotte*, zamknęła za nim drzwi i rzuciła przyjaciółce gniewne spojrzenie.

– Co?! – zdziwiła się Zuza. – Nie mów, że jest.

– No to sprawdź. – Olga zdjęła buty i usiadła na łóżku. – A następnym razem sama rób z siebie idiotkę.

Zuzanna z niedowierzaniem weszła ponownie do łazienki. Wszystko wyglądało tak, jak poprzednio.

– Umywalka – zaczęła głośno wyliczać – bidet, kibel, kafelki... i jeszcze kafelki... – Obróciła się i dopiero teraz spostrzegła w ścianie małą gałkę. – Tu są jakieś drzwi? – zapytała, chwytając za nią.

– Tylko nic tam nie kręć! – krzyknęła Olga.

Ale za późno. Po chwili Zuza pokazała się jej w drzwiach. Wyglądała, jakby przed chwilą wyszła... spod prysznic. Kompletnie zmoczona. Na jej widok Olga nie wytrzymała i parsknęła donośnym rechotem, trzymając się za brzuch i turlając po wielkim małżeńskim łożu.

\*

Minęła godzina. Filip spał już w najlepsze, pochrapując co jakiś czas do poduszki, a dziewczyny wyciągnęły krzesła na balkon, aby jeszcze chwilę porozmawiać.

– Cykady zamilkły, więc teraz twój mąż wydaje z siebie pieśń zalotną samców? – Zuza ruchem głowy wskazała wielkie łoże. – Może powinnam pójść na spacer? Wzięłam zimny prysznic, więc już odechciało mi się spania.

– Lepiej się połóż. – Olga się uśmiechnęła, wspominając widok mokrej przyjaciółki w drzwiach łazienki. – A my sobie odbijemy, jak już będziemy na miejscu.

– Ciekawe, czy Aleks rzeczywiście dojedzie do nas w poniedziałek rano – zastanowiła się głośno, spoglądając na czarną teczkę, którą wieźli dla Masza. Filip przyniósł ją razem z innymi bagażami, żeby nie została na noc w samochodzie.

– Jeszcze cię kusi? – zapytała Olga, zerkając badawczo na przyjaciółkę. – Przecież Nadarzewski pokazywał nam, co jest środka: jakiś bohomaz i kilka rysunków.

– Ale chciałabym lepiej się przyjrzeć temu bohomazowi. – Podniosła się z krzesła, lecz przyjaciółka ją powstrzymała.

– Daj spokój, kochaniutka – westchnęła Olga i pogładziła Zuzę po ramieniu. – Oglądałaś to już. Nic ciekawego. Idź spać. Jutro przed nami jeszcze wiele kilometrów.

## ROZDZIAŁ XVII

– To na pewno tu? – zdziwiła się Zuzanna, gdy Filip zatrzymał samochód pod żelazną, kutą w fantazyjne zakrętasy bramą, przez którą można było dostrzec dom w kolorze écru, lekko przysłonięty roslymi palmami.

– Jeśli twój znajomy podał nam prawidłowy adres, nawigacja mówi, że to tu – odparł mąż Olgi, zaciągnął hamulec ręczny i otworzył drzwi. – Zaraz sprawdzimy.

Lecz zanim zdążył wysiąść z samochodu, przy wjeździe na słupkach zaświeciły się dwa pomarańczowe koguty i dwuskrzydłowa brama otworzyła się majestatycznie, zapraszając gości do środka. Filip, niewiele myśląc, zatrzasnął z powrotem drzwi i powoli wjechał na teren posiadłości.

Przez kilka chwil koła toczyły się długą kamienistą aleją, obrzeżoną niskim szpalerem dorodnych rododendronów, za którymi kładł się soczystą zielenią świeżo przystrzyżony trawnik. Po lewej stronie w zaciszu kępy kilku niewysokich palm zobaczyli otoczony białym marmurem błękitny basen, a przy nim parasol i cztery nakryte grubymi materacami leżaki, zachęcające, aby na nich odpocząć.

Prawa strona natomiast była prawdziwym rajem dla oka i duszy. Za kamienną balustradą z tralkami profilowanymi na kształt chińskich wazonów, obok wysokiej, rozłożystej palmy i kilku bujnie kwitnących kolorowych skalniaków, rozciągał się widok na morze. Turkusowy Adriatyk.

A na wprost stał dom. Klasyczna, bardzo elegancka willa o trzech kondygnacjach, której uroku dodawały białe ornamenty wokół okien i drzwi, gustownie komponujące się z kremową elewacją.

– Tak się cieszę, że już jesteście! – przywitała ich uśmiechnięta starsza kobieta średniego wzrostu, przepasana oliwkowym fartuszkim obszytym białą koronką. – Na pewno głodni po podróży, co? Za godzinę podam obiad, a mąż zaraz pokaże wam pokoje. Jestem Lucyna Nadarzewska.

Kobieta uściskała całą trójkę, jakby znała ich od dawna, na dłużej zatrzymując się przy Zuzannie.

– A pani, moje dziecko, jest pewnie tą niespodzianką, o której Oluś przez telefon mówił. – Ucałowała zdziwioną dziewczynę w oba policzki i szepnęła jej do ucha: – Piękna

niespodzianka. Mój syn ma dobry gust.

Zuzannie na moment odjęło mowę, gdy usłyszała bądź co bądź osobliwe wyznanie starszej pani i nie wiedziała, czy ma podziękować za komplement, czy może już uciekać. Zdobyła się tylko na niezobowiązujący uśmiech.

Ojciec Aleksandra, wysoki żylasty mężczyzna zbliżający się do siedemdziesiątki, był mniej wylewny od swojej żony. Powitał gości mocnym uściskiem dłoni, ukazując w uśmiechu równe rzędy sztucznych zębów i zaprosił podróżnych do domu.

Zanim Zuza weszła na schody prowadzące na górę, łapczywie ogarnęła wzrokiem fragment parteru. W posadzce z kremowego marmuru jak w lustrze odbijał się kryształowy żyrandol, na ścianie wisiało kilka obrazów w złoconych ramach, a w rogu przy oknie stała gliniana, ręcznie malowana donica z obficie krzewiącą się juką. Uwadze Zuzanny nie umknął również mosiężny patynowany stolik na trzech stylizowanych nogach, na którym siedział, jak przypuszczała, rzeźbiony w jasnym granicie amerek z naciągniętym łukiem.

– Państwa pokoje są na samej górze – powiedział senior Nadarzewski, prowadząc gości po marmurowych schodach. – Stamtąd jest najlepszy widok na morze. – A tutaj – na chwilę zatrzymał się na pierwszym piętrze – jest królestwo mistrza Jana. – Nie powiedział nic więcej, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że pod nieobecność właściciela i bez jego zgody nikt postronny nie powinien tam zaglądać.

Filip milczał po drodze, natomiast dziewczyny nie szczędziły komplementów i subtelnych westchnień na widok szykownych detali wystroju wnętrza.

Drugie piętro było właściwie poddaszem, nieco cofniętym w stosunku do niższego poziomu, tak że z górnej antresoli, oprócz dolnego salonu, można było zobaczyć niemal cały korytarz pierwszego piętra, gdzie przy samej barierce stały dwie skórzane brązowe kanapy, duży fotel w tym samym stylu i duża ława z marmurowym blatem. Była tam też sztaluga.

Ojciec Aleksa pokazał im dwie bliźniaczo podobne sypialnie, gdzie w każdej na środku stało ogromne małżeńskie łóżko, może nawet większe od tego w Rimini, zasłane atłasową haftowaną pościelą o barwie kości słoniowej. Przy ścianie pomiędzy oknami, w których kunsztownie upięto zasłony w tym samym kolorze co pościel, stała szeroka czereśniowa komoda z czterema szufladami, a nad nią, tworząc jakby jedną całość, wisiało lustro w drewnianej ramie.

– Rozgośćcie się – powiedział starszy pan. – Ręczniki znajdziecie w łazienkach. A jak wypakujecie bagaże, samochód można wstawić do garażu. – Ukłonił się niczym kamerdyner i zszedł na dół.

– Bosko, co? – zapiszczała zachwycona Olga, rzuciwszy się na miękkie materace łóżka. – Jeśli o mnie chodzi, mogłabym tu zamieszkać na zawsze – rozmarzyła się.

Zuza nie miała w sobie tyle beztróskiego entuzjazmu co przyjaciółka, głównie przez to, co usłyszała od matki Aleksa. Piękna niespodzianka? Dobry gust syna? O, cholera! Małżeńska sypialnia? Chyba nie myślą, że ona i Aleks... Jasny gwint! Chyba jednak tak myślą! Uwaliła się obok przyjaciółki.

– Szlag by to! – powiedziała, wlepwszy wzrok w bogato zdobiony sufit.

– Co jest, Niespodzianka? – Olga odwróciła do niej głowę z lekko drwiącym uśmiechem. – Czyżby pan Oluś za wcześniej pochwalił się mamusce, że ma piękną narzeczoną? Przypuszczałam, że on aspiruje nie tylko do roli przyjaciela.

Zuzanna nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili zaczęła się po prostu śmiać. Również do sufitu.

– Hej, kochaniutka – zdziwiła się Olga. – Powiedziałam coś śmiesznego, czy może tylko coś mi się wymysknęło?

– Ja tylko ubolewam nad swoją głupotą – odparła Zuza, zakrywając twarz dłońmi.

Po obiedzie, w którego skład wchodziły głównie owoce morza podane z czerwonym winem własnej produkcji, państwo Nadarzewscy zaproponowali gościom wycieczkę po posiadłości. Cały teren liczył ponad cztery tysiące metrów kwadratowych, z czego większość zajmowały drzewa oliwne i mała winnica. Wszystko utrzymane w nienagannym porządku, zadbane w najmniejszych szczegółach, wygrabione i wypielęgnowane. Aż miło było popatrzeć. Nawet winorośle zostały przykryte siatką chroniącą przed ptakami. Imponujący był również pełen egzotycznych roślin ogród wokół domu, do którego można było się dostać z na wpół zadaszonego obszernego tarasu, gdzie ustawiono nie tylko wygodne fotele z wikliny, ale też białą kamienną fontannę, która wypuszczała strumienie wody w takt muzyki.

Wnętrze samego domu, którego powierzchnia sięgała sześciuset metrów kwadratowych, utrzymane było głównie w tonacji kremowobeżowej z licznymi elementami brązu i patynowanego złota, gdzieniegdzie tylko przeplecionymi delikatnym błękitem lub oliwkową zielenią, jak choćby zasłony na parterze czy tapicerka na sofach w salonie. Na stolikach i komodach ustawiono mnóstwo bibelotów: małych rzeźb, kamiennych i mosiężnych figurek, szkatulek, porcelanowych waz i wazonów.

Ale Zuzannę najbardziej ciekawiły obrazy. Starła się im przyjrzeć, na tyle dyskretnie, aby nie wzbudzać podejrzeń. Głównie patrzyła na niewielki podpis w prawym dolnym rogu każdego płótna. Nie wszystkie umiała odczytać, ponieważ większość była niewyraźna, ale znalazła kilka podpisanych przez Shavo. Czytała kiedyś o tym malarzu. W Stanach Zjednoczonych uchodził za wybitnego artystę, a na jego obrazy mogli sobie pozwolić tylko ci, którzy dysponowali wypchanym portfelem. Czyli pewnie ludzie pokroju właściciela tej pięknej rezydencji. Ciekawe, czy Masz zna osobiście pana Shavo. Zapytała o to Nadarzewskich.

– My takich rzeczy nie wiemy – odpowiedziała grzecznie Lucyna. – Oluś często z mistrzem o obrazach rozmawia, to musi pani jego zapytać, moje dziecko. – Spojrzała na nią i uśmiechnęła się ciepło, jakby ukontentowana, że dziewczyna tak jak Aleksander interesuje się sztuką. – My tu tylko pracujemy.

Zuza była zadowolona, że rodzice Aleksa nie wypytyują o jej prywatne życie, o to, czym się zajmuje, jak długo zna ich syna. Kwestię ewentualnej wspólnej sypialni Zuza postanowiła zostawić do przyjazdu młodego Nadarzewskiego. Teraz nie warto było zaprzętać sobie tym głowy, zwłaszcza że na wieczór zaplanowały sobie z Olgą aktywny wypoczynek na basenowych leżakach.

\*

Dopiero północ zagoniła ich do łóżek. Zuza wzięła relaksującą kąpiel w wytwornej wannie

z hydromasażem. Gdyby tylko jeszcze jej mózg potrafił się tak odprężyć, mogłaby powiedzieć, że czuje się jak w raju. A tu nawet luksusowa łazienka w kolorze ciepłej kawy z mlekiem, ozdobiona marmurowymi rzeźbieniami i złoconą armaturą, nie była w stanie przywrócić jej upragnionego spokoju.

Co więcej, gdy stanęła na półokrągłym balkonie sypialni, stwierdziła, że drażni ją szum morza. Miała ochotę zejść na dół, aby lepiej przyjrzeć się obrazom, które oglądała po obiedzie. To jednak mogłoby się wydać podejrzane, dlatego postanowiła odłożyć tę przyjemność do jutra i po prostu pogadać o tym z Aleksandrem. Wtedy pomyślała o przesyłce dla Masza z pracami jego studentów. Pokusa była zbyt wielka, aby się jej oprzeć, zwłaszcza że Filip postawił teczkę w korytarzu przy gabinetach mistrza. Zaledwie jedno piętro niżej.

Naciągnęła skarpety na bose stopy, aby zminimalizować niepożądane szmery i wyszła z sypialni. Przez okna w korytarzu docierało słabe światło latarni z ogrodu, wystarczające jednak, aby zobaczyć schody. Zuza, upewniwszy się, że jedynym odgłosem, jaki dobiega do jej uszu, jest bicie jej własnego serca, zeszła na dół. Teczka stała przy ścianie. Wzięła ją ostrożnie pod pachę, jeszcze raz rozejrzała się i wróciła na górę.

Ostrożnie wyjęła wszystkie prace i rozłożyła je na łóżku, starając się dokładnie zapamiętać kolejność, w jakiej były zapakowane.

Najpierw obejrzała obraz. Świeży szybki akryl, przedstawiający zachód słońca na morzu. Zuza odniosła wrażenie, że ktoś wyciskał farby z tubki bezpośrednio na płótno, nie mieszając barw, jakby malował w pośpiechu, bez zastanowienia, lub po prostu nie dokończył swojej pracy. Obraz był blady, bez głębi i bez wyrazu. Płótno oprawione było w zwyczajną niepolakierowaną ramę z jasnego drewna, nawet dobrze niewypolerowaną, bo trzeba było uważać na drzazgi. Zuza nie spostrzegła w nim nic interesującego, więc odłożyła je na poduszki.

*O, te są ładne* – rozłożyła na pościeli trzy rysunki przedstawiające pejzaże i cztery szkice malarskie z architekturą warszawskich zabytków. Przyjrzała się każdemu dokładnie. Wprawna ręka, zdecydowana kreska, idealna kompozycja. Artysta wiedział, co robi. Zuza spojrzała na prawy dolny róg. Wszystkie podpisane przez tę samą osobę: coś jakby „D. Mol.”?

*Szkoda cholera, że nie c-Dur.*

A może to było „P”? Nie była pewna. W sypialni świeciła się tylko lampka nocna, więc Zuza nie mogła odczytać drobnego napisu. Wyciągnęła więc z torebki małą latarkę, którą zabrała z domu, przezornie sądząc, że może się przydać do buszowania po willi Masza. „P. Mol.” – zmrużyła oczy. A może „P. Wol.”?

*Kolega malarz niewątpliwie mógłby wypisywać recepty* – pomyślała, masując zdrętwiały kark. – *Albo koleżanka malarka.*

*P. Mol...* – zastanowiła się – *P. Wol...* – i nagle zastygła. – *P. jak Przemek, Wol. jak Wołoszyc.* – Zakryła sobie dłonią usta, aby nie krzyknąć.

*Spokojnie, kobieto!* – przywołała się do porządku. – *Przecież to nie może być on. Bo niby skąd?*

Doszła do wniosku, że zaczyna myśleć tak, jak chce, a nie, jak powinna. Wyszła na balkon, ale ani papieros, ani tym bardziej kilka głębokich haustów wilgotnego nadmorskiego powietrza, nie

było w stanie wyrzucić jej tej myśli z głowy.

Wróciła do obrazu. Wzięła go w obie ręce i usiadła na łóżku, trzymając płótno na kolanach. Nic! To samo wrażenie, co przed kilkoma minutami. Nawet Olga zauważyła, że to zwykły bohomas. Zuza odchyliła się lekko, aby złapać lepszą perspektywę. Teraz dopiero zauważyła, że płótno nie jest podpisane. Jakby artysta sam nie chciał się przyznać do swojego dzieła. Bo i było czego się wstydzić.

Zuzanna wpatrywała się w obraz jeszcze przez kilka minut, dopóki nie poczuła bólu w ramionach. Zrozumiała, że nic nie rozumie, więc postanowiła spakować teczkę i odstawić ją na miejsce. Jednak odkładając płótno, niefortunnie ukuła się drzazgą pod kciukiem i odruchowo wypuściła z ręki jedną krawędź obrazu. Skutek był żalospny. Bohomas uderzył o podłogę, zanim Zuza zdążyła go złapać. Momentalnie struchlała, nadstawiając uszu, czy jeszcze ktoś oprócz niej usłyszał ten hałas. Przez kilka długich chwil stała nieruchomo, zaciskając w dłoni drugi bok płótna. Cisza!

Dziewczyna spojrzała w dół i zebrало jej się na płacz. W ręce została tylko rama. Obraz leżał na podłodze. Niewiele myśląc, przyklękła i wzięła się do naprawy.

*Nie dość, że kicz, to jeszcze, cholera, tak tandetnie przytwierdzony – pomyślała ze łzami w oczach. – Co cię, kobieto, podkusiło?*

Ale nie tylko rama nie trzymała się obrazu. Oderwało się również samo płótno. Teraz miała za swoje! Aleksander ją zabije! A może nie zauważy? Właściwie, po co miałaby tam zaglądać, skoro teczka była dla Masza? Próbując wcisnąć płótno pod drewnianą ramę, Zuza zauważyła, że ono w ogóle nie było naciągnięte. Co za bałwan to składał? Nie zastanawiając się dłużej, odchyliła sztywny materiał i zajrzała pod spód. Był tam drugi obraz. Delikatnie zdjęła cały bohomas i stanęła jak wryta. Jej oczy zrobiły się dwukrotnie większe i pomimo klimatyzacji w pokoju poczuła się jak na otwartej pustyni w samo południe. Podeszła do okna, otworzyła oba skrzydła drzwi balkonowych, odetchnęła głęboko i przez cztery sekundy napełniała płuca wilgotnym powietrzem. Wypuściła je powoli z głośnym dmuchnięciem. Potem wróciła do obrazu. Ustawiła go pod ścianą, sama usiadła na podłodze po turecku i wsparła łokcie na kolanach. Nie mogła uwierzyć, że go widzi. Teraz wydawał się jeszcze bardziej oszałamiający. Odcieniami ciepłej sepii na jasne pióra skrzydeł sływał ból.

Wskazówka na liczniku sięgała dwustu kilometrów na godzinę.

*– Nie grzej tak kolego, bo ci turbina skarpetki powciąga –* na kanale dziewiętnastym odezwał się męski głos.

*– Jak tygodniowe, to może –* parsknął drugi.

Nawet się nie uśmiechnął. W innych okolicznościach pewnie chwyciłby za gruszkę i odpowiedział coś zabawnego, ale nie tym razem. Zaciskając ręce na kierownicy, skupił się na prowadzeniu samochodu. Warunki na drodze sprzyjały szybkiej jeździe. Dzień dawno już się skończył i na autostradzie był znikomy ruch. Co jakiś czas tylko mijał auta na polskich numerach rejestracyjnych. Widać Polacy wolą za granicą jeździć po nocy.

*– Kolego w tym bajeranckim wózku, słyszysz mnie? –* dobiegł do niego ciepły kobiecy głos. *– Jak będziesz tak szybko jechał, to potem cię wolno poniosą. Lepiej przystopuj trochę.*

Wiedział, że mówiła do niego, ale nie zareagował. Musiał jednak przyznać, że jej głos brzmiał przyjemnie. Był taki melodyjny i zmysłowy, zupełnie jak głos Zuzanny. Na wspomnienie o niej mocniej zabiło mu serce. Przyspieszył. Na liczniku wskazówka doszła do dwustu dziesięciu i parła naprzód.

– *Uwaga! Uwaga!* – zatrzeszczało nagle CB-radio. – *Podobno w pobliżu grasuje Bundes Autobahn Gestapo!*

– Cholera! – zaklął pod nosem i odruchowo zdjął nogę z gazu. Nie miał ochoty na konfrontację z niemiecką drogówką. Na wszelki wypadek zwolnił do stu pięćdziesięciu i choć miał wrażenie, że zatrzymał się w miejscu, włączył tempomat.

Pomyślał o kobietach. O tych nieodgadnionych istotach, które o nic nie proszą, ale złością się, gdy czegoś nie dostaną. Które nie pytają, tylko insynuują. Które nie wiedzą, czego chcą, ale nie spoczną, póki nie osiągną celu. Wszystkie były takie same. Wszystkie te, które do tej pory spotkał. Ale Zuzanna była inna. Znowu przyspieszył.

Po chwili jednak zrozumiał, jak nierozważny był to krok. Zobaczył we wstecznym lusterku połyskujące niebieskie światło i usłyszał syrenę policyjną. Zwolnił, mając nadzieję, że go miną. Niestety. Posłusznie zjechał do najbliższej zatoczki i zatrzymał samochód.

– *Guten Abend, Herr Treiber.* – Zasalutował policjant. – *Sprechen Sie Deutsch?*

Obudził ją warkot silnika. Otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Jedno krótkie ogarnięcie pokoju wzrokiem wystarczyło, aby przypomnieć sobie, gdzie jest. Przez otwarte na oścież drzwi balkonowe wpadał słaby blask słońca. Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Warkot powoli zaczął się oddalać. Ukradkiem weszła na balkon i zobaczyła, że brama wjazdowa zamyka się za odjeżdżającą taksówką. Zuzanna wychyliła się przez kamienną balustradę, aby sprawdzić, kto przyjechał.

Na dole stał Aleksander z uwieszoną na sobie matką.

– Jak dobrze, że cię widzę, Oluś! – szczebiotała kobieta. – Głodny pewnie jesteś, co? Zmęczony po podróży? Twój przyjaciele jeszcze śpią. Nie dziwne, wczoraj siedzieli do późna. Ale chodź, synku, do domu, nie stój tak.

– Mamo, gdzie jest przesyłka dla mistrza, którą przywieźli? – zapytał Aleks niespodziewanie, starając się oderwać od matki. – Przywieźli ją, prawda?

Zuzannie zaschło w gardle. Z trudem przełknęła ślinę i posłała dziękczynne modły do swojego Anioła Stróża, za to, że nakazał jej w nocy odnieść teczkę na miejsce.

– Oj, synuś. – Nadarzewska machnęła ręką. – Nie wiem, o czym mówisz. Chodź lepiej do domu. Jak przywieźli, to pewnie gdzieś jest.

Zuza wróciła do sypialni i położyła się na łóżku. Czyżby to, co wymyśliła w nocy, mogło przybrać realne kształty? W nocy nie odstępowała jej myśl, że Kacper kłamał, mówiąc, że nie ma kontaktu z Ryszardem Wołoszycem. Dobrze wiedział, gdzie jest, a przez Masza poznał Nadarzewskiego. Za jego pośrednictwem, mniej lub bardziej świadomym, a teraz wychodzi na to, że jednak „bardziej”, Kacper przekazuje ukrywającemu się ojcu obrazy ze strychu, a Przemek swoje rysunki i szkice do oceny fachowym okiem malarza. To zaczynało nabierać

sensu. Aleksander prawdopodobnie wie o obrazie ukrytym pod kiczowatym płótnem. Czy teraz będzie chciał go przekazać prawowitemu właścicielowi? Czy to miałyby oznaczać, że biologiczny ojciec Zuzanny gdzieś tu jednak jest? Ale po co ktoś miałby ukrywać jego obraz? Nie można było go przewieźć legalnie? Nic nie rozumiała.

Okej, Kacper nie wiedział, że ma siostrę, dlatego pokazał Zuzannie kobietę ze skrzydłem, ale dlaczego w mejlu napisał, że teraz posłucha brata i sprzeda wszystkie malowidła ojca? I że pokłócił się z ciotką Nakonieczną, bo była jedną z osób, które ukrywały przed nim prawdę? A sam obraz? Przecież Zuza wyraźnie mu odpisała, że jeśli będzie chciał się go pozbyć, ona bardzo chętnie go przyjmie. Co w takim razie to płótno robi tutaj? I jaka jest w tym wszystkim jej rola?

Miała coraz silniejsze, niejasne wrażenie, że to, co dzieje się teraz wokół niej, jest dokładnie zaplanowanym przypadkiem. Ale kto i po co miałby go zaplanować?

Po chwili doszła do wniosku, że powinna ubrać się i wyjść z sypialni. Bo jeśli Aleksowi tak bardzo zależało na tej teczce, gotów jeszcze ją zabrać i gdzieś wywieźć. A Zuza wolałaby na wszelki wypadek mieć ją na oku. Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej, wskoczyła w sportowe spodenki i koszulkę, na bose stopy wsunęła buty do biegania, spięła włosy w kucyk i gotowa do wyjścia stanęła przy drzwiach. W tym momencie usłyszała, jak ktoś idzie po schodach. Kroki ucichły na korytarzu tuż pod jej sypialnią. Jakby ten ktoś wahał się, czy ma zapukać, czy może od razu pociągnąć za klamkę. Ubiegła go.

– Cieszę się, że już przyjechałeś. – Zuza postarała się o najbardziej uroczy z dostępnych jej uśmiechów. – Idę na plażę pobiegać.

– Taki z ciebie ranny ptaszek, królewno? – zapytał Aleksander z uznaniem. – Mama mówiła, że długo siedzieliście wczoraj.

– Leniuchowanie to nie jest mój ulubiony sport. – Wyszła na korytarz, zastanawiając się, czy Aleks będzie chciał wejść do jej sypialni i tam się zainstalować. – Taka to już moja wada genetyczna – dodała. – Poprosiłabym cię o towarzystwo, ale pewnie chciałbyś odpocząć po podróży.

Aleksander jakby się chwilę zawahał, po czym odstawił torbę na podłogę i pocałował Zuzannę w rękę.

– Podróż może nie tak długa jak twoja, ale rzeczywiście męcząca. – Uśmiechnął się. – Leć pobiegać, królewno, a ja prześpię się ze trzy godzinki. – Chwycił za klamkę od pokoju Zuzanny, i zanim zdążyła zaprotestować, że nikt go nie upoważnił do spania z nią w jednym łóżku, jak gdyby nigdy nic po prostu zamknął drzwi. – Trzeba uważać na przeciągi. Lepiej nie zostawiać otwartych. – Podniósł torbę z podłogi i przeszedł na drugą stronę korytarza.

Zuza odetchnęła z ulgą, choć w międzyczasie zdążyła skarcić się w duchu, że podejrzewała Aleksa o takie zachowanie. Życzyła mu miłego odpoczynku i ruszyła ku schodom.

– Aha, Zuziu! – Zatrzymał ją na półpiętrze. – Jeszcze raz dziękuję, że zabraliście teczkę dla Masza. Mam nadzieję, że nie przeszkadzała wam zbytnio w drodze.

– Ani trochę. – Wzruszyła ramionami. – To drobiazg.



– Chciałbym ją schować, zanim mama zabierze się do sprzątanía. Gdzie ją zostawiliście?

Spojrzała na korytarz poniżej. Teczka stała tam, gdzie zostawiła ją w nocy. Przy samej ścianie obok wejścia do gabinetu mistrza.

– Tam. – Od niechcienia wskazała głową i zeszła na dół.

Trochę pobiegała po plaży, co pewien czas zerkając na dom, aby upewnić się, że Aleks go nie opuścił. Postanowiła sobie, że postara się spędzać z nim jak najwięcej czasu. W ten sposób szybciej wyciągnie z niego potrzebne jej informacje. W banku często rozmawiali o sztuce, więc Aleksander nie powinien się dziwić jej nagłemu zainteresowaniu bogatą kolekcją Masza. A może nie będzie musiała o nic go pytać, bo sam się wygada? Na przykład po tym, jak Zuza powie mu, kim jest? Jeśli oczywiście on jeszcze tego nie wie.

Za dużo domniemań, za mało konkretów. I wszystko wymieszane w jej głowie jak trzy komplety puzzli, po osiem tysięcy drobnutkich elementów. Dla uproszczenia każdy z nich przedstawiał pejzaż zimowy.

*Łatwizna!* – Skrzywiła się ironicznie.

Wróciła do domu po dwóch godzinach. Zamknęła się od środka w sypialni i weszła do łazienki. Napełniła wannę i włączyła hydromasaż. Relaksujące bąbelki delikatnie uderzały o jej ciało, ale umysł nie był w stanie się odprężyć. Myśli bulgotały jak spieniona woda w wannie. Nurtowało ją, dlaczego Kacper tak szybko pozbył się malowidła ojca? Gdy skończyła kąpiel, napisała do brata SMS-a:

*Szybko uwinąłeś się ze sprzedażą obrazu. Szkoda! Myślałam, że go od Ciebie odkupię. Zależało mi na nim. No cóż... Trudno!*

Wysłała wiadomość i poczekała chwilę na potwierdzenie odbioru. Ale potwierdzenie nie przyszło.

O dziewiątej czekało na wszystkich śniadanie. Kordejowie zeszli, trzymając się za ręce, a przy stole gruchali jak nowożeńcy w czasie miodowego miesiąca. Zuza nie miała sumienia pochwalić się Oldze swoimi przypuszczeniami, przynajmniej dopóki jej hipotezy nie zaczną przybierać formy dowodów. Do tego czasu niech przyjaciółka wypoczywa w najlepsze, ciesząc się wakacjami. Przynajmniej ona.

– Udało się ugasić pożar? – zapytał Filip Aleksa. – Sikawka cała?

– Wszystko pod kontrolą – odparł z uśmiechem młody Nadarzewski. – A wy jak? Zadowoleni?

Nie musiał pytać. Wystarczyło na nich popatrzeć.

– Koniecznie musicie pojechać do San Giovanni Rotondo i zwiedzić sanktuarium ojca Pio – odezwała się matka Aleksa. – Dopóki jeszcze jego ciało jest wystawione na widok publiczny. To święte miejsce. – Przeżegnała się, jakby na poparcie swoich słów.

– Ma pani absolutną rację – zgodziła się Olga. – Święte miejsce. Zajechaliśmy tam po drodze. Dużo czytałam o ojcu Pio, jego naukach, stygmatach, ale to nie to samo, co być tam osobiście, zobaczyć jego relikwie w szklanej urnie, ogrom listów, które dostawał, zmówić modlitwę.

– Kiedy tak pani mówi, nabrałam ochoty, aby znów tam pojechać. – Nadarzewska złożyła ręce jak do pacierza. – Jestem bardzo ciekawa, co pani czuła, gdy na nie patrzyła.

Gdy Olga opowiadała o swoich wrażeniach z pobytu w sanktuarium, Zuza przypomniała sobie rozmowę kilku Polaków usłyszaną przez CB-radio, gdy jechała tam razem z Kordejami.

– *Podrzuci ktoś, jak daleko jeszcze do San Giovanni Rotondo?* – zapytał pierwszy męski głos.  
– *Ojca Pio chciałem odwiedzić, a nawigacja mi wysiadła.*

– *Jak patrzyłem na mapę, to było ze trzy kartki, kolego* – zażartował drugi. – *A co to za jeden, ten ojciec Pio? Bo nie czaję!*

– *Święty, kolego!* – krzyknęła jakaś zbulwersowana kobieta.

– *A! Coś już chyba kumam! To ten, co miał astygmaty, tak?*

– *Stygmaty!* – poprawiła kobieta. – *Stygmaty!*

– *Astygmaty to ma moja żona* – zaśmiał się pierwszy. – *Ale na oczach.*

– *No widzisz, kolego* – odparł drugi. – *A ty pewnie nie wiedziałeś, że masz świętą żonę.*

Słuchali wtedy tej rozmowy z zażenowaniem i Zuza miała nadzieję, że Filipowi nie przyjdzie do głowy opowiadać o niej teraz przy stole. Zwłaszcza przy rodzicach Aleksandra.

Wystarczyło, że ona wyobraziła sobie, jak zareagowałaby jej babcia Eleonora. Nazwałaby pewnie tych ludzi nieczułymi, bezbożnymi i zacofanymi bluźniercami, a potem poszłaby do kościoła pomodlić się za ich dusze. Lucyna Nadarzewska byłaby zapewne równie zbulwersowana, a to mogłoby się tylko źle odbić na ich przyjacielskich, jak do tej pory, wzajemnych relacjach.

Dziewczyny zaproponowały, że posprzątają ze stołu po śniadaniu, ale matka Aleksa w żadnym wypadku nie chciała się na to zgodzić i wygoniła wszystkich na taras.

– Wy sobie ustalajcie, co będziecie dziś robić, a ja kawę przy niosę.

Cała czwórka posłusznie rozsiadła się na wiklinowych fotelach.

– Jeśli mogę coś zasugerować – powiedział Aleksander – to warto odwiedzić niewątpliwie największą atrakcję półwyspu Gargano, czyli nadmorskie grotty. Nikt nie potrafi tak rzeźbić w skale, jak sama natura.

– Czytałam o nich! – Olga się podekscytowała. – Widziałam też na zdjęciach. Wyglądają niesamowicie. A co dopiero, jak zobaczy się je na własne oczy? Wow! Już nie mogę się doczekać.

– Naprawdę warto. – Nadarzewski spojrział na zegarek. – Najbliższy statek macie za dwie godziny.

– Macie? – zdziwiła się Zuza. – A ty?

– Chętnie popłynąłbym z wami, ale niestety mam do załatwienia pewną sprawę. Muszę się z kimś zaraz spotkać w mieście i pewnie zejdzie mi do wieczora. – Uśmiechnął się

przepraszająco i pocałował Zuzannę w rękę. – Wybacz mi, królowno, mam nadzieję, że to już ostatni pożar. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, od jutra będę mógł powiedzieć, że jestem na wakacjach.

Serce zabiło jej szybciej, lecz starała się tego po sobie nie pokazać. Spotkanie w mieście? W sprawie obrazu, jak przypuszczała. Z kim? Z jej ojcem?

– Co chcecie na obiad? – Nadarzewska przyniosła kawę.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – odpowiedziała Zuza z wymuszonym uśmiechem. – Wrócimy dopiero na kolację.

– No dobrze. – Starsza pani czule pogładziła ją po ramieniu i puściła oko do syna. – Oluś, to my z ojcem też wybywamy.

## ROZDZIAŁ XVIII

– Na takie rzeczy to ja normalnie do kina muszę chodzić – mruknęła do siebie, przedzierając się ciasnymi uliczkami między grupkami turystów, którzy nie wiedząc czemu, zamiast zażywać kąpiele słonecznych na plaży, tłumnie wypełzli na wąskie chodniki Vieste.

Nie przypuszczała, że będzie kiedyś kogoś śledzić. A już na pewno nie w obcym kraju, w mieście, którego nie знаła, nie mając pojęcia, dokąd idzie i czego może się spodziewać. Odwagi dodawała jej myśl, że Aleks doprowadzi ją do przełomowego miejsca, gdzie wszystko wreszcie zacznie się wyjaśniać. Intuicja podpowiadała jej, że znajdzie tam biologicznego ojca lub choćby osobę, która będzie go reprezentować przy odbiorze obrazu. A jeśli tam rzeczywiście będzie Ryszard Wołoszyc? Co mu powie? Jak się zachowa? Zuza tak bardzo uczyła się swojej teorii, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. W końcu zobaczy ojca, i może to pozwoli jej odnaleźć spokój.

Przez skórę czuła, że ważna sprawa, którą Nadarzewski wykręcił się od zwiedzania nadmorskich grot, miała coś wspólnego z tą czarną teczką. W pierwszym odruchu chciała powiedzieć o tym Oldze, ale widząc, z jakim zapałem przyjaciółka szykuje się do wyjścia, zrezygnowała. Poczeka na lepszy moment. Na przykład wieczorem. Trudno było jednak od razu wymigać się od wycieczki, więc, choć niezadowolona, ruszyła z przyjaciółmi do portu. Myślała jednak nad pretekstem do powrotu. I wymyśliła: jedyny i niezawodny ból głowy. Choć mało oryginalny, najważniejsze, że poskutkował. Olga nie protestowała zbytnio, domyślając się zamiarów przyjaciółki, gorzej było z Filipem, ale on w końcu dał się przekonać.

Zuza przez chwilę obserwowała willę Masza z pewnej odległości. Nie wiedziała, czy Aleks już wyszedł i była trochę zła na siebie, że tak późno zdecydowała się na powrót. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wejść do środka i postarać się zatrzymać Nadarzewskiego w domu, lub, jeśli już go tam nie było, wymyślić nagłą chorobę, aby go do domu ściągnąć.

I wtedy pomiędzy palmami dostrzegła Aleksandra, jak ze znajomą teczką w ręku wchodzi do garażu, a po chwili z niego wyjeżdża samochodem Masza, białym alfa romeo. Odczekał, aż otworzy się żelazna brama, sprawdził, czy ma wolną drogę i powoli ruszył w stronę miasta.

W pierwszej chwili Zuzannę ogarnęła panika. Co powinna teraz zrobić? Przecież za nim nie pobiegnie! Chyba że pojedzie... Mrowienie w łydkach stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Nerwowo rozejrzała się za taksówką, która pojawiła się jak na zawołanie i zatrzymała

z piskiem opon tuż przy butach Zuzanny.

– Auto, bianco, per favore, presto! – krzyknęła do kierowcy, wskazując palcem oddalające się alfa romeo. – Szybko! Please!

Taksówkarz odwrócił się i zmierzył dziewczynę zdziwionym spojrzeniem.

– Per favore! Auto bianco! – powtórzyła niecierpliwie Zuzanna i niewiele myśląc, sięgnęła po portfel. – Cholera! Same setki! Szlag by to! – Pospiesznie wyjęła sto euro i przycisnęła banknot do ramienia kierowcy. – Za tym samochodem, gamoni! – Drugą rękę wyciągnęła do przedniej szyby. – Po włosku nie rozumiesz? Bianco alfa romeo! Szybko! Per favore! Presto, presto!

Mężczyzna zwinął banknot, wrzucił jedynkę i ruszył z kopyta, a Zuza przez pierwsze sekundy zastanawiała się, czy to ona tak dobrze zna włoski, czy może jednak szeleszczący papier z portfela okazał się lepszym tłumaczem. Najważniejsze jednak, że kierowca załapał, o co chodzi.

Serce waliło jej jak młot pneumatyczny. Zdenerwowana, co chwilę poganiała taksówkarza, starając się nie zgubić śledzonego samochodu, który co jakiś czas traciła z oczu.

– E 'tuo marito? – zapytał niepewnie kierowca. – Fidanzato? Amante? Un piccolo litigio, eh?<sup>[1]</sup>

Zuza nie rozumiała ani słowa. Może tylko „amante” i „piccolo”, ale i tak nie miała pojęcia, o co chodzi.

*Umiem tylko mówić po włosku – pomyślała. – Słuchanie nie bardzo mi wychodzi.*

– Si, si, amante! – Poklepała go w ramię. – Alfa Romeo. Presto, presto!

Starając się skupić na śledzonym samochodzie, żałowała, że nie może podelektować się pięknymi widokami. Droga prowadziła wzdłuż brzegu morza. Z jednej strony mijali niewysokie białe domki, pomiędzy którymi rosły palmy, a z drugiej piaszczystą plażę, wypełnioną leżakami, parasolami i ludźmi w kolorowych kostiumach.

Po dziesięciu minutach Aleksander zaparkował przy zielonym skwerze na Corso Lorenzo Fazzini, wyjął z bagażnika teczkę i dalej poszedł pieszo. Zuza wysiadła z taksówki i ruszyła za nim. Początkowo przeszkadzał jej tłum, bała się, że jeśli straci z oczu Nadarzewskiego, już go nie odnajdzie. Potem jednak doszła do wniosku, że w tych warunkach Aleksowi trudniej będzie ją zauważyć, gdyby nagle zachciało mu się obejrzeć za siebie. Po kilkudziesięciu metrach ludzi na ulicy było zdecydowanie mniej. Nadarzewski szedł spokojnym, miarowym krokiem, nie rozglądając się i nie zatrzymując. Zuza natomiast co pewien czas przyspieszała, gdy traciła go z pola widzenia, a gdy wydawało się jej, że jest za blisko, zwalniała, udając, że ogląda pamiątki na ulicznych straganach.

Wreszcie Aleksander zatrzymał się obok niewielkiej lodziarni z wystawionymi na zewnątrz stolikami, spojrzął w górę, ponad wiekowe, ciężkie drzwi, jakby chciał się upewnić, że dobrze trafił, choć nie było tam żadnego numeru, chwycił za żeliwną pordzewiałą klamkę i wszedł do środka. Zuza przełknęła ślinę. A więc to tutaj? Rozejrzała się nerwowo. Stała na małym placyku otoczonym niskimi starymi kamienicami. Z górnych partii ścian odpadał całymi plastrami szary tynk, gdzieniegdzie tylko przykryty żywą peleryną zielonych pnączy, ale mury na wysokość parteru w większości były pomalowane na biało, zwłaszcza przy wejściach do

sklepów i kawiarni. Było tam dziwnie pusto.

Zuza przysiadła na plecionym krześle, należącym do jednej z kawiarenek, tak żeby mieć widok na ciężkie drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Aleksander. Wzięła ze stolika kolorową laminowaną kartę, podsunęła ją na wysokość oczu i zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Co chwila zerknęła znad menu na tamto wejście i coraz bardziej nabierała ochoty, aby pociągnąć za wielką pordzewiałą klamkę. Jeśli tego nie zrobi, niczego się nie dowie. Starła się trochę uspokoić i pomyśleć racjonalnie. Wejść tam teraz czy nadal obserwować? Ruszyć za głosem serca czy jeszcze poczekać? Nagle drgnęła.

– Buon giorno, signorina. – Jak spod ziemi wyrósł przed nią młody kelner w grafitowej zapasce. – Cosa vuoi da bere?<sup>[2]</sup>

– Eee... – domyślała się tylko, że Włoch chce przyjąć od niej zamówienie.

– Caffè, tè, acqua?<sup>[3]</sup>

– Can I ask for iced coffee?<sup>[4]</sup> – zapytała po angielsku, mając nadzieję, że zostanie zrozumiana.

– Of course, ma'am – przytaknął chłopak z uśmiechem, zapisał coś w notesiku i oddalił się z ukłonem.

Odprowadziła go wzrokiem, po czym znów zasłoniła się kartą, obserwując drzwi naprzeciwko. Cały czas były zamknięte. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. A ją coraz bardziej korciło, żeby je otworzyć.

Myśli ścierały się w jej głowie jak masy ciepłego i zimnego powietrza. Czy sprowokują tornado?

Nakazała sobie spokój. Posiedzi i poobserwuje. Może Nadarzewski zaraz wyjdzie? Może nie sam? A jeśli będzie z nim Ryszard Wołoszyc, czy Zuza będzie umiała go rozpoznać? Widziała go tylko na starych zdjęciach sprzed niemal trzydziestu lat. Nie! Ludzie się zmieniają. Starzeją się. A serce? Czy podpowie jej serce?

Zuzanna miała nadzieję, że lodowata kawa ostudzi choć trochę chęć wejścia do budynku, więc wciągnęła ją przez grubą słomkę prawie duszkiem. Nic z tego!

Zostawiła kilka monet na stoliku i przeszła na drugą stronę podwórka. Kilkakrotnie podchodziła do bramy i cofała się. Miała wrażenie, że jest już bardzo blisko kresu swoich poszukiwań, to znów wewnętrzny głos podpowiadał, że to jeszcze nie to. Gdyby ktoś ją teraz obserwował, pomyślałby pewnie, że jest niespełna rozumu. W końcu zebrała się w sobie, kilka razy głębiej odetchnęła i energicznie wyciągnęła rękę do klamki, w obawie, że znowu jakaś wewnętrzna siła będzie chciała ją powstrzymać.

Już czuła pod palcami chropowatą rdzę, już miała mocniej nacisnąć, gdy nagle poczuła, jak silna ręka łapie ją od tyłu w pasie, a druga zatyka jej usta, zanim zdążyła krzyknąć. Przestraszona dusza uciekła jej w głąb ciała, pozostawiając bezsilną Zuzannę na pastwę przeciwnika, który wciągał dziewczynę do obskurnej bramy. Czy ktoś może jej pomóc? Czy ktoś widział, że została napadnięta? Gdzie się wszyscy podzieli? *Ratunku!* – Chciała wezwać pomoc, ale nie mogła.

Miała wrażenie, że za chwilę nastąpi koniec. Jeśli ktoś chce ją zabić, dlaczego do cholery wybrał ten właśnie moment? Dlaczego nie pozwolił jej wejść do środka? Przed zamglonymi strachem oczami przeleciało jej wszystko to, czego jeszcze nie zdążyła zrobić: wychować Łukasza, pogodzić się z rodzicami, odnaleźć Ryszarda Wołoszyca... Pomyślała o Maksie. Gdyby go nie odpychała, mógłby teraz przy niej być i ją uratować... Czy go kocha? Dlaczego w chwili zagrożenia myślała właśnie o nim? Nie! Nie może się poddać! Poczwała, jak strach zamienia się we wściekłość. Jak wlewa w nią siły do walki. Zaczęła się wyrwać, szamotać, ale agresor nie zwalniał uścisku. Przeciągnął ją przez bramę i zatrzymał się dopiero w ciasnym kącie śmierdzącego wilgocią podwórka. Wtedy zamachnęła się i jednym pewnym ruchem wbiła mu łokieć w brzuch. Jęknął i puścił ją. W amoku, zamiast uciekać, odwróciła się do niego i zamierzyła się pięścią, lecz zdążył chwycić jej rękę.

– Ty...! Ty...! – Z trudem łapała oddech, nadaremnie usiłując wyrwać dłoń z silnego uścisku. Wściekłość wykrzywiła jej twarz. – Puść! Słyszysz? Puść! – Zamachnęła się drugą ręką, ale i ta została powstrzymana. Zaczęła go kopać, jednak on jakby nic sobie z tego nie robił.

Chciała krzyknąć, ale przyparł ją do muru i zniemacka zamknął jej usta pocałunkiem. Poczwała jego smak. Miała wrażenie, że kamienny chodnik obsuwa się pod jej stopami, a ona sama wpada w bezdenną otchłań, tracąc poczucie rzeczywistości.

– Tu jest niebezpiecznie. – Usłyszała jego głos i nagle oprzytomniała. – Chodźmy stąd.

– Jak śmiesz! – Z furią odepchnęła go od siebie. – Odbiło ci? Co ty wyprawiasz? I co tu do cholery robisz? – wydarła się na niego.

– Ćśśś! – uspokajał ją. – Nie możemy tu zostać. Tu jest niebezpiecznie – powtórzył i pociągnął ją za rękę.

– Nigdzie z tobą nie pójde, dopóki nie dowiem się, co tu robisz! – Wyrwała mu się znowu. – Dlaczego nie pozwoliłeś mi tam wejść? Byłam już tak blisko!

– Blisko czego?

– Mogłam go zobaczyć! Mogłam go wreszcie poznać! – wykrzyczała.

– Ćśśś! – Ponownie zatkał jej usta i wychylił głowę za bramę. – Jak się nie zamkniesz, to już po nas. – Nagle spojrzał na nią zdziwiony. – Kogo chciałaś poznać, Zuza?

Zdjęła jego rękę ze swojej brody i wlepiła w niego wielkie piwne oczy. O co mu chodziło? Czym chciał jej zaimponować? Bohater się, kurde, znalazł.

– Nie twój interes. Jestem blisko czegoś bardzo ważnego, więc puść mnie z łaski swojej i pozwól mi dokończyć to, co zaczęłam.

– Odpowiedz.

Wyrwała mu się z uścisku.

– Odczep się! – rzuciła ze złością. – Jeśli mnie zatrzymasz, zacznę krzyczeć, że mnie napadłeś. I to wcale nie będzie kłamstwo. – Pogroziła mu pięścią i ruszyła do bramy.

– Koniecznie chcesz się dowiedzieć, dokąd trafiają twoje obrazy? – Zatrzymały ją te słowa. –

Przyznaj się, Zuza, ile kopii już dla niego namalowałaś?

– Co? – Odwróciła się gwałtownie, rozdziawiając usta.

– Nie rób takiej zdziwionej miny. Przecież wiem.

– Nic nie wiesz! – wrzasnęła, czując narastającą złość. Jak on śmie o cokolwiek ją podejrzewać?

Usłyszeli kroki dobiegające z ulicy. Maks jednym ruchem przyciągnął ją do siebie i ponownie wyjrzał przez bramę.

– Cicho! – nakazał. – Idą!

– Kto? – Wychyliła się, aby również zobaczyć.

Mignęła jej przed oczami postać Nadarzewskiego w towarzystwie trzech mężczyzn. Ten, który szedł obok niego, miał długie, białe jak śnieg włosy, splecione z tyłu głowy w cienki warkocz, związany czarną tasiemką. Pomimo lejącego się z nieba skwaru ubrany był w długi, biały płaszcz. Zuza nie dostrzegła jego twarzy. Mogła jedynie przypuszczać, że jest dużo starszy od Nadarzewskiego. W ręku niósł doskonale znaną jej teczkę. Dwaj pozostali mężczyźni wyglądali jak obstawa. Dobrze zbudowani, w ciemnych okularach, trzymali się dwa kroki z tyłu.

Czy ten siwy człowiek mógł być jej ojcem? Na samą myśl serce mocniej jej zabiło. Oczywiście, że mógł. Wyglądał jak artysta. Jak malarz. Jak mistrz. Zaschło jej w gardle, a na karku poczuła strużkę potu. Przez chwilę pomyślała o Maszu, ale szybko go wykluczyła. Co on by tu robił? Myśli kłębiły się w jej głowie jak fale wzburzonego Adriatyku. Czuła, że jest blisko, a jednocześnie bardzo daleko. Kim jest człowiek, który trzyma czarną teczkę? I dlaczego, do cholery, Maks twierdzi, że tu jest niebezpiecznie?

Wtem rozległ się huk. Wystraszona Zuzanna instynktownie wtuliła się w Maksa, czując na łydkach piekący ból. Spojrzała w dół. Tuż przy jej nogach rozbiła się gliniana donica ze zwiędłą paprotką. Jakby zrzucono ją z dużej wysokości. Zuzanna syknęła z bólu. Na jej nogach zaczęły pojawiać się czerwone krople krwi. Znów usłyszeli kroki. Zbliżały się. Oboje wyjrzeni przez bramę. Jeden z goryli Siwego Mistrza odłączył się od pozostałych i powoli szedł w kierunku miejsca, skąd rozległ się huk. Zbliżał się do nich. Zuzanna struchlała. Mężczyzna trzymał w ręku... Dobrze widziała? Pistolet?

– Doigrałaś się! – Maks energicznie pociągnął Zuzę za rękę.

Zanim się zorientowała, pędziła już za nim przez wąski kamienny korytarz, znajdujący się po drugiej stronie wilgotnego podwórka. Skąd Maks wiedział, dokąd on prowadzi? Przebiegli przez wysuszoną słońcem piaszczystą drogę, wzdłuż metalowej siatki, za którą rozciągał się gaj oliwny. Zuza przestała czuć. Nie było bólu poranionych nóg. Nie było zmęczenia. Maks puścił jej rękę, ale ona nie przestała biec. Pędziła za nim, dotrzymując mu kroku. Szybko! Jeszcze szybciej! Czy tamten człowiek ich gonił? Bała się obejrzeć za siebie. Bała się sprawdzić. Boże! On przecież miał broń! Serce trzepotało jej pod gardłem.

Przebiegli kilkaset metrów. Może kilometr. Zuza opadała z sił. Spojrzała przed siebie i dostrzegła czarną terenówkę Maksa. Zbawienie!

– Jeśli nas zobaczyli, już po nas. – Zdenerwowany uruchomił samochód i ruszył.

Ciężko dysząc, Zuza spojrzała na swoje poranione łydki. Maks podał jej opakowanie mokrych chusteczek. Bez słowa zaczęła wycierać brunatne strużki krwi pokryte szarym pyłem. Jęknęła. Czuć powróciło. Powrócił ból.

– Chyba za nami nie pobiegł – powiedział Maks, spoglądając w lusterka. – Inaczej już mielibyśmy ogon.

– Możesz mi powiedzieć, co się tu do cholery dzieje? – wybełkotała, wyciągając z pojemnika kolejne chusteczki. – Kim są ci ludzie? Czego od nas chcą?

– Jeśli dobrze pamiętam, miałaś zamiar ich poznać. – Zerknął na nią z boku. – To prawie ci się udało. Dowiem się wreszcie, co tam robiłaś?

Zuzannie zaczęły puszczać nerwy. Strach i ból. Panika i łzy. Jeden mętlik. Tysiąc niewiadomych. Ucisk w gardle, trzęsące się dłonie.

– Chciałam tylko się dowiedzieć. – Słone krople potoczyły się po jej policzkach. – do kogo trafił obraz mojego ojca.

– No proszę – skwitował. – To pan Kosteczki też maluje?

– Co ty mówisz! – Miała rozdygotany głos. – Szukałam ojca! Biologicznego ojca! – Nie mogła dalej mówić. Skuliła się, zakryła dłońmi twarz i głośno zapłakała.

Maks o nic więcej nie pytał. Spojrzał na nią i zrobiło mu się jej żal. Siedziała na fotelu obok jakby nieobecna, z podkurczonymi nogami, z głową zwróconą do bocznej szyby. Jej nogi pokryte były plamami zaschniętej krwi i drobnymi, brudnymi strupkami powstałymi od uderzenia odłamków donicy. Gdyby stała kilka centymetrów dalej, mógłby ją stracić. Boże! Nie chciał o tym myśleć. Co ona do diabła tam robiła? Kogo chciała poznać? Czy rzeczywiście nie wiedziała, w co się pakuje?

Kiedy obserwował, jak niepewnie krążyła pod tamtą bramą, przypuszczał, że należy do szajki Nadarzewskiego. Ale dlaczego mieliby zostawić ją pod domem? Na czatach? Potem już nie wiedział, co ma myśleć. Zbiła go z tropu, gdy wahała się, czy ma tam wejść. Dlatego ją powstrzymał. Zadziałał impulsywnie. Kim był biologiczny ojciec Zuzanny? Gangsterem?

Początkowo nie miał zamiaru jechać do Włoch. Nie chciał widzieć, jak Zuzanna mizdrzy się do Nadarzewskiego, nie chciał poznać siły kolejnego rozczarowania. Postanowił zostać w Polsce i skupić się na obserwowaniu chłopaka, którego śledził kilka dni temu w okolicach politechniki. Tym razem skoncentrował się na tym drugim. Dostał cynk od swojego informatora w Warszawie, że mężczyzna, którego Maks widział z Zuzą w kawiarni, jedzie do Monachium. Pojechał więc za nim. Kiedy Filip zawiadomił go, że Nadarzewski leci do Paryża, Maks wystął za Aleksandrem swojego człowieka. Okazało się jednak, że amant Zuzanny dopiero w niedzielę wieczorem pojechał na lotnisko, gdzie odebrał zarezerwowany wcześniej bilet. I to dokąd? Do Foggia. Zaledwie dziewięćdziesiąt kilometrów od Vieste, czyli tam, gdzie pojechała Zuzanna z Kordejami. Po tej informacji Maks zmienił parametry docelowe w nawigacji i z obwodnicy Monachium skierował się do Włoch.

Zaparkował samochód tuż pod swoim apartamentem.



– Jesteśmy na miejscu – powiedział do Zuzanny.

Nie zareagowała.

– Hej! – Dotknął jej ramienia. – Wsiadamy.

Znów cisza. Przynął się bliżej i zgarnął włosy z jej twarzy. Zasnęła, czy tylko udaje? Wysiadł, przeszedł na drugą stronę i otworzył jej drzwi. Zuzanna miała zamknięte oczy, pierś drżała jej w płytkim oddechu. Maks przyglądał jej się przez chwilę. Wyglądała tak... bezbronne. Poglądził wierzchem dłoni jej twarz i delikatnie pocałował ją w usta. Otworzyła oczy. Ale jakby nieobecne, przestraszone.

– Jesteśmy na miejscu – powtórzył, wyciągając do niej rękę. – Chodź.

Rozejrzała się nieprzytomnie.

– Nigdzie nie idę – odparła cicho. – Odwieź mnie tam, skąd mnie zabrałeś. – Ponownie przymknęła oczy.

– Zuza, proszę.

Nie odpowiedziała. Wtuliła się w siedzenie, przyjmując pozycję embrionalną.

Maks, niewiele myśląc, wziął ją na ręce. O dziwo, nie protestowała. Objęła go za szyję i pozwoliła zanieść się na górę.

\*

Jedyną wolną kwaterą, jaką udało mu się wynająć w tej okolicy, był pięcioosobowy apartament w Peschici, oddalonym o kilkanaście kilometrów od Vieste, z którego w ostatniej chwili zrezygnowało małżeństwo z trojgiem dzieci. Potrzebował pokoju na dwa, trzy dni, a tymczasem przyjdzie mu zapłacić za cały tydzień. Nie przejmował się tym jednak.

Apartament składał się z dwóch sypialni, łazienki i małego salonu z rozkładaną kanapą i aneksem kuchennym, z którego wychodziło się na obszerny niezadaszony taras.

Maks położył Zuzannę na łóżku w sypialni i postanowił zająć się skaleczeniami na jej nogach.

– Nie wygląda to dobrze.

Zaschnięte i brudne zadrapania mogły spowodować zakażenie. Zdjął jej buty i przyniósł z łazienki czysty ręcznik. Moczył go w ciepłej wodzie i przykładął delikatnie do poranionej skóry Zuzanny. Spoglądał na nią co chwilę, sprawdzając, czy nie sprawia jej bólu. Jej mina była nieodgadniona, leżała ze wzrokiem wlepionym w sufit.

Przyniósł z samochodu apteczkę, z której wyjął wodę utlenioną.

– Będzie trochę piekło – powiedział, polewając obficie wyjałowiony gazik. – Ale trzeba to zdezynfekować.

Musiał ją zabołeć, bo gwałtownie cofnęła nogę i usiadła na łóżku.

– To wszystko twoja wina, wiesz? – zawołała nagle. – Pojawiłeś się w moim życiu po to, by

mnie dręczyć. Nawet swoim dotykiem sprawiasz mi ból.

– Zuza – westchnął. – Spokojnie. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale pozwól mi proszę dokończyć. To potrwa tylko chwilę.

– Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. – Opadła na po duszkę rozgoryczona. – Nawet rodzice! Ludzie, których kochałam, którym bezgranicznie ufałam, oszukiwali mnie przez całe życie. Mało tego! Mój biologiczny ojciec nie chciał być przy mnie, kiedy dorastałam. – Maks znów zobaczył łzy w jej oczach. – Dwa miesiące temu zmarła moja najlepsza przyjaciółka, wcześniej straciłam narzeczonego... Jestem w obcym kraju, z daleka od swojego dziecka, uciekam przed gangsterami, spadające doniczki świszczą mi nad głową, a ty każesz mi się uspokoić?

Maks, zaskoczony jej nagłym wyznaniem, nie wiedział, co powiedzieć. Chciał ją przytulić i ukoić jej żal. Ale bał się jej reakcji.

– Nie płacz, proszę. – Pogładził jej dłoń. – Wszystko będzie dobrze.

Te słowa jakby coś w niej otworzyły. Spojrzała na Maksa ze łzami w oczach i ku jego zdziwieniu zaczęła opowiadać mu swoją historię od momentu śmierci Basi. Już bez sprzeciwu pozwoliła, aby zdezynfekował skaleczenia na jej nogach.

Gdy skończyła, przysunął się do niej, wziął ją w objęcia i długo kołysał w ramionach. Dopiero gdy zasnęła, ostrożnie położył ją na poduszce. Potem jeszcze obmył jej stopy. Zgrabne palce nóg o pomalowanych na czerwono paznokciach wzbudziły w nim nagłe pożądanie. Zaczął je dotykać, masować, pieścić... Miał wrażenie, że Zuzanna uśmiecha się przez sen. Czyżby reagowała na jego dotyk? Delikatnie powiódł ręką po jej udzie. Choć bardzo jej pragnął, nie pozwolił sobie na nic więcej.

Potem wstał i wyszedł na taras. Zbliżała się szesnasta. Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer Filipa.

– Dlaczego nie odbierasz, kiedy do ciebie dzwonię? – zapytał Maks. – Rozumiem, że jesteś zajęty żonką i nadrabiasz zaległości, ale pamiętasz, że mamy sprawę?

– Pamiętam.

– Gdzie jesteś?

– Siedzę z żonką na przytulnej samotnej plaży i nadrabiam zaległości. – Maks usłyszał śmiech po drugiej stronie słuchawki. – Spoko! Wszystko pod kontrolą.

– Wszystko pod kontrolą to teraz mam ja.

– Przyjechałeś jednak – domyślił się mąż Olgi.

– Tak. Zaraz wyślę ci mój adres SMS-em. Lepiej będzie, jeśli dzisiaj przenocujecie u mnie. Musimy pogadać.

– Okej. Zgarnę tylko Zuzannę z willi.

– Nie trzeba. Zuza jest już u mnie.

– Szybko działasz – powiedział Filip z uznaniem. – Dobra. Niedługo będziemy.

– Nie ma pośpiechu. – Maks zniżył głos. – Zuza teraz śpi. Możesz jeszcze posiedzieć na tej samotnej plaży, a potem zabrać Olgę na zwiedzanie miasta. Będzie zadowolona. Idźcie też na dobrą kolację. Nie wiadomo, jak długo tu jeszcze zostaniemy. Chciałbym porozmawiać z Zuzą, kiedy się obudzi. Mamy sobie do wyjaśnienia jeszcze kilka kwestii.

– Gdzie mama? – zapytał Kacper, kładąc w przedpokoju torbę podróżną – Głodny jestem.

– W robocie, a gdzie ma być? – Przemek zamknął drzwi. – Obiad masz w kuchni.

– A Wojtek?

– U panienki.

– Młokos ma już dziewczynę? – zdziwił się Kacper. – Kto by przypuszczał? Jest lepszy od nas.

– Mów za siebie, brat – zachnął się Przemek. – Poznałem ostatnio na uczelni długonogą malarkę. Niezła dupeczka. Jak wrócimy do Polski, to może ci ją przedstawię. Jeśli oczywiście obiecasz, że nie będziesz się do niej przystawiał.

– A czy ja kiedykolwiek przystawiałem się do twoich lasek? – odgryzł się Kacper, wchodząc do kuchni. – Poza tym malarki już mnie nie interesują.

Nałożył sobie na talerz dwa schabowe i łychę ziemniaków, wziął całą salaterkę z mizerią, zaniósł wszystko do dużego pokoju i zabrał się do jedzenia.

– Nie ma to jak obiad u mamy, co? – Przemek usiadł naprzeciwko niego przy stole i przyglądał się, jak brat pałaszuje kotlety. – Wyglądasz, jakbyś nie jadł przez tydzień. Nie wsuwaj tak szybko, bo się udławisz.

– Piwa byś lepiej dał.

Po chwili na stole stanęły dwie schłodzone puszki. Kacper otworzył swoją i pociągnął porządny łyk.

– Czemu nie interesują cię już malarki? – zapytał Przemek. – Czyżby jakaś zalazła ci za skórę?

– Żeby tylko za skórę – mruknął, przełykając kolejne kęsy. – W mojej torbie z boku jest niebieska koperta. Poczytaj sobie, to się dowiesz.

Przemek spojrzał badawczo na brata, po czym skoczył do przedpokoju. Przyniósł kopertę i rozsiadł się z nią w fotelu.

– Ładnie pachnie. – Powąchał niebieski papier. – List miłosny?

– Ładnie? – Kacper zaśmiał się. – W tamtej kieszeni trzymałem brudne skarpetki.

– To co ty mi tu dajesz? – Przemek wzdrygnął się z niesmakiem i jeszcze raz niepewnie przytknął kopertę do nosa. – E! Nie czuć.

Wyjął listy, wsparł nogi o ławę i zaczął czytać.

Kacper skończył obiad i przysiadł się z piwem do brata.

– Zaskoczony? – zapytał, spoglądając na jego minę. – Mówiłem ci, że rodzina nam się powiększyła.

– Siostra... – Przemek zamyślił się, odkładając listy na ławę. – Ciekawe, czemu stary nam o niej nie powiedział.

– Zamknął tamten rozdział swojego życia i wyniósł go na strych – odparł ponuro Kacper. – Egoista.

– To przynajmniej tłumaczy jego zachowanie.

– Ale nie usprawiedliwia. – Wziął porządny łyk piwa. – Nic go nie usprawiedliwia.

Przemek przyglądał mu się uważnie.

– Zabujałeś się we własnej siostrze! – skwitował nagle. – Nie zazdroszczę ci, brat.

– Wtedy nie wiedziałem, że nią jest. – Opróżnił puszkę, zgniótł ją i ze złością rzucił w kąt pokoju. – Przyniesiesz jeszcze?

– Nie ma więcej. Trza by się kopnąć do marketu.

– Kiepsko się przygotowałeś.

– Na trzeźwo będziesz lepiej gadał – stwierdził Przemek. – Jak ją poznałeś?

– Przyjechała z koleżanką do Korpniewa – zaczął Kacper – ale wtedy nie przyznała się, kim jest.

Opowiedział bratu, jak uruchomił dżipa wranglera i o spotkaniach z Zuzanną na politechnice.

– Rzeczywiście przypomina kobietę z obrazu ojca? – Przemek jakby w zamyśleniu spojrzał w okno.

– Jej twarz od początku wydała mi się znajoma. Jakbym gdzieś już ją widział. Ale przede wszystkim chciałem wyskoczyć z jakąś dobrą bajerą, wiesz, zaimponować. Dlatego zrobiłem zdjęcie i pokazałem jej. Tylko nie mam pojęcia, jakim cudem udało jej się rozpoznać swoją matkę na takim małym ekranie. Zresztą sam zobacz. – Wyciągnął telefon z kieszeni i spostrzegł, że jest rozładowany. – Cholera! A ja się zastanawiałem, dlaczego nikt do mnie nie dzwoni.

Gdy podłączył komórkę do ładowarki, ciche piknięcie powiadomiło go o nadejściu SMS-a. Wiadomość była od Zuzanny. Poczuł ukłucie w piersiach i przez chwilę zastanawiał się, czy ma przeczytać.

– Rozmawiałeś z nią jeszcze potem? – zapytał Przemek, nie odrywając wzroku od okna.

– Nie. Wysłaliśmy do siebie tylko mejle. – Kacper odłożył telefon, wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę i podał ją bratu. – Napisała, że jedzie do Włoch szukać ojca.

– Dokąd jedzie? – Przemek rozwinął papier i pospiesznie zaczął czytać. – Do Włoch?

Z Nadarzewskim? Nie wierzę! Z tym Nadarzewskim?

– Co jest?

– Kurwa mać! – zaklął głośno. – Ale się narobiło!

– Ej! – Kacper był mocno zdziwiony. – Co to za Nadarzewski?

– Muszę zajarać.

Kiedy Przemek przypalał papierosa, Kacper otworzył wiadomość o Zuzanny.

– Posłuchaj, co napisała: „Szybko uwinąłeś się ze sprzedażą obrazu. Szkoda! Myślałam, że go od Ciebie odkupię. Zależało mi na nim. No cóż...Trudno!” – przeczytał na głos. – Rozumiesz coś z tego?

Przemek zaciągnął się dymem i zaczął nerwowo spacerować po pokoju.

– Mówię do ciebie, młody – niecierpliwił się Kacper. – Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Przemek zgasił papierosa i głośno westchnął.

– Chyba powinieneś o czymś wiedzieć, brat.

Zuzanna otworzyła oczy, ale szybko je zamknęła. Chciała na powrót przywołać sen o Basi. Jej twarz, oczy, uśmiech... Widziała ją jakby w oddali, we mgle. Chciała zbliżyć się do niej, ale nie mogła. Musiała zadowolić się tym, że ogląda ją szczęśliwą.

Sen jednak nie powracał. Usiadła więc na łóżku i rozejrzała się. Początkowo myślała, że jest w domu Masza, lecz kiedy zorientowała się, że to całkiem inne miejsce, poczuła niepokój. Za oknem niebo było szare i ciężkie od chmur.

Zerwała się z łóżka i wyszła z sypialni. Na kanapie w salonie, z głową opartą na ręce, leżał Maks. Gdy go zobaczyła, błyskawicznie przypomniała sobie ten okropny incydent w mieście. Przysiadła na krześle i obejrzała swoje łydki. Kilka zadrapań i siniaków, ale były czyste. Hmm...

– Jak się czujesz? – zapytał, masując zdrętwiały kark. – Lepiej trochę?

– Chyba tak.

*Naprawdę mu to wszystko opowiedziałam?* – zastanawiała się.

– Myślisz, że ktoś specjalnie rzucił tę doniczkę? – zapytała.

– Nie wiem. Być może komuś przeszkadzały twoje wrzaski.

Zmieszała się.

– A ty? Co tam robiłeś?

– Ratowałem cię.

– Chyba raczej szpiegowaleś.

– Myśl sobie, co chcesz. – Wzruszył ramionami.

– Wiesz co? – Przetarła dłońmi twarz. – Dzisiaj to dla mnie za trudne. Mógłbyś mnie odwieźć? Jestem wykończona. Chciałabym się wykąpać i przebrać. I muszę zadzwonić do Olgi. Pewnie niepokoi się, że nie wróciłam.

– Dzisiaj cię tam nie odwiozę. – Spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Jeśli chcesz się wykąpać, łazienka jest do twojej dyspozycji. A Olga z Filipem będą tu za trzy – zerknął na zegarek – może cztery godziny.

– Dlaczego mi to robisz?

– Ponieważ chcę cię chronić.

– Obejdzie się! – Wstała. – Jeszcze stać mnie na taksówkę. Powiedz mi tylko, gdzie jestem.

– Dobra. – On również się podniósł. – Mam propozycję. Zjedźmy coś i porozmawiajmy. Jeśli po tym, co ci powiem, uznasz, że chcesz wracać, odwiozę cię, zgoda?

Spojrzała mu w oczy. Była w nich osobliwa szczerość. Czy miała powody, aby mu nie ufać? Zapewne znalazłaby kilka, ale czy nie chciała się dowiedzieć choćby tego, dlaczego tu przyjechał?

– Okej! – Zgodziła się po chwili namysłu. – Niech będzie. Trzymam cię za słowo.

– W porządku. – Wyglądał na zadowolonego. – Zamówię kolację, a ty jak chcesz, weź prysznic. Może cię trochę orzeźwi.

Zamknęła się w łazience i długo stała pod włączonym natryskiem, pozwalając wodzie obmywać swoje ciało. Chciała, żeby spłynęło z niej zmęczenie. Fizyczne i duchowe. Kilka godzin temu, gdy opowiedziała Maksowi o swoich rozterkach, poczuła ulgę. Jakby zrzuciła z siebie od dawna zalegający ciężar. To było jak oczyszczenie. Katharsis! Do tej pory wierzyła, że jest w stanie tego dokonać tylko dzięki malowaniu. A teraz? Teraz był ktoś, kto nareszcie zdjął z niej to brzemie. Była mu wdzięczna.

Wyszła z kabiny, okręciła mokre włosy ręcznikiem i podniosła z podłogi swoje ubranie. Było nieświeże i brudne. Na koszulce i szortach widniały ślady krwi. Nie ma mowy, aby Aleksander ją zobaczył w czymś takim. Musiałaby się jakoś sensownie wytłumaczyć. Należało coś z tym zrobić. Zajrzała do szafki. Znalazła w niej kilka bawełnianych szlafroków z wyszytym emblematem. Na ścianie wisiał grzejnik elektryczny. Niewiele myśląc, włączyła go, przeprała w umywalce swoje rzeczy i powiesiła na grzejniku. Za dwie godziny powinny być suche. Czy będzie siedziała tu tyle czasu?

*Trudno! Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.*

Na wszelki wypadek nastawiła grzanie na maksimum i wyszła z łazienki. Na tarasie czekała na nią kolacja. I zapalone świece. I czerwone wino. Zdjęła turban z głowy, aby poczuć się choć trochę bardziej komfortowo w swoim małym wieczorowym stroju.

– Przepraszam – powiedziała nieco zawstydzona. – Moje ubranie chwilowo nie nadaje się do

użytku.

– Mnie to nie przeszkadza. – Wskazał jej miejsce i pomógł usiąść. – Jeśli o mnie chodzi...

– Dobra, dobra! Nie kończ. – Przerwała mu. – I nie wypij za dużo. Pamiętaj, że masz mnie jeszcze dzisiaj odwiedzić.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i nalał wina do kieliszków.

– Na co ma pani ochotę? – zapytał, wskazując bogato zastawiony stół. – Tagliatelle con prosciutto? Pierś z kurczaka nadziewana mozzarellą, pomidorami i bazylią? Sałatka z łososiem? A może coś z owoców morza?

– Wszystko. – Przełknęła ślinę, czując ssanie w żołądku. – Jestem głodna.

Nieważne, skąd wytrzasnął to jedzenie. Ważne, że wyglądało i pachniało smakowicie. Przez kilkanaście minut jedli w milczeniu. Zuza widziała, że Maks co chwila na nią spogląda. Ona natomiast starała się kontrolować, żeby nie wypił więcej niż jeden kieliszek wina. Bo jak ją potem odwiedzie?

– To mówisz, że szukasz biologicznego ojca, Zuza? – zagadnął Maks. – Dlaczego akurat tutaj?

– Przyjechałam za jego obrazem – odpowiedziała.

– No tak. – Uśmiechnął się, nabijając na widelec sałatę. – Czy jest nim ten siwy gość z warkoczem?

– Nie mam pojęcia. – Spojrzała na niego oziębło. – Przeszkodziłeś mi, więc nie miałam jak tego sprawdzić. Powiesz mi, co tam robiłeś?

– Czyli nie jest nim pan Kostecki? – Zignorował jej pytanie.

– Nie. Jest nim Ryszard Wołoszyc. – Była pewna, że wspomniała to nazwisko. – Znasz go? Jest malarzem.

Maks odłożył sztucę na talerz, głośno westchnął i zamyślił się chwilę.

– Znasz? – powtórzyła, przyglądając mu się wnikliwie.

– Czyli mam rozumieć, że Kacper Wołoszyc i jego młodszy brat Przemysław należą do twojej rodziny?

– Tak. To moi bracia – odparła, ściągając brwi. – Skąd o nich wiesz?

– A kim dla ciebie jest Aleksander Nadarzewski? – Nie zważając na pytania, przyglądał się jej badawczo. – Jeśli dobrze pamiętam, widziałem go kiedyś u ciebie w banku. Mijałem się z nim w drzwiach.

– Proszę, co za pamięć... Facet jest moim klientem z banku.

– Ale ja chciałabym wiedzieć, kim jest dla ciebie.

– Nie słyszałeś?

– A prywatnie?

Zmierzyła go długim spojrzeniem z ukosa.

– Odpowiedz – nalegał.

– Nikim! – krzyknęła nagle, poirytowana. – Nikim! Słyszysz? – Z głośnym brzękiem uderzyła widelcem o talerz i wstała, przewracając krzesło. – Po co te pytania? Czy to przesłuchanie?

– Jestem dziennikarzem śledczym – wyjaśnił spokojnie, podniósł krzesło i usadził na nim wzburzoną Zuzannę. – Nie denerwuj się. – Poglądził ją po ramionach, ale ona zepchnęła jego rękę. – Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Czy to, że jesteś dziennikarzem śledczym, upoważnia cię do szpiegowania mnie? – zapytała nieco opanowana. – Jeśli wszystko wiesz, to może mi powiesz, gdzie jest mój ojciec, co? Nie będę musiała narażać się na spadające doniczki i na facetów goniących mnie z bronią. Mówisz, że chcesz mnie chronić, a tymczasem doprowadzasz do obłądu. A już myślałam, że... zresztą, nieważne. Zaraz stąd znikam. – W głębi duszy miała nadzieję, że przyjechał tu dla niej.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie – poprosił. – Obiecuję, że ostatnie. – Odczekał chwilę.

– Naprawdę nie malujesz dla Nadarzewskiego?

W oczach Zuzanny pojawiła się złość. Miała wrażenie, że dłużej tego nie znieśie. Zupełny brak emocji w głosie Maksa był bardziej denerwujący niż wybuch gniewu.

– Maluję tylko dla siebie. – Sama nie pojmowała, dlaczego mu to mówi. – Tylko i wyłącznie dla siebie, rozumiesz? Kiedyś rzucę bankowość i otworzę własną galerię! Ale teraz maluję tylko i wyłącznie dla siebie!

Zapadła cisza. Zuza czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. A więc urządził całą tę kolację tylko po to, żeby wyciągnąć ważne dla siebie informacje. Już jej nie zależało, aby ją odwoził. Wróci sama. Bez niczyjej łaski. Niech tylko wyschnie jej ubranie.

– Najpierw słuchasz i przytulasz, a potem zadajesz pytania, które biją po twarzy otwartą dłonią – skwitowała. – Łatwiej byłoby mi cię nienawidzić.

– Nie znam Ryszarda Wołoszyca, ale jeśli chcesz, odnajdę go. – Usłyszała nagle łagodny głos Maksa i podniosła na niego mokre oczy. – Szepnij tylko jedno słowo. Uruchomię swoje kontakty i odszukam go dla ciebie.

Milczała.

– Chcesz wiedzieć, kim jest pan Aleksander Nadarzewski? – Nie spuszczał z niej wzroku. – Obiecałem ci wyjaśnienia. Proszę bardzo. To przemytnik i oszust – mówił spokojnie. – Handluje dziełami sztuki, kradzionymi obrazami i zleca ich kopiowanie. Najprawdopodobniej wciągnął w to również twoich braci.

– Nie wierzę ci. – Potrząsnęła głową.



– Ten człowiek zadaje się z niebezpiecznymi ludźmi, Zuza – ciągnął. – Mafie, gangi, zorganizowane grupy przestępcze... Sama widziałaś, do czego mogą być zdolni.

– Kłamiesz.

– Po co miałbym to robić? – Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. – Taki mam zawód i dużo wiem. Nie chcę ci tego udowadniać. Chcę tylko, żebyś mi uwierzyła.

– A ja? – zapytała cicho. – Co ja w tym wszystkim robię?

– Kiedy obserwowałem młodszego Wołoszyca pod politechniką i zobaczyłem cię tam, przypuszczałem, że z nimi współpracujesz.

Nie odezwała się. Jak mogła dać wiarę jego słowom, kiedy brzmiały tak nieprawdopodobnie.

– Jeśli ty nie malujesz dla Nadarzewskiego – pogładził jej dłoń – to zapewne robi to twój młodszy brat Przemek, który studiuje malarstwo na ASP w Warszawie.

– Bujda! – Znowu podniosła głos. – Wymyśliłeś to sobie!

– Powiedz mi tylko, jaki miałbym w tym cel?

Nie wiedziała. Te informacje zaczęły ją przerastać. Szpeciły jej obraz świata. Farba zachodziła na ramę. Nie tak się maluje. Nie takie obrazy.

Zuza nie rozumiała, które z uczuć jest silniejsze: wściekłość czy...? Wstała od stołu i wyszła. Po chwili wróciła z paczką vogue'ów. Przypaliła papierosa, zaciągnęła się dymem i wsparła łokcie na balustradzie tarasu. Było ciemno, a na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. W oddali pojawiały się tylko wyraźnie zarysowane błyskawice. Zbierało się na burzę. A przecież ładna pogoda nad morzem we Włoszech, zwłaszcza latem, jest niemal gwarantowana.

*A tu, proszę.* – Wystawiła dłoń, aby poczuć spadające krople deszczu. – *Pada.*

Maks podszedł do niej, wyjął z jej dłoni papierosa i zgasił go w popielniczce. Nie zareagowała. Nadal wpatrywała się w iskrzące niebo.

Oparł ręce na balustradzie, zamykając Zuzannę między swoimi ramionami. Poczula jego zapach i na chwilę zamknęła oczy. Otuliła ją piżmowa woń. Powoli wciągnęła powietrze i przez kilka sekund kołysała zmysły na fali tego zapachu. Jak bardzo teraz chciała zatrzymać ten spokój. Zapomnieć się w nim. Ale nie mogła.

– Chodź do środka – poprosił łagodnie. – Zmokniesz.

– Nie roztopię się – odparła, siląc się na obojętność. – A szkoda.

Zbliżył twarz do jej policzka.

– Daj mi spokój, Maks. – Drgnęła niespokojnie. – Jak chcesz, to się schowaj. Mnie tak dobrze.

– Tak też? – Musnął nosem jej ucho.

– Przestań – szepnęła, odchylając głowę.

Chciała uwolnić się z jego objęć. Nie pozwolił jej.

– Dlaczego mi nie wierzysz? – zapytał. – Nie widzisz, że mi na tobie zależy?

– Nie wiem, co widzę.

– A co czujesz?

Nie umiała odpowiedzieć. Chaos w jej głowie mieszał się z chaosem w jej sercu. Zapach, ciepło oddechu, czuły dotyk... Wszystko, czego pragnęła, a zarazem odpychała od siebie. Choć fizyczna bliskość tego mężczyzny onieśmiała ją, to jednak rodziła tęsknotę. Pożądanie.

Maks pogładził Zuzannę po włosach i przesuwał ręce po jej szyi, zsunął delikatnie kołnierz szlafroka, odsłaniając jej ramiona. Zadrżała.

– Zimno ci? – Przytulił się do jej pleców, jakby chciał ją ogrzać. Ale jej skóra była gorąca. Odgarnął mokre loki i musnął wargami jej kark.

Westchnęła cicho, nie mogąc zapanować nad przyspieszonym oddechem. I biciem serca.

Delikatnie pocałował miejsce, gdzie na karku zaczyna się linia włosów, wolno przesuwał usta po szyi aż do zmysłowej linii obojczyka. Zatrzymał się na moment, zwilżył wargi w subtelnym zagłębieniu, wypełnionym kroplami deszczu i podążył z powrotem do góry. Wtulał się w jej włosy, rozczesywał je palcami, gładził jej twarz, całował kark i ramiona. Czekał, aby to ona pozwoliła mu na więcej?

Zuzanna poddawała się tym pieścizdom, uwięziona przez ich zmysłową magię. Już wcześniej poznała tę błogość, lecz wtedy zabraniała jej sobie, uważając, że jest dla niej niedostępna, zakazana. A teraz bariera w jej głowie, budowana i umacniana przez ostatnie lata, jakby traciła swoją siłę, słabła, topniała. Czy zniknęła pod naporem zuchwałych ust Maks, jego zniewalającego zapachu, bliskości? Jedno wiedziała na pewno. Przy nim zaczynała czuć się bezpieczna. Nagle zapragnęła wtulić się w jego ramiona.

Odwróciła się. Ich spojrzenia splotły się ze sobą, a jego stalowoszare oczy patrzyły na nią wyczekująco przybierając barwę pogodnego błękitu.

Onieśmiały ją.

– Uwierz mi, Zuza. – Ostrożnie uniół jej brodę. – Wszystko, co ci powiedziałem, to prawda.

– Już sama nie wiem, w co mam wierzyć – szepnęła. – Nie wiem.

– Myślisz, że dlaczego tu przyjechałem? – Poczula na twarzy jego oddech. – Bo wiedziałem, że nie jesteś tu bezpieczna.

– Nie wierzę... – Zamknęła oczy, czując na ustach muśnięcie jego warg.

– Uwierz, że przyjechałem tu dla ciebie. – Całował jej oczy, czoło, nos. Ponownie wplótł dłonie w jej mokre od deszczu włosy. – Dla ciebie, rozumiesz?

– Nie mogę...

Słowa drżały na jej rozchyłonych wargach. Z trudem łapała oddech. Krople deszczu mieszały się ze łzami, podłoga tarasu kołysała się pod jej bosymi stopami.

– Jeśli mi nie wierzysz... – Łapczywie spijał wodę z jej policzków, z jej ust, brody. Deszcz był coraz silniejszy. Zupełnie jak jego pocałunki. Powiódł opuszkami palców po jej szyi, dekolcie. Poczwała, jak przez bawełniany szlafrok dotyka jej piersi. – Jeśli nie wierzysz...

– To co? – Poddawała się jego zmysłowym pieszczotom.

– To przynajmniej...

Języki splecione we wspólnym tańcu, jej ręce płaszące pod jego koszulą. Rozwiązał jej szlafrok, spojrzał pożądliwie na jej ciało i otoczył dłońmi nagie, krągłe piersi. Znieruchomiła, mimowolnie wydając z siebie ciche westchnienie.

– Uwierz mi chociaż, że cię kocham.

– Co? – Nie wierzyła, że te słowa docierają do jej świadomości.

– Tak, Zuza – wyszeptał. – Kocham cię!

– O Boże! – jęknęła.

Strumienie deszczu nie były w stanie oderwać ich od pocałunku. Zuzanna rozpięła mokrą koszulę Makska i zsunęła ją z jego ramion. Szybko wyswobodził się z niepotrzebnego ubrania i przywarł swoim tarsem do jej piersi. Jego ręce wprawnym ruchem pozbawiły ją jedyne okrycia. Teraz stała przed nim zupełnie naga, skąpana deszczem i pożądaniem.

– Kochaj mnie – jęknęła, gdy zapalczywy język Makska lawirował wokół jej nabrzmiętych sutków.

Uniosła głowę. Spadające z nieba krople uderzały o jej twarz. Maks objął jej biodra, zataczając wokół nich pełne kręgi. Przykląkł i zachłannie gładził wewnętrzną stronę jej ud. Zuzanna czuła, jak wypełnia ją podniecenie, jak wzbiera w niej głód rozkoszy, jak... mężczyzna, który przed chwilą wyznał jej miłość, delektuje się smakiem jej skóry, obsypuje pocałunkami jej brzuch, jak... spoufala się z jej intymnością.

– To szaleństwo! – wydyszała.

– Nie. To doskonałość.

Obfite strugi deszczu płynęły po jej rozgrzanym ciele, spływały po ramionach, piersiach, brzuchu... obmywając delikatne płatki, które Maks rozchyłał wilgotnym językiem.

A ona była bliska omdlenia, zachłystując się deszczem, wstrzymując oddech... Nagle chwyciła się oburącz barierek za plecami, czując, jak do jej wnętrza sływa cudowna rozkosz, jak wprawia ją w drżenie, napina mięśnie... jak eksploduje... Zaciśnęła powieki i wydała z siebie gardłowy jęk, osuwając się na balustradę tarasu.

– Jesteś tak cudownie namiętna – szepnął z satysfakcją, wstał i obsypał pocałunkami jej twarz.

Na kilka długich chwil pozwoliła się otulić jego ramionom, lecz gdy napięcie opadło, zaczęła

oddawać mu pieśczoły, którymi ją tak hojnie obdarowywał. Powoli przesuwala ręce po jego muskularnym torsie. Zaczepnie gryzła sutki. Zanurzała się w jego zapachu.

– Jesteś niesamowita.

– Hmm, nie zauważyłam, kiedy pozbyłeś się szortów. – Uśmiechnęła się do niego.

Był jak Adam w raju. Tylko jej. Tylko dla niej. Subtelnie pieściła jego męskość. Woda spływająca po jego ciele miała upajający smak. Była jak nektar. Zuzanna delectowała się nim zapalczywie, spragniona zbliżenia, spragniona miłości. Znow była na nią gotowa.

Ze stojącego pod ścianą leżaka Maks zsunął na podłogę duży materac, delikatnie ułożył na nim Zuzannę i nie odrywając od niej niezaspokojonych ust, zasłonił ją przed deszczem swoim ciałem. Gdy przestawał całować, pieścił ją zachłannym wzrokiem.

– Jesteś śliczna – szepnął, wspierając się na łokciach. – Chcę się delectować twoim widokiem, upajać się tobą.

– Chcę, żebyś mnie kochał – odpowiedziała drżącymi ustami i przyciągnęła go do siebie. – Teraz.

Przywarł swoją pierś do jej ciała. Ich języki ponownie oddały się namiętności. Zuzanna poczuła, jak nabrzmiała męskość Maksu toruje sobie drogę między jej nogami, zbliżając się do źródła spełnienia. Naprężyła się i zapraszająco rozchyliła uda.

Ich oddechy mieszały się i przenikały. Wszystko poza nimi przestało istnieć. Oni byli wszystkim.

*Tak, Maks! Chcę ciebie! Teraz!* – Jęknęła pod naporem doznań i splotła stopy na jego plecach.

Deszcz... Pieścił jej ciało, pobudzał zmysły...

Ruch... Czowała go w sobie, czowała, jak ją wypełnia, czowała rozkosz...

– Nie przestawaj. – Wiedziała, że jej ciało zaraz eksploduje.

Walka o oddech... Prośba o miłość... Prośba o jeszcze...

– Nie przestanę. – Poruszał się coraz szybciej. – Już nigdy.

Jęk... Niech to się nie kończy... Niech trwa... Nieprzerwanie...

Obłęd! Mistyczne zatracenie.

Wbiła paznokcie w jego ramiona, aby po chwili ich ciała mogły wydać na świat wspólne tchnienie rozkoszy.

---

[1] *To pani mąż? Narzeczonny? Kochanek? Mała sprzeczka, co?*

[2] *Czego się pani napije?*

[3] Kawa, herbata, woda?

[4] Czy mogę prosić o kawę mrożoną?

## ROZDZIAŁ XIX

Przemek poznał Aleksandra Nadarzewskiego dwa lata temu, będąc studentem pierwszego roku na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Doskonale pamiętał tamten dzień. To był jego pierwszy semestralny przegląd prac. Korytarzami uczelni prawie nie dawało się przejść. Przy ścianach i na parapetach stały obrazy, a podłogi pokryte były rysunkami i szkicami, tworzącymi kilometrowe, różnobarwne dywany.

Młody Wołoszyc, buntownik z wyboru, artysta z zamiłowania, denerwował się jak większość jego kolegów. Choć sam czuł się jak eksponat na wystawie – mało komfortowa pozycja – stał nieruchomo pośród swoich dzieł, cierpliwie czekając na wyrok. Krytyczne oczy często były bezwzględne. Wyłapywały błędy, niedociągnięcia, wady i niedoskonałości. Cień za bardzo pochylony, za mocno wytarty ołówek, niedbała kompozycja przestrzeni, to z tym się gryzie, martwa natura jest zupełnie martwa, pociągnięcia pędzlem za mało zdecydowane. Tu za dużo, tam za mało.

– Prawdziwa rzeźnia, co? – zagadnął stojący obok Mirek. – Nie miałem pojęcia, że to będzie aż tak stresujące.

– Wyluzuj, brachu. – Przemek, chcąc dodać koledze odwagi, starał się odpędzić od siebie zdenerwowanie. – Stres tu już w niczym nie pomoże. Wrzody żołądka zostaw dla żony i dzieci.

– Jakoś nie pali mi się, żeby szybko zakładać rodzinę.

– Tym lepiej. Będziesz zdrowszy.

– Mówisz tak, jakbyś miał w tym doświadczenie. – Mirek zerknął na niego podejrzliwie.

– Nie mam, ale jestem dobrym obserwatorem.

Na chwilę przerwali rozmowę, wypatrując tego, co nieuniknione. Surowej profesorskiej twarzy i lawiny krytycznych uwag.

– Mogliby przynajmniej urządzić ten przegląd w pracowni. – Mirek rozejrzał się. – Tak to nawet nie wiadomo, kiedy do nas dotrą.

– Przyjdzie czas, to dotrą. Daga mówiła, że są już niedaleko. – Przemek wychylił się i spojrzął w głąb korytarza. – Fakt. W pracowni byłoby spokojniej. – Nagle zmarszczył brwi, wyęzając wzrok. – Ty. Znasz tego gościa, który idzie z Wiarusem?

Wiarus był ich wykładowcą malarstwa. Młody, trzydziestokilkuletni człowiek, który od niedawna mógł się poszczycić literkami „dr” przed nazwiskiem.

– Nie kojarzę go z uczelni. – Mirek spojrzął w tym samym kierunku. – Może to jakiś nowy profesor?

– Może. – Przemek wzruszył ramionami.

– Myślałem, że będą nas oceniać tylko ci, którzy nas uczą. Niech to się, cholera, już skończy. Jeśli mam się tak stresować co pół roku przez następne cztery lata, to nie doczekam obrony dyplomu. Wykituję na zawał.

– Do tego czasu zdążysz się przyzwyczać. – Przemek go szturchnął.

– Podobno na obronę dyplomu często zaglądają mecenas sztuki. Przychodzi taki i szuka perełek do wyłowienia. Może ten gość, co idzie z Wiarusem, to jakiś mecenas?

– To nie obrona, tylko semestralny przegląd prac – przypomniał mu Przemek. – Jako pierwszoroczni możemy co najwyżej liczyć na garść pochlebnych słów i kilka fachowych rad, jeśli w ogóle.

– Słyszałem, że nawet na pierwszym roku co poniektórym udawało się dostać małe zlecenie od firmy reklamowej lub załapać się na praktyki do galerii.

Przemek zastanowił się chwilę. Fajnie byłoby dostać takie zlecenie i trochę zarobić. Pieniądze! Tego nieustannie domagał się jego wygłodniały portfel.

– Pomarzyć zawsze można – podsumował i po przyjacielsku klepnął kolegę w ramię. – Idą! Postawa, Mirek. Nie garb się. Trzeba dobrze wypaść.

Wreszcie nastąpiła chwila prawdy. Wiarus razem z nieznanym mężczyzną przystanęli najpierw przy pracach Mirka. Przemek widział, jak chłopak nerwowo przebiera palcami i co chwila ociera pot z czoła. Choć miał wielką ochotę podsłuchać, o czym rozmawiają, nie chciał jeszcze bardziej stresować kolegi. Odsunął się o kilka kroków i w oczekiwaniu na swoją kolej zaczął poprawiać ustawione pod ścianą obrazy.

– A oto, szanowny kolego – usłyszał nagle za plecami i odwrócił się – jest student, o którym ci mówiłem – powiedział z uśmiechem wykładowca malarstwa do towarzyszącego mu mężczyzny. – Jeden z naszych zdolniejszych nabytków. Pan Przemysław Wołoszyc.

*Jeden ze zdolniejszych nabytków?* – pomyślał zdziwiony chłopak i spojrzał uważnie na Wiarusa. – *Ja?*

Zastanawiał się nawet, czy jego nauczyciel nie walnął sobie kilku kielichów przed obchodem i nawet dyskretnie wciągnął nosem powietrze. Ale poczuł tylko smród cygara. Jak można palić cygara?

Rzecz jasna Przemek nie spodziewał się takiego zaszczytu, ponieważ do tej pory nikt nie polectał go podobnym komplementem. Mowa oczywiście o kadrze akademickiej. Sam Przemek był świadomy swojego talentu. W liceum plastycznym był jednym z najlepszych, ale tutaj, na uczelni, rzadko kogokolwiek chwalono. W zasadzie nikogo. Przez prawie pół roku, aż do teraz. Poza tym Przemek miał wrażenie, że wielu jego kolegów jest od niego zdecydowanie lepszych. A tu, proszę. Jaki zaszczyt!

– Aleksander Nadarzewski. – Nieznajomy mężczyzna uściśnął dłoń zaskoczonego chłopaka. – Jestem absolwentem tej uczelni. Dziesięć lat temu skończyłem tu historię sztuki.

– Miło mi. – Przemek wyszczerzył zęby. – Mały jubileusz?

– Można by to tak nazwać. – Nadarzewski zrewanżował się uśmiechem. – Muszę przyznać, że

pana prace są rzeczywiście imponujące – pochwalił. – Podoba mi się pana styl. Ten akt za pana plecami – wskazał ręką – chętnie widziałbym w swojej sypialni.

– Miło mi to słyszeć. Dziękuję. – Przemek spojrzał z satysfakcją na obraz. – Jeśli jest pan nim zainteresowany, możemy się do gadać.

Lubił od razu przechodzić do konkretów. Jeśli gościowi spodobało się jego płótno, nic nie stało na przeszkodzie, aby je sprzedać. Pasja pasją, ale z czegoś trzeba żyć.

– Panie Przemku! – Wiarus przywołał go nagle do porządku. – To jest egzamin, a nie bazar.

– Oczywiście. – Chłopak udał zawstydzonego. – Przepraszam.

*Bazar! Też coś!* – pomyślał. – *Tam na pewno nie będę sprzedawał swoich obrazów.*

– Nie wątpię, że się dogadamy. – Nadarzewski wręczył chłopakowi wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić.

– Nie rozpuszczaj mi studentów – szepnął do niego wykładowca. – Dobrze, panie Przemku, przyjrzyjmy się pana pracom.

Przemek prawie go nie słuchał. Obracając wizytówkę w rękę, myślał już o zastrzyku gotówki, który mógłby podreperować jego skromny budżet. Facet skończył historię sztuki, czyli był znawcą. Super! Nadarza się okazja, żeby zaistnieć.

*W dodatku Nadarzewska okazja* – pomyślał z uśmiechem.

Dobrze byłoby mieć takiego opiekuna, co może wesprzeć finansowo bez żadnych zobowiązań.

Oceny zostały postawione. Z tego wszystkiego Przemek nawet nie zapytał jakie, ale skoro Wiarus tak go wychwalał, nie mogły być złe. Sprawdzi się przy wpisywaniu do indeksu. Nadarzewski mrugnął porozumiewawczo i obaj mężczyźni przeszli oglądać prace kolejnego studenta. Przemek odprowadził ich wzrokiem i podekscytowany spojrzał na wizytówkę.

– Ty to masz szczęście, chłopie – powiedział Mirek z nutą zazdrości w głosie. – Czemu to ja nie miałem takiego farta? Pokaż! Mecenas sztuki?

– To tylko facet od nieruchomości. – Przemek skrzywił się nieco zawiedziony. – Ale powiedział, że skończył tu historię sztuki.

*Nadziany gość, skoro stać go na taki hotel* – pomyślał Przemek, odkładając słuchawkę.

Zapakował obraz do dużej artystycznej teczki i wyszedł z akademika. Uderzyło go lodowate powietrze. Był początek lutego. Białe masy śniegu, zalegające na chodnikach, tworzyły zjawiskowy kontrast z poszarzałym od mgły Gdańskiem. Przemek poczuł przyływ inspiracji. Jednak równie dobrze mogłoby być to podniecenie wywołane spotkaniem, na które właśnie jechał. Podbiegł na przystanek i wszedł do autobusu.

Do Aleksandra Nadarzewskiego zadzwonił na drugi dzień po semestralnym przeglądzie prac. Trochę był zawiedziony, że facet pracuje w nieruchomościach. Sądził, że co najmniej jest właścicielem galerii. Trudno! Grunt, że był absolwentem historii sztuki i zainteresował się obrazem. To i tak już coś. Przez telefon sprawiał wrażenie zadowolonego, że chłopak się z nim

skontaktował.

– Po co tracić czas? – powiedział. – Mieszkam w hotelu Sheraton w Sopotcie. Po prostu proszę do mnie przyjechać. Zapraszam.

Przemek niepewnie wszedł do ekskluzywnego apartamentu. Uśmiechnięty gospodarz przywitał się z nim po przyjacielsku i wskazał białą skórzaną kanapę.

– Proszę usiąść. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję – odparł Przemek, stawiając teczkę na podłodze przy oparciu fotela. Oczywiście miał wielką ochotę na drinka, zobaczywszy, z jakiej butelki Nadarzewski nalewa whisky do szklanki z lodem, ale się powstrzymał. Jak dobije targu, kupi odpowiedni trunek na tę okazję. Obiecał to przecież Mirkowi.

Gospodarz upił trochę whisky, postawił szklankę na stoliku i wziął teczkę do ręki.

– Mogę? – zapytał, a gdy chłopak skinął głową, otworzył ją i wyjął obraz. – No właśnie – mruknął zadowolony, uważnie przyglądając się malowidłu. – Właśnie o coś takiego mi chodziło.

– Serio chce pan go kupić? – upewnił się Przemek.

– Mów mi Aleks. Tak będzie wygodniej, jeśli mamy współpracować.

– Współpracować? – W oczach Przemka pojawił się błysk i ledwie powstrzymał się przed zatarciem rąk. – Na czym miałyby polegać ta współpraca?

Nadarzewski odstawił obraz, ponownie upił trochę whisky i usiadł naprzeciwko chłopaka.

– Dam ci za to pięć stów.

– Dobrze i to – odparł Przemek, zdziwiony swoją zachłannością. – Interesują pana... to znaczy ciebie, Aleks – poprawił się szybko – tylko akty? Jak widziałeś, potrafię namalować wszystko.

– Dam ci za ten obraz pięć stów – powtórzył Aleksander, nie zważając na jego pytanie – ale dorzucę jeszcze tysiąc, jeśli namalujesz mi drugi taki sam. Pod warunkiem, że będzie identyczny.

– Po co panu... po co ci drugi taki sam? – zapytał zdumiony Przemek. – Mam wiele pomysłów. Mógłbym...

– Możesz nazwać to fanaberią – Nadarzewski wszedł mu w słowo. – Drugi chciałbym dać swojej dziewczynie. Powieszę go w jej sypialni i wiesz... – Uśmiechnął się niedwuznacznie. – Taka fantazja. Ale pamiętaj. Ma być dokładnie taki sam. Nie do odróżnienia.

Przemek był nieco zaskoczony ekscentrycznym kaprysem, ale... Klient płaci, klient wymaga. Teraz wpadnie pięć stówek, potem jeszcze tysiączek, a potem... oczami wyobraźni już widział, jak rozkręca się jego kariera.

– Czy współpraca, o której przed chwilą wspomniałeś – zagadnął niepewnie – ma się ograniczyć tylko do tych dwóch obrazów, czy może ma być ich więcej?



– Najpierw namaluj ten drugi. – Nadarzewski wyjął z portfela pięć zielonych banknotów i położył je na stoliku. – Jak się dobrze spiszesz, pogadamy. Chciałbym jednak, aby ta rozmowa pozostała między nami. Lepiej, żeby doktor Wiarus nie dowiedział się, że odrywam jego studentów od nauki. I tak nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że kupiłem od ciebie obraz. Dlatego poprzestańmy tylko na tym. – Opróżnił szklankę. – Kolegom też się zbytnio nie chwał. Nie chciałbym mieć tu pielgrzymek.

– Oczywiście, proszę pana... To znaczy... Aleks.

\*

Początkowo myślał, że to nic trudnego, jednak namalowanie kopii, nawet własnego obrazu, było nie lada wyczynem. Ale Przemek mógł być z siebie dumny. Wyszło idealnie. Nawet Aleksander był pod wrażeniem, gdy po kilku tygodniach zobaczył drugi obraz, niczym nieróżniący się od pierwszego. Bez mrugnięcia okiem zapłacił ustaloną kwotę.

– Dobrze się spisałeś – powiedział zadowolony Nadarzewski. – Teraz możemy przejść do współpracy.

To słowo podziało na Przemka jak zaklęcie. Tym razem nie odmówił szklaneczki whisky. Przecież zaraz stanie się partnerem w interesach. Będzie współpracował. Łyknął sobie porządnie, rozsiadł się wygodnie na skórzanej kanapie i poczuł się jak ktoś zupełnie wyjątkowy.

– Dlaczego ich jeszcze nie ma? – Zdenerwowany Aleksander krążył po salonie Masza. – Już dawno powinni wrócić.

Nie pamiętał, ile razy dzwonił do Zuzanny. Miała wyłączony telefon albo nie odbierała. Był zły na siebie, że nie zapisał sobie numeru do Olgi ani do Filipa.

– Może trzeba policję zawiadomić, synku? – nieśmiało zasugerowała matka. – A jeśli coś im się stało?

Od policji akurat wolał się trzymać jak najdalej. Chociaż, jeśli będzie taka konieczność...? Nie, nie! Lepiej o tym nie myśleć.

– W zasadzie nie jest jeszcze tak późno – zastanawiał się głośno. – Życie w mieście dopiero teraz się zaczyna. Prawdopodobnie zabunkrowali się w jakiejś kafejce i chcą przeczekać deszcz. Tylko, na miłość boską, mogliby do mnie zadzwonić. Przecież pojechałbym po nich.

– To może my z ojcem jutro jednak do tego San Giovanni Rotondo nie pojedziemy, co? – powiedziała niepewnie matka. – Bo jeśli twoi znajomi mieliby nie wrócić...

– Nie kracz, mamó! – warknął na nią Aleksander. – Wróć!

– Oczywiście, Oluś. – Czule pogłaskała syna po ramieniu, chcąc go uspokoić. – Nie wiem tylko, co z tym deszczem... A jak do jutra padać nie przestanie?

– Mamó. – Jego głos nagle stał się łagodny. – Zaplanowaliście sobie fajną wycieczkę. Nie ma sensu jej odkładać. Zależy wam, więc jedźcie. Pogoda do jutra na pewno się poprawi.

– Zuzanna to wartościowa dziewczyna. – Nadarzewska zmieniła temat. – Z ojcem polubiliśmy

ją bardzo. Nie powinieneś jej tak zaniedbywać.

*Zuzanna...*

Aleks podszedł do okna i w zamyśleniu patrzył na ociekające deszczem szyby.

*Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?*

Matka miała rację. Nie powinien jej zaniedbywać. Ale nie mógł też pozwolić, aby dowiedziała się o jego interesach. Ona była nieskazitelna, jak anioł, który porusza wszystkie ukryte pragnienia.

Raz tylko widział ją smutną. W banku. Wtedy wyglądała zupełnie jak dziewczyna z płótna, które stworzył ojciec młodego Wołoszyca. Twarze tych dwóch kobiet coś łączyło. Mógłby nawet przypuszczać, że to ta sama osoba, gdyby nie fakt, że obraz został namalowany wiele lat temu, co potwierdziła wnikliwa ekspertyza. To nie mogła być więc Zuzanna. Niemniej jednak owo podobieństwo sprawiło, że Aleksander zainteresował się tym płótnem. Teraz był z siebie zadowolony, ponieważ jutro miał za nie zainkasować dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

Zuzanna dobrze się spisała. Przewiozła teczkę, o nic nie pytając. Tak, jak zaplanował. Ona i jej przyjaciele byli poza wszelkim podejrzeniem, dla Aleksa przewiezienie obrazu mogłoby być ryzykowne. Od dłuższego czasu przeczuwał, że jest śledzony. Miał wrażenie, że pod swoim domem ciągle widzi tego samego mężczyznę. Czasem przechadzał się z psem, czasem siedział w zielonej toyocie i czytał gazetę. Wydawało mu się nawet, że widział go w sobotę pod Zajazdem Górkim. Nie miał pewności, bo zielona corolla tylko mignęła mu przed oczami, gdy udawał, że rozmawia przez telefon, ale to upewniło go, że powinien zostać w Polsce, odciągając tym samym uwagę od samochodu Kordeja. Być może to była jakaś cholerna obsesja, ale przezorności nigdy za wiele.

Jutro pożegna się z obrazem i wtedy będzie mógł zająć się Zuzanną. Realną, żywą istotą, którą będzie mógł w sobie rozkochar. Nawet jeśli to uczucie było mgliste, smakowało wybornie. Jutro. Dziś jednak...

– Oluś, twój telefon dzwoni, nie słyszysz? – zawołała matka, przynosząc mu z przedpokoju komórkę.

Aleks pośpiesznie zerknął na wyświetlacz.

– Nareszcie! – odetchnął i odebrał połączenie. – Królewno, co się stało?

– Nic się nie stało. – W jej głosie usłyszał śmiech.

– Opowiesz mi, co nic się nie stało?

– Cały dzień łaziliśmy po mieście i chyba trochę... zabłądzi liśmy.

– Gdzie jesteście? Zaraz po was przyjadę.

– Nie ma potrzeby, żebyś jeździł po nocy w taką ulewę. Olga znalazła fajny hotelik. Prześpiemy się tu i wrócimy rano.

– Osobiście wolałbym, żebyś przenocowała w domu.

– Ja też – zachichotała. – Do jutra, Aleks. Słodkich snów.

*Przy tobie byłyby słodsze* – pomyślał i nalał do szklanki odrobinę whisky.

– Dobrze usłyszałem, że nazwał cię królowną? – Maks pocałował Zuzannę w szyję i delikatnie pogładził ją po policzku.

– Jesteś zazdrosny. – Odwróciła się na łóżku, obdarowując go zaczepnym uśmiechem.

Na twarzy miał wypisane wszystko to, co pragnęła zobaczyć.

– Nie wiedziałaś, że zazdrość to aromat miłości? – Udał, że posypuje jej ramię niewidzialną przyprawą. – Dodajesz szczyptę i od razu wyostrza się smak. – Liznął jej skórę. – Uhm... Wyśmienity.

– Czyli trochę jesteś?

– Tylko wtedy, gdy moja dziewczyna twierdzi, że chciałaby nocować u innego faceta. – Powiodł dłonią po jej czole i nosie, zatrzymując palce na ustach. – Nadal chcesz, żebym cię tam zawiózł? – Odchylił jej dolną wargę i nie czekając na odpowiedź, pocałował ją.

– Jutro. – Usiadła na nim okrakiem. – Mam wrażenie, że dziś będzie tu o wiele przyjemniej.

– Ach tak... – Przesunął ręce po jej ciele, od ud, przez biodra, talię... – Jeszcze nie masz dość?

– A powinnam?

– Hmm... – Uśmiechnął się, obejmując jej piersi. – Dorodne egzemplarze.

– Ja też czuję jeden dorodny egzemplarz pod sobą. – Poruszyła się lekko. – Bardzo dorodny. Aż dziw, że po czterech razach tak szybko potrafi osiągnąć gotowość.

– Po czterech razach to on się dopiero rozkręca. – Podniósł się do pozycji siedzącej i zaczął muskać językiem jej sterczące sutki.

Westchnęła błogo. Maks położył ręce na jej biodrach. Przysuwał ją do siebie i odsuwał. Bez pośpiechu. Z namysłem. Patrzył z satysfakcją, jak Zuza rozsmakowuje się w każdym ruchu, w każdym pchnięciu. Jak z na wpół przymkniętymi oczyma balansuje biodrami, niczym wprawny dżokej, jednocząc się w harmonii ze swym wierzchowcem. Jej piersi falowały od drżącego oddechu. Maks przytknął zwilżone usta do jej szyi, czując przyspieszony puls. Pojękiwała cichutko. Chwyliła go za włosy i przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy.

– Przy tobie czuję się jak przy gorącym piecu w mroźny wieczór – szepnął.

– Aleś wymyślił! – Zaśmiała się.

Ich wargi złączyły się w zachłannym, nienasyconym pocałunku. Maks czuł, jak Zuza zaciska na nim uda, jak anglezuje rytmicznie, wznosi się i opada, przyspiesza, pogania... kłusem... galopem... cwałem... Wreszcie zaciąga cugle... zatrzymuje się... krzyczy... drętwieje... szczytuje... Pięć sekund później wszechogarniający spazm pograżył Maksa w uczuciu

blógostanu, absolutnego spełnienia.

Po kilku chwilach Zuza znów leżała obok niego, wspierając głowę na jego ramieniu, wyczerpana i szczęśliwa.

– Myliłem się – wydyszał, gładząc ją po włosach.

– W czym? – Podniosła na niego zdziwione oczy.

– Nie jesteś jak piec. Jesteś jak pożar lasu. Nie do opanowania.

– Jeśli w pobliżu ma się takiego strażaka – uśmiechnęła się z satysfakcją – żaden pożar niegroźny.

Przez kilka następnych minut milczeli, przysłuchując się swoim miarowym oddechom.

– Jestem głodna – powiedziała cicho.

– O, nie! Znowu? – jęknął. – Daj odetchnąć.

– Nie mówię przypadkiem, że dopiero się rozkręcasz?

– Melduję gotowość, ale... dopiero za piętnaście minut.

– Tym razem chodzi o mój żołądek. – Zaśmiała się. – Jest pusty jak skarbonka po świętach. Myślisz, że zostało jeszcze coś do jedzenia?

– Na tarasie pewnie wszystko spłynęło z deszczem. Ale chyba jest coś jeszcze w kuchni. Przynieść?

– Pójdę z tobą. – Podniosła się z łóżka. – Muszę się trochę ogarnąć. Nie chciałabym, aby Olga zobaczyła mnie w takim stanie.

– W jakim? – Udał zdziwionego.

W tym momencie usłyszeli pukanie.

– O cholera! – Wbiegła do łazienki i z hukiem zatrzęsęła za sobą drzwi. Po chwili wychyliła głowę i zapytała nieśmiało. – Masz może żelazko?

– Powinieneś dostać za to po mordzie.

– Wiem.

– No myślę, że wiesz. – Kacper nerwowo zabębnił palcami o stół. – Pieprzony father! Mógł przynajmniej dać znać, że żyje. Teraz go jeszcze bardziej nienawidzę.

– Dlatego nie chciałem ci nic mówić. – Przemek wyciągnął kolejnego papierosa. – Widziałem, jak przeżywasz jego zniknięcie. Ja zniehawidziłem go już tamtej feralnej nocy, gdy pozbawił życia moich kumpli.

– To był wypadek. Ojciec nikogo by nie zabił.

– Nie broń go! – Przemek podniósł głos. – Gdyby opuścił wtedy te pieprzone roгатki, Blacha i Chudy żyliby teraz. A tak do tej pory nie jestem w stanie spojrzeć w oczy ich matkom.

– Uspokój się, brat! To było dziesięć lat temu.

– I co z tego? Dla nich zawsze będę synem mordercy.

Kacper nie odpowiedział. Wsparł głowę na dłoni i starając się racjonalnie pomyśleć, pomasaował czoło.

– Wiesz, że to, co robiłeś, zakrawa na kryminał? Przecież za to możesz siedzieć. Nie pomyślałeś o tym, idioto?

– A kto by się dowiedział? Nadarzewski sprzedawał obrazy za granicą. Mnie interesowało tylko to, że po każdej robocie dostawałem kasę. Kilka ładnych tysiączków za sztukę. Malowałem jeden, czasem dwa obrazy na miesiąc. To mi wystarczyło, więc o nic nie pytałem.

– Czegoś tu nie rozumiem. – Kacper się zamyślił. – Nie byłeś ciekawy, co się dzieje z ojcem, gdzie mieszka, dlaczego jego płótna są popularne? Wiedziałeś, że podrabiasz jego obrazy i o nic nie pytałeś?

– Na początku nie wiedziałem, że są jego. Nadarzewski w życiu by się nie wygadał. Po prostu miałem nosa i tyle.

– Akurat!

– Zauważyłem, że malowanie tych obrazów nie sprawia mi większych trudności – wyjaśnił Przemek. – I miałem wrażenie, że coś mnie z nimi łączy. Jakbym je znał. Pewnego dnia, gdy siedziałem w pracowni ojca, zapaliła mi się w głowie lampka. Całą noc straciłem na studiowaniu wszystkich obrazów, aż w końcu coś zauważyłem.

– I na co wpadłeś, Sherlocku?

– Nie doceniasz mnie, braciszku. – Przemek zaciągnął się dymem. – Malowanie jest sztuką. Patrzenie na obrazy również. W większości ludzie rzucają tylko okiem i poprzestają na powierzchownym wrażeniu. Ja oglądam je przez własne doświadczenie. Doświadczenie artysty.

– Jasne. – Kacper pokiwał głową. – W obrazach, które fałszowałeś i w tych ze strychu zobaczyłeś twarz wielkiego Ryszarda Wołoszyca? Jeśli tak, to rzeczywiście cię nie doceniałem.

– Każdy malarz ma swój niepowtarzalny styl. – Przemek starał się zignorować złośliwe docinki brata. – Kompozycja, pociągnięcia pędzlem, sposób nakładania farb. Nie będę ci tego tłumaczył, bo i tak nie zrozumiesz. Ale można to porównać do charakteru pisma. Jeden mocno przyciska długopis do kartki, tak że na drugiej stronie czujesz wypukłości, inny ledwie dotyka papieru. Wiele też zależy od sposobu trzymania długopisu, kąta nachylenia, ułożenia ręki. W malarstwie jest podobnie.

– Nie mów, że jesteś takim malarskim grafologiem.

– A żebyś wiedział! – Przemek zgasił papierosa. – Ty się znasz na samochodach, a ja na

malarstwie.

– Okej! – westchnął Kacper. – Poszedłeś z tym do Nadarzewskiego, a on poklepał cię po ramieniu i powiedział: tak Przemus, masz rację, to jest styl twojego tatusia, och, jak bardzo się cieszę, że jesteś taki genialny, masz tu cukiereczka. – Drwiący głos Kacpra nagle zmienił się w zupełnie poważny. – Ja bym cię raczej nazwał idiotą.

– Pewnie by mnie tak nazwał, gdybym nie zwrócił mu uwagi na jeden bardzo charakterystyczny szczegół.

Za każdym razem przed przystąpieniem do pracy Przemek dostawał precyzyjne wytyczne. Dokładne zdjęcia, zrobione pod różnym kątem, wymiary, grubość farby, sposób gruntowania płótna i drobiazgowy opis. Te informacje pomagały mu wiernie odtworzyć każdy obraz. Tylko pierwszy sprawił mu nieznaczną trudność, następne malował bez żadnego wysiłku.

We wszystkich Przemek dostrzegał kobietę. Miał wrażenie, że za każdym razem jest to ta sama postać, zawsze naga, uwięziona w obrazie niczym w klatce, pogrążona w jego głębi, jakby szukała drogi i choć wyjście zdawało się tuż za nią, nie miała siły, aby się odwrócić i je dostrzec. Niekiedy kobieta była bez twarzy, jak gdyby zatraciła tożsamość, lecz wtedy z otchłani wynurzały się wpatrzone w nią oczy innych. Często też pojawiał się szczególnie motyw, który Przemek nazwał rogatą procą, przypominający bawolą czaszkę. Przecinające się linie kompozycyjne, które tworząc charakterystyczne trójkąty, znamionowały upór i wytrwałość, ale też ostrzeżenie.

W obrazach dominowały odcienie sepii, sjeny, brązu i szarości. Czasem tylko ukazywała się patynowana czerwień, kolor walki, silnych emocji i odrodzenia. Ale był też trzeci wymiar. Szlachetna powłoka – dotyk złota. Być może był to sposób, by ukryć prawdziwą treść obrazu lub wręcz przeciwnie; chodziło o nadanie dodatkowej wartości.

Większość tych szczegółów Przemek widział też w starych obrazach ojca. Gdy przeglądał je wnikliwie, dostrzegł jeszcze jeden drobiazg. Małe detale, ale najbardziej istotny.

Zadzwoił wtedy do Aleksandra i nie zdradzając swoich podejrzeń, zameldował, że ma dla niego obraz. Nadarzewski był zaskoczony, że robota została wykonana już po tygodniu, więc z satysfakcją oznajmił, że za dwa dni przyjedzie do Gdańska.

– Coraz lepiej – powiedział zadowolony, gdy Przemek zjawił się z dużą teczką w jego apartamencie w Sheratonie. – Jestem pod wrażeniem. Jeśli tak dalej pójdzie, będziesz dostawał kilka zleceń w miesiącu. Pokaż! Zobaczymy, jak wyszło.

– Dobrze wyszło – odparł chłopak obojętnie i nie wypuszczając teczki z rąk, podszedł do barku. – Jak zwykle, szefie. – Hojnie nalał sobie whisky, upił trochę i usiadł ze szklanką na skórzanej kanapie. – Pogadajmy.

– O czym? – Aleksander spojrzał na niego podejrzliwie.

Przemek opróżnił szklankę, odstawił ją na stolik i otworzył teczkę.

– O tym – powiedział, wyjmując obraz.

Przez chwilę przyglądał mu się w skupieniu, po czym odwrócił go w stronę szefa, bacznie

obserwując jego reakcję.

– Co to jest? – Nadarzewski zmarszczył czoło.

– Nie domyślasz się?

– To nie jest obraz, który ci zleciłem.

– Ano, nie jest. – Przemek uśmiechnął się krzywo. – Ale przyjrzyj mu się dokładnie.

– O co ci chodzi, Wołoszyc?

– Jeszcze nie rozumiesz? Nie jestem takim idiotą, za jakiego mnie uważałeś.

– Nigdy nie powiedziałem, że jesteś idiotą.

– Ale pewnie tak myślałeś. – Przemek postawił obraz na fotelu obok i nalał sobie jeszcze whisky. – Zauważyłeś już coś?

– Umiem czytać. Skąd to masz?

– Ze strychu. – Chłopak wzruszył ramionami. – A dokładnie z byłej pracowni mojego ojca. Jak widzisz, trochę czasu mi to zajęło, ale w końcu doszedłem, czyje obrazy kazałeś mi fałszować.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Nadarzewski obojętnie, raz po raz zerkając na obraz. – Tylko że ja ci nic nie kazałem. Zlecałem, ale nie kazałem.

– Od początku wiedziałeś, że jestem jego synem?

– Owszem – odparł spokojnie Aleksander i również podszedł do barku po alkohol. – Nie poznałem twojego ojca osobiście, ale wiem, że dziesięć lat temu zostawił żonę z trojgiem dzieci i uciekł z Polski, posługując się fałszywym paszportem. Zabunkrował się w Ameryce u pewnej kobiety, a gdy nie miał forsy na czynsz, dawał jej w zastaw swoje obrazy. To dzięki niej stał się sławnym malarzem.

Przemek poczuł, jak mocno bije mu serce. Wypił wszystko ze szklanki i jeszcze raz nalał sobie whisky.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał.

– Mam swoje źródła – odparł Nadarzewski. – Tobie i tak nic po tej informacji. Na twoim miejscu cieszyłbym się, że mam dobrze płatną robotę. Wielu było przed tobą, a tylko ty się sprawdziłeś. Geny potrafią działać cuda.

– Łajdak! – Przemek z hukiem odstawił szklankę.

– Popieram.

– Mówiłem o tobie.

– Wiem. – Aleksander się zaśmiał. – Też miałbym w dupie takiego ojca.

– Skurwiel! – mruknął do siebie chłopak i podszedł do okna. – Mógłbym go zabić. Gdzie on

jest? – zapytał po chwili. – Podaj mi jego adres.

– Nie mam. – Nadarzewski bezradnie rozłożył ręce. – A gdybym nawet miał, pojechałbyś do niego?

– Nie twój zafajdany interes.

– Rozumiem twoją wściekłość, Przemku. – Aleksander podszedł do niego i po przyjacielsku poklepał go po ramieniu. – Ale zastanów się. Nie ma co pochopnie podejmować decyzji. Facet nie chce znać ani ciebie, ani twojej rodziny. Wiem, to nie jest w porządku. Ale jeszcze przyjdzie czas na wyrównanie rachunków. W przyszłym miesiącu zaczniesz drugi rok studiów. Dobrze ci idzie. Wiarus cię chwali.

– Wiarus? – przerwał mu chłopak. – Chyba już mnie nie lubi. Miałem z nim małe spięcie.

– Jak chcesz, pogadam z nim.

– Nie trzeba. Już sobie poradziłem. Przeniosłem się do Poznania. Od października.

Przemek nie był zadowolony z ASP w Gdańsku. Po kilku miesiącach doszedł do wniosku, że wybór uczelni, na której studiował kiedyś jego ojciec, nie był dobrym pomysłem. Ciągłe porównywanie go do Ryszarda Wołoszyca było tak wkurzające, że aż nie do zniesienia. A wszystko dlatego, że na ścianie w korytarzu na parterze wisiały jeszcze trzy jego nagrodzone w konkursie akwarele. Od prawie trzydziestu lat. Zdaniem Przemka już dawno powinny zostać zdjęte i spalone. Ludzie mówili, że powinien być dumny i że to zaszczyt. A on najzwyczajniej się tego wstydził. Dlatego w końcu nie wytrzymał i zażądał od Wiarusa usunięcia malowideł ze ścian i zagroził, że inaczej on zrezygnuje z uczelni. Profesor go wyśmiał, doszło do ostrej wymiany zdań, a kiedy Wiarus myślał, że konflikt został załagodzony, tuż po letniej sesji Przemek przeniósł swoje papiery na Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu.

– Dlaczego akurat do Poznania? – zdziwił się Nadarzewski.

– Wolałem do Warszawy, ale odrzucili moje podanie.

– Trzeba było mi powiedzieć. Załatwiłbym ci tam miejsce.

– Ty mi lepiej załatw adres mojego starego.

– Okej, zobaczę, co da się zrobić. – Aleksander z powrotem zasiadł na kanapie i zajął się swoją szklanką z whisky. – A ty na razie przestań o tym myśleć, tylko zajmij się robotą. Zarób jeszcze na nim trochę kasy. Przyda ci się na bilet do Stanów.

– Chciałeś powiedzieć: nielegalnej kasy.

– Pracujesz, więc forsa ci się należy. Moim zdaniem jest zupełnie legalna. Obrazy trafiają tylko za granicę do z góry umówionych klientów. Oni wiedzą, że to falsyfikaty i wcale im to nie przeszkadza. Zaręczam ci, że nie będą się nikomu chwalić, że je mają.

– Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, nie lepiej byłoby je kopiować? To nie jest zabronione. Ale gdy podrabiam na obrazie podpis autora, to już fałszerstwo. Inaczej mówiąc, to niezgodne z prawem.



– Ci ludzie to snoby – odparł Nadarzewski. – Ale wiesz co? Do każdego dopłacę ci kilka setek. Bo cię lubię, Wołoszyc.

– Rozsądna oferta. – Przemek się uśmiechnął, polectany miłą propozycją. – Przemyślę to. Teraz muszę spadać do domu.

Podniósł obraz z fotela, aby spakować go do teczki.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytał Aleksander, wskazując na płótno.

– Zawiozę go z powrotem do pracowni ojca, gdzie, póki co, jest jego miejsce.

– Dużo tego zostawił?

– Trochę.

– Nie chcesz ich sprzedać? Mogę się zorientować, ile by za to dali. Nie są co prawda znane, więc będzie trudniej, ale popytać nie zaszkodzi.

– Oczywiście, że wolałbym je sprzedać. Po cholere je trzymać? Ale mój brat się nie zgodzi. A ja, niestety, obiecałem mu, że nic nie zrobię bez jego zgody.

– Jak chcesz. – Nadarzewski wzruszył ramionami. – Następnym razem przywieź mi parę zdjęć. Niechbym sobie chociaż oko nacieszył dawną twórczością wielkiego artysty.

\*

– Nie doczekałem się adresu ojca, ale Aleks doczekał się zdjęć – ciągnął Przemek opowieść.

– Gdy załatwił mi jakiś czas temu przeniesienie do warszawskiej ASP, przyniosłem mu je razem z kolejnym zleceniem. Przyjrzał im się dokładnie, stwierdził, że są nawet niezłe, ale najbardziej zainteresował się skrzydlatą kobietą. Powiedział, że przypomina mu jego dziewczynę.

– Zuzannę?

– Na to wygląda.

– W ładny związek wpakowała się nasza siostra – skwitował Kacper.

– Jeśli rzeczywiście jest jego dziewczyną, a wszystko na to wskazuje, równie dobrze może być jego współniczką – wydedukował Przemek. – Lepiej na nią uważać.

– Już sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Sprawiała wrażenie...

– Właśnie! Sprawiała. Nie znasz jej.

– Mimo wszystko to nasza siostra. – Kacper zabębnił palcami o blat stołu. – Jeśli wie, kim jest ten gość i to akceptuje, trudno, nic nam do tego, lecz jeśli nie wie...

– Ruszysz jej z odsieczą? – Przemek ponownie wszedł mu w słowo.

– Możliwe. Muszę najpierw pozbierać do kupy wszystko, co wiem. – Spojrzał na brata. – To ile ci zaoferował za sfalszowanie tego obrazu?

– Nie sfalszowałem go dla niego.

– Poczekaj, bo nie nadążam. Gdy wyjeżdżałem dziś rano, obraz jeszcze wisiał na strychu. Zuzanna wysłała SMS-a przed dziewiątą. Pewnie w tym samym czasie zobaczyła go we Włoszech. Wkurzyła się, bo chciała go od nas odkupić, a teraz najwyraźniej uważa, że nic jej nie mówiąc, sprzedałem go Nadarzewskiemu. Jeśli dobrze kojarzę, obrazy nie mają aerodynamicznych skrzydełek always i nie potrafią latać. Nasza siostra musiała więc widzieć falsyfikat.

– Nie sfalszowałem tego obrazu dla niego – powtórzył Przemek – tylko dla ciebie. Nadarzewski ma oryginał.

– Oryginał? – Kacper gwałtownie podniósł się z krzesła i ruszył wściekły w stronę brata. – Sprzedałeś mu oryginał? Już nie żyjesz!

Nie chciał sprzedawać oryginału. Po prostu tak wyszło. A mówiąc ściślej, nie wyszło.

Odkąd Nadarzewski zobaczył obraz uskrzydłonej kobiety na zdjęciu, nie było spotkania, aby o nim nie mówił. Czasem nawet dzwonił z pytaniem, czy chłopak już się zastanowił. Widać, zależało mu. Przemek kiedyś zapytał, ile Aleks byłby w stanie na niego zapłacić.

– Dwadzieścia tysięcy – padła odpowiedź. – Jeśli to rzeczywiście oryginał.

Po miesiącu umówili się w Warszawie u rzeczoznawcy Mieczysława Spychacza w jego galerii na Mokotowie. Ekspert, mężczyzna w słusznym wieku, stwierdził, że obraz został namalowany około trzydziestu lat temu, a ku zdziwieniu Przemka dodał, że zna twórczość Ryszarda Wołoszyca i bez żadnych wątpliwości potwierdza, że dzieło wyszło spod ręki samego mistrza. Nie rozmawiali o wartości malowidła. Aleksander podtrzymał swoją propozycję, a chłopak oznajmił, że jeszcze musi ją rozważyć.

Decyzja nie należała do łatwych, choć kwota w wysokości dwudziestu tysięcy polskich złotych nad wyraz kusila. Byłoby się czym porządzić. Przynajmniej na trochę. Z drugiej jednak strony, ta suma nie była aż tak wielka. Trochę zabawy i pijaństwa, bo samochodu i tak przecież by sobie nie kupił, a później kac moralny z powodu zrobienia czegoś niezgodnego z rodzinnymi ustaleniami. Zresztą fałszerstwo też kłóciło się z jego przekonaniem. Rzecz jasna, nikt go nie zmuszał. Nikt nie przystawiał mu pistoletu do głowy. Jeśli kogoś chciał za to winić, to tylko samego siebie i swoje łakomstwo na pieniądze. Sam wszedł w niechlubny układ z Nadarzewskim i, jeśli chciał z tym skończyć, sam powinien się z niego wyplątać. Tylko czy rzeczywiście miał ochotę to przerwać? Fakt, coraz częściej dopadały go wyrzuty sumienia, lecz wystarczyło, że pomyślał o ojcu i wszelkie skrupuły zmieniały się we wściekłość, co i tak nie dawało żadnego rozwiązania.

Praca u Aleksa oznaczała stały przyływ gotówki, a jednocześnie wpędzała go w poczucie winy. Była jak gruby sweter z owczej wełny na nagim ciele; ciepły, ale gryzący. Dwadzieścia tysięcy to duża kwota, ale czy warto było dla niej narażać się na potępienie rodziny? Chyba że...

*Otóż to!* – pomyślał. – *Forsa powinna być większa.*

Nie mówiąc nic Aleksandrowi, Przemek skontaktował się z Mieczysławem Spychaczem, lecz oferta czerstwego starca była tylko o pięć tysięcy wyższa od propozycji Nadarzewskiego.

I choć chłopak kilkakrotnie spotykał się z właścicielem mokotowskiej galerii, próbując różnych negocjacyjnych sztuczek, za każdym razem padała ta sama odpowiedź.

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Więcej się nie da.

*Stęchły staruch!*

No cóż! Należało zatem skutecznie zniechęcić Aleksandra, który co pewien czas niestrudzenie ponawiał swoją propozycję.

– Namysliłeś się już?

– Jesteś strasznie uparty, szefie.

– Upór jest synonimem powodzenia.

– Lubię ten obraz. Zżyłem się z nim. I chyba nie chciałbym się z nim rozstawać... za tę kwotę.

– Jaka jest zatem twoja cena?

– Sześćdziesiąt tysięcy – powiedział Przemek bez wahania i spojrzał na swego rozmówcę, przygotowany co najmniej na wybuch śmiechu. Tymczasem zaskoczyła go dziwnie spokojna reakcja.

– Sześćdziesiąt, powiadasz? – Nadarzewski w zamyśleniu podrapał się w głowę i po chwili zapytał: – Wolisz gotówkę, czy mam ci zrobić przelew na konto?

– Ja pierdolę! – Kacper pokręcił głową. – Nie wierzę!

– Serio! – Przemek był z siebie zadowolony. – Jeszcze stawkę podbiłem. O pięćdziesiąt procent. Co prawda zapłacił mi na razie pięć tysięcy zaliczki, ale resztę mam dostać, gdy sprzeda obraz. Znalazł najaranego kupca we Włoszech.

– Gównu mnie obchodzi, ile wzięłeś za to kasy. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

– Czy ty słyszysz, ile te obrazy są warte? Możemy wziąć za nie kupę forsy. Ojciec zostawił naszą matkę bez grosza. Nie interesował się, z czego będziemy żyć. Miał nas w dupie. A teraz my możemy sobie zrekompensować te wszystkie lata. Sam przecież powiedziałeś, że mogę je sprzedać.

– Owszem! Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem tego, co wiem teraz.

– Przecież to nic nie zmienia.

– Zmienia! Choćby to, że mnie oszukałeś. Pozbyłeś się obrazu bez mojej wiedzy. Nie tak się umawialiśmy.

– Mam do nich takie samo prawo jak ty! – krzyknął Przemek.

– Nie masz żadnego prawa, rozumiesz? – Kacper podszedł do niego, chwycił go za koszulkę i gniewnie spojrzał mu w oczy. – Zawiodłem się na tobie, młody! – Pchnął go na kanapę. – Bardzo się zawiodłem.

Przemek poderwał się i uderzył brata pięścią w twarz.

– A ty to niby kurwa taki święty jesteś, tak? – wrzasnął.

Kacper nie był mu dłużny. Wymierzył precyzyjny cios prosto w szczękę Przemka, usadzając go z powrotem na kanapie. Na wardze chłopaka pojawiła się krew. Przemek chciał się podnieść, ale brat przycisnął go do oparcia. Na ich twarzach malowała się wściekłość. Ciężko dysząc, patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, po czym Kacper wstał i poszedł do kuchni. Przyniósł dwa woreczki z kostkami lodu, jeden przyłożył sobie do twarzy, drugi rzucił Przemkowi.

– Ty lepiej pomyśl, jak się z tego wyplątać, młody.

– Nie da się. Już próbowałem.

– Co próbowałeś?

Przemek przyłożył lód do opuchniętej wargi.

– Chciałem zamienić obrazy. Uznałem, że skoro tak dobrze mi idzie, Nadarzewski się nie pokapuje. Dostanie falsyfikat, a autentyk zostanie u nas. Nie pomyślałem tylko, że on to również wzięty pod uwagę. Co prawda przywiozłem mu tylko jeden obraz, więc nie mógł ich porównać bezpośrednio, ale za to miał dokładne zdjęcia oryginału. Niestety jeden szczegół nie bardzo mi wyszedł. Miałem mało czasu i się spieszyłem. Może gdybym przewidział, że wyskoczy z tymi zdjęciami, bardziej bym się postarał. A tak kicha! Zorientował się.

– A ty wtedy spanikowałeś, że gość się wycofa z umowy i potulnie oddałeś mu oryginał.

– Też byś spanikował, gdyby ktoś wycelował w ciebie pistolet.

– Co? – Kacper zmarszczył czoło. – Nie wymyślaj, młody. W to ci na pewno nie uwierzę.

– Prawdę mówię. – Twarz Przemka była nad wyraz poważna. – O mało nie nasrałem w gacie. Wiedziałem, że facet nosi broń, nigdy się z tym nie krył, ale nie przypuszczałem, że kiedykolwiek na jej widok zacznę odmawiać zdrowaśki. A potem postraszył mnie jeszcze swoimi koleśkami z mafii.

– Ja pierdolę! – Kacper chwycił się za głowę. – W co ty się, gnojku, wpakowałeś? I dlaczego nie powiedziałaś o tym od razu? Boże! Zuzanna!

## ROZDZIAŁ XX

Miała wszystko zostawić i poczekać, aż sprawa wyjaśni się sama? Nie podejmować żadnych działań? Tak po prostu? A co, jeśli okaże się, że ten siwy mężczyzna naprawdę jest jej ojcem? Miałyby zrezygnować z okazji, żeby go poznać?

Wczorajsze uzasadnienia Maksa i Filipa nie przekonywały jej. Nie umiała dać wiary tak nieprawdopodobnym argumentom. Włoska mafia, gangsterzy, handel dziełami sztuki... takie rzeczy zdarzają się na filmach, a nie w zwyczajnym życiu. Zresztą, jakim dziełem sztuki był portret damy ze skrzydłem, namalowany raptem trzydzieści lat temu przez nikomu nieznanego malarza z Polski? W mniemaniu Zuzanny mógł mieć jedynie wartość sentymentalną... Kacper twierdził, że ojciec uwielbiał to płótno. Być może teraz Ryszard Wołoszyc zapragnął mieć je z powrotem i poprosił syna, aby mu je przekazał?

– To gdybanie nie ma sensu – powiedziała do siebie, wspierając ramiona na barierce tarasu.

Przed nią rozciągało się spokojne morze. Zza horyzontu powoli wyłaniało się słońce, rzucając na wodę czerwoną poświatę. Ujmujący widok.

Nie przypuszczała, że może tu być tak ładnie. Wczoraj z tego miejsca widziała tylko ciemne niebo, błyskawice i deszcz. Wczoraj... wiele się wydarzyło. Spędziła upojną noc z mężczyzną, który wyznał jej miłość. Czy naprawdę ją kochał, czy tylko wykorzystał sprzyjający moment? W zasadzie wiedziała o nim tylko tyle, że jest dziennikarzem. Maks natomiast wiedział o niej niemal wszystko. Za jeden pocałunek otworzyła się jak sezam, odsłaniając zawartość swojej duszy. Tak, to było jej potrzebne. Oczyszczyć się. Wyrzucić z siebie dręczące emocje. Teraz jednak zastanawiała się, czy trafiły do dobrego adresata. Czy Maksowi naprawdę zależało na Zuzannie, czy raczej na napisaniu dobrego artykułu?

Za wszelką cenę chciał ją odsunąć od tego miejsca. Nalegał, żeby jak najszybciej stąd wyjechała, nie próbując na własną rękę dociekać prawdy. Mówił, że to dla jej dobra. Matka też tak mówiła, a jednak nic dobrego z tego nie wyszło. Olga z Filipem również uważali, że najlepiej wrócić do domu. Nawet oni byli przeciwko Zuzannie. Nie słuchali jej argumentów, nie rozumieli, jakie to dla niej ważne. Usilnie podkreślali, że tak będzie lepiej.

– Obiecuj, kochaniutka, że nie będziesz już tam węszyć – nalegała wczoraj przyjaciółka. – Mówisz Nadarzewskiemu, że ważna sprawa w pracy zmusza cię do wcześniejszego powrotu, przepraszasz, zabieramy rzeczy i wyjeżdżamy. Ja też nie chciałabym wpakować się w niepotrzebne kłopoty.

Cóż było robić? Obiecała. Choć było to wbrew jej uczuciom.

A teraz wczesnym rankiem stała zrezygnowana na tarasie, żałując, że wczoraj nie kazała Maksowi odwieźć się do willi. Nie musiałyby niczego obiecywać. Nie mogła jednak powiedzieć, że żałuje spędzonej z nim nocy.

– Wcześniej wstałaś. – Usłyszała za sobą jego głos i się odwróciła.

– Postanowiłam zobaczyć wschód słońca.

– Beze mnie? – Podeszedł bliżej i objął ją.

– Nie chciałam cię budzić.

Przez dłuższą chwilę oboje w milczeniu patrzyli na morze.

– Tak będzie lepiej, Zuza. – Przytulił twarz do jej policzka. – Nie mogę cię narażać. Wolałbym, żebyś w ogóle tam nie wracała. Wsiądźmy do samochodu i wyjedźmy stąd. Choćby zaraz.

– Muszę zabrać swoje rzeczy – westchnęła.

– Obiecujesz, że zrobisz tak, jak się umówiliśmy?

– Jasne – odparła z rezygnacją, nie odrywając wzroku od iskrzących się w słońcu fal Adriatyku.

– Wiem, co czujesz...

– Chyba jednak nie wiesz – przerwała mu. – Ale okej, skoro wszyscy tak uważacie. Idę się ubrać. – Mocniej okręciła się szlafrokiem i odeszła.

Przy kawie jeszcze raz omówili plan działania. Wracają do willi Masza, pakują się i wyjeżdżają. Jakie to proste! Dla nich. A dla niej?

– Nie możesz tak wrócić – powiedziała Olga, lustrując zadrapania na nogach Zuzanny. – Co powiesz Aleksowi, gdy zapyta, co ci się stało?

– Że przewróciłam się w krzakach?

– Ciekawe, w których? – zaśmiała się ironicznie Olga. – Lepiej już nic nie wymyślaj.

– Zapomniałaś, że jestem bankowcem? Zmyślanie jest niezbędne w moim zawodzie.

– Powiedzmy, że tego nie słyszałam. – Olga rzuciła przyjaciółce długie spodnie. – Trzymaj.

– Skąd je wytrzasnęłaś? – zapytała zdziwiona Zuzanna.

– Z tego samego źródła co ładowarkę, pasującą również do twojego telefonu. To znaczy z torebki. Pamiętasz? Dałam ci wczoraj. Mam nadzieję, że naładowałaś komórkę. A spodnie wzięłam na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że w grotach jest zimno.

– No przecież! – Zuza kiwnęła głową z uznaniem. – Jak zwykle przewidująca.

– Zapytałam, czy naładowałaś.

– O kurczę! Komórka! – Stuknęła się w czoło. – Zaraz wracam.

Wbiegła do sypialni. Jej telefon grzecznie czekał przy nocnej lampce. Zuza włączyła go pośpiesznie. Na wyświetlaczu pojawiła się informacja o kilku nieodebranych połączeniach. Wszystkie były od Kacpra. Niewiele myśląc, nacisnęła zieloną słuchawkę i czekała z bijącym sercem. Jeden długi sygnał, drugi i cisza. Spróbowała jeszcze raz. To samo.

– Cholera jasna! – zaklęła pod nosem. – Kacper, proszę cię, odbierz!

– Zuza, pośpiesz się! – zawołała Olga. – Jedziemy!

– Już! – Wciągnęła na siebie spodnie przyjaciółki, jeszcze raz próbując połączyć się z bratem. Niestety bezskutecznie. – Szlag by to!

– Nie możesz mi tego zrobić, królowno! – powiedział zawiedziony Nadarzewski, gdy usłyszał, że niespodziewanie zamierzają wyjechać. – Wiem, że nie zająłem się tobą należycie, ale obiecuję, że to naprawię. Nie wyjeżdżaj, proszę.

– Przykro mi, Aleks. – Zuza z trudem wyswobodziła dłoń z jego uścisku. – Ważna sprawa w banku. Też żałuję. Miałam nadzieję odpocząć, spędzić kilka dni w miłym towarzystwie i zregenerować siły do pracy. Ale niestety. Może innym razem.

– Moi rodzice pojechali na cały dzień do San Giovanni Rotondo. Będą zawiedzeni, że nie pożegnaliście się z nimi. Zwłaszcza mama. Zostańcie chociaż do wieczora.

Zuza zerknęła na Olgę pytająco, ale w oczach przyjaciółki zobaczyła tylko jedną, dobrze sobie

znaną odpowiedź: nie ma mowy!

– Muszę spakować walizkę. – Uśmiechnęła się smutno – ale myślę, że znajdziemy jeszcze czas, żeby wypić z tobą kawę. – Spojrzała na Kordejów. – Prawda?

Weszła do swojej sypialni, usiadła na łóżku i ciężko westchnęła. Boże! Jak bardzo nie chciała stąd wyjeżdżać. Tyle jeszcze chciała się dowiedzieć.

Wyciągnęła walizkę i nie spiesząc się, zaczęła wkładać do niej rzeczy. Dlaczego Kacper nie odbierał? I po co dzwonił tyle razy?

Ponownie spróbowała się z nim połączyć. Bez rezultatu.

Gdy weszła do łazienki po kosmetyki, usłyszała pukanie do drzwi. Po chwili do sypialni wszedł Aleks.

– Na pewno nie możesz się z tego wykręcić, królewno? – zapytał. – Masz przecież urlop. Powinnaś wypoczywać.

– Chętnie bym została. Naprawdę – odparła z przygnębioną miną, zasuwając kuferek. – Ale nie mogę.

– Myślałem, że pokażę ci kilka fajnych miejsc. – Podeszedł bliżej i objął ją. – Że spędzimy z sobą trochę więcej czasu.

Zuza spojrzała na niego i poczuła lęk.

– Myślałem, że... – pogładził ją po twarzy – no wiesz...

– Nie wiem – odpowiedziała z udawanym uśmiechem, czując, jak mocno bije jej serce.

– Że lepiej się poznamy. – Pocałował ją.

– Przepraszam cię, Aleks. – Odsunęła się od niego. – Nie mam nastroju. Trochę jestem zdenerwowana. Ta sprawa w banku...

– Może mógłbym ci pomóc? Dobrze znam twojego dyrektora. Zadzwoń zaraz do niego i poproszę, żeby jednak nie ściągał cię do pracy, co?

– Dziękuję, nie trzeba. – Odwróciła się od niego, aby nie mógł wyczytać z jej twarzy kłamstwa.  
– To delikatna sprawa. Z klientem. Nie ma co dyrektorowi zawracać tym głowy. Mały pożar, ale muszę sama go ugasić.

– Rozumiem. – Westchnął. – Cóż mogę powiedzieć. Szkoda. W takim razie czekam na ciebie na dole. Zrobię śniadanie.

Kiedy wyszedł, odetchnęła z ulgą, ale jej serce nie przestało łomotać. Nie wiedziała, że Aleks zna Małeckiego. Nigdy się z tym nie afiszował. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie będzie chciał się z nim skontaktować.

Zamknęła walizkę i rozejrzała się po sypialni, aby sprawdzić, czy jeszcze czegoś nie zostawiła. Do tego akurat miała talent.

Nagle zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i odebrała pośpiesznie.

– Kacper?

– Cześć, Zuza – usłyszała jego głos. Miała wrażenie, że jest zdenerwowany. – Jesteś jeszcze we Włoszech?

– Tak, ale niedługo wyjeżdżam.

– Aha... Nie wiem, co cię łączy z Nadarzewskim, ale proszę cię, uważaj na niego.

– O matko, ty też? Widzę, że wszyscy znają go lepiej ode mnie.

– Jacy wszyscy? – zdziwił się.

– Nieważne. Powiedz mi tylko, dlaczego oddałeś mu obraz. Ojciec cię o to prosił? Czy on tu jest?

– Nie wiem, czy ojciec tam jest i prawdę mówiąc, guzik mnie to obchodzi. A obraz sprzedał Nadarzewskiemu Przemek.

– Przemek? – zdziwiła się.

– Tak. Wpakował się przez to w niemałe kłopoty, więc ty też uważaj.

– Jakie kłopoty? – Zuza z wrażenia usiadła na łóżku. – O czym ty mówisz?

– Nadarzewski to twój facet?

– Nie! Skąd ci to przyszło do głowy? – Gdy nie usłyszała odpowiedzi, dodała: – Dopiero wczoraj dowiedziałam się, że jest handlarzem.

– Rychło w czas – westchnął Kacper. – Przemek dla niego... – nie dokończył. – Nieważne, to dłuższa historia. Opowiem ci, jak się spotkamy.

– Nie! Powiedz mi teraz, póki jeszcze tu jestem.

Kacper zawahał się chwilę.

– Proszę. Chciałabym to wiedzieć teraz.

– W zasadzie chyba powinnaś... – odparł po dłuższym zastanowieniu. – Nadarzewskiemu spodobała się kobieta ze skrzydłem. Zaproponował duże pieniądze. Ponieważ nie pozwoliłem nikomu ruszać obrazów ojca, Przemek postanowił wcisnąć Nadarzewskiemu falsyfikat, który sam namalował, ale tamten się zorientował. Groził młodemu bronią.

– O, matko!

– Nadarzewski ma oryginał i wcale nie jestem z tego powodu zadowolony. Naprawdę, chciałem dać go tobie.

Przez chwilę milczeli oboje.



– Wiesz może, czy Nadarzewski już go sprzedał?

– Jak chcesz, sprawdzę to i dam ci znać.

– Prawdę mówiąc, wolałbym...

– Dam radę. Tylko się rozejrzę – przerwała mu.

– Zuza, lepiej poczekać, aż...

Kontakt został przerwany.

– Halo! Kacper? Na co mam poczekać? Halo! Jesteś tam? – Drżącą dłonią próbowała przywrócić połączenie. Nie udało się. – Niech to szlag!

Wyszła na balkon, mając nadzieję, że tu będzie miała lepszy zasięg. Nic z tego. W telefonie była tylko głucha cisza. Już miała wrócić do pokoju, gdy nagle usłyszała głos Aleksa. Dobiegał z dołu. Zaciekawiona wychyliła się przez barierkę.

– Mieliśmy umówić się po południu. – Nadarzewski stał na schodach z komórką przy uchu.

– ...

– Przecież wczoraj byliśmy u rzeczoznawcy, który poświadczył autentyczność obrazu. – W jego głosie usłyszała zaskoczenie. – Jakiego potwierdzenia pan jeszcze potrzebuje?

– ...

– Oczywiście. Rozumiem.

– ...

– Za dwie godziny?

– ...

– W porządku. Będę czekał w domu.

– ...

– Do widzenia. – Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

*Za dwie godziny?* – zastanawiała się Zuzanna. – *Czyżby jednak nie sprzedał obrazu?*

Ciekawiło ją, kim był rozmówca Aleksa. Mówił do niego po polsku, czyli najwyraźniej był Polakiem. Czy mógł nim być Ryszard Wołoszyc? Ale po co miałby kupować własne płótno? Nie miała pojęcia. Wiedziała natomiast, że sprawy przybrały nieco inny obrót. Wróciła do sypialni, przebrała się, zabrała bagaż i wyszła z pokoju.

Na dole czekali już na nią Kordejowie. Filip wziął jej walizkę i zaniósł do samochodu.

– Nic nie kombinuj. – Olga podejrzliwie spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Zuza udała zdziwioną. – Przecież nic nie kombinuję.

– Znam cię, kochaniutka – ostrzegła. – Wiem, co znaczy ten błysk w twoich oczach.

– Daj spokój, Olga. Spakowałam się i wyjeżdżam, tak jak chcieliście. Co prawda nie jestem z tego powodu zadowolona, ale zostałam przegłosowana, więc się podporządkuję.

– No, mam nadzieję. Będę cię miała na oku – szepnęła, widząc zbliżającego się do nich Aleksandra.

– Najpiękniejsze nogi w Warsaw Banku i w długich spodniach? – Pokręcił głową na widok ubioru Zuzanny. – Jak możesz mi to robić, królowno?

– Filip lubi mocno podkręcić klimatyzację, żeby nie zasnąć za kierownicą – odpowiedziała pospiesznie Olga. – A moja przyjaciółka zawsze narzeka, że jest jej zimno.

– Właśnie – przytaknęła Zuza. – To co ze śniadaniem? Nie ukrywam, że jestem trochę głodna.

– Szczerze mówiąc, nie jestem dobrym kucharzem. – Aleks uśmiechnął się lekko. – Pomyślałem więc, że lepiej będzie, jeśli zaproszę was na śniadanie do fajnej włoskiej knajpki. Co wy na to?

– Po co zaraz do knajpy? Bardzo chętnie same coś przygotujemy, prawda? – Zuza spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie wiem, czy powinniśmy rządzić się w czyjejs kuchni. – Olga najwyraźniej nie podzielała tego entuzjazmu. – Zjedzmy lepiej coś na mieście.

*Cholera!* – Zuzanna czuła, że brakuje jej argumentów. Co zrobić, żeby jeszcze trochę przedłużyć pobyt w tym domu? Udać atak serca? Czy wystarczy migrena? Najgorsze, że nawet gdyby padła przed nimi trupem, Olga nie da się nabrać.

– No dobra – westchnęła i rozejrzała się po salonie. – Szkoda, że musimy wyjeżdżać. Nawet nie miałam okazji pozachwycać się tymi pięknymi rzeczami. Pamiętasz, Aleks, jak rozmawialiśmy kiedyś o sztuce? Myślałam, że usiądziemy sobie któregoś wieczoru, a ty mi poopowiadasz o tych wspaniałych rzeźbach i obrazach. To fascynujące, że jeden człowiek zgromadził w swoim domu tyle imponujących dzieł sztuki. Chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o panu Janie Maszu, skoro już miałam zaszczyt mieszkać w jego willi.

– Nie wyjeżdżaj. Jeszcze wszystko możemy nadrobić.

– Żeby to było takie proste.

– Powiedziałem ci, że wystarczy jeden telefon.

Olga dyskretnie kopnęła koleżankę w kostkę.

– Kiedy nie mogę. – Zuza zacisnęła wargi.

– Zawsze jeszcze możecie to nadrobić w Warszawie – wtrąciła przyjaciółka. – Umówicie się kiedyś na kawę i sobie o tym porozmawiacie. A teraz, jeśli mamy jeszcze pojechać gdzieś na śniadanie, to lepiej ruszajmy.

Zuza miała nadzieję, że do restauracji pojedzie samochodem razem z Alekssem i dzięki temu

będzie mogła zagadnąć go po drodze o kilka szczegółów dotyczących twórczości Masza, ale przyjaciółka perfidnie ją ubiegła.

– Jeszcze nigdy nie jechałam alfa romeo – zaszczębiotała. – Przewieziesz mnie?

Trudno było powiedzieć, czy Nadarzewski był z tego powodu zadowolony, ale jak przystało na dżentelmena, zaprosił żonę Filipa na przejażdżkę. A Zuzannie kolejna okazja przeszła koło nosa. Tym razem pewnie już ostatnia. Teraz była zła na siebie, że nie zagała rozmowy, kiedy Aleksander wszedł do jej pokoju, gdy się pakowała.

*Że też Kacper nie zadzwonił wcześniej!*

Zjedli śniadanie w przytulnej restauracji z włoskim klimatem.

– Gdybyście zostali dłużej, mógłbym wam pokazać kilka fajnych miejsc – zagadnął Aleksander. – Nie tylko w samym Vieste. Okoliczne miasteczka są równie urocze.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wybrali się tu w przyszłym roku – odpowiedziała Olga.  
– Jeśli zaplanujemy sobie wszystko odpowiednio wcześniej, może nie będzie takich niespodzianek.

– No właśnie – zgodziła się Zuza. – Nic na wariata.

– Cóż! – Nadarzewski spojrzął na zegarek i podniósł się od stołu. – W takim razie do zobaczenia w Warszawie. – Podszedł do Zuzanny i pocałował ją w rękę. – Szkoda, że byłaś tak krótko, królewno. Zadzwoń, jak dojedziesz do domu.

– Już uciekasz? Myślałam, że zjemy razem deser.

– Przepraszam. Mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę. – Uśmiechnął się. – Następnym razem lepiej to rozplanuję.

Przywołał kelnera i mimo protestów Filipa sam zapłacił cały rachunek.

– Miło było was poznać – zwrócił się do Kordejów. – Uważajcie na siebie i jedźcie ostrożnie.

Pożegnał się i wyszedł z restauracji.

– No i powiedzcie sami – odezwała się Zuza – czy on wygląda na złego człowieka?

– Nie zaczynaj, dobrze? – upomniała ją Olga. – Ten facet od początku mi się nie podobał, więc proszę cię, abyś trzymała go na dystans. Najlepiej, żebyś w ogóle zerwała z nim kontakt. – Spojrzała na przyjaciółkę wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. – Przecież wiesz, kim on jest.

– No jasne – odpowiedziała Zuzanna jakby od niechcienia, ukradkiem spoglądając przez okno. Aleks stał przy samochodzie i rozmawiał przez telefon.

– Deser na poprawienie humoru? – zapytał Filip, najwyraźniej wyczuwając napięcie między przyjaciółkami. – Ja mam ochotę na tiramisu, a wy?

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Zuzanna, zadowolona ze zmiany tematu. – Nic tak nie poprawia nastroju jak pyszny kawałek czegoś słodkiego. – Zdjęła z oparcia krzesła torebkę. –

Zamówcie dla mnie, a ja tymczasem skorzystam z toalety.

Łazienka była po drugiej stronie korytarza. Idąc w jej kierunku, Zuzanna jeszcze raz spojrzała na ulicę przez oszklone drzwi wejściowe. Zobaczyła, jak Aleksander chowa telefon do kieszeni i wsiada do samochodu. Wiedziała, jaki ma interes do załatwienia i poczuła ucisk w piersiach. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, gdyby nie wczorajsze wydarzenia... Znów przyłapała się na bezsensownym gdybaniu, które tylko potęgowało w niej złość. Bezradnie powiodła wzrokiem za odjeżdżającym Nadarzewskim, czując, jak jej emocje eksplodują niczym popcorn w mikrofalówce. To było nie do zniesienia.

*Opanuj się, dziewczyno!* – starała się przywołać myśli do porządku. – *Teraz już nic z tym nie zrobisz.*

*Dlaczego nie?* – usłyszała w myślach przekorny głos. – *Jeszcze tu jestem. Jeszcze nie wyjechałam. Jeszcze nie jest za późno.*

Pod lokal podjechała taksówka. Zuzanna przez chwilę nie mogła oderwać od niej wzroku. Korciło ją, aby wsiąść i pojechać za Aleksandrem. Dowiedzieć się, w czyje ręce trafi obraz. Tylko co potem? Jak wytłumaczy się przed Maksem i Kordejami? Zawsze starała się dotrzymywać słowa. Zwłaszcza danego przyjaciółm.

Serce biło coraz szybciej, a ona usilnie poszukiwała w swojej głowie choćby najmniejszej wskazówki, niczym obrońca na sali sądowej, któremu trafił się beznadziejny przypadek. Czy obietnica złożona pod presją była wiążąca? Niestety, obawiała się, że tak!

Spojrzała na Kordejów. Siedzieli przy stoliku w drugiej części sali restauracyjnej i rozmawiali z kelnerem. Pewnie zamawiali deser, zadowoleni, że sprawa z Nadarzewskim już się dla nich skończyła. Zuzanna nerwowo spoglądała to na przyjaciół, to znów na zaparkowaną pod lokalem taksówkę.

*A, co tam!* – pomyślała nagle. – *Niech się dzieje wola nieba! Muszę się dowiedzieć.* – Otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.

– Che sorpresa!<sup>[5]</sup> – wykrzyknął kierowca, ujrawszy ją we wstecznym lusterku, siedzącą na tylnej kanapie jego samochodu. Odwrócił się do niej i wyszczerzył zęby. – Bianco alfa romeo? Presto, presto?

Nie wiedziała, czy facet się z niej nabija, czy naprawdę cieszy się na jej widok, licząc przy okazji na kolejną małym kosztem zarobioną stówę. Tak czy owak, czuła się jak idiotka.

– Si, si – Odwzajemniła uśmiech i podała mu adres. – Presto, presto!

Taksówkarz włączył się do ruchu, a Zuzannę znów dopadły wątpliwości. Usiłując się ich pozbyć, sięgnęła do torebki po telefon. Postanowiła zadzwonić najpierw do Kacpra. Być może w nim znajdzie sprzymierzeńca i utwierdzi się, że słusznie postępuje, wracając do Willi Masza. A potem skontaktuje się z Olgą. Nie! Lepiej napisze do niej SMS-a. Krótkiego. Żeby się nie martwiła. Już dość nasłuchiwała się tyrad przyjaciółki i na pewno nie zdzierżyłaby kolejnych.

Włożyła rękę do torebki i znieruchomiała. Komórki tam nie było. Co jest? Gdzie ona się podziała? Pospieszenie wyrzuciła całą zawartość na siedzenie. Wyleciał paszport, portfel, rozmówki polsko-włoskie, błyszczak i kilka innych drobiazków, w tym mała ramka ze zdjęciem

Łukasza. A telefon?

– Cholera jasna! – zaklęta głośno i z rezygnacją oparła głowę na zagłówek. – Został w restauracji.

– Successo qualcosa? – Kierowca zerknął na Zuzannę w lusterku. – Bene ti senti?<sup>[6]</sup>

– Jedź, jedź! Nie przeszkadzaj sobie – mruknęła. – I tak nie wiem, co do mnie mówisz.

– Che cosa? Non capisco<sup>[7]</sup>.

– Ja też nie capisco. Jedź! Presto, presto!

– Alfa romeo! – Nagle wskazał przed siebie palcem. – Bianco.

– Bene<sup>[8]</sup>. – Poklepała go po ramieniu. – To teraz zwolnij i jedź za nim. Tylko powoli, żeby nas nie zauważył – powiedziała, szukając w słowniku odpowiedniego słowa. – Lentamente<sup>[9]</sup>.  
Ćśśś! Capito?

– Capito, capito. – Kierowca uśmiechnął się i położył palec na ustach. – Ćśśś.

Zwolnił, starając się utrzymać bezpieczną odległość od samochodu Aleksandra. Czasem nie trzeba dobrze znać języka, żeby się zrozumieć.

– Okej. Bene. – Zuzanna pozbierała rzeczy, które przed chwilą wysypała z torebki, przycupnęła za siedzeniem pasażera i dyskretnie obserwowała białe alfa romeo. – Okej. Bene – powtarzała co jakiś czas.

Aleksander zatrzymał samochód na chodniku przed domem Masza, poczekał, aż brama otworzy się majestatycznie na pełną szerokość i wjechał na posesję. Zuzanna natomiast kazała kierowcy stanąć kilkanaście metrów dalej. Wyciągnęła portfel i spojrzała na taksometr. Nie był nawet włączony. Czyżby facet rzeczywiście myślał, że dostanie kolejną setkę? Nie miała czasu ani chęci zastanawiać się nad tym. Wyjęła całą pięćdziesiątkę, choć uważała, że to i tak za dużo.

– Bene? – Podała ją kierowcy.

– Bene. – Niespecjalnie zadowolony, machnął ręką i schował banknot do kieszeni. – Buona fortuna<sup>[10]</sup>.

– Grazie. – Uśmiechnęła się. – Ciao!

Stała na podwórku i jęknęła, słysząc, jak wielkie żelazne wrota automatycznej bramy zamykają się za jej plecami. O zmianie decyzji nie było już mowy. Co teraz?

Przykucnąwszy pod okazałym rododendronem, rozejrzała się po posesji. Oprócz niej nie było tam nikogo. Nadarzewski zdążył już wprowadzić auto do garażu. Zasunęła się za nim brama, więc wszystko wskazywało na to, że Aleks wejdzie do domu wewnętrznym korytarzem.

Trzymając się jak najbliżej ogrodzenia po lewej stronie, Zuza na czworaka przeszła po trawniku aż do palmy rosnącej przy basenie. Skryła się za nią i odruchowo przyłożyła rękę do serca. Waliło tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć.

*Spokojnie – pomyślała. – Dasz radę.*

Następnie kilkoma długimi susami pokonała kamienną ścieżkę i doskoczyła do białej marmurowej ławki. Już tylko kilka kroków dzieliło ją od bocznego wejścia do domu. Konspiracyjnie rzuciła okiem na taras z grającą fontanną i dostrzegła, że drzwi balkonowe są lekko uchylone. Usiadła na trawie za ławką i zastanawiała się, co zrobić. Jeśli nie chciała, aby Aleks ją zauważył, nie mogła tak po prostu wejść do domu. Bóg jeden wie, gdzie w tej chwili był Nadarzewski. Równie dobrze mógł być na górze i przygotowywać się do transakcji, jak i siedzieć na dole w salonie i czekać na kontrahentów. A plan Zuzanny nie obejmował spotkania z Alekssem. Miała zamiar wejść niepostrzeżenie do domu, znaleźć dyskretny punkt obserwacyjny, zobaczyć, kto kupuje obraz, podsłuchać co nieco i wrócić do restauracji. Proste jak zupa z proszku.

*Cha. Cha. Cha – zaśmiała się ironicznie w myślach. – Ale jestem genialna! Oby nie okazało się, że mój geniusz ma przekrzywiony obraz rzeczywistości.*

Ale skoro powiedziało się A... – spojrzała na odległość, jaką pokonała, aby dotrzeć do tego miejsca i westchnęła. Nie zbliżysz się do róży, jeśli nie zaryzykujesz ukłucia się kolcami.

Uda się! Na pewno się uda, przekonywała samą siebie.

Nagle jej uwagę przykuło migoczące światełko na żelaznym słupku przy podjeździe, sygnalizujące otwarcie bramy. Oho! Goście już są. Na posesję wjechało białe bmw. Niemal takie samo jak nowy nabytek Nadarzewskiego. Czyżby podobne gusta?

Samochód zatrzymał się przed frontowymi drzwiami i po chwili wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jednym z nich był człowiek z siwym kucykiem, ubrany w biały płaszcz do kolan. Na jego widok Zuzanna poczuła, jak po plecach spływają jej strużki potu.

*Kim ty jesteś?* – pomyślała, wyciągając wzrok, ale z tej odległości nie mogła dokładnie przyjrzeć się jego twarzy.

Na schodach przed domem czekał już na nich Aleksander. Zuza uznała, że to najlepszy moment, aby niepostrzeżenie dostać się do willi. Wykorzystując okazję, kiedy mężczyźni wymieniali uprzejmości, pochylona wbiegła na taras. Najciszej jak potrafiła, otworzyła drzwi i czym prędzej pognęła na drugie piętro. Jeśli transakcja odbędzie się w salonie, z górnej antresoli powinien być dobry widok, a jeśli w apartamentach Masza, no cóż, będzie musiała zadowolnić się podsłuchiowaniem. Tak czy owak, instynkt podpowiadał jej, że to najbezpieczniejsze miejsce.

– Zapraszam na górę – usłyszała głos Nadarzewskiego. Mówił po polsku. – Tam będzie nam najwygodniej. Napiją się panowie czegoś?

– Niech pan się nie trudzi – odezwał się mężczyzna z kucykiem. Jego głos był niski i dźwięczny. – Gdzie jest obraz?

– Tędy proszę.

Usłyszała, jak wchodzi po schodach i dyskretnie wyjrzała zza filara. Pierwszy szedł Siwy Mistrz. Zdaniem Zuzanny to określenie pasowało do niego idealnie. Miał ostre rysy twarzy, wzbudzające respekt i podziw. Trudno było się zorientować, ile ma lat. Ryszard Wołoszyc

skończył w tym roku czterdzieści dziewięć. Ten wyglądał, jakby dobiegał sześćdziesiątki, ale to może te siwe włosy tak go postarzały. Drugi mężczyzna, zapewne rzeczoznawca, jak przypuszczała Zuzanna, na tle Siwego Mistrza wyglądał raczej zwyczajnie. Nie było w nim nic szczególnego: około pięćdziesiątki, szary garnitur, korpulentny, ciemne włosy zaczesane na bok, okulary w drucianych oprawkach. A w ręku teczka.

– Proszę się rozgościć. – Nadarzewski wskazał im skórzane kanapy na antresoli pierwszego piętra.

*Świetnie* – pomyślała zadowolona Zuzanna. – *Wybrał najlepsze miejsce.*

Z góry mogła nie tylko ich podsłuchiwać, ale też dobrze ich widziała.

– Napiją się panowie whisky?

– Najpierw obraz. – Mężczyzna z siwym kucykiem rozsiadł się wygodnie w fotelu. – Whisky potem.

– Oczywiście. – Aleks kiwnął głową i zniknął w apartamencie Masza. Po chwili wrócił z teczką. Wyjął z niej obraz i umieścił na stojącej obok sztaludze. Ekspert od razu wziął się do pracy.

– Piękna robota – aż rozpostarł ręce z podziwu. – Czysty anioł – zachwycał się. – Niebiańska kobieta, stworzona do kochania.

– Też tak uważam – zawtórował mu dumnie Nadarzewski. – Taką kobietę można tylko kochać.

– Zna pan historię tego obrazu? – zapytał rzeczoznawca, wyjmując z teczki duże szkło powiększające. – Niewątpliwie ma doskonały początek, choć zastanawiające jest, dlaczego mistrz pozbawił ją skrzydła.

– Być może bał się, że mu odfrunie – zażartował Aleksander. – Bez skrzydła nie mogła mu uciec. Myślę, że to by też wyjaśniało smutek na jej twarzy. Kobieta pozbawiona wolności czuje się nieszczęśliwa.

– Możliwe. – Przez szkło powiększające ekspert zaczął wnikliwie studiować każdy centymetr płótna. – A co pan o tym sądzi, panie Costello? – zwrócił się do mężczyzny z siwym kucykiem.

*Pan Costello...* – Zuza zmarszczyła brwi. – *Hmm...*

– Moim zdaniem – Siwy Mistrz potarł ręką brodę – pod smutkiem tej kobiety malarz ukrył własne cierpienie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

*Cóż za trafne spostrzeżenie* – pomyślała Zuzanna, przysuwając się bliżej barierki.

– Ta kobieta musiała być dla niego kimś bardzo ważnym, skoro namalował ją pod postacią anioła – ciągnął Costello. – Kto wie, być może była jego niespełnioną miłością?

– Skąd to przypuszczenie? – zapytał Nadarzewski.

– Drogi chłopcze – Costello westchnął. – Sprzedaje pan obraz wielkiego mistrza, nie znając

emocjonalnego tła jego twórczości? Mógłbym powiedzieć, że to niewybaczalny błąd.

– Słusznie pan zauważył, jestem tylko sprzedawcą – Aleksander się uśmiechnął. – Proszę więc objaśnić mi to tło.

Costello zastanowił się chwilę.

– Widzę seks i pożądanie. – Zmrużył oczy, zapewne, aby dodać powagi swoim słowom. – Miłość i tęsknotę. Widzę piękną nagą dziewczynę. Skrzydła zamiast ramion pokazują jej duchową wyższość nad innymi kobietami. Jest aniołem. Czystym ucieleśnieniem szczęścia. Boskim stworzeniem, niosącym dobro i radość. Istotą, która nie czuje bólu, ponieważ jest ponad ziemskim cierpieniem. Dlatego smutek na jej twarzy nie może należeć do niej, lecz do samego malarza, który w tak piękny sposób odzwierciedlił własne uczucia, kojarzące mu się z tą dziewczyną. Żal, bo stracił w życiu coś cennego: skrzydło. Bez niego nie może latać, bez niego jest nieszczęśliwy.

*Ten facet jest niesamowity* – zachwyciła się Zuzanna.

– Ciekawa interpretacja. – Nadarzewski pokręcił głową. – Czyli uważa pan, że ta kobieta istniała naprawdę?

– Tak jak wszystkie namalowane przez niego postacie – odparł Costello z przekonaniem. – Na płótnach tego artysty znajdzie pan tylko prawdziwych ludzi i prawdziwe historie opowiedziane za pomocą farb i... emocji. Dlatego jego obrazy są niezwykle.

– Zaimponował mi pan – przyznał Aleksander.

– No cóż. – Costello uśmiechnął się skromnie. – Tak właśnie tworzy mistrz Shavo.

*Shavo?* – Zuzanna osłupiała. – *Ten wielki Shavo i mój ojciec to... ta sama osoba?* – Z wrażenia zasłoniła ręką usta, aby nie krzyknąć. *O, Boże!*

Była zaskoczona. Nie! Oszołomiona. Jej rozum zaczął nagle płodzić tysiące znaków zapytania, niczym maszyna wydmuchująca w powietrze tysiące mydlanych baniek. I wszystkie jednakowe. Wszystkie tak samo brzmiące.

*Jak to możliwe? Mój Boże, jak to możliwe?*

Niesamowite! Kręciła głową z niedowierzaniem, a zarazem, pomimo lęku, że w każdej chwili ktoś może odkryć jej niepożądaną obecność, czuła, że wypełnia ją radość. Była podekscytowana i dumna. Tak! Dumna, że to sam Shavo dał jej życie, że jest córką wielkiego mistrza, że to właśnie po nim odziedziczyła zamiłowanie do malarstwa. Boże! Jaka była szczęśliwa! Ten człowiek to jej ojciec. Teraz, wiedząc, kim jest, mogłaby go bez trudu odnaleźć. Mogłaby go poznać. Mogłaby poprosić, aby został jej nauczycielem. Mogła...

Nie! Nie mogła!

Nie mogła, ponieważ on tego nie chciał. Gdyby było inaczej, sam by ją odszukał. Przecież wiedział o jej istnieniu. Serce Zuzanny znowu przyspieszyło. Entuzjazm gwałtownie zamienił się w złość. Ten człowiek jej nie chciał. Zostawił małe, bezbronne i Bogu ducha winne dziecko. Zrezygnował z obecności w jego życiu. Pozwolił, aby wychowywał je obcy mężczyzna. Pozbył się odpowiedzialności jak balastu i poszybował w obłoki, do gwiazd, ku wolności, zrzucając



przy okazji całą winę na podły los. Bo tak było łatwiej. A przecież... gdyby tylko chciał, gdyby choć trochę się postarał... Zuzanna na pewno by go pokochała. Ale widać, nie zależało mu na niej. Zresztą czego można było się spodziewać po takim ojcu, skoro bez słowa opuścił także swoich synów, z którymi żył i mieszkał pod jednym dachem przez wiele lat. A teraz oni nie chcą go znać. I słusznie! Kto chciałby się przyznawać do ojca, który porzuca własne dzieci?

*Shavo* – pomyślała z pogardą. – *Aleś sobie wymyślił pseudonim, tatuśku. Nie ma co! Przyznaj się, skąd go wytrzasnąłeś?*

Nie musiała długo się nad tym zastanawiać. Odpowiedź nasunęła się sama.

*No jasne!* – Na twarzy Zuzanny pojawił się ironiczny uśmiech. – *RySZArD WOłoszyc* – „*SZA WO*”, a żeby brzmiało bardziej po amerykańsku, po prostu – „*Shavo*”. *Sprytne.*

Myślał pewnie, że dzięki takiej ksywce nikt go nie znajdzie. Że będzie mógł się spokojnie ukrywać. A tu proszę. W przyrodzie nic nie ginie. Chcąc nie chcąc, prędzej czy później się ujawni. Zostanie zdemaskowany. Najbliższy przyjaciel okaże się największym wrogiem. I tak się stało. Zdradził go jego własny talent.

Czy Zuzanna powinna czuć satysfakcję, że poznała prawdę? Nie wiedziała. Co teraz należy zrobić? Nie miała pojęcia. Jej myśli wznosiły się i opadały na falach uczuć, niczym dryfująca na morzu tratwa rozbitka, który od miesięcy wyczekuje stałego lądu. Marzy tylko o tym, aby dopłynąć do brzegu, postawić stopy na piasku i krzyknąć: udało się! I nagle widzi, że jego pragnienie może się ziścić, bo oto na horyzoncie pojawia się utęskniona ziemia. Jeszcze nie widać jej wyraźnie, zaledwie zarys, rozmyty kontur we mgle. Ale to wystarczy, aby zmobilizować resztki sił i przywrócić nadzieję. Z pomocą przychodzi natężający się wiatr i coraz wyższe fale. Tratwa płynie jeszcze szybciej. To nic, że zanoszi się na sztorm. Przecież cel jest niemal osiągnięty. Lecz, cóż to? Zamiast gładkiej piaszczystej plaży, rozbitki widzi wystające z wody ostre skały. Wpada w panikę. Co zrobić, aby się nie roztrzaskać?

*Basiu, pomóż!* – Zuzanna przetarła dłonią spocone czoło.

A jeśli ojciec miał rzeczywiście ważny powód, aby się ukrywać? Nie można wydawać wyroku, nie poznawszy zeznań oskarżonego. Nawet ten, kto pozbawi życia drugiego człowieka, nie zawsze okazuje się mordercą.

Ta huśtawka emocji była nie do zniesienia. Zuzanna pomyślała o Kacprze i zaczęła się zastanawiać, jak jej brat sobie z tym wszystkim radzi. Kochał ojca, a zarazem twierdził, że nie chce go znać. Mówił, że już dawno powinien pozbyć się obrazów ze strychu i jednocześnie nie pozwalał ich nikomu dotykać. A Przemek? Skąd znał Nadarzewskiego? Co go skłoniło do tego, aby sfałszować dla niego te obrazy? Zemsta? Z drugiej jednak strony musiał być naprawdę dobry, skoro zdecydował się na takie posunięcie.

– Zaświadczam ponad wszelką wątpliwość – usłyszała nagle głos eksperta i ponownie spojrzała na dół – że to płótno wyszło spod ręki mistrza Shavo. Szacuję, iż ma około dwudziestu ośmiu, może trzydziestu lat. Można na nim zauważyć małe poprawki, naniesione kilka lat później, jak nieznaczna korekta twarzy w okolicach oczu i ust oraz spory fragment przy lewym ramieniu. Wtedy również zostało namalowane leżące skrzydło. Nie zgadza się tylko podpis, lecz biorąc pod uwagę fakt, że najstarszy obraz tego malarza, jaki do tej pory widziałem, nie miał więcej niż dziesięć lat, wnioskuję, iż wcześniej artysta posługiwał się

inicjałami „R. Wol”. – Wie pan, co mogą oznaczać? – zwrócił się do Aleksa.

*Facet jest znawcą obrazów Wołoszyca i nie wie, jak on naprawdę się nazywa?* – zdziwiła się Zuzanna. – *Aż tak dobrze się ukryłeś, tatuśku? No, no, jestem pod wrażeniem.*

– Nie chciałbym na ten temat spekulować. – Nadarzewski wymigał się od odpowiedzi i poniekąd Zuza była mu za to wdzięczna. – Rozumiem, że potwierdza pan autentyczność obrazu, a więc możemy przejść do transakcji.

– Naturalnie – zgodził się Costello, wyjmując z kieszeni białego płaszcza telefon. – W dalszym ciągu nie chce pan zdradzić źródła pochodzenia tego płótna?

– Wspominałem wczoraj, że jestem tylko pośrednikiem. – Nadarzewski spojrział na obraz. – Właściciel pragnie pozostać anonimowy.

– Rozumiem. – Costello wzruszył ramionami i przyłożył słuchawkę do ucha. – Carlos, portare qui la mia valigetta<sup>[11]</sup>. – Schował komórkę i ponownie zwrócił się do Aleksa: – Najważniejsze, że to oryginał. Nie kupuję dzieł sztuki, aby się nimi chwalić. Kupuję je, aby się nimi zachwycić.

Na dole trzasnęły drzwi. Zuzanna struchlała.

– Carlos, piu cultura!<sup>[12]</sup> – krzyknął Costello. – Non sbattere la porta.<sup>[13]</sup>

– Mi scusi, signore<sup>[14]</sup> – Z salonu dobiegł męski głos. – Troppo grande vento.

– Portare una valigetta al primo piano<sup>[15]</sup>.

– Sì, signore.

Ukradkiem spojrzała w dół i szybko cofnęła się za filar. Na schody wszedł mężczyzna z czarną teczką. Zuza miała wrażenie, że widziała go wczoraj przez bramę, do której wciągnął ją Maks. Zapewne był to jeden z ochroniarzy Siwego Mistrza.

Costello odebrał walizkę od Carlosa, położył ją na ławie z kamiennym blatem i otworzył.

– Proszę. – Obrócił ją w stronę Nadarzewskiego. – Tak jak się umawialiśmy. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

*Ile?* – Zuzanna uniosła brwi. – *O matko, tyle pieniędzy?*

Zbliżyła się do barierek, aby na własne oczy sprawdzić, czy dobrze zrozumiała. Costello musiał chyba upaść na głowę, skoro był skłonny zapłacić taką sumę. Albo Zuzanna się przesłyszała. Może chodziło o dwadzieścia pięć tysięcy, co i tak w jej odczuciu było szokującą kwotą. Słyszała, że obrazy Shavo są bardzo drogie, ale żeby aż tyle? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro to niemal milion złotych. Z miną pełną niedowierzania wychyliła się przez żelazną balustradę. Zerknie do teczki i szybko się wycofa.

Zapewne by jej się to udało, gdyby nie jeden szczegół, którego nie przewidziała. Gdy tylko pochyliła głowę, zsunęły jej się z włosów okulary przeciwsłoneczne, które z gracją spadły wprost na równo ułożone w teczce banknoty. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Po dwóch sekundach Zuza ujrzała wycelowany w siebie pistolet.

- 
- [5] Cóż za niespodzianka!
- [6] Coś się stało? Dobrze się pani czuje?
- [7] Co? Nie rozumiem.
- [8] Dobrze.
- [9] Powoli.
- [10] Powodzenia!
- [11] Carlos, przynieś walizkę!
- [12] Carlos, trochę kultury!
- [13] Nie trzaskaj drzwiami!
- [14] Przepraszam pana.
- [15] Przynieś walizkę na pierwsze piętro.

## ROZDZIAŁ XXI

- Filip! – Zdenerwowana Olga wróciła do stolika, przy którym czekał na nią jej mąż. – Zuza gdzieś zniknęła. Sprawdziłam wszystkie toalety, wyrztałam na ulicę, nigdzie jej nie ma.
- Pewnie wyszła zapalić – odpowiedział spokojnie Filip. – Sprawdzającaś na podwórku?
- Obeszłam dookoła cały budynek. – Usiadła na krześle. – Myślisz, że Nadarzewski mógł ją porwać?
- Nie sądzę, skarbie. – Filip pogładził jej dłoń. – Nie denerwuj się, tylko do niej zadzwoń. Jak znam Zuzę, to prędzej ona coś wykombinowała.
- Przecież obiecała, że nic nie robi. – Wsunęła rękę do torebki i niemal natychmiast wyjęła z niej telefon. – Lepiej, żeby się znalazła, bo inaczej chyba ją zastrzelę.
- Wybrała numer i nerwowo przyłożyła słuchawkę do ucha. Po kilku sekundach usłyszała znajomą melodyjkę i rozejrzała się. Telefon Zuzanny leżał na krześle obok.
- Kiedy ona wreszcie nauczy się pilnować własnych rzeczy? – Zrezygnowanym gestem odłożyła obie komórki na stół. – Co robimy?
- Poczekaj tu na wypadek, gdyby zaraz wróciła – odpowiedział Filip, podnosząc się z krzesła.
- Pójdę się rozejrzeć.
- Olga niespokojnie zabębniła palcami o blat.
- Gdzie ty się podziewasz, kochaniutka?* – Jeszcze raz rozejrzała się po sali i zerknęła na ulicę.

– *Mało ci było wczoraj? Jeśli coś wykombinowałaś...*

Jej myśli przerwała melodyjka z telefonu Zuzanny. Olga mimowolnie zerknęła na połyskujący ekran i przeczytała: Kacper Wołoszyc.

– No ładnie – powiedziała do siebie. – Brat chce z nią pogadać, a jej nie ma. Potem będzie miała pretensje, że w ogóle się do niej nie odzywa.

Komórka Zuzanny nie przestawała dzwonić.

– Jaki uparty. – Zawahała się chwilę, po czym postanowiła odebrać. – Halo?

– Cześć, Zuza. Coś nam przerwało, a potem nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś sama nic nie sprawdzała. Poczekaj na mnie. Jestem już niedaleko.

– Witaj, Kacprze, mówi Olga, koleżanka Zuzanny. Czego ona sama ma nie sprawdzać?

– Olga? – zdziwił się Kacper. – Właścicielka bordowego wranglera?

– Zgadza się – przytaknęła. – Odpowiesz na moje pytanie?

– A gdzie jest Zuzanna?

– Nie wiem, ulotniła się! – Zdenerwowana Olga podniosła głos. – Zostawiła telefon i zniknęła. Obawiam się najgorszego, więc z łaski swojej wytłumacz mi, dlaczego tu jedziesz i co zamierzacie sprawdzić.

– Kurwa mać!

– Nie kurwa mać, Kacper, tylko powiedz, o co chodzi! – krzyknęła do słuchawki, nie wierząc własnym uszom, że zaklęła.

– O obraz – usłyszała po chwili.

– Zuzanna? – Zdziwiony Nadarzewski wbiegł na półpiętro i stanął jak wryty. – Co ty tu robisz?

– Cześć, kochanie.

*Kochanie?* – pomyślała. – *Co mi odbiło?*

Nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się zachować spokój.

– Kochanie, mógłbyś powiedzieć temu miłemu panu – wskazała na ochroniarza z wycelowanym w nią pistoletem – żeby schował to niebezpieczne urządzenie? Jeszcze zrobi komuś krzywdę.

Przez kilka sekund Aleks w milczeniu świdrował Zuzannę pytającym spojrzeniem i Bóg jeden wie, jak długo by to trwało, gdyby nie reakcja pana Costello.

– Carlos! – zawołał. – Nascondere la pistola e tornare alla macchina<sup>[16]</sup>.

– Sì, signore. – Ochroniarz schował broń, skłonił się lekko, jakby w przepaszającym geście, i szybko się ulotnił.

– Proszę mu wybaczyć. – Siwy Mistrz zwrócił się do Zuzanny. – Chłopak jest trochę narwany. Mam nadzieję, że pani nie przestraszył.

– Tylko odrobinę. – Zuza z wymuszonym uśmiechem powoli zeszła do Aleksa, który nadal nie spuszczał z niej przenikliwego spojrzenia, objęła go i niewiele myśląc, pocałowała w policzek. – Przepraszam, kochanie – powiedziała z doskonale zagraną skruchą, czując jednocześnie uderzenia własnego serca pod samym gardłem. – Wiem, że miałam ci nie przeszkadzać, ale wyobraź sobie, że poszłam na zakupy, wybrałam śliczną sukienkę i dopiero przy kasie zorientowałam się, że nie wzięłam portfela. Ale ze mnie blondynka, prawda? – Zdobyła się na najśłodszy z dostępnych jej uśmiechów. – Dlatego wróciłam do domu, wzięłam pieniądze i już miałam biec z powrotem do sklepu, kiedy usłyszałam piękną interpretację obrazu. Wybacz mi kochanie, nie mogłam się powstrzymać, aby nie posłuchać chwilkę.

Na twarzy Nadarzewskiego pojawił się dziwny uśmiech. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Zuzanna nie dała mu dojść do słowa.

– No to lecę, kochanie, bo jeszcze ktoś mi sprzątnie tę sukienkę sprzed nosa. A jest naprawdę cudowna. Spodoba ci się. – Chciała odsunąć się od Aleksa, ale ten przytrzymał ją w pasie.

*Cholera!* – pomyślała. – *Chyba jednak nie będzie tak łatwo.*

– Zostań, królowno – powiedział łagodnie, lecz jego mocny uścisk sugerował mało przyjazne zamiary. – Już kończymy. A potem z przyjemnością pojedę do sklepu razem z tobą.

– Ależ kochanie, ta sukienka była naprawdę wyjątkowa. – Zuza czuła, że traci grunt pod nogami. Wiedziała tylko jedno: musi znaleźć sposób, aby się stąd wydostać. – Nie daruję sobie, jeśli jakaś inna kobieta ją kupi. – Zrobiła najsmutniejszą minę, jaką tylko potrafiła, łudząc się, że zyska sobie przychylność pozostałych mężczyzn, którzy dotąd przyglądali im się w milczeniu. – Panowie zapewne zgodzą się ze mną, że nic tak nie poprawia kobiecie nastroju, jak udane zakupy. A zadowolona kobieta potrafi być bardzo miła dla swojego mężczyzny. – Dla uwiarygodnienia swoich słów czule pocałowała Aleksandra w usta.

*To z konieczności!* – Szybko usprawiedliwiła się w myślach.

– Przepraszam za to zamieszanie – zwrócił się Nadarzewski do swoich kontrahentów, nie reagując na jej słowa i nie zwalniając uścisku na jej talii. – Panowie pozwolą, że im przedstawię. To jest Zuzanna...

– Narzeczona Aleksa – dodała pospiesznie i wyciągnęła rękę do Costella, licząc, że zaskoczony tym wyznaniem Nadarzewski, nie będzie robił scen i ją wypuści z uścisku.

Nie myliła się. Zrobiła kilka kroków w przód i od razu pomyślała o ucieczce. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że to za bardzo ryzykowne. Nie przeskoczy przez płot. Opcja: wybiec na podwórko i wołać o pomoc wydawała się lekko bezsensowna. Ludzie mogliby wziąć ją za wariatkę. Jak będzie się tłumaczyć, skoro nie zna włoskiego? Ponadto na dole był Carlos, człowiek poniekąd nieprzewidywalny. Jeśli już raz wycelował w Zużę z pistoletu, równie dobrze mógł też ją bez skrępowań zastrzelić. Należało zatem grać na zwłokę. Nie mylić ze zwłokami. Trupy niepożądane. Przydałby się natomiast jakiś mały cud.

– Bella donna<sup>[17]</sup>. – Costello delikatnie uściśnął dłoń Zuzanny, z podziwem przyglądając się jej twarzy. – Ma pan piękną narzeczoną – zwrócił się do Aleksandra. – Jakbym widział anioła.

Na jej ustach pojawił się skromny uśmiech. Dygnęła lekko i na kilka krótkich chwil utkwiła wzrok w oczach Siwego Mistrza. Chyba były brązowe. Nie była pewna. Zasłaniały je lekko przymknięte powieki, oplecione delikatną pajęczyną zmarszczek. Costello miał spojrzenie pogodnej, ciepłej osoby. Czy ten człowiek mógłby być gangsterem? Właściwie czemu miałaby o nim tak pomyśleć? Dlatego, że obstawiał się goryłami, którzy bez wahania potrafili wyciągnąć z za pazuchy broń?

Nadarzewski wskazał Zuzannie skórzany fotel i grzecznie poprosił, aby usiadła. Na widok tego nieznoszącego sprzeciwu spojrzenia Zuza posłusznie zajęła miejsce, usilnie przekopując najdalsze zakamarki swojej przestraszonej świadomości w poszukiwaniu wyjścia z niezręcznej i raczej mało bezpiecznej sytuacji. Nic! Jakby wyczyszczono jej mózg z wszelkich elementów ludzkiej inteligencji. Próżnia! I tylko dokuczliwe kołatanie serca, dudniące echem w jej głowie.

*Jak mogłaś być tak nierozważna? – besztła się w myślach. – Tak lekkomyślna i głupia? Mało ci było wczoraj wrażeń?*

Czuła, że tonie. W morzu własnego kretynizmu. Żeby miała chociaż brzytwę, której mogłaby się chwycić...

– Kochanie... – odezwała się nagle, kątem oka zerkając na obraz ustawiony na sztaludze. – Szkoda mi się z nią rozstawać. Jest taka... zjawiskowa.

– Słucham? – Brwi Aleksandra uniosły się nienaturalnie wysoko, tworząc na czole bruzdy, do złudzenia przypominające papierowy wachlarzyk, albo co najmniej karbownicę do włosów. – O kim ty mówisz?

– O niej – wskazała kobietę na płótnie. – Teraz, gdy wiem, że istniała naprawdę, mam wrażenie, jakby była moją bratnią duszą. Nie wiem, jak inaczej wyrazić to uczucie. Wyjątkowa emocjonalna więź?

– Zuza, co ty wymyślasz? – Zmarszczki na czole Aleksa pogłębiały się z każdą sekundą. – Ten obraz jest starszy od ciebie. Jaka więź?

– Ponadczasowa. – Nie musiała się wysilać, aby jej głos brzmiał przekonująco. – Zachwyliła mnie pańska interpretacja – zwróciła się do Costella. – Niespełniona miłość. Oderwane skrzydło, bez którego nie można być szczęśliwym. Tęsknota za ukochaną osobą. Tak trafnie odczytał pan uczucia, którymi kierował się artysta przy tworzeniu swojego dzieła, jakby... *sam pan nim był?*... jakby go pan dobrze znał.

– Pani Zuzanno. – Siwy mistrz obdarzył ją ciepłym uśmiechem. – Z zamiłowania jestem kolekcjonerem. I estetą z wyboru. Lubię piękno, więc lubię znać się na nim. – Jeszcze bardziej zmrużył oczy i na chwilę zerknął na obraz. – Jest pani do niej bardzo podobna. Ja także wyczuwam więź między wami.

– Pochlebia mi pan. – Zuzanna zmieszała się lekko i również spojrzała na sztalugę. – Ale zuchwałością z mojej strony byłoby utożsamianie się z tą kobietą. Ja jestem tylko zwykłą dziewczyną, ziemską istotą, której daleko do doskonałości, ona natomiast jest aniołem. Dlatego mówiąc, że widzę w niej bratnią duszę, miałam raczej na myśli uczucia. Miłość i ból. Szczęście i cierpienie. – Zaczerpnęła powietrza, aby kontynuować, lecz Nadarzewski szybko wykorzystał ten moment.

– Słuchanie ciebie, Zuziu, to wielka przyjemność. – Stał za fotelem, na którym siedziała i pomasaował jej ramiona – ale panowie zapewne chcieliby już wracać do swoich zajęć. Pozwól nam dokończyć. To już nie potrwa długo. – Schylił się i pocałował ją czule w policzek. – A potem pojedziemy po twoją sukienkę. Już nie mogę się doczekać, kiedy cię w niej zobaczę.

*O matko!* – jęknęła w duchu.

– Myślę, że znajdziemy jeszcze trochę czasu na miłą pogawędkę z panią Zuzanną, prawda? – Costello spojrział na eksperta, który kiwnął potakująco głową. – Patrząc na panią, trudno uwierzyć, że tak młoda i piękna kobieta może przeżywać rozterki miłosne.

– Dziś jestem szczęśliwa. – Uśmiechnęła się, gładząc dłoń Aleksandra na swoim ramieniu.

*Kobieto, zwariowałaś? Co ty wyprawiasz? Powiedz prawdę i szukaj ratunku! Nie pogrążaj się jeszcze bardziej!* – usłyszała swoje myśli i szybko pożałowała wypowiedzianych przed chwilą słów. Szkoda, że tak późno.

– Ale... przepraszam kochanie, że o tym mówię. – Ponownie pogłaskała rękę Aleksa – Pięć lat temu w wypadku samochodowym straciłam swoją pierwszą miłość. Na kilka miesięcy przed ślubem. Została mi po niej wielka pustka i... czteroletni synek.

– Już dobrze, królewno. – Poczowała we włosach oddech Nadarzewskiego. – Nie musisz o tym opowiadać. To było dawno temu. – Jego głos był zadziwiająco miękki, choć przed sekundą miała wrażenie, że miażdży ręką jej ramię. – Sama widzisz, że z tym obrazem kojarzą ci się przykre wspomnienia.

*Szlag by to!*

– A jednak szkoda mi się z nią rozstawać, ponieważ – zamyśliła się chwilę, spoglądając na płótno – ta kobieta przypomina mi moją mamę. Niemal identycznie spina włosy i robi podobną minę, gdy się smuci. Ale najczęściej widzę ją pogodną i uśmiechniętą. Jest fantastyczną matką i żoną. Tak! O niej można powiedzieć, że jest aniołem.

– Pani ojciec musi być szczęśliwym człowiekiem – stwierdził ekspert. – Zazdroszczę mu.

– Tylko że... i ona nie miała łatwego życia. To chyba u nas rodzinne. – Zuzanna wsparła głowę na oparciu fotela, uwalniając się przy okazji od dłoni Nadarzewskiego. – Moja matka również straciła swoją pierwszą miłość. Człowiek, którego bardzo kochała, opuścił ją bez słowa wyjaśnienia i zniknął. Zostały jej po nim tylko wspomnienia i... małe dziecko. – Zrobiła krótką pauzę. – Miałam wtedy kilka miesięcy. Na szczęście los się do nas uśmiechnął. Mama poznała innego mężczyznę, ponownie się zakochała i wyszła za mąż, dzięki czemu ja zyskałam wspaniałego tatę, który nigdy nie dał mi odczuć, że nie jestem jego biologicznym dzieckiem. Ma pan rację. – Spojrzała na eksperta. – Mój ojciec jest szczęśliwym człowiekiem. Moja mama również. Oboje są moimi aniołami.

Aleks ponownie pochylił się nad głową Zuzanny.

– Ty też będziesz szczęśliwa. Już ja się o to postaram.

*Tego obawiam się najbardziej.* – Znów mocno zabiło jej serce.

Do celu pozostało już tylko trzydzieści kilometrów. Wynajęty na lotnisku w Pescarze ceglasty

nissan qashqai właśnie minął Rodi Garganico i podążał dalej w kierunku Vieste. Jadący nim dwaj mężczyźni nie rozmawiali ze sobą od kilkunastu minut. Jeden skupił się na prowadzeniu samochodu, drugi gapił się bezmyślnie przez boczną szybę.

– Zatrzymamy się gdzieś na śniadanie? Głodny jestem.

– Znowu? – zdziwił się kierowca. – Przecież jadłeś w samolocie.

– Cztery marne kanapeczki raptem, dwa hot dogi i jednego hamburgera. Porcja jak dla niemowlaka. Myślałem o porządniejszym żarciu.

– Teraz nie ma na to czasu. Słyszałeś, co ona powiedziała? Musimy się pośpieszyć.

– Okej, Okej! – westchnął tamten, niezadowolony. – Mam tylko nadzieję, że nie jedziemy tam na darmo.

– Jak się nie uda, będziesz miał kilka dni wakacji.

– A jeśli już o tym mowa – mężczyzna siedzący na miejscu pasażera ziewnął przeciągle – gdzie się zakwaterujemy?

– Nie mógłbyś pomyśleć o czymś innym niż żarcie i spanie? Mamy sprawę do załatwienia.

– Dobra! Ale kiedy jestem głodny, robię się zmęczony, a kiedy jestem zmęczony, robię się śpiący...

– A kiedy tak jęczysz, robię się zły – dokończył mężczyzna za kierownicą. – W plecaku mam wafelki. – Wskazał kciukiem do tyłu. – Nie krępuj się.

– Życie mi uratowałeś, brachu! – zawołał drugi, sięgając łapczywie na tylne siedzenie.

Nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową i założył na ucho słuchawkę bezprzewodową, aby po chwili wykręcić pożądaną numer telefonu.

– Witaj, przyjacielu – odezwał się po kilku sygnałach. – Masz ochotę zagrać dzisiaj partyjkę szachów ze starym kumplem?

– Dzisiaj? – zdziwił się rozmówca. – Nic nie mówiłeś, że się tu wybierasz.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– To ci się udało. O której mam się ciebie spodziewać?

– Jest nas dwóch. Mamy już niedaleko, ale musimy najpierw zahaczyć o jedno miejsce. Trudno powiedzieć, ile nam zejdzie. Dam ci znać. Mam nadzieję, że nigdzie się dziś nie wybierasz?

– Prawdę mówiąc, trochę pokrzyżowałeś mi plany, ale skoro przemierzyłeś już taki kawał drogi, oczywiście zapraszam.

– W takim razie jesteśmy umówieni. – Kierowca się uśmiechnął, wyłączając telefon.

– No dobra. – Aleks klasnął w dłonie. – Dosyć zwierzeń na dziś. – Spojrzał na otwartą walizkę



wypełnioną banknotami, po czym ją zamknął. – Rozumiem, że nie muszę liczyć. Nie proponuję whisky, bo pewnie panowie się spieszą.

Zdjął obraz ze sztalugi.

– Ale ja chętnie bym się napiła – odezwała się Zuzanna.

Nadarzewski znieruchomiał. Nikt nie widział jego miny, ale Zuza była pewna, że nie jest zadowolony. Obrócił się powoli.

– Zuziu – na jego twarzy widać było zdziwienie – przecież ty...

– To ja też poproszę odrobinę – wszedł mu w słowo Costello i poprawiwszy się wygodnie na kanapie, założył nogę na nogę. – Chętnie dotrzymam pani towarzystwa.

– A i ja nie odmówię – zawtórował ekspert, siadając na drugiej kanapie.

– Oczywiście – powiedział Aleksander z pokerowym uśmiechem i podniósł teczkę, aby zapakować do niej obraz.

– Pozwolisz, kochanie, że jeszcze sobie na niego popatrzę? – poprosiła Zuzanna, zmuszając tym samym Aleksa, by odstawił płótno na sztalugę.

Zrobił to niechętnie. Wyczytała to z jego oczu.

Sięgnął do komody stojącej pod ścianą, wyjął z niej karafkę wraz z czterema szklankami, nalał do każdej trochę trunku i pierwszą podał Zuzannie. Jego spojrzenie mówiło jasno: nie daruję ci tego. Odpowiedziała mu uśmiechem.

*Czy Olga i Filip domyślą się, gdzie jestem?* – przemknęło jej przez myśl.

Wzięła nieduży łyk i podeszła ze szklanką do sztalugi.

– Czytałam kiedyś o mistrzu Shavo – powiedziała, spoglądając na płótno. – Dziwak, snob i ekscentryk. No cóż, być może. Nie znam go. Dla mnie... – zerknęła z ukosa na Costella, ale trudno było cokolwiek wyczytać z jego przymrużonych oczu – dla mnie przede wszystkim jest wielkim malarzem, który w tak cudowny sposób potrafi nasycić uczuciami farby, aby powstał obraz przedstawiający euforię miłości i zarazem ból po jej stracie. Szczęście i krzywdę. Zachwyty i rozpacz. Chciałabym umieć tak malować.

Siwy Mistrz i jego rzeczoznawca wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Dostrzegam w pani artystyczną duszę – stwierdził Costello. – Jest pani malarką?

– Z zamiłowania. – Uśmiechnęła się. – Z wykształcenia jestem bankowcem. Mój tata często powtarzał, że przede wszystkim trzeba zdobyć porządny zawód, a dopiero potem rozwijać talenty artystyczne. Mówił, że jedno nie musi wykluczać drugiego. Posłuchałam go, ale równolegle ze studiami na uniwersytecie uczyłam się też malarstwa.

– Rodzice muszą być z pani dumni – wtrącił ekspert, opróżniając swoją szklankę z whisky.

– Bardzo bym tego chciała – odpowiedziała skromnie. – Chociaż... moja mama chyba nie była

zadowolona, że poszłam w ślady swojego biologicznego ojca. Nigdy głośno tego nie powiedziała, ale ja zawsze wyczuwałam w niej niechęć do malarstwa. No cóż, chyba jej się nie dziwię.

– Nie mówiłaś, że twój biologiczny ojciec był malarzem – zainteresował się nagle Aleksander, z zaciekawieniem spoglądając to na obraz, to znów na Zuzannę. – Ciekawe.

Zorientował się?

– Pani Zuzanno. – Costello odstawił niedopitą szklanekę i podniósł się z kanapy. – Nie twierdzę, że pani ojciec zrobił źle, namawiając panią na uniwersytet, a nie na Akademię Sztuk Pięknych. Nie śmiem podważać jego autorytetu, ale proszę pamiętać o jednym: w życiu powinniśmy kierować się własnymi aspiracjami, mieć na uwadze własne marzenia i dążyć do realizacji pragnień, które zaspokoją przede wszystkim nas samych. Dopiero wtedy będziemy szczęśliwi. Nawet jeśli uprzedzenia matki do malarstwa uważa pani za uzasadnione, nie powinny one wpływać na pani decyzje, dotyczące dalszego zgłębiania wiedzy w tej dziedzinie. – Podszedł bliżej i spojrzał na nią. – W tych oczach widzę niezwykły talent. Piękną artystyczną duszę. Subtelna wrażliwość i wyostre spojrzenie na świat. Proszę to w sobie pielęgnować, a odkryje pani nieograniczone pokłady malarskiego geniuszu. – Uśmiechnął się. – Wiem, co mówię.

Zuzanna patrzyła na niego jak zaczarowana. Miała wrażenie, że ten człowiek zna ją lepiej niż ona sama.

– Proszę nie dać sobie wmówić, że jest pani zwyczajną dziewczyną – ciągnął. – Ma pani anielską urodę i uduchowioną osobowość. A mówi się, że dusza artysty jest zawieszona w niebie.

– W niebie? – zapytała.

– Tak – odparł. – Na agrafce.

– W niebie na agrafce? – zdziwiła się. – Nie rozumiem.

– Myślę, że pani rozumie. – Costello obdarzył ją pogodnym uśmiechem, po czym delikatnie zdjął obraz ze sztalugi. – Jesteś piękna, moja droga – powiedział do damy ze skrzydłem i zbliżył do niej twarz, jakby chciał ją pocałować.

– Zważywszy na cenę, jest rzeczywiście droga – westchnęła żartobliwie.

– Pieniądze nie grają roli. – Odstawił płótno z powrotem. – Jest warta każdej ceny.

*Każdej?*

I pomyśleć, że ten obraz miał należeć do Zuzanny. Kacper chciał go jej podarować. Tak powiedział. Przemek zdecydował o jego losie bez porozumienia z bratem i wbrew jego woli. Lecz skoro to była ich wspólna własność, żaden z nich nie powinien samodzielnie nią dysponować.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Kacprem. Pytał, czy Nadarzewski pozbył się już płótna. A jeśli jej brat chciał odzyskać to płótno z powrotem? Co prawda nie miała pojęcia, jak mógłby tego dokonać, lecz podświadomie czuła, że właśnie o to mu chodziło. Czy mogłaby mu

w tym pomóc? Ale jak? Przyznać się, że jest córką Shavo i udaremnić transakcję, tłumacząc, że zaszło nieporozumienie? Nie! Absurdalny pomysł. Zuza tyle im o sobie opowiedziała, że tylko idiota nie domyśliłby się prawdy. Była pewna, że wszyscy trzej mężczyźni przypuszczali, kim był dla niej twórca damy ze skrzydłem, a jednak żaden z nich nie drążył tego tematu. Aleksowi zależało na sprzedaży, a Siwemu Mistrzowi na posiadaniu pięknej rzeczy. Jeśli teraz Zuzanna głośno potwierdzi ich domysły, postawi ich w niezręcznej sytuacji. Nadarzewski jej tego nie daruje.

Odstawiła pustą szklankę na ławę, czując na sobie ciężki wzrok Aleksandra. Pilnował jej. Zdawała sobie sprawę, że kiedy tamci odjadą, ona znajdzie się w bardzo kłopotliwym położeniu.

*A gdyby tak...* W jej głowie zaświtała nagle szalona myśl.

– Chciałabym mieć ten obraz.

– Co? – Nadarzewski o mało się nie zakrztusił.

Odczekała kilka sekund i odwróciła się powoli. Lustrowały ją trzy pary oczu.

– Moglibyśmy go kupić?

– Słucham? – Aleks wykrzywił twarz w nienaturalnym grymasie. – O czym ty mówisz?

– Kupmy go, proszę.

– Zuziu, dobrze się czujesz? – Ruszył w jej kierunku. – Wiesz, ile to pieniędzy? Nie stać nas.

– Mnie stać. – Unikając zetknięcia się z Aleksandrem, okrążyła fotel z drugiej strony i stanęła przy sztaludze. – Stać mnie na dużo więcej.

*No!* – pomyślała. – *Stać cię na wszystko, tylko nie na kupno tego obrazu. Ale czy ktoś musi o tym wiedzieć?*

Nagle poczuła przyływ energii. Pomysł był absurdalny, ale jedyny, jaki przyszedł jej do głowy. Przede wszystkim dawał nadzieję, że może uda się uniknąć katastrofy.

Zapewne teraz Siwy Mistrz nie będzie chciał dać za wygraną i podbije cenę. W końcu, jak przyznał, pieniądze nie grają dla niego roli. Dobrze, więc. Niech licytuje. To i tak nie miało większego znaczenia. A tłumaczenie dla Nadarzewskiego wymyśli się później. Najważniejsze, aby był przekonany, że Zuza naprawdę chce kupić obraz.

– Przepraszam, panie Costello. Wiem, że zależy panu na niej – wskazała kobietę ze skrzydłem – proszę mnie jednak zrozumieć...

– Zuzanno! – zawołał Aleks. – Nie możesz kupić tego obrazu, ponieważ on właśnie został sprzedany. Pan Costello specjalnie przyjechał po niego aż z Rzymu. Warunki transakcji zostały ustalone już dawno temu. Dzisiejsze spotkanie to tylko formalność, więc proszę, odłóż na bok sentymenty i nie zajmuj panom ich cennego czasu. Jeśli tylko chcesz, znajdę ci równie piękny i wartościowy obraz, który tak samo głęboko poruszy twoją wrażliwą duszyczkę.

*Normalnie zaraz się popłaczę ze wzruszenia* – pomyślała złośliwie.

– Nie chcę innego. – Gdyby spojrzała teraz w lustro, zobaczyłaby naburmuszoną dziewczynkę, stojącą pod sklepem z zabawkami. – Zależy mi tylko na tym.

– Królewno, zrozum – dotknął jej ramion, usiłując zachować spokój. – Sprawa jest już zamknięta. Finito. Rozumiesz?

– To ty mnie zrozum – zrobiła krok w tył. – Stać mnie, aby kupić ten obraz i chcę to zrobić. Panie Costello, za ile może mi go pan sprzedać?

Cisza trwała nie dłużej niż dziesięć sekund, ale w tym czasie Zuza zdążyła odmówić kilka zdrowasiek, zobaczyć oczami wyobraźni swoje dziecko wychowujące się bez matki i Maksę kochającego się z inną kobietą.

*Dziewczyno, zatrzymaj się!* – Prześladował ją jej własny głos. – *Odpuść! Wszystko, co robisz, jest jedną wielką eksplodującą głupotą!*

– A ja panią rozumiem – odezwał się nagle Siwy Mistrz – dlatego jestem skłonny odstąpić od transakcji.

– Słucham? – Nadarzewski otworzył szeroko oczy.

– Kocha pan swoją narzeczoną, prawda? – zapytał Aleksa.

– Oczywiście, ale przecież...

– Proszę więc pozwolić, aby była szczęśliwa. – Costello skinął na eksperta, aby tamten wziął walizkę z pieniędzmi. – Jeśli tak bardzo zależy jej na tym płótnie, powinien pan się postarać, aby należało do niej.

Z każdym słowem mężczyzna z kucykiem zadziwiał Zuzannę coraz bardziej. Opowiadał o miłości i poświęceniu, patrząc na nich tak, jakby był szczerze przekonany o prawdziwości ich związku. Przez chwilę Zuza miała nawet wrażenie, że sam Nadarzewski w to uwierzył, skoro nie ośmielił się przerwać Siwemu Mistrzowi.

– Jestem bardzo rad, że panią poznałem. – Costello ujął w obie dłonie rękę Zuzanny. – I cieszę, że to właśnie pani będzie właścicielką tego wspaniałego obrazu. Gdyby jednak zmieniła pani zdanie, proszę pamiętać, że jestem w każdej chwili gotowy go nabyć.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję.

Siwy Mistrz i jego rzeczoznawca ruszyli w kierunku schodów.

– Ależ bardzo proszę. – Zuzanna usłyszała cierpki szept w swoim uchu, czując jednocześnie uścisk dłoni Aleksandra tuż powyżej prawego łokcia.

Zacisnęła zęby. Czyżby to miał być przedsmak tego, co miało nastąpić po odjeździe tamtych dwóch mężczyzn?

*Costello jest po twojej stronie!* – W jej skroniach dudnił głos rozsądniejszej Zuzanny. – *Wystarczy, że poprosisz go o pomoc. Chociaż krzyknij!*

Nie mogła! Bóg jeden tylko wiedział dlaczego. Nie mogła!

Zeszli na dół. Ból ramienia był coraz dotkliwszy. Przy każdej próbie wyswobodzenia się, palce Aleksa zaciskały się coraz mocniej.

Poluzował nieznacznie uścisk, dopiero gdy wyszli na zewnątrz.

– Do widzenia. – Siwy Mistrz po przyjacielsku uściśnął dłoń Nadarzewskiego. – Proszę o mnie pamiętać, gdy znów wejdzie pan w posiadanie pięknego okazu.

– Nie omieszkam. – Aleksander skłonił się uprzejmie. – Do zobaczenia. Mam nadzieję, że już niebawem. – Pochylił się nad uchem Costella i szepnął: – Proszę się nie martwić. Zuzanna bywa czasem kapryśna. Znam ją i wiem, że wkrótce zmieni zdanie.

Nadarzewski otworzył drzwi i pociągnął ją za ramię.

– Do środka! – nakazał złowrogo.

Łypnęła na niego okiem. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Co się stanie, gdy Zuza wejdzie z nim do domu? Nie chciała wiedzieć. Spojrzała za siebie. Białe bmw sunęło jeszcze po kamienistej ścieżce w kierunku otwierającej się bramy. Ile metrów mogło być do ulicy? Sto? Taki dystans byłaby w stanie pokonać w kilkanaście sekund. Wystarczyło tylko...

Niewiele myśląc, wyszarpnęła ramię z silnego uścisku i rzuciła się do ucieczki.

\*

Olga włączyła silnik srebrnego grand cherokee i, stukając nerwowo dłonią o kierownicę, rozglądała się po parkingu.

– Ten też gdzieś przepadł! – powiedziała głośno do siebie. – Czy oni wszyscy poszaleli? Ja chyba zwariuję! Nigdy więcej takich wakacji!

Nagle drgnęła, słysząc dźwięk otwierających się drzwi od strony pasażera.

– Nie bój się, skarbie. To tylko ja, twój mąż.

– Czekam na ciebie ponad dwadzieścia minut! – krzyknęła Olga. – Wsiadaj, bo nie ma czasu! Jedziemy!

– Dokąd? – zapytał Filip, zajmując miejsce obok żony. Nie zdążył zamknąć drzwi, kiedy samochód ruszył na pełnym gazie. – Boże, zwolnij!

– Ona wróciła do domu Masza. – Olga przyhamowała nieznacznie przed wyjazdem z drogi podporządkowanej, niedbale rozejrzała się na boki i skręciła w prawo. Za nimi rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu. – Czego trąbisz, makaroniarzu? – Rzuciła wściekłe spojrzenie w stronę wyprzedzającego ich małego forda, którego kierowca pokazał przez szybę wymowny gest. – Sam się... – nie dokończyła.

– Powinnaś bardziej uważać – ostrzegł ją mąż. – Skąd wiesz, że Zuza tam wróciła?

– Rozmawiałam z jej bratem. Jedzie tu, aby zapobiec sprzedaży tego obrazu, który Nadarzewski podrzucił nam do auta. Tego z podobizną Poli Kosteckiej. Kacper chce go odzyskać, a Zuza miała się zorientować, kiedy Aleks zamierza się go pozbyć.

– Jasny gwint! Czemu nam o tym nie powiedziała?

– Prawdopodobnie dlatego, że uznalibyśmy to za niedorzeczny pomysł. Nie znasz jej? Jak sobie coś postanowi, to już pozamiatane. Zresztą, sam ją zapytaj przy najbliższej okazji. Oby nie było za późno. Boże, nie pozwól, aby jej się coś stało! – Olga poczuła napływające do oczu łzy i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu. – Niech ją tylko dorwę...

Zdenerwowany Filip pospiesznie wyjął telefon.

– Maks! Mamy problem! – krzyknął do słuchawki. – Zuza zniknęła. Jedziemy do willi. Pospiesz się!

Olga zignorowała znak „ustąp pierwszeństwa” i przejechała skrzyżowanie tuż przed nadjeżdżającym z lewej strony czerwonym punto.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał Filip. – Jeśli mamy tam szybko dojechać, lepiej, żebym to ja poprowadził. Zatrzymaj się! O mało nie zrobiłaś z tego fiata ketchupu.

– Nie moja wina, że się tam napatoczył – odgryzła się. – Powinien patrzeć pod koła. Ja byłam tam pierwsza.

– Skarbie, proszę cię!

– A jeśli Nadarzewski jej coś zrobi?

– Nie sądzę. Zuza za bardzo mu się podoba.

– No właśnie! I w najlepszym razie ją porwie.

Na krzyżówce zapaliło się żółte światło. Olga zignorowała sygnalizację i nie zdejmując nogi z gazu, płynnym ruchem przejechała przez kolejne skrzyżowanie.

– A ty w najlepszym razie zapłacisz mandat! – zawołał wkurzony Filip. – Zwolnij, mówię!

– Nie mogę. Nie chcę mieć na sumieniu swojej najlepszej przyjaciółki.

– Jeśli spowodujesz wypadek, w niczym jej nie pomożesz. Stój! Przejście dla pieszych!

– Przecież widzę! – obruszyła się Olga. – Nie jestem ślepa!

Na pasy wszedł dobrze umięśniony młody mężczyzna. Miał na sobie krótkie szorty i koszulkę na ramiączkach. Przekraczał jezdnię spacerowym krokiem, jakby to była alejka parkowa. Zapewne nie chciał pozwolić, aby komukolwiek umknęły jego błyszczące w słońcu nadmuchane bicepsy i pozostałe walory kulturystyczne.

Olga widziała, jak jej mąż wbija paznokcie w skórzany podłokietnik i dusi stopami podłogę, bezskutecznie szukając pedału hamulca. Nie zwolniła jednak. Oстрыm łukiem ominęła mięśniaka na przejściu, nie żałując sobie przy okazji uszczypliwych epitetów pod jego adresem.

– Napakował się jak autokar do Lichenia i teraz paraduje jak modelka. – Zerknęła na kulturystę we wstecznym lusterku i krzyknęła: – To nie wybieg, tylko ulica!

– Boże święty! – Jej mąż przetarł ręką spocone czoło. – Zabiłabyś go.

– Daj spokój. – Jej głos nagle złagodniał. – Widziałeś, jaki był naszpikowany sterydami? Ja po prostu nie mogłam pozwolić, żeby nas staranował.

– Za chwilę przez ciebie osiwieję – westchnął ciężko Filip. – W wieku trzydziestu lat będę miał włosy jak albinos.

– Nie przesadzaj, skarbie. – Olga poklepała męża po udzie, lecz on szybko cofnął jej rękę z powrotem na kierownicę. – A jeśli nawet – wzruszyła ramionami – zawsze będę cię kochać.

W tym samym momencie wcisnęła do oporu pedał hamulca. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Srebrny grand cherokee z piskiem opon zbliżał się do innego samochodu, który nie wiedzieć skąd nagle pojawił się na drodze. Zabrakło czasu, aby go ominąć. Przytomność umysłu, jaką wykazała się Olga, zadziwiła ją samą. Udało jej się zahamować w ostatniej chwili.

– W imię Ojca i Syna... – wymamrotała.

Gdyby zareagowała pół sekundy później, doszłoby do katastrofy.

– Amen! – dokończył Filip.

Spojrzeli na siebie z głęboką ulgą.

Byli niecałe trzysta metrów od willi Masza, a przed nimi stał ceglasty nissan qashqai, którego Olga o mało nie staranowała.

---

[16] Schowaj ten pistolet i wracaj do samochodu.

[17] Piękna kobieta.

## ROZDZIAŁ XXII

Dogonił ją już po dziesięciu metrach i popchnął na trawnik. Straciła równowagę i upadła, kalecząc przedramię na ostrym kamieniu.

– Au... – jęknęła.

Gdy próbowała wstać, Aleks przygniół ją do ziemi. Na nic zdała się szamotanina. Mężczyzna był od niej silniejszy, więc po kilku sekundach skapitulowała.

Nadarzewski wprawnym ruchem odwrócił ją do siebie, unieruchamiając jej nadgarstki.

Ich spojrzenia ścięły się ze sobą jak szpady. Po chwili jednak wzrok Aleksa dziwnie złagodniał.

– Chciałaś odejść bez pożegnania? – zapytał spokojnie. – Nieładnie.

– Masz rację – wydyszała. – Do widzenia! A teraz mnie puść.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Jako twój narzeczony chyba powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Milczała.

– Nic mi się nie należy?

– Mówisz o zapłacie za obraz?

– Obraz... – zamyślił się chwilę. – Tak, chcę za niego pieniądze.

– Kiedy wrócę do Warszawy... – zaczęła niepewnie.

– A może jednak porozmawiamy o tym w domu? – przerwał jej. – Choć muszę przyznać, że ta pozycja coraz bardziej mi się podoba. – Pochylił się nad Zuzanną, jakby chciał ją pocałować.

Wstrzymała oddech.

– Boisz się mnie?

– A powinnam? – Spojrzała mu w oczy.

– Skąd ten pomysł? – Uśmiechnął się łagodnie. – Przecież nie mógłbym ci zrobić krzywdy, królowno.

*Kto cię tam wie* – pomyślała.

– Zróbmy tak – zaproponował. – Puszczę cię, jeśli obiecasz, że nie będziesz uciekać.

Nie odezwała się.

– Wiedz, że jestem od ciebie szybszy, a nie chciałbym, żeby przytrafił ci się gorszy wypadek niż to. – Wskazał na jej zakrwawione przedramię. – Więc jak? Umowa stoi?

Skinęła potakująco głową.

Nadarzewski puścił rękę Zuzanny i pomógł jej wstać. Otrzeptyjąc się z trawy, kątem oka zerknęła za ogrodzenie. Pomyślała o Kordejach. Czy jej przyjaciele domyślają się, gdzie jej szukać? Przyjadą tu po nią? A Maks?

Posłusznie weszła do domu. Kolejna ucieczka nie miała sensu. Mogłaby tylko pogorszyć i tak już niewesołą sytuację.

Nadarzewski wyjął z szafki apteczkę i wskazał Zuzannie fotel w salonie, po czym przykucnął obok, aby opatrzyć jej rękę. Nie pozwoliła mu.

– Sama to zrobię. – Nasączyła gazik wodą utlenioną i przyłożyła do zakrwawionej rany.

Aleks usiadł naprzeciwko.

– Czekam na wyjaśnienia – odezwał się po chwili, nie spuszczając z niej świdrującego wzroku.



– A czego jeszcze nie wiesz?

– W jakim celu urządziłaś ten cyrk?

Szukała odpowiednich słów, ale żadne sensowne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy. Bo też takiego nie było. Uwikłała się w swoją własną głupotę, a teraz nie miała pojęcia, jak się z niej wyplątać.

– Nie podobało ci się, że nazwałam cię swoim narzeczoną? – spróbowała.

– Bynajmniej. – Zmarszczył czoło. – To było przyjemne zaskoczenie. Przez chwilę gotów byłam nawet uwierzyć, że się za mną stęskniłaś.

– Bo tak było – odpowiedziała niepewnie. – Zmieniłam zdanie i wróciłam. Myślałam, że się ucieszysz.

– Twój widok zawsze będzie mnie cieszył, królewno – na jego ustach pojawił się uśmiech. – Ale jakoś nie mogę uwierzyć w szczerość twoich intencji. W końcu pokrzyżowałaś mi plany.

Zuza ciężko westchnęła. Czyżby nastał moment, aby się przyznać? Ale tak... do wszystkiego?

– To, co opowiedziałam o moich rodzicach, to prawda – zaczęła nieśmiało. – Moim biologicznym ojcem jest Ryszard Wołoszyc. Jeśli wszedłeś w posiadanie jego obrazu, zapewne to nazwisko jest ci znane.

– Co o nim wiesz?

– Niewiele – wzruszyła ramionami. – Moja matka twierdzi, że był nieodpowiedzialnym gówniarzem, dla którego ważniejsze było malowanie niż rodzina. Zniknął z naszego życia, gdy miałam kilka miesięcy i więcej się nie pokazał. Ja oczywiście byłam ciekawa, kim jest, czym się zajmuje i jak wygląda. Chciałam go odszukać, ale nie znalazłam żadnego punktu zaczepienia, więc dałam sobie spokój. Dopóki nie poznałam ciebie.

– Mnie?

– Powiedziałaś, że twoi rodzice opiekują się domem Jana Masza. Wiedziałaś, że człowiek o tym nazwisku był nauczycielem mojego ojca. Pomyślałam więc, że to może być wskazówka.

– I tylko dlatego zgodziłaś się tu ze mną przyjechać? – zapytał. – Dla wskazówki?

Zuza spuściła wzrok.

– Gdybym cię nie lubiła, żadna wskazówka nie zmusiłaby mnie do wyjazdu.

– Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Chciałam, ale ciągle byłeś zajęty. Poza tym nie miałam pewności, czy właściciel tego domu jest tym samym Janem Maszem, o którym myślałam.

– Wystarczyło zapytać.

– Pewnie bym tak zrobiła, tylko... – Na chwilę zawiesiła głos. – Sęk w tym, że pod twoją nieobecność zajrzałam do teczki i przez przypadek odkryłam w niej ten obraz.

Nadarzewski wstał z fotela i przespacerował się po salonie z nieodgadnioną miną.

– Widziałaś go już kiedyś? – zapytał po dłuższej chwili.

– Na starym zdjęciu u mojej matki – skłamała. – Podobno obraz miał należeć do niej, ale nigdy się go nie doczekała.

Aleksander włożył ręce do kieszeni i w milczeniu przechadzał się między fotelami.

Wtedy Zuzanna przypomniała sobie słowa rzeczoznawcy, który powiedział, że po kilku latach od powstania płótna dokonano na nim poprawek. Postanowiła więc dodać jeszcze wiarygodności swojej śpiewce.

– Zastanawiające było tylko to, że na zdjęciu, które pokazała mi mama, kobieta miała oba skrzydła przytwierdzone do ramion.

– Prawdopodobnie taki był pierwotny zamysł malarza. – Nadarzewski zatrzymał się i wsparł ręce na zagłówku fotela. – Rzeczoznawca Costella wspominał, że obraz został skorygowany.

– Chciałam ci o wszystkim powiedzieć wcześniej, ale niespodziewanie wyskoczyła ta afera z klientem w banku, no i zabrakło sprzyjających okoliczności.

– Ale wróciłaś. – Spojrzał na nią badawczo. – Dlaczego?

– Bo... – zająknęła się – przez przypadek usłyszałam, jak umawiasz się na spotkanie w sprawie sprzedaży jakiegoś obrazu. Na początku nie przypuszczałam, że może chodzić o kobietę ze skrzydłem. W końcu powiedziałaś, że wiesz go dla Masza. Byłam więc pewna, że ten obraz zawiśnie tutaj, w salonie. Potem jednak coś mnie tknęło i postanowiłam to sprawdzić. Pojechałam za tobą, zakradłam się na górę i ku swojemu zdziwieniu odkryłam, że przecucie mnie nie myliło. A do tego ta interpretacja Costella – zrobiła pauzę. – Byłam pod wrażeniem. Pomyślałam więc, że skoro obraz został namalowany dla mojej matki, powinien należeć do niej. Resztę znasz.

Aleksander zamyślił się. Uwierzył jej? Nie miała pojęcia. Najważniejsze, że nie czuła strachu. Być może jednak uda jej się bezpiecznie opuścić ten dom.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego uciekałaś – przerwał milczenie.

– Instynkt obronny – odparła. – Zrobiłeś mi siniaka na ramieniu.

– Przepraszam.

– Dlatego byłam skłonna przypuszczać, że...

– Nie ruszaj się stąd – wszedł jej w słowo. – Przyniosę obraz.

Poszło lepiej, niż oczekiwała. Tak! Była tego pewna. Nadarzewski odda jej kobietę ze skrzydłem i wszystko skończy się happy endem.

*Niepotrzebnie się tak bałam* – pomyślała zadowolona.

Po chwili wrócił z obrazem. Postawił go na fotelu, na którym jeszcze niedawno siedział, odłożył

na stolik teczkę i podszedł do Zuzanny.

– Wiesz, kim jest twój ojciec? – zapytał, patrząc na płótno.

– Jeśli to naprawdę sam mistrz Shavo, to jestem w szoku.

– Naprawdę. – W zamyśleniu przygryzł dolną wargę.

– Costello powiedział, że dusza artysty jest zawieszona w niebie na agrafce – wypaliła nagle.

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Chciałabyś go poznać? – Zignorował jej pytanie.

– Mistrza Shavo? Marzę o tym, odkąd o nim usłyszałam.

Jej głos zabrzmiał przekonująco, jednak w głębi duszy takiej pewności nie miała. Zwłaszcza teraz, gdy ten człowiek okazał się jej ojcem. Pierwsza euforia minęła, a jej miejsce zajął sceptycyzm. Bo czy to spotkanie było jej potrzebne? Tylko że Aleksander nie musiał o tym wiedzieć.

– Mam propozycję – powiedział. – Możemy pomóc sobie nawzajem.

– W jakim sensie?

– Widzisz, królewno – zaczął – tobie zależy na odnalezieniu Ryszarda Wołoszyca, prawda? Otóż wiem, gdzie go szukać i z przyjemnością ci w tym pomogę. Przy okazji sam go chętnie poznam.

– A co ja miałabym w zamian zrobić dla ciebie?

– Nic skomplikowanego. – Uśmiechnął się. – Wykonasz tylko jeden telefon.

– Do kogo? – Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

– Do Costella.

– Po co? – Nie rozumiała.

– Jak już zdążyłaś się domyślić, nabyłem ten obraz, aby go sprzedać i na nim zarobić – wyjaśnił. – Zadałem sobie wiele trudu, aby znaleźć odpowiedniego kupca, co wiązało się również z niemałymi kosztami. Nie sądzę, żebyś mogła zapłacić mi taką cenę, jaką uzgodniłem z Costellem.

– Aha – westchnęła ciężko i podniosła się z fotela.

– A czego się spodziewałaś? – Zrobił poważną minę. – Że tak po prostu z niego zrezygnuję?

– Prawdę mówiąc, tak – odpowiedziała. – Ja również zadałam sobie wiele trudu. Wydawało mi się, że sprawa jest oczywista.

– Chyba faktycznie tylko ci się wydawało.

Zuzanna głęboko odetchnęła i nakazała sobie spokój. Okej! Może rzeczywiście za bardzo

pospieszyła się z wnioskami. Trudno. Powinna się już przyzwyczać do swojej naiwności. Ale to nie znaczy, że musi się teraz poddać. Pierwsza próba nieudana, więc czas na kolejną.

– W porządku. – Zrobiła wymowną pauzę. – Rozumiem, że poniosłeś koszty. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Jestem w stanie ci je zwrócić. Co do złotówki.

Nadarzewski popatrzył na nią i o mało się nie roześmiał.

– Zuza, proszę cię! Ty nawet nie wiesz, o czym mówisz.

Zirytowała ją ta reakcja.

– Aleks – z trudem zachowała zimną krew – ten obraz został namalowany dla mojej matki i to ona powinna być jego prawowitą właścicielką.

– Skąd ta pewność?

– Bo mi powiedziała!

– Gdyby rzeczywiście tak miało być, obraz już dawno wisiłby u niej w domu. Więc albo twoja matka wtedy go nie chciała, albo po prostu ojciec się rozmyślił. Nie wiesz, jak było naprawdę, ponieważ znasz relację tylko jednej strony. Kobieta nigdy nie przyzna się do porażki.

– Nic nie wiesz o mojej matce, więc nie pozwalaj sobie na bezpodstawne opinie! – Zuzanna podniosła głos. – Znalazł się ekspert od kobiecej psychiki!

– Cóż, miałem dwie żony.

Nastąpiła krótka cisza.

– Dwie? – zapytała po chwili. – Wydawało mi się, że wspomniałeś tylko o jednej.

Zauważyła, że się zmieszał.

– Królewno. – Jego spojrzenie znów było łagodne. – Kto chce rozpamiętywać swoje przykre doświadczenia? Nam obojgu życie ich nie poskąpiło. – Podeszedł bliżej i wziął ją za rękę – ale wszystko, co było, należy już do przeszłości. Zostawmy to i pomyślmy o przyszłości. Naszej wspólnej.

Zuza chciała coś powiedzieć, ale położył jej palec na ustach.

– Pozwól mi dokończyć – szepnął. – Jesteś wyjątkowa. Zachwycasz mnie swoją urodą i inteligencją. Nie pamiętam, abym przy jakiejkolwiek dziewczynie czuł się tak dobrze, jak przy tobie. Jeśli tylko mi pozwolisz, uczynię cię najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Mogłabyś zrezygnować z pracy w banku i realizować się w tym, co najbardziej kochasz. Sama mówiłaś, że malowanie to twoja pasja. Otworzę dla ciebie piękną galerię, będę organizował ci wystawne wernisaże, sprawię, że będziesz sławną artystką.

– Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

– Wszystko dla mojej królewny. – Nie spuszczał z niej wzroku, pocałował ją w rękę. – Wszystko, czego zapragniesz.

– Wszystko? – Uśmiechnęła się. – W takim razie chcę damę ze skrzydłem.

– Posłuchaj mnie, królewno. – Nadarzewski wziął głębszy oddech. – Ten obraz nie jest wart aż tyle pieniędzy. Nie oszukujmy się, Shavo to nie Monet czy Dali. Wartość kobiety ze skrzydłem to góra sto tysięcy euro. I na tę cenę miałem już dogranego klienta. Niejaki Gustaw Santini. Też zresztą Włoch polskiego pochodzenia. Dopiero potem odezwał się Costello. Nie chciał nawet słyszeć, że obraz mógł by kupić ktoś inny. Od razu zaproponował dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Widać to taki sam dziwak jak Masz. Jeśli coś mu się spodoba, koszty nie grają roli. Facet naprawdę się napalił. Zdziwiło mnie jednak, że tobie tak łatwo odpuścił. Wywarłaś na nim niesamowite wrażenie.

– No cóż – uśmiechnęła się – on na mnie również. To prawdziwy znawca. Słyszałeś, co powiedział? Jeśli pragniesz mojego szczęścia, powinieneś się postarać, aby obraz należał do mnie.

– Zuzanno, pomyśl rozsądnie! – oponował Aleksander. – Wiem, że jesteś uparta. To bardzo cenna i przydatna cecha, ale nie teraz. Ten obraz nie jest ci potrzebny do szczęścia! To tylko kawałek płótna. Ale za pieniądze z jego sprzedaży można wiele zdziałać. Skorzystajmy z okazji. Razem. Weźmy kasę i wyjedźmy gdzieś. Co powiesz na Nowy Jork? Tak na początek. Potem zabiorę cię, gdzie zechcesz. Pokażę ci miejsca, które cię zainspirują do namalowania obrazów dużo bardziej wartościowych niż ten. Zadzwoń do Costella i powiedz, że się rozmyśliłaś. A jeśli nie będzie mógł tu wrócić, wskoczmy w samochód i pojedziemy do niego do Rzymu.

Zuza odsunęła się od Nadarzewskiego. Westchnęła ciężko i przetarła dłońmi twarz. Gdyby to wszystko usłyszała kilka tygodni wcześniej, pomyślałaby, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Zawsze marzyła o własnej galerii, o wernisażach, na których ludzie będą podziwiali jej obrazy, wyobrażała sobie siebie malującą w pracowni z prawdziwego zdarzenia, pośród płócien, zapachu farb i terpentyny. W banku nie zarabiała źle, ale ta praca pochłaniała często tyle energii, że na nic więcej nie wystarczało siły i czasu. Poza tym to było jej jedyne źródło dochodu, więc nie mogła z niego zrezygnować. Może kiedyś w przyszłości tak zrobi. Dziś jeszcze nie było jej na to stać. Jak również na ewentualny zwrot poniesionych kosztów, który tak nierozważnie zaproponowała Aleksowi. Tylko że w tym wypadku była skłonna nawet wziąć kredyt, ponieważ o wejściu z nim w jakikolwiek układ nie było mowy. Choć wydawał się szczerzy, nie mogłaby wiązać z nim swojej przyszłości. Nie umiała już nawet udawać, że tego chce.

– Nic z tego. – Potrząsnęła głową.

– Słucham?

– Nie zadzwonię do Costella.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem.

– Posłuchaj, Aleks – spojrzała mu prosto w oczy – w życiu są ważniejsze rzeczy niż pieniądze.

– Zuza – Aleksander zacisnął pięści – nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, bo to może się źle skończyć.

– W jaki sposób mam ci wytłumaczyć, ile ten obraz dla mnie znaczy? – podniosła głos. – On

jest symbolem miłości moich rodziców, nie rozumiesz tego? Mam pozwolić, aby trafił w obce ręce?

– Dosyć! – wykrzyknął, chwytając ją energicznie za nadgarstek. – Nie zmuszaj mnie, abym zrobił coś, czego potem będę żałował.

– Grozisz mi? – zapytała przez zęby.

– Na razie tylko proszę – odpowiedział ze złością i nie zwalniając uścisku, usadził ją w fotelu – ale jeśli do niego nie zadzwonisz i wszystkiego nie odkręcisz, mocno tego pożałujesz.

– Puść! – Szarpnęła ręką, ale nie zdołała się wyswobodzić.

Patrzył na nią, jakby chciał ją uderzyć. Z jego oczu biła wściekłość. Zuzannę ponownie obleciał strach. Czy to, co robiła, było słuszne? Walczyć o kawałek płótna, nie zważając na skutki?

– To boli! – Ponownie spróbowała się uwolnić, jednak on jakby jej nie słuchał.

– Czekam na twoją decyzję! – Jego głos zabrzmiał złowrogo.

Poczuła się, jakby siedziała w zamkniętej klatce, z kluczem do kłódki zawieszonym na własnej szyi. Tylko od niej zależało, czy zdoła się z niej wydostać.

– Dobra! – krzyknęła wreszcie.

– Grzeczna dziewczynka. – Nadarzewski puścił ją i sięgnął do kieszeni po telefon. – Tylko bez żadnych sztuczek.

Zuzanna rozmasowała zboląły nadgarstek. Czy naprawdę nie była w stanie nic więcej wymyślić?

Aleksander wybrał pożądaną numer i włączył tryb głośnomówiący.

*Cholera* – pomyślała, nabrawszy powietrza w płuca. – *Nie dobrze.*

Usłyszeli kilka krótkich sygnałów. Telefon był zajęty.

*Uff!*

– Akurat teraz zachciało mu się z kimś gadać – burknął. – Okej. Spróbujemy za moment.

– Powiesz mi, skąd wzięłeś ten obraz? – zapytała, wykorzystując chwilową przerwę.

– To nieistotne – odpowiedział półgębkiem.

– Mam chyba prawo wiedzieć – nalegała.

– Nie ujawniam swoich źródeł – zignorował ją. – Nikomu.

Podszedł do rzeźbionej w zmyślne ornamenty komody i wyjął z niej whisky. Czy we wszystkich szafkach w tym domu trzyma się alkohol?

– Chyba nie dlatego, że te źródła są nielegalne? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

*Zuza, nie pogarszaj sytuacji – usłyszała swój wewnętrzny głos. – Zadzwoń do Siwego Mistrza, powiedz, co masz powiedzieć i opuść ten dom.*

– Chcesz? – Wskazał na szklankę.

Pokręciła głową.

– Czyżbym zadała ci niezręczne pytanie, że wymigujesz się od odpowiedzi? – Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Nie czuję się w obowiązku na nie odpowiadać. – Upił trochę whisky i ponownie wybrał numer.

Costello najwyraźniej jeszcze z kimś rozmawiał.

– Oczywiście – w jej głowie słyhać było ironię. – Tak samo, jak nie musiałeś opowiadać mi o swojej drugiej żonie.

– Bo nie musiałem. – Wzruszył ramionami.

– Racja. Któż chciałby się chwalić nieudanym małżeństwem.

– To nie twoja sprawa.

– I tu się mylisz – powiedziała spokojnie i zabębniła palcami w skórzany podłokietnik fotela. – Po części to również moja sprawa.

– Tak? – Nadarzewski podniósł jedną brew, nie spuszczając wzroku z telefonu. – A to niby w jakim sensie?

– W kwietniu brałeś kredyt u mnie w banku.

– Co to ma do rzeczy?

– Nie przypominam sobie – przełknęła ślinę – żeby zgodę na jego udzielenie podpisywała pani Donata Nadarzewska, która jeszcze wtedy była twoją żoną.

– Skąd o niej wiesz?! – ryknął.

– Nie ujawniam swoich źródeł. – Mocniej wcisnęła się w fotel. – Nikomu.

Aleksander z łoskotem odstawił szklankę na komodę i ruszył w kierunku Zuzanny.

– Ale nie tylko ja o niej wiem! – zawołała pospiesznie. – Olga również zna całą prawdę. Zresztą niedługo tu będzie! Razem z Filipem!

Nadarzewski zatrzymał się. Wściekłość wymalowała na jego twarzy purpurowe plamy. Ciężko dysząc, wrócił do komody, gdzie stała whisky, nalał do szklanki alkohol i wypił wszystko jednym haustem.

Zyskała nad nim pewną przewagę, ale choć skrycie czuła satysfakcję, zdrowy rozsądek

podpowiadał jej ostrożność.

– Zawrzyjmy układ. – Wstała z fotela. – Nikt w banku nie dowie się o twoim wyłudzeniu, a w zamian za to ty oddasz mi obraz.

Milczał.

– Przyznaj, że to uczciwa propozycja.

– Skoro tak stawiasz sprawę... – Wychylił kolejną szklankę whisky.

– W takim razie cieszę się, że w końcu doszliśmy do porozumienia. – Zuza zapakowała obraz do teczki. – Nie musisz mnie odprowadzać, wiem, gdzie jest wyjście. Do widzenia!

Odwróciła się niepewnie i ruszyła do drzwi.

– Nie myślisz chyba, że pozwolę ci odejść! – usłyszała tuż przy swoim uchu.

Zanim zdążyła zareagować, Aleksander złapał ją za ramię.

– Zabieram cię na wycieczkę. – Pociągnął ją w kierunku korytarza, gdzie znajdowało się wewnętrzne przejście do garażu. – Zwiedzimy sobie Rzym.

W tym samym momencie usłyszeli energiczne pukanie do drzwi.

– Cholera, starzy wrócili. – Nadarzewski zatkał ręką usta Zuzanny i przyspieszył kroku. – Piśnij tylko, a pożałujesz – zagroził.

*Boże Świąty!* – jęknęła w duchu Zuzanna. – *Co on zamierza?*

Nie było czasu na zastanawianie. Należało szybko reagować. Rodzice Aleksa mogliby być dla niej wybawieniem. A jeszcze lepiej, żeby tam była Olga z Filipem. I Maks! Tak! On nie pozwoli, aby stała jej się krzywda.

Zaczęła się wrywać, ale Nadarzewski był naprawdę silny. Nie osłabiła go nawet spora ilość wypitego alkoholu. Jego palce niemal wrzynały się w twarz Zuzanny.

Ponownie usłyszeli pukanie. Tym razem głośniejsze. Wręcz natarczywe. Jakby ta osoba wiedziała, że ktoś jest w środku.

*Boże! Niech to będzie Olga!* – Zuza poczuła przyływ energii. Zamachnęła się i wymierzyła łokciem mocny cios w brzuch Aleksa. Jęknął, ale nie zwolnił uścisku. Kiedy to nic nie dało, postarała się jak najszerzej otworzyć zatkałe usta i z całej siły ugryzła go w rękę. Poskutkowało. Błyskawicznie wyszarpnęła się z uścisku i co tchu popędziła do frontowego wyjścia. Gdy naciskała klamkę, Nadarzewski był tuż za nią. Próbował ją powstrzymać, ale mu się nie udało. Drzwi otworzyły się na pełną szerokość.

Zuza zrobiła krok w przód i stanęła jak wmurowana, przyciskając do piersi teczkę z obrazem.

Przy wejściu stało dwóch mężczyzn. Jeden trzymał w ręku małą skórzaną aktówkę. Pomimo lejącego się z nieba upału, obaj mieli na sobie ciemne marynarki.

– Buon giorno! – powiedział ten bez aktówki. – Signore Nadarzewski è in casa?<sup>[18]</sup>



Zaskoczona Zuzanna cofnęła się. Mężczyźni zapewne uznali to za zaproszenie i weszli do środka.

– Come posso aiutare signori?<sup>[19]</sup> – odezwał się zdziwiony Aleksander. – Non ricordo, che avevo un appuntamento con signori<sup>[20]</sup>.

– Pan Nadarzewski? – zapytał po polsku mężczyzna z aktówką.

– O co chodzi?

– Pan Santini przysłał nas po obraz – padła odpowiedź.

– Jaki obraz? – zaciekawiała się Zuzanna i odruchowo mocniej przycisnęła teczkę do piersi.

– Ten. – Nieznajomy pokazał zdjęcie, które wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki. – A to dla pana. – Wyciągnął do Aleksa rękę ze skórzaną aktówką. – Dokładnie taka kwota, jaką ustalił pan z szefem za *Kobietę anioła*.

*O nie!* – pomyślała Zuzanna. – *Po moim trupie!*

Nie miała zamiaru kolejny raz pozbywać się swojej cennej zdobyczy. Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, powolnym krokiem ruszyła do najbliższego fotela, za którym dyskretnie postawiła teczkę. Widziała, że Aleksander ją obserwuje, ale pozostali mężczyźni jakby nie zwracali na nią uwagi.

– Chyba zaszła pomyłka. – Nadarzewski uśmiechnął się uprzejmie. – Rozmawiałem niedawno z panem Santinim i uzgodniliśmy, że ten obraz będzie do odbioru dopiero za miesiąc.

*Za miesiąc?* – zdziwiła się Zuza. – *Co on, do cholery, kombinuje?*

– Szef powiedział, że nie będzie czekał tyle czasu. Chce kupić obraz dzisiaj.

– Ależ, panowie – bronił się Aleks – tego obrazu tu nie ma. Nie zabrałem go, ponieważ przyleciałem samolotem.

– Szef jest innego zdania. Uważa, że *Kobieta anioł* dotarła tu razem z panem. Kazał nam po nią przyjechać, ponieważ dostał cynk, że chce ją pan sprzedać komuś innemu.

– Skąd ten pomysł? – oburzył się Nadarzewski. – Ja nie oszukuję swoich klientów.

*Doprawdy?* – Zuzanna zakpiła w duchu.

– Szkoda czasu na gadanie. Spiesz nam się – powiedział ten, który do tej pory prawie się nie odzywał. – Bierz pan forszę i dawaj pan obraz.

– Chwileczkę, panowie – oponował zdenerwowany Aleksander. – Widocznie pan Santini źle mnie zrozumiał. Pozwolicie, że zadzwonię do niego i jeszcze raz wszystko wyjaśnię. – Wyjął telefon z kieszeni, lecz zanim wybrał numer, zapytał: – A właśnie! W jaki sposób się tu dostaliście? Brama była otwarta?

– Jakiś łobuz zepsuł panu domofon przy furtce – odpowiedział mężczyzna z aktówką i wyjął zza pazuchy kolorową plątaninę kabelków, robiąc przy tym głupkowaną minę.

Zuza struchlała. Z tymi ludźmi nie było żartów. Uszkodzili bramkę, aby mieć pewność, że dostaną się do domu i tym samym uniemożliwią Nadarzewskiemu ewentualną ucieczkę. Ciekawe, skąd ich szef wiedział, że może zostać oszukany?

– Trudno. – Aleks machnął ręką, udając, że się nie przejmuje. – W czasie wakacji gówniarzom się nudzi. Potem wezwę montera, żeby to naprawił. – Przyłożył telefon do ucha i przez chwilę rozmawiał po włosku.

– Bene, in quindici minuti<sup>[21]</sup> – powiedział na koniec i rozłączył się. – Szef jest na spotkaniu. Rozgośćcie się, panowie. Mogę zaproponować coś do picia?

Nieznajomi mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Rozejrzemy się – powiedział jeden z nich i obaj zaczęli przechadzać się po salonie, oglądając obrazy na ścianach.

Zuza pomyślała, że to dobry moment na schowanie obrazu.

– Przyniosę wodę – zaproponowała i zanim Nadarzewski zareagował, podniosła teczkę i ruszyła do kuchni. Stamtąd poszuka drogi ucieczki. Może Aleks nie będzie chciał jej zatrzymać, skoro pomaga mu w ukryciu dowodów jego kręactwa.

Już miała nacisnąć na klamkę, gdy usłyszała głos jednego z ludzi Santiniego:

– Co tam pani ma?

– Nic ważnego – odpowiedziała z bijącym sercem i odwróciła się.

– Sprawdź to – nakazał drugiemu.

– Zaraz, zaraz! – sprzeciwił się Nadarzewski, stając mu na drodze. – Słyszał pan, co powiedziała moja narzeczona, to nic ważnego.

– Sam ocenię. – Mężczyzna podszedł do Zuzanny i wyciągnął rękę po teczkę.

– Jest pan głuchy? – Śmiało spojrzała mu w oczy. – Nie ma tam nic, co mogłoby pana zainteresować.

– Dawaj! – rozkazał.

– Nie tym tonem, dobrze? – oburzyła się Zuza. – Wypadałoby nauczyć pana trochę kultury.

Chciał wziąć teczkę, ale Zuza schowała ją za siebie.

– Nie pogrywaj ze mną, kotku.

– Wypraszam sobie!

Aleksander ruszył jej z odsieczą, ale szybko został zatrzymany przez drugiego mężczyznę. Pierwszy natomiast przycisnął Zuzannę do drzwi i sięgnął za jej plecy.

– Łapy przy sobie! – Odepchnęła go ze złością. – Chyba że chcesz poznać rozmiar mojego buta na swoich genitaliach?

– Drapieżna kotka. – Roześmiał się. – Pokaż, co tam ukrywasz.

– Zostaw ją! – warknął Aleks.

– Proszę bardzo! – Wyciągnęła teczkę do napastnika. – Nie mam nic do ukrycia. Wystarczyło tylko grzecznie poprosić.

Mężczyzna wziął teczkę i otworzył ją, a Zuza usiłowała zachować spokój. Musi tylko wymyślić wiarygodne kłamstwo.

– Nic ważnego, tak? – usłyszała. – Co to jest?

– Przecież pan widzi. – Skrzyżowała ręce na piersiach. – Obraz, który sama namalowałam.

– A ja jestem matka Teresa z Kalkuty.

– Skoro pan tak uważa, muszę wierzyć na słowo. – Na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiech. – A ten obraz, przyznaję, nie wyszedł mi najlepiej. Twarz kobiety jest kompletnie nieczytelna, jakaś taka mdła i bez wyrazu, piersi mało symetryczne, a na górnym skrzydle jest tyle farby, że zaraz odpadnie jak to drugie. – Podeszła bliżej. – Widzi pan? Nawet sepia wyszła za bardzo przydymiona. Zdecydowanie należałoby wyostrzyć kolory i dodać trochę błyszczącej poświaty. – Zatoczyła ręką krąg wokół płótna. – Też pan tak uważa, prawda?

– To obraz, który zamówił szef.

– Naprawdę dał się pan nabrać? – Zuzanna się zaśmiała. – Oczywiście bardzo bym chciała, żeby wyglądał tak samo, ale niestety, daleko mi jeszcze do malarskiej doskonałości. Dopiero się uczę. Ten obraz spodobał się mojej mamie, więc postanowiłam zrobić jej niespodziankę, i namalować dla niej podobny. Tylko że muszę najpierw zdjąć nadmiar farby ze skrzydła, żeby naprawdę nie odpadło. Pozwoli pan, że go zabiorę? – Wyciągnęła ręce po płótno, ale mężczyzna jej nie pozwolił.

– Wygląda identycznie. – Porównał obraz ze zdjęciem. – Myślę, że mnie pani okłamuje.

– Aleks, powiedz coś.

– No cóż... – odparł Nadarzewski. – Tak... Ale nie przejmuj się, kochanie. Mama na pewno będzie szczęśliwa, że go dla niej namalowałaś.

– Robicie z nas idiotów? – odezwał się drugi mężczyzna.

– Jakże byśmy śmieli? – oponowała Zuzanna. – Niech pan tylko dobrze się przyjrzy. To bezwartościowa podróbka. Nie chciałby pan chyba, żeby wasz szef dostał coś takiego. Przypuszczam, że pan Santini to prawdziwy koneser. Od razu zorientuje się, że przywieźliście mu tanią imitację. Wtedy na pewno wyjdziecie na idiotów. Lepiej tego uniknąć, prawda?

Nieznajomi mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu, a Zuza, modląc się w duchu, niecierpliwie czekała na ich odpowiedź.

– Co ty na to? – zapytał jeden drugiego.

– Bo ja wiem?

– A ja myślę, że robią nas w balona.

W tym momencie Zuza zrozumiała, dlaczego mężczyźni mają na sobie marynarki. Ten, który ją zaatakował, wyjął nagle spod ramienia pistolet i wymierzył w Nadarzewskiego.

– Panowie, spokojnie! – Zuza czuła, jak uginają się pod nią kolana. – Po co te nerwy? Jeśli nam nie wierzycie, proszę bardzo, zabierzcie obraz. Tylko nie mówcie potem, że was nie ostrzegałam.

– Dobrze, weźmiemy go – odpowiedział mężczyzna, trzymając Nadarzewskiego na muszce. – Ale razem z tobą, kotku.

– Nie ma mowy! – Aleksander zrobił krok w przód.

Sekundę potem padł strzał.

---

[18] Czy pan Nadarzewski jest w domu?

[19] W czym mogę panom pomóc?

[20] Nie przypominam sobie, abym był z panami umówiony.

[21] Dobrze, za piętnaście minut.

## ROZDZIAŁ XXIII

Kilka minut wcześniej Olga niespokojnie chodziła wzdłuż bramy.

– Nie rozumiem, czemu nie możemy tam wejść – powiedziała zdenerwowana. – Domofon jest zepsuty, a furtka otwarta.

– Był rozkaz, żeby czekać na posiłki – przerwał jej gruby mężczyzna jedzący kanapkę. – Nie możemy tam się dostać bez nakazu.

– Tylko że mnie wasze rozkazy nie dotyczą – oponowała. – Mogę wejść pod byle pretekstem.

– Skarbie. – Filip starał się ją uspokoić. – Porucznik i jego kolega wiedzą, co robić.

– Oby te wasze cholerne procedury nie doprowadziły do tragedii, poruczniku – zwróciła się do Wilkowskiego.

– Pani Olgo. – Rafał był opanowany. – Wiem, że martwi się pani o przyjaciółkę, ale wiem też, że Nadarzewski ma broń. Nie mogę narażać pani na ewentualne niebezpieczeństwo. Poza tym nie mamy pewności, czy Zuzanna tam rzeczywiście jest.

– W takim razie ja to sprawdzę.

– Nie pozwalam.

– Jeśli coś jej się stanie – zagroziła – pan będzie za to odpowiedzialny.

- Przede wszystkim musimy zachować ostrożność – powiedział spokojnie Wilkowski. – Jesteśmy na terenie obcego kraju, więc nie możemy działać na własną rękę. Tutejsza policja jest już poinformowana i niedługo ktoś od nich przyjedzie. Zalecam cierpliwość.
- To trwa stanowczo za długo – irytowała się Olga. – Niech pan do nich zadzwoni i każe im się pospieszyć! Ileż można czekać? Ma pan pojęcie, co mogło się w tym czasie wydarzyć?
- Skarbie. – Filip westchnął – Proszę cię, nie dramatyzuj.
- To wszystko przez ciebie! – krzyknęła do męża. – Gdybym nie musiała tyle czasu czekać pod restauracją, bylibyśmy tu pierwsi.
- Całe szczęście, że w ogóle udało nam się dojechać.
- Nie wytrzymam z wami. – Olga bezradnie rozłożyła ręce. – Idę do Maksa. On na pewno będzie miał lepszy pomysł niż bezczynne czekanie. – Odwróciła się w stronę czarnej terenówki, stojącej na chodniku za jej plecami. – O! A ten gdzie się podział?
- Siedział w aucie – zdziwił się grubas, zajadający kanapkę. – Dopiero co go tam widziałem.
- Miałeś go pilnować, a nie znowu jeść! – warknął Wilkowski, zaglądając do samochodu Maksa. – Cholera!
- Okej, Okej! – odpowiedział asystent z pełnymi ustami. – Głodny przecież byłem.
- Mercedes był pusty. Wszyscy zaczęli nerwowo rozglądać się po ulicy. Rafał dopadł żelaznych prętów bramy do posiadłości Masza i spojrzał na podwórko.
- Idziemy! – zarządził.
- Nareszcie! – zawołała Olga. – Myślałam, że się nie doczekam.
- Pani zostaje! – nakazał. – Filip, pilnuj żony. Gruby, za mną!
- Zaraz potem usłyszeli huk.
- Boże! On ją zabił! – jęknęła Olga. – Mówiłam, że to się źle skończy!

\*

Skradając się do willi po marmurowej ścieżce wzdłuż basenu, Maks zauważył na kamieniu świeże ślady krwi. Trawa w tym miejscu była nieco wygnieciona. Rozejrzał się i spostrzegł mały przedmiot, leżący tuż przy kolorowym skalniaku. Podniósł go i poczuł ukłucie w piersiach. Była to niebieska ramka z fotografią Łukasza. Zuza bywa roztrzepana, ale czy mogła zgubić zdjęcie swojego dziecka akurat tutaj? I czyja to krew?

Schował ramkę do kieszeni, po czym jeszcze raz przyjrzał się trawnikowi. Nic więcej nie znalazł. Przykucnął za żywopłotem z rododendronów i zerknął na dom. Właśnie zastanawiał się, którądy najlepiej dostać się do budynku, gdy nagle usłyszał swoje imię i odwrócił się za siebie. W odległości kilkunastu kroków stał Rafał. Wychylał głowę zza rostej palmy i wygrażał mu pięścią. Maks skinął na niego ręką. W chwili, gdy Wilkowski szykował się, aby podbiec do przyjaciela, usłyszeli wystrzał.

Maks poczuł ciarki na plecach. Obaj spojrzeli na dom, po czym wymienili porozumiewawcze gesty. Rafał pobiegł w kierunku tarasu, a Maks okrążył budynek z prawej strony, starając się zajrzeć do środka przez okna na parterze.

Wreszcie ją zobaczył i przez chwilę poczuł ulgę. Choć na twarzy Zuzanny malowało się przerażenie, najważniejsze, że była cała. Kilka kroków bliżej stał z podniesionymi rękami Nadarzewski. Maks spojrzął nieco dalej i nagle oblał go zimny pot. Zobaczył dwóch facetów w marynarkach. Jeden z nich trzymał wycelowaną w Aleksandra broń.

– Jasna cholera! – zaklął pod nosem Maks i cofnął się.

Sytuacja była poważna. Nierozważny ruch mógłby doprowadzić do katastrofy. Przeszedł pod parapetem na drugą stronę okna i jeszcze raz zajrzał przez szybę. Widział, że Zuza i Nadarzewski coś mówią, jakby się tłumaczyli, za to tamci dwaj wyglądali na rozbawionych. Zwłaszcza ten, który trzymał pistolet.

– Zuza, błagam, nie daj się zabić – szepnął do siebie Maks.

Na jego szyi gwałtownie zaczęła pulsować gruba żyła. Oparł się plecami o ścianę budynku i przetarł spocone czoło. Najchętniej wtargnąłby do domu i rozprawił się ze zbirami, którzy grozili jego dziewczynie. Na szczęście rozum wziął górę.

Maks rozejrzał się, próbując ocenić swoją sytuację. Gdyby okno było otwarte, bez problemu dostałby się tędy do środka. Delikatnie pchnął framugę. Niestety! Podszedł do drugiego okna, ale i to było zamknięte. Trzecie również. Dalej były drzwi. Niewiele myśląc, nacisnął na klamkę. Tym razem się poszczęściło. Ostrożnie pociągnął ją do siebie i zajrzał do środka.

Pomieszczenie przypominało spiżarnię. Na półkach stały równiutko słoiki, paczki z makaronem, mleko w kartonach i wiele innych produktów. Maks cicho wszedł do środka. Po lewej stronie zobaczył wąskie przejście bez drzwi. Kucnął i na czworaka przedostał się do kolejnego pomieszczenia. Była to obszerna kuchnia z wielkim drewnianym stołem.

Wtem usłyszał rozmowę. Nie potrafił zrozumieć słów, ale zdawało mu się, że rozpoznaje głos Zuzanny. Podszedł do kolejnych drzwi i nadstawił uszu. Tak! Nie miał wątpliwości. To była ona. Serce zabiło mu szybciej. Od Zuzy dzieliła go tylko ściana. Tylko i aż. Schylił się do dziurki od klucza. Miał pecha! Nic nie było przez nią widać. Spojrzał w górę. Nad drzwiami było okno. Nie zastanawiając się, Maks przystawił sobie krzesło, po cichu wszedł na nie i zajrzał do salonu. Zuza i Nadarzewski byli odwróceny do niego plecami. Aleksander w dalszym ciągu trzymał ręce w górze, a Zuzanna nerwowo gestykułowała.

– Trzymaj się – mruknął pod nosem Maks i dyskretnie otaksował sytuację. Wyjście przez kuchnię było ryzykowne. Faceci w marynarkach szybko zauważyliby otwierające się drzwi. Trzeba by ich zaskoczyć. Tylko jak? Najlepiej od tyłu.

Jeszcze raz zerknął przez szybę. Za plecami obu mężczyzn było duże okno balkonowe. Wydawało się uchylone. Maks w pierwszej chwili chciał się wycofać, ponownie okrążając budynek, i spróbować szczęścia przez taras. Przypomniał sobie jednak, że w tamtym kierunku pobiegł Rafał. Pewnie Wilkowski przyczaił się już w pobliżu i czeka na odpowiedni moment.

*Pospiesz się, stary!* – niecierpliwił się Maks.

Miał wrażenie, że sytuacja w salonie staje się coraz bardziej dramatyczna. Mężczyznę z pistoletem najwyraźniej nudziły już tłumaczenia, więc zaczął mierzyć z broni to w Zuzannę, to znów w Nadarzewskiego. Dopiero teraz Maks zwrócił uwagę na dziurę po kuli tuż przy stopach Aleksandra. Czyli tamci dwaj nie żartowali. Już raz strzelili na postrach.

Nagle Maks spostrzegł, że za oknem balkonowym przemknęła skulona postać. Zuzanna również musiała ją zauważyć, ponieważ na ułamek sekundy znieruchomiała, po czym znów zaczęła gestykulować. Faceci w marynarkach zapewne nie zwróciliby na to uwagi, gdyby nie reakcja Nadarzewskiego, który zaciekawiony spojrział na taras. Obaj mężczyźni również się odwrócili.

Od tego momentu akcja potoczyła się błyskawicznie.

Wilkowski z impetem wpadł do środka i w okamgnieniu chwycił faceta z pistoletem za nadgarstek, starając się wytrącić mu z ręki broń.

– Padnij! – krzyknął Nadarzewski i pchnął Zuzannę na podłogę.

Po sekundzie w ich kierunku świsnęła kula. Maks natychmiast rzucił się na drugiego mężczyznę i zanim do salonu wbiegł gruby policjant, drugi napastnik był już obezwładniony. Rafał również szybko sobie poradził. Obaj gangsterzy leżeli na marmurowej posadzce, zakuci w kajdanki.

– Nie ma to jak amerykańska policja – stwierdził dumnie grubas, przyciskając napastników do podłogi.

Maks pochylił się nad leżącą pod Nadarzewskim Zuzanną.

– Nic ci nie jest?

– Maks? – zawołała oszołomiona.

Aleksander podniósł się pierwszy i pomógł jej wstać.

– Zuziu, wybacz mi, że cię przewróciłem. Zrobiłem to odruchowo. Wszystko potoczyło się tak szybko... – Był wyraźnie zaniepokojony. – Jesteś cała?

– Nie wiem... – Zuza przyłożyła rękę do głowy i skrzywiła usta w zbolętym grymasie. – Dzięki, Aleks. – Po czym podniosła oczy na Makska i natychmiast rzuciła mu się na szyję.

– Jak dobrze, że jesteś – zapłakała. – Boże! To był koszmar. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się bałam. Myślałam, już cię nigdy nie zobaczę.

– Óóó. – Pogładził ją po włosach i pocałował. – Już dobrze, jestem przy tobie.

Czuł, jak ogarnia go ulga. Trzymał Zuzannę w ramionach i nie chciał myśleć, że mógłby ją stracić. Tak bardzo jej potrzebował. Jej obecności, ciepła, zapachu włosów. Chciał być blisko niej, chciał się nią opiekować, chciał ją chronić i kochać. Czuł, że ona również tego pragnie, choć nie rozumiał, dlaczego tu wróciła. Co robiła w tym domu, z tymi ludźmi, a przede wszystkim z Nadarzewskim. Niechęć jaką odczuwał do tego człowieka, stawała mu przed oczami obrazy, których nie chciałby zobaczyć. Wczoraj Zuzanna była z nim, dziś z tym kolesiem. Maks widział, jak ten facet na nią patrzył i nie mógł opanować złości.

Nagle poczuł, jak Zuzanna osuwa mu się w ramionach.

– Zuza, co ci jest? – zawołał, przytrzymując ją mocniej. – Popatrz na mnie! Zuza!

Jej twarz była blada jak papier. Miała przymknięte oczy i nie reagowała na jego głos.

– Zuza! – Klepnął ją w policzek.

Na chwilę podniosła powieki i spojrzała na niego mętnym wzrokiem.

– Maks. – Z trudem wypowiedziała jego imię, po czym głowa opadła jej w tył.

– Dzwońcie po lekarza! – zawołał przestraszony, biorąc ją na rękę. – Straciła przytomność!

Wilkowski pomógł mu ją przytrzymać, a Nadarzewski wyjął telefon i pośpiesznie powiedział coś po włosku do słuchawki, po czym wskazał Maksowi kanapę w drugim kącie salonu.

– Zaraz przyjedzie pogotowie – oznajmił, chowając do kieszeni komórkę.

Maks położył Zuzannę i dokładnie ją obejrzał, by sprawdzić, czy nie zraniła jej wystrzelona przypadkiem kula, w trakcie gdy Rafał odbierał broń napastnikowi. Nie licząc opatrzonego już skaleczenia na jej przedramieniu i zadrapań na nogach z poprzedniego dnia, znalazł jeszcze guza z tyłu głowy, którego prawdopodobnie nabawiła się podczas upadku.

– Zuziu, słyszysz mnie? – Pogładził ją delikatnie po twarzy. – Proszę cię, wróć do nas.

Głos mu drżał. Bał się o nią jeszcze bardziej niż wtedy, gdy widział wycelowany w nią pistolet.

– O, Boże! Co tu się stało? – krzyknęła rozgorączkowana Olga, z impetem wpadając do domu.

– Słyszałam drugi strzał!

Spojrzała na leżących na podłodze mężczyzn zakutych w kajdanki, na trzymającego ich kolegę porucznika, a potem na kanapę, przy której klęczał Maks.

– Zuza? – Pobiegła na drugi koniec salonu i pochyliła się nad przyjaciółką.

– Żyje? – zawołał za nią Filip.

– Tak – odpowiedział Maks. – Zemdląta i może mieć wstrząs mózgu.

– Kochaniutka, co z tobą? Odezwij się do mnie, słyszysz? – błagała Olga ze łzami w oczach. – Nie wygłupiaj się. Jesteś za młoda, żeby umierać. – Przyłożyła rękę do skroni Zuzanny. – Ona chyba ma gorączkę.

Pobiegła do kuchni i przyniosła szklankę wypełnioną kostkami lodu.

– Wszystko będzie dobrze, kochaniutka – mówiła, pocierając lodem wewnętrzną stronę swoich dłoni i tak schłodzone ręce przykładając do czoła i szyi przyjaciółki. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – powtarzała. – Proszę cię, otwórz oczy. Słyszysz? Otwórz oczy i powiedz mi, kto ci to zrobił, a obiecuję, że pożałuje dnia swoich narodzin. – Wyjęła drugą kostkę. – Już ja na niego znajdę odpowiedni paragraf. Kto to był? Nadarzewski?

Maks nagle wstał.



– Gdzie on jest? – Rozejrzał się nerwowo po salonie. – Gdzie jest Nadarzewski?

– Miałeś go mieć na oku! – wrzasnął Wilkowski do asystenta.

– Jeszcze przed sekundą tu był – tłumaczył się grubas. – Na pewno nie wychodził, bobym to zauważył. Może polazł na górę. – Wskazał ręką schody. – A poza tym pilnowałem tych dwóch.

– Nie ma to jak amerykańska policja, co? – Wkurzony Wilkowski pobiegł na piętro.

– Rafał, kuchnia! – krzyknął za nim Maks, ale tamten już go nie usłyszał.

Zareagował natomiast Filip, który czym prędzej ruszył we wskazanym przez przyjaciela kierunku. Maks chciał pobiec za nim, ale w tym momencie usłyszał głos Zuzanny.

– Co się stało? – Ocknęła się nagle, próbując usiąść.

Na twarzy Maksa ponownie pojawił się wyraz ulgi.

– Leż spokojnie, kochaniutka. – Olga poprawiła jej poduszkę pod głową. – Zaraz przyjedzie do ciebie lekarz.

– Zwariowałaś? – Zuza ze skrzywioną miną pomasaowała sobie skronie i mimo protestów przyjaciółki, podniosła się. – Na cholerę mi lekarz?

– Boże kochany, Zuza! – Olga przytuliła ją serdecznie. – Czy ty wiesz, jak się martwiłam?

– Witaj wśród żywych – powiedział uśmiechnięty Maks.

– To naprawdę ty? – Zuza podniosła na niego oczy. – Myślałam, że mi się przyśniłeś. Chodź do mnie.

– Tylko już mi nie mdlej. – Usiadł obok niej na kanapie i wziął ją w ramiona. – Wystarczająco najadłem się przez ciebie strachu.

– Tam go nie ma! – Od strony schodów dobiegł ich zdyszany głos Wilkowskiego. – Wygląda na to, że wykorzystał chwilę nieuwagi i zwiął.

– Z kuchni jest tylne wyjście na zewnątrz. – Maksymilian wskazał drzwi.

Rafał natychmiast pobiegł w tamtym kierunku.

– O kim wy mówicie? – zapytała zdziwiona Zuzanna.

– Nadarzewski uciekł – odparła Olga.

– Co?! – Zuza gwałtownie oderwała się od Maksa i spojrzała na fotel, gdzie jeszcze niedawno leżała *Kobieta ze skrzydłem*. – Niech to szlag! – krzyknęła. – Pieprzony łajdak! Ukradł mi go!

– Co ci ukradł? – zapytali niemal jednocześnie Olga z Maksem.

– Obraz! – Wyglądała na zrozpaczoną. – Mój obraz!

Zdezorientowany Maks przez dłuższą chwilę patrzył, jak Zuza desperacko czegoś szuka.

Zagłęda pod fotele, do szafek i za zastony. Z każdą chwilą jej złość przybierała na sile. Płakała i śmiała się jednocześnie.

– Oszukałeś mnie, Nadarzewski! – Krążyła po salonie jak obłąkana. – Ale wiedz, że ja tak łatwo nie dam się wyrolować. Znajdę cię, a wtedy tego gorzko pożałujesz – mówiła do siebie. – Pamiętasz? Obraz miał być mój. Umówiliśmy się. Po to ratowałam przed tymi zbirami twój zasrany tyłek, żebyś mnie teraz wystawił do wiatru? O, nie, mój drogi! Tym razem ci się nie uda. Obiecałeś i nie dotrzymałeś słowa. Tak się robi. Nie ze mną.

Maks nie mógł już dłużej tego słuchać. Zagroził jej drogę i chwycił Zuzannę w objęcia.

– Uspokój się – poprosił. – Nadarzewski na pewno daleko nie uciekł.

– No jasne! – Spojrzała na niego wielkimi oczami, jakby uświadomiła sobie coś bardzo ważnego. – Wziął obraz i pojechał z nim Rzymu. Do Costella. Siwy Mistrz miał mu zapłacić dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro. Albo nawet więcej. Dla Costella cena nie gra roli. Zależało mu na tym płótnie, więc będzie w stanie wydać każdą sumę. A Aleks na pewno to wykorzysta.

– Nie nadążam za tobą. Jaki Costello? Jaki Siwy Mistrz?

Na dwie sekundy zapadła cisza.

– Cholera jasna! – jęknęła po chwili Zuzanna. – Ale ja jestem głupia. Przecież mogłam wziąć do niego numer telefonu.

Zanim oszołomiony Maks zdążył jeszcze o cokolwiek zapytać, jej już nie było. Wyrwała mu się i zniknęła za frontowymi drzwiami.

– Zuza, poczekaj! – Pobiegnął za nią.

W przejściu minął się z mężczyzną w czerwonej koszulce i ze stetoskopem na szyi. Zignorował jego pytania po włosku i wyszedł na zewnątrz. A za nim Olga.

Na podwórku stała karetka. Chwilę później wjechały dwa wozy policyjne. Brama wjazdowa była otwarta na oścież. Zapewne Nadarzewski uciekł stąd autem.

Maks spostrzegł biegnącą w stronę ulicy Zuzannę. Miał zamiar ją dogonić, ale zatrzymał go Rafał w towarzystwie pięciu umundurowanych mężczyzn. Trzech z nich weszło do domu.

– W porządku? – zapytał Wilkowski. – Jak się czuje Zuzanna? Widziałem, że lekarz do niej poszedł.

– Zuzanna jest tam. – Maks gestem głowy wskazał na bramę. – Jeśli zaraz jej nie złapię...

– Leć!

Był już trzy metry za nią, gdy na chodnik wjechało zielone volvo.

– Uważaj! – krzyknął.

Zuza niemal odbiła się od maski samochodu.

– Jak jeździsz, idioto! – wrzasnęła do kierowcy.

Z auta wysiadło dwóch chłopaków.

– Kacper? – zawołała. – Boże Święty, czy wyście wszyscy powariowali? Co ty tu robisz? – Spojrzała na Przemka. – Skąd się tu wzięliście?

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – powiedział spokojnie Kacper.

– Ty mi nic nie tłumacz, tylko go goń! – Chwyciła za klamkę drzwiczek zielonego volvo, aby wsiąść do środka, lecz Maks ją zatrzymał.

– Zuza, uspokój się! – Jego głos był stanowczy. – Nawet nie wiesz, dokąd on uciekł.

– Wiem – próbowała mu się wyrwać. – Nadarzewski pojechał z obrazem do Rzymu.

– Nadarzewski? – zainteresował się Kacper. – Z obrazem?

– Jedziemy! – Ponownie sięgnęła do klamki. – Powiem wam po drodze. Trzeba się pospieszyć, bo ten drań ucieknie do Nowego Jorku. Jeśli tam polecą, wszystko stracone.

– Nigdzie nie pojedziesz – powiedział łagodnie Maks, trzymając Zuzannę w objęciach. – Pozwól, żeby zajął się tym Rafał z policją. Oni będą wiedzieli, jak go złapać.

– Nie daruję mu tego, słyszysz? – Z bezsilności zaczęła okładać Maksa pięściami, ale udaremnił jej to, przyciskając ją mocniej do siebie. – Chcę jechać do Rzymu. On na pewno polecą do Nowego Jorku. Nie! Do Rzymu. Albo do Nowego Jorku. Nie! Nie wiem...

– Óóó. – Pogładził ją po włosach. – Już dobrze.

Obaj bracia patrzyli na nich nieco zdezorientowani, ale żaden z nich się nie odezwał. Po chwili Maks poczuł, jak Zuzanna kolejny raz wiotczeje mu w ramionach.

## ROZDZIAŁ XXIV

– *Basia?* – Wytężyła wzrok, aby lepiej przyjrzeć się stojącej przed nią kobiecie. – *To naprawdę ty?*

– *Zuzik, skarbeńku...*

– *Basiu! Jak dobrze cię widzieć.* – Wyciągnęła przed siebie ręce. – *Promieniejesz. Jesteś taka śliczna.* – Chciała do niej podejść, ale postać oddalała się. – *Nie uciekaj. Przytul mnie, jak kiedyś.*

– *Pamiętaj, że zawsze przy tobie będę.*

– *To dlaczego odchodzisz? Zatrzymaj się. Poczekaj.*

– *Nie mogę...*

– *Porozmawiaj ze mną – prosila. – Tak bardzo się za tobą stęskniłam. Nie zostawiaj mnie.*

Zuzanna starała się przebić przez gęstą mgłę, chciała biec, ale nie zdołała ruszyć się z miejsca.

– *Basiu, zostań!* – Słyszała swoje słowa, odbijające się echem w głuchoj, jasnej przestrzeni.

– *Zuzik, skarbeńku...* – Głos był coraz cichszy. – *Będę przy tobie dopóty, dopóki pozwolisz mi gościć w swej pamięci.*

I nagle postać zniknęła. Rozpłynęła się w mlecznobiałej poświacie gdzieś za horyzontem, którego nie było.

Przestrzeń stawała się coraz jaśniejsza. Mgła zaczęła przybierać kształty bladobłękitnych obłoków, wśród których Zuza zobaczyła huśtawkę, zawieszoną na małej pierzastej chmurce. Na huśtawce ktoś się bujał. Basia? Nie! To była dziewczynka o bujnych kasztanowych lokach sięgających do ramion, ubrana w różową sukienkę i białe pantofelki. Uśmiechała się. Była szczęśliwa.

– Wygląda zupełnie jak... ja. – Zuza nie mogła oderwać od niej wzroku. – Jak ja, gdy miałam sześć lat.

Różowe falbanki falowały z wdziękiem w górę i w dół, beztrosko i radośnie, jak gdyby poza zabawą nie istniało nic więcej. Huśtawka! Najlepsza frajda z dzieciństwa.

I nagle Zuzanna spostrzegła, że ta mała dziewczynka buja się na... agrafce? Dusza artysty jest zawieszona w niebie na agrafce. W niebie na agrafce...

– Zuzanna! – Usłyszała swoje imię.

Czyj był ten głos? Znała go. Tak! Na pewno go znała. Dobiegał z daleka. Z bardzo daleko. Może zza chmur, zza horyzontu, którego nie było.

– Zuziu!

Patryk? Czy to mógł być on? Nie. Jego głos był inny. Równie ciepły i dźwięczny, ale inny. Rozejrzała się, mając nadzieję, że zobaczy mężczyznę, który ją wołał. Wytężyła wzrok. Nikogo nie było. Zniknęła też mała dziewczynka o kasztanowych lokach. Została tylko agrafka. Bujala się jeszcze, przypięta do pierzastej chmurki.

– Zuziu!

Wszędzie były tylko bladobłękitne obłoki. Tańczyły. Wznosiły się i opadały.

– Zuzanna!

Słyszała, lecz nie mogła zobaczyć. Kto to był?

Zaczęła kręcić się w kółko, na próżno wypatrując właściciela głosu. Pierzaste chmurki wirowały wraz z nią. Z każdą chwilą stawały się coraz jaśniejsze. Jakby przebijało przez nie słońce. Najpierw delikatnie. by po chwili rozblysnąć promiennym, oślepiającym blaskiem.

Zuza zamknęła oczy i wtedy poczuła znajomy piżmowy zapach. Zachłannie wciągnęła powietrze do płuc.

– W niebie na agrafce... w niebie na agrafce...

– Zuziu, słyszysz mnie?

Z trudem otworzyła oczy.

– Maks?

– Nareszcie jesteś – szepnął z ulgą.

– Kręci mi się w głowie.

Minęło kilka długich chwil, zanim zdała sobie sprawę, że leży na łóżku. Przed sobą zobaczyła twarz Makska. Była blisko. Zaledwie chwilę od pocałunku.

– Nareszcie gdzie jestem? – zapytała.

– Nic sobie nie przypominasz?

– Pamiętam tylko dziewczynkę, która huśtała się w niebie na agrafce.

– W niebie na agrafce? – Uniósł lekko brwi. – Widzę, że dziewczynka jeszcze się nie obudziła. Prześpij się. Zajrzę do ciebie później.

– Nie odchodź. – Objęła go za szyję i pocałowała. Tęskniła za jego namiętnością. Ich wargi zetknęły się na kilka sekund. Wszystko wokół wirowało, jak rozsypane kadry z jakiegoś filmu...

– Powinnaś odpocząć. – Oderwał się nagle od jej ust.

– Nie jestem zmęczona. – Czekwała na jego uśmiech, ale się nie pojawił. Zaniepokoiło ją to. – Powiesz mi, gdzie jestem?

– W szpitalu.

– Gdzie? – zapytała zdziwiona. – Dlaczego?

– Zemdlałaś. Było podejrzenie, że masz wstrząśnienie mózgu po tym, jak Nadarzewski przewrócił cię na podłogę. Na szczęście badania wykazały, że nie był to groźny upadek, więc do stałaś tylko leki na uspokojenie i grzecznie przespałaś prawie całą noc.

– Leki na uspokojenie?

– Gdy odzyskałaś przytomność, byłaś w szoku. Krzyczałaś, wrywałaś się i chciałaś uciekać.

– O matko! – jęknęła. – Nie pamiętam... – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjął z kieszeni małą ramkę ze zdjęciem i podał ją Zuzannie.

– Łukasz? – Przytuliła fotografię do policzka. – Moje kochane maleństwo. Skąd to masz?

– Znalazłem na trawniku przed domem Jana Masza.

– Dzięki. Musiało mi wypaść z torebki, gdy... – zawiesiła głos i westchnęła. Rozsypane obrazy zaczęły nagle układać się w chronologiczną całość. Posmutniała.

– Obok na kamieniu była twoja krew. Pamiętasz, co się stało?

Zuzanna podniosła rękę i spojrzała na plaster, przyklejony do przedramienia.

– Uciekałam przed Alekssem i przewróciłam się, a potem... – zamyśliła się – a potem strach odebrał mi resztki rozumu. Walczyłam z Nadarzewskim o obraz... – Przechyliła na bok głowę. – I jeszcze ci dwaj od Santiniego. Jeden celował we mnie z pistoletu. Chcieli, żebym z nimi gdzieś pojechała. Tak strasznie się wtedy bałam...

– Spokojnie. – Maks pogładził ją po włosach. – Jesteś bezpieczna.

– Bardzo się wygłupiłam, prawda? – powiedziała skruszona.

– No cóż – westchnął – to nie było mądre. Ale nie musimy teraz o tym rozmawiać.

– Dzięki. – Usiadła na łóżku i pogładziła ręką jego szorstką od zarostu twarz. Miała wrażenie, że jest zmęczony. To dlatego się nie uśmiechał?

– Która godzina? – zapytała.

– Przed czwartą.

– Rano?

Skinął głową.

– Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał.

– Fotele w szpitalu są mało wygodne. – Wstał, choć Zuza chciała się do niego przytulić. Musiał to zauważyć. Pragnęła jego czułości. A on nie? Już nie?

– Ktoś chciałby się z tobą zobaczyć – powiedział. – Czekają na korytarzu.

– Olga z Filipem?

– Sama zobacz. – Otworzył drzwi i skinął głową w stronę hallu, po czym rzucił na odchodne: – Sprawdź, kiedy będziesz mogła stąd wyjść.

– Cóż za miła niespodzianka! – Przywitała braci z uśmiechem, lecz po chwili zmieszła się nieco, przypominawszy sobie, że obaj byli świadkami jej wygłupów przed domem Masza. – Co tu robicie?

– Wracamy do domu – odparł Kacper. – Nie chcieliśmy wyjeżdżać bez pożegnania.

– Zostańcie jeszcze trochę – poprosiła. – Pewnie niedługo stąd wyjdę. Moglibyśmy sobie gdzieś pójść i pogadać.

Widać było, że nie mają na to ochoty. Pod zdawkowym uśmiechem ukrywali niewesołe miny. Zwłaszcza Przemek.

– Przyjechaliście tu, żeby zapobiec sprzedaży tego obrazu? – zagadnęła.

Kacper ciężko westchnął.

– Przykro mi. Mnie też się nie udało. – Zrobiła ponurą minę. – Naprawdę bardzo się starałam.

– To nie twoja wina, tylko jego. – Kacper wskazał na brata. – Gdyby nie był taki pazerny...

– Odczep się już, dobra? – odgryzł się Przemek. – Do końca życia będziesz mi to wypominał? Przeprosiłem cię przecież!

– Nie kłóćcie się, bo to nie ma sensu – uciszyła ich. – To ja przepraszam, że zachowałam się nie w porządku.

– Daj spokój. – Kacper machnął ręką. – Było, minęło. Zapomnijmy o tym. Jesteś cała, to najważniejsze.

Jak miło było ich uściskać. Obu.

– Witaj w rodzinie – powiedział Przemek, poklepując ją po ramieniu. – Fajnie mieć siostrę.

– A właśnie – przypomniała sobie – dowiedziałam się czegoś o waszym... naszym ojcu. – Zrobiła wymowną pauzę. – Wyobraźcie sobie, że to nie kto inny, jak sam wielki mistrz Shavo z Ameryki. Dacie wiarę?

Myślała, że będą zaskoczeni, a tymczasem to oni ją zaskoczyli.

– Wiemy – odparł z posępną miną Kacper. – Młody wpadł na to przypadkiem, gdy... – zawahał się – przeglądał na strychu stare obrazy ojca. Jeden był podpisany tym pseudonimem.

– Oryginalna ksywka, co? – uśmiechnęła się. – Wiecie, że teraz łatwo go będzie odnaleźć? Może pomyślimy o tym razem?

– Beze mnie – powiedział Przemek. – Ja mam tego człowieka głęboko w dupie. Niech sobie nie myśli, że skoro jest taki znany i bogaty, to ja się będę teraz do niego ślinił.

– Młody ma rację – przytaknął Kacper. – Ja też mam swoją dumę. Ojciec nas olał. Nie odezwał się do nas przez dziesięć lat, a przecież mógł przynajmniej dać znać, że żyje.

– Nie wiemy, co było powodem jego zniknięcia. – Zuza stanęła w obronie Ryszarda Wołoszyca. – Nie uważacie, że powinniśmy dać mu szansę wytłumaczyć się z tego? Czytaliście jego listy. Ojciec was kochał.

– Kochał tylko twoją matkę i ciebie – odpowiedział Przemek – a i tak, kiedy was odnalazł, zachował się jak tchórz. Jak się czułaś, gdy się dowiedziałaś, że twój własny ojciec oznajmił swojej rodzinie, że jego mała córeczka umarła?

Zuza spuściła wzrok.

– Było mi przykro – szepnęła.

Nastąpiła krótka cisza.

– Słyszałem, że też malujesz. – Przemek zmienił temat.

– Ale chyba nie jestem tak dobra jak ty. – Uśmiechnęła się. – Nie umiałabym skopiować kobiety ze skrzydłem.

Chłopak zmieszał się nieco.

– Nie wyszła mi za bardzo.

– Ja tam się nie zorientowałem – burknął Kacper.

– A widzisz. – Zuza pokiwała głową z uznaniem. – Gratuluję. Chętnie ją kiedyś zobaczę.

– Rozmawialiśmy o tym na korytarzu. – Przemek spojrzał na brata. – Chcielibyśmy dać ci ten obraz, jeśli oczywiście nie będzie ci przeszkadzało, że to tylko kopia.

– Nie wiem, co powiedzieć. Dzięki.

Kilka minut później pożegnali się i wyszli. Nie chcieli zostać dłużej, choć Zuza ich do tego namawiała. Ale może to i lepiej? Spotkają się za dwa tygodnie u niej w domu i będą mogli nagadać się do woli. Dziś ważne było to, że Kacper nie czuł do niej urazy.

*Nawet nie zapytałam, co młodego łączyło z Nadarzewskim – pomyślała. – Trudno. Jeszcze będzie na to czas.*

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili w wejściu pojawił się Maks z małym plecakiem. Obok niego stał nieznajomy mężczyzna. Zuzannie jednak wydawało się, że już go gdzieś widziała.

– Wygląda na to, że jest cała i zdrowa – powiedział.

– Zuza, nie miałaś chyba jeszcze okazji poznać mojego przyjaciela – odezwał się Maks. – To jest Rafał Wilkowski. Policjant ze Stanów.

– Jak się czujesz? – Porucznik podał jej rękę.

– W porządku – odpowiedziała.

– Jesteś w stanie złożyć zeznania?

– Zeznania? – Przygryzła dolną wargę. – Chyba tak, jeśli muszę... – Zawahała się. – To ty wskoczyłeś przez taras i obezwładniłeś tego gościa z pistoletem, prawda?

– Prawda. – Uśmiechnął się.

– Dzięki!

– Podziękowania raczej należą się Maksowi – odpowiedział Rafał. – To on pomimo zakazu pierwszy zakradł się do domu. Przy okazji obezwładnił tego drugiego.

Zuzanna uśmiechnęła się z wdzięcznością do Symertowicza.

*Mój bohater – pomyślała z dumą.*

– Zamknęliście ich? – zapytała.

– Tak, siedzą w areszcie – wyjaśnił Wilkowski. – Na razie zatrzymano ich do wyjaśnienia. – Teraz tylko od ciebie będzie zależało, czy zostaną im postawione zarzuty czynnej napaści z bronią w ręku.

– Dlaczego ode mnie?



– Obaj zeznali, że Nadarzewski ich sprowokował.

– I co z tego? – oburzyła się. – Nawet jeśli tak było, nie mieli prawa nam grozić. Włamali się do willi, a jeden z nich o mało nie przestrzelił Aleksowi stopy.

– Wtargnęli do domu siłą?

– No... – zastanowiła się. – Nie. Sama im otworzyłam, gdy zapukali do drzwi. Ale zepsuli domofon przy bramie.

– Widziałaś, jak majstrowali przy furtce?

Pokręciła głową.

– A jak się zachowywali, kiedy weszli do środka. Byli agresywni?

– Raczej kulturalni. Na początku. Powiedzieli, że są od Gustawa Santiniego, który przysłał ich po obraz. Przynieśli nawet aktówkę z pieniędzmi. Dopiero potem zrobili awanturę, gdy Aleksander oznajmił im, że nie ma przy sobie tego płótna.

– Wtedy się wkurzyli?

– Tak, ale... – Zamilkła i spuściła wzrok. Co miała powiedzieć? Że sama pomagała Nadarzewskiemu ukryć obraz?

– Ludzie Santiniego zgodnie zeznali, że nie chcieli nikomu zrobić krzywdy. Obaj mają legalne pozwolenie na broń, a ich szef ręczy za nich słowem. Santini to wpływowy człowiek.

– Jasne. Zrozumiałam – mruknęła pod nosem. – Najgorsze w tym wszystkim jest to, że temu draniowi udało się zwać.

– Znajdziemy go – odpowiedział porucznik. – To tylko kwestia czasu.

– Kiedy? – Spojrzała na obu z wyrzutem. – Jak już sprzeda obraz?

– Chciałbym później porozmawiać z tobą o Nadarzewskim. – Rafał zwrócił się do Zuzanny. – Odpowiesz mi na kilka pytań?

– Oczywiście – westchnęła. – Nie mam nic do ukrycia.

– Cieszę się. – Uśmiechnął się do niej. – Najpierw jednak trzeba załatwić sprawę z goryłami Santiniego.

– Kiedy Zuza lepiej się poczuje, zawiozę ją na komisariat – wtrącił Maks.

– Mogę pojechać choćby zaraz. – Zuza wstała z łóżka. – Wolę mieć to już za sobą.

– Nie musisz nigdzie jechać. Wystarczy, że do nich zadzwonię i za pół godziny przyślą tu kogoś z tłumaczem.

– Tak szybko? – zdziwiła się. – Przecież jest jeszcze noc.

– Mówiłem ci, Santini to wpływowy człowiek.

– Hm – mruknęła pod nosem. – Ciekawe, skąd wiedział o obrazie.

– Tacy ludzie jak on mają wszędzie wtyki – uśmiechnął się i wyciągnął telefon.

Zuza nie słyszała, co mówił. Patrzyła na Maksę stojącego pod ścianą i zastanawiała się, o czym on myśli. Niewątpliwie był zmęczony, ale czemu chociaż przy niej nie usiadł?

– Rzeczywiście są szybcy. – Wilkowski pokręcił głową z uznaniem. – Ale widać tak to jest, jeśli ma się na głowie Santiniego. Dostali cynk, że się obudziłaś i już tu są.

– Kto? – Zuza otworzyła szeroko oczy.

– Funkcjonariusz z tłumaczką. Wpuścić ich tu? – Widząc, że Zuza się waha, dodał: – Maks może z tobą zostać.

– W porządku. – Odetchnęła głęboko. – Sama również dam sobie radę.

– Kiedy skończycie, możesz wracać do hotelu. Rozmawiałem z lekarzem. Możesz wyjść w każdej chwili.

– Super. – Usiadła z powrotem na łóżku. – Nie lubię takich miejsc.

– To na razie. – Machnął jej ręką na pożegnanie. – Wpadnę do was po południu.

– Rafał! – zagadnęła niepewnie Zuza, zanim nacisnął na klamkę. – Rozumiem obecność włoskiej policji, ale czy mogłabym się dowiedzieć, co tu robi policja amerykańska?

– Oficjalnie jesteśmy na urlopie. – Zrobił tajemniczą minę.

– A nieoficjalnie?

Jak na złość, akurat w tym momencie zabrzączał telefon porucznika. Wilkowski zrobił minę w stylu: kimkolwiek jesteś, dzięki, że dzwonisz, odebrał i przez chwilę słuchał w skupieniu.

– *Okay, thanks for the information* – powiedział do słuchawki i się rozłączył. – Mam dobrą wiadomość: odnalazła się zguba.

– Gdzie jest? – zapytał Maks.

– Na lotnisku w Rzymie.

– Od początku wiedziałam, że tam go trzeba szukać – stwierdziła Zuza. – A chociaż miał przy sobie obraz?

– Niestety nie. – Rafał pokręcił głową. – Kupił bilet do Nowego Jorku i właśnie przeszedł przez odprawę bagażową.

– I tak spokojnie o tym mówisz? – zdziwiła się Zuzanna. – Dlaczego nikt go nie zatrzymał?

– Ponieważ nie było takiej potrzeby. Jeśli wsiądzie do samolotu, zgarniemy go na lotnisku w Nowym Jorku. Tutaj i tak nie wolno nam było tego zrobić. Ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, w dużej mierze będzie to twoja zasługa, Zuzanno.

– Jak to? – Uniosła brwi. – Moje szare komórki właśnie odmówiły mi posłuszeństwa, więc kompletnie nie rozumiem, co do mnie mówisz.

– Wszystko w swoim czasie. – Wilkowski uśmiechnął się i wyszedł.

Zuza jeszcze przez kilka sekund patrzyła na drzwi, które za sobą zamknął, po czym spojrzała na Maksa.

– Jeśli nie on, to może ty mi to wytłumaczysz?

– Pogadamy, jak już nikt nie będzie nam przeszkadzał, Okej? – Podał jej plecak i sięgnął do klamki. – Olga zostawiła to dla ciebie. Tylko nie daj się zamknąć. Będę na zewnątrz.

Czy dobrze widziała, że na jego twarzy pojawił się uśmiech? Być może, ale na pewno nie taki, jakiego oczekiwała.

Przesłuchanie trwało zaledwie kilka minut. Oprócz niezbędnych formalności zadano Zuzannie tylko jedno pytanie: czy oskarża tamtych dwóch mężczyzn o czynną napaść z bronią w ręku. Odpowiedź była krótka: nie oskarżam. Bo czy potrzebne jej były dodatkowe problemy?

Pół godziny później wyszła z Maksem ze szpitala. Zaczęło świtać. Było jeszcze chłodno. Zuzanna narzuciła na ramiona ażurowy sweterek. Znalazła go w małym plecaku, który w nocy zostawiła dla niej Olga. Oprócz czystej tuniki, spodni i bielizny były tam też kosmetyki, okulary przeciwsłoneczne, szczoteczka do zębów, naładowany telefon, a nawet kilka kanapek.

*Kochana dziewczyna* – pomyślała Zuzanna, ze smakiem zajadając bułkę. – *Zawsze o wszystkim pamięta.*

Samochód Maksa stał przy Viale Italia nad samym Adriatykiem. Nieopodal znajdował się malowniczy skwer z trzema równymi rzędami palm i prostymi kamiennymi ławkami, które idealnie komponowały się z jasnym chodnikiem. Od plaży oddzielała go tylko niewysoka żelazna barierka w kwadratowe wzory, zawieszona na białych słupkach. W pierwszym odruchu Zuza pomyślała o spacerze, ale szybko doszła do wniosku, że pewnie Maks chciałby się już położyć, więc nawet tego nie proponowała.

Wsiedli do samochodu.

– Czy teraz już mógłbyś mi wyjaśnić, co tam robił ten policjant ze Stanów?

– Najpierw ty mi powiedz, dlaczego zostawiłaś Kordejów w restauracji i bez słowa wyjaśnienia wróciłaś do willi?

– Chciałam do nich zadzwonić, ale zapomniałam zabrać telefon.

– To nie tłumaczy twojego zachowania. Mało ci było poniedziałkowych wrażeń?

– Ale to prawda. – Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, do czego mogła doprowadzić twoja lekkomyślność?

– Wiem. – Skruszona spuściła głowę. – Przepraszam.

– Obiecałaś, że nic nie zrobisz na własną rękę, a mimo to wymknęłaś się po kryjomu i poleciałaś za Nadarzewskim jak zakochana nastolatka. – Jego głos brzmiał poważnie. – Co chciałaś tym udowodnić?

– A więc o to chodzi! – Odwróciła do niego głowę. – Jesteś zły, bo ucierpiało twoje męskie ego, tak? Najpierw kobieta spędza z tobą noc, a na drugi dzień rano biegnie do innego faceta. I co sobie myślisz? Że z nim również uprawia namiętny seks?

– Sama przyznajesz, że tak to mogło wyglądać.

– Czyli w twoich oczach jestem ladacznicą?

– Przecież tego nie powiedziałem.

– Wystarczy, że pomyślałaś. – Poczowała napływające do oczu łzy i wyjęła z plecaka ciemne okulary. – Nic więcej nie musisz mówić.

Obrażona, skrzyżowała ręce na piersi i nie odzywała się przez kilka długich minut.

– Zuza, daj spokój – usłyszała. – Porozmawiajmy.

– Wiesz, co mnie najbardziej boli? – Wytarła ręką policzek. – Kiedy powiedziałam ci, że nic mnie z Aleksandrem nie łączy, ty mi nie uwierzyłeś.

– Nadarzewski chyba jest innego zdania. Widziałem, z jakim poświęceniem ratował ci życie. Widziałem też, jak na ciebie patrzył.

– Czyje uczucia cię obchodzą? Moje czy jego?

– Oczywiście, że twoje.

– Wiedz zatem, że go nie kocham, nie mam z nim romansu i ani razu nawet nie pomyślałam, aby pójść z nim do łóżka. – Wylizyła na palcach. – Jeśli mi nie wierzysz, dalsza rozmowa nie ma sensu.

Milczał. Przez chwilę patrzyła na niego.

– Tak myślałam – westchnęła. – Zatrzymaj się. Dalej pójde na piechotę.

– Nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi. Wiesz, ile to kilometrów?

– Guzik mnie to obchodzi! – podniosła głos. – Chcę wsiąść, rozumiesz? Niedobrze mi.

Gdy zahamował, natychmiast otworzyła drzwi i wysiadła.

– Zuza, poczekaj!

– Chcę być teraz sama.

Posłuchał.

Związała na piersiach rękawy swetra i wąską stromą ścieżką między drzewami zeszła na niewielką plażę w kształcie trójkąta, otoczoną z dwóch stron skałami. Nie obejrzała się za

siebie. Być może Maks stał tam jeszcze, być może odjechał. Jakie to miało znaczenie? Istotne było tylko to, że jej nie wierzył. Czy naprawdę myślał, że potrafiłaby tak... najpierw z jednym, a zaraz potem z drugim?

– Boże! – jęknęła. – Jak on mógł mnie o to posądzić?

Czuła, jak wzbiera w niej złość. Gotowała się! Kipiła! Jak on mógł!

*A pewnie, że mógł!* – Nagle w jej głowie zaśmiała się złośliwa myśl. – *Gdybyś mu nie dała pretekstu...*

Plaża była zupełnie pusta. Zuzanna zdjęła buty i ruszyła bosą wzdłuż brzegu. Chłodne fale opływały jej stopy i moczyły nogawki spodni. Ile czasu spacerowała między skałami w tę i z powrotem po kilkusetmetrowej plaży, nie pamiętała. Zza horyzontu niemrawo zaczęło wyłaniać się słońce. Zuza zatrzymała się i spojrzała na jasną poświatę Adriatyku.

*Sama jesteś sobie winna* – skarciła się w duchu. – *Zobacz, do czego doprowadziło twoje kretyńskie zachowanie!*

Poczuła żal. Żal do siebie, że tak łatwo uległa swojej głupocie i dała się ponieść emocjom, nie zważając na konsekwencje, narażając nie tylko siebie, ale też swoich przyjaciół. Czy oni również stracili do niej zaufanie? A wszystko dlatego, że kiedy działała pod wpływem impulsu, zapomniała o racjonalnym zachowaniu. Pocieszające było jedynie to, że przynajmniej z braćmi udało jej się dojść do porozumienia, choć pewnie okaże się to dopiero za dwa tygodnie.

Ogarnęła ją pustka. Po co właściwie tu przyjechała? Przemierzyła ponad dwa tysiące kilometrów w poszukiwaniu kogoś, kto uznał ją za zmarłą, aby nie musieć o nią walczyć. Człowieka, który tak naprawdę dla niej nie istniał. Przecież miała już kochającego ojca, szczęśliwy rodzinny dom, piękne wspomnienia z dzieciństwa. Czego jej jeszcze brakowało?

Stopy zdrętwiały od zimnych fal, więc cofnęła się na piasek. Kilka metrów za jej plecami rosły niewysokie, powykręcane drzewa. Zuzanna podeszła do nich, zdjęła mokre spodnie i przerzuciwszy je przez gałąź, usiadła na ziemi, uprzednio obciążając na uda długą tunikę. Spojrzała na piasek i narysowała na nim palcem serce, a potem długo na nie patrzyła.

*Tego mi brakuje* – pomyślała. – *Miłości.*

Być może mogłaby odnaleźć ją przy Maksie, ale teraz... Westchnęła i starła stopami rysunek. Teraz nie miała nawet obrazu, o który z taką determinacją walczyła z Nadarzewskim.

Podkurczyła kolana, wsparła brodę na zamkniętych pięściach i zapatrzyła się na wschód słońca. Fale delikatnie obmywały brzeg. Wpływały i odpływały. Spokojnie. Bez pośpiechu. Zuza zamknęła oczy i mocno nabrała powietrza. Przywołała w pamięci twarz Maksa. Jego stalowoszare oczy, które przybierały barwę pogodnego błękitu, kiedy się uśmiechał, delikatne zmarszczki, gdy figlarnie przymykał powieki. I zapach. Piżmowy. Zniwalaający. Na Zuze działał jak afrodyzjak. Mogłaby w nim pływać, mogłaby się w nim utopić. Wciągnęła powietrze jeszcze raz. Cudowne uczucie. Zdawało się, że go czuje, jakby był blisko...

– Kochała się pani kiedyś na plaży? – usłyszała nagle i drgnęła, odrywając ręce od brody.

Obok niej siedział Maks. Nie zauważyła, kiedy przyszedł. Uśmiechnęła się do niego lekko

i znów spojrzała na wodę.

– A pan?

– Jeszcze nie, ale właśnie to rozważam. Jest pani zainteresowana?

– Tutaj i z panem? – odpowiedziała po kilku sekundach, nie odrywając wzroku od Adriatyku. – Obawiam się, że mnie pan z kimś pomylił.

– Wróćmy zatem do początku. Da się pani namówić na kawę?

– Początek właśnie się skończył, więc pora wracać, ale do domu – westchnęła.

Upłynęła chwila. A może było ich dziesięć? Nie pamiętała. Szum morza utkał tysiące słów, które przepływały między nimi niewypowiedziane.

– Zuza – Maks przerwał milczenie. – Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Spróbuj jednak postawić się w mojej sytuacji. Ostrzegłem cię przed Nadarzewskim, a mimo to pojechałaś, aby się z nim spotkać. W takim razie albo to ty mi nie zaufałaś, albo... No cóż! – urwał. – Czy byłem na ciebie zły? Nie! Ja byłem wściekły. Przede wszystkim jednak bałem się o ciebie. Zdajesz sobie sprawę, co czułem, widząc wycelowaną w ciebie broń?

Na samo wspomnienie dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Wiesz, że Olga o mało nie rozbiła samochodu, kiedy do ciebie jechała? Pędziła po mieście jak szalona.

– Olga? – zdziwiła się Zuzanna. – Nie wierzę. Ona nigdy nie przekracza dozwolonej prędkości.

– Jak widzisz, jesteś dla niej ważniejsza od kodeksu drogowego.

Zuza nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Okej, postąpiłam nierozważnie – westchnęła po chwili. – Tobie nigdy to się nie zdarzyło?

– Oprócz tego, że zapłaciłem słony mandat na niemieckiej autostradzie, gdy do ciebie jechałem? – Zawiesił głos.

– O! – zerknęła na niego z ukosa. – Nic nie mówiłeś.

– Bo nie było się czym chwalić – mruknął. – Ale przede wszystkim, jeśli nie muszę, staram się świadomie nie narażać swojego życia. Wkładam rękę w ogień tylko wtedy, gdy wpadnie mi tam coś cennego.

– No popatrz. To zupełnie tak samo jak ja. – Uśmiechnęła się ironicznie, ale czuła zadowolenie. To miłe wiedzieć, że jest ważna dla Maksa. – Wróciłam tam po cenne informacje.

– Warto było chociaż?

– Dowiedziałam się, kim jest mój ojciec.

– To ten starszy gość z białymi włosami, którego widzieliśmy w poniedziałek na ulicy?

– Nie. – Zuza potrząsnęła głową. – Tamten to Costello, kolekcjoner z Rzymu. Poznałam go wczoraj. Nie może być moim ojcem, skoro kupował jego płótno. A szkoda, bo naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto potrafiłby wyczytać tyle emocji z obrazów.

– Zamyśliła się na moment. – Facet ma genialne wyczucie.

– Jeśli w takim razie nie on, to kto?

– Shavo.

– Ten amerykański malarz?

– Widzę, że nawet ty go znasz.

– Ja nie. – Spojrzał na spokojne morze. – Rafał.

Maks opowiedział jej, jak Wilkowski przed rokiem prowadził śledztwo w sprawie pewnej starszej kobiety, która trzy lata temu kupiła od niejakiego Normana Batora fałszywy obraz mistrza Shavo. Śledztwo zostało umorzono z braku dowodów, ale porucznik postawił sobie za punkt honoru odnalezienie oszusta.

– Teraz rozumiem, dlaczego powiedział, że oficjalnie jest na urlopie – wtrąciła Zuzanna. – Zaczął działać na własną rękę.

– Rafał to człowiek z nieprzeciętną intuicją.

– Ślady zaprowadziły go do Polski, ponieważ odkrył, że Shavo jest z pochodzenia Polakiem?

Nie odpowiedział, ale milczenie było dla Zuzy potwierdzeniem jej domysłów, co zachęciło ją do dalszej dedukcji.

– Rozumiem, że Wilkowski potrzebował w Polsce zaufanego człowieka, więc zadzwonił do swojego przyjaciela Maksymiliana Symertowicza, dziennikarza śledczego i redaktora naczelnego „Zagadek Kryminalnych”, który, spragniony wszelkiego rodzaju informacji ze świata przestępczego, zwłaszcza że mógłby je potem wykorzystać do interesującego artykułu, bardzo chętnie zgodził się pomóc koledze.

– Poniekąd. – Uśmiechnął się.

– Boże, Maks! – jęknęła. – Jak trudno jest z ciebie cokolwiek wyciągnąć. Nie mógłbyś mi po prostu powiedzieć, co wiesz? Dlaczego muszę się wszystkiego domyślać?

– Całkiem dobrze ci idzie. – Poklepał ją po kolanie. – Nie chciałbym odbierać ci tej przyjemności.

– Też mi przyjemność – mruknęła pod nosem. – Ale dobra. Kluczowe pytanie: Czy Rafał podejrzewa, że Norman Bator i Nadarzewski to ta sama osoba?

– Tak.

– Czemu w takim razie nie zgarnął go w Polsce, tylko fatygował się aż tutaj?

– To nie takie proste. W Polsce nic na niego nie miał, a od swojej informatorki wiedział, że pod

nieobecność Masza Nadarzewski sprzedaje w willi obrazy. Fałszywe, jak przypuszczał. Ciężko jednak było to udowodnić, zwłaszcza że Rafał nie mógł oficjalnie współpracować z tutejszą policją. Tamta sprawa była umorzona, a na jej wznowienie nie miał co liczyć. Sama intuicja nie wystarcza, żeby postawić komuś zarzuty, szczególnie że ten ktoś jest poza granicami kraju, w którym popełnił przestępstwo. Sytuacja oczywiście przedstawiałaby się zupełnie inaczej, gdyby Nadarzewski pojawił się w Stanach.

– To znaczy, że Wilkowski przyjechał tu, żeby wzbudzić w Aleksie potrzebę wyjechania do Ameryki?

– Ciekawy wniosek – pochwalił Maks. – Muszę zapamiętać. Czy wzbudzanie potrzeb to umiejętność, którą wykorzystujesz tylko w pracy do namawiania klientów na karty kredytowe, czy stosujesz takie sztuczki również w życiu prywatnym?

– Zależy, jakie akurat są moje potrzeby. – Zerknęła na niego zalotnie. – Na pocieszenie dodam, że więcej jest tych niematerialnych.

– No, to mnie uspokoiłaś.

– A wracając do Rafała – zamyśliła się na moment. – Stwierdziłeś, że mój wniosek jest ciekawy. Czyżby był również trafny?

– Całkiem prawdopodobny.

– Wilkowski nic ci nie powiedział?

– Zrobiłby to pewnie, gdyby jego plan wypalił. Teraz to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że cel został osiągnięty. W zasadzie dzięki tobie.

– I tego właśnie nie rozumiem.

– Kiedy wczoraj Nadarzewski wykorzystał zamieszanie i uciekł, ty wybiegłaś przed dom, krzycząc, że wiesz, gdzie go szukać. Tylko nie mogłaś się zdecydować, czy chcesz jechać do Rzymu, czy lecieć do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, trochę się przestraszyłem, że gadasz od rzeczy.

– O kurczę. – Zawstydziała się i aż zasłoniła rękami twarz. – To musiało wyglądać idiotycznie. Nadarzewski faktycznie mówił coś o Nowym Jorku – ciągnęła. – Właściwie wspomniał tylko, że ma ochotę tam polecieć. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, żeby o tym majaczyć?

– Hej! – Maks przysunął się bliżej Zuzy i zdjął ręce z jej policzków. – Grunt, że twoje słowa zostały prawidłowo zinterpretowane. Rzym plus Nowy Jork – to okazało się prostym równaniem, które doprowadziło nas na Aeroporto di Roma Fiumicino.

– Co?

– Lotnisko międzynarodowe, oddalone o trzydzieści kilometrów od Rzymu – wyjaśnił. – Rafał od razu wysłał tam swoją informatorkę.

– Przynajmniej tyle dobrego – rzuciła i zastanowiła się chwilę. – Skąd Olga wiedziała, gdzie mnie szukać?



– Po pierwsze, nietrudno było się tego domyślić, a po drugie: rozmawiała z Kacprem. Podobno mu obiecałaś, że się zorientujesz, czy Nadarzewski sprzedał obraz.

– Hm. W zasadzie logiczne. – Zamyśliła się. – Powiedziałaś, że Przemek mógł fałszować obrazy dla Nadarzewskiego. Jeśli pozwoliliście moim braciom wrócić do Polski, wasze przypuszczenia, twoje i Wilkowskiego, musiały okazać się bezpodstawne. Chyba, że też ich chcecie podstępem zwabić do Stanów.

– Oj, Zuza – westchnął i pogłaskał ją po ramieniu. – Nie mam pojęcia, co chodzi Rafałowi po głowie. Nie zwierza mi się ze wszystkich swoich pomysłów. Wiem tylko tyle, że twój brat raczej nie mógł sfalszować obrazu, który trzy lata temu kupił tamta oszukana kobieta, ponieważ poznał Nadarzewskiego dopiero rok później.

– Skąd wiesz? Rozmawiałaś z nim?

– Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem wszyscy na piwie i trochę sobie pogadaliśmy. Ot, zwykła koleżeńska rozmowa. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że Nadarzewski kupił od nich kilka starych obrazów waszego ojca. Ostatnio Przemek sprzedał mu również kobietę ze skrzydłem, nie wiedział tylko, że Kacper obiecał ją tobie. Skontaktowali się więc z Aleksandrem, który poinformował ich, że jeśli chcą odzyskać obraz, muszą tu przyjechać. Ale wygląda na to, że Nadarzewski oszukał także ich.

– Powiedziałaś to tak, jakbyś im nie wierzył.

– Zostawmy tę sprawę policji. – Maks odgarnął kosmyk włosów z czoła Zuzanny. – Niech oni się tym zajmą.

– A co z twoim artykułem? Napiszesz go?

– Jeszcze nie wiem, w zasadzie mam tyle materiałów, że mogłaby wyjść z tego pokaźna książka. – Uśmiechnął się i przechylił głowę do jej ucha. – Tylko nie myśl sobie – szepnął – że ponieważ zostałaś bohaterką, zapomnę o wyciągnięciu konsekwencji z twojej wczorajszej ucieczki z restauracji.

– Żadnej taryfy ulgowej?

– Żadnej. – Rzucił jej zadziorne spojrzenie z ukosa i pogładził palcami po wewnętrznej stronie jej łydki. – Kochała się pani kiedyś na plaży, pani Zuzanno?

– Z panem jeszcze nie. – Utkwiła wzrok na jego dłoni, która wolno, aczkolwiek wytrwale minęła jej kolano i sunęła dalej.

– Rozumiem zatem, że jest pani gotowa to nadrobić.

– Teraz? – Zaczęło w niej kielkować pożądanie.

– A czemuż by nie? – Delikatnie pieścił wrażliwą skórę jej uda. – Jest ciepło, pusto, przyjemnie...

Pochylił się i delikatnie musnął wargami jej kolano, po czym przełożył rękę na jej drugie udo. Mięśnie Zuzanny napięły się. Czują, jak budzi się w niej namiętność.

Maks pchnął ją delikatnie na piasek.

– Zupełnie oszalałeś. Tutaj? – wydyszała, gdy jego zuchwałe wargi zapuściły się w okolice jej dekoltu. – Wróćmy lepiej do hotelu.

– Tam jest Olga z Filipem. – Położył się obok niej, zamykając jej usta żarliwym pocałunkiem.

Z trudem, ale niechętnie odsunęła od siebie jego twarz.

– A co będzie, jeśli nas ktoś zobaczy?

– Pomyśli, że się kochamy – szepnął, muskając nosem wrażliwe miejsce na jej szyi. Przymknęła powieki i rozchyliła drżące wargi. Zachęcony tym gestem Maks ujął dłonią głowę Zuzanny i przywarł do jej ust. Ledwie chwyciła powietrze, kiedy językiem smakował ich wnętrze. Usłyszała cichy jęk. Własny? Jego?

Z każdą chwilą narastało w niej pożądanie. Wlewało się w nią gwałtownymi strumieniami i spływało w dół, aby skupić się w tym jednym szczególnym punkcie. W jej intymności.

Choć lewa ręka Maksa uwięziona była za głową Zuzanny w plątaniu kasztanowych loków, prawa bezwstydnie wędrowała po jej ciele, od piersi do bioder, zataczała łuk i wracała, by po chwili znów zsunąć się na nagą skórę uda i utorować sobie przejście pod fałdą tuniki. Gdy palce Maksa chciały pozbawić Zuzannę bielizny, oprzytomniała na chwilę i zaciskając uda, podciągnęła w górę kolana.

– Boże, to jakieś szaleństwo – uniosła głowę, aby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. – Czy ty wiesz, co my robimy?

– Wiem. – Uśmiechnął się i z nieukrywaniem pożądaniem omiótł wzrokiem jej odsłonięty dekolt.

– Ale nie tu! – wydyszała z bijącym sercem. – Nie na plaży.

Czuła na policzkach wypieki, ale nie mogła pozbyć się skrępowania. Próbowwała się podnieść, lecz Maks ją powstrzymał.

– Pragnę cię. – Pochylił się nad nią i zaczął muskać ustami jej twarz. – Miejsce jest nieważne, liczysz się tylko ty.

– Ale...

– Óóó... – opuścił jej kolana – odpręż się. Nikt na nas nie patrzy. – Obdarzył Zuzannę pocałunkiem. Długim, powolnym i zmysłowym. – Zaufaj mi. Oprócz nas nikogo tu nie ma.

Objęła go. Nie przestając jej całować, powrócił do przerwanych pieszczot. Zuza czuła, jak Maks wsuwa rękę pod tunikę i dotyka jej brzucha. Westchnęła głośno. Przez delikatny materiał bielizny łagodnie pogładził wzgórek łonowy, przesunął niżej dłoń i zatrzymał ją na złączeniu nóg.

Poczuła świeżą morską bryzę. Maks się uśmiechnął.

– Podobno jest taki wiatr, co kobiece uda rozchyła – szepnął.

Zuzanna odwzajemniła uśmiech. Czy mogłaby teraz uciec od tej pokusy? Równie dobrze mogłaby zakazać słońcu świecić. Cudowne wrażenia przesłoniły wszystkie logiczne myśli. Przed oczami stawały jej podniecające obrazy, które pragnęła zamienić w rzeczywistość. Tu i teraz! I jeśli nawet czuła się odrobinę nieswojo, bliskość Maksa sprawiała jej grzeszną przyjemność.

## Epilog

– Deser w poniedziałkowy rano, przed śniadaniem? – zapytała Zuzanna i z kokieterijnym uśmiechem obróciła się na łóżku do Maksa. – Z przyjemnością. Uwielbiam desery.

– Zauważyłem. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował. – Nie potrafi pani również oprzeć się takim, które walą w podbródek.

– Muszę uważać, bo jest pan za bardzo spostrzegawczy, panie Symertowicz – szepnęła, zadziornie gryząc go w ucho. – I ma pan niebezpiecznie dobrą pamięć.

– Lepiej niech więc pani na mnie uważa, panno Kostecka. – Jedną rękę wplótł w rozczochrane włosy Zuzanny, drugą zaś delikatnie przesunął w dół po jej plecach, zatrzymując się na krągłych pośladkach.

Półtorej godziny później Zuzanna została w domu sama.

Gdy zbierała ze stołu naczynia po śniadaniu, jej wzrok padł nagle na sztalugę, rozstawioną w salonie przy kominku. Jeszcze niedawno był na niej obraz, w którym Maks zobaczył barszcz ukraiński, lecz tuż przed wyjazdem do Włoch Zuza oddała płótno do oprawienia. Teraz zostało po nim puste miejsce. Pustka kusila, by ją zapełnić. Dziewczyna poczuła w duszy dziwny impuls i uśmiechnęła się do siebie. Kochała to uczucie. Rodziło w niej potrzebę malowania.

Przymknęła powieki i oczami wyobraźni zobaczyła białe podobrazie. Po chwili zaczęły pojawiać się na nim barwy.

*Zmącony horyzont... niebo ogarnięte ciszą... i dusza artysty...*

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu.

– Zuza, ale numer! – W słuchawce rozległ się podekscytowany głos Marka. – Przed chwilą policja zgarnęła Małego i Arletę.

– Chrzanisz!

– Naprawdę. Myślę, że to ma coś wspólnego z tamtą majową aferą.

– Skąd wiesz?

– Czułem wtedy, że kogoś szukają. Arleta zniknęła, a Mały dziwnie się zachowywał.

– Ciekawe, co zmagstrowali – zastanowiła się głośno Zuzanna.

– Będziesz dzisiaj? Pogadamy.

– Mam jeszcze tydzień urlopu i szczerze mówiąc, wcale nie mam ochoty go skracać. Poza tym

od trzech tygodni nie widziałam swojego dziecka, więc zaraz jadę do mamy.

– Teraz pewnie prezes zaproponuje ci stanowisko Małeckiego.

– Zwariowałaś? – parsknęła. – Mnie? Nawet nie ma takiej opcji.

– Czemu? – zdziwił się Marek. – Nie chciałabyś być dyrektorem?

– O nie, mój drogi! Nie dam się kolejny raz zrobić w awans.

Gdy skończyła rozmawiać, wzięła się do przepakowywania walizki. Nie miała zamiaru myśleć o pracy, ani o tym, co zrobił Małecki z Arletą. Nie dziś. Za tydzień, kiedy wróci z urlopu. Teraz wybierała się do Lubieńca, aby spotkać się z synkiem, mamą i babcią. Stęskniła się za nimi. Zwłaszcza za Łukaszem. Wczoraj przez telefon Pola Kostecka powiedziała Zuzannie o listach, które babcia Eleonora znalazła przypadkiem w starej komodzie na strychu. To były listy od Ryszarda Wołoszyca, pisane do Poli z więzienia. Przypuszczalnie ukrył je przed córką dziadek Blichacz wiele lat temu.

Choć Zuza mimowolnie odczuwała jeszcze lęk przed spotkaniem z matką, nie mogła się doczekać, kiedy znów się do niej przytuli. To już niedługo. Dziś po południu. Za dwie godziny przyjedzie Maks i ją tam zawiezie. Sam to zaproponował mimo że dopiero wczoraj wieczorem wrócili z Włoch.

Byli tam zaledwie tydzień, a tyle się wydarzyło. Jeszcze niedawno Zuza myślała, że odnalezienie ojca pozwoli jej zrozumieć samą siebie, wyciszyć się, odzyskać równowagę i pojąć własne malarstwo, a tymczasem zdała sobie sprawę, że tak naprawdę potrzebowała czegoś innego. Potrzebowała miłości. Potrzebowała mężczyzny, którego będzie mogła kochać i przy którym będzie mogła czuć się bezpiecznie. Prawie go nie знаła, ale czyż do oceny butelki wina nie wystarczy jeden łyk?

– To bardzo dobre wino – westchnęła, uśmiechając się do siebie.

Gdy walizka była już na nowo spakowana, rozległ się dzwonek domofonu. W pierwszym odruchu Zuza pomyślała, że to Maks i wybiegła z pilotem, aby otworzyć mu bramę.

Przed furką stała zielona furgonetka z napisem „kurier”.

– Dzień dobry, mam dla pani paczkę – powiedział młody mężczyzna.

Zuzanna spojrzała na pakunek i uśmiechnęła się.

– Dobrze, że przyjechał pan tak wcześnie. Za godzinę już by mnie tu nie było. – Pokwitowała we wskazanym miejscu. – Zupełnie zapomniałam, że odbiór miał być dzisiaj. Była przekonana, że w następny poniedziałek.

Odebrała ciężką przesyłkę i wróciła do domu.

– Zobacz, co ci przyniosłam – powiedziała w stronę pustej sztalugi. – Zanim się zdecyduję, gdzie go powiesić, jeszcze przez tydzień będziesz mogła się do niego poprzytulać.

Przecięła nożyczkami plastikowe paski i pospiesznie zerwała papier. Pod spodem była drewniana skrzynka.

– Matko! – jęknęła. – Jak oni to teraz pakują!

Podważyła metalowe zaczepy i wysunęła drewniane wieko. W środku był obraz zapakowany w biały materiał. Zuza pokręciła z uznaniem głową. Firma, która oprawiała jej płótna, wreszcie zaczęła dbać o klientów.

Ostrożnie wyjęła opakowany obraz i zdziwiła się. Nie ma ramy? Nagle serce zabiło jej szybciej. Jednym pewnym ruchem ściągnęła tkaninę z obrazu.

– O Boże! – westchnęła ciężko i z wrażenia usiadła na kanapie.

Trzymała w rękach wizerunek kobiety ze skrzydłem. Zachwycająco pięknej i... smutnej. Obraz wyglądał zupełnie jak ten, o który Zuza walczyła z Nadarzewskim. Czemu Przemek go przysłał, skoro razem z Kacprem mieli przyjechać tu w przyszłym tygodniu?

*Nieważne* – pomyślała, stawiając płótno na sztaludze. – *Teraz jesteś moja.*

Usiadła z powrotem na kanapie i długo przyglądała się postaci, za którą tak tęskniła.

– Muszę przyznać, braciszku, że jesteś wielki – powiedziała z uznaniem. – Chylę czoła przed twoim talentem. I prawdę mówiąc, trochę ci go zazdroszczę.

Uplłynęło jeszcze kilka długich chwil, zanim Zuza podniosła się, aby sprzątnąć z podłogi porzucane papiery i materiał. Była wdzięczna braciom za tę przesyłkę. Zrobili jej ogromną przyjemność i jeszcze większą niespodziankę.

*A gdyby tak zabrać go ze sobą i pokazać mamie?* – W głowie Zuzanny zaświtała przyjemna myśl. – *Też jej zrobię niespodziankę.*

Zdjęła obraz ze sztalugi, owinęła go z powrotem w biały materiał i delikatnie ułożyła w skrzynce. Właśnie gdy miała wsunąć drewniane wieko, spostrzegła w rogu małą karteczkę. Wyciągnęła ją i przeczytała.

*Dusza artysty jest zawieszona w niebie na agrafce.*

Doskonale знаła to pismo.

– Ty draniu! – krzyknęła i roześmiała się głośno.

## **Podziękowania**

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Bożenie Górnik, mojej serdecznej przyjaciółce, która towarzyszyła tej powieści krok po kroku od momentu jej powstania aż do samego zakończenia. Twoje rady i wskazówki, Bożenko, były nieocenione, a Twoja siła motywująca tak wielka, że gdybym tej książki nie napisała, niechybnie miałabym porządnie skopany tyłek. Dziękuję za Twoją intuicję, wrażliwość i wyostrzone spojrzenie na świat. Bardzo mi pomogły.

Chylę czoło przed Moniką Bogdanowicz, kochaną przyjaciółką i wspianą malarką. Moni, dziękuję Ci za fachowe porady oraz za to, że użyczyłaś swojej cudownej artystycznej duszy, abym mogła tchnąć ją w Zuzannę i innych bohaterów, dla których malarstwo to sens istnienia. Miałaś rację, o marzeniach trzeba mówić głośno, bo wtedy się spełniają. I ja w to wierzę.

Dziękuję Jakubowi Winiarskiemu za warsztat pisarski i za to, że jako pierwszy we mnie uwierzył. Nie wiem, jak to zrobiłeś, Jakubie, ale jedno jest pewne: bez Ciebie nie byłoby tej powieści. Nie tylko wprowadziłeś mnie w zawile techniki literackie, ale też uczyłeś, jak się po nich poruszać. Uwrażliwiłeś mnie i wspierałeś. Zdradzisz wreszcie, skąd wiedziałeś, gdzie szukać mojej weny?

Dziękuję Kindze Wasylewskiej, Monice Chodorowskiej, Elizie Kiljanek, Ani Gąsiorowskiej i Kasi Petrykowskiej, moim bratnim pisarskim duszom, bez których wsparcia byłoby mi naprawdę trudno. Dziewczyny, czekam na Wasze książki.

Podziękowania składam także Anicie Gwarek, mojej wieloletniej przyjaciółce, która zawsze otacza mnie swoim opiekuńczym skrzydłem, nawet gdy o to nie proszę. Anitko, to dzięki Tobie zaistniała Olga.

Wydawca

Agata Pieniążek

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Dominika Cieśla-Szymańska

Redakcja techniczna

Małgorzata Juźwik

Korekta

Anna Zawadzka

Elżbieta Jaroszek

Copyright © by Iwona Grodzka-Górnik 2012

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki

Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.

ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: [Weltbild.pl](http://Weltbild.pl)

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny

sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0127-7

Nr 90452897



Plik mobi opracowany przez firmę eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)